

PD. James

Intrygi i żądze

Przełożył z angielskiego Andrzej Ziembicki

Wydawnictwo „Książnica”

KSIĘGA PIERWSZA

od piątku 16 września do wtorku 20 września

1

Czwarta ofiara Świstuna była zarazem najmłodszą z nich; Valerie Mitchell, wiek piętnaście lat, osiem miesięcy i cztery dni, zginęła tylko dlatego, że nie zdążyła na autobus o 9.40 wieczorem z Easthaven do Cobb's Marsh. Jak zwykle, odkładała na ostatnią chwilę moment wyjścia z dyskoteki i sala wciąż była jedną zbitą masą ciał, wirujących w migotliwym blasku prowizorycznych lamp stroboskopowych, gdy Valerie wyrwała się z objęć Wayne'a, przekrzykując zgiełkliwą muzykę podzieliła się z Shirl planami na przyszły tydzień, a wreszcie zbiegła z parkietu. Przez chwilę jeszcze widziała poważną twarz Wayne'a, dziwacznie pocętkowaną czerwonym, żółtym i niebieskim światłem, a potem — nie zatrzymując się, by zmienić buciki — porwała z wieszaka swoją kurtkę, wypadła na ulicę i objijając sobie zebra niezgrabną torbą na pasku, pognąła wzdłuż zaciemnionych sklepów, w stronę dworca autobusowego. Kiedy jednak minęła ostatni róg przed dworcem, ujrzała z przerażeniem, że wysokie latarnie oświetlają tylko wyblakłą i milczącą pustkę, autobus zaś zdążył już pokonać połowę wzniesienia. Wciąż miała szansę go dopędzić, gdyby natrafił na czerwone światła, potykając się zatem w swych szpilkach podjęła rozpaczliwy pościg. Światła jednak były zielone; z trudem łapiąc oddech, zgięta w pół nagłym skurczem Valerie patrzyła bezradnie, jak autobus przetacza się przez grzbiet wzgórza i niczym jasno oświetlony statek majestatycznie tonie za jego mrocznym konturem.

— Och, nie! — wykrzyknęła mu w ślad. — Och, Boże, tylko nie to!

— W tej samej chwili poczuła, że po jej policzkach zaczynają spływać łzy złości i trwogi.

To już koniec. Tym, który w jej rodzinie stanowił prawa, był ojciec

— wiedziała, że od jego wyroków nie ma odwołania, że nie może liczyć na drugą szansę. Po długich pertraktacjach i ponawianych błaganiach

5

P. D. JAMES

zezwoił wreszcie na piątkowe wyjazdy do dyskoteki, prowadzonej przez przykościelny Klub Młodzieżowy, stawiając wszakże jeden, nie podlegający kwestii warunek: że ma za każdym razem wracać autobusem o 9.40, który wysadzi ją w Cobb's Marsh przed odległym zaledwie o pięćdziesiąt

jardów od jej domu pubem „Korona i Kotwica”. O dziesiątej piętnaście ojciec — który siedząc z matką w salonie kątem oka oglądał telewizję — zaczynał wypatrywać przez okno autobusu, a potem, bez względu na program i pogodę, nakładał płaszcz, wychodził na spotkanie Valerie i nie spuszczać jej z oka eskortował w pięćdziesięciojardowej drodze do domu. Odkąd Świstun z Norfolk zaczął zabijać, ojciec zyskał dodatkowe usprawiedliwienie dla swej łagodnej domowej tyranii: była, jego zdaniem, najważniejszą metodą wychowywania jedynaczki oraz — jak zaczynała podejrzewać Valerie — źródłem sporej przyjemności. „Będę w porządku wobec ciebie, córeczko, jeśli ty będziesz w porządku wobec mnie” — brzmiała ustalona przed laty zasada ich współistnienia. Valerie zarazem kochała ojca i czuła przed nim lekką obawę; najczystszy przerażeniem natomiast napawał ją jego gniew. Teraz nieuchronnie nastąpi jeden z tych nie mających kresu sporów, w których — jak wiedziała — nie może liczyć na jakiegokolwiek poparcie ze strony matki. To będzie koniec piątkowych wieczorów, spędzanych z Wayne’em, Shirl i całą paczką, okazującą jej dotąd po równi ironię i współczucie. Poniżenie będzie ostateczne. Jej pierwszy desperacki pomysł polegał na tym, żeby wziąć taksówkę i ruszyć w pościg za autobusem — nie wiedziała jednak, gdzie jest postój, a poza tym miała zupełną pewność, że nie starczy jej pieniędzy. Mogłaby wprawdzie wrócić do dyskoteki i spróbować pożyczyć od kumpli, ale Wayne był zwykle bez grosza, Shirl natomiast słynęła ze skąpstwa, no a w ogóle musiałyby to trwać za długo.

Potem przyszedł ratunek. Światła znowu zmieniły się na czerwone i do czterech, stojących już przed skrzyżowaniem aut, powoli zwalniając dołączyło piąte. Valerie znalazła się dokładnie na wysokości lewego przedniego okna wozu i zobaczyła, że jadą nim dwie starsze kobiety. Zaciśnęła obie dłonie na krawędzi opuszczonej szyby i wyrzuciła z siebie bez tchu: — Czy mogłyby mnie panie podwieźć? Gdziekolwiek w kierunku Cobb's Marsh. Spóźniłam się na autobus. Proszę! Kobieta za kierownicą pozostała niewzruszona. Chmurnie patrzyła przed siebie, potem pokręciła głową i wcisnęła sprzęgło, jej towarzyszka jednak zawahała się, rzuciła w prawo szybkie spojrzenie, a wreszcie odchyliwszy się do tyłu otworzyła tylne drzwiczki.

6

INTRYG I ŻĄDZE

— Wsiadaj. Szybko. Jedziemy do Holt. Możemy wysadzić cię na skrzyżowaniu.

Valerie wsunęła się do środka i samochód ruszył. Przynajmniej zmierzał we właściwym kierunku; opracowanie planu zajęło jej zaledwie kilka sekund. Od skrzyżowania do ronda znajdującego się na trasie autobusu było zaledwie pół mili — skoro autobus traci przynajmniej dwadzieścia minut na kręty objazd kilku wiosek, będzie miała dość czasu, aby złapać go na ostatnim przystanku przed „Koroną i Kotwicą”.

Kobieta za kierownicą po raz pierwszy przerwała milczenie. — Chyba nie powinnaś podróżować po nocy autostopem — powiedziała. — Czy twoja matka w ogóle wie, że jesteś poza domem, czy ma pojęcie, co robisz? W dzisiejszych czasach rodzice nie mają, jak się zdaje, żadnego wpływu na swoje dzieci.

Głupie stare krówsko, pomyślała Valerie, co ją to obchodzi? Podobnej uwagi nie puściłaby płazem żadnemu nauczycielowi w szkole, teraz jednak ugryzła się w język, żeby nie odpowiedzieć jakimś grubiarstwem, stanowiącym zwykłą reakcję dorastających młodych ludzi na krytycyzm dorosłych. Była skazana na te dwie wapniaczki, więc lepiej ich do siebie nie zrażać. Odparła zatem: — Powinnam była wracać autobusem o dziewiątej czterdzieści. Tata by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że pojechałam autostopem. Zresztą nie wsiadłabym do samochodu z żadnym mężczyzną.

— Mam nadzieję. I twój ojciec ma zupełną rację, będąc kategoryczny w tych sprawach. To niebezpieczne czasy dla młodych kobiet, nawet jeśli by nie grasował Świstun. Gdzie dokładnie mieszkasz?

— W Cobb's Marsh. Ale wujostwo mieszkają w Holt, tuż obok krzyżówki. Wujek pewnie podrzuci mnie do domu, więc jeśli mnie tam panie wysadzą, będę zupełnie bezpieczna. Słowo. Kłamstwo przyszło jej z łatwością i równie łatwo zostało przełknięte; potem w samochodzie nie padło już ani jedno słowo. Valerie siedziała mając przed sobą potylicę dwóch siwych, krótko

ostrzyżonych głów, obserwowała dwie, spoczywające na kierownicy dłonie, pocętkowane plamami starczego pigmentu. Siostry, doszła do wniosku. Kiedy samochód zatrzymał się obok niej, zauważyła, że obie kobiety mają podobne kanciaste czaszki, takie same mocno zarysowane podbródki, identyczne wreszcie niespokojne i gniewne oczy pod wyrazistymi łukami brwi. Przed chwilą się kłóciły, doszła do wniosku; wciąż wyczuwała panujące pomiędzy nimi napięcie. Z ulgą przyjęła moment, gdy samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu — wymamrotała kilka słów podziękowania, nie doczekawszy się odpowiedzi

7

P. D. JAMES

kobiet wysiadła z wozu i patrzyła, jak jego światła pozycyjne giną w mroku.

Przykucnęła, żeby zmienić szpilki na zwykłe trzewiki, które - zgodnie z poleceniem rodziców — zakładała do szkoły, a potem, zadowolona z faktu, że torba stała się znacznie lżejsza, ruszyła w stronę ronda, gdzie zamierzała złapać autobus. Szosę, wąską i nie oświetloną, flankował po prawej stronie rząd drzew — wycinanka z czarnego papieru, naklejona na rozgwieżdżone tło nieba — po lewej zaś, którą szła Valerie, wąska frędzla zarośli i krzaków, chwilami bardzo gęstych i napierających na pobocze. Aż do tej chwili Valerie odczuwała jedynie przemożną ulgę, że wszystko skończy się dobrze, że złapie ten autobus. Teraz jednak, kiedy szła w niesamowitej ciszy, sprawiającej, że kroki brzmiały nienaturalnie głośno, owładnął ją inny, zdradliwszy niepokój i Valerie poczuła pierwsze ukłucia strachu. Wystarczyło, by go rozpoznała i ugięła się przed jego podstępą mocą, a zaatakował frontalnie, przemieniając się w zgrozę.

Nadjeżdżał samochód, symbol bezpieczeństwa i normalności a zarazem kolejne zagrożenie.

Wszyscy wiedzieli, że Świstun musi mieć. wóz — jakże bowiem mógłby zabijać w tak od siebie odległych częściach hrabstwa i umykać po dokonaniu okropnego dzieła? Cofnęła się pod osłonę krzaków, wymieniając jeden strach na inny. Spotężniał szum silnika, w blasku reflektorów zaśniły kocie oczy* i Valerie znów została sam na sam z ciemnością i ciszą. Czy naprawdę? Myśl o Świstunie wyparła z jej mózgu wszystko inne, pogłoski i półprawdy zlały się w przerażającą rzeczywistość. Dusił kobiety, dotąd zamordował trzy. Potem obcinał im włosy i wpychał je do ust ofiar, skąd sterczały jak słoma z pękającej w ogniu kukły Guya Fawkesa**. Chłopcy ze szkoły stroili sobie żarty, gwizdząc w szopach nad leżącymi rowerami, bo podobno tak właśnie gwizdał nad ciałami zamordowanych kobiet — i krzyczeli do dziewcząt: „Świstun was dopadnie!” Mógł być wszędzie. Zawsze polował nocą. Mógł być nawet tutaj. Valerie doznała nagłej pokusy, by rzucić się na ziemię, przycisnąć ciało do miękkiej aromatycznej trawy, zakryć dłońmi uszy i leżąc nieruchomo doczekać świtu. Zdołała jednak opanować panikę — musiała dojść do skrzyżowania i złapać autobus. Zmusiła się do wyjścia z kryjówki i podjęła swój niemal bezgłośny marsz.

* Wypukłe odbłaskowe soczewki, stosowane w Anglii do oznaczania dróg (przyp. tłum.).

** Kukły Guya Fawkesa pali się w Anglii w święto 5 listopada (Guy Fawkes Day), które upamiętnia udaremnienie zbrodniczego planu wysadzenia w powietrze w roku 1605 parlamentu i króla Jerzego I (przyp. tłum.).

8

INTRYG I ŻĄDZE

Wolałaby biec, ale oparła się tej chęci. Morderca — człowiek czy bestia — przyczajony w gęszczu pochwyił już zapach jej lęku i czeka tylko, aż ulegnie panice. Wówczas usłyszy trzask łamanych gałęzi, tupot nóg i poczuje na karku jego gorące sapanie. Musi więc iść szybko lecz cicho, mocno przyciskając torbę do boku i patrząc tylko przed siebie. Idąc, modliła się bezgłośnie: „Błagam, Boże, pozwól mi wrócić bezpiecznie do domu, a nigdy już nie skłamię. Zawsze będę wracać punktualnie. Pomóż mi dojść bezpiecznie do skrzyżowania. Spraw, żeby autobus nadjechał jak najszybciej. Och, Boże, błagam, pomóż mi”.

A potem, w cudowny sposób, jej modlitwa została wysłuchana. Nagle, w odległości jakichś trzydziestu jardów przed Valerie, pojawiła się kobieta. Valerie nie zawracała sobie głowy pytaniem, skąd — tak tajemniczo — zmaterializowała się ta smukła, krocząca niespiesznie sylwetka. Dość, że tam była. Kiedy przyspieszywszy kroku Valerie podeszła bliżej, spostrzegła coś, co wyglądało jak przewiązany paskiem trencz, a wyżej falę jasnych włosów, wypływających spod naciągniętego na

głową beretu. Widokiem jednak najbardziej krzepiącym był posłusznie biegnący u boku kobiety, nieduży, czarno-biały krzywołapy piesek. Dojdziemy razem do skrzyżowania, pomyślała Valerie. Może ona też chce złapać ten autobus. Niemal krzyknęła w głos: „Już idę, już idę!” i ruszyła biegiem, jak dziecko, szukające opieki i bezpieczeństwa w ramionach matki.

Kobieta pochylała się i spuściła ze smyczy psa, który — jakby wypełniając rzucony szeptem rozkaz — natychmiast wślizgnął się w zarośla. Kobieta rzuciła jedno szybkie spojrzenie przez ramię, a potem — ze smyczą w ręce — czekała spokojnie, zwrócona ukosem do nadbiegającej Valerie. Valerie omal nie wylądowała jej na plecach. Wówczas, bardzo powoli, kobieta odwróciła się. Przez jedną sekundę dziewczyna doświadczyła absolutnej, paraliżującej grozy. Dostrzegła bladą, ściągniętą twarz, która nigdy nie była twarzą kobiety, otwarty, zachęcający a jednocześnie niemal zakłopotany uśmiech i rozjarzone bezlitosne oczy. Rozchyliła usta do krzyku, ale przerażenie odebrało jej głos. Wystarczył jeden płynny ruch, by pętla ze smyczy znalazła się na szyi Valerie, zacisnęła i szarpnęła dziewczynę z pobocza w nieprzenikniony mrok krzaków. Valerie czuła, że spada w otchłań czasu, przestrzeni i wiecznej grozy. Teraz gorąca twarz mordercy była tuż przy jej twarzy, czuła odór alkoholu, potu i strachu wcale nie mniejszego niż jej strach. Bezsilnie wyrzuciła przed siebie ramiona. Jej mózg rozlatywał się w miliony cząsteczek,

9

P. D. JAMES

a ból w piersiach, rozrastający się jak ogromny czerwony kwiat, eksplodował wreszcie niemym rozdzierającym krzykiem: „Mamo! Mamo!” Potem nie było już bólu ani przerażenia — pozostał tylko litościwy mrok.

2

Cztery dni później komendant Adam Dalgliesh z Nowego Scotland Yardu podyktował sekretarce ostatnią notatkę, oczyścił tacę z korespondencji, zamknął na klucz szufladę biurka, ustawił szyfr sejfu i był prawie gotów do wyjazdu na dwutygodniowe wakacje w Norfolk. Należały mu się od dawna i rzeczywiście ich potrzebował. Charakter wyjazdu nie był jednak wyłącznie rekreacyjny — w Norfolk czekały sprawy, którymi należało się zająć. Ciotka, ostatnia pozostała dotąd przy życiu krewna Dalgliesha, zmarła dwa miesiące temu, zapisując mu cały swój majątek oraz zaadaptowany do celów mieszkalnych wiatrak w Larksoken, na północno-wschodnim wybrzeżu Norfolk. Majątek okazał się nadspodziewanie duży i niósł ze sobą sporo — nie rozstrzygniętych na razie — problemów. To samo zresztą można by rzec o wiatraku, choć związane z nim dylematy były znacznie mniej uciążliwe. Dalgliesh żywił przekonanie, że powinien pomieszkać w nim samotnie przez tydzień lub dwa i dopiero wówczas podjąć decyzję, czy zachowa go na okazjonalne wakacje, sprzeda, czy też przekaze po cenie nominalnej Norfolkkiej Fundacji Ochrony Wiatraków, zawsze — jak wiedział — skłonnej przywracać starym wiatrakom ich podstawową funkcję. Poza tym należało przejrzeć i uporządkować dokumenty rodzinne oraz książki ciotki, w szczególności obszerny zbiór prac poświęconych ornitologii, a następnie postanowić o ich losie. Były to jednak powinności przyjemne. Już jako chłopak Dalgliesh lubił przydawać celowości swoim wakacyjnym eskapadom, chociaż nie miał pojęcia, z jakich to dziecięcych przewin bądź urojonych odpowiedzialności wyrósł ten osobliwy masochizm, który w wieku dojrzałym powrócił ze zdwojoną mocą. Myślał jednak z zadowoleniem o czekających go w Norfolk zadaniach, przy czym wcale nie najmniejszym źródłem tego zadowolenia była świadomość, iż cała podróż ma w sobie coś z ucieczki. Po czterech latach milczenia Dalgliesh opublikował oto kolejny tom poezji, Sprawa do rozstrzyg-

10

INTRYG I ŻĄDZE

nięcia i inne wiersze, który spotkał się z życzliwym przyjęciem krytyki, co sprawiło mu zaskakującą przyjemność, oraz jeszcze życzliwszym — czytelników, co z kolei, rzecz znacznie mniej zaskakująca, wprawiło go w niejaki zakłopotanie. Po kilku głośniejszych dochodzeniach Dalgliesha, wysiłki wydziału prasowego Policji Metropolitalnej dotyczyły raczej tego, by go osłonić przed zbytnim zainteresowaniem opinii publicznej; potrzebował więc czasu, by się z tym wszystkim oswoić, toteż był rad, mogąc umknąć chociaż na parę tygodni na odludzie.

Z inspektor Kate Miskin, zajęta akurat śledztwem, pożegnał się już wcześniej. Nadinspektor Massingham został oddelegowany na zaoczny kurs dowodzenia w policyjnej uczelni w Bramshill — był to kolejny krok w starannie zaplanowanej wspinaczce po galony naczelnika — i jego funkcję zastępcy komendanta Brygady Specjalnej czasowo pełniła właśnie Kate. Dalgliesh poszedł do jej gabinetu, by zostawić notatkę ze swoim wakacyjnym adresem. Biuro Kate było, jak zwykle, imponująco czyste, spartańsko funkcjonalne, a zarazem kobiece: ściany ożywiał jeden z własnych olei Kate, który z wizyty na wizytę podobał się Dalglieshowi bardziej: studium w wirujących brązach, ciachnięte jadowicie zieloną krechę, która dodawała całości wyrazu. Na uporządkowanym blacie biurka w małym szklanym wazoniku stał bukiet frezji. Ich zapach, ulotny zrazu, nagle z całą mocą zaatakował nozdrza Dalgliesha, który nie po raz pierwszy doświadczył tego osobliwego wrażenia, że fizyczna obecność Kate manifestuje się najsilniej właśnie wtedy, gdy jej gabinet jest pusty. Skrętnie położył notatkę na środku czystego bibularza i z niepotrzebną, jak uznał, delikatnością zamknął za sobą drzwi. Potem wsunął jeszcze głowę do gabinetu podkomisarza, rzucił słówko pożegnania i ruszył w stronę wind.

Drzwi zamykały się już, gdy usłyszał tupot biegnących stóp i wesoły okrzyk; do windy, unikając ukąszenia zwierających się stalowych szczęk, wskoczył Manny Cummings. Jak zwykle, zdawał się stanowić samo centrum miniaturowego tornada prawie namacalnej energii o ładunku zbyt potężnym, by mogły je zniewolić cztery ścianki windy. Manny wymachiwał dużą szarą kopertą. — Cieszę się, że cię jeszcze złapałem, Adamie. Uciekasz do Norfolk, prawda? Jeśli tamtejszy Wydział Kryminalny dostanie w łapy Świstuna, przyjrzyj mu się, dobra? Sprawdź, czy przypadkiem nie jest tym naszym facetem z Battersea.

— Dusicielem z Battersea? Czy to możliwe, biorąc pod uwagę rozkład morderstw w czasie i MO*?

* MO — modus operandi, czyli sposób działania przestępcy (przyp. tłum.)

ii

P. D. JAMES

— Mało prawdopodobne, ale, jak wiesz, Wujaszek nigdy nie jest zadowolony, dopóki nie przewrócimy każdego kamienia i nie zbadamy każdego tropu. Na wszelki wypadek przygotowałem ci wyciąg z materiałów i portret pamięciowy. I dałem Rickardowskiemu cynk, że wejdiesz na jego teren. Pamiętasz Terry'ego Rickardsa?

— Pamiętam.

— Jest teraz nadinspektorem. W Norfolk zupełnie dobrze daje sobie radę; gdyby został u nas, pewnie by się tak nie wybił. Słyszałem, że się ożenił, więc może trochę złagodniał. Dziwny egzemplarz.

— Będę na jego terenie — odparł Dalgliesh — ale, dzięki Bogu, nie będę w jego ekipie. No i niby dlaczego miałbym cię pozbawiać wycieczki na wieś, gdyby dostali tego Świstuna.

— Nie znoszę wsi, a wręcz brzydzę się nizinami. Tylko pomyśl o funduszach publicznych, które zaoszczędzimy przy takim układzie. Przyjadę, jeśli będzie po co przyjeżdżać. To ładnie z twojej strony, że się zgadzasz, Adamie. Miłego urlopu.

Tylko Cummings mógł mieć podobną czelność. Jego prośba była jednak zupełnie sensowna: przedstawił ją koledze starszemu od siebie zaledwie o kilka miesięcy, po drugie zaś człowiekowi, który był gorącym rzecznikiem wszelkiej współpracy i rozsądnej gospodarki środkami finansowymi. Poza tym Dalgliesh pomyślał, że konieczność nawet pobieżnego przyjrzenia się Świstunowi, słynnemu wielokrotnemu mordercy z Norfolk, jest w istocie mało prawdopodobna. Świstun działał od piętnastu miesięcy, a jego ostatnia ofiara, Valerie Mitchell, była czwartą z kolei. Podobne sprawy były nieodmiennie trudne, czasochłonne i frustrujące, ich rozwiązanie zaś częściej, co znajdowało potwierdzenie w wielu przypadkach, zależało od szczęścia niż dobrej roboty śledczej. Schodząc po rampie na podziemny parking, Dalgliesh spojrzął na zegarek. Za trzy kwadransy będzie w drodze. Najpierw jednak musi załatwić to i owo ze swoim wydawcą.

3

Winda w wydawnictwie Herne & Illingworthi przy Bedford Square, równie antyczna, jak obsługiwany przez nią gmach, była pomnikiem zarówno niegdysiejszej elegancji, jak i z lekka ekscentrycznej ociężałości, pod której osłoną jednak kryła się wcale nowoczesna

INTRYGI I ŻĄDZE

przebojowość. Niesiony w górę serią irytujących poszarpywari, Dalglish pomyślał, że sukces, jakkolwiek bez wątpienia łatwiejszy do zaakceptowania niżli porażka, wiąże się nierozdzielnie z bardzo konkretnymi kłopotami. Jeden z nich, w osobie kierownika reklamy, Billa Costello, czekał nań w przyprawiającym o klaustrofobię gabinecie na czwartym piętrze.

Przełom w poetyckiej fortunie Dalglisha zbiegł się ze zmianami w jego macierzystej firmie wydawniczej. Panowie Herne i Illingworth wciąż istnieli pod postacią swych nazwisk, drukowanych lub tłoczonych na okładkach książek pod bardzo starym i wytwornym znakiem wydawnictwa, sama firma jednak stała się obecnie częstką wielonarodowej korporacji, która dodała literaturę do konserw, cukru i tekstyliów. Sędziwy Sebastian Herne sprzedał jedną z ostatnich w Londynie niezależnych oficyn wydawniczych za osiem i pół miliona funtów, poślubił niezwykle urodziwą pracownicę działu reklamy i trzy miesiące później zmarł, żegnany bez wielkiego żalu, ale za to sporą porcją rubasznych komentarzy. Przez całe swoje życie Sebastian Herne był ostrożnym i bardzo konserwatywnym człowiekiem, który rezerwował ekscentryczność, wyobraźnię i sporadyczne ryzykanctwo dla działalności wydawniczej. Przez trzydzieści lat wiódł żywot wiernego i nudnego męża; jeżeli, pomyślał Dalglish, przez siedemdziesiąt lat mężczyzna okazuje konwencjom prawie całkowite posłuszeństwo, to jedynie dlatego, iż takie postępowanie jest zgodne z wymogami jego natury. Przyczyną zgonu Herne'a było w mniejszym stopniu wyczerpanie seksualne — jeśli nawet, jak skłonni są wierzyć purytanie, jest to możliwe z medycznego punktu widzenia — w większym natomiast samo zetknięcie się ze współczesną obyczajowością seksualną. Nowe kierownictwo lansowało poetów z wielką energią, uważając, być może, tomiki wierszy za ceną przeciwwagę dla wulgarnych, półpornograficznych bestsellerowych powieści, które zresztą wydawano z niezwykłą starannością a nawet pietyzmem, jak gdyby elegancja obwolut i jakość druku mogły podnieść wysoce komercyjny banał do rangi prawdziwej literatury. Bill Costello, mianowany w ubiegłym roku na stanowisko kierownika działu reklamy, nie widział powodów, dla których wydawnictwo Faber & Faber miałoby mieć monopol na oryginalne edycje poezji, i zdołał narobić sporo hałasu wokół związanych z firmą twórców, chociaż, jak mówiono po kątach, osobiście nie przeczytał ani jednej linijki współczesnego wiersza. Poezją jako taką interesował się tylko o tyle, o ile wynikało to z obowiązków prezesa Klubu McGonagalla, którego członkowie w pierwszy wtorek każdego

P. D. JAMES

miesiąca spotykali się w jednym z pubów City, delektowali się specjalnością szefowej, puddingiem z nerczkami i wołowiną, pochłaniali imponującą ilość alkoholu i recytowali co celniej sze wyminki z dorobku przypuszczalnie najgorszego poety w dziejach Brytanii. Kolega po piórze przedstawił kiedyś Dalglishowi swoją własną interpretację tego zjawiska: — Biedak czyta z obowiązku tak wiele bezsensownych współczesnych wycopin, że nic dziwnego, iż od czasu do czasu chce sobie zaaplikować dawkę czegoś co prawda bzdurnego, ale przynajmniej zrozumiałego. Przypomina wiernego męża, który niekiedy wyładowuje się terapeutycznie w lokalnym burdelu.

Teorię tę Dalglish uznał za pomysłową, lecz mało prawdopodobną; nie było żadnych dowodów na to, że Costello choćby przegląda wiersze, które lansuje z takim zapalem.

Bill Costello powitał najnowszego kandydata do szerokiej popularności z mieszaniną urzędowej pogody ducha i lekkiego niepokoju, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że ten autor może mu sprawić jakieś kłopoty. Jego drobna i dość melancholijna twarzyczka stanowiła osobliwy dysonans przy falstaffowskiej figurze. Główny problem Billa Costello polegał najwyraźniej na tym, czy nosić pasek poniżej czy też powyżej wydatnego brzucha. Wedle powszechnej opinii pasek powyżej brzucha znamionował optymizm, poniżej zaś — depresję. Dziś tkwił w dolnej strefie stanów niskich, świadcząc o pesymizmie, którego zasadność zyskała w przebiegu rozmowy pełne potwierdzenie. Na koniec Dalglish oświadczył stanowczo: — Nie, Bill, nie skoczę ze spadochronem na Stadion Wembley, trzymając książkę w jednej dłoni, a mikrofon w drugiej. Nie

stanę również do zawodów ze spikerem dworca Waterloo, wykrzykując swoje wiersze do pasażerów. Te biedaki chcą tylko zdażyć na pociąg.

— To już robiono. To są stare numery. No i, oczywiście, bzdura z tym Wembley. Nie, posłuchaj, nasz pomysł jest naprawdę rajcowny. Rozmawiałem już z Colinem McKay, jest pełen entuzjazmu. Wynajmujemy piętrowy czerwony autobus i ruszamy w trasę po kraju. To znaczy, po takiej części kraju, jaką zdołamy obskoczyć w dziesięć dni. Powiem Clare, żeby pokazała ci pierwszy projekt i rozkład jazdy.

— Autobus jak z kampanii wyborczej — powiedział ponuro Dalgliesh. — Plakaty, transparenty, głośniki, balony.

— Nie ma sensu ładować się w całą sprawę, jeśli ludzie nie będą wiedzieć, że przyjeżdżamy.

— Nie martw się, będą wiedzieć, jeśli pojedzie w tę trasę Colin. Jak zamierzasz utrzymać go w abstynencji?

— To doskonały poeta, Adamie. I twój wielki wielbiciel.

14

INTRYG I ŻĄDZE

— Co wcale nie znaczy, że chciałby mnie mieć w charakterze towarzysza podróży. Jak chcesz nazwać cały ten cyrk? Pielgrzymka Poetów? Chaucerowscy Wędrowcy? Wiersze na Kółkach? Autobus Pełen Poezji? To ostatnie zaleca się prostotą.

— Coś tam wymyślimy. Osobiście optowałbym za Pielgrzymką Poetów.

— Postoje?

— W remizach, świetlicach wiejskich, szkołach, pubach, przydrożnych kafeteriach, wszędzie, gdzie jest jakakolwiek publiczność. To naprawdę zapowiada się ekscytująco. Myśleliśmy o wynajęciu pociągu, ale autobus jest znacznie bardziej mobilny.

— No i tańszy.

Costello zignorował przymówkę. — Poeci na górze — oznajmił — a na dole drinki i zakąski. Recytacje z drzwi. Ogólnokrajowa akcja reklamowa, radio i telewizja. Ruszamy z Embankment. Jest szansa na Kanał Czwarty i, oczywiście, Kalejdoskop. Liczymy na ciebie, Adamie.

— Nie — odrzekł Dalgliesh stanowczo. — Nie kupisz mnie nawet balonami.

— Na rany Chrystusa, Adamie, piszesz te kawałki. Więc przypuszczalnie chcesz, żeby ludzie je czytali... albo przynajmniej kupowali. Po ostatniej sprawie, wiesz, morderstwie Berowne'a, istnieje olbrzymie zainteresowanie opinii publicznej twoją osobą.

— Mówisz teraz o zainteresowaniu poetą, który łapie morderców czy też policjantem, który pisuje wiersze, a nie zainteresowaniu samymi wierszami.

— Co to ma za znaczenie, dopóki ludziska się interesują? I tylko mi nie mów, że komisarz byłby zde gustowany. To stara wymówka.

— W porządku, nie powiem, ale byłby.

No i w końcu nie miałby nic nowego do powiedzenia na takiej imprezie. Słyszał te same pytania niezliczoną ilość razy i czynił wszystko, by uczciwie — choć bez entuzjazmu — udzielić na nie odpowiedzi. „Dlaczego poeta o takiej wrażliwości, jak pańska, spędza życie na chwytaniu morderców?” „Co jest dla pana ważniejsze: poezja czy praca w policji?” „Czy poezjowanie pomaga czy też przeszkadza w wykonywaniu zawodu detektywa?” „Dlaczego tak doskonały detektyw pisuje wiersze?” „Jaka była pańska najciekawsza sprawa, panie komendancie? Czy kiedykolwiek miał pan ochotę napisać o niej wiersz?” „Liryka miłosna... czy kobieta, do której ją pan adresuje, wciąż żyje, czy też umarła?”. Dalgliesh zastanawiał się, czy Philipowi Larkinowi zwracano głowę pytaniem, jak się czuje, będąc zarazem

15

P. D. JAMES

bibliotekarzem i poetą, czy żądano od Roya Fullera wyjaśnień, w jaki sposób godzi pisanie wierszy z karierą prawniczą.

Dodał więc: — Wszystkie pytania są zupełnie przewidywalne. Znacznie ułatwilibyśmy sobie życie, gdybym po prostu nagrał na taśmę pełny zestaw odpowiedzi — potem puszczałbyś je przez megafon.

— To nie będzie to samo. Ludzie chcą się z tobą spotykać osobiście. Jeśli nie pojedziesz, dojdą do wniosku, że nie zależy ci, by czytano twoje utwory.

Czy właściwie chciał, by go czytano? Zapewne, chciał, by czytały jego wiersze niektóre osoby, szczególnie jedna... i by aprobowała te, które przeczyta. Poniżające, lecz prawdziwe. A co do reszty świata? Sądził, że w gruncie rzeczy zależy mu na czytelnikach, przy czym jednak nie chciał, by ludzie kupowali jego książki pod jakimkolwiek przymusem. Nie mógł się, oczywiście, spodziewać, że ten wielkopański punkt widzenia podzieli z nim wydawca. Czuł na sobie niespokojne, błagalne spojrzenie Billa — czy chłopca, pomyślał, który widzi, że z ustawionej o wyciągnięcie ręki tacy znikają raptownie ostatnie łakocie. Swą niechęć do współpracy traktował jako coś niezmiernie typowego dla tych wszystkich cech, których w sobie nie lubił. Była, z pewnością, jakaś nielogiczność w fakcie, że chciał, by publikowano jego utwory, a jednocześnie pozostawał prawie obojętny na to, czy znajdują nabywców. Niechęć do bardziej publicznych manifestacji sławy nie oznaczała wcale, że jest wolny od próżności, lecz że potrafi nad swą próżnością nieźle panować i że przybiera ona w jego wypadku kształt nader powściągliwy. W końcu miał pracę, zapewnioną emeryturę, a teraz nadto znaczną fortunę po ciotce. Nie musiał się przejmować. Uważał się za człowieka bezzasadnie uprzywilejowanego w porównaniu z takim Colinem McKayem, który, ze swej strony, przypuszczalnie uważał go — i któż mógłby to mieć Colinowi za złe? — za snobistycznego, nadwrażliwego dyletanta.

Był wdzięczny opatrności, gdy otworzyły się drzwi i do gabinetu dziarsko wkroczyła redaktorka działu książek kucharskich, Nora Gurney; jak zwykle przywiodła mu na myśl obdarzonego intelektem owada, któremu to wrażeniu dodawały mocy jej jasne wylupiate oczy za okrągłymi szklami wielkich okularów, bardzo luźny brunatny sweter i płaskie trzewiki o spiczastych czubkach. Kiedy Dalgliesh widział ją po raz pierwszy, wyglądała dokładnie tak samo.

Nora Gurney stała się potęgą w brytyjskim ruchu wydawniczym dzięki swej długowieczności (nikt nie pamiętał, kiedy podjęła pracę u Herne'a i Illingwortha), a także niewzruszonemu przekonaniu, że

Ib

INTRYG I ŻĄDZE

uprzywilejowana pozycja należy się jej w sposób jak najbardziej naturalny. Było wielce prawdopodobne, że będzie się nią cieszyć i pod nowym kierownictwem. Dalgliesh poznał ją trzy miesiące temu na jednym z przyjęć, wydawanych przez oficynę od czasu do czasu chyba tylko po to — jak przypuszczał — aby przekonać autorów, że skoro jedzą takie same kanapki, jak przed laty, i piją takie same wino, mają wciąż do czynienia z tą samą zacną firmą, która ciągle miewa się dobrze. Lista gości zawierała głównie nazwiska najbardziej prestiżowych autorów ze wszystkich podstawowych dziedzin i zasada ta pogłębiała jeszcze bardziej ogólną atmosferę chaosu i sekciarskiego skrępowania: poeci pili za dużo i, ulegając dyktatowi swojej lirycznej natury, zaczęli okazywać skłonności łzawo-romansowe; powieściopisarze skupili się w kącie jak krnąbrne psy, którym zakazano gryźć; akademicy, ignorując gospodarzy i pozostałych gości, perorowali ze swadą we własnym gronie, autorzy książek kulinarnych, mając na twarzach wyraz niesmaku, bolesnego zaskoczenia czy też pobłażliwego zainteresowania, odkładali ledwo napoczęte kanapki na najbliższym skrawku twardej powierzchni.

Dalgliesh został przyparty w kącie przez Norę Gurney, która pragnęła przedyskutować praktyczne walory opracowanej przez nią teorii: Skoro każdy zestaw odcisków palców jest niepowtarzalny, to czy nie można by zebrać odcisków od całej populacji kraju, wpisać danych w komputer, a następnie ustalić metodą badawczą związków pomiędzy pewnymi liniami i spiralami a skłonnościami przestępczymi niektórych osób? W ten sposób akcent zostałby przeniesiony z „leczenia” na „profilaktykę”. Dalgliesh podkreślił, że skoro skłonności przestępcze mają charakter powszechny — o czym świadczą chociażby miejsca, w jakich uczestnicy przyjęcia zaparkowali swoje auta — wartość poznawcza danych będzie czysto iluzoryczna; dochodzą do tego logistyczne i etyczne problemy pobierania na skalę masową odcisków palców, a poza tym zniechęcający fakt, że zbrodnię, jeśli uznamy zasadność porównywania jej do choroby, zdecydowanie łatwiej zdiagnozować, niżli wyleczyć. Nieomal z ulgą przyjął pojawienie się pewnej groźnie wyglądającej

powieściopisarki — w obcisłym dwuczęściowym kostiumie z jaskrawego kretonu przypominała chodzącą sofę — która uniosła go ze sobą, wyciągnęła z przepastej torebki dwa zmięte mandaty za parkowanie i zapytała, co — zdaniem Dalgliesha — powinna z nimi zrobić.

Oferta kulinarna oficyny Herne & Illingworth była niewielka, ale mocna; najlepsi autorzy mieli ugruntowaną opinię wiarogodnych, oryginalnych i dobrze piszących. Panna Gurney, namiętnie oddana

2 Intrygi i żądze

17

P. D. JAMES

swojej pracy i autorom, uważała prozę i poezję za irytujący, jakkolwiek niezbędny, dodatek do podstawowej działalności firmy — hołubienia i publikowania jej pieszczochów. Chodziły słuchy, że osobiście ma do pichcenia stosunek obojętny, co stanowiło kolejne potwierdzenie silnego przeświadczenia Brytyjczyków — dość powszechnego w bardziej wyrafinowanych choć nie bardziej przez to użytecznych sferach ludzkiej działalności — iż nic tak fatalnie nie wpływa na sukces, jak znajomość przedmiotu. Nie zdziwiło zatem Dalgliesha, że jego pojawienie się na przyjęciu uznała za fortunny zbieg okoliczności, misję zaś przekazania korekty pani Alice Mair — za uświęcony niemal przywilej. Oświadczyła: — Przypuszczam, że został pan wezwany, aby pomóc w ujęciu Świstuna.

— Nie. Jest to, stwierdzam z ulgą, powinność tamtejszego Wydziału Kryminalnego. Scotland Yard wzywany jest znacznie częściej w literaturze i filmie niż w prawdziwym życiu.

— Pański wyjazd do Norfolk, jakiegokolwiek byłyby jego powody, jest mi jednak bardzo na rękę. Wolałabym nie powierzać poczcie tych szczołek. Sądziłam jednak, że pańska ciotka mieszka w Suffolk... No i z pewnością ktoś mi mówił, że panna Dalgliesh zmarła.

— Istotnie, mieszkała w Suffolk, ale pięć lat temu przeniosła się do Norfolk. I, tak, ostatnio zmarła.

— Ach, cóż, Suffolk czy Norfolk, jakaż to różnica. Wyrazy współczucia. — Przez moment miała taką minę, jakby kontemplowała problem ludzkiej śmiertelności i porównywała dwa wzmiankowane hrabstwa, dochodząc do jednako dla obu niepocholebnych wniosków, a potem powiedziała: — Jeśli nie zastanie pan w domu panny Mair, nie położy pan chyba tych korekt pod drzwiami? Wiem, że ludzie z prowincji są niezwykle ufni, lecz utrata powierzonych panu materiałów miałyby katastrofalne następstwa. Pod nieobecność Alice może pan zastać w domu jej brata, Aiexa. Jest dyrektorem elektrowni atomowej w Larksoken. Choć, po głębszym namyśle, dochodzę do wniosku, że jednak nie powinien pan oddawać mu przesyłki. Mężczyźni bywają tak niesolidni.

Dalgliesha kusilo, aby powiedzieć, że jeden z najwybitniejszych fizyków kraju, człowiek odpowiedzialny za elektrownię atomową i, jeśli wierzyć prasie, kandydat na nowo stworzone stanowisko szefa całej energetyki jądrowej, jest przypuszczalnie dość wiarogodnym odbiorcą paczki zadrukowanych kartek, ale pohamował się i odparł: — Jeśli zastanę pannę Mair w domu, przekażę jej korektę osobiście. Jeśli jej nie zastanę, przetrzymam materiały, dopóki się nie zjawi.

— Powiadomiłam ją telefonicznie, będzie więc pana oczekiwać.

INTRYG I ŻĄDZE

Adres wypisałam bardzo czytelnie: Chata Męczennicy. Spodziewam się, że wie pan, jak tam trafić.

— Potrafi korzystać z mapy — wtrącił kwaśno Costello. — Jest policjantem, pamiętaj.

Dalgliesh oświadczył, że wie, gdzie jest Chata Męczennicy i że chociaż nie zna panny Mair, miał okazję poznać jej brata, Alexandra. Ciotka wiodła wprawdzie życie samotne, lecz jest zupełnie nieuniknione, iż mieszkańcy skąpo zaludnionych, odległych terenów stopniowo poznają się nawzajem; chociaż w chwili śmierci panny Dalgliesh Alice Mair przebywała poza domem, jej brat odwiedził wiatrak, aby złożyć formalne kondolencje.

Przejął paczkę — nadspodziewanie wielką i ciężką, a poza tym groźnie pociętą pajęczyną umocnień z taśmy samoprzylepnej — i powoli zjechał windą do podziemi, skąd przeszedł na niewielki parking wydawnictwa, gdzie zostawił swojego jaguara.

4

Wywikławszy się z macek wschodnich przedmieść Londynu, Dalglish rozwijał dobre tempo i już o trzeciej jechał przez wioskę Lydsett. Tu skręcił w prawo, porzucając szosę nabrzeżną na rzecz wąziutkiego, pokrytego gładkim asfaltem szlaku; flankowały go rowy z wodą, zarosłe złocistą gęstwą trzciny, których stłoczone palki pochylały się na wietrze. Dopiero teraz po raz pierwszy odniósł wrażenie, iż czuje zapach Morza Północnego, ów mocny, lecz na poły iluzoryczny aromat, wywołujący nostalgiczne wspomnienia dziecięcych wakacji, młodzieńczych przechadzek, podczas których borykał się z pierwszymi wierszami, a wreszcie wysokiej postaci idącej u jego boku ciotki, która z lornetką zawieszoną na szyi dziarsko zmierzała ku siedliskom swych ukochanych ptaków. A oto i przegradzająca drogę dobrze znajoma wiejska brama... Jej trwała obecność każdorazowo była dla Dalglisha zaskoczeniem, albowiem nie potrafił jej przypisać żadnej funkcji, prócz czysto symbolicznej: odgradzała przylądek od reszty świata i dawała podróżnym chwilę do namysłu, czy istotnie chcą kontynuować wędrówkę. Rozchyliła się przy lekkim dotknięciu, jej zamknięcie jednak było, jak zawsze, sprawą znacznie trudniejszą — na poły ciągnąc rozchwierutaną konstrukcję, na poły niosąc, Dalglish

19

P. D. JAMES

ustawił ją wreszcie na miejscu i unieruchomił założoną na słupki drucianą pętlą, mając przy tym znajome uczucie, że odwraca się oto plecami od świata codziennych spraw i wkracza do krainy, która bez względu na częstotliwość wizyt będzie dlań zawsze terenem obcym.

Jechał teraz przez zupełnie otwartą część przylądka, kierując się w stronę wstęgi sosen, rosnących wzdłuż morza. Jedynym budynkiem w polu widzenia była wznosząca się po lewej stronie stara wiktoriańska plebania z czerwonej cegły, jakoś nie na miejscu za rozbuchanym żywopłotem z rododendronów i laurów. Po prawej stronie grunt z lekka się podnosił, ucięty dalej południowymi klifami. Dalglish dostrzegł ciemną paszczkę betonowego schronu, nie rozebranej do dziś pozostałości z czasów wojny, budowli równie, z pozoru, niezniszczalnej, jak pograżone w piasku plaży, bezskutecznie chłostane falami szczątki dawnych fortyfikacji. Na północy, mając w tle pomarszczony błękit morza, złościście skrzyły się w słońcu murszejące arkady i kikuty zrujnowanego opactwa benedyktynów.

Pokonawszy wierzchołek niewielkiego wzniesienia, Dalglish po raz pierwszy dostrzegł górne skrzydło Wiatraka Larksoken, a za nim, na horyzoncie, olbrzymi szary masyw elektrowni atomowej. Droga, którą jechał, odbijała w lewo i prowadziła do elektrowni, ale — jak się zorientował — korzystano z niej rzadko, skoro cały ruch, przede wszystkim ciężki transport, odbywał się od północy, nową arterią dojazdową. Przylądek był pusty i prawie jałowy; nieliczne, rozrzucone tu i ówdzie drzewa o sylwetkach zdeformowanych przez wichry, kurczowo wczepiały się korzeniami w niepodatną glebę. Mijając drugi, nieco bardziej zniszczony schron, Dalglish doznał nagle uderzającego wrażenia, że cały przylądek ma ów opuszczony wygląd dawnego pobojuwiska — pogrzebano już wprawdzie zwłoki, ale w powietrzu wciąż pobrzmiwa echo kanonad, elektrownia zaś piętrzy się nad polem bitwy jak imponujący i nowoczesny pomnik nieznanego żołnierza.

Kiedy podczas dawniejszych wizyt u ciotki omiatał wzrokiem przylądek z wysokości maleńkiej izdebki pod spiczastym dachem wiatraka, widywał w dole Chatę Męczennicy, ani razu jednak nie podszedł do niej blisko. Teraz, gdy zboczywszy w drogę dojazdową, dostrzegł w całej okazałości solidny piętrowy budynek o kształcie litery L, pomyślał, że określenie „chata” niezbyt do niego pasuje. Zbudowany po części z kamienia, po części z cienko otynkowanej cegły, kończył się wybrukowanym dziedzińcem, za którym — w czym nie przeszkadzał pięćdziesięciojardowy pas niskich zarośli — widać było wydmy i morze. Pomruk zajeżdżającego wozu nie wywabił z domu

INTRYG I ŻĄDZE

nikogo, Dalglish zatem sięgnął dłonią do dzwonka, ale powstrzymał się z naciśnięciem guziczka, aby odczytać słowa, wypisane na kamiennej tablicy, osadzonej w krzemieniu na prawo od drzwi.

W chacie, stojącej na tej posesji,

mieszkała protestancka męczennica, Agnes Pooley,
spalona w Ipswich piętnastego sierpnia 1557.

Miała trzydzieści dwa lata.

Eklezjastes, Rozdział 3, Wiersz 15

Litery były głęboko ryte i eleganckie, tablica nie miała żadnych ozdób; Dalgliesh przypomniał sobie opowieść ciotki, że wmurowali ją pod koniec lat dwudziestych poprzedni właściciele, podczas rozbudowy domu. Jedną z korzyści edukacji religijnej jest umiejętność identyfikowania przynajmniej najbardziej znanych fragmentów Pisma — ten, Dalgliesh przypomniał sobie bez żadnych problemów. Jako dziewięcioletni rozrabiaka otrzymał kiedyś od wychowawcy szkolnego, zwanego Wypryskiem, polecenie przepisania najpiękniejszym, na jakie go stać, kaligraficznym pismem całego trzeciego rozdziału Eklezjasty; stary zacny Wyprysk, ekonomiczny tak w tej, jak wszystkich innych kwestiach, hołdował zasadzie, że przepisywanie powinno z funkcją karną łączyć elementy edukacji religijnej i literackiej. Słowa, wypisane wtedy okrągłym dziecięcym pismem, pozostały w pamięci Dalgliesha na zawsze. Był to — uznał — interesujący wybór tekstu.

Co już było, to już teraz jest;

co będzie, już było,

a Bóg odnawia, co przeminęło.

Zadzwoił i po krótkiej chwili w drzwiach stanęła Alice Mair. Dalgliesh zobaczył wysoką, przystojną kobietę, ubraną kosztownie, lecz nieoficjalnie w czarny kaszmirowy sweter z zawiązaną na szyi jedwabną apaszką i w brunatne spodnie. Rozpoznałby ją bez trudu po podobieństwie do brata, jakkolwiek wyglądała na kilka lat odeń starszą. Przyjmując założenie, iż każde z nich dwojga wie, kim jest drugie, odstąpiła na bok, gestem zaprosiła Dalgliesha do środka i powiedziała: — To miłe z pańskiej strony, że zechciał się pan pofatygować, panie Dalgliesh. Obawiam się, że Nora Gurney jest nieubłagana. Był pan wytypowaną ofiarą, odkąd dowiedziała się o pańskim zamiarze wyjazdu do Norfolk. Może zechciałby pan zanieść tę paczkę do kuchni.

20

P. D. JAMES

Miała dystygowaną twarz o głęboko osadzonych i szeroko rozstawionych oczach pod prostymi brwiami, i kształtnych, dość zagadkowych ustach; jej mocne, siwiejące włosy były zaczesane do góry i ujęte w kok. Na zdjęciach reklamowych umiała — jak pamiętał — wyglądać pięknie, przy czym była to uroda wyniosła, intelektualna i bardzo angielska. Teraz jednak, podczas spotkania twarzą w twarz, i to spotkania w nieoficjalnym otoczeniu jej domostwa, zauważył, iż brak nawet iskierki seksualizmu a także głęboko zakorzeniona rezerwa odbierają Alice Mair tę dawkę kobiecości, jaką przypisywał jej w swych wyobrażeniach, dodają natomiast wyniosłości; trzymała się sztywno, jak gdyby pragnąc odstraszyć wszystkich intruzów od prób wtargnięcia w swój prywatny świat. Jej powitalny uścisk dłoni był mocny i chłodny, towarzyszący mu jednak przelotny uśmiech — nadspodziewanie sympatyczny. Dalgliesh znał swoje przewrażliwienie na barwę ludzkiego głosu; głos panny Mair — aczkolwiek trudno by go było nazwać zgrzytliwym lub nieprzyjemnym — brzmiał nieco wymuszenie, jakby z premedytacją artykułowała słowa w tonacji wyższej niż naturalna.

Korytarzem podążył za nią do kuchni na tyłach domu. Było to pomieszczenie długości, jak ocenił, dwudziestu stóp, pełniące także rolę pracowni i salonu. Po prawej stronie stała kuchenka gazowa z butlą, kłoc do oprawiania mięsa, kredens, wypełniony mnogością wypolerowanych garnków, a wreszcie długi pulpit, na którym stał w trójkątnej drewnianej podstawie komplet noży. Środek pomieszczenia zajmował duży drewniany stół, przyozdobiony kamionkowym dzbanem z wiązanką suszonych kwiatów. Po lewej stronie Dalgliesh zobaczył kominek i dwie wnęki, wypełnione od podłogi po sufit półkami na książki. Boków kominka strzegły dwa wiklinowe fotele o wysokich oparciach i misternym splocie, wyłożone poduchami w pokrowcach z łątek. Pod jednym z okien stało otwarte biurko cylindryczne, w prawo zaś od niego uchylona górna część dwudzielnych drzwi otwierała widok na brukowany dziedziniec i ustawione w słońcu wytworne terakotowe donice z ziołami. Ta kuchnia, nie zawierająca żadnych elementów zbędnych bądź pretensjonalnych, zarazem cieszyła oko i roztaczała aurę spokoju; Dalgliesh zastanowił się przelotnie, dlaczego tak się dzieje. Czy chodziło o wąty zapach ziół i świeżo upieczonego ciasta, delikatne tykanie zegara ściennego, który

— miało się wrażenie — odmierzając upływające sekundy niewoli jednocześnie czas, czy może o słyszalny przez otwarte drzwi rytmiczny jęk przyboju, czy wreszcie poczucie sytej wygody, emanujące z wyściełanych foteli i rozpalonego kominka? A może odpowiedź tkwiła

22

^■HMHH|LIH|HIIHBHIII|

INTRYG I ŻADZE

w tym, że pomieszczenie to przypominało Dalglieshowi ową kuchnię na plebanii, gdzie samotny dzieciak odnalazł ciepło i nie wymagające odeń niczego, tolerancyjne towarzystwo, gdzie dostawał gorące pożywne grzanki i drobne, zakazane łakocie?

Położył korektę na biurku, nie przyjął zaproszenia na kawę i podążył za Alice Mair do drzwi frontowych. Odprowadzając go do samochodu, powiedziała: — Współczułam pana ciotce... to jest, chciałam powiedzieć, współczułam panu. Bo przypuszczam, że gdy ornitolog zaczyna tracić wzrok i słuch, śmierć przestaje być dla niego czymś strasznym. A śmierć we śnie, gdy umiera się bez rozpaczy i nie sprawia tym kłopotów innym, jest końcem godnym zazdrości. Pan jednak, znając ciotkę od tak dawna, musiał zapewne uważać ją za nieśmiertelną.

Oficjalne kondolencje, pomyślał Dalgliesh, zawsze artykułuje się i przyjmuje z trudem; zwykle brzmią banalnie bądź nieszczerze. Te, które wygłosiła Alice Mair, świadczyły o wrażliwości. Jane Dalgliesh istotnie wydawała się nieśmiertelna. Naszą przeszłość, uznał, tworzą ludzie starzy. Kiedy odchodzą, odnosimy przez moment wrażenie, iż ani ta przeszłość, ani ci starcy nie istnieli naprawdę. Odparł: — Nie sądzę, aby kiedykolwiek perspektywa śmierci była dla niej straszna. Lecz nie jestem pewien, czy w ogóle ją znałem i ubolewam teraz, że nie włożyłem więcej wysiłku w to, by ją poznać. Będzie mi jej jednak brakować.

— Ja też jej nie znałam — powiedziała Alice Mair. — Może również powinnam się była postarać. Pańska ciotka jednak, kobieta bardzo skryta, należała — podejrzewam — do tych szczęśliwych osób, które przedkładają samotność nad każde towarzystwo. Ingerencja w ich świat zawsze, sądzę, jest wyrazem zarozumiałstwa. Być może jest pan do niej podobny. Jeśli jednak potrafi pan tolerować wokół siebie innych, to informuję, że w czwartek zaprosiłam na kolację kilka osób, przeważnie kolegów Aiexa z elektrowni. Czy mogłabym na pana liczyć? Pomiedzy siódmą trzydzieści a ósmą.

Było to bardziej wyzwanie, pomyślał Dalgliesh, niżli zaproszenie. Trochę się dziwił, że je przyjmuje. Lecz, w końcu, to całe spotkanie było odrobinę zaskakujące. Alice Mair obserwowała ze skupieniem, jak uruchamia i zawraca wóz — odnosił wrażenie, iż dokonuje krytycznej oceny jego umiejętności kierowcy. Przynajmniej jednak, pomyślał, żegnając ją ostatnim machnięciem dłoni, nie zapytała, czy przyjechał do Norfolk, aby pomóc w schwytaniu Świstuna.

P. D. JAMES

Trzy minuty później zdjął stopę z pedału gazu. Przed nim, lewą stroną drogi, sunęła grupka dzieci; najstarsza dziewczynka pchała przed sobą wózek z dzieckiem, a dwie mniejsze, kurczowo uczeplone rączki dreptały u jej boków. Usłyszawszy warkot samochodu dziewczynka odwróciła głowę i Dalgliesh zobaczył delikatną spiczastą twarzyczkę, obramowaną złotorudymi włosami. Rozpoznał dzieciaki Blaneyów, które widział kiedyś na plaży pod opieką matki. Najwyraźniej dziewczynka zrobiła zakupy: na bagażniku pod siedzeniem składanego wózka piętrzyły się plastikowe torby. Instynktownie przyhamował. Mało prawdopodobne, aby w biały dzień małym Blaneyom groziło jakiejkolwiek niebezpieczeństwo; Świstun polował zawsze nocą, a poza tym od chwili opuszczenia drogi nadbrzeżnej, wozu Dalgliasha nie minął żaden samochód. Nie powinny jednak być tak daleko od domu. Dalgliesh nie widział wprawdzie nigdy ich chaty, lecz przypomniał sobie słowa ciotki, że leży dwie mile na południe od młyna. Pamiętał również, iż ojciec dzieci zarabia na marne utrzymanie jako malarz, którego anonimowe ułaskane akwarelki sprzedawano w nadmorskich kafejkach i sklepach z pamiątkami, matka natomiast jest nieuleczalnie chora na raka. Zastanawiał się, czy pani Blaney jeszcze żyje. W pierwszym odruchu chciał wpakować dzieciaki do auta i odwieźć je do domu, po chwili jednak doszedł do wniosku, że nie byłoby to rozsądne. Niemal na pewno nauczono najstarszą dziewczynkę — chyba miała na imię Theresa? — nie korzystać z podobnych propozycji, składanych przez nieznajomych, szczególnie nieznajomych

mężczyzn, a on, w gruncie rzeczy, był właśnie kimś takim. Powodowany impulsem, zawrócił na wąskiej drodze i z dużą szybkością wrócił do Chaty Męczennicy. Tym razem drzwi były otwarte, a na czerwonych płytkach posadzki kładł się jasny sierp słonecznego blasku. Alice Mair usłyszała samochód i wycierając dłonie wyszła z kuchni. Dalgliesh powiedział: — Dzieci Blaneyów idą do domu. Theresa pcha wózek i boryka się z bliźniaczkami. Pomyślałem, że pozwoliłyby się podwieźć, gdyby towarzyszyła mi kobieta, ktoś, kogo znają.

— Mnie znają — odparła lakonicznie.

Bez słowa wróciła do kuchni, a potem pojawiła się ponownie, nie przekręcając klucza zamknęła za sobą drzwi i wsiadła do auta. Wrzucając bieg, Dalgliesh przypadkowo musnął ręką jej kolano; wyczuł, że odsuwa się, przy czym ten drobny gest samoobrony miał

24

-.•.-.. ..- „a*

INTRYG I ŻĄDZE

wymiar bardziej emocjonalny niż fizyczny. Dalgliesh powątpiewał, czy ów odruch ma związek z nim osobiście, nie peszyło go też milczenie Alice Mair. Ich rozmowa, kiedy ją wreszcie podjęli, była krótka. Dalgliesh zapytał: — Czy pani Blaney jeszcze żyje?

— Nie. Zmarła sześć tygodni temu.

— Jak sobie radzą?

— Przypuszczam, że niezbyt dobrze. Lecz Ryan Blaney nie lubi, gdy ktoś wtrąca się w jego życie. Rozumiem go. Jeśli opuści gardę choć na ułamek sekundy, spadnie mu na kark połowa amatorskich i zawodowych opiekunów społecznych z Norfolk.

Kiedy zatrzymali się przy małej grupce, Alice Mair otworzyła drzwi i odezwała się do najstarszej dziewczynki: — Theso, pan Dalgliesh podwiezie was do domu. Jest bratankiem panny Dalgliesh z Wiatraka. Wezmę na kolana jedną z bliźniaczek. Wózek i reszta zmieszczą się z tyłu.

Theresa spojrzała bez uśmiechu na Dalgliesha i podziękowała grobowym tonem. Przywiodła mu na myśl portrety młodej Elżbiety Tudor: miała takie same złotorude włosy, okalające osobiście dorosłą twarzyczkę, jednocześnie skrytą i opanowaną, o takim samym ostrym nosie i czujnych oczach. Buzie bliźniaczek, nieco łagodniejsze wersje twarzy starszej siostry, obróciły się pytająco w jej stronę, a później zakwitły nieśmiało uśmiechami. Dziewczynki sprawiały wrażenie ubranych w pośpiechu, a przy tym niezbyt odpowiednio na długi spacer po przylądku, nawet w dzień, jak na jesień, tak ciepły. Jedna miała na sobie falbaniastą, ale zniszczoną letnią sukieneczkę w różowe kropki, druga — fartuszek, nałożony na kraciastą bluzkę. Ich żałośnie chude nożyny były gołe. Theresa nosiła dzinsy i niezgrabny trykot, ozdobiony na przodzie planem londyńskiego metra; Dalgliesh zgadywał, że to pamiątka przywieziona ze szkolnej wycieczki do stolicy. Był na nią za duży i szerokie rękawy z wiotkiej bawełny wisiały na piegowatych ramionach jak szmata, przerzucona przez kij. W przeciwieństwie do sióstr, Anthony miał na sobie aż za dużo ubrań; zamotany w śpiochy, sweter i pikowaną kurteczkę, z naciągniętą głęboko na czoło wełnianą pilotką, przyozdobioną na czybku pomponem, bez uśmiechu obserwował dookolne zamieszanie jak władca krasnali.

Wysiadłszy z jaguara, Dalgliesh usiłował wyłuskać malca z wózeczka, którego konstrukcja jednak na chwilę zbiła go z tropu: miał z przodu drążek, przytrzymujący jak dyby sztywne nóżki dziecka. Masywny tłumok okazał się zaskakująco ciężki; przypominał niezgrabny, trochę cuchnący, kokon. Theresa posłała Dalglieshowi przelotny współczujący uśmiech, wyciągnęła torby z bagażnika wózka, potem

25

P. D. JAMES

zgrabnie wyłuskała brata i posadziwszy go sobie na lewym biodrze, jednym energicznym potrząśnięciem złożyła wózek. Dalgliesh przejął od niej malca, a wówczas pomogła siostrze wsiąść do auta i rozkazała im z niespodziewaną surowością: — Siedźcie spokojnie!

Anthony, rozpoznawszy niekompetencję chwilowego opiekuna, mocno uchwycił lepką dłonią włosy Dalgliesha, który przez moment poczuł na twarzy muśnięcie policzka tak delikatne, jak dotyk spadającego płatka kwiatu. Podczas wszystkich tych manewrów Alice Mair siedziała spokojnie w

wozie, nie kwapiąc się do pomocy, i nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Kiedy jednak jaguar ruszył, odwróciła się do Theresy i zapytała zaskakująco łagodnie: — Czy ojciec wie, że jesteście sami poza domem?

— Tata odprowadził furgonetkę do pana Sparksa. Ma niedługo przegląd i pan Sparks nie sądzi, żeby przeszła. No i zobaczyłam, że nie mamy mleka dla Anthony'ego. Musimy mieć mleko, a poza tym potrzebowałam trochę jednorazowych pieluch.

— W czwartek wieczorem urządzam przyjęcie — powiedziała Alice Mair. — Czy, tak jak w zeszłym miesiącu, przysłałabyś mi pomoc, gdyby ojciec ci pozwolił?

— A co będziemy gotować, panno Mair?

— Powiem ci, ale tylko na ucho. Pan Dalgliesh ma być jednym z gości i chcę mu zrobić niespodziankę.

Złotoruda głowa pochyliła się do przetykanej srebrem i panna Mair zaczęła szeptać. Theresa uśmiechnęła się; potem z powagą spiskującej kobiety przytaknęła.

Drogę do chaty pokazywała Dalglieshowi Alice Mair. Ujechawszy jakąś milę skręcili w kierunku morza i jaguar podskakując na wykrotach potoczył się wąską drożyną pomiędzy wysokimi ścianami zaniedbanych żywopłotów z tarniny i czarnego bzu. Dróżka wiodła jedynie do Chaty Żeglarza, której koślawo wypisana nazwa widniała na przybitej do furtki desce. Za domem rozszerzała się w żwirowy placyk, służący do zawracania; spoza przyzmy drobnych kamyczków, zamykającej placyk od tyłu, dobiegał łomot i syk to uderzających o brzeg to cofających się fal. Przed Chatą Żeglarza — malowniczą ze swymi małymi oknami i stromym dachem — rozciągała się ukwiecona gęstwa dawnego ogrodu. Ścieżką w sięgającej niemal kolan trawie, którą atakowały ze wszystkich stron agresywne zastępy zdziczałych róż, Theresa podprowadziła gromadkę do ganku i sięgnęła po klucz, zawieszony na gwoździu po to tylko, jak przypuszczał Dalgliesh, żeby się nie zgubił.

Kiedy Dalgliesh z Anthonym na rękach wszedł do chaty, stwierdził, że jest w niej jaśniej, niż się spodziewał. Otwarte drzwi w głębi

26

INTRYG I ŻĄDZE

dawały poprzez oszkloną przybudówkę widok na panoramę przylądka. Uświadomił sobie zarazem, iż w domu panuje nieład: stojący na środku drewniany stół pokrywały resztki lunchu — zasmarowane keczupem talerze rozmaitej wielkości, nie do jedzona parówka, otwarta butla z oranżadą; na oparciu ustawionego przed kominkiem fotelika dla niemowląt wisiały jakieś dziecięce łauszki, nad wszystkim zaś królował zmieszany zapach mleka, ludzkich ciał i dymu ze spalonego drewna. Najbardziej jednak uwagę Dalgliesha zwrócił stojący na krześle frontem do drzwi duży olejny obraz: namalowany z ogromną ekspresją portret kobiety o szerokich pełnych ustach, aroganckich oczach, ciemnych falujących włosach, unoszonych wiatrem jak na prerafaelic-kich płótnach. Zdominował wnętrze pokoju w takim stopniu, że zarówno Dalgliesh, jak i Alice Mair przez dłuższą chwilę przyglądali mu się w zupełnym milczeniu. Artysta uniknął kiczu zaledwie o włos, jego zamysłem jednak — jak się Dalglieshowi wydawało — było nie tyle przedstawienie podobieństwa fizycznego, co alegorii. Jako tło portretu posłużył precyzyjny obrys przylądka, na który z drobiazgowością szesnastowiecznego malarza prymitywnego naniesiono wszystkie punkty charakterystyczne: wiktoriańską plebanię, zrujnowane opactwo, bunkier, kalekie drzewa, przypominający dziecięcą zabawkę mały biały wiatrak, a wreszcie posepny w aureoli gorejącego nieba kontur elektrowni atomowej. Nad całym tym pejzażem panowała jednak, namalowana z większą swobodą formalną, kobieta, która w parodii błogosławieństwa wyciągała na boki ręce o otwartych dłoniach. Dalgliesh wydał na własny użytek opinię, że obraz — bez wątpienia błyskotliwy technicznie — jest jednak przeładowany, a poza tym namalowany, jak wyczuwał, z nienawiścią. Przyświecający artyście zamysł stworzenia studium zła był tak oczywisty, jak gdyby płótno zostało opatrzone u dołu tytułem. A przy tym do tego stopnia różniło się od zwykłych wytworów Blaneya, że tylko zamasyżcie złożony podpis upewniał, iż wyszło istotnie spod jego pędzla. Dalgliesh przypominał sobie blade i pozbawione wyrazu akwarelki z najsłynniejszymi widokami Norfolk — Blakeney, St. Peter Mancroft, katedra w Norwich — które Blaney

produkował dla miejscowych sklepików. Wyglądały jak kopie pocztówek i zapewne nimi były. Zupełnie inne wrażenie sprawiały małe oleje — niedbałe technicznie i oszczędne w gospodarzeniu farbą — które widywał w tutejszych restauracjach i pubach, one również jednak nie miały z tym portretem wiele wspólnego. Niezwykłe, że malarz o takiej wyobraźni, mistrzostwie technicznym i dyscyplinie kolorystycznej zadawał się taśmowym trzaskaniem suwenirów.

27

P. D. JAMES

— Nie przyszło wam do głowy, że potrafię coś takiego, prawda? Zafascynowani obrazem, nie zwrócili uwagi, że przez otwarte drzwi prawie bezgłośnie wsunął się Blaney. Podszedł bliżej i utkwiał w portrecie skupione spojrzenie, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Córki Blaneya — niby ulegając jakiemuś nie wypowiedzianemu rozkazowi — otoczyły ojca w sposób, który u starszych dzieci mógł być poczytany za świadomy gest solidarności rodzinnej. Dalgliesh widział Blaneya ostatnio sześć miesięcy temu, brodzącego samotnie brzegiem morza z zarzuconymi na ramię przyborami do malowania; teraz był zaszokowany odmianą, jaka dokonała się w tym mężczyźnie. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, a jego wychudzoną sylwetkę okrywały postrzępione dzinsy i rozpięta do pasa kraciasta wełniana koszula; powykręcane długie stopy w prostych sandałach wyglądały jak suche zbrązowiałe kości. Z okolonej zmierzwionymi włosami i brodą drapieżnej wymizerowanej twarzy patrzyły przekrwione oczy, pod którymi, na skórze ogorzałej od słońca i wiatru, kładły się wyraźne sińce wyczerpania. Dalgliesh dostrzegł, że Theresa wsuwa swoją rękę w jego dłoń, a jedna z bliźniaczek, przysunawszy się bliżej, obejmuje obiema łapkami nogę ojca. Pomyślał, że bez względu na to, jak groźny wydaje się Blaney reszcie świata, w swoich dzieciach nie budzi żadnego lęku.

Alice Mair powiedziała spokojnie: — Dzień dobry, Ryane — ale wydawało się, że nie oczekuje odpowiedzi. Skinieniem głowy ukazała portret i podjęła: — To naprawdę niezwykle interesujący obraz. Co zamierzasz z nim zrobić? Trudno mi sobie wyobrazić, że ci pozowała lub że namalowałeś go na zamówienie.

— Nie musiała mi pozować. Znam jej twarz. Chcę go pokazać trzeciego października w Norwich, na Wystawie Sztuki Współczesnej... jeśli go zdołam tam podrzucić. Mój wóz jest w rozsypce.

— W przyszłym tygodniu wybieram się do Londynu — odparła Alice Mair. — Mogłabym dostarczyć obraz, jeśli podasz mi adres.

— Jak chcesz. — Odpowiedź nie wyrażała wdzięczności, Dalgliesh jednak odniósł wrażenie, iż pochwyił w niej ton ulgi. Potem Blaney dodał: — Będzie czekał zapakowany i podpisany w szopie, na lewo od drzwi. Pod kontaktem. Weź, kiedy ci będzie na rękę. Nie musisz pukać. — Ostatnie słowa miały siłę rozkazu, niemal ostrzeżenia.

Panna Mair powiedziała: — Zadzwoń przed wyjazdem. A tak nawiasem, nie sędzę, byś miał okazję poznać pana Dalgliesha. Spotkał na drodze twoje dzieci i postanowił je podwieźć.

Blaney nie wydusił z siebie słowa dziękuję, zawahał się jednak, podał Dalglieshowi rękę, a potem stwierdził szorstko: — Lubiłem

28

INTRYG I ŻĄDZE

pańską ciotkę. Kiedy moja żona była chora, zadzwoniła, proponując pomoc, ale kiedy powiedziałem, że ani ona, ani nikt inny nie może już nic zrobić, natychmiast przestała zawracać mi głowę. A są przecież ludzie, którzy ciągną do łoża śmierci niczym muchy do miodu. Tak, jak Świstuna podkręca ich agonia innych.

— Tak — powiedział Dalgliesh. — Nigdy nikomu nie zawracała głowy. Będzie mi jej brak. I... wyrazy współczucia z powodu pańskiej żony.

Blaney nie odrzekł nic, wpatrywał się tylko z uporem w Dalgliesha, jakby pragnął ocenić szczerłość tego prostego oświadczenia, a wreszcie powiedział krótko: — Dzięki w imieniu dzieciaków — i przejął syna z rąk Dalgliesha. Był to oczywisty sygnał, że pragnie, aby wizyta dobiegła końca. Milczeli oboje, kiedy Dalgliesh manewrował wąską ścieżyną i wyjeżdżał na drogę; mogłoby się zdawać, że chata rzuciła na nich urok, z którego przed podjęciem rozmowy muszą się otrząsnąć.

Wreszcie Dalgliesh zapytał: — Kim jest ta kobieta z portretu?

— Przypuszczałam, że pan wie. Hilary Robarts. Kierowniczka administracyjna siłowni. Pozna ją pan na kolacji w czwartek, Kupiła Chatę Żeglarza, kiedy zjawiała się tu trzy lata temu. Już od pewnego czasu próbuje pozbyć się Blaneyów, co w naszych stronach budzi spore emocje.

— Dlaczego tak jej na tym zależy? Czy chce zamieszkać w chacie?

— Nie sędzę. Przypuszczam, że kupiła nieruchomość jako inwestycję i teraz chce ją sprzedać. W tych stronach dom na pustkowiu — czy raczej: zwłaszcza dom na pustkowiu — ma znaczną wartość. No i roszczenia Hilary Robarts nie są bezpodstawne. Blaney obiecywał, że wkrótce się wyprowadzi. Moim zdaniem Hilary jest poirytowana faktem, iż Blaney najpierw wykorzystywał chorobę i śmierć żony, a teraz wykorzystuje dzieci, aby grać ńa zwłokę, kiedy ona pragnie odzyskać swoją własność.

Dalgliesha zainteresowało dobre rozeznanie Alice Mair w lokalnych sprawach. Była dla niego dotąd kobietą w zasadzie zamkniętą, trzymającą się na dystans od sąsiadów i ich problemów. A jak by to wyglądało z nim samym? W swoich deliberacjach czy sprzedać wiatrak, czy też zatrzymać go w charakterze wakacyjnej przystani, był skłonny widzieć w nim odległe i ekscentryczne miejsce ucieczki przed zgiełkiem Londynu, dyscypliną pracy i presją, niesioną przez sukces. W jakim jednak stopniu, nawet jako nieczęsty gość, zdoła odizolować się od społeczności lokalnej, odgrodzić barierą od jej życia towarzyskiego i od prywatnych tragedii? Byłoby stosunkowo łatwo wybronić się

29

P. D. JAMES

przed gościnnością, pfzyjawszy dostatecznie zniechęcającą postawę, a tę umiejętność posiadał dla celów samoobronnych w dobrym stopniu. Zadaniem znacznie trudniejszym będzie wymiganie się od bardziej ulotnych powinności sąsiedzkich. To właśnie w Londynie człowiek może istnieć anonimowo, tworzyć własne mikrośrodowisko, z premedytacją kreować taki swój wizerunek, jaki postanawia ukazać światu. Na prowincji jednak żyje jako istota społeczna, a jego rysopis kreślą bliźni. Tak, w dzieciństwie, a potem w okresie dojrzewania, i on żył na wiejskiej plebanii; co niedziela uczestniczył w znajomej liturgii, która odzwierciedlała, interpretowała i uświęcała zmieniające się pory wciąż takich samych rolniczych lat. Wyrzekł się tego świata bez wielkiego żalu i nie oczekiwał, że odnajdzie go tu, na przylądku Larksoken... choć pewne jego prawa musiały tkwić głęboko zakorzenione w tej suchej jałowej ziemi. Dalgliesh nie znał kobiety równie zamkniętej w sobie, jak jego ciotka, która, mimo to, odwiedziła przecież Blaneyów i próbowała im pomóc. Wrócił myślą do owdowiałego więźnia zagraconej chaty za potężną pryzmą z kamyków, który, wsłuchany noc w noc w lament przyboju, duma o swoich prawdziwych i urojonych krzywdach, będących może rzeczywistym natchnieniem nienawistnego obrazu. To nie wyjdzie na dobre ani jemu, ani jego dzieciom. I w gruncie rzeczy, pomyślał ponuro Dalgliesh, nie wyjdzie również na zdrowie Hilary Robarts. Zapytał: — Musi mu być ciężko. Czy otrzymuje jakąś znaczącą pomoc ze strony miejscowych władz?

— Taką, jaką jest gotów zaakceptować. Załatwiono dla bliźniaczek coś w rodzaju przedszkola i przeważnie ktoś po nie przyjeżdża. Theresa, oczywiście, chodzi do szkoły; autobus zatrzymuje się przy końcu tej dróżki dojazdowej. Niemowłębem zajmują się na zmianę Theresa i Ryan. Meg Dennison — gospodyni wielebnego i pani Copley na Starej Plebanii uważa, iż powinniśmy robić dla nich więcej, choć trudno powiedzieć, co by to miało być. Nawet nie usiłuję udawać, że rozumiem dzieci.

Dalgliesh przypomniał sobie, jak wyszeptana do ucha Theresy poufna informacja rozjaśniła uśmiechem skupioną twarz dziewczynki, i doszedł do wniosku, że Alice Mair przynajmniej jedno dziecko rozumie znacznie lepiej, niż byłaby skłonna utrzymywać. Znów jednak pomyślał o portrecie. Powiedział: — Nie jest chyba przyjemnie, zwłaszcza w małej społeczności, być obiektem uczuć aż tak niezyczliwych.

Pojęła w lot, o co mu chodzi. — Czy nie należałoby raczej powiedzieć: nienawiści? Tak, to nieprzyjemne i napawające lękiem. Co wcale nie znaczy, że Hilary Robarts należy do osób, które łatwo

INTRYGI I ŻĄDZE

przestraszyć. Tyle że staje się ona czymś w rodzaju obsesji Ryana, zwłaszcza po śmierci żony. Ryan jest przekonany, iż to Hilary właściwie wpędziła ją do grobu. To zrozumiałe, jak sędzę. Ludzie potrzebują kogoś, na kogo można zwalić winę i odpowiedzialność za własne nieszczęścia. Hilary Robarts stała się dla Ryana wygodnym koilem ofiarnym.

Była to bulwersująca historia, fakt natomiast, że dopisała legendę do portretu, który oddziaływał z taką siłą, obudził w Dalglieshu mieszaninę przygnębienia i złych przeczuc. Próbował odepchnąć je od siebie jako irracjonalne. Rad, że temat został wyczerpany, podwiózł Alice Mair do Chaty Męczennicy i wysadził ją przy furtce; był zaskoczony, kiedy podała mu rękę i raz jeszcze obdarzyła tym niesamowicie przyjemnym uśmiechem.

— Cieszę się, że podwiózł pan dzieci — powiedziała. — A zatem do zobaczenia w czwartek wieczorem. Będzie pan mógł na własny użytek ocenić Hilary Robarts i porównać kobietę z portretem.

6

Kiedy jaguar pokonywał najwyższy punkt przylądka, Neil Pascoe wyrzucał śmieci do jednego z pojemników, stojących obok przyczepy kempingowej; dwa plastikowe worki — pełne puszek po zupie i potrawce dla niemowląt, brudnych serwetek jednorazowych, obierek i zgniecionych kartonów — były starannie zawiązane, a jednak wydobywał się z nich nieprzyjemny odór. Dociskając pokrywę, Neil pomyślał po raz nie wiadomo który z rzędu, o ileż więcej odpadków powstaje w wyniku obecności w domu jednej dziewczyny i jednego półtorarocznego malucha. Wróciwszy do przyczepy, powiedział: — Przed chwilą przejechał jag. Chyba wrócił bratanek panny Dalgliesh.

Amy, zajęta zakładaniem krnąbrnej taśmy do prastarej maszyny do pisania, nawet nie podniosła głowy. — Ach. Ten detektyw. Może ma im pomóc w schwytaniu Świstuna.

— To nie jego działka. Świstun nie ma nic wspólnego z policją miejską. Prawdopodobnie wyskoczył na urlop. Albo przyjechał, żeby zrobić coś z wiatrakiem. Przecież nie może mieszkać tutaj, pracując w Londynie.

31

P. D. JAMES

— Może powinienś spytać, czy by go nam nie wypuścił? Za darmo, rzecz jasna. Moglibyśmy utrzymywać porządek w wiatraku i odganiać dzikich lokatorów. Zawsze powtarzasz, że ludzie, którzy mają drugie domy i nie korzystają z nich, zajmują postawę aspołeczną. No, zamień z nim słówko, nie bój się. Albo ja to zrobię, jeśli zanadto trzęsiesz portkami.

Była to, orientował się Neil, w większym stopniu groźba, aniżeli sugestia. Przez moment jednak — uradowany faktem, że Amy przyjmuje za rzecz oczywistą, iż stanowią parę i że nie zamierza go porzucić — rozważał ten pomysł, widząc w nim zupełnie realne rozwiązanie wszystkich problemów. Cóż, prawie wszystkich. Lecz wystarczył jeden rzut oka na wnętrze przyczepy, żeby wrócić do, rzeczywistości. Z coraz większym trudem przypominał sobie, jak wyglądało ono piętnaście miesięcy temu, zanim w jego życiu pojawiła się Amy ze swoim dzieckiem: na ustawionych wzdłuż ściany półkach ze skrzynek po pomarańczach przeżyły się w oryndku książki; dwa kubki, dwa talerze i jedna miska do zupy zaspokajały z nawiązką jego potrzeby; w miniaturowej kuchence i toalecie panował higieniczny porządek; na okrywającej łóżko narzucie z wełnianych kwadratów nie było najmniejszej fałdy; jedna wisząca szafka z powodzeniem mieściła całą skąpą garderobę Neilla; wszystkie pozostałe dobra doczesne były starannie zapakowane w skrzyni, zastępującej krzesła. Nie w tym problem, że Amy była niechlujna — bez przerwy kąpała się, myła włosy i prała kilka swoich ciuchów. Całymi godzinami nosił wodę z hydrantu opodal Chaty na Urwisku, nieustannie jeździł do sklepu w wiosce Lydsett po butle z gazem, a para, całymi dniami buchająca z czajnika, przemieniała wnętrze przyczepy w jaskinię, zasnutą kłębam wilgotnej mgły. Amy była po prostu chronicznie nieporządna: jej ubrania poniewierały się na podłodze, buty na ogół leżały pod stołem, rajstopy i staniki znajdowało się upchnięte w różnych zakamarkach łóżka, zabawki Timmy'ego natomiast — dosłownie wszędzie. Kosmetyki, jedyna zbytkowna

słabość Amy, okupowały tłumnie osamotnioną półkę w mikroskopijnej kabinie prysznicowej, dokonując niekiedy wypadów na zarezerwowane dla żywności terytorium kredensu. Neil skrzywił usta w uśmiechu, wyobrażając sobie, jak komendant Adam Dalgliesh — ten bez wątpienia zdziwaczały wdowiec — brodzi w całym tym bałaganie, aby omówić z nimi obowiązki wynikające ze sprawowania opieki nad Wiatrakiem Larksoken.

Poza tym należało pamiętać o zwierzętach. Amy była na ich tle nieuleczalnie sentymentalna i chwile, kiedy w przyczepie nie znajdowało przytuliska jakiegoś okaleczonego, porzuconego lub wygłodniałego

32

INTRYG I ŻĄDZE

stworzenie, należały do rzadkości. Mewy zatem przechodziły tutaj kurację, polegającą na dezynfekowaniu i natłuszczaniu skrzydeł; odzyskiwały wolność po dłuższej rekonwalescencji w klatce. Na kilka tygodni przykleił się do nich bezdomny kundel o wielkim, nieskoordynowanym cielsku i wyrazie posępnej dezaprobaty w ślepiach. Herbert, jak go ochrzciła Amy, charakteryzował się nadto gargantuicznym apetytem na pokarm w puszkach i herbatniki, co miało niszczący wpływ na finanse domowe. Na szczęście pewnego dnia oddalił się w nieznanym kierunku i, ku rozpaczy Amy, nigdy już nie wrócił, chociaż jego smycz wciąż wisiała na drzwiach przyczepy jak beznadziejny symbol utraty. Obecnie listy lokatorów dopełniały dwa czarnobiałe kociaki, znalezione, kiedy furgonetką wracali z Ipswich, na trawiastym poboczu szosy nadmorskiej. Amy wrzasnęła do Neila, żeby zatrzymał wóz, porwała kocięta w ramiona i, odrzuciwszy głowę do tyłu, zaczęła z pasją przeklinać ludzkie okrucieństwo. Koty sypiały na łóżku Amy, ochoczo spijały ze spodeczka mleko i herbatę, ze zdumiewającym stoicyzmem znosiły gwałtowne pieszczoty Tim-my'ego i — na szczęście — zadowalały się najtańszym pokarmem z puszek. Neil w gruncie rzeczy był rad z ich obecności, dawały bowiem niejaką gwarancję, że Amy go nie opuści.

Znalazł ją — a używał tego słowa w takim samym sensie, w jakim mówiłby o znalezieniu, na przykład, szczególnie pięknego kamienia czy muszli — późnoczerwcowym popołudniem zeszłego roku. Siedziała na rumowisku i objawszy ramionami kolana, wpatrywała się w morze. Uśpiony Timmy leżał obok niej na małym kocyku; jego nieruchoma, różowa buzia o długich rzęsach kładących się na pulchne policzki zdawała się wylewać z haftowanych w kaczuszki wełnianych śpiochów i przywodziła na myśl twarz porcelanowej malowanej lalki. Dziewczyna też miała w sobie coś z precyzji i zaplanowanego wdzięku lalki: prawie kulistą głowę, osadzoną na długiej delikatnej szyi, krótki nosek z niewielkim rojem piegów, małe usta o pięknie wyprofilowanej pełnej górnej wardze, przyszyżoną na jeża czuprynę, pierwotnie blond, a teraz o pomarańczowych koniuszkach włosów, które — rozświetlone słońcem i drżące w lekkich podmuchach wiatru — przydawały całej głowie pozór życia oderwanego od reszty ciała. Potem wizja uległa zmianie i Neil dostrzegł w dziewczynie jasny egzotyczny kwiat. Wciąż pamiętał wszystkie szczegóły tego pierwszego spotkania. Nosila wytarte džinsy i białą trykotową koszulkę, opiętą na sterzących piersiach o twarde sutkach; cienka bawełna wydawała się zbyt skąpą ochroną przed tężejącym wiatrem od morza. Kiedy Neil zbliżał się z wahaniem, usiłując nie spłoszyć jej i wyglądać przyjaźnie, odwróciła

3 Intrygi i żądze

33

P. D. JAMES

głowę i posłała mu przeciągłe, zaciekawione spojrzenie swoich zdumiewających oczu, skośnych i fiołkowych.

Stanąwszy nad nią, powiedział: — Nazywam się Neil Pascoe. Mieszkam w tamtej przyczepie na grani klifu. Właśnie parzę herbatę i pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę na kubek.

— Chętnie, jeśli ją akurat parzysz. — Zaraz potem odwróciła się na powrót ku morzu.

Pięć minut później, z podrygującymi w obu dłoniach kubkami z herbatą, zsunął się po stromym piaszczystym stoku. Usłyszał swoje pytanie: — Mogę usiąść?

— Rób co chcesz. Plaża jest dla wszystkich.

Ostrożnie usiadł i oboje, w milczeniu, zapatrzyli się w horyzont. Sięgając pamięcią do tamtej

chwili, zdumiewał się swoją śmiałością, a także faktem, że spotkanie było, z pozoru, tak nieuchronne i naturalne. Dopiero po kilku minutach zdobył się na odwagę, by zapytać, jak dotarła na plażę. Wzruszyła ramionami.

— Autobusem do wioski, a potem piechotą.

— To kawał drogi, jeśli musiałaś nieść dziecko.

— Jestem przyzwyczajona do noszenia dziecka.

A potem, w wyniku zadawanych z wahaniem pytań, Neil usłyszał całą historię, opowiedzianą bez rozczulania się nad sobą, a nawet bez zainteresowania, jak gdyby przydarzyła się komuś innemu. Żyjąc z zasiłku, mieszkała ostatnio w małym hoteliku w Cromer. Przedtem biwakowała na dziko w Londynie, ale doszła do wniosku, że dziecku przydałoby się latem trochę świeżego nadmorskiego powietrza. Tyle że nic z tego nie wyszło. Właścicielka hotelu właściwie nie życzyła sobie dzieciaków, a ponadto latem zamierzała brać więcej za pokoje. Amy nie sądziła wprawdzie, by właścicielka mogła ją wyrzucić, lecz straciła całą ochotę na mieszkanie u tej starej dziwki.

— Czy nie mógłby ci pomóc ojciec dziecka? — zapytał Neil.

— Mały nie ma ojca. Miał ojca... rozumiesz, nie jest Jezusem Chrystusem. Ale teraz go nie ma.

— Chcesz powiedzieć, że zmarł albo odszedł?

— Jedno albo drugie. Gdybym wiedziała, kim jest, wiedziałabym także, co się z nim stało, nie?

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, podczas której dziewczyna popijała herbatę, a uśpione dziecko wierciło się trochę, pochurrikując jak prosie. Po kilku minutach Neil przerwał milczenie. —

Posłuchaj, jeśli nie znajdziesz w Cromer nic innego, możesz przez jakiś czas pomieszkać ze mną w przyczepie. To znaczy — dodał pospiesznie — jest druga sypialnia. Bardzo maleńka, mieści się w niej zaledwie pryczaj ale

34

INTRYG I ŻĄDZE

chwilowo ci wystarczy. Wiem, że to pustkowie, ale przynajmniej bliźutko do plaży; byłoby to fajne dla dzieciaka.

Znów rzuciła mu to niesamowite spojrzenie, w którym po raz pierwszy dostrzegł ku swemu zakłopotaniu przeblysł inteligencji i zastanowienia.

— Dobra — odparła. — Jeśli nie znajdę innej mety, wrócę jutro.

Tego dnia długo w noc leżał bezsennie, na poły przepelniony nadzieją, że powróci, na poły lękiem.

Wróciła nazajutrz po południu, z Timmym na biodrze i całym swoim dobytkiem w plecaku.

Zawładnęła przyczepą i całym życiem Neila. Nie wiedział, czy to, co do niej czuje, jest miłością, oddaniem, litością czy też mieszaniną tych trzech emocji. Wiedział tylko, że drugą z największych obaw, jakie kładły się cieniem na jego niespokojnym i przepelnionym zbyt wieloma troskami życiu, jest lęk, iż pewnego dnia Amy od niego odejdzie.

Mieszkał w przyczepie już od dwóch lat z górą, utrzymując się ze stypendium, jakie jego macierzysty uniwersytet na północy kraju przeznaczył na realizację programu badawczego, dotyczącego wpływu rewolucji przemysłowej na gospodarkę rolną Anglii wschodniej.

Opracowanie tematu było prawie gotowe, ale od sześciu miesięcy Neil zaniedbywał je całkowicie, poświęcając się bez reszty swojej największej pasji: krucjacie przeciwko energii atomowej. Z okien przyczepy widział posepną na tle nieba bryłę Elektrowni Jądrowej Larksoken, równie niewzruszoną, jak jego wola, by z nią walczyć, zarazem symbol i groźbę. To ze swojej przyczepy kierował Społeczeństwem Przeciwko Energii Nuklearnej — w skrócie SPEN — małą organizacją, której był założycielem i przewodniczącym. Przyczepa... wszedł w jej posiadanie naprawdę szczęśliwym trafem. Właścicielem Chaty na Urwisku był pewien Kanadyjczyk, który uległ nostalgii i postanowił wrócić do korzeni. Pod wpływem impulsu kupił dom z myślą o spędzaniu w nim wakacji. Nie wiedział jednak, że mniej więcej pięćdziesiąt lat temu w Chacie na Urwisku popełniono morderstwo. Zupełnie pospolite morderstwo — udręczony pantoflarz, nie mogąc znieść poniżeń, zerwał się z więzi i zatłukł swoją Herod-babę. Zbrodnia jednak, jakkolwiek ani zbyt interesująca, ani szczególnie tajemnicza, była jednak naprawdę krwawa. Usłyszawszy obrazową opowieść o rozprysniętym mózgu i okrwawionych ścianach, żona Kanadyjczyka oświadczyła stanowczo, że nie ma najmniejszego zamiaru mieszkać w chacie latem czy w jakiegokolwiek innej

porze roku. Położenie posesji na pustkowiu — w pierwszej chwili atrakcyjne — teraz wydawało się odpychające i złowróżbne. Jakby tego było mało, miejscowe władze architektoniczne nie okazały żadnego zrozumienia dla pełnych roz-

35

P. D. JAMES

machu planów rozbudowy, które roztoczył nowy właściciel. Zniechęcony zatem do chaty i wszystkich stwarzanych przez nią problemów, Kanadyjczyk zabił okna deskami i pojechał do Toronto, zamierzając wrócić któregoś dnia i postanowić ostatecznie, co począć z chybioną inwestycją. Poprzedni właściciel ustawił na tyłach domu staromodną przyczepę turystyczną i Kanadyjczyk o chętnie wynajął ją Neilowi za dwa funty tygodniowo — w ten sposób zyskiwał gwarancję, że ktoś będzie miał oko na jego opuszczoną posiadłość. I właśnie z przyczepy, będącej zarówno mieszkaniem, jak i biurem, Neil prowadził swoją kampanię. Starał się nie myśleć o owym odległym o sześć miesięcy dniu, kiedy przestanie otrzymywać stypendium i będzie musiał znaleźć sobie jakąś pracę. Wiedział tylko, że jakimś cudem musi pozostać tu, na przylądku, żeby ani przez chwilę nie stracić z oczu tej monstrualnej budowli, która w równym stopniu zdominowała jego wyobraźnię, co pole widzenia.

Ostatnio nad i tak niepewnym bytem finansowym Neila zawisło nowe, jeszcze bardziej przerażające niebezpieczeństwo. Mniej więcej pięć miesięcy temu uczestniczył na terenie elektrowni w imprezie zwanej dniem otwartym. Kierowniczka administracyjna obiektu, Hilary Robarts, rozpoczęła od krótkiego wprowadzenia. I wtedy Neil zakwestionował prawie każde z jej sformułowań; w rezultacie coś, co zostało pomyślane jako część informacyjna eksperymentu mającego przybliżyć opinii publicznej pewne problemy energetyki jądrowej, zamieniło się rychło w karczemną burdę. W najbliższym wydaniu swojego biuletynu Neil zrelacjonował wydarzenie w słowach, które

— jak zdawał sobie teraz sprawę — były wysoce nieprzemyślane. Hilary Robarts oskarżyła go o zniesławienie. Proces miał się odbyć za cztery tygodnie i Neil doskonale rozumiał, że bez względu na to, jaki będzie werdykt, czeka go ruina. Jeśli Hilary Robarts nie umrze w ciągu następnych kilku tygodni — a niby dlaczego miałyby umrzeć?

— nadejdzie kres jego pobytu na przylądku, kres jego organizacji i kres wszystkiego, co sobie planował i na co liczył.

Amy adresowała na maszynie koperty na najnowszą edycję biuletynu; stos był już całkiem spory i Neil przystąpił do składania zadrukowanych kartek i wsuwania ich do kopert. Małe i tandetne <— bo nie miał pieniędzy na nic lepszego — rozlażyły się przy lada nieostrości. Lista adresowa obejmowała dwieście pięćdziesiąt pozycji, ale tylko mała jej część należała do osób aktywnie popierających SPEN. Większość odbiorców biuletynów nigdy nie płaciła żadnych składek, sporo listów szło po prostu do rozmaitych urzędów, przedsiębiorstw i firm z okolic Larksoken i Sizewell, które nawiasem mówiąc nie

36

INTRYG I ŻĄDZE

wykazywały nimi najmniejszego zainteresowania. Neil zastanawiał się, ile z dwustu pięćdziesięciu egzemplarzy biuletynu znajdzie choćby jednego czytelnika, a potem, z nagłym skurczem niepokoju i przygnębienia, pomyślał o łącznych kosztach tej drobnej przecież inicjatywy. W dodatku nowy biuletyn nie należał do najbardziej udanych, był licho zredagowany i tematycznie niespójny. Chodziło w nim głównie o utracenie rozbrzmiewającego z coraz większą mocą argumentu, że energia jądrowa pozwoli uniknąć zniszczenia środowiska na skutek działania efektu cieplarnianego, lecz zestaw rozwiązań alternatywnych — od wykorzystania energii słonecznej po zastąpienie tradycyjnych żarówek superoszczędnymi — wydawał się naiwny i mało przekonujący. Neil dowodził w swoim artykule, że aby realistycznie myśleć o zastąpieniu ropy naftowej i paliw kopalnych energią pozyskiwaną w siłowniach jądrowych, musiano by przez pięć lat, poczynając od 1995, oddawać do użytku na całym świecie szesnaście reaktorów tygodniowo; pomijając to, że program był fantastyczny z punktu widzenia technicznego i ekonomicznego, na dodatek zwiększał, poza wszelkie dopuszczalne granice, zagrożenie nuklearne. Statystyki Neila, jak zresztą wszystkie

podawane przezeń liczby pochodziły jednak z najrozmaitszych źródeł i nie charakteryzowały się dużą wiarygodnością. Resztę biuletynu wypełniały zwykle przerażające historyjki o zatuszowanych wyciekach z reaktorów, o wątpliwej niezawodności starzejących się elektrowni Mag-nox, o wciąż nie rozstrzygniętym problemie transportu i składowania odpadów radioaktywnych. Nie dość na tym, Neil włożył wyjątkowo wiele wysiłku w to, aby znaleźć przynajmniej parę względnie inteligentnych listów na kolumnę korespondencyjną ostatniego biuletynu; niekiedy odnosił wrażenie, iż biuletyn SPEN czytają wszystkie szajbusy z północno-wschodniego Norfolk, ale nikt poza nimi.

Amy wyszarpywała koperty z maszyny, która wykazywała trwałą skłonność do zacinania się. — Neil, to jest cholerne bydlę i łatwiej byłoby pisać te adresy odręcznie.

— Sprawuje się znacznie lepiej, odkąd ją wyczyściłaś i założyłaś nową taśmę.

— Ma po starym diabelski charakterek. Dlaczego wreszcie nie kupisz nowej? W sumie zaoszczędzilibyśmy masę czasu.

— Nie mam forsy.

— Nie stać cię na nową maszynę, a myślisz, że zdołasz zbawić świat.

— Nie trzeba dóbr doczesnych, żeby zbawić świat, Amy. Jezus Chrystus nie miał nic: ani domu, ani złota, ani ziemi.

37

P. D. JAMES

— Chyba na początku naszej znajomości mówiłeś, że nie jesteś religijny.

Neila zawsze zdumiewał fakt, że Amy, pozornie wcale nie zwracając na niego uwagi, pamięta jednak rzeczy, jakie powiedział wiele miesięcy temu. Stwierdził: — Nie wierzę, że Chrystus był Bogiem. W ogóle nie wierzę w Boga. Wierzę jednak w to, czego nauczał.

— Jeśli nie był Bogiem, to nie uważam, by Jego nauki miały jakiegokolwiek znaczenie. Tak czy siak, jedyne, co sobie przypominam, dotyczy nadstawiania drugiego policzka. A w to akurat nie wierzę. Kapujesz, czysty kretynizm. Jeśli ktoś uderzy cię w lewy policzek, powinienesz mu przyłożyć w prawy, tylko mocniej. Wiem, że Go w końcu ukrzyżowali, więc Mu te nauki wcale nie wyszły na dobre. Właśnie do takich rzeczy prowadzi nadstawianie drugiego policzka.

— Mam tu gdzieś Biblię — powiedział Neil. — Jeśli chcesz, możesz sobie o Nim poczytać.

Zacznij od Ewangelii św. Marka.

— Dzięki, ale nie. Miałam tego po uszy w domu.

— Jakim domu?

— Po prostu domu. Zanim urodziłam dziecko.

— Jak długo tam byłaś?

— Dwa tygodnie. O dwa cholerne tygodnie za długo. Potem zwiałam i znalazłam komunę.

— Gdzie?

— W Islington, Camden, King's Cross, Stoke Newington. Czy to ma znaczenie? Teraz jestem tutaj, OK?

— OK, jeśli chodzi o mnie, Amy.

Zatopiony w myślach, prawie nie zauważył, że przestał składać biuletyny.

Amy powiedziała: — Posłuchaj, jeśli nie ma z ciebie żadnego pożytku przy tych kopertach, idź przynajmniej i wymień uszczelkę w kranie. Cieknie od tygodni i Timmy za każdym razem tapla się w błocie.

— Dobra — odrzekł. — Zaraz to zrobię.

Z kredensu wyjął ukrytą tam przed wścibstwem Timmy'ego skrzynkę z narzędziami. Był rad, mogąc wyjść z przyczepy, która w ciągu minionych kilku tygodni z coraz większą mocą przejmowała go uczuciem klaustrofobii. Na dworze pochylił się, aby pogadać z Tim-mym, zamkniętym w kojcu. Podczas spacerów po plaży Neil i Amy nazbierali sporo kamieni, przedziurawionych erozją na wylot; nawleczone na mocną linkę, przeciągnięte następnie wzdłuż jednego z boków kojca, stały się ulubioną zabawką Timmy'ego, który potrafił

38

INTRYG I ŻĄDZE

radośnie łomotać nimi przez całe dni albo — jak teraz — wciskać sobie któryś do buzi. Neil uklęknął, uchwycił dłońmi drążki kojca i potarł nosem nosek Timmy'ego, za co został nagrodzony serdecznym, wzruszającym uściskiem. Timmy był bardzo podobny -do matki — miał taką samą okrągłą głowę, delikatną szyję i pięknie zarysowane usta. Tylko jego szeroko rozstawione oczy były innego kształtu — duże niebieskie krążki pod prostymi puszystymi brwiami, które przywodziły Neilowi na myśl jasne, kruche gąsieniczki. Czułość, jaką budziło w nim dziecko, była równie silna — chociaż odmienna — jak czułość, którą okazywał jego matce. Nie potrafiłby sobie wyobrazić teraz życia na przylądku bez któregokolwiek z nich. Kran okazał się odeń silniejszy. Mimo poszarpywań kluczem francuskim Neil nie zdołał ruszyć nakrętki. Nawet to drobne domowe zadanie przekraczało najwyraźniej jego możliwości. Niemal słyszał ironiczny głos Amy: chcesz zmieniać świat, a nie potrafisz wymienić uszczelki. Po kilku minutach dał za wygraną, zostawił skrzynkę pod ścianą chaty, podszedł do krawędzi urwiska, a potem zsunął się na plażę. Kiedy, wykonawszy slalom pomiędzy kamiennymi złomami, stanął na brzegu morza, niemal wściekle ściągnął buty ze stóp. W ten właśnie sposób, gdy brzemię nie spełnionych ambicji i niepewnej przyszłości zaczynało go przygniatać zbyt mocno, zwykł odzyskiwać spokój wewnętrzny: stawał nieruchomo i smagany po nogach rozpryskującą się pianą, obserwował żyłkowane grzbiety gotowych do ciosu fal, a potem ich spieszny odwrót, gdy cofając się ku morzu w zmieszanych fałdzistych sztykach, pozostawiały na gładkim piasku subtelny biały welon. Dzisiaj jednak nawet ów powtarzający się w nieskończoność cud nie zdołał ukoić jego duszy. Niewidzącymi oczyma wpatrywał się w horyzont i rozmyślał o swoim bieżącym życiu, o beznadziejności jutra, o Amy, o swojej rodzinie. Wsunąwszy dłoń do kieszeni, wymacał zgniecioną kopertę ostatniego listu od matki.

Rodzice nie musieli otwarcie mówić, że są nim rozczarowani — ogródkami dawali mu to do zrozumienia aż nazbyt jasno: „Pani Reilly wciąż mnie wypytuje, co robi Neil? Wcale nie mam ochoty jej mówić, że mieszkasz w przyczepie turystycznej i nie masz uczciwej pracy”. A już na pewno nie miała ochoty powiedzieć, że mieszka w tej przyczepie z dziewczyną. Poinformował ich o Amy, kiedy zaczęli się odgrażać, że go odwiedzą; jakkolwiek szanse, iż może do tego naprawdę dojść, były praktycznie równe zeru, sama ewentualność uczyniła życie Neila, i bez tego aż nadto pełne trosk, całkowicie nieznośnym.

39

P. D. JAMES

„W zamian za pomoc w maszynopisanu udzieliłem chwilowego schronienia niezamężnej matce. Bez obaw, nie obdarzę was pewnego pięknego dnia wnukiem z nieprawego łoża.”

Po wysłaniu tego listu poczuł się zawstydzony. Tandetna próba obrócenia wszystkiego w żart wydała mu się zdradą Timmy'ego, którego kochał; matka również nie uznała jej za śmieszną ani pocieszającą. W odpowiedzi załała go fala, niezbornych ostrzeżeń, nagan i zakamuflowanych odniesień do możliwych reakcji pani Reilly, gdyby tylko rzecz doszła do jej wiadomości. Jedyne dwaj bracia Neila skrycie czerpali satysfakcję z kierunku, w jakim potoczyły się jego losy. Żaden z nich nie miał wyższych studiów, a porównywanie stylów życia — w ich wypadku: domów w doskonałych dzielnicach, pokojów kąpielowych, kominków na gaz w czymś, co określali mianem salonów, pracujących żon, wozów, zmienianych co dwa lata i regularnych wyskoków na Majorkę — dostarczało obu przyjemnych godzin samozadowolenia, które, jak wiedział Neil, nieuchronnie prowadziły do wyciągnięcia zawsze takich samych wniosków: że powinien wziąć się w garść, że to naprawdę niesprawiedliwe wobec Mamy i Taty, którzy ponieśli tyle wyrzeczeń, aby posiać go na uczelnię i że w ogóle było to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Nigdy o tych sprawach nie mówił Amy, choć ochoczo otworzyłby przed nią duszę, gdyby okazała nawet najmniejsze zainteresowanie. Lecz nigdy nie pytała go o dawniejsze życie i nigdy nie powiedziała niczego o swoim. Jej głos, ciało i zapach znał jak własne, ale zasadniczo wiedział o niej tyle samo, co w dniu pierwszego spotkania. Odmawiała korzystania z jakichkolwiek świadczeń społecznych, argumentując, że nie ma ochoty widzieć w przyczepie wścibskich ciotek z Opieki, które będą sprawdzać, czy sypia z Neilem. Podzielał jej punkt widzenia. Również ich sobie nie życzył, lecz zarazem sądził, że choćby dla dobra Timmy'ego powinna brać to, co jest do wzięcia.

Nie dawał jej żadnych pieniędzy, utrzymywał jednak oboje i był to, przy skromności stypendium, morderczy wysiłek. Nikt Amy nie odwiedzał i nikt do niej nie dzwonił; czasami dostawała pocztówki, kolorowe widoczki Londynu z nic nie znaczącym przesłaniem, na które jednak — jak mu się wydawało — nigdy nie odpowiadała.

Mieli ze sobą tak niewiele wspólnego. Z pasją pomagała mu w SPEN, nie miał wszakże żadnej pewności, jak, w gruncie rzeczy, głęboko sięga jej zaangażowanie. I doskonale wiedział, że jego pacyfizm uważa za głupotę. Na przykład ta rozmowa, którą odbyli nie dalej niż dzisiaj rano.

40

INTRYGII I ŻĄDZE

— Posłuchaj, jeśli mieszkam drzewi w drzewi z nieprzyjacielem, który, tak samo jak ja, ma nóż, rewolwer i pistolet maszynowy, to nie zacznę się rozbierać, dopóki on do tego nie przystąpi. Wtedy powiem: OK, odrzucmy noże, potem ewentualnie rewolwery i pistolety maszynowe — ale jednocześnie! Dlaczego miałabym pozbawić się wszystkiego, pozostawiając jemu cały arsenał?

— Ależ któreś z was będzie musiało zacząć, Amy. Wzajemne zaufanie powinno się kiedyś narodzić. Czy dotyczy to ludzi, czy całych narodów, musimy odnaleźć w sobie wiarę, aby otworzyć serca i ramiona, mówiąc: „Patrzcie, nie mamy nic. Tylko nasze człowieczeństwo. Zamieszkujemy tę samą planetę. Świat pełen jest cierpienia, ale nie musimy ich pomnażać. Trzeba wreszcie skończyć ze strachem”.

— Nie widzę powodów — odrzekła z uporem — dla których miałby wyrzucić broń, kiedy będzie pewien, że ja już swojej nie mam.

— A po co ma ją trzymać? Przecież przestanie się ciebie bać.

— Zatrzyma broń, bo zdążył się do niej przyzwyczaić, a poza tym może uznać, że któregoś dnia miło będzie jej użyć. Będzie napawał się poczuciem mocy i świadomością, że jestem zdana na jego łaskę i niełaskę. Szczerze, Neil, czasami jesteś cholernie naiwny. Nie znasz ludzi.

— Ale przecież nie możemy dziś używać takich argumentów, Amy. Nie mówimy o nożach, rewolwerach i pistoletach maszynowych. Mówimy o broni, której nie potrafimy użyć, nie niszcząc zarazem samych siebie, a prawdopodobnie i całego świata. Fajnie jednak, że pomagasz mi w SPEN, choć nie masz zrozumienia dla jego celów.

Odparła: — SPEN to inna historia. I mam zrozumienie, bez obawy. Po prostu sędzę, że tracisz czas pisząc te listy, wygłaszając przemówienia i rozsyłając biuletyny. Nic z tego nie wyjdzie. Z przeciwnikami musisz walczyć ich własną bronią.

— Ależ coś z tego wychodzi! Jak świat długi i szeroki, zwykli ludzie urządzają marsze i demonstracje, donośnym głosem mówią tym u władzy, że pragną spokojnego życia dla siebie i swoich dzieci. Zwykli ludzie, tacy jak ty!

Zareagowała prawie krzykiem. — Nie jestem zwykłą! Nie nazywaj mnie zwykłą! Jeśli ci ludzie są zwykli, ja do nich nie należę!

— Wybacz, Amy, nie to miałem na myśli.

— Więc nie mów takich rzeczy.

Łączyło ich jedynie to, iż oboje nie jedli mięsa. Wkrótce po tym, jak Amy zamieszkała w przyczepie, Neil powiedział: — Jestem wegetarianinem, ale nie będę narzucał swoich przekonań ani tobie, ani Tim-my'emu. — Nie zdążył jeszcze dopowiedzieć zdania do końca, gdy

41

P. D. JAMES

zadał sobie pytanie, czy Timmy jest już w odpowiednim wieku, aby jeść mięso. Potem dodał: — Jeśli będziesz miała ochotę, możesz czasami kupować mięso w Norwich.

— Wszystko w porządku. Nie jem zwierząt, skoro one mnie nie jedzą.

— A Timmy?

— Timmy je to, co mu daję. Nie jest wybredny.

I rzeczywiście nie był. Neil nie mógłby sobie wyobrazić dziecka sprawiającego mniej problemów ani też dziecka bardziej zadowolonego z życia. W używanym kojcu, który Neil kupił z ogłoszenia w Norwich i przywiózł furgonetką, Timmy z pieluchą nieodmiennie w okolicy kolan raczkował całymi godzinami, podciągał się na drążkach, a potem stał w niepewnej równowadze. Tylko kiedy

spotykał się z jakimś sprzeciwem, wpadał we wściekłość: mocno zaciskał powieki, otwierał usta, przez chwilę wstrzymywał oddech, a potem wydawał z siebie ryk tak donośny, że Neil obawiał się, czy lada chwila nie spadnie im na głowę połowa obywateli wioski Lydsett, ciekawych, które z nich tak dręczy biedną dziecinę. Amy nigdy nie biła syna — podnosiła go tylko i rzucała na swoje łóżko, mówiąc: — Co za cholerny hałas.

— Czy nie powinnaś przy nim posiedzieć? Może się zabić, wstrzymując tak oddech.

— Głupi jesteś? Nic sobie nie robi. Takie rzeczy się nie zdarzają. Neil wiedział teraz, że pragnie Amy; pojął to, kiedy stało się jasne,

że Amy go nie chce i już nigdy nie narazi się na ryzyko odmowy z jego strony. Drugiej nocy swojego pobytu w przyczepie rozsunęła przepierzenie pomiędzy ich łózkami, podeszła cicho do Neila i popatrzyła na niego ponuro. Była zupełnie naga. Neil powiedział: — Posłuchaj, Amy, nie musisz mi płacić.

— Nigdy za nic nie płacę, przynajmniej w taki sposób. Ale niech będzie, jak chcesz. — Po chwili spytała: — Jesteś pedałem czy co?

— Nie, po prostu nie lubię przygodnych miłostek.

— Nie lubisz czy sądzisz, że nie powinienes ich miewać?

— Chyba sądzę, że nie powinienem ich miewać.

— Więc jesteś pobożny, co?

— Nie, nie jestem pobożny, przynajmniej pobożny w tradycyjnym sensie. Uważam jedynie, że seks jest zbyt ważny, aby można było traktować go jak przygodę. Rozumiesz, gdybyśmy się ze sobą przespali, a ja... ja bym cię rozczarował... mogłoby się to wszystko skończyć kłótnią i twoim odejściem. Miałabyś uczucie, że powinnaś odejść. I odeszłabyś razem z Timmym.

42

INTRYG I ŻĄDZE

— No więc bym odeszła.

— Nie chcę, żeby to nastąpiło — przynajmniej z powodu czegoś, co zrobiłem.

— Albo nie zrobiłeś. OK, chyba masz rację. — Znowu zamilkła. Później spytała: — Więc przejąłbyś się, gdybym odeszła?

— Tak — odparł. — Bardzo bym się przejął.

Odwróciła się od niego. — Ja zawsze w końcu odchodzę. Ale dotąd nikt się tym nie przejmował. Neil wiedział, że to pierwsza i ostatnia próba zbliżenia, jaką podjęła. Sypiali teraz oddzieleni od siebie przepierzeniem i łóžeczkiem Timmy'ego. Czasem w nocy, nie śpiąc z powodu wiercenia się dziecka, Neil kurczowo zaciskał dłonie na cienkich drażkach, pragnąc zniweczyć tę watał barierę, będącą jednak symbolem oddzielającej go od Amy przepaści bez dna. Była tam, smukła i obła jak mewa albo ryba, tak bliska, że słyszał jej oddech, przywodzący na myśl podnoszenie się i opadanie fal morza. Pragnął jej aż do bólu całym swoim ciałem i świadomy daremności tej żądy, jęcząc wtulał twarz w skotłowaną poduszkę. Cóż mogłaby w nim dostrzec takiego, co pozwoliłoby jej odwzajemnić to pragnienie, co mogłoby ją ku niemu popchnąć poza — jak tamtej jedynej nocy — wdzięcznością, litością, ciekawością czy nudą? Neil brzydził się swoim ciałem — chudymi nogami o sterczących jak huby kolanach, zbyt blisko osadzonymi, wiecznie mrugającymi oczyma, rzadką bródką, która nie mogła zamaskować typowego dla słabeusza konturu ust i szczęki. Poza tym niekiedy dręczył się zazdrością. Nie mając po temu żadnych dowodów, wmówił sobie, że w życiu Amy musi być ktoś jeszcze. Kiedy mówiła, że ma ochotę na samotny spacer, odprowadzał ją wzrokiem, przekonany, iż idzie na schadzkę z kochankiem. Gdy wracała, fantazjował, że dostrzega nowy połysk jej skóry, zadowolony uśmiech niedawnego szczęścia, ba, czuł zapach miłości fizycznej, jakiej się przed chwilą oddała.

Otrzymał już był informację z uczelni, że jego stypendium badawcze nie zostanie przedłużone.

Decyzja nie stanowiła zaskoczenia, uprzedzono go zawczasu o takiej możliwości. Co miesiąc odkładał ze stypendium jakieś grosze, mając nadzieję, że uzbiera dość, by związać koniec z końcem, zanim nie znajdzie pracy. Zupełnie obojętne, jakiej. Każdej, która pozwoli mu pozostać na przyłasku i kontynuować kampanię. Teoretycznie mógłby kierować SPEN-em z dowolnego miejsca kraju, w praktyce wiedział jednak, że przedsięwzięcie jest nierozłącznie związane z

przyłądkiem Larksoken, z przyczepą, z tym odległym o pięć mil na północ betonowym masywem, który zdołał najwyraźniej zawładnąć całą jego wolą i wyobraźnią. Neil zaczął już

43

P. D. JAMES

sondować ewentualnych miejscowych pracodawców, ci jednak nie palili się, aby zatrudnić znanego mąciwodę; sympatycy sprawy nie mieli natomiast nic do zaproponowania. Może zresztą i oni żywili obawę, że Neil zbyt wiele energii będzie poświęcał swojej krucjacie. Jego mały kapitał — przy dodatkowych wydatkach na Amy, Tim-my'ego, a nawet koty, topniał w zastraszającym tempie. Teraz w dodatku pojawiła się groźba procesu o zniesławienie; więcej niż groźba — pewność.

Kiedy kilka minut później wrócił do przyczepy, stwierdził, że również Amy dała sobie spokój z pracą. Gapiąc się w sufit leżała na łóżku, a zwinięte w kłębek kociaki spały na jej brzuchu.

Neil spojrział na nią z góry i powiedział nagle: — Jeśli Robarts wytoczy sprawę, będę potrzebował pieniędzy. Nie da się żyć jak dotychczas. Musimy poczynić plany.

Usiadła zwinnie i posłała mu przeciągłe spojrzenie. Urażone koty piskiem wyraziły protest i umknęły.

— Chcesz powiedzieć, że będziemy musieli się zwinąć?

W normalnych okolicznościach ta liczba mnoga podniosłaby go na duchu; teraz prawie nie zwrócił na nią uwagi.

— To zupełnie możliwe.

— Ale dlaczego? Nie znajdziesz przecież tańszej mety niż ta przyczepa. Spróbuj wynająć pokój za dwa funty tygodniowo. Mieliliśmy cholerny fart, że trafiliśmy na tę budę.

— Ale tu nie ma pracy, Amy. A muszę ją znaleźć, jeśli przy solą mi wysokie odszkodowanie. To oznacza Londyn.

— O jakiej pracy myślisz?

— Obojętnie jakiej. Mam dyplom.

— Cóż, nie widzę wielkiego sensu w zabieraniu się z przyłądka, nawet jeśli nie ma tu roboty.

Możesz wystartować o zasiłek.

— To nie wystarczy na odszkodowanie.

— Jedź, skoro musisz, ale ja właściwie mogłabym zostać. Właściciel nie powinien mieć nic przeciwko temu, jeśli po staremu będzie dostawał swoją dwójkę tygodniowo — obojętne, od kogo.

— Nie możesz mieszkać tu samotnie.

— Niby dlaczego? Mieszkałam w gorszych miejscach.

— A za co? Jak będziesz zarabiać na życie?

— Kiedy się zwiniesz, mogę iść do Opieki, nie? Ciebie nie będzie, więc niech sobie niuchają na zdrowie. Poza tym mam parę groszy na książeczce.

Niezamierzone okrucieństwo tego pomysłu ugodziło go prosto w serce. Z niesmakiem usłyszał w swoim głosie żalną nutę, której nie

44

INTRYGII I ŻĄDZE

potrafił wygłuszyć. Zapytał: — Naprawdę chcesz, Amy, żebym sobie pojechał?

— Nie bądź idiotą, po prostu cię podpuszczam. Słowo daję, Neil, szkoda, że się nie widzisz.

Siedem nieszczęść. Tak czy inaczej, może wszystko rozejdzie się po kościach — to znaczy proces o zniesławienie.

— Musi do niego dojść, jeśli Robarts nie wycofa pozwu. Jest już ustalony termin rozprawy.

— Może wycofa pozew, a może wykituje. Na przykład utonie podczas jednej z tych swoich nocnych kąpiei. Aż do grudnia, punktualnie jak w zegarku, po wiadomościach wieczornych pływa w morzu.

— Kto ci to powiedział? Skąd wiesz, że pływa w nocy?

— Ty we własnej osobie.

— Nie pamiętam, żebym ci mówił.

— No więc był to ktoś inny, może któryś z bywalców „Naszego Bohatera”. To w końcu żaden

sekret, nie?

— Ona nie utonie — odparł Neil. — Za dobrze pływa, nie ryzykuje głupio. Poza tym, jak mógłbym życzyć jej śmierci? Człowiek nie może głosić miłości, praktykując jednocześnie nienawiść.

— Ja bym mogła... to znaczy, życzyć jej śmierci. Może dopadnie ją Świstun. Albo ty wygrasz sprawę i wtedy to ona będzie musiała bulić. To by były jaja.

— Mało prawdopodobne. Kiedy w zeszły piątek byłem w Nor-wich, wpadłem do Biura Porad Prawnych dla Obywateli i pogadałem z adwokatem. Dał mi do zrozumienia, że jestem w tarapatach i powinienem wziąć sobie obrońcę.

— No to weź.

— Jakim cudem? Adwokaci żądają pieniędzy.-

— Więc ogłoś ściepę w biuletynie.

— Nie mogę tego zrobić. I tak, przy kosztach papieru i wysyłki, ledwo da się utrzymać biuletyn przy życiu.

— Coś tam wymyślę — powiedziała z nagłą powagą Amy. — Są jeszcze cztery tygodnie, a w tym czasie wiele się może zdarzyć. Przestań się truć, wszystko będzie w porządku. Posłuchaj, Neil, obiecuję ci, że ta sprawa o zniesławienie nigdy nie trafi przed sąd.

Było to całkiem nielogiczne, ale na chwilę odzyskał otuchę i nadzieję.

P. D. JAMES

7

Była szósta po południu i w Elektrowni Jądrowej Larksoken cotygodniowa narada między działowa dobiegała końca. Trwała dziś trzydzieści minut dłużej niż zazwyczaj. Dr Alex Mair wyznawał pogląd, który zwykle potrafił wprowadzić w życie dzięki energicznemu stylowi przewodniczenia obradom, że po trzech godzinach nieustannej gadaniny trudno liczyć na to, by ktokolwiek wystąpił w dyskusji z oryginalnym pomysłem. Tym razem jednak program narady był mocno przeładowany i obejmował punkty tak istotne, jak omówienie

— wciąż będącego w stadium przygotowawczym — zweryfikowanego systemu bezpieczeństwa; racjonalizacja struktur wewnętrznych, to jest zastąpienia siedmiu dotychczasowych działów trzema: Technicznym, Produkcyjnym i Zaopatrzenia; raport Rejonowego Laboratorium Pomiarów z prowadzonych na bieżąco badań środowiska, a wreszcie wstępne ustalenie spraw do omówienia podczas dorocznego spotkania Komisji Wspólnej. Było to przedsięwzięcie kłopotliwe, ale potrzebne dla podtrzymania kontaktów z opinią publiczną; każdy taki spęd wymagał starannych przygotowań, skoro brali w nim udział przedstawiciele rozmaitych agend rządowych, władz lokalnych, policji, straży pożarnej, administracji wodnej, Krajowego Związku Rolników oraz Stowarzyszenia Posiadaczy Ziemi. Maira irytowała niekiedy ta robota, bo pochłaniała masę czasu, ale zdawał sobie sprawę z jej znaczenia.

Cotygodniowa narada odbywała się w jego gabinecie, przy stole konferencyjnym, ustawionym na osi południowego okna. Na dworze zapadał już mrok i okno zmieniało się w czarny prostokąt; odbite w nim twarze uczestników spotkania przywodziły na myśl bezcielesne głowy siedzących w oświetlonym przedziale pasażerów nocnego pociągu. Mair podejrzewał, iż niektórzy szefowie działów — w szczególności naczelny inżynier Bill Morgan i Stephen Mansell z Konserwacji — woleliby, siedząc w wygodnych fotelach jego prywatnego salonu za ścianą, pogawędzić swobodnie i nieobowiązująco przez kilka godzin, a potem, być może, wyskoczyć wspólnie na drinka do miejscowego pubu. Cóż, byłby to też jakiś styl kierowania firmą, Mair nie należał jednak do jego wyznawców.

Zamknął sztywną okładkę swej teczki, zawierającej dokumenty, ułożone przez sekretarkę w logicznym porządku i opatrzone precyzyjnymi nagłówkami, a następnie, tonem, który zniechęcał do dalszej dyskusji, zapytał: — Czy mamy coś jeszcze?

46

INTRYGI I ŻĄDZE

Nie było mu jednak dane wywinąć się tak łatwo. Po jego prawicy zasiadał, jak zwykle, Miles Lessingham, kierownik produkcji, którego odbijająca się w szybie twarz przypominała oblicze

kostuchy cierpiącej na wodogłowie. Przeniósłszy wzrok z odbicia na oryginał, Mair nie dostrzegł zbyt dużej różnicy. Ostre sufitowe światła kładły mocne cienie pod głęboko osadzonymi oczyma, a na szerokim guzowatym czole, zwieńczonym niesforeną grzywką, połyskiwał pot. Lessingham wyciągnął się w krzesło i powiedział: — To stanowisko, czy też, jak powinienem raczej sprawę ująć — rzekome stanowisko... otóż mamy, jak sądzę, powody, by spytać, czy zostało ci już formalnie zaproponowane. A może nie mamy?

Mair odparł ze spokojem: — Odpowiedź brzmi nie, nie zostało; rzecz nagłośniono przedwcześnie. Prasa, jak zwykle, zdobyła skądś tę informację, oficjalnie jednak nic na razie nie postanowiono. Jednym z mniej fortunnych rezultatów naszego obecnego zwyczaju puszczania w obieg wszelkich interesujących informacji jest fakt, że ludzie, których one dotyczą, dowiadują się jako ostatni. Jeśli i kiedy sprawa nabierze oficjalnego biegu, was siedmioro powiadomię w pierwszej kolejności.

— Twoje odejście, Alex -* - powiedział Lessingham — będzie miało poważne implikacje.

Podpisaliśmy już kontrakt na nowy reaktor ciśnieniowo-wodny; reorganizacja w sposób nieuchronny wprowadzi zamieszanie; prywatyzuje się krajowy system energetyczny. To zły czas na zmianę kierownictwa.

— A czy kiedykolwiek jest na to dobry czas? — zareplikował Mair.

— Dyskusowanie jednak nad czymś, co jeszcze się nie zdarzyło i nie wiadomo, czy w ogóle się zdarzy, ma niewielki sens.

Kierownik działu chemicznego, John Standing, powiedział:

— Ale, jak przypuszczam, restrukturyzacja wewnętrzna zostanie doprowadzona do końca?

— Mam nadzieję. Wiem przecież, ile czasu i energii poświęciliśmy na jej zaplanowanie. Byłbym bardzo zdumiony, gdyby zmiana szefa miała wpłynąć na niezbędną i rozpoczętą już reorganizację przedsiębiorstwa.

— Kogo, twoim zdaniem, mianują — zapytał Lessingham — dyrektora czy kierownika siłowni?

— Pytanie nie było tak niewinne, jakby się mogło zdawać.

— Skłonny byłbym sądzić, że kierownika.

— Czyli stracimy "program badawczy"?

— Kiedy odejdę, teraz czy później — odrzekł Mair — program naukowy odejdzie razem ze mną. Zawsze o tym wiedzieliście. Przynie-

47

P. D. JAMES

słem go ze sobą, bo nie przyjąłbym tego stanowiska, gdybym go nie mógł tu kontynuować.

Poprosiłem o konkretne zaplecze badawcze i otrzymałem je. Lecz badania naukowe w Larksoken zawsze były czymś na kształt anomalii. Odwaliliśmy i odwalamy dobrą robotę, ale, na logikę, jej miejsce jest gdzie indziej, w Harwell albo Winfrith. Są jeszcze jakieś sprawy?

Lessingham nie należał jednak do ludzi łatwo dających za wygraną. Zapytał: — Komu będziesz podlegał? Ministrowi energetyki czy Komisji Energii Atomowej?

Mair znał odpowiedź, ale nie miał zamiaru jej udzielać. Odparł spokojnie: — Wciąż się o tym dyskutuje.

— Jak też o innych, bez wątpienia, drobnych kwestiach, na przykład pensji, przywilejach, zakresie obowiązków i tytule. Kontroler Energii Nuklearnej — to brzmi dumnie, to mi się podoba. Ale... co, ściśle rzecz ujmując, będziesz kontrolował?

Po dłuższej chwili milczenia Mair odparł: — Gdyby znano odpowiedź na to pytanie, nominacja, bez wątpienia, byłaby już faktem. Nie chcę tłumić dyskusji, czy jednak nie powinniśmy jej ograniczyć do problemów pozostających w kompetencjach tego gremium? Doskonale, czy mamy coś jeszcze? — Tym razem odpowiedziała mu cisza.

Hilary Robarts, kierowniczka administracyjna, zamknęła już swoją teczkę. Nie uczestniczyła w dyskusji, co — Mair doskonale zdawał sobie z tego sprawę — wszyscy inni wytłumaczają sobie tym, że po prostu została przezeń wcześniej wtajemniczona.

Nikt nie zdążył jeszcze wyjść z sali, gdy pojawiła się sekretarka Maira, Caroline Amphlett, aby zebrać filiżanki i posprzątać stół. Lessingham nałogowo pozostawiał na nim materiały, co było subtelnym protestem przeciwko masie papierzysk, płodzonych w wyniku każdej z cotygodniowych

narad. Doktor Martin Goss, kierownik działu medycznego[^] jak zwykle obsesyjnie mazał: jego brulion pokrywały ozdobne, misternie wyrysowane balony na gorące powietrze — najwyraźniej jakaś cząstka jego umysłu nie potrafiła ani na chwilę oderwać się od prywatnej pasji. Caroline Amphlett poruszała się z typowym dla siebie dyskretnym, oszczędnym wdziękiem. Pracowała u Maira jako jego sekretarka osobista od trzech lat, a przecież nie znał jej lepiej niż tamtego dnia, kiedy w tym samym gabinecie odbywał z nią rozmowę kwalifikacyjną. Była wysoką gładkoscórą blondynką o niedużych szeroko rozstawionych oczach niezwyklej, prawie granatowej barwy] mogłaby uchodzić za piękną, gdyby miała w sobie więcej życia. Mair podejrzewał, iż wykorzystuje swoją szczególną pozycję, aby

— świadomie przywdziewając maskę nieprzystępności — utrzymać

48

INTRYG I ŻĄDZE

innych na dystans. Nigdy nie miał bardziej kompetentnej sekretarki, bardzo się zatem poirytował, gdy dała mu jasno do zrozumienia, że pragnie pozostać w Larksoken bez względu na to, gdzie on, Mair, się przeniesie. Oznajmiła, iż motywy jej decyzji są osobiste. To oczywiście oznaczało Jonathana Reevesa, zajmującego niskie stanowisko inżyniera z warsztatów. Obiektem jej wyboru Mair był równie zaskoczony i zasmucony, jak perspektywą obejmowania nowej funkcji z nie sprawdzoną sekretarką u boku, jego reakcja wszakże miała dodatkowy i to bardziej niepokojący aspekt. Caroline nie reprezentowała tego typu kobiecej urody, jaki pociągał Maira, który nadto przypisywał jej oziębłość fizyczną. Myślał zatem speszony, że jakieś pryszczate zero odkryło w niej i może spenetrowało takie obszary osobowości, których on, podczas codziennych bliskich kontaktów, nawet nie podejrzewał. Zastanawiał się wprawdzie czasami, jakkolwiek bez prawdziwej ciekawości, czy przypadkiem Caroline nie jest w istocie znacznie bardziej skomplikowana, niż się może zdawać; miewał niekiedy niepokojące uczucie, że fasada pełnej zaangażowania, nieskłonnej do żartów kompetencji, jaką okazuje wszystkim pracownikom elektrowni, została po prostu starannie skonstruowana, aby ukryć charakter znacznie mniej układny i nieporównanie bardziej złożony. Jeśli jednak ta prawdziwa Caroline była osiągalna dla Jonathana Reevesa, jeśli naprawdę pragnęła tego nieatrakcyjnego mięczaka, to w gruncie rzeczy nie zasługiwała nawet na odrobinę jego zainteresowania.

8

Dał swoim szefom działów czas na powrót do biur i dopiero wtedy ponownie wezwał przez telefon Hilary Robarts. Mógł wprawdzie, i byłoby to znacznie bardziej naturalne, rzucić po zakończeniu narady uprzejmie bezosobową prośbę, by zechciała zostać chwilę dłużej, ale po pierwsze, to, co miał jej do powiedzenia, było ściśle poufne, a po drugie — od kilku już tygodni podejmował starania, aby możliwie najrzadziej widziano ich razem samych. Nie palił się do tej rozmowy. Hilary uzna ją za krytykę osobistą, a to, jak dyktowało Mairowi doświadczenie, potrafi znieść niewiele kobiet. Pomyślał: „Kiedyś była moją kochanką. Darzyłem ją taką miłością, na jaką umiałem się zdobyć. Jeśli natomiast nie była to miłość, cokolwiek słowo «miłość» znaczy,

4 Intrygi i żądze

49

P. D. JAMES

przynajmniej jej pragnąłem. Czy ułatwi to, czy utrudni wyartykułowanie wszystkich tych rzeczy, które mam jej do powiedzenia?" Mówił sobie, że wszyscy mężczyźni stają się tchórzami, kiedy dochodzi do konfrontacji z kobietą. To zrodzone z fizycznej zależności podporządkowanie z pierwszych chwil życia jest w podświadomość wryte zbyt silnie, aby kiedykolwiek mogło ulec pełnemu wymazaniu. Nie był bardziej tchórzliwy niż inni przedstawiciele jego płci. Co to w sklepie w Lydsett powiedziała do kumoszki jakaś niewiasta? „George robi wszystko, byle tylko uniknąć sceny". Jasne, że robi, biedny frajer. Zabdały o to w pierwszych czterech tygodniach życia kobiety z ich ciepłkiem o zapachu łona, z ich łagodnym głosem, z ich mlecznymi piersiami. Wstał, kiedy weszła, i poczekał, aż usiądzie na krześle po drugiej stronie biurka. Potem wyjął z prawej szuflady i pchnął przez blat arkusz papieru kserograficznego.

— Widziałas to? Najnowszy biuletyn Neila Pascoe ze SPEN-u.

Odparła: — Społeczeństwo Przeciwno Energii Nuklearnej. Czyli Pascoe i pół tuzina innych

niedoinformowanych historyków. Oczywiście, że widziałam. Jestem na jego liście adresowej. Nigdy nie zapomina, żeby mi to przesłać.

Rzuciła na arkusz przelotne spojrzenie, a potem odsunęła go od siebie. Mair podniósł biuletyn i zaczął czytać: — „Wielu czytelników wie już zapewne, że zostałem oskarżony przez pannę Hilary Robarts, kierowniczkę administracyjną Elektrowni Jądrowej Larksoken, o zniesławienie, którego jakoby dopuściłem się w swoim artykule, zamieszczonym w majowym wydaniu biuletynu. Będę, rzecz jasna, usilnie dowodzić słuszności wyrażonych w nim poglądów, a skoro nie stać mnie na adwokata, wystąpię w roli własnego obrońcy. Jest to najświeższy przykład zagrożenia, jakie dla wolnego obiegu informacji, a nawet wolności słowa, stwarza lobby zwolenników energii nuklearnej. Najwyraźniej od tej chwili następstwem krytyki, wyrażonej nawet w najłagodniejszej formie, będzie groźba procesu sądowego. Rzecz ma jednak swój aspekt pozytywny. Poczynania Hilary Robarts dowodzą, że nasza aktywność, aktywność zwykłych mieszkańców tego hrabstwa, nie jest zawieszona w próżni. Czyż zawracaliby sobie głowę naszym małym biuletynem, gdyby nie zaczynał ogarniać ich lęk? A pozew o zniesławienie, jeśli istotnie dojdzie do procesu i jeśli zrzecznie wykorzystamy sytuację, uczyni naszą sprawę głośną w całym kraju. Jesteśmy silniejsi, niż myślimy. Tymczasem przedstawiam poniżej daty następnych dni otwartych w Larksoken, aby wzięło w nich udział tak wielu z nas, jak to możliwe, i podczas briefingu, poprzedzającego

50

INTRYGII I ŻĄDZE

zwykle zwiedzanie elektrowni, donośnie wyraziło swój protest przeciwko energii nuklearnej”.

— Powiedziałam ci przecież, że to widziałam — stwierdziła Hilary Robarts. — Nie wiem, po co traciłeś czas na czytanie. Pascoe, jak się zdaje, chce za wszelką cenę zadrażnić sprawę. Gdyby miał choć szczyptę oleju w głowie, znalazłby sobie dobrego adwokata i trzymał buzię na kłódkę.

— Nie stać go na adwokata. I nie będzie miał z czego zapłacić odszkodowania. — Urwał, a potem dodał cicho: — Sądzę, że w interesie elektrowni powinnaś wycofać oskarżenie.

— Czy to polecenie służbowe?

— Nie mam takiej władzy i ty dobrze o tym wiesz. Po prostu zwracam się z prośbą. Nic z niego nie wyciśniesz, bo jest praktycznie bez grosza, a poza tym nie sądzę, żeby był wart zachodu.

— Dla mnie jest wart. Coś, co określa mianem łagodnej krytyki, było w istocie poważnym zniesławieniem, które ponadto szeroko rozpowszechniał. Nie ma nic na swoją obronę. Pamiętasz słowa, jakich użył? „Kobieta, której jedyną reakcją na Czarnobyl było stwierdzenie, iż zginęło zaledwie trzydzieści jeden osób — która zatem potrafi zbagatelizować jedną z największych katastrof atomowych świata i jej efekty: tysiące hospitalizowanych, setki tysięcy narażonych na ujemny wpływ promieniowania radioaktywnego, dewastację olbrzymich obszarów, ewentualność pięćdziesięciu tysięcy zgonów na raka w ciągu najbliższego półwiecza — otóż kobieta taka nie zasługuje na kredyt zaufania, dający prawo do pracy w elektrowni jądrowej. Dopóki sprawując jakąkolwiek funkcję wykonuje taką pracę, musimy mieć bardzo poważne wątpliwości, czy sprawy bezpieczeństwa traktuje się w Larksoken serio”. To jednoznaczny zarzut niekompetencji zawodowej. Jeśli ujdzie mu to na sucho, już zawsze będzie nam siedział na karku.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że wzięliśmy się do eliminowania kłopotliwych krytyków. Jaki system chciałabyś zastosować?

Urwał, wychwytyjąc w swoim głosie pierwsze ślady owej agresywnej mieszaniny sarkazmu i pompatyczności, do której — jak wiedział — jest niekiedy skłonny i na którą był chorobliwie przewrażliwiony. Podjął: — Jest wolnym obywatelem, żyjącym tam, gdzie ma ochotę. Nikt nie odmawia mu prawa do własnych poglądów. Hilary, to nie jest przeciwnik godny ciebie. Zawlecż go przed sąd, a narobi pozytywnego hałasu wokół swojej sprawy, twojej przynosząc uszczerbek. Próbuje pozyskać sobie tutejszych mieszkańców, nie zaś ich antagonizować. Daj temu spokój, zanim ktoś

51

P. D. JAMES

nie zacznie finansować jego obrony. Na przykładu Larksoken zupełnie wystarczy jeden męczennik. Kiedy mówił, Hilary wstała i zaczęła przemierzać od ściany do ściany obszerny gabinet. Potem

zatrzymała się i zwróciła w stronę Maira. — A więc o to w tym wszystkim chodzi? Reputację elektrowni, twoją reputację? A co z moją? Wycofując się teraz z oskarżenia, przyznam otwarcie, że miał słuszność, a ja nie nadaję się do tej pracy.

— To, co napisał, nie zaszkodziło twojej reputacji wobec tych, którzy się naprawdę liczą. A wytaczanie mu sprawy sądowej nie doprowadzi do niczego dobrego. To nierozważne pozwalać, by urażona duma osobista wpływała na kwestie zawodowe lub co gorsza stwarzała dla nich zagrożenie. Jedyna sensowna taktyka to dać temu wszystkiemu spokój. — Stwierdził, że trudno mu usiedzieć na miejscu, gdy ona, z regularnością wahadła, chodzi przed jego oczyma w tę i z powrotem. Wstał i podszedł do okna; słyszał teraz gniewny głos Hilary, ale nie musiał jej stawiać czoła i tylko obserwował odbicie maszerującej sylwetki o głowie w aureoli falujących włosów. — Co znaczą uczucia? — powiedział. — Naprawdę liczy się tylko praca.

— Dla mnie one znaczą wiele. I to jest coś, czego nigdy nie potrafiłeś zrozumieć, prawda? Życie składa się z uczuć. Miłość jest uczuciem. Tak samo było ze skrobanką. Zmusiłeś mnie, bym ją sobie zrobiła. Czy zadałeś sobie wówczas pytanie, co czułam, czego potrzebowałam?

O Boże, pomyślał, tylko nie to, tylko nie teraz, tylko nie znowu. Odrzekł, wciąż odwrócony do niej plecami: — To absurdalny zarzut, że cię zmusiłem. W jaki sposób mógłbym to zrobić? I sądziłem, że podzielasz mój punkt widzenia: nie mogłaś urodzić dziecka.

— Och, ale mogłam. Jeśli masz tak cholernego kręćka na punkcie precyzji, bądźmy precyzyjni i w tej sprawie. Byłoby to niewygodne, żenujące, kłopotliwe, kosztowne. Ale zarazem najzupełniej możliwe. Wciąż jest możliwe. I, na miłość boską, odwróć się od tego okna. Popatrz mi w oczy. Mówię do ciebie. I to, co mówię, jest ważne.

Odwrócił się i stanął za biurkiem. Powiedział z opanowaniem: — W porządku, nie wyraziłem się ściśle. Miej sobie dziecko, jak najbardziej, jeśli tego naprawdę chcesz. Będę dzielił z tobą szczęście tak długo, jak długo nie będziesz oczekiwać, bym mu ojcował. W tej chwili jednak rozmawiamy o Neilu Pascoe i SPEN-ie. Zadaliśmy sobie wiele trudu, by nawiązać dobre stosunki ze społecznością lokalną, i nie dopuszczę, by ten kawał dobrej roboty został zniweczony zupełnie zbędnym procesem sądowym — zwłaszcza teraz, w przeddzień rozpoczęcia prac przy instalacji nowego reaktora.

52

INTRYGII I ŻĄDZE

— Więc spróbuj zapobiec procesowi. A skoro mówimy o stosunkach ze społecznością lokalną, jestem zaskoczona, że nie wspomniałeś o Rynie Blaneyu i Chacie Żeglarza. Mojej chacie, jeśli przypadkiem zapomniałeś. Czego oczekuje się po mnie w tej sprawie? Że w interesie dobrych stosunków ze społecznością lokalną podaruję ją Blaneyowi i jego dzieciakom?

— To zupełnie inny problem i jego rozstrzygnięcie nie należy do obowiązków dyrektora elektrowni. Jeśli jednak chcesz poznać moje prywatne zdanie, to sądzę, iż postępujesz błędnie, starając się wyeksmitować Blaneya tylko dlatego, że masz za sobą prawo. Płaci czynsz regularnie, prawda? A ty przecież nie chcesz zamieszkać w chacie.

— Ale chcę ją odzyskać. Należy do mnie. Kupiłam ją, a teraz zamierzam sprzedać.

v

Opadła na krzesło i usiadł również Mair. Zmusił się, by spojrzeć w jej oczy; ku swojemu zakłopotaniu dostrzegł w nich więcej bólu niż gniewu. Powiedział: — Przypuszczalnie dobrze o tym wie i wyprowadzi się przy pierwszej okazji, co jednak nie jest takie proste. Niedawno owdowiał i ma na utrzymaniu czwórkę dzieci. Tutejsi mieszkańcy okazują mu, jak się orientuje, wiele współczucia.

— Bez wątplenia, zwłaszcza w „Naszym Bohaterze”, gdzie Ryan Blaney trwoni większość swojego czasu i pieniędzy. Nie mam zamiaru zwlekać. Jeśli w ciągu trzech najbliższych miesięcy przenosimy się do Londynu, nie ma zbyt wiele czasu na uporządkowanie spraw związanych z chatą. Nie lubię pozostawiać za sobą rozgrzebanych interesów. Chcę najszybciej, jak to możliwe, rzucić nieruchomości na rynek.

Wiedział, że jest to najważniejszy moment, by oświadczyć stanowczo: „Może istotnie przeniosę się do Londynu; ty jednak zostaniesz”, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wmawiał sobie, że jest już późno, a schyłek pracowitego dnia nie sprzyja racjonalnej wymianie poglądów. Że Hilary miała aż

nadto powodów do zdenerwowania. Wysondował ją w sprawie Neila Pascoe i, jakkolwiek zareagowała zgodnie z przewidywaniami, nie tracił nadziei, że przemyśli sprawę i postąpi w myśl jego wskazówek. Natomiast co do Ryana Blaney, miała zupełną rację — nic go to nie powinno obchodzić. Rozmowa utwierdziła go w przeświadczeniu o słuszności dwóch decyzji, jakie zamierzał podjąć. Hilary Robarts nie pojedzie z nim do Londynu; nie otrzyma też od niego rekomendacji na sprawowane dotąd jako p.o. stanowisko kierownika administracyjnego. Mimo całej swojej kompetencji, inteligencji i odpowiedniego wykształcenia, nie była właściwym człowiekiem do tej roboty. Przez moment pomyślał, że ma w ręku monetę przetargową: „Nie proponuję ci małżeństwa, lecz

53

P. D. JAMES

najwyższą funkcję, o jaką mogłabyś się ubiegać" — ale zaraz doszedł do wniosku, iż pokusa jest czysto iluzoryczna. Pod żadnym pozorem nie pozostawi w jej rękach administrowania elektrownią Larksokeni. Wcześniej czy później Hilary będzie musiała zdać sobie sprawę, że ani małżeństwo, ani awans, nie wchodzi w grę. Teraz jednak nie był po temu odpowiedni moment; Mair zastanawiał się z niewesołym rozbawieniem, czy taki moment nastąpi kiedykolwiek.

Powiedział więc po prostu: — Posłuchaj, jesteśmy tu po to, by kompetentnie i bezpiecznie kierować elektrownią atomową. Wykonujemy pracę niezbędną i ważną. Oczywiście, jesteśmy jej oddani, bo w innym wypadku poszukalibyśmy sobie innej. Jesteśmy jednak naukowcami i technikami, nie zaś ewangelistami. Nie prowadzimy kampanii religijnej.

— Prowadzi ją jednak ta druga strona, Pascoe. Widzisz w nim gnojka bez znaczenia. Ale nim nie jest. Jest natomiast nieuczciwy i niebezpieczny. Popatrz tylko, jak wygrzebuje z archiwów pojedyncze przypadki białaczki, które — jego zdaniem — można przypisać wpływowi promieniowania. Ten ostatni raport o skażeniach był wodą na młyn jego obłudnej troski. A co powiesz o biuletynie z zeszłego miesiąca, tych historycznych banialukach na temat pociągów śmierci, sunących bezgłośnie o północy przez podmiejskie dzielnice Londynu? Ludzie pomyślą, że na otwartych lorach wiozły odpady radioaktywne. Czy tego faceta zupełnie nie obchodzi fakt, że jak dotąd energia nuklearna zaoszczędziła światu pięćset milionów ton węgla? Czy nigdy nie słyszał o efekcie cieplarnianym? Czy ten błazen jest zupełnym ignorantem? Czy ma pojęcie, jakim dewastowaniem planety jest wykorzystywanie paliw kopalnych? Czy nikt mu nie mówił o kwaśnych deszczach, rakotwórczym działaniu popiołów? A skoro mowa o niebezpieczeństwie... dlaczego nie wspomina o pięćdziesięciu siedmiu górnikach, żywcem pogrzebanych w Borken w tym roku? Czy ich życie nie miało znaczenia? Wyobraź sobie ten wrzask, gdyby to był wypadek atomowy.

— Pascoe to tylko jeden głos — odrzekł Mair — w dodatku głos żałośnie ignorancki.

— Ale nie woła na puszczy i dobrze o tym wiesz. Musimy pasji przeciwstawić pasję. Jego umysł skoncentrował się na tym słowie. Nie mówimy, pomyślał, o energii nuklearnej, mówimy o pasji. Czy w ogóle doszłoby do tej rozmowy, gdybyśmy nadal byli kochankami? Ona domaga się ode mnie zaangażowania w coś więcej, aniżeli tylko energia atomowa. Odwróciwszy się w jej stronę, poczuł nagle, że ogarnia

54

INTRYGI I ŻĄDZE

go nie tyle pożądanie, co nieprzyjemnie intensywne wspomnienie pożądania, jakie w nim kiedyś budziła. Ze wspomnieniem zaś, równie jak ono niespodziewanie, nawiedził go plastyczny obraz: byli razem w jej chacie... miał nad sobą ciężkie piersi Hilary... włosy... dłonie... uda.

Powiedział gburowato: — Jeśli chcesz religii, potrzebujesz, to jej sobie poszukaj. Jest z czego wybierać. Fakt, opactwo leży w ruinie i wątpię, czy ten stetryczały kapłan ze Starej Plebanii ma wiele do zaoferowania. Ale znajdź sobie coś lub kogoś: zacznij pościć, przejdź na wegetarianizm, odmawiaj różaniec, posypuj głowę popiołem, medytuj cztery razy dziennie, bij pokłony w stronę swojej własnej prywatnej Mekki. Tylko, na miłość boską — zakładając, że Bóg istnieje — nie przerabiaj nauki na religię.

Zadzwonił stojący na biurku telefon. Wychodząc, Carofine Amph-lett przełączyła go na linię

zewnątrzną. Mair podniósł słuchawkę i zobaczył, że Hilary stoi już w drzwiach. Rzuciła mu na pożegnanie przeciągłe spojrzenie, a potem wyszła, zatraskując drzwi z nadmierną mocą. Dzwoniła siostra Maira. Powiedziała: — Miałam nadzieję, że cię jeszcze złapię, bo zapomniałam wcześniej poprosić, żebyś wpadł na farmę Bollarda po kaczki na czwartek. Są już przygotowane. A tak nawiasem mówiąc, będzie nas sześcioro. Zaprosiłam Adama Dalglisha. Wrócił na przylądek. Zdołał odpowiedzieć głosem równie opanowanym, jak ten, którym siostra przekazała mu informację.

— Gratuluję. Przez pięć minionych lat jego ciotka i on uciekali się do nader pomysłowych wybiegów, aby uniknąć kolacji u sąsiadów. Jak tego dopięłaś?

— Proste: wystąpiłam z zaproszeniem. Zakładałam, że rozważy myśl o zatrzymaniu młyna jako domu letniego i być może doszedł do wniosku, iż najwyższy czas pogodzić się z faktem posiadania sąsiadów. Jeśli natomiast zamierza go sprzedać, ryzyko fraternizacji podczas jednego spotkania towarzyskiego jest niewielkie. Czemu jednak nie mielibyśmy przypisać mu drobnej ludzkiej słabostki — pokusy zjedzenia smacznej kolacji, której nie będzie musiał sam sobie przyrządzać? No i obecność Dalglisha sprawi, że przy stole zostanie zachowana równowaga płci, pomyślał Mair, choć mało prawdopodobne, aby Alice wzięła pod uwagę ten aspekt sprawy. Gardziła tą zasadą rodem z Arki Noego, w myśl której nadliczbowy mężczyzna, bez względu na to, jak głupi czy nieciekawym, jest zupełnie do przyjęcia, podczas gdy nadlicz-

55

P. D. JAMES

bową kobietą, nawet niebywale dowcipną i znakomicie wykształconą, stanowi źródło towarzyskiego zakłopotania.

— Czy oczekuje się po mnie, że będę dywagował na temat jego poezji? — zapytał.

— Przypuszczam, że zjawił się w Larksoken, aby umknąć przed ludźmi, którzy chcą mówić o jego poezji. Nie zaszkodzi jednak, gdybyś rzucił na nią okiem. Mam najnowszy tom. W dodatku jest to poezja, nie zaś dziwacznie poukładana proza.

— Któż się zdoła połapać w tej współczesnej literaturze?

— Och, zdoła — odparła. — Tekst jest prozą, kiedy można go czytać jako prozę. To niezawodny sprawdzian.

— Wątpię, czy podpisaliby się pod nim krytycy. Wychodzę za dziesięć minut i nie zapomnę o kaczkach. — Uśmiechał się, odkładając słuchawkę. Jego siostra zawsze potrafiła przywrócić mu dobry humor.

9

Zanim wyszedł, stanął na chwilę w drzwiach, pozwalając oczom pobłądzić po gabinecie, jakby widziały go po raz ostatni. Pragnął tego nowego stanowiska, przenikliwie planował i intrygował, aby je zdobyć. A teraz, kiedy je prawie osiągnął, uświadomił sobie, jak bardzo będzie mu brakować Larksoken z jego oddaleniem od świata i nagą bezkompromisową potęgą. Nie uczyniono nic, żeby — jak w Sizewell na wybrzeżu Suffolk — upiększyć same zabudowania albo otoczyć je wypielegnowanym parkiem, pełnym nieskazitelnych trawników, ukwieconych drzew i krzewów, który tak korzystne wrażenie wywierał na nim podczas okresowych wyjazdów do Winfrith w Dorset. Tutaj tylko biegnący łukiem od strony morza niski mur w kamiennych obłogach i, każdej wiosny, wstęga szarpanych marcowym wiatrem jaskrawych narcyzów łagodziły szary żelbetowy masyw elektrowni. Ale to mu się właśnie podobało — rozfalowany pod bezkresnym niebem, szaroszmaragdowy, haftowany bielą ogrom, który, wyciągnąwszy tylko rękę, aby otworzyć okno, wpuszczał do swego gabinetu jako równy, głuchy pomruk, przypominający głos odległej burzy. Najbardziej lubił zimowe wieczory ze sztormową pogodą; zasiedziawszy się w pracy do późna, widział światła statków, idących wzdłuż wybrzeża ku torom wodnym Yarmouth, i migotanie latarni morskiej

56

INTRYG I ŻĄDZE

Happisburgh, która od pokoleń przestrzegwała żeglarzy przed zdradzieckimi mieliznami. Nawet najciemniejszą nocą, w blasku światła, które morze zdawało się tajemniczo wchłaniać i odbijać,

mógł dostrzec imponującą piętnastowieczną zachodnią wieżę kościoła w Happisburgh, zwieńczony blankami symbol rozpaczliwej obrony człowieka przed tym najbardziej niebezpiecznym z mórz. Symbol czegoś więcej... Wieża musiała być ostatnim skrawkiem stałego lądu, jaki, w czasach wojny i pokoju, widziały setki żeglarzy, którzy już nigdy nie wrócili z rejsu. Umysł Maira, zawsze przywiązany do faktów, z łatwością przywoływał szczegóły. Załoga HMS Peggy, wyrzuconej na brzeg 19 grudnia 1770, 119 członków załogi HMS Invincible, który — płynąc do Kopenhagi, aby połączyć się z flotą Nelsona — wpadł na mieliznę i zatonął, ludzie z HMS Hunter, zaginionego w 1804 na morzu kutra straży celnej... wielu tych marynarzy znalazło ostatni spoczynek pod trawiastymi kopczykami przykościelnego cmentarza w Happisburgh. Zbudowana w epoce wiary, wieża kościelna była również symbolem tej ostatniej, ufnej nadziei umierających, że fale oddadzą ich ciała zbawieniu, że ich Bóg włada morzem tak samo, jak włada ziemią. Teraz jednak oczom żeglarzy ukazywał się inny widok: wieża kościoła ginęła wobec kanciastej potęgi Elektrowni Jądrowej Larksoken. Dla tych, którzy szukają symboliki w rzeczach nieożywionych, przesłanie, jakie niosła elektrownia, było proste i oczywiste — że człowiek, dzięki swej inteligencji i pracy, może zrozumieć świat i zapanować nad nim, czyniąc w ten sposób przelotny epizod swojego żywota znośniejszym, wygodniejszym i bardziej wolnym od cierpień. Dla Maira było to dostateczne wyzwanie i wystarczająca religia, jeśli religii w ogóle potrzebował. Ale czasami, w najciemniejsze noce, kiedy fale tłukły o brzeg jak salwy z odległych armat, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tak nauka, jak i jej symbol, może wcale nie pożyją dłużej niż ci polegli marynarze; zastanawiał się wtedy, czy ogromne cielsko elektrowni za przykładem betonowych umocnień z ostatniej wojny nie ulegnie morzu, stając się, jak one, zrujnowanym symbolem długiej historii borykania się człowieka z tym pustkowiem. A może zdoła się oprzeć nawet czasowi i Morzu Północnemu, aby trwać jeszcze wtedy, gdy nad planetą zapanuje ostateczna ciemność? Kiedy Mair wpadał w nastrój szczególnie pesymistyczny, jakaś niepokorna częśćka jego umysłu mówiła, że nadejście owych ciemności jest nieuniknione, chociaż nie nastąpi ono ani za życia tego, ani być może — następnego pokolenia. Mair uśmiechał się chwilami z ironią, świadom, że — z różnych wprawdzie pozycji — zrozumieliby się z Neilem Pascoe znakomicie. Różnica między nimi polegała wyłącznie na tym, że tylko jeden z nich miał nadzieję.

57

P. D. JAMES

10

Jane Dalgliesh kupiła Wiatrak Larksoken pięć lat temu, kiedy przeniosła się w te strony z wybrzeża Suffolk. Wiatrak, wybudowany w 1825 roku, był malowniczą trzypiętrową wieżą z cegły, miał spiczasty ośmiokątny dach i szkieletowe skrzydła. Poprzedni właściciele przerobili go na dom nadmorski, dobudowując piętrowe skrzydło o fasadzie wyłożonej kamieniem; na parterze znalazł miejsce duży salon, nieco mniejszy gabinet i kuchnia, wyżej zaś — trzy sypialnie, w tym dwie z własnymi łazienkami. Dalgliesh nigdy nie pytał ciotki, dlaczego przeprowadziła się do Norfolk, przypuszczał jednak, że ujęło ją położenie na odludziu, bliskość interesujących siedlisk ptaków i rozpościerający się z poddasza wspaniały widok na przylądek, morze i niebo. Być może zamierzała przywrócić wiatrakowi jego funkcję użytkową, posuwając się w latach nie zdołała jednak znaleźć w sobie dostatecznie wiele energii, by sprostać kłopotliwemu zadaniu. Odziedziczywszy wiatrak, Dalgliesh uznał go za sympatyczny, choć zarazem odrobinę uciążliwy dar losu. Pochodzenie dość znacznej fortuny, stanowiącej drugą część spadku, stało się jasne dopiero po śmierci ciotki — zapisał ją pannie Dalgliesh znany ekscentryk i ornitolog-amator, z którym przyjaźniła się wiele lat. Czy ich stosunki wzajemne wykraczały poza ramy przyjaźni, Dalgliesh nie wiedział i nie miał się już nigdy dowiedzieć. Ciotka odrobinę pieniędzy wydała na siebie, była wytrwałą donatorką kilku dość niezwykłych akcji dobroczynnych, które aprobowała i o których, jakkolwiek bez nadmiernej szczodroblewości, wspomniała w testamencie; całą resztę majątku przekazała natomiast Dalglieshowi, bez jakichkolwiek prawdę mówiąc wyjaśnień, ostrzeżeń czy też wyrazów uczucia, choć Dalgliesh nie miał najmniejszych wątpliwości, że słowa „mój najdroższy bratanek” oznaczają dokładnie to, co chciała powiedzieć. Lubił ją, szanował i nigdy nie był skrepowany jej towarzystwem, choć zarazem miał świadomość, że w jakimś stopniu zawsze stanowiła dla niego

zagadkę, którą niestety już pozostanie. Był trochę zaskoczony tym, jak bardzo przeżywa jej odejście.

Kiedy w garażu — jedynej inwestycji, zrobionej przez ciotkę na terenie posesji — rozładował jaguara, postanowił, póki wciąż jest jasno, wspiać się na poddasze wiatraka. Pomieszczenie na dole — ze wspartymi o ścianę dwoma granitowymi kamieniami młyńskimi, z wciąż wyczuwalnym zapachem mąki — nadal miało tę atmosferę tajemniczości, zatrzymanego czasu, miejsca, któremu odebrano celo-

58

INTRYG I ŻĄDZE

wość i znaczenie, i wchodząc do niego Dalglish jak zwykle doświadczył przelotnego uczucia smutku. Poszczególne kondygnacje były połączone tylko drabinami; chwytając szczebel Dalglish nie mógł opędzić się wrażeniu, iż widzi odziane w spodnie nogi ciotki, znikające w górnej izbie. Korzystała tylko z pomieszczenia na poddaszu, wyposażonego w małe biurko, krzesło, ustawione przodem do Morza Północnego, lornetkę i telefon. Pamiętał, jak siadywała tu w letnie dni i wieczory, pracując nad artykułami, które niekiedy pisywała dla czasopism ornitologicznych, i podnosząc od czasu do czasu głowę, by ogarnąć spojrzeniem przylądek, morze i daleki horyzont; widział jej rzeźbioną, smagłą aztecką twarz o głęboko osadzonych oczach pod ujętymi w kok szpakowatymi włosami; słyszał jej głos, jeden z najpiękniejszych, jak uważał, kobiecych głosów na świecie.

Było już późne popołudnie, miękki przedwieczorny blask wzbogacał fakturę przylądka, a morze, maźnięte na horyzoncie malarską purpurową krechę, kładło się w dole łagodnie pomarszczonym błękitnym bezmiarem. Kolory i kształty nabierały intensywności w ostatnich silnych promieniach słońca i ruiny opactwa zaczęły robić wrażenie złocistej, ulotnej fantazji z błękitem w tle, sucha trawa zaś skrzyła się tak, jak soczysta wilgotna łąka. Cztery okna otwierały się na cztery strony świata; z lornetą przy oczach Dalglish powoli penetrował otoczenie. Na zachodzie, wzdłuż drogi biegnącej pomiędzy oszaricowaniami z zielsk i kamieni, jego wzrok docierał do wioski Lydsett — krytych esówką, obłożonych kamieniem domów z facjatkami i okrągłej wieży kościoła św.

Andrzeja pomiędzy nimi. Perspektywę północną dominował masyw elektrowni — z przodu płaski budynek administracyjny, dalej reaktor, a wreszcie stalowo-aluminiowa skorupa ogromnej hali turbin. Na czterysta metrów w morze wchodziły platformy i wieże, pobierające wodę do chłodzenia reaktora. Z okna wschodniego widać było pojedyncze budowle przylądka — ku południowi dach Chaty Żeglarza, tuż na lewo krzemienne obłogi Chaty Męczennicy, skrzące się jak marmur, a niespełna pół mili na północ od nich, pomiędzy kalifornijskimi sosnami zarastającymi tę część wybrzeża, dom wynajmowany przez Hilary Robarts: nie przystająca do surowości otoczenia schludnie sześcienną podmiejską willę, która, zwrócona frontem w stronę ładu, jakby celowo ignorowała morze. Dalej w głąb przylądka — zaledwie widoczna z południowego okna, niczym wiktoriański domek dla lalek — Stara Plebania tkwiąca w centrum obszernego zapuszczonego ogrodu, który jednak, z tej odległości, wyglądał tak schludnie, jak zielony park miejski.

59

P. D. JAMES

Zadzwoił telefon, irytując Dalglisha swoim przenikliwym syg-' nałem. Larksoken miało być miejscem ucieczki przed natrętnymi telefonami, tego jednak należało się spodziewać. Terry Rickards pytał, czy nie sprawiłby zbyt wielkiego kłopotu, gdyby wpadł na krótką pogawędkę z panem Dalglishem; a jeśli tak, to czy panu Dalglishowi odpowiadałaby dziewiąta wieczorem? Dalglishowi nie przyszła do głowy ani jedna wymówka.

Dziesięć minut później wyszedł z wiatraka, zamykając za sobą drzwi na klucz, co było z jego strony drobnym aktem pamięci. Ciotka zawsze ryglowała drzwi, obawiając się, by dzieci, zwabione do wnętrza wiatraka, nie pospadały z drabin i nie zrobiły sobie krzywdy. Zostawiając wieżycę jej mrokowi i pustce, wrócił do Chaty przy Wiatraku, żeby rozpakować się i przyrządzić kolację. Wielki salon, ze swą kamienną podłogą, dywanami i otwartym kominkiem, był wygodną a zarazem nostalgiczną mieszaniną starego z nowym. Większość mebli, odziedziczonych przez ciotkę jako ostatnią ze swego pokolenia, pamiętał jeszcze z chłopięcych wizyt u dziadków. Względnie nowy

był tylko radioadapter i telewizor. Muzyka była w jej życiu ważna i półki dźwigały obszerną kolekcję płyt, wśród których w czasie swych dwutygodniowych wakacyjnych przyjazdów Dalgliesh znajdował i coś dla relaksu, i coś na pocieszenie. Sąsiednia kuchnia nie zawierając nic zbędnego, zawierała jednak wszystko niezbędne kobiecie, która lubiła dobrze zjeść, ale starała się gotować jak najmniejszym wysiłkiem. Dalgliesh położył na ruszcie dwa kotlety jagnięce, zrobił zieloną sałatę i przygotował się psychicznie na kilka godzin samotności przed wtargnięciem Rickardsa z jego kłopotami.

Wciąż trochę zdumiewał go fakt, że ciotka kupiła na koniec odbiornik telewizyjny. Czy dała się skłonić do konformizmu doskonałością programów przyrodniczych, by potem, jak wielu znanych Dalglieshowi neofitów, chłonać dosłownie każdy punkt programu w czymś, co sprawiało pozór próby odrobienia straconego czasu? To przynajmniej wydawało się mało prawdopodobne. Włączył odbiornik, żeby sprawdzić, czy jest na chodzie. Po ekranie płynęły napisy, a w ich tle jakiś podrygujący idol muzyki pop wymachiwał gitarą i lubieżnie toczył biodrami w popisie tak groteskowym, że trudno było dać wiarę, iż nawet ogłupiała młodzież może go uznać za erotyczny. Dalgliesh wyłączył telewizor i podniósł wzrok na olejny portret swojego pra-pradziada po kądzieli, biskupa z czasów królowej Wiktorii; świątobliwy mąż, w szatach sakralnych, lecz bez mitry, pewnie rozsiadł się w fotelu, wspierając na poręczach ramiona w obszernych rękawach. Dalgliesh doznał pokusy, aby powiedzieć: „To jest muzyka końca lat

60

INTRYG I ŻĄDZE

tysiąc dziewięćset osiemdziesiątych; tacy są nasi bohaterowie; ta żelbetowa skorupa na przyłładku reprezentuje naszą architekturę, a ja nie próbuję nawet zatrzymać auta, żeby podwieźć dzieci do domu, bo wiem, że nie bez powodu zostały nauczone, iż każdy nieznajomy jest potencjalnym porywaczem lub gwałcicielem". Mógłby nawet dodać: „A gdzieś tam krąży masowy morderca, który podnieca się duszeniem kobiet i napychaniem ich ust włosami", gdyby nie fakt, że zboczenia pojawiają się niezależnie od zmieniających się mód i prapradziad odpowiedziałby mu sumiennie i pryncypialnie. Czyż bowiem nie został konsekrowany w roku 1880, roku Kuby Rozpruwacza? I przypuszczalnie łatwiej by mu było zrozumieć Świstuna aniżeli gwiazdora popu, którego wygibasy przekonałyby go, iż oto człowiek miota się w ostatnich drgawkach szaleńczego tańca Świętego Wita.

Rickards przybył punktualnie. Była dokładnie dziewiąta, kiedy Dalgliesh usłyszał nadjeżdżający samochód i otworzywszy drzwi, zobaczył kroczącą ku sobie wysoką postać. Dalgliesh stwierdził z zaskoczeniem, że w ciągu dziesięciu lat, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, Rickards zmienił się niewiele; czas, małżeństwo, oddalenie od Londynu i awans nie pozostawiły na nim widocznych śladów. Jego licząca z górą sześć stóp wzrostu, chuda, niezgrabna sylwetka tak samo jak kiedyś wyglądała dziwnie w wizytowym garniturze, ogorzała zaś twarz, z wiecznym wyrazem męskiego hartu, prezentowałyby się znacznie lepiej nad golfem marynarskiego swetra, szczególnie z haftem RNLI* na piersi. Widziana z profilu, jego twarz o lekko zakrzywionym nosie i wyrazistych brwiach sprawiała silne wrażenie. Kiedy jednak stał do obserwatora przodem, okazywało się, że nos jest trochę za gruby i rozplaszczony u podstawy, oczy natomiast — lśniące groźnie, a nawet obsesyjnie, kiedy Rickards był ożywiony — mają zwykle wyraz zdziwienia i tępawego uporu. Dalgliesh sądził, że reprezentuje typ funkcjonariusza policji spotykany rzadziej wprawdzie niż kiedyś, lecz wciąż nader pospolity: obowiązkowego i nie-przekupnego detektywa o ograniczonej wyobraźni i nieco większej inteligencji, który ani przez moment nie przyjmuje do wiadomości, że zło na tym świecie należałoby wybaczać, ponieważ często bywa niewytłumaczalne, ci zaś, co się go dopuszczają — są ludźmi nieszczęśliwymi.

Rickards ogarnął spojrzeniem pokój — długą ścianę regałów bibliotecznych, trzaskające na kominku polana, olejny portret wik-

* Royal National Life-boat Institution — brytyjski instytut ratownictwa morskiego (przyp. tłum.).

61

P. D. JAMES

toriańskiego infulata — jak gdyby pragnąc zakonotować sobie w duszy każdy jego szczegół, a potem opadł na fotel i z krótkim pomrukiem zadowolenia wyciągnął nogi. Dalgliesh pamiętał, że zwykle pijał piwo, teraz jednak zgodził się na whisky, prosząc wszakże najpierw o kawę. A zatem zmienił co najmniej jeden ze swoich zwyczajów. Potem powiedział: — Szkoda, że będąc tutaj, nie pozna pan mojej żony Susie, panie Dalgliesh. Nasze pierwsze dziecko ma się urodzić za dwa tygodnie i Susie pojechała do Yorku, do matki. Teściowa wołała mieć ją u siebie niż tu, skoro Świstun krąży po okolicy, a ja pracuję tyle godzin dziennie, ile pracuję.

Zostało to wypowiedziane takim formalnym i pełnym zażenowania tonem, jakby to on, Rickards, nie zaś Dalgliesh, był gospodarzem i przeproszał za niespodziewaną absencję pani domu. Rickards dodał:

— To chyba zupełnie naturalne, że w takiej chwili, szczególnie oczekując narodzin pierworodnego, jedynaczka woli być z matką.

Żona Dalgliesha nie chciała być z matką, chciała być z nim; pragnęła tego z taką mocą, że zastanawiał się później, czy przypadkiem nie miała jakichś przeczuć. Pamiętał to, chociaż nie potrafił już przypomnieć sobie jej twarzy. Wspomnienie żony, które od lat

— zdradzając rozpacz i łącząc ich miłość — usiłował stłumić, ponieważ ból wydawał się nieznośny, stopniowo ustąpiło miejsca chłopcemu, romantycznemu snu o czułości i pięknie, bezpiecznemu teraz przed lupieżczym działaniem czasu. Natomiast twarz nowo narodzonego syna pamiętał doskonale i widywał ją we snach: białą, nieskażoną przez najmniejszą chmurkę, pełną mądrego zadowolenia

— jak gdyby zobaczyła i zrozumiała wszystko, co warto pojąć, a zobaczywszy — odrzuciła.

Dalgliesh mówił sobie, że, rozsądnie rzecz biorąc, jest ostatnim człowiekiem, po jakim należałoby się spodziewać w sprawach ciąży porady i pociechy; wyczuwał zarazem, iż niezadowolenie Rickardsa z nieobecności żony ma wymiar szerszy niż tęsknota. Zadawszy kilka zwyczajowych pytań o zdrowie pani Rickards, poszedł do kuchni, żeby zrobić kawę.

Nie miało znaczenia, kim był ów tajemniczy duch, któremu zawdzięczał swoją poezję — liczył się fakt, że poezja dała mu wolność smakowania innych ludzkich szczęść, na przykład miłości. A może było na odwrót, może poezję zawdzięcza właśnie miłości? Poezję, która zdawała się wpływać nawet na jego pracę. Mieląc w młynku ziarna kawy, zastanawiał się nad drobniejszymi niejasnościami życia. Kiedy wiersze szły mu jak z kamienia, praca była irytująca, niekiedy nawet wstrętna. Teraz czuł się dostatecznie szczęśliwy, by nie tylko pozwolić Rickardsowi wtargnąć w swoją samotność, lecz również postawić się

62

INTRYGI I ŻĄDZE

w roli spowiednika. Ta nowa dobroduszość i tolerancja trochę zbijały go z tropu. Umiarkowany sukces był, bez wątpienia, lepszy dla ludzkiego charakteru niżli fiasko; sukces w nadmiarze może jednak sprawić, że człowiek straci całą swoją przebojowość. Poza tym, gdy wróciwszy pięć minut później z dwoma kubkami kawy, usadowił się na powrót w krześle, mógł z satysfakcją porównać zatroskanie Rickardsa zbrodniczą aktywnością psychopaty ze spokojem, panującym w domu. Ogień, który wyszalał się i natrzaskał do syta, emanował teraz kojącą poświatą, a wiatr, rzadko w tych okolicach zamierający, posykurując jak dobrotliwy dzin, przeciskał się przez ażurowe śmigła wiatraka. Dalgliesh był rad, że schwywanie Świstuna nie należy do jego obowiązków. Ze wszystkich morderstw, zabójstwa seryjne były najbardziej frustrujące i najtrudniejsze, ich rozwiązanie zaś zależało od zbiegu największej liczby przypadków; pracowało się pod nieustanną presją krzykliwie przez opinię społeczną artykułowanego żądania, by przerażający, nieznanymi diabeł został pojmany i wyegzorcyzmowany na zawsze. Ale nie on prowadził tę sprawę; mógł ją omawiać z dystansem człowieka, zainteresowanego wprawdzie zawodowo, lecz nie ponoszącego osobistej odpowiedzialności. I rozumiał, czego potrzebuje Rickards: nie porady — bo znał swoją robotę — lecz kogoś, komu może zaufać, kogoś, kto ma z nim wspólny język, kto później odjedzie i nie będzie mu w nieskończoność przypominać wszystkich wątpliwości, kolegi po fachu, z którym bez zakłopotania można porozmawiać na głos. Miał swoją brygadę, a był zbytnim formalistą, żeby nie dzielić się z nią swoimi przemyśleniami. Należał jednak do ludzi, którzy lubią dopracować swoje

teorie; tu mógł je poddać próbie, rozbudować, zbadać i odrzucić, nie mając kłopotliwego podejrzenia, że jego sierżant-detektyw, który z atencją słucha, przywdziawszy na twarz pozbawioną wyrazu maskę, myśli w duszy: „Rany boskie, co też staremu znowu strzeliło do łba?” albo „Stary zaczyna gonić w piętę”.

Rickards oświadczył: — Nie korzystamy z Holmesa. Miejscy mówią, że system jest teraz obłożony w stu procentach, a poza tym mamy swój własny komputer. Co wcale nie znaczy, że mamy mu co podsunąć. Prasa i opinia publiczna wiedzą, oczywiście, o Holmesie i na każdej konferencji prasowej słyszę to samo: „Czy posługujecie się tym specjalnym programem komputerowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który został nazwany na cześć Sherlocka Holmesa?” „Nie — odpowiadam — ale posługujemy się swoim własnym. I to nie wypowiedziane pytanie: To dlaczego, do cholery, jeszczeście go nie złapali? Ludzie myślą, że wystarczy wrzucić dane, a wyskoczy fotka

63

P. D. JAMES

naszego chłopysia, komplet linii papilarnych, numer koszuli i lista ulubionych piosenkarzy.

— Fakt — stwierdził Dalgliesh — jesteśmy do tego stopnia stechnicyzowani, że tracimy cały rezon stwierdziwszy, iż ta cała aparatura może wszystko z wyjątkiem tego, czego my chcemy.

— Zabił na razie cztery kobiety, a Valerie Mitchell nie będzie ostatnią, jeśli go szybko nie złapiemy. Zaczął piętnaście miesięcy temu. Pierwszą ofiarę znaleziono tuż po północy w kryjówce na końcu promenady w Easthaven... lokalna dziwka, nawiasem mówiąc, choć może o tym nie wiedział albo się nie przejmował. Następne trafienie miał dopiero osiem miesięcy później.

Szczęśliwe trafienie, powinienem chyba powiedzieć. Tym razem trzydziestojednoletnia nauczycielka, która jadąc rowerem do domu w Hunstanton złapała dętkę na pustym odcinku drogi.

Potem następna przerwa — sześć miesięcy — zanim dostał barmankę z Ipswich; była z wizytą u babki i okazała się dość głupia, by samotnie czekać na nocny autobus. Kiedy przyjechał, na przystanku nie było nikogo. Wsiadło paru miejscowych facetów. Ponieważ zdążyli wcześniej sporo wypić, nie byli zbyt spostrzegawczy i nic nie widzieli ani nie słyszeli. Z jednym wyjątkiem — dobiegającego z głębi lasu smętnego, jak to określili, pogwizdywania.

Upił łyk kawy, a potem podjął: — Poprosiliśmy psychiatrę o portret psychologiczny. Nie wiem, po cośmy zawracali sobie głowę, Sam bym coś takiego potrafił napisać. Kazał nam szukać samotnika, prawdopodobnie z konfliktowej rodziny; może mieć dominującą matkę; trudności w nawiązywaniu stosunków, szczególnie z kobietami; niewykluczone, że impotent; stanu wolnego — w separacji lub rozwiedziony; niechęć a nawet nienawiść wobec płci przeciwnej. Cóż, trudno by się było spodziewać, że jest robiącym wspaniałą karierę dyrektorem banku, facetem z cudowną żoną i czwórką bombowych dzieciaków w wieku przedmaturalnym. Te seryjne morderstwa to przekleństwo. Żadnych motywów... przynajmniej motywów zrozumiałych dla człowieka przy zdrowych zmysłach... no i facet może przyjeżdżać na gościnne występy skądkolwiek: z Norwich, Ipswich, nawet z Londynu. Założenie, że na pewno działa na swoim terenie, byłoby bardzo niebezpieczne. Choć na to właśnie wygląda. Najwyraźniej zna okolicę jak pięć własnych palców. I ostatnio trzyma się tej samej metody działania. Wybiera skrzyżowanie, podjeżdża wozem — osobowym lub furgonetką — na pobocze jednej z dróg, później idzie na skróty do drugiej, czeka, wlecze ofiarę w krzaki albo pomiędzy drzewa, zabija ją, wraca na przełaj do wozu i ucieka. To, że w trzech

64

INTRYG I ŻĄDZE

ostatnich przypadkach trafiła mu się odpowiednia ofiara, naprawdę zakrawa na cud.

Dalgliesh wyczuł, że najwyższy czas wnieść swój wkład w rozważania, i powiedział: — Jeśli nie wybiera i nie tropi swojej ofiary, czego najwyraźniej nie czynił w tych trzech morderstwach — to znaczy, że musi się liczyć z długim wyczekiwaniem. A zatem rutynowo przebywa na dworze po zmroku, jest więc, być może, robotnikiem z drugiej zmiany, tępicielem kretów, leśnikiem, strażnikiem przyrody lub kimś w tym rodzaju. I wychodzi wszechstronnie przygotowany, zawsze gotów do szybkiego zabójstwa.

— Też tak to widzę — zgodził się Rickards. — Na razie cztery ofiary, w tym trzy przypadkowe,

ale prawdopodobnie polował od trzech lat lub nawet dłużej. Może na tym polega część emocji. „Dziś mam szansę na trafienie, dziś dopisze mi szczęście”. I, na Boga, ostatnio mu dopisywało. Dwie ofiary w ciągu sześciu minionych tygodni.

— A co wiemy w sprawie jego znaku rozpoznawczego, pogwizdywania?

— Słyszały je trzy osoby, które tuż po fackie pojawiły się na scenie zbrodni z Easthaven. Jedna słyszała po prostu gwizd; drugiej przywiódł on na myśl pieśń kościelną; trzecia — dewotka — twierdzi, że dokładnie zidentyfikowała melodię jako Dzień dobiegł kresu. Utrzymujemy te zeznania w tajemnicy, bo przydadzą się, kiedy tradycyjnie wszystkie okoliczne świry zaczną przyznawać się do zbrodni. Nie ma jednak wątpliwości, że morderca gwizdże.

— „Dzień dobiegł kresu / Słońce się skłania / I mrok wieczoru / Niebo przysłania”. To hymn ze szkółek niedzielnych, rzadko jak sędzę śpiewany podczas nabożeństw. — Dalgliesh pamiętał go z dzieciństwa, posepny bezbarwny utwór, który nawet dziesięcioletni chłopiec umiał wystukać na klawiszach stojącego w salonie pianina. Czy dziś ktokolwiek go jeszcze śpiewa? zastanawiał się. Był ulubioną propozycją panny Barnett w owe długie zimowe popołudnia przed rozpuszczeniem szkółki niedzielnej do domów, kiedy światło dnia zaczynało zamierać, a mały Adam Dalgliesh odczuwał już lęk przed ostatnimi dwudziestoma jardami swojej drogi powrotnej do domu, zakrętem podjazdu do plebanii, gdzie okoliczne krzaki rosły najgęściej. Noc była inna od jasnego dnia, pachniała i brzmiała odmiennie; zupełnie banalne przedmioty przybierały inne kształty; nocą władawa siła niepojęta i bardziej złowieszcza. Tych dwadzieścia jardów po skrzypiącym żwirze — kiedy ginęły na moment światła domu — było cotygodniowym koszmarem. Minąwszy furtkę, za którą zaczynał się

5 Intrygi i żądze

65

P. D. JAMES

podjazd, szedł szybko, ale nie za szybko, skoro noc, władająca nocą, umiała tak samo jak pies wywęszyć przerażenie. Matka, jak wiedział Dalgliesh, nigdy nie pozwoliłaby mu pokonywać samotnie owych dwudziestu jardów, gdyby tylko zdawała sobie sprawę, jaką napawają go nieludzką paniką. Matka jednak nie zdawała sobie sprawy, bo umarłby ze wstydu, zanimby jej powiedział. A ojciec? Ojciec spodziewałby się po nim odwagi; byłby zapewne oświadczył, że Bóg jest panem nocy w takim samym stopniu, jak dnia. W końcu miał do dyspozycji tuzin odpowiednich cytatów z Pisma. O ile jednak światłość i mrok stanowiły jedność z punktu widzenia Stwórcy, o tyle z punktu widzenia nadwrażliwego dziesięcioletka rozwierała się pomiędzy nimi przepaść. To podczas tych samotnych powrotów Dalgliesh zaczął przeczuwać ową zasadniczo dorosłą prawdę, że największy ból zawdzięczamy w życiu tym, którzy nas najbardziej kochają. Powiedział: — Szuka więc pan człowieka z tych stron, samotnika, który pracując nocą ma do dyspozycji wóz osobowy lub furgonetkę, a ponadto jest obznajomiony z Hymnami Dawnymi i Współczesnymi. To powinno ułatwić śledztwo.

— Tak by się mogło zdawać — odrzekł Rickards.

W milczeniu siedział jakąś minutę, a potem rzekł: — Chyba miałbym teraz ochotę na małą whisky, panie Dalgliesh, jeśli nie zrobi to panu różnicy.

Wyszedł dopiero po północy. Dalgliesh odprowadził go do auta. Ogarnąwszy spojrzeniem okolicę, Rickards powiedział: — Gdzieś tam jest, obserwuje, czeka. Kiedy nie śpię, prawie w każdej chwili rozmyślam o nim, wyobrażam sobie, jak wygląda, gdzie przebywa, co kombinuje. Matka Susie ma zupełną słuszność. Susie nie miała ze mnie ostatnio wielkiego pożytku. To się skończy, kiedy go złapiemy. Nie dla niego, ale dla nas. Pod koniec człowiek będzie wszystko wiedział, albo przynajmniej będzie sądził, że wie. Gdzie, kiedy, kto, jak. Może nawet, przy odrobinie szczęścia, dlaczego. A zarazem, w gruncie rzeczy, nie będzie wiedział nic. Taki bezmiar występku, a człowiek nie musi wyjaśniać go, rozumieć i właściwie robić w jego sprawie żadnej cholernej rzeczy prócz położenia mu kresu. Zaangażowanie bez odpowiedzialności. Żadnej odpowiedzialności za to, co zrobił, żadnej odpowiedzialności za jego dalsze losy. One zależą od sędziego i ławy przysięgłych. Człowiek jest zaangażowany, a zarazem nie jest. Czy właśnie to ujmuje pana najbardziej w naszej pracy, panie Dalgliesh?

Było to pytanie, jakiego Dalgliesh nie spodziewałby się nawet od przyjaciela, Rickards zaś nie należał do grona jego przyjaciół. — Czy którykolwiek z nas potrafiłby udzielić odpowiedzi? — odrzekł.

66

INTRYG I ŻĄDZE

— Pamięta pan, dlaczego odszedłem z Metropolitalnej, panie Dalgliesh?

— Te dwie sprawy o korupcję? Tak, pamiętam, dlaczego odszedł pan z Metropolitalnej.

— Pan natomiast pozostał. Był pan tak samo zdegustowany, jak ja. Tak samo się pan brzydził. A jednak pan pozostał. Bo umiał to pan obserwować z neutralnego dystansu, prawda? Jako coś interesującego?

— Zawsze jest rzeczą interesującą — odparł Dalgliesh — gdy ludzie, których—jak nam się wydaje — znamy na wylot, zachowują się nietypowo.

Rickards umknął z Londynu. Czego poszukiwał? zastanawiał się Dalgliesh. Jakiegoś romantycznego snu o prowincjonalnym spokoju, o dawno już nie istniejącej Anglii, o łagodniejszych metodach egzekwowania prawa, o totalnej uczciwości? Ciekawe, pomyślał, co z tego udało się Rickardsowi znaleźć.

KSIĘGA DRUGA

od czwartku 22 września do piątku 23 września

1

Była siódma dziesięć wieczorem i w głównej sali pubu „Książę Clarence” unosiły się kłęby dymu, narastał zgielek, a tłum, okupujący szynkwasy, miał trzy stopy grubości. Christine Baldwin, piąta ofiara Świstuna, miała przed sobą dokładnie dwadzieścia minut życia. Siedząc na kanapie przyściennej popijała drugie tego wieczoru półwy-trawne sherry; świadoma, że Colin pali się już, by zamówić następną kolejkę, czyniła to z ociąganiem. Pochwyciwszy spojrzenie Normana, uniosła lewy nadgarstek i znaczącym skinieniem głowy pokazała swój zegarek. Termin minął dziesięć minut temu i Norman dobrze o tym wiedział. Uzgodnili przed wyjściem z domu, że będzie to przed-kolacyjny kieliszek w towarzystwie Colina i Yvonne — ale nic ponad to. Umowa, będąca czymś niezmiernie typowym dla ich liczącego dziewięć miesięcy małżeństwa, stanowiła nie tyle efekt wspólnych zainteresowań, co całej serii uważnie negocjowanych ustępstw. Dziś wypadła kolej, by poszła na nie ona, zgoda jednak na spędzenie w „Księżu” godzinki z Yvonne i Colinem wcale nie zobowiązywała Christine do udawania, że bawi ją ich towarzystwo.

Zniechęciła Colina od pierwszego spotkania i ta instynktowna zrazu antypatia ukorzeniła się rychło w stereotypowej niechęci pomiędzy nową narzeczoną a cieszącym się nie najlepszą opinią starym szkolnym kumplem narzeczonego i jego kompanem od kieliszka. Colin był świadkiem na ich ślubie — skapitulowała dopiero w wyniku potwornej przedślubnej awantury — i wypełniał swe powinności z mieszaniną niekompetencji, chamstwa i wzgardy, które, jak niekiedy z satysfakcją powtarzała Normanowi Christine, odebrały jej wielkiemu dniu cały urok. Jakież to typowe, że upodobał sobie ten pub — spelunka była przecież dostatecznie wulgarna! Ale przynajmniej Christine mogła mieć tę jedną krzepiącą pewność, że nie grozi jej tu spotkanie

69

P. D. JAMES

kogokolwiek z elektrowni, czy — ściśle mówiąc — kogokolwiek, kto się liczy. W „Księżu” nie znosiła wszystkiego — drapiącego nogi szorstkiego samodziału tapicerki, obić ściennych z syntetycznego aksamitu, zdobiących bar koszyków z bluszczem i sztucznymi kwiatami, jaskrawych wykładzin na podłodze. Dwadzieścia lat temu była to przytulna wiktoriańska tawerna, odwiedzana prawie wyłącznie przez stałych klientów — zimą w otwartym kominku płonął ogień, a wypolerowane do białości, mosiężne elementy uprząży lśniły na czarnym tle starych belek. Posępny oberżysta uważał odstraszenie obcych za swój obowiązek i aby mu sprostać, korzystał z imponującego repertuaru żalobnych min i złowróżbnych spojrzeń; nie cofał się nawet przed ospałością w obsłudze i serwowaniem ciepłego piwa. Stary pub spłonął jednak w latach sześćdziesiątych i został zastąpiony przez zyskowniej-sze i bardziej przebojowe przedsiębiorstwo. Ze starego budynku nie zostało się nic, a długa przybudówka do pomieszczenia barowego,

uszlachetniona mianem Sali Bankietowej, służyła niewybrednej klienteli do urządzania wesel i innych imprez towarzyskich, w pozostałe zaś dni, pełniąc funkcję restauracji, oferowała wszystkim mało oryginalne menu z krewetkami lub zupą, stekiem albo kurczęciem oraz sałatką owocową z lodami.

Cóż, storpedowała przynajmniej pomysł kolacji. Ledwo wiazali koniec z końcem i Norman był w grubym błędzie sądząc, że zdoła ją namówić na ten szajs za absurdalne pieniądze, gdy w domowej lodówce czeka zupełnie przyzwoity zimny posiłek. A w ogóle to idiotyzm, że mając tyle innych wydatków siedzą tu i popijają z Colinem i jego najnowszą dziwką, która — jeśli wierzyć pogłoskom — rozkładała nogi przed połową Norwich. Raty za meble do salonu i samochód, spłaty kredytu bankowego na dom. Znów spróbowała pochwycić spojrzenie Normana, ten jednak z żalosną desperacją zwracał całą swoją uwagę na tę puszczałską Yvonne. Z wzajemnością. Colin pochylił się do Christine i wbił w nią na poły kpiące, na poły prowokacyjne spojrzenie swoich zuchwałych jasnobrzązowych oczu. Colin Lomas, który wierzył, że każda kobieta poleci na jego skinienie.

— Rozluźnij się, kochanie. Twój staruszek świetnie się bawi. Teraz ty stawiasz, Norm.

Ignorując Colina, powiedziała do męża: — Posłuchaj, czas wracać do domu. Uzgodniliśmy, że wyjdziemy o siódmej.

— O rany odpuść, Chrissie, nie włącz chłopakowi na łeb. Jeszcze tylko jedna kolejka.

Nie patrząc jej w oczy, Norman zapytał: — Czego się napijesz, Yvonne? To samo? Półwytrawne sherry?

70

INTRYG I ŻĄDZE

— Zabierzmy się za jakiś solidniejszy towarek — stwierdził Colin. — Ja strzelę sobie Jasia Wędrowniczka.

Robił to celowo. Christine wiedziała, że wcale nie lubi whisky. Oznajmiła: — Posłuchajcie, mam po uszy tej speluny. Mózg zaczyna mi kołatać od tego zgiełku.

— Ból głowy? Dziewięć miesięcy po ślubie i zaczyna mieć bóle głowy. Nie masz się co dziś wieczorem spieszyć do domu, Norm.

Yvonne zachichotała.

Christine poczuła palenie na twarzy i odrzekła: — Zawsze byłeś wulgarny, Golinie Lomas, ale teraz nie jesteś nawet śmieszny. Róbcie sobie, co chcecie. Ja wracam do domu. Proszę o kluczyki do auta.

Colin rozparł się wygodnie i powiedział ze śmiechem: — Słyszałeś, co mówi twoja arystokratyczna małżonka. Prosi o kluczyki do wozu.

Norman z wyrazem wstydu na twarzy wyjął kluczyki z kieszeni i pchnął je przez stół. Christine schwyciła je gwałtownie, odsunęła stół, precyzyjnie się obok Yvonne i jak burza pospieszyła ku drzwiom. Omal nie płakała ze złości. Otwarcie drzwiczek samochodu zajęło jej całą minutę; potem roztrzęsiona, siedziała długo za kierownicą, czekając, aż ręce uspokoją się na tyle, by można było przekręcić kluczyk w stacyjce. Przypomniała sobie słowa matki, wypowiedziane w dniu, kiedy oznajmiła o zaręczynach: „Cóż, masz trzydzieści dwa lata, więc chyba wiesz, co robisz. Ale nic z niego nie wykrzeszesz. Słaby jak szczeniak, jeśli chcesz znać moje zdanie”. Uznała jednak, że potrafi coś z niego wykrzesać i ten maleńki segment na przedmieściach Norwich stanowił dowód, że dziewięć miesięcy małżeństwa nie poszło na marne. W przyszłym roku Norman mógł liczyć na awans w swojej firmie ubezpieczeniowej i wówczas Christine będzie w stanie zrezygnować z posady sekretarki w Dziale Medycznym Elektrowni Jądrowej Larksoken i urodzić pierwsze z dwojga zaplanowanych dzieci. Będzie wówczas miała trzydzieści cztery lata. Ogólnie wiadomo, że nie należy z tym zwlekać zbyt długo.

Egzamin na prawo jazdy zdała dopiero po ślubie; teraz, po raz pierwszy w życiu, jechała samotnie nocą. Prowadziła powoli i uważnie, wbijając niespokojny wzrok w ciemności, kryjące znajomą na szczęście drogę. Zastanawiała się, co zrobi Norman, stwierdziwszy, iż samochód naprawdę zniknął. Bo niemal na pewno spodziewa się, że znajdzie wóz na miejscu, a ją — wściekłą wprawdzie, lecz czekającą na odwiezienie do domu — w fotelu pasażera. Tymczasem trzeba będzie się zdać na

życzliwość Colina, który na pewno nie okaże zbytniego zapału do nadkładania drogi. No i czeka ich cholerne rozczarowanie, jeśli liczą, że zaprosi Colina i Yvonne na pożegnalnego drinka!

71

P. D. JAMES

Myśl o zakłopotaniu Normana trochę ją pocieszyła, z większą siłą zatem przycisnęła pedał gazu, pragnąc oddzielić się od całej trójki większym dystansem i jak najszybciej wrócić pod bezpieczny dach domu. Lecz nagle silnik zakrzuszył się i zamilkł. Prowadziła zapewne bardziej gorączkowo, niż się jej zdawało, bo samochód stanął na jezdni ukosem. Było to fatalne miejsce na awarię—kompletnie pusty odcinek drogi wiejskiej, obrzeżonej w tym miejscu rzadkimi kępami drzew. Wtedy sobie przypomniała. Norman wspominał, że trzeba zatankować, wobec czego muszą pamiętać, by po wyjściu z „Księcia” podjechać do całodobowej stacji benzynowej. Czysty absurd, żeby wyjeździć całe paliwo, ale trzy dni wcześniej pokłócili się zawzięcie, nie mogąc ustalić, czyja wypada kolej, żeby zapłacić za tankowanie. Gniew i frustracja opanowały Christine z nową siłą. Przez chwilę po prostu siedziała, tłukąc kierownicę w bezsilnej złości, potem podjęła desperacką próbę przekręcenia kluczyka w stacyjce. Ale chociaż ponaglała go w duszy ze wszystkich sił, silnik nie zaskoczył. Wówczas irytacja zaczęła ustępować gęsiej skórcie strachu. Gdyby nawet zatrzymał się przy niej kierowca innego samochodu, jakąż mogła mieć pewność, że nie jest porywaczem, gwałcicielem czy nawet Świstunem? Przecież to okropne morderstwo na A3 popełniono w tym roku! W dzisiejszych czasach człowiek nie może ufać nikomu. Próbowwała sobie przypomnieć ostatni mijany dom, skrzynkę pomocy drogowej czy budkę telefoniczną, ale odnosiła wrażenie, iż przynajmniej przez dziesięć ostatnich minut jechała kompletnym pustkowiem. Gdyby nawet zdecydowała się opuścić wątpliwe schronienie, jakie dawał jej wóz, nie miała pojęcia, w której stronie należało szukać pomocy. Nagle ogarnęła ją na kształt mdłości fala paniki i z najwyższym trudem opanowała impuls, by wyskoczywszy z samochodu skryć się pomiędzy drzewami. Co by jej to dało? Morderca mógł czyhać nawet tam.

A potem, cudownym zrządzeniem losu, usłyszała stukot kroków i odwróciwszy głowę, dojrzała zbliżającą się do auta kobietę. Była ubrana w spodnie i trenecz, a spod małego berecika wypływała fala jasnych włosów. U jej boku dreptał na smyczy mały gładkowłosy piesek. W okamgnieniu cały niepokój Christine rozwiął się jak dym. Oto ktoś, kto pomoże jej zepchnąć samochód na pobocze, kto wskaże kierunek do najbliższego domu, kto będzie towarzyszył w drodze. Nie zawracając sobie głowy zatrzaskiwaniem drzwi, zawołała radośnie i z uśmiechem pobiegła ku okropności śmierci.

INTRYG I ŻĄDZE

2

Kolacja była wyśmienita, a wino — Chateau Potensac '78 — zostało doskonale dobrane do dania głównego. Dalgliesh znał wprawdzie renome, jaką dzięki swym książkom kucharskim cieszyła się Alice Mair, nie miał jednak pojęcia, czy należy do którejś z licznych szkół kulinarnych, a jeśli tak, to do której. Miał poważną obawę, że zostanie potraktowany zwykłą artystyczną kreacją, pławiącą się w oceanie sosu, plus dwiema lub trzema niedogotowanymi marchewkami czy brukselkami na dodatkowym talerzyku. Aliści zaserwowane przez Alice Mair dzikie kaczkami były bez wątpienia kaczkami, puree zaś z rzepy i pasternaku doskonale komponowało się z zieloną fasolką. Potem na stole pojawił się sorbet pomarańczowy, a wreszcie sery i owoce. Było to menu konwencjonalne, pomyślane jednak — odnosił wrażenie Dalgliesh — nie po to, by zademonstrować wynalazczość kucharza, lecz by sprawić przyjemność biesiadnikom.

Czwarty ze spodziewanych gości, Miles Lessingham, zawiódł, Alice Mair wszakże nie przesadziła pozostałych, w związku z czym puste krzesło i takież kieliszek do wina niepokojąco przywodziły na myśl ducha Banka. Dalgliesh został usadzony naprzeciwko Hilary Robarts. Portret, pomyślał, musiał być w istocie jeszcze bardziej sugestywny niż zrazu osądził, skoro w takim stopniu zdołał zdominować jego reakcję na żywą kobietę. Spotykali się osobiście po raz pierwszy, chociaż wiedział o jej istnieniu tak samo, jak wiedział o istnieniu owej garstki osób mieszkających — jak ujmowali to obywatele Lydsett — „za tą tam bramą”. Dziwne jednak, że nie mieli okazji poznać się wcześniej, skoro czerwony golf Hilary stanowił na przylądku częsty widok, a jej dom zwracał wielokrotnie uwagę Dalgliesha podczas obserwacji z poddasza wiatraka. Teraz, znalazłszy się po

raz pierwszy w jej fizycznej bliskości, miał kłopoty z oderwaniem od niej oczu: żywy człowiek i zapamiętany wizerunek zdawali się stapiać w jedną osobowość, zarazem potężną i niepokojącą. Była to przystojna twarz, twarz modelki, uznał, z tymi wysokimi kośćmi policzkowymi, długim lekko zadartym nosem, szerokimi pełnymi wargami i ciemnymi gniewnymi oczyma, osadzonymi głęboko pod wyrazistymi brwiami. Jej falujące sprężyste włosy, przytrzymywane dwoma grzebieniami, spływały na ramiona. Wyobraził ją sobie w akcie pozowania: wilgotne rozchylone usta, śmiała linia bioder i skierowane wprost w obiektyw aparatu to najwyraźniej obowiązkowe spojrzenie, przepełnione arogancką niechęcią. Kiedy pochyliła się, by oderwać od kiści następne winogrono

73

P. D. JAMES

i niemal wrzucić je do ust, dostrzegł na jej smągłym czole pastelowe plamki piegów, nad górną natomiast wargą — połysk drobniutkich włosków.

Po drugiej stronie gospodyni siedziała Meg Dennison, delikatnie, lecz bezceremonialnie obierająca winogrona ze skórki palcami o pola-kierowanych na różowo paznokciach. Drapieżna uroda Hilary Robarts podkreślała jej bardzo odmienny wygląd — ów staroświecki, starannie pielęgnowany, ale nie uwydatniany powab, który przywodził Dalglishowi na myśl fotografie kobiet z końca lat trzydziestych. Stroje obu pań jeszcze bardziej akcentowały kontrastowość reprezentowanych przez nie typów. Hilary miała na sobie obszerną, ściągniętą w talii i dość głęboko rozpiętą pod szyją sukienkę z wielobarwnej indyjskiej bawełny, Meg Dennison natomiast nosiła długą czarną spódnicę, jedwabną bluzkę w lekki błękitny deseń i aksamitkę przy kołnierzyku. Najbardziej elegancko prezentowała się jednak gospodyni. Długa bluza z delikatnej ciemnobrązowej wełny, przyozdobiona ciężkim naszyjnikiem z bursztynu osadzonego w srebrze, maskowała pewną kanciastość sylwetki, podkreślając zarazem moc i regularność wyrazistych rysów. Przy Alice Mair uroda Meg Dennison wydawała się niemal cukierkowa, a barwna bawełna Hilary Robarts — wręcz hałaśliwa.

Pokój, którym spożywali kolację, musiał, zdaniem Dalgliessa, stanowić część starej chaty. Na tych poczerniałych od dymu belkach sufitowych Agnes Poley zawieszała połcie bekonu i pęczki suszonych ziół. Na ruszcie zawieszonym ponad wielkim paleniskiem gotowała posiłki dla swojej rodziny i może pod koniec usłyszała nawet w huku ognia trzask stosu swego straszliwego męczeństwa. Za szybami długiego okna przesuwały się hełmy maszerujących wojaków. Lecz tylko w nazwie chaty zawierała się pamięć przeszłości. Owalny stół i krzesła były współczesne, tak samo zresztą jak serwis od Wedgwooda i eleganckie kieliszki. Wystrój zaś salonu, gdzie przed kolacją pili sherry, dowodził zdaniem Dalgliessa świadomego odrzucenia przeszłości i nie zawierał niczego, co zagrażałoby tak ważnemu dla właścicielki poczuciu autonomii: żadnej historii rodzinnej, zapisanej w zdjęciach lub portretach, żadnych tandetnych pamiątek, przygarniętych z nostalgii, sentymentu czy miłości, żadnych uzbieranych przez lata antyków. Nawet wszystkie obrazy, w tym trzy bez wątpienia pędzla Johna Pipera, były jednoznacznie współczesne. Meble, kosztowne, wygodne i dobrze zaprojektowane, miały w sobie zbyt wiele prostej elegancji, aby sprawiać tu wrażenie dysonansu. Lecz serce domu biło gdzie indziej — w tej dużej, ciepło-aromatycznej i przytulnej kuchni.

74

INTRYG I ŻĄDZE

Z początku słuchał rozmowy tylko jednym uchem, ale teraz postanowił okazać większą aktywność towarzyską. Konwersacja dotyczyła spraw ogólnych; twarze, muskane blaskiem świec, pochylały się nad stołem; dłonie, obierające owoce albo bawiące się kieliszkami, były równie zindywidualizowane, jak twarze. Silne, ale eleganckie dłonie Alice Mair o krótko obciętych paznokciach. Długie, z silnie zaakcentowanymi stawami palce Hilary Robarts. Delikatne, lekko zaczerwienione od prac domowych paluszki Meg Dennison. Alex Mair mówił: — W porządku, sięgnijmy po zupełnie współczesny dylemat. Wiemy, że można wykorzystywać tkanę z poronionych ludzkich płodów do leczenia choroby Parkinsona, a być może również Alzheimera.

Przypuszczalnie uznalibyście to za etycznie akceptowalne, gdyby poronienie nastąpiło w sposób naturalny albo też aborcję przeprowadzono legalnie; całkiem inna sprawa, gdyby jedynym jej celem było pozyskanie tkanki. Możecie jednak wygłosić zastrzeżenie, iż kobieta ma prawo decydować o użytku, jaki czyni ze swego ciała. Jeśli zależy jej bardzo szczególnie na kimś, kto ma Alzheimera, i pragnie temu komuś pomóc, wydając na świat płód, to któż może jej tego zabronić?

— Widzę — powiedziała Hilary Robarts — że przyjmujesz założenie, iż chorym jest mężczyzna. Mężczyzna, który czuje się — jak przypuszczam — uprawniony, by tak samo wykorzystał ciało kobiety do tego celu, jak do wielu innych. W imię jakich racji? Nie potrafię sobie wyobrazić, by kobieta, która już raz miała skrobankę, zechciała przejść przez to ponownie dla widzimisie jakiegokolwiek mężczyzny.

Wypowiedziała te słowa z ogromną goryczą. Po chwili milczenia Alex Mair rzekł cicho: — Alzheimer jest czymś więcej niż „widzimisie”. Zresztą wcale nie jestem rzecznikiem podobnego rozwiązania, które — tak czy inaczej — w świetle obowiązującego prawa jest nielegalne.

— Czy to by ci przeszkadzało?

Popatrzył w jej rozgniewane oczy. — Naturalnie, że przeszkadzało. Na szczęście nie jest to decyzja, jaką musiałbym kiedykolwiek podjąć. Nie mówimy jednak o prawie, lecz moralności.

— Czy są to kategorie odmienne? — zapytała jego siostra.

— Oto właśnie problem, nieprawdaż? Czy zatem są, Adamie? Po raz pierwszy zwrócił się do Dalgliesha po imieniu. Dalgliesh

odparł: — Przyjmujesz, że istnieje moralność absolutna, niezależna od czasu i okoliczności.

— Czy ty nie przyjąłbyś takiego założenia?

75

P. D. JAMES

— Zapewne bym przyjął, jakkolwiek nie jestem filozofem mo-

Gamma ^ekko zarumieniona Meg Dennison podniosła głowę znad talerza i powiedziała: — Zawsze podejrzliwie patrzę na wymówkę, że występki jest usprawiedliwiony, jeśli popełniamy go dla dobra kogoś, kogo kochamy. Może i tak myślimy, w gruncie rzeczy jednak douszczamy się go zwykle we własnym interesie. Przypuszczalnie myślisz o opiekowaniu się chorym na Alzheimera przejęłaby mnie zgrozą. Czy zatem opowiadamy się za eutanazją po to, by zakończyć czyjeś cierpienia czy też po to, byśmy nie musieli na nie patrzeć? Począć dziecko tylko po to, żeby je zabić i wykorzystać jego tkankę... pomysł jest absolutnie odrażający.

— Mógłbym użyć argumentu — powiedział Alex Mair — że to, co zabijamy nie jest dzieckiem, natomiast odraza, jaką wywołuje taki czy inny uczynek, nie jest dowodem jego niemoralności.

— Czy naprawdę? — wtrącił Dalgliesh. — Czy spontaniczna odraza pani Dennison nie mówi nam czegoś o moralnej stronie

uczvnkxi

Posłała mu krótki, pełen wdzięczności uśmiech i podjęła: — I czy wykorzystanie płodów nie jest szczególnie groźne? Może doprowadzić do tego że biedacy tego świata będą poczynać dzieci, aby sprzedawać płody bogaczom. Już teraz, jak sądzę, istnieje rozbudowany czarny rynek ludzkich organów. Czy myślicie, że multimilioner, wymagający przeszczepu płuca albo serca, będzie pokornie czekał na dawcę?

Alex Mair stwierdził z uśmiechem: — Zgoda, dopóki nie dowodzisz że powinniśmy z premedytacją tłumić wiedzę albo odrzucać postęp naukowy tylko dlatego, iż odkrycia mogą prowadzić do nadużyć. Jeśli są nadużycia, postawmy im tamę legislacyjną.

— Ale w twoich ustach to brzmi tak prosto — zaoponowała Meg. — Gdyby proces legislacyjny mógł zapobiec wszelkiemu społecznemu złu pan Dalgliesh dawno zostałby bez pracy.

— Rzecz nie jest łatwa, ale należy próbować. Na tym właśnie polega człowieczeństwo: wykorzystujemy naszą inteligencję dla dokonywania wyborów.

, ■, J

Alice Mair wstała od stołu. — Cóż — powiedziała — najwyższy czas byśmy dokonali wyboru na nieco innej płaszczyźnie. Kto z państwa woli kawę, a jeśli tak, to jaką? Na dziedzińcu jest stół i

krzesła Możemy włączyć światło i wypić na świeżym powietrzu.

Przeszli do salonu i Alice Mair otworzyła prowadzące na patio dwuskrzydłowe drzwi. Donośny huk morza natychmiast wdarł się do środka i w okamgnieniu zawładnął całym pomieszczeniem jak rozwi-

76

U[^]

■IIHH

INTRYG I ŻĄDZE

rowana nieodparta siła. Ledwie jednak wyszli w chłód wieczoru, zgiełk — paradoksalnie — osłabł, stając się odległym pomrukiem. Dziedziniec był od strony drogi odcięty wysokim kamiennym murem, który jednak później zakrzywił się i malał do wysokości najwyżej czterech stóp, aby nie przesłaniać widoku na pas ziemi i morze. Już po kilku minutach Alex Mair przyniósł tacę z kawą i biesiadnicy, trzymając filiżanki w dłoniach, rozeszli się pomiędzy terrakotowe donice, przypominając gromadkę nieznanym, którzy wcale się nie pała, by ich sobie przedstawiono, albo też oczekujących rozpoczęcia próby aktorów na scenie, którzy nie widząc świata powtarzają w myśli słowa ról.

Nie mieli na sobie okryć wierzchnich i okazało się niebawem, że ciepło wieczoru jest czysto iluzoryczne. Powodowani, rzekłbys, jednym impulsem odwracali się właśnie, by wrócić do domu, gdy znad grzbietu wzgórze błysnęły światła jadącego z dużą szybkością samochodu. Zwolnił, znalazłszy się bliżej.

— Porsche Lessinghama — stwierdził Mair.

Wszyscy milczeli, obserwując jak wóz zjeżdża z drogi i ostro hamuje na miękkim poboczu. Można było odnieść wrażenie, iż stosują się do jakichś zawczasu poczynionych ustaleń, gdy — pozostawiając Maira nieco z przodu — stawali półkolem, przypominającym komitet powitalny; taki jednak komitet powitalny, który nie spodziewa się po gościu niczego dobrego. Dalglish był świadom narastającego napięcia: sumy drżących w nieruchomym słonym powietrzu jednostkowych podnieceń, które zlewały się i ogniskowały na drzwiczkach auta i wysokiej postaci kierowcy. Lessingham wywikłał się z fotela, sprężyste przesadził murek, zamaszystym krokiem podszedł do grupki oczekujących i, zignorowawszy Maira, zbliżył się do Alice. Ujął jej dłoń i delikatnie pocałował; teatralny gest, który — wyczuwał Dalglish — kompletnie zaskoczył gospodynię, przez jej gości zaś został odnotowany z nienaturalnie krytyczną uwagą.

Lessingham powiedział cicho: — Proszę o wybaczenie, Alice. Spóźniłem się na kolację, wiem, lecz mam nadzieję, że nie jest za późno na drinka. Bo, na Boga, jest mi rzeczywiście potrzebny.

— Gdzie się podziewałeś? Czekaliśmy z kolacją czterdzieści minut. — To oczywiste pytanie, oskarżycielskim tonem zrzędlivej żony, zadała Hilary Robarts.

Lessingham nie spuszczał oczu z Alice. Powiedział: — Przez dwadzieścia ostatnich minut rozmyślałem tylko o tym, jak najsensowniej odpowiedzieć na to pytanie, istnieje bowiem kilka interesujących i dramatycznych możliwości. Mógłbym oznajmić, że pomagałem

77

P. D. JAMES

policji w działaniach śledczych. Albo że byłem zamieszany w sprawę morderstwa. Albo że na drodze spotkała mnie drobna nieprzyjemność. W gruncie rzeczy zaistniały wszystkie te trzy sytuacje na raz. Świstun znowu zabił. To ja znalazłem zwłoki.

— Co to znaczy „znalazłem”? Gdzie? — zapytała ostro Hilary Robarts.

Lessingham ponownie ją zignorował i zwrócił się do Alice Mair: — Czy mógłbym dostać tego drinka? Potem przedstawię wszystkie krwawe szczegóły. Jestem ci je winien, skoro zniweczyłem twoją koncepcję usadzenia gości i opóźniłem kolację o czterdzieści minut. Kiedy szli do salonu, Alex Mair przedstawił Dalglisha. Lessingham posłał mu ostre spojrzenie. Ucisnęli sobie ręce. Dłoń, którą przez moment Dalglish poczuł w swojej, była wilgotna i bardzo zimna. Alex Mair rzucił lekko: — Dlaczego nie zadzwoniłeś? Zostawilibyśmy ci coś do jedzenia.

To konwencjonalne pytanie wydawało się zupełnie błahe, Lessingham jednak udzielił na nie

odpowiedzi: — Wiesz, ja naprawdę nie miałem do tego głowy. Nie przez cały czas, rzecz jasna, ale kiedy przesłuchanie dobiegło końca, chwila nie wydawała się odpowiednia. Policjanci zachowywali się wobec mnie bez zarzutu, odnosiłem jednak wrażenie, iż moje prywatne plany zajmują w hierarchii spraw dość poślednie miejsce. A tak nawiasem mówiąc, policjanci nie okazują człowiekowi najmniejszej wdzięczności za znalezienie im trupa. Zamiast tego przyjmują postawę typu: „Ogromne dzięki, sir, to bez wątpienia parszywa historia. Głupia sprawa, że się pan musiał fatygować. Ale od tej chwili my się wszystkim zajmiemy. Pan niech po prostu wraca do domu i spróbuje zapomnieć”. Mam przeczucie, że to nie będzie takie łatwe.

W salonie Alex Mair cisnął na żarzące się węgle kilka niegru-bych polan i poszedł po napoje.

Lessingham, odrzucając propozycję wypicia whisky, poprosił o wino. — Tylko nie trwoń na mnie swojego najlepszego klaretu, Alex, chodzi o funkcję czysto leczniczą.

Kiedy prawie niepostrzeżenie przysunęli się z krzesłami bliżej, Lessingham, pociągając od czasu do czasu wino, rozpoczął swoją opowieść. Dalglishowi zdawało się, że od chwili przybycia uległ subtelnemu przeistoczeniu i emanował teraz mocą po równi tajemniczą i dziwnie znajomą.

Pomyślał: spłynęła nań charyzma bazarza — i, powiódłszy spojrzeniem po kręgu oblanym blaskiem ognia, skupionych twarzy, przypomniał sobie nagle swoją pierwszą wiejską szkołę, gromadkę dzieci, otaczających w piątkowe popołudnia pannę Douglas na pół godziny bajek, a wreszcie doznał ukłucia żalu za tymi

78

INTRYG I ŻĄDZE

bezpamiętnie utraconymi dniami niewinności i miłości. Zaskoczył go fakt, że wspomnienie to akurat w tej chwili zaatakowało go z taką mocą. Bo dzisiejsza opowieść miała być zupełnie inna i na pewno nieodpowiednia dla dziecięcych uszu.

Lessingham mówił: — Miałem o piątej wizytę u swojego dentysty w Norwich, a potem wpadłem jeszcze na moment do przyjaciela. Jechałem więc tu z Norwich, nie zaś od siebie. Ledwie w Fairstead skręciłem w prawo z Bi 150, gdy omal nie władowałem się na nie oświetlony samochód, stojący ukosem na samym środku drogi. Pomyślałem, że facet idiotycznie zaparkował, jeśli już go przyparło na siusiu w krzakach. Potem przyszło mi do głowy, że może miał miejsce jakiś wypadek. No i drzwi od strony kierowcy były otwarte; to wyglądało trochę dziwnie. Zatrzymałem się więc obok tego auta i wysiadłem, żeby zbadać sytuację. Nikogo w pobliżu nie było. Właściwie nie wiem, dlaczego wszedłem pomiędzy drzewa. Instynkt, jak przypuszczam. Panował zbyt gęsty mrok, abym mógł cokolwiek zobaczyć i zastanawiałem się czy powinienem krzyknąć. Potem poczułem, że robię z siebie idiotę, więc postanowiłem odejść i pilnować własnych spraw. Wtedy omal się o nią nie potknąłem.

Pociągnął następny łyk wina. — Oczywiście wciąż nic nie widziałem, ale ukląknęłam i zacząłem macać. Poczulem pod palcami ciało. Chyba udo, choć nie jestem pewien. Ale co do ciała, nawet martwego ciała, człowiek nie może się pomylić. Wróciłem do wozu i przyniosłem latarkę. Najpierw oświetliłem stopy, potem korpus, na koniec twarz. Wtedy zobaczyłem i pojąłem, że to robota Świstuna.

Meg Dennison zapytała cicho: — Czy to było bardzo straszne?

Prawdopodobnie usłyszał w jej głosie to, co najpewniej czuła — nie chorobliwą ciekawość, lecz współczucie, zrozumienie dla jego potrzeby wygadania się — więc posłał jej przeciągłe spojrzenie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, a potem zamilkł na dłużej, by poważnie zastanowić się nad odpowiedzią.

— Raczej szokujące niż straszne. Moje uczucia, jak je widzę teraz, były skomplikowane, stanowiły mieszaninę zgrozy, niedowierzania i, cóż, wstydu. Czułem się jak podglądacz. Zmarli, koniec końców, są tak bezradni. Wyglądała groteskowo, nawet śmiesznie z tą sterczącą z ust cienką kępką włosów; wyglądała tak, jakby je żuła. Doznałem prawie nieodpartej pokusy, by zachichotać. Wiem, że stanowiło to jedynie reakcję na szok, ale trudno się tym szczycić. A cała scena sprawiała wrażenie... rio, cóż... banalne. Poproszony na przykład wczoraj o opisanie jednej z ofiar Świstuna, tak właśnie bym to sobie zapewne

79

P. D. JAMES

wyobraził. Lecz przecież oczekujemy, iż rzeczywistość będzie się różnić od wizji.

— Może dlatego, że wizje są z reguły straszniejsze — powiedziała Alice Mair.

— Musiałeś być przerażony — stwierdziła prawie bezgłośnie Meg Dennison. — Bo ja bym na pewno była. W ciemnościach, sam na sam z takim okropieństwem...

Nieznacznie przesunął się na krześle w jej stronę, jak gdyby zależało mu na tym, aby z wszystkich obecnych właśnie ona najlepiej zrozumiała odpowiedź.

— Nie, wcale nie byłem przerażony i to jest najbardziej zaskakujące. Przestraszyłem się, jasne, ale tylko na sekundę lub dwie. W końcu nie zakładałem, że przyczał się gdzieś w mroku. Miał swoją chwilę emocji, a poza tym, nie interesują go mężczyźni. Stwierdziłem, że przez mój mózg przemykają najzwyklejsze, najpospolitsze myśli: nie powinienem niczego dotykać. Nie powinienem zamazać jakichkolwiek śladów. Potem, wracając do wozu, zacząłem przerabiać w myśli swoją relację i czyniłem to w taki sposób, jakbym komponował fabułę. Próbowałem wyjaśnić, dlaczego poszedłem w gąszcz, starając się, by brzmiało to przekonująco.

— A co tu było do usprawiedliwiania? — zapytał Alex Mair.

— Zrobiłeś to, co zrobiłeś i twoją opowieść uważam za sensowną. Wóz, stojący ukosem na drodze, stwarzał niebezpieczeństwo. Postąpiłbyś nieodpowiedzialnie dopiero wówczas, gdybyś pojechał dalej.

— Musiałem jednak nawyjaśniać się co niemiara. Może dlatego, że każde z kolejnych pytań, jakie zadawali mi policjanci, zaczynało się od „dlaczego”. Człowiek staje się chorobliwie przewrażliwiony na punkcie własnych motywów. Było prawie tak, jakbym musiał przekonać samego siebie, że tego nie zrobiłem.

— Ale zwłoki... — wtrąciła ze zniecierpliwieniem Hilary Robarts.

— Czy postanawiając wrócić po latarkę, byłeś pewien, że ta kobieta nie żyje?

— Och, tak, byłem pewien, że nie żyje.

— Skąd mogłeś wiedzieć? Rzecz musiała wydarzyć się zaledwie przed chwilą. Dlaczego nie spróbowałeś przywrócić jej do życia choćby oddychaniem usta-usta? Stawka była warta tego, byś przewyciężył swój naturalny wstręt.

Dalgliesh usłyszał, że z ust Meg Dennison wydobywa się słabiutki dźwięk, coś pośredniego pomiędzy sapnięciem a jękiem. Lessingham popatrzył na Hilary i powiedział oziębło: — Zrobiłbym coś takiego, gdyby miało to najmniejszy sens. Ale wiedziałem, że nie żyje i poprze-

80

INTRYG I ŻĄDZE

stańmy na tym stwierdzeniu. Lecz nie obawiaj się, jeśli znajdę cię kiedykolwiek in extremis, spróbuję przewyciężyć swój naturalny wstręt.

Hilary rozluźniła się i lekko uśmiechnęła z satysfakcją, jakby rada, że sprowokowała go do trywialnej repliki. Potem, naturalniejszym już głosem, stwierdziła: — Dziwię się, że nie zostałeś uznany za podejrzanego. W końcu znalazłeś się jako pierwszy na miejscu zbrodni, a po raz drugi... cóż, prawie... otarłeś się o samą śmierć. To ci Wchodzi w nałóg.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane prawie szeptem, ale ani przez moment Hilary nie spuściła oczu z twarzy Lessinghama. Odwzajemnił spojrzenie i odparł równie cicho: — Jest jednak pewna różnica, nieprawdaż? Musiałem patrzeć jak Toby umiera, pamiętasz? A tym razem nikt nawet nie próbuje udawać, że nie chodzi o morderstwo.

W ogniu rozległ się nagły trzask i szczytowe polano stoczyło się z rusztu. Mair, z rumieńcem na twarzy, jadowitym kopniakiem posłał je w głąb kominka. Hilary Robarts, idealnie spokojna, zwróciła się do Dalgliesha: — Ale mam chyba słuszność, prawda? Czy policja nie podejrzewa zwykle osoby, która znalazła zwłoki?

— Niekoniecznie — odparł ze spokojem.

Lessingham, który odstawił uprzednio butelkę klaretu na kominku, sięgnął teraz po nią i dolał sobie

wina. — Mogliby mnie chyba podejrzewać — powiedział — gdyby nie kilka fortunnych okoliczności. Byłem poza domem, mając po temu bardzo oczywiste powody. Dysponowałem żelaznym alibi na czas przynajmniej dwóch z poprzednich morderstw. No i, z ich punktu widzenia, byłem przygnębiająco blady. Chyba nie mieli wątpliwości, że jestem w lekkim szoku. Poza tym nie było żadnych śladów ani postronka, którym ją udusił, ani noża.

— Jakiego noża? — wtrąciła bezceremonialnie Hilary. — Świstun jest dusicielem. Ogólnie wiadomo, w jaki sposób zabija.

— Och, czyżbym o tym nie wspomniał? Została uduszona, jasne, albo tak mi się przynajmniej zdawało. Nie oświetlałem jej twarzy ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Ale wpychanie włosów do ust nie jest jedynym piętnem, jakim znaczy swoje ofiary. Włosów łonowych, nawiasem mówiąc. Dobrze to widziałem. Miała jeszcze wyciętą na czole literę L. Zupełnie wyraźną. Konstabl-detektyw powiedział mi później, że to jeden ze znaków rozpoznawczych Świstuna. Przypuszczał, że L oznacza Larksoken i że Świstun być może zabiera w ten sposób głos w sprawie energii nuklearnej. Na przykład — protestuje.

6 Intrygi i żądze

P. D. JAMES

— To nonsens — powiedział ostro Aïex Mair, a potem dodał z większym już spokojem: — Ani w prasie, ani w telewizji nie mówiono niczego o jakimkolwiek kaleczeniu czoł ofiar.

— Policja zachowuje lub usiłuje to zachować w tajemnicy. Taki szczegół może być pomocny do wyeliminowania fałszywych sprawców. Mieli ich już, jak się zdaje, coś około pół tuzina. O włosach również nie pisano w prasie, a jednak ten element makabry jest chyba ogólnie znany. W końcu nie jestem pierwszym, który znalazł zwłoki. A ludzie plotkują.

— Jak wiem — rzekła Hilary Robarts — nie pisano i nie mówiono nic o tym, że są to włosy łonowe.

— Zgoda, ten szczegół również policja usiłuje zachować dla siebie, a poza tym nie jest to rzecz, nad którą powinny rozvodzić się gazety, czytywane przez całe rodziny. Choć ten aspekt sprawy trudno uznać za zaskakujący. Świstun nie jest gwałcicielem, lecz przecież w jego zbrodniach musi tkwić jakiś element seksualny.

Szczegół ten — uznał Dalglish, poinformowany o nim wczoraj wieczorem przez Rickardsa — Lessingham powinien był jednak przemilczeć, szczególnie w towarzystwie składającym się w połowie z kobiet. Trochę zdumiał się swoją nagłą wrażliwością; może winne jej było ukradkowe spojrzenie, jakie rzucił na udręczoną twarz Meg Dennison. Potem usłyszał cichy szmer i obrócił wzrok ku otwartym drzwiom jadalni, by dostrzec skrytą w mroku smukłą sylwetkę Theresy Blaney. Zastanowił się, jakiej części relacji Lessin-ghama zdołała wysłuchać. Nawet najmniejsza oznaczała jednak za wiele. Powiedział zatem, niezupełnie świadom pobrzmiwającej w swym głosie surowości: — Czy nadinspektor Rickards nie prosił, by traktował pan te informacje jako poufne? Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Dalglish pomyślał: „Zapomnieli na moment, że jestem policjantem”.

Lessingham odwrócił się do niego. — Zamierzam traktować je jako poufne. Rickards nie chciał, by przedostały się do wiadomości opinii publicznej — i nie przedostaną się. Wszyscy obecni zachowają je dla siebie.

Lecz to jedno pytanie, które przypomniało im brutalnie, kim jest i kogo reprezentuje, zmroziło atmosferę i zastąpiło nastrój ocierającego się o fascynację i zgrozę zainteresowania, na poły wstydliwym zakłopotaniem. A kiedy minutę później Dalglish wstał, aby pożegnać się i podziękować gospodyni, dało się wyczuć powszechną ulgę. Wiedział, iż to zakłopotanie nie ma nic wspólnego z lękiem, że zacznie wypytywać, krytykować, pełnić w ich gronie rolę szpiega. Nie on

82

INTRYG I ŻĄDZE

prowadził sprawę i nie oni byli podejrzanymi; pojmowali też pewnie, że nie mają do czynienia z pogodnym ekstrawertykiem, któremu pochlebi fakt, iż — bombardowany pytaniami o przypuszczalne metody śledcze nadinspektora Rickardsa, o szanse schwytania Świs-tuna, o teorie na temat psychopatycznych zabójców, a wreszcie o jego własne doświadczenia z morderstwami

seryjnymi — stanie się główną atrakcją wieczoru. Sama wszakże jego obecność potęgowała w nich obudzony ostatnią zbrodnią strach i odrazę. We wszystkich duszach wyrło się wyobrazenie tej okaleczonej twarzy, półotwartych ust, zakneblowanych włosami, tych zapatrzonych w przestrzeń, niewidzących oczu — a jego obecność będzie tylko tę wizję wyostrzać i urealniać. Groza i śmierć stanowiły jego zawód; rozsiewał, jak grabarz, zarazki swego fachu.

Był już przy wyjściu, gdy powodowany impulsem odwrócił się i powiedział do Meg Dennison: — Chyba wspomniała pani, że przyszła tu ze Starej Plebanii piechotą, pani Dennison. Czy mógłbym teraz, jeśli to dla pani nie za wcześnie, towarzyszyć jej w drodze powrotnej?

Alex Mair zaczął mówić, że oczywiście odwiezie Meg do domu, ona jednak niezgrabnie wstała z krzesła i odparła nadmiernie może ochoczo: — Byłabym bardzo zobowiązana. Mam ochotę na spacer i oszczędziłabym w ten sposób Alexowi trudu wyprowadzania wozu.

— No i najwyższy już czas — wtrąciła Alice Mair — podrzucić Theresę. Powinniśmy to byli zrobić godzinę temu. Zadzwoń do jej ojca. A gdzie ona jest, nawiasem mówiąc?

— Chyba minutkę temu widziałam, jak uprząta stół w jadalni — odparła Meg.

— Poszukam jej, a Alex ją zawiezie.

Przyjęcie najwyraźniej dobiegało końca. Hilary Robarts, która rozparta w krzesle nie spuszczała z Lessinghama' wzroku, teraz podniosła się i oznajmiła: — Ja też wracam do siebie. Nikt mnie nie musi odprowadzać. Jak zauważył Miles, Świstun miał na dziś dość emocji.

— Wolałbym, żebyś zaczekała — zaproponował Alex Mair. — Podrzucę Theresę, a potem cię odprowadzę.

Wzruszyła ramionami i, nie patrząc na Maira, odrzekła: — W porządku. Jeśli nalegasz, zaczekam. Podeszła do okna i wbiła spojrzenie w ciemność. Tylko Lessingham pozostał na miejscu, by po raz kolejny napełnić kieliszek. Dalgliesh zauważył, że Mair po cichu postawił na kominku nową otwartą butelkę. Zastanawiał się, czy Alice Mair zaproponuje Lessin-

83

f. & JAMES

ghamowi nocleg w Chł... ię^ennicy, czy też odwiezie go później sama albo poprosi o te> *f t3. J3o zapewne Lessingham nie będzie w stanie usiąść za kierów * a.

Dalgliesh podawał », Dennison okrycie, gdy nienaturalnie donośnie w cichym poJc0- zadzwonił telefon. Poczł nagłe ukłucie lęku i niemal wbrew w0lj jia moment mocniej zacisnął dłonie na ramionach kobiety. Potem'uS} yszał głos Aiexa Maira.

— Tak, słyszeliśmy. Jest tu Miles Lessingham i opowiedział nam wszystko w szczegółach. Tak, rozumiem. Tak. Dziękuję za wiadomość. — Potem dłuższa chwil3 ciszy i znów głos Maira: — Zupełny przypadek, skłonny byłbym sądzić. W końcu pracuje u nas pięćset trzydzieści osób. Ale naturalnie cały personel, szczególnie kobiety, będzie zaszokowany nowiną. Tak, będę jutro w swoim biurze i do panów wszechstronnej dyspozycji. Przypuszczam, że powiadomiono jej rodzinę? Tak, rozumiem. Dobrej nocy, panie nadinspektorze.

Odłożył słuchawkę i wyjaśnił: — Dzwonił nadinspektor Rickards. Zidentyfikowano ofiarę.

Christine Baldwin. Jest... była... maszynistką w elektrowni. Czyżbyś jej nie rozpoznał, Miles?

Tym razem Lessingham napełniał kieliszek z prawdziwym namaszczeniem. Wreszcie powiedział:

— Policjanci nie wymienili w mojej obecności jej nazwiska. Zresztą nie przypominałbym go sobie tak czy owak. I... nie, Alex, nie rozpoznałem jej. Przypuszczalnie widywałem Christine Baldwin w Larksoken, najpewniej w kantine, ale to, z czym się dziś zetknąłem, to nie była Christine Baldwin. A upewniam cię, że nie oświetlałem jej twarzy ani chwili dłużej niż było to konieczne, aby się upewnić, że przynajmniej ja w niczym nie mogę jej już pomóc.

Nie odwracając twarzy od okna Hilary Robarts wyrecytowała:

— Christine Baldwin. Wiek trzydzieści trzy lata. Pracowała u nas zaledwie od jedenastu miesięcy. W zeszłym roku wyszła za mąż. Ostatnio przeniesiona do Działu Medycznego. Jeśli jesteście zainteresowani, mogę wam pokazać próbki jej maszynopisów i stenogramów.

— Potem odwróciła się od okna i spojrzała Alexowi w oczy.—Wygląda na to, że Świstun przybliża się coraz bardziej, nieprawdaż? I to w szerszym tego słowa znaczeniu.

INTRYG I ŻĄDZE

Zostawiając za sobą zapach dymu, wina i potraw, wyszli z pokoju, który Dalglieshowi zaczynał wydawać się nieznośnie przegrzany, w przesycony aromatem morza chłód wieczoru. Dopiero po kilku minutach, kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, Dalgliesh dostrzegł wielki jęzor przylądka o konturach tajemniczo przeistoczonych pod rozgwieżdżonym firmamentem. Na północy elektrownia jądrowa migotała jak galaktyka białych światła, a jej surową geometryczną sylwetkę wchłaniało granatowoczarne niebo.

Zapatrzeni w nią stali przez chwilę; potem Meg Dennison powiedziała: — Kiedy po raz pierwszy przyjechałam tu z Londynu, przejęła mnie lękiem... ten jej ogrom, to panowanie nad przylądkiem. Ale zaczynam się do niej przyzwyczajać. Wciąż niepokoi, ma jednak swoiste dostojeństwo. Alex usiłuje odebrać jej tajemniczość, powiada, że jedyna jej funkcja polega na tym, by czysto i sprawnie wytwarzać energię dla kraju, że od innych, konwencjonalnych siłowni różni ją tylko nieobecność olbrzymiej piramidy zatruwających środowisko pyłów węglowych. Energia atomowa dla mojego pokolenia kojarzy się jednak z chmurą w kształcie grzyba. Teraz również z Czarnobylem. Gdyby jednak była rysującym się na horyzoncie średniowiecznym zamczyskiem z blankami i wieżyczkami, prawdopodobnie wpadlibyśmy w zachwyty.

— Wieżyczki całkowicie zmieniłyby jej sylwetkę — odrzekł Dalgliesh. — Ale wiem, co ma pani na myśli. Też wolałbym przylądek bez elektrowni, a mimo to zaczynam odnosić wrażenie, iż ma jakieś prawo tu być.

Odwrócili się jednocześnie od roziskrzonych światła i skierowali wzrok na południe, gdzie trwał murszejący symbol zasadniczo innej potęgi. Na skraju urwiska, jak dziecinny zamek z piasku, pozbawiany konturów uderzeniami fal, wznosiło się zrujnowane opactwo benedyktynów. Dalgliesh ledwie dostrzegał ogromną pustą arkadę wschodniego okna, a w niej migotanie fal Morza Północnego; żółty, pocętkowany ciemniejszymi plamami księżyc kołysał się jak kadzielnica, to oświetlając ruiny z góry, to znów prześwietlając je na wskroś swoim odbiciem od powierzchni wody. Prawie nieświadomie zboczyli ze ścieżki i po nierównym gruncie postąpili kilka kroków w stronę opactwa. Dalgliesh zapytał: — Pójdziemy? Znajdzie pani chwilę czasu? I jak tam buty?

— Zupełnie do przyjęcia. Tak, mam ochotę, wygląda w nocy tak

85

P. D. JAMES

ghamowi nocleg w Chacie Męczennicy, czy też odwiezie go później sama albo poprosi o to brata. Bo zapewne Lessingham nie będzie w stanie usiąść za kierownicą.

Dalgliesh podawał Meg Dennison okrycie, gdy nienaturalnie donośnie w cichym pokoju zadzwonił telefon. Poczul nagle ukłucie lęku i niemal wbrew woli, na moment mocniej zacisnął dłonie na ramionach kobiety. Potem usłyszał głos Aiexa Maira.

— Tak, słyszeliśmy. Jest tu Miles Lessingham i opowiedział nam wszystko w szczegółach. Tak, rozumiem. Tak. Dziękuję za wiadomość. — Potem dłuższa chwila ciszy i znów głos Maira: — Zupełny przypadek, skłonny byłbym sądzić. W końcu pracuje u nas pięćset trzydzieści osób. Ale naturalnie cały personel, szczególnie kobiety, będzie zaszokowany nowiną. Tak, będę jutro w swoim biurze i do panów wszechstronnej dyspozycji. Przypuszczam, że powiadomiono jej rodzinę? Tak, rozumiem. Dobrej nocy, panie nadinspektorze.

Odłożył słuchawkę i wyjaśnił: — Dzwonił nadinspektor Rickards. Zidentyfikowano ofiarę. Christine Baldwin. Jest... była... maszynistką w elektrowni. Czyżbyś jej nie rozpoznał, Miles? Tym razem Lessingham napełniał kieliszek z prawdziwym namaszczeniem. Wreszcie powiedział: — Policjanci nie wymienili w mojej obecności jej nazwiska. Zresztą nie przypomniałbym go sobie tak czy owak. I... nie, Alex, nie rozpoznałem jej. Przypuszczalnie widywałem Christine Baldwin w Larksoken, najpewniej w kantine, ale to, z czym się dziś zetknąłem, to nie była Christine Baldwin. A upewniam cię, że nie oświetlałem jej twarzy ani chwili dłużej niż było to konieczne, aby się upewnić, że przynajmniej ja w niczym nie mogę jej już pomóc.

Nie odwracając twarzy od okna Hilary Robarts wyrecytowała: — Christine Baldwin. Wiek trzydzieści trzy lata. Pracowała u nas zaledwie od jedenastu miesięcy. W zeszłym roku wyszła za mąż. Ostatnio przeniesiona do Działu Medycznego. Jeśli jesteście zainteresowani, mogę wam

pokazać próbki jej maszynopisów i stenogramów. —Potem odwróciła się od okna i spojrzała Alexowi w oczy.—Wygląda na to, że Świstun przybliżyła się coraz bardziej, nieprawdaż? I to w szerszym tego słowa znaczeniu.

INTRYG I ŻĄDZE

Zostawiając za sobą zapach dymu, wina i potraw, wyszli z pokoju, który Dalglieshowi zaczynał wydawać się nieznośnie przegrzany, w przesycony aromatem morza chłód wieczoru. Dopiero po kilku minutach, kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, Dalgliesh dostrzegł wielki jęzor przylądka o konturach tajemniczo przeistoczonych pod rozgwieżdżonym firmamentem. Na północy elektrownia jądrowa migotała jak galaktyka białych światła, a jej surową geometryczną sylwetkę wchłaniało granatowoczarne niebo.

Zapatrzeni w nią stali przez chwilę; potem Meg Dennison powiedziała: — Kiedy po raz pierwszy przyjechałam tu z Londynu, przejęła mnie lękiem... ten jej ogrom, to panowanie nad przylądkiem. Ale zaczynam się do niej przyzwyczajać. Wciąż niepokoi, ma jednak swoiste dostojęstwo. Alex usiłuje odebrać jej tajemniczość, powiada, że jedyna jej funkcja polega na tym, by czysto i sprawnie wytwarzać energię dla kraju, że od innych, konwencjonalnych siłowni różni ją tylko nieobecność olbrzymiej piramidy zatruwających środowisko pyłów węglowych. Energia atomowa dla mojego pokolenia kojarzy się jednak z chmurą w kształcie grzyba. Teraz również z Czarnobylem. Gdyby jednak była rysującym się na horyzoncie średniowiecznym zamczyskiem z blankami i wieżyczkami, prawdopodobnie wpadlibyśmy w zachwyt.

— Wieżyczki całkowicie zmieniłyby jej sylwetkę — odrzekł Dalgliesh. — Ale wiem, co ma pani na myśli. Też wolałbym przylądek bez elektrowni, a mimo to zaczynam odnosić wrażenie, iż ma jakieś prawo tu być.

Odwrócili się jednocześnie od roziskrzonych światła i skierowali wzrok na południe, gdzie trwał murszejący symbol zasadniczo innej potęgi. Na skraju urwiska, jak dziecinny zamek z piasku, pozbawiany konturów uderzeniami fal, wznosiło się zrujnowane opactwo benedyktynów. Dalgliesh ledwie dostrzegał ogromną pustą arkadę wschodniego okna, a w niej migotanie fal Morza Północnego; żółty, pocętkowany ciemniejszymi plamami księżyc kołysał się jak kadzielnica, to oświetlając ruiny z góry, to znów prześwietlając je na wskroś swoim odbiciem od powierzchni wody. Prawie nieświadomie zboczyli ze ścieżki i po nierównym gruncie postąpili kilka kroków w stronę opactwa. Dalgliesh zapytał: — Pójdziemy? Znajdzie pani chwilę czasu? I jak tam buty?

— Zupełnie do przyjęcia. Tak, mam ochotę, wygląda w nocy tak

85

P. D. JAMES

cudownie. I wcale nie muszę się spieszyć, bo Copleyowie zapewne na mnie nie czekają. Od jutra, gdy dowiedzą się, jak blisko zawędrował Świstun, przypuszczalnie nie będę mogła zostawiać ich samych po zmroku. Może to mój ostatni na długo wolny wieczór.

— Nie sądzę, by przy dobrze zamkniętych drzwiach groziło im jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Na razie wszystkie ofiary Świstuna były młodymi kobietami i wszystkie zostały zabite na dworze.

— Sama to sobie powtarzam. I nie przypuszczam, że się naprawdę boją. Niekiedy ludzie bardzo starzy zdają się mieć za sobą ten rodzaj strachu. Niezwykłej wagi nabierają dla nich trywialne troski dnia, wielkie tragedie jednak przyjmują bez wstrząsów. Rzecz w tym, że ich córka dzwoni nieustannie z Wiltshire, sugerując, by się do niej przenieśli, dopóki Świstun nie zostanie schwytany. Nie chcą tego robić, ale ona jest kobietą bardzo upartą i natarczywą; jej argumenty nabierają szczególnej mocy, kiedy dzwoni po zmierzchu i to pod moją nieobecność. — Po krótkiej pauzie dodała: — To był okropny koniec interesującego, lecz nader osobliwego przyjęcia. Wolałabym, aby pan Lessingham zachował szczegóły dla siebie, chociaż sądzę, że Wyrzucenie z siebie tego wszystkiego było mu potrzebne, zwłaszcza jeśli mieszka samotnie.

— Musiałby mieć nadludzkie opanowanie, żeby o tym nie mówić — stwierdził Dalgliesh. — Szkoda jednak, że nie ominął co pikantniejszych kąsków.

— To również bardzo istotne dla Aiexa. Już w tej chwili niektóre pracownice domagają się po drugiej zmianie eskorty do domu. Alice mi mówiła, że to dla Aiexa duży wysiłek organizacyjny. Kobiety zgadzają się na towarzystwo tylko takich mężczyzn, którzy mają niepodważalne alibi na

czas przynajmniej jednego z morderstw Swistuna. Przestają reagować racjonalnie, nawet gdy pracowały z kimś przez dziesięć lat.

— Morderstwa zawsze się do tego przyczyniają, zwłaszcza takie morderstwa—powiedział Dalgliesh. — Miles Lessingham wspominał inną śmierć: Toby'ego. Czy to ten młody człowiek, który zabił się na terenie elektrowni? Chyba pamiętam artykuł w którejś z gazet.

— Okropna tragedia. Toby Gledhill był jednym z najbardziej błyskotliwych młodych współpracowników Aiexa. Skręcił kark, rzuciwszy się z góry na pokrywę reaktora.

— A zatem nie było w tym nic tajemniczego?

— Ach, nie, nic. Wyjąwszy motyw uczynku. Pan Lessingham to widział. Jestem zaskoczona, że pan pamięta, bo w prasie ogólnokrajowej prawie to przemilczano. Alex usiłował nie dopuścić do rozgłosu, aby uchronić rodziców Gledhilla.

86

■ЯННЯИПЯМНПНННННТЯЯ

INTRYG I ŻĄDZE

A przy okazji ochronić elektrownię, pomyślał Dalgliesh! Zastanawiał się, dlaczego mówiąc o śmierci Gledhilla Lessingham użył słowa „morderstwo”, ale postanowił nie indagować dłużej towarzyski. Rzecz została wypowiedziana tak cicho, że wcale nie miał stuprocentowej pewności, czy ją istotnie usłyszał. Zamiast tego spytał: — Czy jest pani zadowolona, że mieszka na przylądku?

Pytanie, jak się zdawało, wcale nie było zaskakujące dla Meg Dennison, zaskoczyło natomiast samego Dalgliesha. Tak samo jak fakt, że czuje się w jej towarzystwie bardzo swobodnie. Miała w sobie coś dziwnie kojącego. Podobała mu się w niej spokojna łagodność, nie wykluczająca jednak wewnętrznej siły. Miała miły głos, na głosy zaś zwracał dużą uwagę. A przecież zaledwie sześć miesięcy temu żadna z tych cech nie zdołałaby go skłonić do dotrzymania jej towarzystwa choćby sekundę dłużej ponad grzecznościowe minimum. Odprowadziłby ją na Starą Plebanię, a potem — wywiązawszy się z tej drobnej powinności sąsiedzkiej — ogarnięty ulgą, ruszył w stronę opactwa, owijając się swoją samotnością jak płaszczem. Samotność wciąż miała dlań zasadnicze znaczenie. Nie mógł znieść dwudziestu czterech godzin, jeśli więcej niż połowę z nich spędzał w obecności bliźnich. Lecz jakaś dokonująca się w nim przemiana, mająca związek z nieubłaganym upływem lat, karierą, powrotem do poezjowania, może nieśmiałyymi zaczątkami miłości, sprawiła, że na powrót stawał się chyba towarzyski. Nie był pewien, czy należy to zwalczać, czy też witać z zadowoleniem.

Widział, że głęboko zastanawia się nad jego pytaniem.

— Tak, chyba jestem — odparła wreszcie. — Czasami bardzo zadowolona. Wyniosłam się z Londynu, aby umknąć przed problemami mojego tamtejszego życia, no i, nie mając w gruncie rzeczy takiego zamiaru, zawędrowałam do najdalej na wschód położonego zakątka Anglii.

— Aby stanąć oko w oko z dwiema bardzo różnymi groźbami: elektrownią i Świstunem.

— Obie są przerażające, bo jednakowo tajemnicze, tak samo zakorzenione w lęku przed nieznanym. Lecz te groźby nie mają charakteru osobistego, nie są skierowane w szczególności przeciwko mnie. Ja przecież umknęłam, a wszyscy, jak sędzę, uciekinierzy niosą ze sobą jakieś poczucie winy. No i tęsknię za dziećmi. Może powinnam była zostać i kontynuować walkę. Tyle że ta walka w coraz większym stopniu stawała się wojną publiczną. Nie jestem predestynowana do roli pozytywnej bohaterki co bardziej reakcyjnych piśmideł. Pragnęłam tylko, by dano mi spokój i pozwolono wykonywać pracę, do

87

p. D. JAMES

której jestem p|oWana i którą kocham. Każdą jednak książkę, jaką wykorzystałam ^^Pw;ji, każde słowo, jakie wypowiedziałam, analizowano pod lupą V^Ie można nauczać w atmosferze niechętej podejrzliwości. W k^ Przekonałam się, że nie mogę w niej nawet żyć. Brała za pe-JIS^ że wszystko o niej wie; przecież powinien to wiedzieć każdy 7^*Vnik gazet.

— Zupełni^^liwa — odrzekł — jest walka z nietolerancją, głupotą i fanaty^^ kiedy atakują

pojedynczo. Gdy jednak robią to razem, wyjścierK^^sądniejszym, choćby w imię zachowania równowagi psychiczna -φi odwrót.

Zbliżali się ,V opactwa, a trawiasty grunt był tu silniej pofałdowany. Meg p^eła się; Dalgliesh wyciągnął ramię, by ją podtrzymać. Powieć^ja: — Iw końcu poszło właśnie o słowa. Zaczęli nalegać, żebym -je używała takich, jak „czarny charakter”, czy „oczerniać”... P^ponowali w zamian „obrzucać błotem”. Nie mogłam uwierzyć, i wciąż nie wierzę, by jakikolwiek człowiek przy zdrowych zmysłach mógł coś mieć przeciwko słowu „oczerniać”. Przecież przymiotnik „czarny” nie jest sam w sobie nacechowany pejoratywnie. Używałam tych słów całe swoje życie, dlaczego zatem próbowali mnie skłonić, bym zmieniła sposób, w jaki posługuję się swoim językiem ojczystym? A przecież w tej chwili — tu, pod tym niebem, w cieniu tego ogromu — wszystko wydaje się tak małostkowe... Może moja wina polega na tym, że kwestie zupełnie trywialne podniosłam do rangi pryncypiów?

— Agnes Poley zrozumiałaby panią—odrzekł Dalgliesh. — Wiem o niej sporo od ciotki, która myszkowała w archiwach. Poszła na stos, bo uporczywie trzymała się swojej własnej bezkompromisowej wizji wszechświata. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że ciało Chrystusa może być obecne w sakramencie, a zarazem — fizycznie — zasiadać w niebiesiech po Prawicy Boga. Byłoby to, jak utrzymywała, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Może Alex Mair winien ją uczynić patronką swojej elektrowni' taką niby-świętą racjonalizmu.

— To jednak z4pełnie inna historia. Agnes Poley wierzyła, że jej duszy nieśmiertelni grozi niebezpieczeństwo.

— Któż moje Medziec, w co wierzyła? — powiedział Dalgliesh. — Przypuszczał*1' ^e powodował nią upór. Uważam to za godne podziwu.

— Pan Gople^ s— stwierdziła Meg — uznalby zapewne, że się myliła: nie w sV^t* uporze, lecz przyziemnym postrzeganiu sakramentu. Nie czuj? ^ zresztą kompetentna, by o tym dyskutować. Ale, istotnie, ponieść kropną śmierć w imię zdroworozsądkowej wizji

88

INTRYG I ŻĄDZE

wszechświata to imponujące. Ilekroć odwiedzam Alice, zawsze przystaję, żeby przeczytać tabliczkę. To taki mój mały hołd. Zarazem jednak nie czuję obecności Agnes w Chacie Męczennicy. A pan?

— W najmniejszym stopniu. Podejrzewam, że centralne ogrzewanie i współczesne meble po prostu nie sprzyjają duchom. Czy znała pani Alice Mair przed swoimi przenosinami na przylądek?

— Nie znałam tu nikogo. Po prostu odpowiedziałam na ogłoszenie Copleyów, zamieszczone w „The Lady”. Proponowali mieszkanie i wikt w zamian za coś, co określili mianem drobnych prac domowych. To eufemizm na ścieranie kurzy. Alice zmieniła w moim życiu bardzo wiele; nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi brak kobiecego towarzystwa. W szkole mieliśmy tylko sojusze, obronne lub zaczepne. Przerzucenie pomostów ponad podziałami politycznymi było zupełnie niemożliwe.

— Agnes Poley — stwierdził Dalgliesh — zrozumiałaby i to. Ona żyła w takiej atmosferze. Przez minutę szli w ciszy, zakłócaney tylko szelestem długiej trawy pod ich butami. Dalgliesh rozmyślał, dlaczego tak jest, że kiedy kroczy się ku morzu, nadchodzi moment, w którym jego ryk nagle potężnieje, jak gdyby groźba, uśpiona dotąd i cicha, nabrała znieńska sił i przemówiła pełnym głosem. Popatrzył w niebo, pocętkowane miliardami światełek, i doświadczył uczucia, że ziemia naprawdę porusza się pod jego stopami, a czas, który tajemniczo zatrzymał się w miejscu, wchłonał w jeden moment przeszłość, terażniejszość i przyszłość: zrujnowane opactwo, erodujące umocnienia na urwisku —r pamiątki ostatniej wojny, wiatrak i elektrownię. I zadał sobie pytanie, czy właśnie w chwili takiego bezczasu, przy wtórze wiecznie niespokojnego morza poprzedni właściciele Chaty Męczennicy dokonali wyboru tekstu. Nagle jego towarzyszka przystanęła i powiedziała: — W ruinach jest światło. Dwa krótkie błyski, coś jak latarka. Stali obserwując w milczeniu. Nic się nie pokazało. Meg dodała prawie przeprasząco: — Na pewno widziałam. I był jeszcze cień, jak gdyby coś lub ktoś przesunął się na tle wschodniego okna. Pan nic nie widział?

— Patrzyłem w niebo.

— Cóż, już zniknęło — stwierdziła z nutką żalu. — A może miałam przywidzenie.

Kiedy pięć minut później, ostrożnie stąpając pomiędzy kępami traw, dotarli do serca ruin, nie dostrzegli nic ani nikogo. W milczeniu przeszli przez wyrwę okna i stanęli na grani klifu: rozciągała się przed nimi tylko obszyta frędzlą piany, wybielona księżycem plaża. Gdyby

89

P. D. JAMES

której jestem przygotowana i którą kocham. Każdą jednak książkę, jaką wykorzystałam na lekcji, każde słowo, jakie wypowiedziałam, analizowano pod lupą. Nie można nauczać w atmosferze niechętniej podejrzliwości. W końcu przekonałam się, że nie mogę w niej nawet żyć. Brała za pewnik, że wszystko o niej wie; przecież powinien to wiedzieć każdy czytelnik gazet.

— Zupełnie możliwa — odrzekł — jest walka z nietolerancją, głupotą i fanatyzmem kiedy atakują pojedynczo. Gdy jednak robią to razem, wyjściem rozsądniejszym, choćby w imię zachowania równowagi psychicznej, jest odwrót.

Zbliżali się do opactwa, a trawiasty grunt był tu silniej pofałdowany. Meg potknęła się; Dalglish wyciągnął ramię, by ją podtrzymać. Powiedziała: — Iw końcu poszło właśnie o słowa. Zaczęli nalegać, żebym nie używała takich, jak „czarny charakter”, czy „oczerniać”... Proponowali w zamian „obrzucać błotem”. Nie mogłam uwierzyć, i wciąż nie wierzę, by jakikolwiek człowiek przy zdrowych zmysłach mógł coś mieć przeciwko słowu „oczerniać”. Przecież przymiotnik „czarny” nie jest sam w sobie nacechowany pejoratywnie. Używałam tych słów całe swoje życie, dlaczego zatem próbowali mnie skłonić, bym zmieniła sposób, w jaki posługuję się swoim językiem ojczystym? A przecież w tej chwili — tu, pod tym niebem, w cieniu tego ogromu — wszystko wydaje się tak małe... Może moja wina polega na tym, że kwestie zupełnie trywialne podniosłam do rangi pryncypiów?

— Agnes Poley zrozumiałaby panią — odrzekł Dalglish. — Wiem o niej sporo od ciotki, która myszkowała w archiwach. Poszła na stos, bo uporczywie trzymała się swojej własnej bezkompromisowej wizji wszechświata. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że ciało Chrystusa może być obecne w sakramencie, a zarazem — fizycznie — zasiadać w niebiesiech po prawicy Boga. Byłoby to, jak utrzymywała, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Może Alex Mair winien ją uczynić patronką swojej elektrowni, taką niby-świętą racjonalizmu.

— To jednak zupełnie inna historia. Agnes Poley wierzyła, że jej duszy nieśmiertelnej grozi niebezpieczeństwo.

— Któż może wiedzieć, w co wierzyła? — powiedział Dalglish. — Przypuszczam, że powodował ją upór. Uważam to za godne podziwu.

— Pan Gopley — stwierdziła Meg — uznałby zapewne, że się myliła: nie w swym uporze, lecz przyziemnym postrzeganiu sakramentu. Nie czuję się zresztą kompetentna, by o tym dyskutować. Ale, istotnie, ponieść okropną śmierć w imię zdroworozsądkowej wizji

88

INTRYG I ŻĄDZE

wszechświata to imponujące. Ilekroć odwiedzam Alice, zawsze przystaję, żeby przeczytać tabliczkę. To taki mój mały hołd. Zarazem jednak nie czuję obecności Agnes w Chacie Męczennicy. A pan?

— W najmniejszym stopniu. Podejrzewam, że centralne ogrzewanie i współczesne meble po prostu nie sprzyjają duchom. Czy znała pani Alice Mair przed swoimi przenosinami na przylądek?

— Nie znałam tu nikogo. Po prostu odpowiedziałam na ogłoszenie Copleyów, zamieszczone w „The Lady”. Proponowali mieszkanie i wikt w zamian za coś, co określili mianem drobnych prac domowych. To eufemizm na ścieranie kurzy. Alice zmieniła w moim życiu bardzo wiele; nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi brak kobiecego towarzystwa. W szkole mieliśmy tylko sojusze, obronne lub zaczepne. Przerzucenie pomostów ponad podziałami politycznymi było zupełnie niemożliwe.

— Agnes Poley — stwierdził Dalglish — zrozumiałaby i to. Ona żyła w takiej atmosferze. Przez minutę szli w ciszy, zakłócaney tylko szelestem długiej trawy pod ich butami. Dalglish

rozmyślał, dlaczego tak jest, że kiedy kroczy się ku morzu, nadchodzi moment, w którym jego ryk nagle potężnieje, jak gdyby groźba, uśpiona dotąd i cicha, nabrała znieścacka sił i przemówiła pełnym głosem. Popatrzył w niebo, pocętkowane miliardami światełek, i doświadczył uczucia, że ziemia naprawdę porusza się pod jego stopami, a czas, który tajemniczo zatrzymał się w miejscu, wchłonął w jeden moment przeszłość, teraźniejszość i przyszłość: zrujnowane opactwo, erodujące umocnienia na urwisku — pamiątki ostatniej wojny, wiatrak i elektrownię. I zadał sobie pytanie, czy właśnie w chwili takiego bezczasu, przy wtórze wiecznie niespokojnego morza poprzedni właściciele Chaty Męczennicy dokonali wyboru tekstu. Nagle jego towarzysza przystanęła i powiedziała: — W ruinach jest światło. Dwa krótkie błyski, coś jak latarka. Stali obserwując w milczeniu. Nic się nie pokazało. Meg dodała prawie przepraszająco: — Na pewno widziałam. I był jeszcze cień, jak gdyby coś lub ktoś przesunął się na tle wschodniego okna. Pan nic nie widział?

— Patrzyłem w niebo.

— Cóż, już zniknęło — stwierdziła z nutką żalu. — A może miałam przywidzenie.

Kiedy pięć minut później, ostrożnie stąpając pomiędzy kępami traw, dotarli do serca ruin, nie dostrzegli nic ani nikogo. W milczeniu przeszli przez wyrwę okna i stanęli na grani klifu: rozciągała się przed nimi tylko obszyta frędzlą piany, wybielona księżycem plaża. Gdyby

89

P. D. JAMES

istotnie ktoś tutaj był, pomyślał Dalgliesh, miałby mnóstwo możliwości, by skryć się za bryłami betonu albo w jednym z niezliczonych zagłębień piaszczystego stoku. Jeśliby nawet wiedzieli, w którym kierunku zniknął, próba pościgu nie miała sensu i żadnego konkretnego uzasadnienia.

Ludzie mają prawo samotnie spacerować po nocy. Meg odezwała się ponownie: — Możliwe, że miałam przywidzenie, ale wcale tak nie sędzę. Tak czy inaczej, ona już odeszła.

— Ona?

— Ależ tak. Nie mówiłam panu? Odniosłam silne wrażenie, że to była kobieta.

4

O czwartej nad ranem, kiedy wydawszy krótki rozpaczliwy okrzyk, Alice Mair przebudziła się z okropnego snu, wiatr na dworze zaczynał tężeć.

Sięgnęła dłonią, aby zapalić lampę, popatrzyła na zegarek, a potem znowu opadła na poduszkę i wlepiła oczy w sufit, pozwalając odpłynąć od siebie straszliwej rzeczywistości snu, rozpoznanej bezbłędnie jako powracający po tylu latach dawny koszmar; wywołały go zdarzenia minionego wieczoru a także odmieniane przez wszystkie przypadki słowo „morderstwo”, które — odkąd Świstun zaczął zabijać — zyskało, rzekłbyś, w atmosferze niezależny, natarczywy byt. Stopniowo wróciła do prawdziwego świata, manifestującego się drobnymi odgłosami nocy, zawodzeniem wiatru w przewodach kominowych, miękkością poszwy, którą kurczowo ścisnęła w dłoniach, nienaturalnie donośnym tykaniem zegarka i — przede wszystkim — podługowatą plamą bladej poświaty: otwartym i nie zastąpionym oknem, pozwalającym widzieć słabą luminescencję kropkowanego gwiazdami nieba.

Koszmar nie wymagał interpretacji, bo był zaledwie nową wersją dawniejszego — okropnością mniej przerażającą niż sny dzieciństwa, bardziej za to zrjonalizowaną i dorosłą. Ona i Alex byli znowu dziećmi i z rodzicami mieszkali u Copleyów na Starej Plebanii. Rzecz mało — we śnie — zaskakująca. Stara Plebania była po prostu większą i nie tak pretensjonalną wersją Słonecznego Stoku — absurdalnie nazwanego, nawiasem mówiąc, skoro stał na równym terenie, a w jego

90

INTRYG I ŻĄDZE

okna nigdy nie zaglądało słońce. Były to w jednym i drugim wypadku wzniesione z pełnej czerwonej cegły późnowiktoriariskie budynki o łukowych masywnych drzwiach pod spiczastymi gankami, oba, otoczone podobnymi ogrodami, tkwiły na bezludziu. We śnie Alice szła z ojcem

przez gęstwą krzaków. Ojciec niósł sierpak i był ubrany, tak samo jak tego okropnego jesiennego popołudnia, w przepoconą trykotową koszulkę i króciutkie szorty, przez które wyraźnie zaznaczała się wypukłość genitaliów; nogi, na udach mlecznobiałe, poniżej kolan porastał sfilcowany materac czarnych włosów. Alice była zaniepokojona, bo wiedziała, że Copleyowie liczą, iż przygotuje im lunch. Pan Copley, w sutannie i powiewającej na wietrze komży, nie dostrzegając z pozoru ich obecności, ze zniecierpliwieniem przechadzał się po trawniku na tyłach domu. Ojciec wyjaśniał jej podniesionym, starannie artykułowanym głosem, jakim zwykł się zwracać do matki: — Wiem, że jesteś zbyt głupia, aby to zrozumieć, ale będę mówić powoli i donośnie, mając nadzieję, iż nie nadużyjesz mojej cierpliwości. Otóż Alex nie dostanie tej pracy. Ja już tego dopilnuję. Nie wyznaczą na takie stanowisko człowieka, który zamordował swojego ojca.

Mówiąc to, machnął sierpakiem i Alice zauważyła, że koniec ostrza jest czerwony od krwi. Potem nagle odwrócił się w jej stronę i z gorejącym spojrzeniem machnął jeszcze raz; poczuła, że czubek sierpaka przebija skórę na jej czole, a oczy ślepną od gejeru krwi. Teraz, zupełnie przebudzona i zdyszana jak po długim biegu, przeciągnęła dłonią po czole, by stwierdzić, że chłodna wilgoć nie jest krwią, lecz potem.

Istniały niewielkie szanse, że zdoła zasnąć ponownie; tak było zawsze, gdy budziła się przed świtem. Mogła zatem wstać, nałożyć szlafrok, zejść na dół i zrobiwszy sobie herbatę popracować nad korektą, zająć się lekturą albo posłuchać BBC World Service. Albo też wziąć którąś ze swoich tabletek nasennych. Bóg świadkiem, że były dostatecznie silne, aby pogrążyć ją w niebyt.

Próbowała się jednak od nich odzwyczać i kapitulacja w tym momencie byłaby potwierdzeniem władzy, jaką ma nad nią koszmar. Wstanie więc i zaparzy herbatę. Nie obawiała się, że zbudzi Aiexa. Nawet podczas zimowych huraganów spał jak zabity. Najpierw jednak musiała odprawić niewielkie egzorcyzmy. Jeśli sen ma stracić swoją potęgę, jeśli ma mu zostać odcięta droga powrotu, trzeba stawić czoło wspomnieniom tego popołudnia sprzed prawie trzydziestu lat.

Był to ciepły jesienny dzień na początku października i we trójkę z ojcem i Aiexem pracowali w ogrodzie. Ojciec, w miejscu niewidocz-

91

P. D. JAMES

nym z okien domu, przycinał żywopłot, obrabując sierpakiem wyrastające przy ziemi boczne gałązki, które następnie Alice z bratem znosili na miejsce przyszłego ogniska. Ojciec, ubrany zbyt lekko jak na tę porę roku, ociekał jednak potem. Widziała jego podnoszące się i opadające ramię, słyszała trzask gałązek, znowu czuła ukłucia raniących jej palce cierni głogu. Potem, zamiast kolejnego z wyniosłe rzucanych poleceń, usłyszała krzyk. Albo gałąź była spróchniała, albo chybił cel. Tak czy inaczej, sierpak zatonął w obnażonym udzie i obróciwszy się, Alice ujrzała, że w powietrzu wykwita ogromnym łukiem fontanna musującej krwi, a ojciec osuwa się na ziemię jak ranione zwierzę, kurczowo chwytając palcami pustkę. Prawa dłoń upuściła sierpak i wysunęła się ku niej w żebraczym geście... oczy patrzyły na nią z dziecięcym błaganiem. Próbował coś mówić, ale nie zdołała zrozumieć słów. Jak zahipnotyzowana przesuwała się w jego stronę, gdy poczuła na ramieniu silny uścisk i oto alejką pomiędzy laurami Alex włókł ją w stronę sadu.

— Przestań, Alex! — krzyknęła. — On krwawi. Umiera. Musimy wezwać pomoc.

Nie pamiętała, czy istotnie powiedziała to wszystko. Pamiętała tylko moc, z jaką pchnął ją na pień jabłoni i uwięził. I to jedyne słowo. *— Nie.

"

Drżąc ze zgrozy, czując w piersi obłąkańczy łomot serca, nie mogła się wyrwać nawet gdyby tego chciała. Dopiero teraz pojęła, że jej bezradność była dla Aiexa czymś bardzo ważnym. To on i tylko on dopuścił się tego postępu. Ona, Alice — zniewolona i rozgrzeszona — nie miała żadnego wyboru. Teraz, gdy trzydzieści lat później leżała sztywno, wpatrując się w granat nieba, przypomniawszy sobie to jedno słowo, przypomniawszy sobie jego oczy wbite w swoje, mocny uścisk jego dłoni na swoich barkach, chropawy dotyk kory przez cienką bluzkę. Czas zdawał się stać w miejscu. Nie miała pojęcia, jak długo trwała jej niewola, wydawała się jednak wiecznością. A

potem Alex wreszcie westchnął i powiedział: — Dobra. Możemy już iść.

To ją też zdumiało — fakt, że potrafił myśleć racjonalnie, kalkulować, ile to wszystko może potrwać. Pociągnął ją za sobą aż stanęli nad zwłokami ojca. Bo spojrzawszy na wciąż wyciągnięte ramię, szkliste otwarte oczy i wsiąkającą w ziemię wielką kałużę krwi, pojęła od razu, że to zwłoki, że ojciec odszedł już na zawsze i że już nigdy nie będzie musiała się go bać. Alex zwrócił się do niej i wymawiając słowa tak donośnie i wyraźnie, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem, powiedział: — Już nigdy ci tego nie zrobi, cokolwiek to było. Nigdy. Teraz posłuchaj, powiem ci, co się stało. Odeszliśmy od

92

■ INTRYG I ŻĄDZE

niego, żeby powłazić na jabłonki. Potem postanowiliśmy wrócić. Potem go znaleźliśmy. I to wszystko, proste jak drut. Nie musisz mówić nic więcej. Całe gadanie pozostaw mnie. Popatrz na mnie, popatrz Alice? Zrozumiałaś?

Jej głos, kiedy go wreszcie z siebie dobyła, brzmiał jak skrzekliwy i słaby głos staruszki, a słowa grzęzły w gardle. — Tak, rozumiałam.

A potem, omal nie wrywając Alice ręki ze stawu, pociągnął ją biegiem przez trawnik, wpadł do kuchni i wydał z siebie coś, co brzmiało jak okrzyk triumfu. Alice słyszała jego przyspieszony oddech, widziała blednącą twarz matki, jakby i ona wykrwawiała się na śmierć.

— To ojciec. Miał wypadek. Szybko ściągnij lekarza.

Została w kuchni sama. Było bardzo zimno. Czują pod stopami chłodne płytki podłogi. Błat stołu, na którym położyła głowę, przejmował chłodem jej policzki. Nikt nie wchodził. Zdawała sobie sprawę, że ktoś rozmawia przez telefon w holu, później usłyszała inne głosy, inne kroki. Ktoś płakał. Więcej kroków i zgrzyt kół samochodu na zwirowym podjeździe.

No i Alex miał słuszość. To wszystko było bardzo proste. Nikt jej nie wypytywał, nikt nie okazał podejrzliwości. Ich wersja została zaakceptowana. Alice nie poszła na rozprawę; zrobił to AJex, choć potem ani słowem nie wspomniał o jej przebiegu. Kiedy już było po wszystkim, na osobliwym podwieczorku z kanapkami i ciastem domowej roboty zjawili się kilka najbardziej zainteresowanych osób: lekarz domowy, notariusz, garść przyjaciółek matki. Okazywały dobroć Alice i Alexowi. Ktoś ją nawet pogłaskał po głowie. Usłyszała czyjś głos: — To tragiczne, że nie było przy tym nikogo. Zdrowy rozsądek i podstawowe wiadomości z dziedziny pierwszej pomocy ocaliłyby mu życie.

Z premedytacją przywołane wspomnienia wypełniły swą funkcję egzorcysty. Odarły koszmar z jego grozy. Przy odrobinie szczęścia zniknie na wiele miesięcy. Zsunęła stopy z łóżka i sięgnęła po szlafrok.

Zalała właśnie wrzątkiem herbatę i czekała aż naciągnie, gdy usłyszała na schodach kroki Aiexa i odwróciwszy głowę ujrzała w drzwiach kuchni jego wysoką sylwetkę. W swym przewiązanym paskiem szlafroku wyglądał chłopięco, niemal bezradnie. Przeczesał oburącz zmierzwione włosy. Zaskoczona, ponieważ zazwyczaj nic go nie mogło wyrwać ze snu, zapytała: — Obudził cię hałas? Przepraszam.

— Nie, obudziłem się sam i już nie mogłem zasnąć. To czekanie z kolacją na Lessinghama było zabójcze dla procesów trawiennych. Świeża?

93

P. D. JAMES

— Prawie gotowa.

Wziął z kredensu drugi kubek i nalał dla obojga. Alice usiadła w wiklinowym fotelu i milcząco przyjęła kubek.

— Zaczyna ostro wiać — powiedział.

— Tak, dmucha już od godziny.

Podszedł do drzwi, odryglował i pchnął górną połowę. Do kuchni wtargnęła fala rześkiego chłodu, który — aczkolwiek pozbawiony zapachu — unicestwił wąty aromat herbaty i przyniósł do uszu Alice gardłowy pomruk morza. W miarę, jak go słuchała, zdawał się nabierać intensywności, tak że

z miłym dreszczykiem nierzeczywistej grozy wyobraziła sobie zaraz, iż sypkie niewysokie klify'poddają się falom, które toczą się teraz w poprzek przyładka, by uderzyć o drzwi kuchni, spryskując pianą twarz Aiexa. Obserwując, jak się wpatruje w mrok, doświadczyła przyływu miłości równie czystej i nieskomplikowanej, jak opływający jej policzki strumień chłodnego powietrza. Stanowił cząstkę jej samej w takim stopniu, że nigdy nie potrzebowała i nie pragnęła analizować zbyt dokładnie natury uczuć, jakie wobec niego żywi. Wiedziała, że doznaje miłej satysfakcji, mogąc mu udzielać gościny w swoim domu, słyszeć piętro wyżej jego kroki, dzielić z nim wieczorne posiłki. Przy czym nie stawiali sobie wzajem żadnych żądań. Nawet jego małżeństwo nic w tej kwestii nie zmieniło. Nie była zaskoczona małżeństwem — ponieważ darzyła Elizabeth sporą sympatią — lecz taki sam brak zaskoczenia okazała wówczas, gdy dobiegło ono kresu. Uważała za mało prawdopodobne, by Alex miał ożenić się ponownie, bez względu jednak na to, ile kobiet wkroczy, lub będzie usiłowało wkroczyć, w jego życie, nic między nimi nie ulegnie zmianie. Niekiedy, jak właśnie w tej chwili, uśmiechała się z ironią na myśl o tym, jak ludzie z zewnątrz postrzegają ich związek. Ci, którzy sądzili, że właścicielem chaty jest on, nie ona, widzieli w niej niezamężną siostrę, która zawdzięcza bratu mieszkanie, towarzystwo i cel w życiu. Innych, wrażliwszych, ale wcale przez to nie bliższych prawdzie, intrygował widoczny fakt braku wzajemnej zależności, naturalność, z jaką chodzili własnymi ścieżkami, a wreszcie ich niezaangażowanie. Przypomniała sobie, co w pierwszych tygodniach po zaręczynach Aiexa mawiała Elizabeth: — Wiesz, że jesteście rodzeństwem, które budzi strach?

Kusiło ją, by odpowiedzieć: — Ach, i nie bez podstaw.

Kupiła Chatę Męczennicy, zanim jeszcze został mianowany na stanowisko dyrektora elektrowni; sprowadził się do niej w myśl milczącej umowy, że pomieszka tu dopóty, dopóki nie postanowi, czy zachowa swoje londyńskie mieszkanie, czy też sprzeda je, kupując zamiast tego

94

INTRYG I ŻĄDZE

dom w Norwich i garsonierę w Londynie. Był zasadniczo zwierzęciem miejskim i nie wyobrażał sobie, by mógł na stałe osiąść gdzieś poza metropolią. Jeśli, w związku z nową funkcją, wróci do Londynu," ona w żadnym razie nie podąży jego śladem, a zresztą Alex wcale tego po niej nie oczekuje. Tu, na chłostanym falami wybrzeżu, znalazła wreszcie miejsce, które z przekonaniem może nazwać domem. Jej i tylko jej domem; tego stanu rzeczy w najmniejszym stopniu nie zmienia fakt, że Alex czuje się w nim jak u siebie, wychodzi i wraca, kiedy zechce.

Musiała być dobrze po pierwszej, pomyślała popijając herbatę, kiedy wrócił po odprowadzeniu Hilary Robarts. Zastanawiała się, co go zatrzymało. Śpiąc lekko, jak zawsze w pierwszych godzinach po pójściu do łóżka, słyszała najpierw jego klucz w zamku, a potem kroki na schodach. Teraz dochodziła piąta. A więc nie pospał długo. Nagle, jakby uświadomiwszy sobie dopiero teraz, że przenika go przedranny chłód, Alex zamknął i zaryglował górną połowę drzwi, a potem podszedł do kominka i usiadł w drugim z wiklinowych foteli. Rozciągnął się wygodnie i objął kubek obiema dłońmi.

— To prawdziwe utrapienie, że Caroline Amphlett nie chce rzucić Larksoken — powiedział. — Nie mam najmniejszej ochoty, by zaczynać nową robotę — szczególnie taką! — z niesprawdzoną sekretarką. Caroline wie, jak pracuję. Traktowałem jako pewnik, że pojedzie ze mną do Londynu. Diabło kłopotliwe.

Podejrzewała, że znacznie więcej niż kłopotliwe. Stawką była duma, nawet prestiż osobisty. Inni ludzie na wysokich stanowiskach zmieniając miejsca pracy zabierali ze sobą sekretarki. Niechęć sekretarki do rozstania z szefem była pochlebnym dowodem osobistego przywiązania. Współczuła Alexowi, nie widziała jednak powodu, dla którego ta akurat troska miałaby stanowić przyczynę bezsenności. Alex dodał: — Sprawy osobiste, tak przynajmniej powiada. Czyli, najprawdopodobniej, Jonathan Reeves. Bóg jeden wie, co w nim widzi. Facet nie jest nawet dobrym technikiem.

Alice opanowała uśmiech. — Powątpiewam, czy jej zainteresowanie Reevesem jest natury technicznej.

N

— Cóż, jeśli ma naturę seksualną, to znaczy, że Caroline jest dużo mniej wybredna, niż skłonny byłem sądzić.

Alex nie jest, powiedziała sobie, złym sędzią mężczyzn i kobiet. Rzadko popełnia błędy kardynalne, nigdy natomiast nie myli się — jak podejrzewała — w ocenie naukowych predyspozycji człowieka. Nie ma jednak zrozumienia dla niezwykłych złożoności czy irracjonalności ludzkich motywów, ludzkiego zachowania. Wie że wszechświat jest skomplikowany, lecz że stosuje się przy tym do pewnych praw; Alice

95

P. D. JAMES

przypuszczała wprawdzie, iż Alex nie użyłby słowa „stosuje się”, implikującego świadomy wybór. Tak, powiedziałby raczej: „podlega”. Jest podatny na penetrację ludzkiego rozumu i — w pewnym stopniu — na kontrolę ze strony człowieka. Ludzie zbijali Aiexa z tropu, bo potrafili go zaskakiwać. Najbardziej natomiast zbijał go z tropu fakt, że on sam potrafił niekiedy stanowić dla siebie źródło zaskoczenia. Czułby się doskonale w szesnastym wieku, mając możliwość klasyfikowania ludzi wedle najbardziej fundamentalnych kategorii charakterologicznych, związanych z planetami, patronującymi dniom urodzin: natury choleryczne, melancholijne, żywe, posępne. Ustalenie tych podstawowych faktów dawało ogólną orientację. A jednak wciąż potrafiła zaskoczyć go sytuacja, gdy mężczyzna, będąc skrupulatnym i rozsądnym naukowcem, okazywał się głupcem wobec kobiet, gdy człowiek, zdolny do dystansu i chłodnej oceny na jednej płaszczyźnie życia, gdzie indziej zachowuje się irracjonalnie jak dziecko. Teraz był poirytowany, ponieważ jego sekretarka — którą zaklasyfikował jako osobę inteligentną, wrażliwą i oddaną — woli zostać w Norfolk ze swoim kochankiem, zamiast jechać z nim do Londynu.

— Coś mi się zdaje, że w swoim czasie uznałeś Caroline za kobietę seksualnie oziębłą — powiedziała.

— Czyżby? Z całą pewnością nie. To sugerowałoby, że opieram się na doświadczeniu osobistym. Jak sądzę, wyraziłem raczej myśl, że trudno by mi było uznać Caroline za osobę pociągającą seksualnie. Sympatyczna i wysoce kompetentna, a przy tym mało podniecająca sekretarka jest absolutnym ideałem.

— Skłonna jestem sądzić — powiedziała zgryźliwie — że męskie wyobrażenie sekretarki idealnej to kobieta, która umie dać do zrozumienia, iż chciałaby pójść z szefem do łóżka, lecz w imię sprawnego funkcjonowania sekretariatu szlachetnie tłumi w sobie tę gotowość. Co się z nią stanie?

— Och, ma murowaną pracę. Jeśli zechce zostać w Larksoken, potencjalni szefowie będą się o nią zabijać, jest równie inteligentna, jak taktowna i sprawna zawodowo.

— Przypuszczalnie jednak brak jej ambicji, bo w przeciwnym wypadku skąd ten zapał, żeby pozostać w Larksoken? — Po chwili dodała: — Caroline może mieć jeszcze jeden powód, aby chcieć pozostać w tych stronach. Jakies trzy tygodnie temu widziałam ją w Norwich, w katedrze. W kaplicy Matki Boskiej spotkała się z mężczyzną. Zachowywali się bardzo dyskretnie, ale wyglądało mi to na schadzke.

96

INTRYG I ŻĄDZE

Zapytał, choć bez prawdziwej ciekawości: — Z jakim mężczyzną? — W średnim wieku. Anonimowym. Trudnym do opisanego. Ale był za stary na Jonathana Reevesa.

Świadoma, że Alex nie jest tym szczególnie zainteresowany, błądząc myślą nie wiadomo gdzie, nie powiedziała już nic więcej. A przecież, jak się nad tym zastanowić, było to osobliwe spotkanie. Caroline założyła okulary i wcisnęła swoje jasne włosy pod obszerny beret. Charakteryzacja, jeśli istotnie była to charakteryzacja, okazała się nieskuteczna. Alice, która też nie chciała zostać rozpoznana, a przy tym sprawić wrażenia, że szpieguje, przeszła szybko obok niej. Minutę później ujrzała Caroline idącą powoli środkiem nawy; miała w dłoniach książeczkę do nabożeństwa, a za nią, w bezpiecznej odległości, posuwał się ten mężczyzna. Zbliżywszy się do siebie, stanęli razem przed posągami. Wychodząc z katedry dziesięć minut później, Alice jeszcze raz dostrzegła

mężczyznę: tym razem to on miał w rękę książeczkę do nabożeństwa.

Alex nie wspomniał już o Caroline ani słowem, ale po kilku minutach milczenia rzucił: — Przyjęcie było niezbyt udane.

— Niedomówienie. Katastrofalne, wyjąwszy — rzecz jasna — sam posiłek. Co się dzieje z Hilary? Czy naprawdę usiłuje być nieznośna, czy jest po prostu nieszczęśliwa?

— Jak wszyscy ludzie, którzy nie mogą osiąść czegoś, na czym im zależy.

— W tym przypadku, ciebie.

Uśmiechnął się w stronę pustego rusztu kominka, ale nic nie odpowiedział. Po minucie Alice spytała: — Czy może się stać kłopotliwa?

— Znacznie gorzej. Może się stać niebezpieczna.

— Niebezpieczna? Jak niebezpieczna? I czy niebezpieczna dla ciebie osobiście?

— Nie tylko dla mnie.

— Ale to nic, z czym nie mógłbyś się uporać?

— Nic, z czym nie mógłbym się uporać. Pod warunkiem, że nie zrobię z niej kierownika administracyjnego. To by była klęska. W żadnym razie nie powinienem być powierzać jej obowiązków.

— Kiedy ogłosisz nominację?

— Za dziesięć dni. Mam spore pole do manewru.

— A zatem masz dziesięć dni, by postanowić, co z nią poczniesz?

— Znacznie mniej. Domaga się decyzji w niedzielę.

Decyzji w jakiej sprawie? — zastanowiła się Alice. Stanowiska, możliwego awansu, przyszłości z Aiexer? Ależ ta kobieta musi widzieć, że nie ma z Aiexer żadnej przyszłości!

7 Intrygi i żądze

97

P. D. JAMES

Znając wagę pytania, mając świadomość, że tylko ona mogła się ośmielić i je zadać, wyrzuciła z siebie: — Czy byłbyś bardzo rozczarowany, gdybyś nie dostał tej pracy?

— Miałbym uczucie krzywdy, co jest znacznie szkodliwsze dla spokoju ducha. Chcę jej, potrzebuję i jestem do niej najwłaściwszym człowiekiem. Zapewne podobnie myślą inni kandydaci, ale tak się akurat składa, że tylko w moim wypadku to stwierdzenie jest prawdziwe. To ważne stanowisko, Alice. Jedno z najważniejszych w ogóle. Jeśli mamy ocalić naszą planetę, przyszłość należy do energii jądrowej, lecz musimy w skali krajowej i międzynarodowej operować nią lepiej.

— Sądzę, że jesteś jedynym poważnym kandydatem. To zapewne nominacja, której dokonuje się dopiero wówczas, gdy jest pod ręką odpowiedni kandydat. Zupełnie nowa funkcja. Do tej pory całkiem dobrze dawano sobie radę bez atomowego superszefa. Rzecz jasna, że we właściwych rękach takie stanowisko stwarza ogromne możliwości, w złych jednak staje się kolejną fuchą rzecznika prasowego i czystą stratą publicznego grosza.

Był zbyt inteligentny, aby nie zauważyć, że stara się podtrzymać go na duchu, ona natomiast była jedyną osobą, od której takiego pocieszenia potrzebował i przyjmował.

— Istnieje podejrzenie — stwierdził — że ładujemy się w tarapaty. Potrzebują kogoś, kto by nas z nich wyciągnął. Drobniejsze kwestie — jak prerogatywy, struktura zależności służbowych czy też uposażenie — nie zostały jeszcze rozstrzygnięte. Oto dlaczego określenie zakresu obowiązków trwa tak długo.

— Nie potrzebujesz sformułowanego na piśmie zakresu obowiązków, żeby wiedzieć, kogo szukają — odrzekła. — Szanowanego naukowca, sprawdzonego administratora, dobrego specjalisty od spraw kontaktów z opinią publiczną. Przymuszczalnie zaproszą cię na test przed kamerą. Dobra prezencja na ekranie wydaje się w dzisiejszych czasach sprawą zasadniczą.

— Tylko dla przyszłych prezydentów i premierów. Nie sądzą, by posunęli się tak daleko.

Zerknął na zegarek. — Już świta. Chyba spróbuję złapać parę godzin snu.

Ale dopiero godzinę później rozstali się wreszcie, by pójść do swoich pokojów.

INTRYG I ŻĄDZE

Dalglish pożegnał się z Meg dopiero wtedy, kiedy otworzyła drzwi frontowe i weszła do środka; stała potem jeszcze przez moment patrząc, jak jego wysoka sylwetka kroczy zwirową ścieżką i ginie w mroku. Wówczas przeszła do kwadratowej sieni z mozaikową podłogą i kamiennym kominkiem, sieni, która zwłaszcza w zimowe wieczory zdawała się pobrzmiwać słabym echem dziecięcych głosów potomstwa wiktoriańskich proboszczów i która dla Meg zawsze miała w sobie coś z atmosfery kościoła. Położywszy płaszcz na ozdobnej drewnianej kolumience u podnóża schodów, powędrowała następnie do kuchni, by wypełnić ostatni obowiązek dnia: przygotować tacę z porannym posiłkiem dla Copleyów. Kuchnia, wielkie kwadratowe pomieszczenie na tyłach domu, była przeżytkiem, kiedy Copleyowie kupili Starą Plebanie; od tego czasu nic się w niej nie zmieniło. Przy ścianie na lewo od drzwi stała staroświecka kuchenka gazowa o konstrukcji tak masywnej, że Meg nie była w stanie jej ruszyć i wobec tego wołała nie myśleć o uzbieranym przez dziesięciolecie tłustym brudzie, który jak zaprawa wiąże ją z murem. Pod oknem był głęboki porcelanowy zlewozmywak, pokryty również nieusuwalnymi plamami siedemdziesięcioletniego osadu. Z podłogi, wyłożonej nieprzyjemnymi dla stóp kamiennymi płytami, zimą zdawała się unosić wilgotna, przejmująca chłodem mgła. Całą ścianę przeciwległą do zlewozmywaka i okna zastawiał dębowy kredens, bardzo stary i przypuszczalnie wartościowy, gdyby tylko można było ruszyć go z miejsca, nie zmieniając przy okazji w kupę desek; nad drzwiami wisiały rzędem oryginalne stare dzwonki, opatrzone wygrawerowanymi gotyckim pismem inskrypcjami—„salon”, „jadalnia”, „gabinet”, „dziecinny”. Była to kuchnia rzucająca raczej wyzwanie każdemu mistrzowi rondla, którego ambicje kulinarne wykraczały poza gotowanie jajek na twardo, aniżeli sprzyjająca podniesieniu jego kunsztu.

Po agresji i napięciach szkoły, po całej nienawistnej korespondencji, Meg była szczęśliwa, mogąc znaleźć chwilowy azyl w spokojnym domostwie, gdzie nigdy nie podnoszono głosów, gdzie nikt nie analizował obsesyjnie każdego jej zdania w nadziei ujawnienia podtekstów rasistowskich, seksualnych czy też faszystowskich, gdzie słowa miały takie same znaczenie od wielu pokoleń, gdzie nie znano przekleństw, a przynajmniej ich nie wymawiano, gdzie panowało dobrodziejstwo właściwego porządku rzeczy, symbolizowanego dla Meg porannymi i wieczornymi modłami pod przewodnictwem pana

99

P. D. JAMES

Copleya. Czasami postrzegała całą ich trójkę jako wygnańców, którzy — osadzeni w jakiejś kolonii na pustkowiu — z uporem trzymają się dawnych zasad, sposobu życia i wyznawania wiary.

Polubiła swoich pracodawców. Szanowałaby Simona Copleya bardziej, gdyby nie był tak podatny na drobne odruchy egoizmu, mniej zajęty swoją wygodą fizyczną, co jednak — mówiła sobie Meg — jest przypuszczalnie efektem pięćdziesięciu lat rozpieszczania przez oddaną żonę. Żonę, którą kochał. Na której polegał. Której rozsądek szanował. Jakże są szczęśliwi, myślała Meg: pewni swoich uczuć i zapewne opancerzeni przeciwko pogłębiającej się starości przeświadczeniem, że jeśli nawet nie zostanie im dana łaska śmierci w tym samym dniu, odejdą wkrótce po sobie. Czy jednak naprawdę w to wierzyli? Miała ochotę zapytać, zdawała sobie wszakże sprawę, iż byłoby to z jej strony zuchwalstwem nie do przyjęcia. Bez wątpienia mają jakieś wątpliwości, przypuszczalnie wiarę, którą bez zająknięcia wyznają w porannych i wieczornych modlitwach, opatrują w duchu jakimiś zastrzeżeniami. Być może jednak tym, co w wieku osiemdziesięciu lat liczy się najbardziej, jest nawyk, ciało, nie zainteresowane już seksem, dusza, wyzwolona z okowów spekulacji, drobiazgi, ważniejsze teraz od spraw wielkich i—na koniec — powolne uświadamianie sobie, że w gruncie rzeczy nie liczy się nic.

Praca nie była uciążliwa, ale Meg zdawała sobie sprawę, że stopniowo bierze na siebie więcej obowiązków, niż zakładała umowa; czuła także, iż główna obawa Copleyów polega na tym, czy zechce z nimi zostać. Ich córka zaopatrzyła dom we wszelkie techniczne udogodnienia: zmywarke, pralkę i wirówkę, które jednak, ustawione w pustym pomieszczeniu na tyłach, aż do przyjazdu Meg nie były używane. Copleyowie obawiali się, że nie potrafią ich wyłączyć, widzieli oczyma duszy, jak maszyny pracują całą noc, przegrzewają się, wybuchają, a cała plebania pulsuje

niekontrolowaną energią.

Jedynaczka Copleyów mieszkała w rezydencji w Wiltshire i rzadko odwiedzała rodziców, jakkolwiek często do nich dzwoniła i to o najdziwniejszych porach. To ona odbyła z Meg rozmowę wstępną w związku z pracą na Starej Plebanii i Meg stwierdzała, że ma ostatnio kłopoty ze znalezieniem czegoś, co łączy tę pewną siebie, trochę agresywną kobietę w tweedach z dwojgiem łagodnych staruszków, których poznała tak dobrze. Wiedziała również — choć ani by im przez myśl nie przeszło, żeby jej o tym powiedzieć, a przypuszczalnie nawet nie przyznawali się do tego przed sobą — że boją się córki. Terroryzowała rodziców dla ich, jak twierdziła, własnego dobra. Druga z ich największych obaw polegała na tym, że mogą być zmuszeni do

IOO

INTRYGII I ŻĄDZE

przyjęcia jej często przez telefon powtarzanej propozycji — powtarzanej, nawiasem mówiąc, z czystego poczucia obowiązku — by aż do chwili ujęcia Świstuna zamieszkali u niej.

W przeciwieństwie do córki Copleyów, Meg rozumiała, dlaczego po przejściu na emeryturę wydali wszystkie oszczędności na zakup plebanii i obciążyli się na stare lata spłatami kredytu. W młodości pan Copley był wikarym w Larksoken, kiedy stał tu jeszcze wiktoriański kościół. To w tej szpetnej budowli z lakierowanej sosny — gdzie kolorowa glazura podłogi szła o lepsze z jaskrawymi, sentymentalnymi witrażami — wzięli ślub; to tu, na pięterku plebanii, którą dzielili z proboszczem, mieli swój pierwszy dom. Gdy w latach trzydziestych świątynia została częściowo zniszczona przez straszliwy huragan, członkowie Komisji Kościelnej odetchnęli z ulgą; zastanawiali się od dawna, co począć z budynkiem, który — pozbawiony jakichkolwiek walorów architektonicznych — był właściwie wykorzystywany najwyżej sześć razy do roku, przy okazji większych świąt i jarmarków. Kościół zatem zburzono, Starą Plebanię natomiast, osłoniętą jego ścianami i trwalszą, sprzedano. Odwożąc Meg na dworzec w Norwich po odbyciu z nią rozmowy kwalifikacyjnej, Rosemary Duncan-Smith jasno wyłożyła swój punkt widzenia: — Oczywiście to absurd, że postanowili tu zamieszkać. Powinni byli rozejrzeć się za dobrze wyposażonym mieszkankiem w Norwich albo w którejś z okolicznych wiosek, położonym w pobliżu sklepów, poczty i, rzecz jasna, kościoła. Ojciec jednak, kiedy sądzi, że wie, czego chce, potrafi być zdumiewająco uparty, a matka jest w jego rękach jak wosk. Mam nadzieję, że nie traktuje pani tej pracy jako czasowego rozwiązania.

— Traktuję ją jako rozwiązanie czasowe, ale nie krótkoterminowe — odparła Meg. — Nie mogę obiecać, że zostanę na stałe, potrzebuję jednak czasu i spokoju, aby postanowić o swojej przyszłości. Poza tym może nie będę odpowiadać pani rodzicom.

— Czas i spokój. Komuż by się to nie przydało? Tak czy inaczej, to już lepsze niż nic, ale byłabym wdzięczna, gdyby postanawiając odejść, zechciała mnie pani powiadomić z jedno- lub dwumiesięcznym wyprzedzeniem. I proszę się nie przejmować tym, czy będzie im pani odpowiadać. Mieszkając w domu tak oddalonym od świata i niewygodnym, skąd widać zaledwie ruiny opactwa i elektrownię jądrową, muszą brać, co popadnie.

Od tej rozmowy upłynęło szesnaście miesięcy i wciąż była u Copleyów.

Ale dopiero w cudownie zaprojektowanej i wyposażonej, a przy tym wygodnej i przytulnej kuchni Chaty Męczennicy znalazła swoje

IOI

P. D. JAMES

uzdrowienie. W pierwszym okresie ich przyjaźni Alice, przed swoim wyjazdem do Londynu i podczas nieobecności Aiexa, dała Meg klucz, prosząc o odbieranie i przekazywanie poczty. Kiedy po jej powrocie Meg usiłowała zwrócić klucz, Alice odparła: — Lepiej go zatrzymaj. Może ci się jeszcze przydać

Meg nigdy więcej nie skorzystała z klucza: latem drzwi pozostawiano zwykle otwarte, a kiedy były zamknięte — dzwoniła. Lecz fakt, że go posiadała — że był widoczny i wyczuwalny na kółku z wszystkimi innymi kluczami — symbolizował w jej oczach stałość i zaufanie ich przyjaźni. Od tak dawna nie miała przyjaciółki. Zapomniała — czasem zresztą mówiła sobie, że nie było tu czego zapominać — jak wielką przyjemność daje bliskie, wolne od zobowiązań i aseksualne towarzystwo drugiej kobiety. Zanim cztery lata temu utonął jej mąż, potrzebowali z Martinem tylko

okazjonalnych spotkań z bliższymi znajomymi, aby utwierdzić się w przekonaniu, że tak naprawdę wcale nie są potrzebne. Stanowili jedno z tych bezdzietnych, zapatrzonych w siebie małżeństw, które podświadomie zniechęcają innych ludzi do prób zbliżenia. Nieczęsty udział w przyjęciach wynikał wyłącznie z poczucia obowiązków towarzyskich; nie mogli doczekać się powrotu do bezpiecznych czterech ścian swojego małego domu. Po śmierci Martina odnosiła wrażenie, że jak automat kroczy w mroku wąskim kanionem rozpacz i całą energię, wszystkie siły fizyczne, musi zmobilizować po to, by dotrzeć do następnego dnia. Rozmyślała, pracowała i rozpaczała tylko w jednodniowym wymiarze. Dopraszała-by się o kataklizm, pozwalając sobie myśleć o tych wszystkich dniach, tygodniach, miesiącach i latach, które mają dopiero nadejść. Przez dwa lata żyła na granicy choroby psychicznej. Nawet wiara nie dawała jej wielkiej pomocy. Nie odrzuciła religii, która jednak stała się czymś nieistotnym, zaledwie świeczuszką, usiłującą daremnie rozświetlić przemożne ciemności.

Kiedy jednak po tych dwóch latach kanion jał się niepostrzeżenie poszerzać i po raz pierwszy zamiast przytłaczających urwisk zamajaczyła perspektywa normalnego życia, nawet szczęścia, krajobraz, nad którym — teraz można już było w to uwierzyć — niekiedy świeciło słońce, Meg, wbrew woli, pozwoliła się uwikłać w rasowe rozgrywki swojej szkoły. Starsi członkowie grona pedagogicznego przenieśli się gdzie indziej lub przeszli na emeryturę, natomiast nowa dyrektorka, mianowana w szczególności po to, by egzekwować modne ortodoksje, przystąpiła z inkwizytorskim zapałem do wykorzeniania herezji. Meg zdawała sobie obecnie sprawę, iż od pierwszej chwili była oczywistą, upatrzoną ofiarą.

102

INTRYG I ŻĄDZE

Poszukała schronienia w nowym życiu na przylądku i w samotności odmiennego rodzaju. I oto znalazła Alice Mair. Poznały się dwa tygodnie po przybyciu Meg, kiedy Alice zjawiła się na Starej Plebanii z walizką używanej odzieży, przeznaczonej na doroczny jarmark, z którego dochody wspomagały budżet kościoła św. Andrzeja w Lyd-sett.

W bok od korytarzyka, łączącego kuchnię z tylnym wyjściem, było drugie pomieszczenie kuchenne, które — nie wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem — zmieniło się w magazyn niechcianych przedmiotów z całego przylądka: ciuchów, rupieci, książek i starych magazynów. Kiedy pan Smollett, wikary od św. Andrzeja, wyjeżdżał na wakacje, pan Copley odprawiał niekiedy w jego zastępstwie kilka nabożeństw, i fakt ten, domyślała się Meg, był równie ważny dla niego samego, jak i dla kościoła. Zazwyczaj domostwa przylądka dostarczały niewielu rzeczy zdatnych na kiermasz, Alex Mair jednak, zawsze skłonny przerzucać mosty pomiędzy elektrownią a społecznością lokalną, wywiesił apel na tablicy ogłoszeń pracowniczych i z reguły przed październikowym jarmarkiem miał dwie solidnie wypełnione skrzynie towaru. Tyłne drzwi Starej Plebanii, przez które docierało się do skrytki, były zwykle za dnia otwarte, Alice Mair wszakże zapukała od frontu i przedstawiła się Meg. Obie kobiety — w podobnym wieku, pełne jednakowej rezerwy i niezależności, tak samo nie szukające na siłę przyjaźni — poczuły do siebie wzajemną sympatię. W następnym tygodniu Meg otrzymała zaproszenie na kolację do Chaty Męczennicy. A teraz rzadko zdarzał się taki dzień, w którym po półmilogowym spacerze Meg nie zjawiłaby się w Chacie Męczennicy, aby usiadłszy w kuchni pogawędzić z zajętą pracą Alice.

Jej koledzy ze szkoły z pewnością nie potrafiliby pojąć tej przyjaźni. Tamte przyjaźnie, lub to, co za przyjaźnie uchodziło, nigdy nie przekraczały potężnych barier lojalności politycznych, a w jadownym zgiełku sali nauczycielskiej błyskawicznie mogły ulec degradacji w plotkę, pomówienie, insynuację czy zdradę. Ta spokojna przyjaźń, bez jakichkolwiek zobowiązań, nie miała w sobie ani intensywności, ani emocji. Nie była przy tym demonstracyjna; nigdy się nie całowały, a ręce podały sobie tylko przy okazji pierwszego spotkania. Meg nie była pewna, co dostrzega w niej Alice, doskonale jednak wiedziała, co w Alice ceni sobie ona. Inteligentna, czytana, wolna od sentymentów, niewzruszona, stała się na przylądku ośrodkiem życia Meg.

Aiexa Maira widywała rzadko. W ciągu dnia przebywał w elektrowni, podczas weekendów natomiast, odwracając typowy kierunek

103

P. D. JAMES

peregrynacji, jechał do Londynu, by często zostać w swoim tamtejszym mieszkaniu dłużej, jeśli w środku tygodnia wypadła mu jakaś konferencja. Nigdy nie doznawała wrażenia, iż Alice, obawiając się, że przyjaciółka znudzi brata, z premedytacją ich od siebie separuje. Mimo wszystkich urazów, jakie przyniosły trzy minione lata, Meg miała zbyt silne poczucie własnej wartości, aby umniejszać ją podobnymi dywagacjami. Nigdy jednak nie czuła się swobodnie w towarzystwie Aiexa; przystojny i lekko arogancki w obejściu, zdawał się w równej mierze reprezentować i wchłaniać w siebie coś z owej tajemniczej potęgi, którą manipulował. Podczas nielicznych spotkań był wobec niej wręcz serdeczny i chwilami nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ją naprawdę lubi. Miejscem jednak, gdzie krzyżowały się ich drogi, była tylko kuchnia w Chacie Męczennicy, a i tu Meg czuła się swobodniej pod nieobecność Aiexa. W rozmowie Alice poświęcała mu najwyżej drobne wzmianki, ale przy kilku okazjach — "jak na przykład na wczorajszym przyjęciu — kiedy widziała ich razem, zauważyła, że zdaje się ich łączyć zwrotna więź duchowa, zdolność instynktownej reakcji na potrzeby drugiej strony, bardziej typowa dla udanego małżeństwa o długim stażu, aniżeli dla zupełnie z pozoru normalnej relacji pomiędzy bratem a siostrą.

No i po raz pierwszy od bez mała trzech lat mogła wreszcie mówić o Martinie. Dobrze pamiętała ten lipcowy dzień, otwarte na patio drzwi kuchni, aromat ziół i morza, mocniejszy nawet od korzennego, maślanego, zapachu świeżo upieczonych ciasteczek. Mając pomiędzy sobą imbryk herbaty, siedziały z Alice po przeciwnych stronach stołu. Znała na pamięć każde słowo.

— Nie doczekał się wielu słów podziękii. Och, piano o jego bohaterstwie, a na szkolnej akademii pogrzebowej dyrektor powiedział wszystko, co należało. Panowało jednak przekonanie, że chłopcy nie powinni byli tam w ogóle pływać. Szkoła zrzuciła z siebie całą odpowiedzialność za jego śmierć. Nie chodziło im o to, żeby uhonorować Martina, lecz by uniknąć krytyki. A chłopiec, którego uratował, nie wyrósł na nic dobrego... choć chyba jestem niemądra, że się przejmuję akurat tym.

— Ta nadzieja, że twój mąż nie zginął dla jakiegoś zera, jest czymś zupełnie naturalnym, jakkolwiek przypuszczam, że i sam chłopiec miałby do powiedzenia to i owo. W końcu świadomość, że ktoś umarł, aby ocalić mu życie, jest koszmarnym brzemieniem.

— Też próbowałam to sobie mówić — odparła Meg. — Przez jakiś czas miałam... cóż, miałam niemal obsesję na punkcie tego chłopaka. Wystawałam pod szkołą, czekając aż wyjdzie. Chwilami czułam

104

INTRYG I ŻĄDZE

potrzebę, aby go dotknąć... jakby przeszła weń jakaś część Martina. Oczywiście, był tym wszystkim tylko zakłopotany. Nie chciał mnie widzieć, nie chciał ze mną rozmawiać. Tak samo jego rodzice. W gruncie rzeczy nie był miłym młodzieńcem — ot, taki głupi osiłek. Nie sądzę, by Martin mógł go lubić, choć nigdy mi o tym nie mówił. Poza tym był pryszczaty... o Boże, ale przecież to nie jego wina, nie mam pojęcia, dlaczego o tym wspomniałam.

Dlaczego w ogóle o nim mówiła? Po raz pierwszy od trzech lat. A ta historia o jej obsesji na punkcie chłopca... dotąd nie wiedziała o niej zj wa dusza.

— Szkoda — powiedziała Alice — że twój mąż nie pozwolił mu utonąć. Przypuszczam jednak, że pod wpływem chwili nawet nie usiłował porównać relatywnych wartości dobrego nauczyciela z jednej, pryszczatego natomiast głupka z drugiej strony.

— Pozwolił mu utonąć? Świadomie? Och, Alice, przecież wiesz, że i ty byś tego nie zrobiła.

— Może nie. Jestem całkowicie zdolna do irracjonalnych wyskoków. Prawdopodobnie usiłowałabym go wyciągnąć, nie narażając się przy tym na zbyt duże niebezpieczeństwo.

— Oczywiście, żebyś usiłowała. To czysto ludzki odruch: ratować innych, szczególnie dzieci.

— Czysto ludzki odruch i to, moim zdaniem, wyjątkowo zdrowy odruch, polega na tym, żeby przede wszystkim ratować siebie. Właśnie dlatego, gdy ludzie mu nie ulegają, nazywamy ich bohaterami i obwieszamy medalami. Bo wiemy, że działają wbrew naturze. Nie rozumiem, skąd masz ten dobrotliwy światopogląd.

— Mam? Tak, chyba mam. Wyjąwszy dwa lata po śmierci Martina, zawsze potrafiłam uwierzyć, że sercem wszechświata jest miłość.

— Sercem wszechświata jest okrucieństwo. My wszyscy, każda żywa istota, jesteśmy drapieżcami i ofiarami drapieżników. Czy wiesz, że osa, przebiwszy w słabszym punkcie pancierz biedronki, składa w jej ciele jaja? Potem larwa rośnie, pożerając żywą biedronkę, przegryza się na zewnątrz, krępuje wydzieliną nóżki ofiary. Ktokolwiek to wymyślił, miał — musisz przyznać — szczególne poczucie humoru. Tylko nie próbuj odgryzać się Tennysonem!*

— Może ona nic nie czuje... to znaczy, biedronka.

* Być może Alice Mair ma na myśli jeden z dwóch słynnych cytatów z Tennysona: „Sami bogowie nie pamiętają wszystkich swoich darów” („Ulisses”), albo: „Natura, krwawy kiel i szpon” („In Memoriam”) — przyp. tłum..

ios

P. D. JAMES

— Cóż, to krzepiąca teoria, ale nie dałabym za nią uciąć sobie ręki. Miałaś zapewne niezwykle szczęśliwe dzieciństwo.

— Och, tak, tak! Dopisało mi szczęście. Nie miałam wprawdzie rodzeństwa, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się samotna. Trochę brakowało nam pieniędzy, ale nigdy nie brakowało miłości.

— Miłość. Czy jest tak bardzo ważna? Powinnaś to wiedzieć jako nauczycielka. A więc jest?

— Jest czymś zupełnie zasadniczym. Jeżeli dziecko ma ją w ciągu pierwszych dziesięciu lat swojego życia, liczy się niewiele poza nią. Jeśli jej natomiast nie ma — nie liczy się zupełnie nic. Nastąpiła krótka chwila milczenia, a potem Alice powiedziała: — Mój ojciec zmarł, zabił się przypadkowo, kiedy miałam piętnaście lat.

— To okropne. Co to znaczy „przypadkowo”? Byłaś tam? Widziałaś?

— Przeciął sobie arterię sierpakiem i wykrwawił się na śmierć. Nie, nie widzieliśmy tego, ale pojawiliśmy się na miejscu wypadku wkrótce potem. Było już oczywiście za późno.

— A więc był tam i Alex... jeszcze młodszy od ciebie. To musiało być okropne dla was obojga.

— Bez wątpienia, wywarło to wpływ na nasze życie, moje w szczególności. Może byś skosztowała tych herbatników? To nowy przepis, ale nie jestem pewna, czy całkowicie udany. Są troszkę za słodkie i być może przesadziłam z przyprawami. Powiedz, co o nich myślisz.

Przywołana do terażniejszości chłodem kamiennych płyt, od których drętwiały stopy, wyrównując automatycznie uszka filiżanek, Meg uświadomiła sobie nagle, dlaczego sięgnęła pamięcią do tego letniego podwieczorku w Chacie Męczennicy. Herbatniki, które nazajutrz położy Copleyom na tacy, upiekła wedle udoskonalonego przepisu Alice. Ale wyjmie je z pudełka dopiero rano. Dziś musiała jeszcze tylko napełnić butelkę gorącą wodą. Na Starej Plebanii nie było centralnego ogrzewania i wiedząc, jak bardzo Copleyowie przejmują się rachunkami za energię, Meg bardzo rzadko włączała mały elektryczny kominek w swojej sypialni. Wreszcie, chroniąc na piersi butelkę przed utratą ciepła, sprawdziła zasuwy w drzwiach frontowych i od tyłu, a potem nie wyłożonymi chodnikiem schodami podążyła na górę. Na podeście spotkała ubraną w szlafrok panią Copley, przemykającą ukradkiem do łazienki. Stara Plebania, która pyszniła się garderobą na parterze, miała tylko jedną łazienkę i defekt ten powodował konieczność prowadzonych szeptem, pełnych zakłopotania negocjacji, jeśli ktoś z domowników postanawiał wziąć nadprogramową kąpiel,

106

INTRYG I ŻĄDZE

zakłócając w ten sposób starannie dopracowaną rotację. Meg poczekała na odgłos zamykania drzwi sypialni Copleyów i dopiero wówczas poszła do łazienki.

Piętnaście minut później leżała w łóżku. Wiedziała raczej, niż czuła, że jest bardzo zmęczona i w niepokoju członków, a także niemożności znalezienia dla nich wygodnej pozycji, odczytywała symptomy stanu, jaki wynika z faktu, że nadmiernie ożywiony umysł musi się dogadać z wyczerpanym ciałem.

Stara Plebania leżała zbyt daleko od plaży, aby docierał do niej huk fal, zapach jednak i pulsowanie morza były zawsze obecne. Latem cały przylądek wibrował rytmicznym pomrukiem, który — w

sztormowe noce albo podczas wiosennych wiatrów — przemieniał się w gniewny skowyt. Meg nigdy nie zamykała okien i zapadała w sen, ukojona odległym szumem. Dziś jednak nie potrafiłaby jej uspić żadna siła. Jej książką na dobranoc, wielokrotnie przeczytaną od deski do deski, był Domek w Allington Anthony'ego Troiiopie'a, ale tej nocy i on nie mógł jej skutecznie przenieść do krzepiącego, nostalgicznego i wygodnego światła Barsestshire, do partii krykieta, rozgrywanych na trawniku pani Dale, do kolacji przy stole dziedzica. Wspomnienia wieczoru były zbyt dotkliwe, zbyt ekscytujące i zbyt świeże, aby sen mógł je łatwo spacyfikować. Otworzyła w ciemności oczy; w ciemności aż nazbyt często zaludnianej w chwilach poprzedzających zaśnięcie przez te dobrze znajome, pełne wyrzutu dziecięce twarze, twarze brązowe, czarne i białe, które pochylając się nad nią pytają, dlaczego je porzuciła, gdy tak ją kochały i były przekonane, że ona tę miłość odwzajemnia. Zwykle z ulgą przyjmowała odejście tych niezłośliwie oskarżycielskich duszków; zresztą w minionych miesiącach odwiedzały ją rzadziej. Niekiedy jednak w ich miejsce pojawiała się boleśniejsze wspomnienie, w którym dyrektorka nalegała, by Meg—ona, od dwudziestu lat z górą ucząca dzieci różnych ras! — poszła na kurs tolerancji rasowej. Była tam jedna scena, którą od miesięcy usiłowała z determinacją wymazać z duszy: ostatnia narada w pokoju nauczycielskim, krąg nieprzejednanych twarzy, brązowych, czarnych i białych, oskar-życielskie spojrzenia, natarczywe pytania. Na koniec, zmęczona terrorem, wybuchła bezradnym płaczem. Żadne załamanie nerwowe, ów użyteczny eufemizm, nie było bardziej poniżające. Dziś w nocy jednak nawet to wstydlive wspomnienie zostało wyparte przez nowszą i bardziej niepokojącą wizję. Znowu dostrzegła na tle ruin opactwa tę dziewczęcą sylwetkę, która zamajaczyła przez moment, a potem jak błędny ogień umknęła i zatraciła się w mrokach plaży. Znowu, siedząc przy kolacyjnym stole, widziała w blasku świec

107

P. D. JAMES

wbite w Aiexa Maira ciemne gniewne oczy Hilary Robarts, znowu obserwowała wylawiany z półmroku przez skaczące płomienie kominka relief twarzy Milesa Lessinghama, patrzyła na sięgającą po butelkę klaretu jego dłoń o długich palcach, słyszała jego miarowy, dość wysoki głos mówiący rzeczy niewypowiedziane. A potem — już na krawędzi snu — gnała razem z nim przez gąszcza tego okropnego lasu, czując jak ciernie kaleczą jej nogi a niskie gałązki smagają twarz, patrzyła razem z nim tam, gdzie plama światła latarki wyłowila z ciemności tę groteskową, zmasakrowaną twarz. I w owej strefie zmierzchu pomiędzy czuwaniem a snem rozpoznała w tej twarzy swoją. Z dreszczem i krótkim okrzykiem przerażenia wróciła do zupełnej przytomności, zapaliła lampę, sięgnęła po książkę i rezolutnie zaczęła czytać. Pół godziny później książka wysunęła się z jej dłoni i Meg zapadła w pierwszą tej nocy z niespokojnych drzemek.

6

Po dwóch minutach leżenia w łóżku sztywno i nieruchomo Alex Mair pojął, że nie może już liczyć na zaśnięcie. Nie znosił wylegiwać się bezsenne; wystarczało mu niewiele snu, ale snu twardego. Zsunął nogi z łóżka, sięgnął po szlafrok i podszedł do okna. Obejrzy sobie wschód słońca nad Morzem Północnym. Zaczął rozmyślać nad kilku minionymi godzinami, nad ulgą, jaką przyniosła mu rozmowa z Alice, świadomością, że nic jej nie szokowało i nie zaskakiwało, nad tym wreszcie, że cokolwiek zrobił — nawet, w jej pojęciu, niesłusznego — było oceniane wedle odmiennych norm niż te, które stosowała rygorystycznie wobec wszystkich innych spraw w swoim życiu. Tajemnica, która legła pomiędzy nimi, owe chwile, gdy dociskając do drzewa jej drżące ciało i patrząc w oczy zmuszał ją do posłuszeństwa, połączyła ich więzią tak mocną, że ani bezmiar wspólnej winy, ani drobne spięcia wynikłe z życia pod jednym dachem nie mogły jej wystrzępić. A przecież nigdy ze sobą nie rozmawiali o śmierci ojca. Nie wiedział, czy Alice o niej rozmyślała, czy też może wstrząs wymazał ją z duszy siostry, która teraz wierzy w sformułowaną przez niego wersję, bo wchłonęła ją w podświadomość i uczyniła swoją prawdą. Kiedy wkrótce po pogrzebie zauważył niezwykle opanowanie Alice, wziął pod uwagę i taką możliwość, sam się jednak zdumiał, jak trudno mu

108

INTRYG I ŻĄDZE

w nią uwierzyć. Nie pragnął jej wdzięczności. Nawet myślał o tym, że jest do niej zobowiązana, wydawała się Alexowi haniebna. „Zobowiązanie” i „wdzięczność” były słowami, których nigdy nie musieli używać. Chciał jednak, by wiedziała i pamiętała. Nie mógł znieść myśli, że okropności, jak to postrzegał, swojego uczynku nie będzie dzielił z nikim. W tych pierwszych miesiącach zależało mu na tym, by pojęła ogrom tego, czego się dopuścił, i wiedziała, że zrobił to dla niej.

A potem, sześć tygodni po pogrzebie, stwierdził nagle, iż potrafi uwierzyć, że to się wcale nie zdarzyło, czy raczej że zdarzyło się w zupełnie inny sposób i że cały koszmar był ledwie dziecięcą fantazją. Leżał bezsennie po nocach i widział osuwającą się na ziemię postać ojca, szkarłatny gejzer krwi, słyszał ochryple wypowiedziane słowa. W tej przeredagowanej i rozgrzeszającej wersji ociągał się może sekundę, ale ani chwili dłużej, a potem gnał w stronę domu, wzywając krzykiem pomocy. Była również druga, jeszcze bardziej upiękuszona fantazja, w której klęcząc u boku ojca, mocno wciskał pięść w jego łędźwia aby powstrzymać upływ krwi, patrzył w te umierające oczy i szeptał słowa pociechy. Było już za późno, rzecz jasna; ale próbował. Zrobił, co mógł. Koroner, ten skrzący człowieczek o papużkiej twarzy w półokrągłych okularach, wychwalał go pod niebiosa: „Gratuluje synowi zmarłego, który działając z chwalebna szybkością i odwagą, uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby uratować życie ojca”.

Poczucie ulgi, wynikłe z faktu, że mógł uwierzyć w swoją niewinność, było zrazu tak wielkie, że aż przytłaczające. Noc po nocy osuwał się w sen, niesiony falą euforii. Ale wiedział już wówczas, że to rozgrzeszenie, którego sam sobie udzielił, jest jak narkotyk w krwio-biegu. Miłe, bezbolesne, ale nie dla niego. Niosło ze sobą zagrożenie jeszcze bardziej niszczące niż wyrzuty sumienia.

Powiedział sobie: „Nie mam prawa uwierzyć, że kłamstwo jest prawdą. Mogę, kiedy to użyteczne, powtarzać kłamstwa przez całe swoje życie, ale zarazem rozpoznawać w nich kłamstwa i nigdy nie mówić sobie samemu. Fakty są faktami. Muszę je przyjmować do wiadomości, stawiać im czoło, a nadejdzie czas, gdy będę wiedział, jak dawać sobie z nimi radę. Mogę szukać przyczyn swojego postępu i nazwać je usprawiedliwieniem: to, co zrobił Alice, jak terroryzował matkę, jak go nienawidziłem. Mogę zatem podjąć próbę uzasadnienia jego śmierci, przynajmniej na własny użytek. Ale uczyniłem to, co uczyniłem, a on umarł tak, jak umarł”.

Z akceptacją przyszedł jakiś rodzaj uspokojenia. Po kilku latach zdołał uwierzyć, że wyrzuty sumienia jako takie są luksusem i wcale nie musi ich znosić, jeśli nie ma na to ochoty. A wreszcie przyszedł czas,

109

P. D. JAMES

gdy poczuł dumę ze swego postępu, z odwagi, zuchwałości, determinacji, które pozwoliły mu zaistnieć. Wiedział jednak, że i ona niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Potem, przez całe lata, prawie nie myślał o ojcu. Nie mówiła o nim ani matka, ani Alice i wyjątek stanowiły tu tylko spotkania z przygodnymi znajomymi, którzy poczytywali sobie za obowiązek wybąkać kilka słów kondolencji; tego jednak nie można było uniknąć. Ale w gronie rodzinnym o ojcu wspomniano tylko raz.

Rok po jego śmierci matka poślubiła owdowiałego organistę kościelny o nazwisku Edward Morgan, a poza tym człowieka przerażająco nudnego, z którym przeniosła się do Bognor Regis, gdzie, przejadając pieniądze z ubezpieczenia po ojcu, zamieszkali w przestronnym parterowym domu z widokiem na morze i żyli w obsesyjnej wzajemnej admiracji. O swoim nowym mężu matka zawsze mówiła „pan Morgan”. „Jeśli nie rozmawiam z tobą o twoim ojcu, Aiexie, to nie dlatego, iżbym o nim zapomniała; po prostu nie sądzę, by pan Morgan był z tego zadowolony”. Określenie „pan Morgan” stało się pomiędzy nim a siostrą wręcz przysłowiowe, poza tym zaś związek ojczyma z jego instrumentem stworzył im w okresie dojrzewania wspaiałe pole do kpin, zwłaszcza wówczas, gdy matka udała się z oblubieńcem w podróż poślubną. „Sądzę, że dla organów pana Morgana przyszedł czas ciężkiej próby”. „Ciekawe, która piszczałka sprawdza się panu Morganowi najlepiej”. „Biedny pan Morgan, haruje ze wszystkich sił. Oby tylko nie zabrakło mu pary w miechach”. Byli poważnymi, powściągliwymi dziećmi, a przecież te dowcipy przyprawiły ich o paroksyzmy histerycznego śmiechu. Niepowstrzymana wesołość, jaką budziły w nich organy pana Morgana, stała się narkozą, znieczulającą horror przeszłości.

Kiedy Alex miał osiemnaście lat, w jego psychikę wtargnęła inna prawda. Pomyślał wtedy na głos: — Nie zrobiłem tego dla Alice, zrobiłem to dla siebie — zastanawiając się ze zdziwieniem, że odkrycie tego faktu zajęło mu tyle lat. Czy jednak istotnie był to fakt, prawda, czy po prostu teoria psychologiczna, którą, będąc w pewnych stanach ducha, uważał za interesującą?

Teraz, spoglądając ponad przylądkiem na podbarwiony już pierwszym porannym złotem wschodni spłacheć nieba, znowu powiedział głośno: — Z premedytacją pozwoliłem ojcu umrzeć. To jest fakt. Cała reszta sprowadza się do bezcelowej spekulacji.

Gdyby to wszystko było fikcją literacką, pomyślał, powinniśmy być z Alice dręczeni naszą wspólną wiedzą, nieufni, torturowani wyrzutami sumienia, niezdolni do życia w rozłące, lecz nieszczęśliwi i io

INTRYG I ŻĄDZE

razem. A przecież od śmierci ojca między nim a siostrą było tylko dobre kumplostwo, wzajemne oddanie, spokój.

Teraz jednak, trzydzieści lat później, gdy sądził już, że dawno pogodził się z czynem i swoją na niego reakcją, pamięć ponownie zaczęła się budzić. Nastąpiło to po pierwszym morderstwie Świstuna. Już samo słowo „morderstwo” — nieustannie na ludzkich ustach, donośne i natarczywe jak klątwa — zdawało się posiadać moc ewokowania tego na poły zatartego obrazu twarzy ojca, niewyraźnego i wypranego z życia jak stara fotografia. Lecz w ciągu sześciu ostatnich miesięcy ów wizerunek zaczął atakować jego świadomość w najdziwniejszych momentach: dostrzegał go podczas narady po drugiej stronie stołu konferencyjnego, w geście, drgnieniu czyjejś powieki, w grymasie ust, w palcach rozpostartych dla ciepła przy kominku. Duch ojca wracał w gmatwaniu letniej zieleni, w pierwszych opadających liściach, w ulotnych zapachach jesieni. Zastanawiał się, czy podobne sensacje są udziałem Alice. Przy całej ich wzajemnej sympatii, przy całym żywionym przez niego poczuciu, że są nierozłącznie ze sobą związani, tego jednego pytania nie ośmieliłby się nigdy zadać.

Były jeszcze inne pytania, w szczególności jedno, których — z kolei — on nie musiał się obawiać z jej strony. W najmniejszym stopniu nie interesowała się jego życiem seksualnym, on natomiast miał dostatecznie duże pojęcie o psychologii, by co najmniej przeczuwać, jaki wpływ wywarły w dzieciństwie na Alice te odrażające i haniebne doświadczenia.

Niekiedy sądził, że odnosi się do jego romansów z mieszaniną lekkiego rozbawienia i tolerancji, jak gdyby — sama niewrażliwa na dziecinne słabostki — nie czuła się jednak uprawniona, by krytykować je w bliźnich. Raz, po jego rozwodzie, powiedziała: — To dla mnie nie pojęte, że ów prosty choć mało elegancki mechanizm, gwarantujący przetrwanie gatunku, potrafi pogrążyć ludzi w takim chaosie emocjonalnym. Czy seksu nie można traktować na większym luzie?

Czyżby wiedziała o Amy albo czegoś się domyślała? Ledwie zadał sobie to pytanie, patrząc jak z morza unosi się ognista kula, a czas włączył wsteczny bieg i cofnął się o cztery dni.

Alex znów leżał z Amy w głębokiej kotłince na wydmach i kiedy z jesiennego powietrza wyciekały drobiny popołudniowego ciepła, wdychał zapach piasku, traw i słony aromat morza. Pamiętał każde zdanie, każdy gest, timbre jej głosu; pamiętał, jak pod jej dotknięciem przechodzi go dreszcz.

P. D. JAMES

7

Odwróciła się do niego, wspierając głowę na dłoni i zobaczył, jak mocny popołudniowy blask maluje na złoto koniuszki jej krótko ostrzyżonych, jaskrawo umalowanych włosów. W powietrze wkradał się chłód i Alex wiedział, że czas już iść. Ale kiedy tak leżał obok niej, wsłuchany w poszeptywanie fal i wpatrzony przez mgiełkę traw w błękit nieba, czuł w sobie nie ten smutek, jaki czasem wypełnia mężczyznę po stosunku, lecz miłą ociężałość. Było tak, jakby wciąż miał przed sobą to dobiegające już przecież kresu niedzielne popołudnie.

Pierwsza odezwała się Amy: — Posłuchaj, chyba zacznę się zbierać. Powiedziałam Neilowi, że nie zabawię dłużej niż godzinę, a z powodu Świstuna bywa upierdliwy, kiedy się spóźniam.

— Świstun zabija nocą, nie w biały dzień. I raczej nie zapuszcza się na przylądek, bo brak tu kryjówek. Ale tak czy owak Pascoe ma powody do niepokoju. Zagrożenie jest niewielkie, lecz jednak nie powinnaś łązić samotnie po nocy. Jak każda kobieta, dopóki nie zostanie ujęty.

— Żeby go już złapali — powiedziała. — Neil miałby jeden powód mniej do niepokoju. Pilnując, aby jego głos brzmiał zupełnie beznamytnie, zapytał: — Czy nigdy nie pyta, gdzie wymykasz się w niedzielne popołudnia, zostawiając mu dzieciaka na głowie?

— Nie, nie pyta. A ten dzieciak ma na imię Timmy. No i ja się nie wymykam. Mówię, że wychodzę i wychodzę.

— Ale musi się zastanawiać.

— Och, jasne, że się zastanawia. Jednak wyznaje pogląd, że ludzie mają prawo do prywatności. Chciałby zapytać, ale nigdy tego nie robi. Czasem mu mówię: „OK, to ja się zmywam, żeby na wydmach popieprzyć się ze swoim gachem”. A on nic i tylko ma nieszczęśliwą minę, bo nie lubi, jak bluzgam.

— Więc dlaczego to robisz? To znaczy, dlaczego go dręczysz? Przypuszczalnie ma kręcka na twoim punkcie.

— Nie, wcale nie ma. Naprawdę lubi tylko~Timmy'ego. A jakiego słowa miałabym używać? Przecież nie mogę powiedzieć, że idę z kimś do łóżka. Tylko raz robiłam to z tobą w łóżku i cały czas byłeś roztrzęsiony, bo się bałeś, że niespodziewanie wróci ta twoja siostrzyczka. No i nie możesz powiedzieć, że ze sobą sypiamy.

— Kochamy się — odparł. — Albo, jak wolisz, kopulujemy.

112

INTRYG I ŻĄDZE

- Odupść sobie Alex, to obrzydliwe. Myślę, że to słówko brzmi naprawdę plugawie.

— Czy robisz to z nim? Sypiasz, chodzisz do łóżka, kochasz się, kopulujesz?

— Nic z tych rzeczy. Nie, żeby cię to powinno obchodzić. Neil sądzi, że to by nie było dobrze. Czyli że naprawdę nie chce. Bo mężczyźni, którzy chcą, na ogół to robią.

— Właśnie tak mi dyktuje doświadczenie — stwierdził. Zapatrzeni w niebo, leżeli ramię w ramię jak dwa manekiny.

Sprawiła wrażenie zadowolonej z wyczerpania wątku. Ale przynajmniej zadał to pytanie i uzyskał odpowiedź. Gdy po raz pierwszy odczuł w sobie ukłucia zazdrości, był zawstydzony i trochę poirytowany. Jeszcze bardziej jednak zawstydziła go niechęć, z jaką myślał o poddaniu tej swojej zazdrości egzaminowi prawdy. No i były jeszcze te inne pytania, które pragnąłby zadać, lecz się nie ośmielał. „Co dla ciebie znaczą?”, „Czy to coś poważnego?”, „Czego się po mnie spodziewasz?”. I najważniejsze z nich wszystkich, które jednak zawsze miało pozostać bez odpowiedzi: „Czy mnie kochasz?” Z żoną wszystko było absolutnie jasne. Żadne małżeństwo nie rozpoczęło wspólnego życia z precyzyjniejszym katalogiem wzajemnych wymagań i powinności. Ich niepisany, nie ujęty w słowa i tylko na poły uświadamiany kontrakt przedmałżeński nie wymagał formalnej ratyfikacji. On będzie zarabiał na życie, ona pójdzie do pracy kiedy i jeśli zechce. Uprawiany dotąd zawód dekoratorki wewnątrz nie budził w niej wielkiego entuzjazmu. W zamian poprowadzi mu dom kompetentnie i — w granicach rozsądku — oszczędnie. Raz na dwa lata spędzą osobno wakacje; będą mieć najwyżej dwójkę dzieci, i to wtedy, gdy ona zechce je mieć; żadne z nich publicznie nie poniży drugiego, przy czym określone w tym punkcie ramy przestępstw małżeńskich obejmowały z jednej strony wtrącanie się na przyjęciach w wywody partnera, z drugiej zbyt widoczną niewierność. Układ zagrał doskonale. Lubili się, dogadywali bez zbyt wielkich spieć i Alex był autentycznie zraniony, choć zasadniczo najbardziej ucierpiała jego duma, gdy go postanowiła porzucić. Na szczęście skalę katastrofy małżeńskiej łagodziła powszechna wiedza o bogactwie tego trzeciego. Mair uświadomił sobie, że w społeczeństwie materialistycznym utrata żony na rzecz milionera nie jest poczytywana za katastrofę. Przyjaciele posądziłiby go o nieuzasadnioną zaborczość, gdyby nie chciał jej dać rozwodu lub piętzył problemy. Trzeba jednak oddać jej sprawiedliwość: Liz kochała Gregory'ego i forsa czy nie, pognałaby za nim do Kalifornii. Pamiętała tę odmienioną roześmianą twarz i. skruszony, przepraszący głos.

8 Intrygi i żądze

113

P. D. JAMES

— Tym razem to jest naprawdę to, kochanie. Nie spodziewałam się i wciąż nie mogę uwierzyć.

Spróbuj się nie gryźć, to nie twoja wina. Nic nie mogłeś poradzić.

To jest naprawdę to. Tajemnicze „to”, które sprawiło, że wszystko poszło w niepamięć — zobowiązania, przyzwyczajenie, odpowiedzialność. Teraz, kiedy leżał na wydmach, spoglądając na niebo poprzez sztywne łądygi trzcinnika, myślał o tym niemal z przerażeniem. Bo na pewno on tego czegoś w końcu nie znalazł, a przynajmniej nie znalazł z tą dziewczyną o połowę od siebie młodszą, inteligentną, ale niewykształconą, rozpustną i obarczoną nieślubnym dzieckiem. I nie miał złudzeń co do natury czarów, jakimi go usidliła. Żadna fizyczna miłość, znana mu z doświadczenia, nie była tak pełna erotyzmu, tak wyzwalająca, jak ta, której ukradkiem oddawali się na twardym piasku, zaledwie kilka jardów od tłukącej o brzeg fali przyboju.

Czasem łapał się na tym, że fantazjuje, wyobrażając sobie ich dwoje w jego nowym londyńskim mieszkaniu. Mieszkanie to, jeszcze nie znalezione i będące zaledwie jedną niewyraźną możliwością spośród wielu, zyskiwało w tej fantazji rozmiary, lokalizację i koszmarnie realny byt, w którym z uwagą rozwieszał obrazy na nie istniejącej ścianie, zastanawiając się, gdzie porozstawiać sprzęty i umiejscowić wieżę hi-fi. Mieszkanie było nad Tamizą. Dokładnie wyobrażał sobie szerokie okna z widokiem na rzekę aż do mostu Tower, podwójne łóżko, a na nim skulone ciało Amy, pocętkowane sącącym się przez drewniane żaluzje blaskiem słońca. Potem te rozkosznie zwodnicze wizje rozmywały się w szarej rzeczywistości. Było jeszcze dziecko. Oczywiście, będzie je chciała mieć przy sobie. Jasne, że tak. No bo kto miałby się nim zajmować? Wyobrażał sobie pełne pobłażliwości rozbawienie przyjaciół, złośliwą uciechę wrogów i tego malca o lepkich paluszkach, który miota się po mieszkaniu. Wyobraził sobie ten zapach, jakiego za sprawą Liz nigdy nie zaznał w rzeczywistości — skwaśniałego mleka i zasiusianych pieluch — a także przerażający brak spokoju i samotności. Potrzebował tych celowo przerysowanych wizji, aby odzyskać zdrowy rozsądek. Myślał ze zgrozą, jak mógł choćby przez kilka minut, brać poważnie pod uwagę takie samobójcze głupstwa. Lecz myślał również: „Mam obsesję na jej punkcie. W porządku, przez tych kilka ostatnich tygodni będę się delectować swoją obsesją”. To lato nie potrwa już długo, te niespotykane ciepłe słoneczne dni muszą się skończyć. Już teraz wieczorami niebo zaczyna się chmurzyć. Niebawem wiatry znad morza przyniosą pierwsze ostre ukłucia zimy. Koniec z wylegiwaniem się na rozgrzanym piasku wydm. Amy nie może odwiedzać już Chaty Męczennicy; to by było

114

INTRYG I ŻĄDZE

kompletną bezmyślnością. Potrafiłby wprawdzie z łatwością przekonać samego siebie, że przy zachowaniu dyskrecji, kiedy Alice jest w Londynie, a żadni goście nie zapowiedzieli swojego przybycia, mogliby w jego sypialni spędzić ze sobą nawet całą noc, ale wiedział, że nigdy nie zdecyduje się na takie ryzyko. Na przykładzie niewiele spraw utrzymywało się długo w tajemnicy. To było jego babie lato i przed-jesienne szaleństwo, nic takiego jednak, czego nie potrafiłyby zwarzyć pierwsze zimowe przymrozki.

Amy, jak gdyby ani przez chwilę nie pograżyli się w milczeniu, podjęła rozmowę: — Neil jest moim przyjacielem, kapujesz? A w ogóle dlaczego chcesz o nim gadać?

— Nie chcę. Wolałbym tylko, żeby uporządkował swoje obozowisko. Jego przyczepa stoi w prostej linii przed moim oknem i psuje pejzaż.

— Potrzebowałbyś lornetki, żeby zobaczyć ją ze swojego okna, a pejzaż to psuje tylko ta twoja cholerna elektrownia. Wszystkim wchodzi w pole widzenia, wszyscy muszą na nią patrzeć.

Położył dłoń na jej ramieniu, ciepłym pod chropawą warstewką przyklejonego piasku i powiedział z kpiarską pompatycznością: — Istnieje ogólne przekonanie, że elektrownia, biorąc pod uwagę ograniczenia, wynikające z jej funkcji i lokalizacji, jest pod względem architektonicznym nader udana.

— Czyje przekonanie?

— Po pierwsze, ja tak myślę.

— Jasne, to było do przewidzenia. A w ogóle to powinieneś być Neilowi wdzięczny. Gdyby nie opiekował się Timmym, to by mnie tu nie było.

— Poza tym — powiedział — ta cała buda jest prymitywna. Ma tam w środku piecyk na drewno,

prawda? Kiedy wybuchnie, nie przeżyjecie minuty, wszyscy troje, szczególnie jeśli zablokują się drzwi.

— Zostawiamy je otwarte. Nie bądź głupi. No i przed nocą wygaszamy ogień. A powiedzmy, że wyleci ta twoja buda. Wtedy to chyba nie będzie tylko nasza trójka? Jasne, cholera, że nie. I zawiną się nie tylko ludzie. Co z moimi kotami? Też mają prawo do życia.

— Nie wyleci. Za wiele słuchasz tych panikarskich bzdur. Jeśli niepokoi cię energia nuklearna, zapytaj mnie. Wyjaśnię ci wszystko.

— Chcesz powiedzieć, że będziesz mi wsadzać a jednocześnie wyjaśniać? O rany, chłopie, wtedy na pewno zdołam to wszystko przyswoić.

"5

P. D. JAMES

Odwróciła się ku niemu. Zobaczył lśniąca na jej ramieniu piaskową arabeskę i poczuł, że jej usta dotknęły jego górnej wargi, potem piersi, brzucha. Po chwili klękła nad nim i okrąglą dziecinną buzią pod grzywą jasnych włosów przesłoniła mu niebo.

Pięć minut później zsunęła się z niego, odtoczyła na bok i zaczęła wytrząsać piasek ze swojej koszuli i džinsów. Naciągając nogawki spodni zapytała: — Dlaczego nie zrobisz czegoś w sprawie tej dziwki z Larksoken, no wiesz, tej która oskarża Neila? Mógłbyś ją powstrzymać. Jesteś szefem. Sugestia — a może to było żądanie? — przywołała go do rzeczywistości tak brutalnie, jak gdyby Amy, nie sprowokowana, zniecierpliwiona uderzyła go w twarz. Podczas czterech dotychczasowych schadzki nigdy nie wypytywała go o pracę i rzadko wspominała o elektrowni, chyba że — jak dzisiejszego popołudnia — miała ochotę pozrzedzić półzartem, że psuje widok. Nie podejmował świadomej decyzji, by trzymać Amy na dystans od swojego życia prywatnego i zawodowego, o którym zresztą, kiedy byli razem, prawie nie myślał. Mężczyzna, leżący z Amy pośród wydm, nie miał nic wspólnego z tym przeciążonym obowiązkami, ambitnym, snującym dalekosiężne plany naukowcem, nie miał nic wspólnego z bratem Alice, eks-mężem Elizabeth i eks-kochankiem Hilary. Teraz, z mieszaniną irytacji i niesmaku, zastanawiał się, czy z premedytacją postanowiła zignorować te niewidoczne znaki zakazu wstępu. Zresztą jego powściągliwość była tylko zwierciadlanym odbiciem jej powściągliwości. Dziś wiedział o niej niewiele więcej niż tego huczącego wiatrem sierpniowego wieczoru sześć tygodni temu, gdy spotkali się w ruinach opactwa, przez minutę stali patrząc na siebie, a potem — porozumiewszy się bez słów — jak zahipnotyzowani ruszyli ku sobie. Później, tego samego wieczoru, powiedziała mu, że pochodzi z Newcastle, że jej owdowiały ojciec ożenił się powtórnie i że nie mogła dogadać się z macochą. Pojechała do Londynu i mieszkała na dziko. Wyglądało to na dość pospolitą historię, ale nie do końca w nią uwierzył. Zresztą podejrzewał, iż jego wiara bądź niewiara jest Amy zupełnie obojętna. Miała akcent bardziej cockneyowski* niż północno-wschodni. Po części powodowany delikatnością, głównie jednak tym, że wolał nie myśleć o niej jako o matce, nigdy nie pytał o dziecko, Amy zaś z własnej woli nie udzieliła żadnej informacji na temat Timmy'ego czy jego ojca. — No więc może byś coś zrobił — powiedziała. — Jesteś szefem.

* Charakteryzujący londyńczyków z warstw uboższych, niewykształconych (przyp. tłum.)

116

INTRYG I ŻĄDZE

- Ale nie mam wpływu na życie prywatne swoich pracowników. Jeśli Hilary Robarts sądzi, iż została zniesławiona i w związku z tym szuka satysfakcji, nie mogę jej zabronić wkroczenia na drogę sądową.

— Mógłbyś, gdybyś chciał. A to, co Neil napisał, było prawdą.

— To niebezpieczna linia obrony w procesie o zniesławienie. Trzymając się jej, Pascoe postępuje nierozważnie.

— Ona nie może liczyć na żadną forszę, bo Neil jej nie ma. Nawet , konieczność pokrycia kosztów sądowych doprowadzi go do ruiny.

— Powinien był zastanawiać się nad tym wcześniej.

Opadła na ziemię z lekkim tapnięciem i przez kilka minut oboje zachowywali milczenie. Potem, takim tonem, jak gdyby cała dotychczasowa rozmowa była nic nie znaczącą, trywialną i na poły już

zapomnianą pogawędką, zapytała: — Co powiesz o przyszłej niedzieli? Mogłabym się wyrwać późnym popołudniem. Odpowiada?

A zatem nie chowała urazy. Rzecz nie miała dla niej znaczenia, a jeśli nawet miała — Amy, przynajmniej chwilowo, postanowiła dać jej pokój. On natomiast mógł odsunąć od siebie to zdradliwe podejrzenie, że ich pierwsze spotkanie zostało zaaranżowane od początku do końca, stanowiąc część planu, jaki uknuła wspólnie z Neilem Pascoe, aby wykorzystać jego wpływ na Hilary. Nie, to czysty absurd. Wystarczyło przypomnieć sobie nieuchronność ich pierwszego spotkania, ten namiętny, nieskomplikowany, zwierzęcy wigor, jaki okazywała w miłości, by uznać myśl za paranoiczną. Przyjdzie tu w niedzielne popołudnie na, być może, ostatnią ich schadzkę. Prawie już postanowił, że tak będzie. Wyzwoli się z tego — słodkiego wprawdzie — zniewolenia, tak samo, jak uwolnił się od Hilary. I wiedział, z żalem dorównującym niemal rozpacz, że temu rozstaniu nie będą towarzyszyć protesty, apele, rozpaczliwe odwoływania się do przeszłości. Amy zaakceptuje Jego odejście z takim samym spokojem, z jakim zaakceptowała przybycie.

— OK — powiedział. — Zatem około wpół do szóstej. Niedziela dwudziesty piąty.

I oto czas, który w ciągu minionych dziesięciu minut zdawał się trwać w miejscu, popłynął ponownie; znów, pięć dni później, Alex stał w oknie swojej sypialni, obserwując, jak wielka kula słońca wstaje z morza, by zabarwić horyzont i wykreślić na wschodnim obszarze nieba żyły i arterie nowego dnia. Niedziela dwudziesty piąty. Umówił się na to spotkanie pięć dni temu i nie zamierza zawieść. Ale, kiedy leżał tam, pośród wydm, nie miał jeszcze pojęcia o czymś, co wiedział teraz: że w niedzielę dwudziestego piątego września czeka go jeszcze jedno, zupełnie inne spotkanie.

117

P. D. JAMES

s

Wkrótce po lunchu Meg pomaszerowała do Chaty Męczennicy. Copleyowie udali się na górę na popołudniową drzemkę i przez moment zastanawiała się nawet, czy by im nie poradzić, żeby zamknęli na klucz drzwi od sypialni. Sama jednak uznała, że byłby to zbędny i absurdalny środek ostrożności. Przed wyjściem zarygluje tylne drzwi, po wyjściu zaś frontowe, a poza tym jej nieobecność nie potrwa długo. Czasem odnosiła wrażenie, iż starość redukuje lęk. Copleyowie umieli spoglądać na elektrownię bez krztyny złych przeczuć, a horror Świstuna zdawał się wykraczać zarówno poza krąg ich zainteresowań, jak i zrozumienia. Największej emocji w ich życiu dostarczał, planowany z wielką rozważą i odrobiną niepokoju, wyjazd do Ipswich albo Norwich na zakupy.

Było piękne popołudnie, cieplejsze niż większość dni zeszłorocznego fatalnego lata. Wiała lekka bryza i od czasu do czasu Meg zatrzymywała się, żeby lepiej poczuć na policzkach jej aromatyczne podmuchy i ciepło promieni słonecznych. Trawa pod stopami była sprężysta, a na południu ruiny opactwa, ani tajemnicze teraz, ani złowieszcze, lśniły złociście na tle gładkiego błękitu morza.

Nie musiała dzwonić. Drzwi Chaty Męczennicy, jak często w słoneczne dni, stały otworem. Meg zawołała na Alice i dopiero usłyszawszy jej odpowiedź pospieszyła korytarzem do kuchni. W całym domu unosił się pikantny zapach cytryn, przytłumiając zwykłą mieszaninę aromatów: wosku, wina i dymu. Był w istocie tak intensywny, że na moment wywołał w pamięci Meg wspomnienie tamtych wakacji, spędzonych z Martinem w Amalfi, kiedy to idąc ręką w rękę wijącą się drogą na szczyt góry, ujrzeni leżący na poboczu stos cytryn przemieszanych z pomarańczami i radośnie roześmiani zaczęli obwąchiwać ich złote, porowate skórki. Ta wizja, złocisty błysk i uczucie gorąca na twarzy, była tak sugestywna, że Meg przystanąła przez chwilę w drzwiach kuchni, jak gdyby straciła orientację. Potem odzyskała jasność widzenia i dostrzegła znajome sprzęty: kuchenkę, blat, lśniący dębowy stół na środku, cztery eleganckie krzesła, a w głębi półki z książkami i założone korektą biurko. Alice, w swoim długim brunatnym fartuchu, pracowała przy stole.

— Jak widzisz — oznajmiła — robię twarożek cytrynowy. Czasem Aiex i ja miewamy na niego ochotę, a poza tym lubię go przyrządzać, więc, jak sądzę, jest to dostateczne uzasadnienie całej fatygi.

— My jadaliśmy go rzadko... to znaczy Martin i ja. Chyba nie

INTRYGI I ŻĄDZE

miałam go w ustach od dzieciństwa. Matka kupowała czasem taki twarożek jako główną atrakcję niedzielnych podwieczorków.

— Jeśli był kupny, nie masz pojęcia, jak powinien smakować. Meg roześmiała się i usiadła w wiklinowym fotelu na lewo od

kominka. Był bladezielony, o gęstym splocie, miał poręczę i wysokie, wytwornie wygięte oparcie. Nigdy nie pytała, czy może pomóc w pracach kuchennych; wiedziała, że taka propozycja, zdaniem Alice niepraktyczna i nieszczerą, tylko ją zirytuje. Pomoc nie była tu ani potrzebna, ani mile widziana. Meg uwielbiała jednak siedzieć i przyglądać się w milczeniu. Może to za sprawą jakichś wspomnień z dzieciństwa, zastanawiała się, widok kobiety pichcącej w swojej własnej kuchni uznajemy za tak przyjemny i krzepiący. Jeśli tak, to współczesne dzieci są — w ich coraz bardziej chaotycznym i przerażającym świecie — pozbawiane kolejnego źródła spokoju wewnętrznego. Powiedziała: — Mama nie robiła twarożku cytrynowego, ale lubiła gotować. Tyle że bardzo proste potrawy.

— Te są najtrudniejsze. Przypuszczam, że jej pomagałaś. Wyobrażam sobie, jak ubrana w fartuszek lepisz ludziki z marcepanu.

— Piekąc placek, mama dawała mi zwykle kawałek ciasta. Gdy wreszcie kończyłam je ugniatać, wałkować i lepić, było szarobure. Poza tym wycinałam foremką herbatniki. No i tak, lepiłam ludziki z marcepanu, a oczy robiłam im z rodzynków. Ty też?

— Nie. Moja matka spędzała w kuchni mało czasu. Nie była dobrą kucharką, a przycinki ojca zabiły w niej tę odrobinę pewności siebie, jaką w ogóle miała. Ojciec zatrudniał miejscową kobietę do przyrządzania kolacji, jedynych posiłków, jakie — z wyjątkiem niedziel — jadał w domu. Nie przychodziła podczas weekendów, więc przez te dwa dni atmosfera przy stole bywała okropna. To był dziwny układ, a pani Watkins była dziwną kobietą. Dobrze gotowała, ale bez przerwy na coś się piekliła, no i, rzecz jasna, nie znosiła dzieciaków w kuchni. Zainteresowałam się sztuką kulinarną dopiero podczas studiów na neofilologii w Londynie, a właściwie podczas stypendium we Francji. Tak to się zaczęło. Znalazłam namiętność swojego życia. Pojęłam, że nie muszę uczyć, tłumaczyć ani pracować w charakterze wykwalifikowanej na wyrost sekretarki jakiegoś mężczyzny. Meg nic nie odrzekła. Dotychczas tylko raz Alice wspomniała o swojej rodzinie czy dawniejszym życiu; Meg miała przeczucie, że usłyszawszy teraz komentarz albo pytanie, jej przyjaciółka mogłaby pożałować rzadkiej chwili szczerości. Rozparła się wygodnie w fotelu i obserwowała zajęte pracą wysmukłe zręczne dłonie. Przed Alice

119

P. D. JAMES

leżało na stole w płaskiej niebieskiej misie osiem dużych jajek, a obok, na dwóch talerzach, gomółka masła i cztery cytryny. Alice tarła cytryny bryłkami cukru; gdy bryłki rozsypywały się w palcach i spadały do talerza, brała następne i cierpliwie powtarzała zabieg.

— Wyjdą z tego dwa funty — powiedziała. — Dam ci słoiczek dla Copleyów, jeśli sądzisz, że to lubią.

— Jestem pewna, że lubią, ale zjem twarożek sama. Właśnie o tym ci przysłałam powiedzieć, zaraz muszę wracać. Ich córka nalega, żeby aż do aresztowania Świstuna pomieszkali u niej. Zadzwoiła znowu dziś z samego rana, ledwie usłyszała o tym ostatnim morderstwie.

— Świstun zaczyna się kręcić nieprzyjemnie blisko, to fakt — stwierdziła Alice — lecz im niewiele chyba grozi. Poluje nocą i wszystkie jego ofiary były młodymi kobietami. A Copleyowie nigdzie nie chodzą, prawda? Najwyżej ty ich czasem gdzieś wozisz.

— Niekiedy spacerują nad morzem, ale na ogół poprzestają na przechadzce po ogrodzie.

Usiłowałam przekonać Rosemary Dun-can-Smith, że nie są w niebezpieczeństwie i żadne z nas trojga się nie boi. Myślę jednak, że nie zabierając do siebie rodziców, naraża się na krytykę ze strony przyjaciół.

— Rozumiem. Ona ich nie chce, oni nie chcą jechać, ale trzeba ugłaskać tak zwanych przyjaciół.

— Moim zdaniem Rosemary jest jedną z tych władczych, aktywnych kobiet, które nie potrafią

znieść krytyki. Ale trzeba oddać jej sprawiedliwość: sądzę, że się naprawdę niepokoi.

— Kiedy zatem wyjeżdżają?

— W niedzielę wieczorem. Podwożę ich do Norwich na londyński ósma trzydzieści, który przychodzi na stację Liverpool Street za pięć jedenasta. Córka odbierze ich z dworca.

— To chyba nie najwygodniejsze rozwiązanie? W niedzielę z reguły podróżuje się niezbyt przyjemnie. Dlaczego nie mogą poczekać do poniedziałku?

— Bo pani Duncan-Smith spędza weekend w swoim klubie na Audley Square i zarezerwowała tam pokój dla rodziców. W poniedziałek z samego rana pojadą wszyscy razem do Wiltshire.

— A co z tobą? Nie przejmujesz się, że zostaniesz sama?

— Ani trochę. Och, przypuszczalnie później będę za nimi tęsknić, ale w tej chwili potrafię myśleć tylko o całej tej pracy, którą trzeba nadgonić. Będę mogła częściej wpadać do ciebie i pomagać w korekcie. Chyba nie będę się bać. Rozumiem strach i czasami łapię się na tym, że prowadzę swoistą grę w przerażenie, napawam się zgrozą, jakbym chciała poddać próbie swoje nerwy. W dzień to łatwe. Ale kiedy zapada

INTRYG I ŻĄDZE

noc i siadam przy kominku, wyobrażam sobie, jak czeka, przyczajony w ciemnościach. To właśnie poczucie niewidzialnej, niepojętej groźby najbardziej wyprowadza człowieka z równowagi.

Podobnym uczuciem przejmuję mnie elektrownia; wiem, że tam, na przylądku, jest niebezpieczna, nieobliczalna siła, nad którą nie potrafię panować i której w najmniejszym stopniu nie rozumiem.

— Świstun w niczym nie przypomina elektrowni — powiedziała Alice. — Energię nuklearną można zrozumieć i można opanować. No, ale to ostatnie morderstwo jest dla Aiexa prawdziwym utrapieniem. Część sekretarek mieszka tu, w okolicy, i dojeżdża do domu rowerem lub autobusem. Alex próbuje załatwić, żeby ci pracownicy, którzy dysponują samochodami, odwozili je i przywozili, ale przy pracy zmianowej wymaga to większych kombinacji organizacyjnych, niżby się mogło wydawać. W dodatku niektóre dziewczyny panikują i zgadzają się jeździć tylko z innymi kobietami.

— Przecież nie mogą myśleć serio, że mordercą jest któryś z ich kolegów, jakiś pracownik elektrowni?

— One w ogóle nie myślą serio i na tym polega problem. Myślenie ustąpiło przed instynktem, a instynkt im mówi, żeby podejrzewać wszystkich mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy nie mają alibi na czas dwóch ostatnich zbrodni Świstuna. Poza tym jest jeszcze Hilary Robarts. Pływa prawie co wieczór aż do końca października, czasem nawet przez całą zimę. I nie zamierza przestać.

Prawdopodobieństwo zamordowania wynosi może jeden na milion, ale jest to całkiem niepotrzebne ryzykanctwo, którym daje zły przykład. A przy okazji, przepraszam za wczorajszy wieczór. Niezbyt udane przyjęcie. Byłam winna kolację Milesowi i Hilary, nie miałam jednak pojęcia, jak bardzo się nie znoszą. Nie wiem zresztą dlaczego. Alex prawdopodobnie wie, ale nie interesuję się tym dostatecznie mocno, by go zapytać. Jak ci poszło z naszym poetą nadwornym?

— Polubiłam go — odparła Meg. — Obawiałam się, że może być odstręczającym człowiekiem, ale wcale taki nie jest, prawda? Przespacerowaliśmy się razem do ruin opactwa. W świetle księżycy wyglądają tak cudownie.

— Są dostatecznie romantyczne dla poety — uznała Alice. — Rada jestem, że nie rozczarowałaś się jego towarzystwem. Ale ja nigdy nie potrafię patrzeć na księżyc, nie wyobrażając sobie tego całego kosmicznego złomu. Człowiek, gdziekolwiek ruszy, zostawia za sobą to metalowe trujące łajno. A wiesz, że w niedzielę będzie pełnia? Może po powrocie z Norwich wpadłabyś do mnie na spokojną kolację? Potem mogłybyśmy we dwójkę przespacerować się do ruin. Bo przypuszczal-

121

P. D. JAMES

nie będziemy tylko my dwie. Po weekendzie w mieście Alex zwykle odwiedza elektrownię.

— Miałabym ogromną ochotę — powiedziała z żalem Meg — ale chyba nie powinnam.

Pakowanie i wyprawianie Copleyów zapowiada się na imponujące przedsięwzięcie i po powrocie z Norwich pewnie będę walić się z nóg, a wtedy jedzenie jest ostatnią rzeczą na jaką ma się ochotę. Poza tym przed wyjazdem zjemy chyba solidniejszy podwieczorek. No i mogłabym zostać

najwyżej godzinę. Pani Dun-can-Smith powiedziała, że zadzwoni z dworca, żeby dać mi znać, czy dotarli cało.

W nietypowym dla siebie odruchu Alice wytarła dłonie i odprowadziła gościa do drzwi. Meg zastanawiała się, dlaczego podczas tej wymiany uwag o przyjęciu i Adamie Dalglieshu nie wspomniała nic na temat dostrzeżonej przez siebie w ruinach tajemniczej kobiecej sylwetki. Rzecz nie tylko w tym, iż lękała się zrobić sprawę z czegoś, co — nie potwierdzone przez Adama Dalgliesha — mogło być zaledwie ułudą. Powstrzymały ją jakieś wewnętrzne i całkiem niepojęte opory. Gdy dotarły do drzwi, powiodła spojrzeniem po nasłonecznionej krzywiźnie przyładka, doznając przez moment niezwykłego uczucia, że widzi, uświadamia sobie, jakiś zupełnie inny czas, zupełnie inną rzeczywistość, istniejącą równoległe do tej prawdziwej. Ów prawdziwy świat nie uległ żadnej zmianie i przenikliwszym niż zwykle okiem widziała każdy jego szczegół: drobiny kurzu, tańczące nad kamienną podłogą w słupie słonecznego blasku, twarde, wyżłobione przez czas płyty pod stopami, główkę każdego gwoźdźca, pstrzącego dębowe płyciny wielkich dębowych drzwi, najmniejsze źdźbło trawy rosnącej w kępie na obrzeżu wrzosowiska. Jej duszą zawładnął jednak ten inny świat. Nie było w nim słońca; tylko wieczny mrok, zgiefkliwy od tętentu końskich kopyt i stukotu butów, od ochrypłych męskich głosów, a wreszcie niepojętej paplaniny, przywodzącej na myśl dźwięk, jaki wydawałaby ogromna fala, wysysając w siebie kamyki ze wszystkich plaż świata. A potem był syk i trzask polan, eksplozja ognia, a wreszcie sekunda okropnej ciszy, rozdartej przeciągłym krzykiem kobiety.

Usłyszała głos Alice: — Dobrze się czujesz, Meg?

— Przez chwilę czułam się dziwnie. To już minęło. Nic mi nie jest.

— To z przepracowania. Masz w tym domu tak wiele obowiązków. No i trudno miniony wieczór uznać za relaksujący. Prawdopodobnie opóźniona reakcja szokowa.

— Mówiłam panu Dalglieshowi — powiedziała Meg — że nigdy

122

INTRYG I ŻĄDZE

nie czułam w twoim domu obecności Agnes Poley. Byłam w błędzie. Ona tu jest. Jakaś jej częśćka pozostała.

Alice odpowiedziała dopiero po dłuższej pauzie: — To, przypuszczam, zależy od twojego pojmowania czasu. Jeśli, jak utrzymują niektórzy naukowcy, czas może się cofać, nie da się wykluczyć, że Agnes Poley nadal tu jest, wciąż żywa, wciąż płonąca na wiecznotrwałym stosie. Ja jednak nigdy jej nie czuję, nie widzę. Być może nie uznaje mnie za osobę sympatyczną. Bo dla mnie zmarli pozostają zmarłymi. Nie mogłabym chyba żyć, gdybym nie potrafiła w to uwierzyć. Meg pożegnała się i szybkim krokiem ruszyła w drogę powrotną. Copleyowie, stojąc w obliczu przerażającej decyzji, co wziąć ze sobą na bezterminowy wyjazd, zaczynają się pewnie niepokoić. Dotarwszy na grzbiet przyładka, odwróciła się i dojrzała Alice, wciąż stojącą w otwartych drzwiach. Gest, jakim uniosła rękę, zanim zniknęła we wnętrzu swojej chaty, przypominał raczej błogosławieństwo niż pożegnanie.

KSIĘGA TRZECIA

niedziela 25 września

1

Do ósmej piętnaście Theresa poodrabiała od dawna zaległe prace domowe i uznała, że może spokojnie odłożyć podręcznik do arytmetyki, a następnie powiedzieć ojcu, iż jest zmęczona i gotowa iść spać. Wcześniej pomógł jej pozmywać po kolacji — dojedli resztki irlandzkiego gulaszu, do którego dodała nieco konserwowej marchewki — a potem, jak zwykle, mając pod ręką butelkę whisky, uwalił się przed telewizorem w zniszczonym fotelu, stojącym obok martwego kominka. Tu, jak wiedziała, ze wzrokiem utkwionym w ekran przesiedzi do ostatniej minuty programu, nie zwracając, w gruncie rzeczy, uwagi na migocące białe-czarne obrazy. Niekiedy dopiero przebudziwszy się o świcie słyszała na schodach jego ciężkie kroki.

Pan Jago zadzwonił tuż po wpół do ósmej; przyjęła telefon, informując, że tata maluje w swojej szopie i nie można mu przeszkadzać. Nie była to prawda. Siedział w wygodce na końcu ogrodu. Ale nie miała najmniejszej ochoty mówić o tym panu Jago i nigdy nie przyszłoby jej do głowy

wywoływać ojca, stukając do drzwi ubikacji, Czasami myślała, okazując zdumiewająco dorosłą przenikliwość, że brał latarkę i siedł tam bez rzeczywistej potrzeby, że ta na pół zrujnowana sławojka ze swymi splekanymi drzwiami i szeroką wygodną deską była dlań schronieniem przed zgiełkiem i bałaganem chaty, przed płaczem Anthony'ego, a nawet jej nieefektywnymi wysiłkami, by zastąpić matkę. Musiał już zapewne wracać i usłyszeć telefon, bo, stanąwszy w drzwiach, zapytał, kto dzwonił.

— To była pomyłka, tatusiu — skłamała i z przyzwyczajenia odmówiła szybko akt pokuty. Była zadowolona, że pan Jago nie złapał ojca. Tata, świadom, że bez ryzyka może zostawić ją na gospodarstwie przez godzinę lub dwie, uległby zapewne pokusie i poszedł do „Naszego Bohatera”, a jego obecność w domu była dzisiejszej nocy

125

P. D. JAMES

rzeczą krytycznie ważną. Sprawdziła, że zostało mu zaledwie pół butelki whisky. Jej nieobecność potrwa najwyżej około czterdziestu minut, gdyby więc wybuchł pożar — przed którym lęk odziedziczyła chyba po matce — ojciec będzie jeszcze na tyle trzeźwy, żeby uratować Anthony'ego i bliźniaczki.

Lekko pocałowała go w policzek — kłujący, roztaczający znajomy zapach whisky, terpentyny i potu — on natomiast jak zwykle podniósł rękę i delikatnie zmierzwił jej włosy. Był to jedyny gest wyrażający uczucie, na jaki ostatnio pozwalał sobie wobec niej. Nie spuszczał przy tym oczu ze starego biało-czarnego ekranu na którym, w przerwach pomiędzy falami śnieżyca, przepływały dobrze znajome niedzielne twarze. Wiedziała, że pod żadnym pozorem nie wtargnie do sypialni, którą dzieliła z Anthonym, ledwie zamkną się jej drzwi. Od chwili śmierci matki nigdy nie wchodził do sypialni Theresy, nocą czy za dnia. No i dostrzegła różnicę w jego stosunku do siebie, prawie teraz formalnym; było tak, jakby w ciągu niewielu krótkich tygodni osiągnęła pełnię kobiecości. Radził się jej jak osoby dorosłej w sprawie zakupów, posiłków, ubrań dla bliźniaczek, nawet problemów z furgonetką. Jednego wszakże tematu nie poruszał nigdy: śmierci matki Theresy.

Jej wąskie łóżko stało dokładnie pod oknem. Gdy uklękła nad nim i delikatnie rozsunęła zasłony, do pokoju wsączył się blask księżyca, odnajdując kąty, kładąc na łóżku i drewnianej podłodze smugi zimnego, tajemniczego światła. Drzwi do małego sześciennego pokoiku na froncie chaty, w którym sypiały bliźniaczki, były otwarte; wszedłszy przez nie spojrzała najpierw z góry na dwa przytulone do siebie pod kołdrą kłębuszki, a potem pochyliła się, wsłuchana w ich regularne oddechy. Dziewczynki będą spały kamiennym snem do samego rana. Zamknęła drzwi i wróciła do siebie. Anthony leżał swoim zwyczajem na wznak z rozrzuconymi po żabiemu nóżkami, główką przechyloną na bok i rączkami uniesionymi wysoko do góry, jakby próbował uchwycić drążki łóżeczka. Zdołał się rozkopać, delikatnie więc naciągnęła na niego koc. Impuls, by pochwycić go w ramiona, był tak silny, że niemal bolesny. Zamiast tego jednak opuściła barierkę łóżeczka i na moment przytuliła twarz do główki brata. Spał jak po środku nasennym, miał wydęte wargi i wyobrażała sobie jego wywrócone oczy pod delikatnie żyłkowanymi błonkami powiek.

Wróciwszy do swego łóżka, wpełchnęła pod koc dwie poduszki i nadała im kształt z grubsza przypominający ciało. Szanse, iż do sypialni zajrzy ojciec, były praktycznie zerowe, gdyby jednak miało

126

INTRYG I ŻĄDZE

nastąpić nieprawdopodobne, otworzywszy drzwi nie zobaczy przynajmniej pustego łóżka.

Wymacała pod nim niewielki brezentowy chlebak, w którym zawczasu przygotowała niezbędne przedmioty: pudełko zapalek, białą prostą świeczkę, ostry scyzoryk i latarkę kieszonkową. Potem wdrapała się na łóżko i otworzyła okno.

Cały przyładek kapał się w srebrzystej poświacie, którą tak z matką podziwiały. Wszystko uległo magicznemu przeistoczeniu: skalne złomy unosiły się nad nieruchomym dywanem traw na kształt zgniecionych kawałków aluminiowej folii, a zaniedbany żywopłot na końcu ogrodu był tajemniczą gęstwą, utkaną z cienkiej świetlistej przędzy. Dalej zaś, jak jedwabny szal, leżało bezbrzeżne,

gładkie morze. Oczarowana stała przez chwilę oddychając szybko i zbierając siły, a potem zsunęła się z parapetu na płaski dach przybudówki. Pokrywały go kamienne płytki i Theresa posuwała się z bezgraniczną ostrożnością, czując przez podeszwy trampek ich chropawą powierzchnię. Dach tkwił zaledwie sześć stóp nad ziemią, więc za pomocą rynny spuściła się bez trudu na dół i chyłkiem pobiegła przez ogród za szopę pełniącą funkcję pracowni malarskiej — do murszejacej kleci, gdzie trzymali z ojcem rowery. W przenikającym przez otwarte drzwi blasku księżycy jakoś udało jej się wymanewrować swój rower, potem poprowadziła go przez trawnik, a wreszcie, aby uniknąć korzystania z furtki, wystawiła na zewnątrz przez dziurę w żywopłocie. Dopiero kiedy dotarła do wykopu, którym biegły niegdyś tory kolejki przybrzeżnej, ośmieliła się wskoczyć na siodełko i podskakując na nierównym trawiastym terenie zaczęła pedałowac na północ, ku pasmu sosen i ruinom opactwa.

Stare tory przebiegały za wstęgą sosen, obrastających wybrzeże, w tym jednak miejscu wykop był znacznie płytszy i przypominał zaledwie lekkie wgłębienie. Nieco dalej teren wyrównywał się zupełnie i nic, nawet gnijące podkłady, nie wskazywało, którędy biegł szlak tej nadbrzeżnej kolejki, wożącej na letnie wakacje nad morzem dziewiętnastowieczne rodziny z ich wielkimi skórzanymi kuframi, niańkami, szpadelkami i wiaderkami. Niespełna dziesięć minut później Theresa jechała już po otwartej części przylądka. Wyłączyła reflektor, zsiadła, żeby rozejrzeć się, czy w okolicy nie ma nikogo, a potem ruszyła ponownie w stronę morza po wyboistym gruncie.

Przed jej oczyma pojawiło się pięć lśniących w blasku księżycy arkad zrujnowanego opactwa. Przystanęła na chwilę i patrzyła w ciszy. Sprawiały wrażenie eterycznej, nierealnej igraszki światła, która rozplynie się pod dotknięciem. Czasem, gdy jak teraz przychodziła tu gwiazdzistą lub księżycową nocą, to uczucie było tak silne, że wyciągała ramię, aby dotknąć kamieni, i doznawała szoku, przekona-

127

P. D. JAMES

wszy się o ich chropawej twardości. Oparła rower o niski murek i przez coś, co niegdyś było zapewne wielkimi zachodnimi wrotami, weszła do serca opactwa. Jej matka mawiała: „Chodź, porozmawiajmy z mnichami” — i wsiadały wówczas na rowery, aby później, w wymownym milczeniu, krążyć wśród zrujnowanych arkad lub przystanąwszy tam, gdzie był kiedyś ołtarz, trzymając się za ręce słuchać dokładnie tego samego, co słyszeli ci dawno zmarli mnisi: melancholijnego pomruku morza. To tu, jak wiedziała Theresa, jej matka lubiła się modlić najbardziej — tu, na jałowej, erodującej od wieków ziemi, nie zaś w szpetnym ceglany budynku za wioską, gdzie przyjeżdżający raz w tygodniu ojciec McKee celebrował niedzielną mszę. Brakowało jej spotkań z ojcem McKee, tęskniła za jego żarcikami, za jego zabawnym irlandzkim akcentem. Od śmierci matki jednak odwiedzał ich rzadko i nigdy nie był mile widziany. Pamiętała tę ostatnią króciutką wizytę i słowa ojca McKee, gdy tata odprowadzał go do drzwi: — Jej droga matka, wieczne odpoczywanie, byłaby zapewne pragnęła, aby Theresa regularnie uczestniczyła we mszy świętej i chodziła do spowiedzi. Pani Stoddard-Clark chętnie po nią wpadnie w przyszłą niedzielę, potem moglibyśmy ją wziąć na lunch do Stowarzyszenia Farmerów. Czyż nie byłoby to dla dziecka atrakcyjne?

Potem odpowiedź ojca: — Jej matki nie ma już wśród nas. Ten wasz Bóg uznał za stosowne pozbawić Therese matki. Tess w tej chwili sama podejmuje decyzje. Pójdzie na mszę, jeśli będzie miała na to nastrój; pójdzie do spowiedzi, kiedy będzie się miała z czego spowiadać.

Trawa, poprzerastana długimi zielskami i uschniętymi kwiatami, była tu tak wysoka, grunt zaś tak wyboisty, że musiała stapać z największą ostrożnością. Przeszła pod najwyższą arkadą, gdzie kiedyś wielkie okno na wschód odprawiało swe lśniące witrażowe czary, a teraz — przemienione w pusty oczodół — dawało widok na połyskujące morze i sunący ponad jego falami księżyc. Tu, bardzo cicho, przyświecając sobie latarką, przystąpiła do pracy. Ruszyła wzdłuż ściany ze scyzorykiem w dłoni, szukając dużego, płaskiego kamienia, który posłuży za podstawę jej ołtarza. Znalazła odpowiedni po kilku minutach i obluźowała go ostrzem. W szczelinie, którą zasłaniał, coś się kryło: głęboko wciśnięty kawałek kartoniku. Wyjęła go i rozłożyła. Była to połowa kolorowej pocztówki, przedstawiającej Opactwo Westminsterkie; z łatwością rozpoznała słynne bliźniacze

wieże. Na drugiej stronie dostrzegła kilka zdań, których nie mogła odczytać w wąłym świetle księżycy, nie będąc zresztą szczególnie ciekawa ich treści. Poczta sprawiła wrażenie dość nowej, skoro jednak stempel z datą był zamazany, nie potrafiłaby powiedzieć, jak

128

INTRYG I ŻĄDZE

długo tu leży. Być może od lata; być może znalazła się tutaj podczas zabawy w poszukiwanie skarbów. Nie przejmowała się i, zajęta bez reszty swoim zadaniem, nawet nie interesowała. Może to sekretna wiadomość z rodzaju tych, jakie jej koleżanki ze szkoły podrzucały sobie w szopie na rowery albo wsuwały do kieszonek swetrów. Zawahała się przez moment, zaczęła rwać pocztówkę, potem jednak ją wygładziła i ostrożnie położyła na miejsce.

Posuwając się dalej wzdłuż ściany, znalazła jeszcze jeden odpowiedni kamień i kilka mniejszych do podparcia świecy. Niebawem ołtarz był gotów. Zapaliła świeczkę; syk pocieranej zapalki zabrzmiał nienaturalnie głośno, a nagły rozbłysk światła niemal ją oślepił. Nakapała stearyny na kamień, wetknęła świecę w miniaturową kałużę i podparła mniejszymi kamykami. Wówczas usiadła po turecku i wbiła wzrok w równy płomyk. Wiedziała, że matka przyjdzie, niewidzialna, ale zdradzająca swą obecność, niema, lecz mówiąca wyraźnie. Musi tylko czekać cierpliwie, nie spuszczać oczu z płomienia świecy.

Usiłowała oczyścić duszę z wszystkiego, oprócz pytań, które zamierzała zadać. Lecz śmierć matki była zbyt niedawna, wspomnienia zbyt bolesne, aby można było odciąć im drogę do myśli. Mama nie chciała umierać w szpitalu i tatuś jej obiecał, że nie umrze. Theresa słyszała, jak wyszeptuje zapewnienia. Wiedziała jednak, że tak doktor Entwhistle, jak i pielęgniarka rejonowa są temu przeciwni. Były pewne fragmenty rozmów, których nie powinna słyszeć, które jednak, kiedy skrywała się w kącie pomiędzy schodami a dębowymi drzwiami prowadzącymi do salonu, dochodziły jej uszu tak wyraźnie, jakby stała przy łóżku matki.

— Naprawdę, potrzebuje pani całodobowej opieki, pani Blaney, a jest to znacznie więcej, niż mogę zapewnić. No i w szpitalu będzie pani miała lepsze warunki.

— Tu też mam dobre warunki. Mam Ryana i Theresę. A także państwa. Wszyscy jesteście dla mnie tak dobrzy. Nie potrzebuję nikogo innego.

— Robię, co mogę, ale dwie wizyty dziennie nie wystarczą. Stawia pani zbyt wielkie wymagania wobec pana Blaneya i Theresy. Łatwo powiedzieć, że ją pani ma, ale ona liczy dopiero piętnaście lat.

— Chcę być z nimi. Chcę, żebyśmy byli razem.

— A jeśli się przestraszą... to dla dzieci ciężkie doświadczenie. A potem ten łagodny, nieprzejednany głos, cienki i mocny jak liana, zabarwiony upartym egoizmem umierających. — Nie przestraszą się. Jak można sądzić, że pozwolimy, by się przestraszyły? W narodzi-

9 Intrygi i żądze

129

P. D. JAMES

nach i śmierci, jeżeli zostały przedstawione dziecku we właściwym świetle, nie ma nic przerażającego.

— Są rzeczy, pani Blaney, których nie da się przedstawić nawet w najlepszym świetle, rzeczy, których można doświadczyć.

I ona, Theresa, robiła co mogła, by przekonać wszystkich, że idzie im doskonale, że potrafią dać sobie radę. Uciekała się do drobnych wybiegów. Przed przybyciem siostry Pollard i doktora kapała bliźniaczki, ubierała je w czyste sukienki, zmieniała Athony'emu pieluchę. Było ważne, aby lekarz i pielęgniarka nie odnieśli wrażenia, iż tata stracił panowanie nad sytuacją. Pewnej soboty upiekła bułeczki i z powagą roznosiła je dokoła na ich najlepszym, ulubionym talerzu mamy, który ozdabiały delikatnie namalowane róże, a na obrzeżu miał otwory do przeciągnięcia sznurka. Doskonale pamiętała zakłopotanie na twarzy doktora Entwhistle, kiedy mówił:—Nie, dziękuję, Thereso, może nie teraz.

— Ależ proszę się poczęstować. Tatuś je upiekł.

A wychodząc, rzucił do jej ojca: — Może pan umie to znosić, Blaney, bo ja wcale nie jestem pewien, że potrafię...

Zdawało się, że tylko ojciec McKee zauważa jej starania. Ojciec McKee, który mówił tak bardzo podobnie do tych Irlandczyków z komediowych programów telewizyjnych, że sądziła, iż robi to dla kawału, i zawsze próbowała wynagrodzić go śmiechem.

— No, no, czyż nie doprowadziłaś tego domu do błysku? Sama Najświętsza Panienka mogłaby jeść z podłogi. Bułeczki? Pewnie tata upiekł, co? Wyśmienite! Wezmę jedną na później. Teraz bądź dobrą dziewczuszką i zrób mi filiżankę herbaty, a ja tymczasem pogawędzę z twoją mamą.

Próbowała nie myśleć o nocy, kiedy zabrano mamę: o tych okropnych jękach, które w pierwszej chwili kazały jej myśleć, że pewnie w okolicy domu włóczy się jakieś zdychające zwierzę; o chwili, gdy uświadomiła sobie, że te jęki wcale nie dochodzą z dworu; o nagłym przerażeniu; o stojącej w drzwiach postaci ojca, który zabraniał jej wychodzić i nakazywał pilnować rodzeństwa; o tym, jak czując na sobie wystraszone spojrzenia bliźniaczek, patrzyła z okna frontowej sypialenki na przyjazd karetki pogotowia; o dwóch mężczyznach z noszami; o tej ucichłej teraz, okrytej kocem sylwetce, unoszonej ścieżką ogrodową. To wtedy zbiegła na oślep po schodach i niemal rzuciła się w zamykające jej drogę ramiona ojca.

— Lepiej nie, lepiej nie. Zabierzcie ją do środka.

Nie była pewna, kto wypowiedział te słowa. A potem była już wolna, pędziła za karetką, która zawracała na placu przy końcu drogi

130

INTRYG I ŻĄDZE

dojazdowej, tłukła pięściami w zatrzaśnięte drzwi. Pamiętała, jak ojciec wziął ją na ręce i zaniósł do chaty. Pamiętała jego siłę, zapach i szorstkość jego koszuli, swoje wymachujące bezsilnie ramiona.

Nigdy więcej nie widziała matki. Tak oto Bóg odpowiedział na jej modlitwy i modlitwy matki, która, prosząc zwykle o tak niewiele, pragnęła tylko zostać w domu. I bez względu na to, co mógłby powiedzieć ojciec McKee, nigdy Bogu nie wybaczy.

Chłód wrześnie nocy przenikał przez jej dżinsy i bluzę; Theresę zaczynał boleć kark. Po raz pierwszy poczuła iskierkę wątpliwości. A potem, w drzeniu płomyka świecy, była z nią matka. Wszystko w porządku.

Miała tak wiele problemów. Pieluchy Anthony'ego. Jednorazowe są drogie i niewygodnie je ze sobą nosić, bo zajmują dużo miejsca, no i tata chyba nie zdaje sobie sprawy, ile kosztują. Matka odparła, że powinna używać pieluch z tetry, które można prać. Poza tym bliźniaczki nie lubią pani Hunter, a przecież pani Hunter wozi je do ogniska opieki dziennej. Bliźniaczki muszą być uprzejme wobec pani Hunter, bo pani Hunter bardzo się stara. Jest ważne, szczególnie dla tatusia, żeby nadal uczęszczały do ogniska. Theresa musi im to powiedzieć. Dalej tatuś. Tak wiele jest do powiedzenia na jego temat. Rzadziej teraz chodzi do pubu, ponieważ nie lubi zostawiać ich samych, ale w domu zawsze jest whisky. Matka odparła, że nie należy się tym przejmować. Tatuś potrzebuje teraz whisky, lecz wkrótce wróci do malowania i będzie pił znacznie mniej. Jeżeli jednak upija się, a Theresa znajdzie w domu drugą butelkę, powinna ją wylać. Nie musi się bać, że tatuś będzie zły; na nią nigdy nie będzie.

Rozmowa bez słów trwała i trwała, a Theresa, siedząc jak w transie, patrzyła na dopalającą się powoli świecę. I nagle nie było już nic. Matka odeszła. Przed zdmuchnięciem świeczki Theresa zeskrobała scyzorykiem rozlaną stearynę; to ważne, by nie pozostał żaden ślad. potem wsunęła kamienie na ich miejsca w murze. Teraz ruiny mogły jej już zaoferować wyłącznie chłodną pustkę. Czas wracać do domu.

Znienacka ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Wydawało się niemożliwe, aby nogi zdołały ją donieść do miejsca, gdzie zostawiła rower, a co dopiero mówić o pedałowaniu po wyboistym gruncie! Nie wiedziała, jaki impuls kazał jej przejść przez wyrwę wschodniego okna i stanąć na krawędzi klifu. Może potrzeba zebrania sił, może pragnęła, spoglądając na rozświetlone księżycem lustro wody, jeszcze na chwilę wrócić pamięcią do zakończonej rozmowy z matką. Zamiast tego jednak duszą Theresy owładnęło zupełnie inne wspomnienie, całkiem świeże, bo datujące się zaledwie z minionego popołudnia, a przy tym

tak przerażające, że nie ośmieliła się wspomnieć o nim nawet matce. Na widok czerwonego samochodu, mknącego z nadmierną prędkością drogą dojazdową, zawołała dzieci z ogrodu, zapędziła je na górę i zatrzasnęła drzwi do salonu. Potem jednak stanęła przy nich i zaczęła nasłuchiwać. Odnosiła wrażenie, iż nigdy nie zapomni ani jednego słowa z tej rozmowy. Najpierw głos Hilary Robarts: — Ten dom był zupełnie nieodpowiedni dla ciężko chorej kobiety, która musiała jeździć kawał drogi na radioterapię. Wynajmując go, zapewne już wiedziałeś o jej chorobie. Prowadzenie tego domu było ponad jej siły'.

I odpowiedź ojca: — A ty, jak sądzę, doszłaś do wniosku, że po jej śmierci wszystko się tu rozsypie. Ile dawałaś jej miesięcy? Udawałaś troskę, ona jednak doskonale wiedziała, o co ci chodzi. Patrzyłaś, jak z tygodnia na tydzień traci na wadze, jak spod skóry, rakowej skóry, coraz bardziej sterczą kości... Więc przyglądałaś się tym jej nadgarstkom jak zapalki i myślałaś sobie: „To już niedługo”. Ten dom był dla ciebie cholernie dobrą inwestycją. Zainwestowałaś w jej śmierć i zrobiłaś piekło z ostatnich tygodni jej życia.

— To nieprawda. Nie zwalaj na mnie swojej winy. Musiałam tu przyjeżdżać, bo były rzeczy, które powinnam obejrzeć. Ten zaciek w kuchni, te dziury w dachu. Przypuszczalnie chciałeś, żebym je sobie obejrzała. Byłeś zawsze pierwszy, żeby przypomnieć mi o moich obowiązkach właścicielki. Jeśli się nie wyniesiesz, będę musiała wystąpić o podwyżkę czynszu. To, co płacisz, jest czysto symboliczne i nie pokrywa nawet kosztów napraw.

— Spróbuj. Wystartuj do lokalowej komisji rozjemczej. Niech tu przyjedzie i sama wyciągnie wnioski. Może i nieruchomości należy do ciebie, ale to ja ją zajmuję i regularnie płacę komorne. Nie możesz mnie wysiadać, nie jestem taki głupek.

— Płacisz komorne, ale jak długo jeszcze będziesz mógł je płacić? Dawałeś sobie jakoś radę, kiedy jeszcze uczyłeś na pół etatu, ale teraz jesteś, moim zdaniem, bez szans. Zapewne uważasz się za artystę, a w gruncie rzeczy jesteś tandetnym pacykarzem, który produkuje landszafty dla niewybrednych turystów, bardziej ceniących czwar-torzędny oryginał niż pierwszorzędną reprodukcję. Ale towarek nie sprzedaje się już tak dobrze, prawda? Te cztery akwarelki od tygodni sterczą na wystawie u Ackwortha i powoli brązowieją. Nawet turyści zaczynają w dzisiejszych czasach wybrzydzać. Nie wystarczy dać niską cenę, żeby wepchnąć komuś byle gnój.

Bliźniaczki, zniecierpliwione karcerem, zaczęły się awanturować i Theresa musiała pobiec na górę, by im powiedzieć, że to już niedługo

INTRYGI I ŻĄDZE

i nie powinny wychodzić, dopóki jest tu wiedźma. Potem ostrożnie ruszyła na stanowisko, ale wystarczyło tym razem zejść na czwarty stopień. Ojciec wrzeszczał.

— Chcę wiedzieć, czy to ty nasłałaś na nas tę babę, tę cholerną opiekunkę społeczną z rady gminnej, która przy laźla tu na przeszpiegi i wypytywała dzieciaki na mój temat. Nasłałaś ją? Głos wiedźmy był opanowany, ale Theresa słyszała każde słowo: — Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Może zrobiłam to ja, może ktoś inny. Tak czy owak, był już najwyższy czas.

— Na Boga, i czyż ty nie jesteś wredna? Zrobiłabyś wszystko, byle pozbyć się z chaty mnie i moich dzieci. Cztery lata temu takie, jak ty, paliło się na stosie. Zabiłbym cię, gdyby nie dzieciaki. Ale nie skazę ich na tak zwany sierociniec tylko dla satysfakcji złapania cię za gardło. Tylko, na rany Boskie, nie wódz mnie na pokuszenie, nie wódz! Zabieraj się z mojego domu i mojej ziemi. Bierz swój czynsz i dziękuj Bogu, że możesz go brać żywa. I już nigdy nie wtrącaj się w moje życie. Nigdy, ale to nigdy.

Wiedźma odparła: — Nie histeryzuj. Groźby i przemoc to jedyne, na co cię stać. Gdyby twoje dzieci trafiły pod opiekę państwa, byłaby to najszcześniejsza rzecz w ich życiu. Och, przypuszczam, że miałbyś mnie ochotę zabić. Typki twojego pokroju zawsze reagują na rozsądne argumenty pogróżkami i siłą. Zabij mnie, a możesz mieć pewność, że przez piętnaście najbliższych lat twoimi dziećmi będzie opiekować się państwo. Jesteś śmieszny i żalony.

I wreszcie odpowiedź ojca, nie wykrzyczana teraz, lecz tak cicha, że z najwyższym trudem zdołała

ułowić słowa: — Jeśli cię zabiję, nikt nie tknie ani mnie, ani moich dzieci.

Ta sytuacja, przeżyta na nowo, obudziła w Theresie gniew, gniew natomiast przywrócił jej siły. Teraz zdoła się uporać z powrotną jazdą do domu. No i naprawdę czas już się zbierać.

Wtedy dostrzegła, że plaża nie jest już pusta. Theresa zadrzała jak szczenię i wycofała się do kryjówki lukowego okna. Na północ od niej, prawie naga, biegła ku morzu z zarosłego sosnami wzniesienia kobieta z rozwianymi ciemnymi włosami. I krzyczała, triumfalnie krzyczała.

Tą kobietą była wiedźma, Hilary Robarts.

P. D. JAMES 2

Hilary zjadła wczesną kolację. Nie była głodna, a mimo to wyjęła z zamrażarki i podgrzała w piekarniku francuską bułeczkę, następnie zaś usmażyła sobie omlet ziołowy. Pozmywała i ogarnęła w kuchni, wyciągnęła z neseseru dokumenty, a wreszcie usiadła przy stole w salonie. Miała sporządzić opracowanie na temat skutków reorganizacji dla swojego działu: uporządkować i czytelnie zestawić cyfry, sformułować logiczne i dobrze brzmiące argumenty na rzecz takiej a nie innej koncepcji nowego podziału obowiązków. Przywiązywała dużą wagę do tego zadania i w normalnych okolicznościach wypełniałaby je z zadowoleniem. Zdawała sobie sprawę, że nie jest ideałem jeśli chodzi o płaszczyznę stosunków międzyludzkich, w sferze jednak organizacyjnej i administracyjnej nic jej nie można było zarzucić. Tasując papiery zastanawiała się, jak bardzo — i czy w ogóle — będzie jej brakować tej pracy, kiedy jako żona Aiexa znajdzie się w Londynie. Ze zdumieniem stwierdziła, że wcale to jej, w gruncie rzeczy, nie obchodzi. Tę część życia uznała za bezpowrotnie zamkniętą i będzie o niej myśleć bez żalu: o tej sterylnej chacie, która nigdy nie była, bo i być nie mogła, jej domem, o elektrowni, nawet o pracy. Nowe życie będzie zupełnie odmienne: stanowisko Aiexa, jej pozycja żony wielkiego człowieka, kontakty towarzyskie, utrzymywane we właściwy sposób z właściwymi ludźmi, trochę starannie wybranych ochotniczych zajęć, podróże. No i będzie jeszcze dziecko, jego dziecko.

To przytłaczające pragnienie posiadania dziecka spotężniało jeszcze w ciągu minionego roku, tym intensywniejsze, im bardziej słabło fizyczne zainteresowanie Aiexa jej osobą. Usiłowała sobie wmówić, że romans, jak małżeństwo, nie może zawsze przebiegać na najwyższych tonach skali seksualnej czy emocjonalnej, że w zasadzie nic się pomiędzy nimi nie zmieniło i tak naprawdę nie zmieni. Jak wielkie w początkach związku było zaangażowanie fizyczne i uczuciowe? Cóż, dostatecznie duże, jak na jej ówczesne wymagania; nie chciała wówczas więcej, niż mógł jej zaoferować, poprzestając na swojej części wzajemnie satysfakcjonującej wymiany przyjemności, na prestiżu, jaki niósł status jego półoficjalnej konkubiny, na starannym maskowaniu się, gdy byli we dwoje w większym towarzystwie, maskowaniu, które — ani w gruncie rzeczy konieczne, ani udane — dla niej przynajmniej było naładowane potężną dawką erotyzmu. Takie właśnie były zasady toczonej przez nich gry: niemal formalne przywitania przed konferencjami albo w obecności nieznanym i dwie wizyty tygodniowo, jakie

134

INTRYG I ŻĄDZE

składał w jej chacie. Po swoim przyjeździe do Larksoken zaczęła się rozglądać za nowoczesnym mieszkaniem w Norwich i rzeczywiście przez pewien czas wynajmowała taki lokal w pobliżu centrum miasta. Kiedy jednak nawiązał się romans, musiała zamieszkać bliżej Aiexa, więc znalazła sobie dom letni, położony o niespełna ćwierć mili od Chaty Męczennicy. Alex, jak wiedziała, był zbyt dumny i arogancki, żeby zakradać się do niej nocą jak napalony nastolatek. Żadne jednak poniżające preteksty nie okazywały się konieczne; przyłodek był zawsze opustoszały. Przy czym nigdy nie zostawał u niej na noc. Oszczędne dawkowanie towarzystwa stanowiło bodaj główny element całego związku. W miejscach publicznych zachowywali się jak koledzy. Alex zawsze zniechęcał do konfidencji i łatwego kumplostwa, na „ty” przechodził tylko z najbliższymi współpracownikami. W elektrowni panowała taka dyscyplina, jak na okręcie w czasie wojny. Romans jednak, rozpoczęty z taką dyscypliną, z taką powściągliwością uczuciową i towarzyską, zaowocował chaosem, tęsknotą i cierpieniem. Hilary sądziła, że potrafi określić moment, kiedy pragnienie dziecka zaczęło przeradzać się w obsesję. Było to wówczas, kiedy pielęgniarka zabiegowa z tej drogiej i dyskretnej kliniki, prawie nie starając się ukryć dezaprobaty i niesmaku

wynosiła naczynie w kształcie nerki zawierające galaretowatą bryłkę tkanki, która była płodem. Wyglądało to tak, jak gdyby jej złupione aborcją łono wywierało akt zemsty. Nie umiała ukryć swej tęsknoty przed Aiexet, chociaż wiedziała, że w ten sposób zraza go do siebie. Pamiętała swój głos — dziki, piskliwy, głos natrętnego dziecka — i jego wygląd: rozbawiony i wyrażający udaną trwogę, która jednak, jak wiedziała Hilary, kryła autentyczną odrazę.

— Chcę mieć dziecko.

— Nie patrz tak na mnie, najdroższa. To jedyny eksperyment, którego nie mam ochoty powtarzać.

— Ty masz dziecko — zdrowe, żywe, udane. Twoje nazwisko, twoje geny będą miały kontynuację.

— Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Charles istnieje dla siebie.

Usiłowała wyleczyć się z obsesji perswazją, narzucając swojej sfiksowanej duszy rozmaite nieprzyjemne wizje: zarwane noce, smród, nieustanne obowiązki, ograniczenie wolności, coraz mniej czasu dla siebie, ujemny wpływ na karierę. Nic z tego. Reagowała intelektualnie na potrzebę, wobec której intelekt był bezsilny. Chwilami zastanawiała się, czy przypadkiem nie popada w szaleństwo. I nie umiała zapanować nad swymi snami, w szczególności jednym. Rozpro-

135

P. D. JAMES

mieniona pielęgniarka w fartuchu i maseczce umieszcza w jej ramionach nowo narodzone dziecko; Hilary spogląda na maleńką twarzyczkę, spokojną już, ale jeszcze pobrużdżoną męką wydzierania się na świat. A potem siostra, sposepniała nagle, podbiega, by wyrwać jej zawiniątko.

— To nie jest pani dziecko, panno Robarts! Tamto wrzuciliśmy do toalety, nie pamięta pani?

Alex nie potrzebował więcej potomstwa. Miał syna, swoją żywą — jakkolwiek niepewną — nadzieję na zastępczą nieśmiertelność. Mógł być rodzicem kiepskim i ledwie dziecku znanym — a jednak był rodzicem. Trzymał w ramionach swoje własne dziecko. Bez względu na to, co usiłował po sobie pokazywać, nie było to dlań sprawą błahą. Charles odwiedził ojca minionego lata; złotobrazowy ogorzały olbrzym o masywnych nogach, który — wydawało się dziś — jak meteor przemknął przez elektrownię, oczarowując żeńską część personelu swoim amerykańskim akcentem i hedonistycznym urokiem. Hilary zorientowała się, że Alex jest zaskoczony i lekko zbity z tropu dumą/ jaką budzi w nim syn, co zresztą niezręcznie usiłował zamaskować toporną krotocwilnością.

„Gdzie jest ten młody barbarzyńca? Pływa? Po Laguna Beach nasze Morze Północne niemile go zaskoczy”.

„Mówił mi, że się wybiera na prawo w Berkeley. Jak rozumiem, po dyplomie ma zaklepane miejsce w firmie nowego tatusia. W następnej kolejności Liz poinformuje mnie zapewne, że zaręczył się z jakąś studentką. Z odpowiednich sfer, rzecz jasna”.

„A tak nawiasem mówiąc, to usiłuję go karmić. Alice zostawiła mi przepis na hamburgery.

Wszystkie półki w lodówce są nabite mieloną wołowiną. Jego zapotrzebowanie na witaminę C wydaje się nienormalnie wysokie, nawet jak na chłopca jego wzrostu i wagi. Nieustannie wyciskam sok z cytryn”.

Hilary wiała się jak piskorz w mieszaniu żaźnienia i niechęci; duma i infantylne poczucie humoru tak bardzo nie pasowały do charakteru Aiexa, że wydawały się w jego zachowaniu czymś poniżającym. Mogłoby się nieomal zdawać, że uroda chłopca oczarowała w jednakowym stopniu i ojca, i urzędniczki. Alice Mair wyjechała do Londynu dwa dni po przybyciu Charlesa. Hilary zastanawiała się, czy był to wybieg, aby umożliwić ojcu i synowi jak najdłuższe przebywanie tylko ze sobą, czy też — wersja bardziej prawdopodobna, sądząc z tego, co wiedziała lub czego domyślała się o Alice Mair — niechęć do gotowania chłopcu i przyglądania się żenującym eksplozjom uczuć rodzicielskich Aiexa.

136

INTRYG I ŻĄDZE

Znów pomyślała o jego ostatniej wizycie, kiedy po przyjęciu u siostry odprowadził ją do domu. Z premedytacją udawała, że nie ma ochoty na jego towarzystwo, odprowadził ją jednak, o co jej od początku chodziło. Kiedy skończyła mówić, stwierdził spokojnie: — To wygląda jak ultimatum.

— Nie użyłabym takiego określenia.
— A zatem jakiego? Szantaż?
— Po tym wszystkim, co zaszło między nami, nazwałabym to sprawiedliwością.
— Pozostaniemy jednak przy „ultimatum”. „Sprawiedliwość” to termin zbyt pompatyczny na określenie tej transakcji handlowej, do jakiej miałyby dojść między nami. I jak każde ultimatum musi zostać rozważone. Ustala się zwykle nieprzekraczalny termin. Jaki jest twój?
— Kocham cię — odparła. — Na tym nowym stanowisku będziesz potrzebował żony. Jestem dla ciebie właściwą kandydatką. Uda nam się. Zrobię wszystko, żeby się udało. Dam ci szczęście.
— Nie wiem, ile szczęścia potrafię przełknąć. Prawdopodobnie więcej, niżby mi przysługiwało. Ale nie ma go w żadnym podarku, jaki mógłbym otrzymać od kogokolwiek. Ani od Alice, ani od Charlesa, ani od Elizabeth, ani od ciebie. Nigdy nie było.
Podszedł do niej i lekko pocałował w policzek. Próbowła się do niego przytulić, ale delikatnie ją odsunął.
— Pomyślę o tym.
— Chciałabym ogłosić nasze zaręczyny jak najszybciej.
— Mam nadzieję, że nie myślisz o ślubie kościelnym. Kwiecie pomarańczy, druhny, marsz Mendelssohna i tak dalej.
— Nie myślę o tym, żeby ośmieszyć którekolwiek z nas, teraz czy po ślubie. Znasz mnie przecież dobrze.
— Rozumiem, szybka bezbolesna egzekucja w miejscowym urzędzie stanu cywilnego. Przekażę ci swoją decyzję w przyszłą niedzielę wieczorem, po powrocie z Londynu.
— W twoich ustach to brzmi tak oficjalnie — powiedziała.
On zaś odparł: — Ale przecież odpowiedź na ultimatum musi być oficjalna, prawda?
Ożeni się z nią i w ciągu trzech miesięcy pojmie, że postąpił słusznie. Ona wygra, ponieważ w tej sprawie jej wola jest silniejsza niż jego. Przypomniała sobie słowa ojca: „Masz tylko jedno życie, dziewczusko, ale przynajmniej możesz je przeżyć tak, jak ci się podoba. Tylko głupi i słabi wybierają los niewolników. Ty masz zdrowie, urodę, rozum. Możesz zdobyć, co zechcesz. Potrzebujesz jedynie odwagi i woli”. Sukinsyny omal go pod koniec nie dopadły, ale jednak

137
P. D. JAMES

przeżył to swoje życie tak, jak mu się podobało. Ona pójdzie za jego przykładem.

Spróbowała odsunąć od siebie myśli o Aiexie i ich wspólnej przyszłości, żeby móc skoncentrować się na pracy. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Roztrzęsiona wewnątrz, przeszła przez kuchnię do małego saloniku na tyłach, gdzie trzymała swoje wina, i przyniosła butelkę klaretu. Wyjęła z kredensu pucharek i napełniła go. Upijając pierwszy łyk, poczuła w kąciku warg lekkie drażnienie. Nie znosiła wyszczerbionych naczyń. Instynktownie wyjęła drugi pucharek i przelała do niego zawartość pierwszego. Miała go właśnie wrzucić do pojemnika, gdy zawahała się, przyciskając już pedał. Był jednym z liczącego sześć sztuk kompletu, który dostała w prezencie od Aiexa. Defekt, przedtem nie zauważony, był minimalny: zaledwie mały występ na krawędzi. Będzie można wykorzystać pucharek do kwiatów: przebiśniegów, pierwiosnków, młodych gałązek rozmarynu. Dopiero gdy wypiła wino, wypłukała oba naczynia i ułożyła w suszarce do góry dnem, żeby obciekły. Nie zakorkowaną butelkę klaretu pozostawiła na stole. Był jeszcze za zimny, ale za pół godziny będzie w sam raz.

Było parę minut po dziewiątej, czas na pływanie; uznała, że dzisiaj wieczorem nie warto sobie zwracać głowy wiadomościami. Na górze, w sypialni, rozebrała się do naga, nałożyła majteczki od czarnego dwuczęściowego kostiumu, a na nie czarno-biały dres. Na stopach miała stare sandały o paskach przebarwionych i zeszywniałych od morskiej wody. Z kołka w sieni zdjęła zawieszony na rzemyku stalowy medalionik, w którym podczas pływania trzymała swój yalowski klucz. Był to również prezent od Aiexa, który dostała na ostatnie urodziny. Dotknąwszy go, uśmiechnęła się, przepelniona nadzieją równie mocną jak metal. Potem wyjęła z szuflady latarkę, dokładnie zamknęła drzwi i z przewieszonym przez ramię ręcznikiem ruszyła w stronę plaży.

Poczuła zapach żywicy jeszcze zanim znalazła się pomiędzy wysmukłymi, kłującymi pniami sosen. Od plaży dzieliło ją zaledwie pięćdziesiąt jardów piaszczystej ścieżki, usłanej ich martwymi igłami. Było tu ciemniej, księżyc — żeglujący majestatycznie ponad wierzchołki drzew — to pojawiał się, to ginął, na kilka więc sekund musiała zapalić latarkę. Wreszcie wyszła z mroku i ujrzała przed sobą wstęgę plaży, a za nią łagodnie rozedrgane Morze Północne. Upuściwszy ręcznik w stałym miejscu — małej kotlinie na obrzeżu zagajnika — zdjęła dres i wyrzuciła ramiona wysoko nad głowę. Potem kopnięciem pozbyła się sandałów i ruszyła biegiem: przez wąski pas drobnych kamyków, przez niedosiężną dla fal strefę sypkiego piasku, po kobiercu piany, przez bezgłośnie rozkołysaną płyciznę — by rzucić

138

INTRYG I ŻĄDZE

się wreszcie w oczyszczający spokój. Zimno, dokuczliwe jak ból, sprawiło, że na chwilę straciła oddech. To uczucie jednak, jak zawsze, minęło niemal natychmiast i Hilary odniosła wrażenie, iż wodzie jakimś niepojętym sposobem udziela się ciepło jej ciała i że płynie spowita w ochronny kokon. Mocnym rytmicznym kraulem zaczęła oddalać się od brzegu. Wiedziała, jak długo może płynąć: pięć minut. Potem zimno zaatakuje ponownie i trzeba będzie wracać. Zatrzymała się i odwróciła na wznak, by popatrzeć na księżyc. Magia nie zawiodła i tym razem. Frustracje, lęki, gniew opadały z niej, ustępując miejsca uczuciu szczęścia, które zapewne nazwałaby ekstazą, gdyby słowo „ekstaza” nie było w odniesieniu do tego cudownego uspokojenia zbyt ostentacyjne. Ze szczęściem zaś przyszedł optymizm. Wszystko będzie dobrze. Pozwoli Neilowi Pascoe pomęczyć się jeszcze przez tydzień, a potem wycofa pozew. Szkoda na takie zero nawet jej nienawiści. No i adwokat miał rację, przejęcie Chaty Żeglarza może poczekać. Dom zyskuje na wartości z miesiąca na miesiąc. Nic przecież nie traci, bo komorne wpływa regularnie. A te codzienne irytacje, związane z pracą, te zawodowe zawiści, niechęci — jakież teraz mają znaczenie? Ta część jej życia dobiega kresu. Kochała Aiexa, Aiex kochał ją. Doceni sens wszystkiego, co mu powiedziała. Wezmą ślub. Urodzi mu dziecko. Wszystko było możliwe. A potem przyszedł jeszcze głębszy spokój wewnętrzny, w którym nic już nie miało znaczenia. Było tak, jakby woda zmyła z niej te banalne doczesne troski i Hilary zamieniła się w niematerialną zjawę, którą — unosząc się w powietrzu i spoglądając z góry na swe rozkrzyżowane w blasku księżyca ciało — odczuwa łagodną, bezinteresowną litość dla tej ziemskiej istoty, odnajdującej tylko w obcym sobie żywiole cudowne lecz chwilowe uspokojenie.

Ale trzeba już było wracać. Mocno odbiła się nogami, zrobiła nawrót i swoim dynamicznym kraulem ruszyła w stronę brzegu, w stronę tego bezgłośnego obserwatora, który czekał na nią w gęstym mroku drzew.

3

Dalgliesh poświęcił niedzielny poranek na odwiedzenie katedry w Norwich i kościoła St. Peter Mancroft, następnie zaś pojechał na lunch do restauracji na przedmieściu, gdzie dwa lata temu zjedli z ciotką bezpretensjonalny, lecz doskonale przyrządzony posiłek. Czas

139

P. D. JAMES

jednak wycisnął swoje piętno. Z zewnątrz i od środka lokal zalecał się zwodniczym podobieństwem, rychło jednak Dalgliesh doszedł do przekonania, że zmienił się i właściciel, D kucharz. Lunch, podany podejrzenie szybko, został najwyraźniej ugotowany gdzie indziej i na miejscu tylko podgrzany. Wątróbka z rusztu okazała się żylastym ochłapem niemożliwego do zidentyfikowania szarego mięsa, oblanego galaretowatym syntetycznym sosem; do tego zaserwowano twarde ziemniaki i kalafiorową papkę. Nie był to posiłek zasługujący na wino i przed przystąpieniem do realizacji popołudniowej części programu

— wizyty w Salle, w piętnastowiecznym kościele Św. Piotra i Pawła

— Dalgliesh poprawił sobie samopoczucie tylko czedarem i krakersami.

Rzadko się zdarzało, by odwiedziwszy ciotkę w ciągu minionych czterech lat nie pojechał z nią do Salle; w testamencie zostawiła zresztą zapis, że jej prochy mają przez Dalgliesha osobiście zostać rozrzucone bez żadnych ceremonii na tamtejszym cmentarzyku. Wiedział, iż kościół wywierał na

nią potężny wpływ, ale wiedział jednocześnie, że nie była kobietą religijną i to ostatnie życzenie trochę go zaskoczyło. Można by się było raczej spodziewać, że poleci mu rozrzucić swoje prochy na cztery wiatry z przyładka bądź też — postrzegając rzecz jako banalną czynność porządkową, nie wymagającą ani przemyśleń z jej strony, ani ceregieli z jego — nie pozostawi żadnych instrukcji. Teraz jednak miał do spełnienia misję, i to misję, ze swego punktu widzenia, zaskakująco ważną. W ostatnich tygodniach nawiedzało go dojmujące poczucie winy, że oto zaniedbał istotnego obowiązku, że — bez mała

— zapomniał o prześlągnięciu ducha. Stwierdzał ze zdziwieniem, zresztą nie po raz pierwszy w życiu, jak natrętna jest ludzka potrzeba rytuału, potwierdzania formalnym obrzędkiem wszelkich punktów krytycznych i granicznych. Może, doskonale to rozumiejąc, ciotka w typowy dla siebie dyskretny sposób stwarzała mu szansę zaspokojenia tej potrzeby.

Zjechał w Felthorpe z Bi 149 na jedną z wiejskich dróg, przecinających płaski teren. Nie musiał spoglądać na mapę. Wspaniała piętnasto-wieczna wieża z czterema kopułami była doskonałym punktem orientacyjnym i zmierzał ku niej prawie pustymi drogami, mając znajome uczucie powrotu do domu. Nie mógł przy tym pozbyć się zdziwienia, że kanciasta postać ciotki nie spoczywa w sąsiednim fotelu, że wszystkim, co pozostało po tej tajemniczej, lecz silnej osobowości, jest zaskakująco ciężki plastikowy pakunek z grubym białym proszkiem. Dotarłszy do Salle, zaparkował jaguara nieco dalej, niż było trzeba, i piechotą cofnął się do kościoła. Jak zawsze, uderzył go fakt, iż ta

140

INTRYGII I ŻĄDZE

świątynia, w niczym nie ustępująca majestatem katedrze, stoi na takim pustkowiu, a jednocześnie pośród cichych pól jest najzupełniej na miejscu i tylko zamiast majestatu właśnie, rozciąga aurę krzepiącego spokoju. Przez kilka minut stał nieruchomo i nasłuchiwał, ale nie usłyszał nic, nawet śpiewu ptaka czy szelestu owadów w wysokiej trawie. W kruchym blasku słońca okoliczne drzewa lśniły pierwszym złotem jesieni. Zakończono już orkę i brązowa spękana skorupa pól rozciągała się po najdalszy horyzont. Czując w kieszeni ciężar pakunku, obszedł kościół dookoła, rad, że trafił między nabożeństwa; zastanawiał się przy tym, czy przed wypełnieniem woli ciotki nie należałoby z grzeczności, a może nawet obowiązku, poprosić proboszcza o zgodę. Pragnąc jednak oszczędzić sobie wyjaśnień i komplikacji, uspokoił skrupuły stwierdzeniem, że jest już za późno, by o tym myśleć. Idąc ku wschodniemu obrzeżu cmentarzyka, otworzył paczkę i ronił na ziemię zmielone kości jak obiatę. Krótki srebrzysty błysk i oto wszystko, co pozostało z Jane Dalglish, rozsypało się wśród uschniętych jesiennych łodyg. Znał zwyczajowe słowa na taką okazję, bo dostatecznie często słyszał je z ust ojca, teraz jednak — nieproszone — przyszły mu do głowy zupełnie inne. Pomyślał, że w tym miejscu, trwającym w dostojnym cieniu wielkiego kościoła na marginesie czasu, wryte w kamieniu na ścianie Chaty Męczennicy wersety z Eklezjasty nabierają jeszcze większej głębi.

Zachodnie drzwi były nie zamknięte i przed wyjazdem z Salle spędził w kościele piętnaście minut, witać się ze starymi znajomymi: płaskorzeźbami na stallach — wieśniakami, kapłanem, zwierzętami, ptakami, smokiem, pelikanem karmiącym młode; średniowieczną amboną, która po pięciuset latach wciąż nosiła ślady oryginalnego ornamentu malarskiego: parawanem prezbiterium; wielkim oknem wschodnim, które niegdyś skrzyło się czerwonym, zielonym i błękitnym przepychem średniowiecznego witrażu, teraz jednak wpuszczało do środka tylko czyste światło dnia. Gdy lekko zatrząskiwały się za nim drzwi, rozmyślał, kiedy tu powróci następnym razem i czy w ogóle powróci.

Do domu dotarł dopiero wczesnym wieczorem. Ponieważ lunch okazał się nie tyle sycący, co zapychający, był mniej głodny, niż przypuszczał, poprzestał zatem na podgrzaniu resztek wczorajszej zupy, którą uzupełnił biskwitami, serem i owocami. Potem rozpałił ogień, usiadł przed kominkiem na niskim krześle i słuchając koncertu skrzypcowego Elgara, przystąpił do porządkowania zdjęć ciotki. Wyjmował je z wyblakłych kopert i układał na niskim mahoniowym stoliku. Była to czynność sprzyjająca uczuciu lekkiej melancholii,

141

P. D. JAMES

z której niekiedy wyrywało go ukłucie bólu, spowodowanego jakimś podpisem na odwrocie, jakąś rozpoznaną twarzą czy wydarzeniem. Elgar dostarczał przy tym bardzo odpowiedniego podkładu muzycznego; smętne tony przywodziły na myśl te długie, gorące edwardiańskie lata, znane mu tylko z powieści i wierszy, ten spokój, pewność siebie i optymizm Anglii, w której przyszła na świat jego ciotka.

Było tam również zdjęcie jej narzeczonego; w kapitańskim mundurze wyglądał absurdalnie młodo. Fotografia, datowana czwartego maja 1918, została zrobiona na tydzień przed jego śmiercią. Dalgliesh ze skupieniem wpatrywał się przez moment w tę przystojną, dobroduszną młodą twarz — która, Bóg świadkiem, widziała już wówczas niejedno okropieństwo — ale nie zdołał wyczytać z niej nic. Na odwrocie dostrzegł kilka słów, wypisanych ołówkiem po grecku. Młody człowiek miał studiować w Oksfordzie filologię klasyczną, a ciotka nauczyła się greki od ojca. Ponieważ jednak Dalgliesh nie znał greckiego, sekretowi narzeczonych z jego strony nie groziło nic, a wkrótce miał pozostać bezpieczny już na zawsze. Dłoń, która nakreśliła te blaknące słowa, była martwa od siedemdziesięciu lat; umysł, który je stworzył — od dwóch tysięcy.

W tej samej kopercie była jeszcze fotografia ciotki, zapewne ta, którą wysłała narzeczonemu na front lub dała przed wyruszeniem na wojnę. Na jednym z rogów widniała czerwono-brązowa plama, zapewne krwi. Być może zdjęcie odesłano razem z resztą przedmiotów osobistych. Ciotka, ubrana w długą spódnicę i bluzkę zapiętą pod samą szyję, uśmiechała się; jej włosy, rozczesane jak skrzydła, były upięte na skroniach. Zawsze, przez wszystkie te lata, uważał jej twarz za dystygowaną — teraz dostrzegł w niej piękno. Umarła już i ten fakt pozwolił mu na oglądactwo, które za jej życia oboje traktowałiby jako coś odrażającego. A przecież nie zniszczyła zdjęć. Będąc realistką, musiała wiedzieć, że w końcu spoczną na nich czyjeś inne oczy. A może późna starość, w miarę jak dusza dystansuje się od intryg i żądz ciała, wyzwala człowieka z okowów małostkowej próżności i zadufania? Miał irracjonalne opory, niemal uczucie, że dopuszcza się zdrady, gdy w końcu cisnął obie fotografie w ogień i patrzył, jak zwijają się, czernieją, a wreszcie obracają w popiół.

A co miał począć z tą rzeszą anonimowych osób — z kobietami o wielkich biustach i twarzach ocienionych rondami olbrzymich kapeluszy, dźwigających piętrowe kompozycje z wstęg i kwiatów, i mężczyznami w pumpach — z tymi wycieczkami rowerowymi, z tymi weselami, gdzie państwo młodzi byli niemal niewidoczni z za monstrualnych bukietów, a najważniejsi uczestnicy biesiady, ugrupowani

142

INTRYG I ŻĄDZE

wedle czytelnej hierarchii, wpatrywali się w obiektyw aparatu, jak gdyby trzask przesłony mógł choć na sekundę zatrzymać i zniewolić czas, głosząc ważność przynajmniej tego rytuału przemiany, który wiąże ze sobą nieodwracalną przeszłość i nieodgadniona przyszłość? Jako dorastający chłopak miał obsesję na punkcie czasu. Przez całe tygodnie, które poprzedzały letnie wakacje, doznawał triumfalnego uczucia, że ma czas w garści, że może mu powiedzieć: „Gnaj sobie, jak chcesz, a wakacje nadejdą szybciej. Albo, jeśli musisz, mijaj wolniej, tylko że wtedy letnie dni potrwają dłużej”. Teraz, osiągnąwszy wiek średni, nie znał żadnego wynalazku, żadnej obiecanej, przyjemności, która mogłaby spowolnić lub zatrzymać turkot kół tego rydwanu.

Było tam również jedno jego zdjęcie, zrobione przez ojca w ogrodzie plebanii; jakiś nieznany chłopczyk, śmieszny w swoim mundurku szkoły podstawowej — czapce i pasiastym swetrze — stojąc prawie na baczność patrzył w obiektyw, jak gdyby w ten sposób stawiał czoło okropności porzucenia domu rodzinnego. I to unicestwił z zadowoleniem.

Kiedy koncert dobiegł końca, a w butelce ubyło połowę klaretu, zsunął pozostałe fotografie na stosik, schował je w szufladzie biurka, i postanowił przed pójściem do łóżka otrząsnąć się z melancholii dziarską przechadzką nad morzem. Noc była zbyt cicha i piękna, aby należało ją trwonić na nostalgię i daremne żale. W powietrzu panował niezwykle spokój i nawet szum morza — bladego, tajemniczego bezmiaru pod księżycem w pełni i szamerunkiem z gwiazd — wydawał się przytłumiony. Dalgliesh postąpił przez chwilę pod godzącymi w niebo skrzydłami wiatraka, a

potem żwawo ruszył na północ; trzy kwadransy później, minawszy pas sosen, postanowił zejść na plażę. Kiedy zsunął się po piaszczystym stoku, ujrzał przed sobą do połowy zaryte w piasku wielkie kanciaste bryły żelbetu, z których na kształt dziwacznych anten sterczały poskręcane, rdzewiejące pręty. Blask księżyca, dorównujący siłą ostatnim promieniom zachodzącego słońca, zmienił fakturę plaży i wydawało się, że każde ziarnko piasku jest oświetlone z osobna, każdy kamyk — tajemniczy i jedyny w swoim rodzaju. Nagle Dalgliesh doznał dziecięcej pokusy zanurzenia stóp w wodzie. Zdjął pospiesznie buty, które, związane za sznurowadła, zawiesił sobie na szyi, oraz skarpetki, które z kolei wepchnął do kieszeni kurtki. Po pierwszym użądleniu zimnem, woda zdawała się mieć temperaturę ciała i rozchlapując ją radośnie, maszerując po wąskim pasie, dzielonym przez morze i ląd. Chwilami przystawał i jak za dziecięcych czasów spoglądał przez ramię na swoje ślady. Dochodził już do zagajnika sosen; biegła tamtędy, jak wiedział, wąska ścieżka,

143

P. D. JAMES

która mijając chatę Hilary Robarts i ciągnęła się aż do drogi. Był to najprostszy sposób wydostania się na górę, chyba że miałby ochotę wdrapywać się dalej ku południowi na sypkie zbocze. Usiadłszy na skraju pasa kamyków jał się borykać ze starym problemem wszystkich wielbicieli przechadzek bosą brzegiem morza: jak, mając do dyspozycji jedną małą chusteczkę do nosa, oczyścić stopy i miejsca pomiędzy palcami z uporczywie trzymającego się skóry ostrego piasku. Uporawszy się wreszcie z zadaniem, nałożył skarpetki i buty, a potem po kamykach ruszył w stronę urwiska.

Kiedy osiągnął strefę sypkiego piasku w wyższej części plaży, dostrzegł, że ktoś tu przed nim był: na lewo ciągnęła się podwójna linia śladów, pozostawionych przez bosa stopy biegnącego człowieka. Oczywiście, Hilary Robarts. Zapewne swoim zwyczajem przyszła wieczorem popływać. Z nie uświadamianego nawyku zwrócił uwagę na ostrość śladów. Hilary musiała zejść z plaży niemal półtorej godziny temu, a przecież w tę bezwietrzną noc wgłębienia wciąż były tak wyraziste, jakby zrobiono je zaledwie kilka chwil temu. Ścieżka była tuż przed nim: z zalanej blaskiem księżyca plaży prowadziła w gęstniejący pomiędzy drzewami mrok. Noc nagle zrobiła się ciemniejsza, gdy niska, czarnogranatowa chmura o wysrebrzonych strzępiastych krawędziach, całkowicie przysłoniła księżyc.

Dalgliesh włączył latarkę i skierował na ścieżkę snop światła, który wyłowił z mroku jakiś białawy błysk: mogła to być płachta gazety, chusteczka do nosa, papierowa torba. Wiedziony lekką ciekawością, zszedł ze ścieżki, żeby sprawdzić. Wówczas ją zobaczył. Miał wrażenie, iż wykrzywiona twarz skacze ku niemu, a potem jak wizja z koszmarnego snu nieruchomo zawisa w powietrzu. Skamieniał na moment, porażony szokiem, w którym niedowierzanie, rozpoznanie i zgroza złączyły się ze sobą, by na jedną sekundę wprawić jego serce w obłądny galop. Leżała na zgniecionych łądogach trzcinnika w zagłębieniu na tyle płytkim, że nie zasługiwało na miano kotlinki, a zarazem dostatecznie głębokim, by rosnąca na krawędziach trawa prawie do ostatniej chwili zasłaniała ciało przed wzrokiem Dalgliesha. W prawo od niej — a także częściowo pod nią — widniał pasiasty niebiesko-czerwony ręcznik, nad nim zaś para schludnie ustawionych sandałów, latarka i coś, co sprawiało wrażenie starannie złożonego czarno-białego dresu. Zapewne właśnie jego róg zwrócił najpierw uwagę Dalgliesha.

Leżała na wznak, głową w jego stronę; wywrócone martwe oczy zdawały się mu słać ostatnie nieme błaganie. Pod górną wargę wciśnięto skąpą kępkę włosów, obnażając przy tym zęby, co nadawało

144

INTRYG I ŻĄDZE

tworzy podobieństwo do pyszczka zagniewanego królika. Na policzku spoczywał jeden czarny włos i Dalgliesh doznał prawie nieprzeparłej pokusy, by uklęknąć i delikatnie go zdjąć. Miała na sobie tylko majteczki od czarnego kostiumu bikini, które zostały ściągnięte do połowy ud. Doskonale dostrzegał miejsce, skąd wycięto włosy. Litera L, widoczna dokładnie na środku czoła — dwie cienkie linie, spotykające się pod kątem prostym — sprawiała wrażenie wykonanej z wielką uwagą.

Pomiędzy mlecznobiałymi przy opalanej skórze ramion, rozplaszczonymi piersiami o sterczących sutkach spoczywał, zawieszony na łańcuszku, metalowy medalionik w kształcie klucza. Kiedy dokonywał oględzin, powoli omiatając ciało światłem latarki, chmura odsłoniła księżyc i nagle dostrzegł wszystko tak wyraźnie, jak w dzień: bezkrwiste nagie członki, dorównujące wypłowiałą błądzącością piaskom plaży.

Uodpornił się na potworności; niewiele było manifestacji ludzkiego okrucieństwa, przemocy czy też rozpacz, które by już nie przewinęły się przed jego doświadczonym okiem. Zbyt wrażliwy, aby na jakąkolwiek ofiarę mordu patrzeć z gruboskórną obojętnością, tylko jednak raz, przy okazji swojej ostatniej sprawy, doznał z tego powodu wstrząsu. A przecież na Paula Berowne'a był mentalnie przygotowany. Z kolei teraz po raz pierwszy w życiu omal się nie potknął o zamordowaną kobietę. Gdy na nią patrzył, analizował w duszy różnice pomiędzy reakcją eksperta, który — wezwany na miejsce zbrodni — wie, czego się spodziewać, a tym nagłym szokiem zetknięcia z ostateczną formą przemocy. Interesowała go nie tylko ta różnica, lecz również chłodny dystans, z jakim potrafi ją rozważać.

Uklęknął i dotknął uda. Wydawało się lodowato zimne i sztuczne, jak nadmuchany przedmiot gumowy. Gdyby dźgnął mocniej, z pewnością pozostałby ślad. Ostrożnie przeczesał palcem włosy. Były wilgotne przy skórze, ale suche na końcach. Noc, jak na wrzesień, była ciepła. Spojrzał na zegarek: 10.33. Przypomniał sobie, jak ktoś mu mówił — choć nie pamiętał kto i kiedy — że miała zwyczaj kąpać się po dziewiątej. Oznaki fizyczne potwierdzały, iż najprawdopodobniej nie żyła od niespełna dwóch godzin.

Na piasku nie widział żadnych śladów, prócz swoich i jej.

Lecz trwał już odpływ; kulminacja przyływu musiała przypaść na dziewiątą, jakkolwiek suchość piasku w górnej części plaży zdawała się wskazywać, że nie sięgnął on kotlinki, w której leżały zwłoki. Najprawdopodobniej morderca przyszedł tą samą drogą, co ofiara: ścieżką przez zagajnik. Drzewa dawały mu tam osłonę i wtedy, gdy się podkładał i później — kiedy czekał i obserwował. Grunt, wyścielony

10 Intrygi i żądze

145

P. D. JAMES

materacem uschniętych igieł, „zapewne nie zachował żadnych śladów, było jednak ważne, aby pozostawić go w stanie pierwotnym. Zachowując ostrożność, Dalgliesh cofnął się od zwłok, a potem skrajem pasa drobnych kamyków przeszedł jakichś dwadzieścia jardów na południe. Tu — pochylony, przyświecając sobie latarką i łamiąc kruche przyziemne gałązki — jął się przebijać pomiędzy rosnącymi gęsto sosnami. Miał przynajmniej pewność, że nikt ostatnio tędy nie przechodził. Po kilku minutach osiągnął drogę; dziesięć następnych i szybkim marszem dotrze do młyna. Najbliższy telefon był jednak w domu Hilary Robarts, który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, jest zamknięty. Dalgliesh nie miał zamiaru się włamywać — pozostawienie w stanie nietkniętym mieszkania ofiary było równie ważne, jak ostrożność na miejscu zbrodni. Z drugiej jednak strony koło zwłok nie było torebki — tylko sandały, latarka, dres i częściowo przyciśnięty ciałem czerwono-niebieski ręcznik kąpielowy. Może zatem klucz został w domu i drzwi są otwarte. Na przyłaskę niewiele osób zwracałoby sobie głowę zamykaniem drzwi na pół godziny. Warto poświęcić pięć minut, żeby to sprawdzić.

Tymiankowa Chata, dostrzegalna z okien młyna, zawsze wydawała się Dalglieshowi najmniej interesującym budynkiem w okolicy. Zwrócony frontem w stronę łądu sześcienny surowy dom z kamiennym dziedzińcem zamiast ogrodu miał nowoczesne okna weneckie, skutecznie niweczące wszelki niedzisiejszy wdzięk — jeśli kiedykolwiek takowy posiadał — i nadające mu wygląd jednego z tych nowomodnych potworków, które od biedy mogą ujść w podmiejskim osiedlu, ale są całkiem nie na miejscu na takim pustkowiu. Otaczające go z trzech stron sosny rosły tak blisko, że dotykały gałęziami ścian. Dalgliesh zastanawiał się od czasu do czasu, jaki argument, prócz wygodnej bliskości do elektrowni, sprawił, że Hilary Robarts zdecydowała się tu zamieszkać.

Odpowiedź, jak mu się zdawało, znalazł podczas przyjęcia u Alice Mair.

Na parterze paliły się wszystkie światła, to znaczy jaśniał wielki prostokąt sięgającego niemal do

ziemi okna z lewej strony domu, i mniejszy — kuchennego, jak zgadywał Dalgliesh — z prawej. W zwykłych okolicznościach byłyby krzepiącą oznaką życia, normalności i schronienia przed atawistycznymi lękami, uśpionymi w gęstwie drzew i skąpanej w blasku księżyca pustce przyłądka. Teraz jednak te jasne prostokąty bez zasłon tylko powiększyły podenerwowanie Dalgliesha, który zbliżając się do chaty odnosił wrażenie, że na kształt nie do końca wywołanej odbitki pomiędzy nim a oknami unosi się wizerunek tej martwej i splugawionej twarzy.

146

INTRYG I ŻĄDZE

Ktoś tu przed nim był. Kiedy przesadził niski kamienny murek, spostrzegł, że szyba w wielkim oknie została prawie całkowicie wybita, a na kamieniach dziedzińca małe odłamki szkła skrzę się jak brylanty. Stał i zajął do jasno oświetlonego pokoju. Wykładzinę pokrywał migocący kobierzec większych i mniejszych fragmentów szkła. Było jasne, że w okno uderzono z zewnątrz i Dalgliesh zobaczył natychmiast, czym się posłużono. Na podłodze leżał portret Hilary Robarts. Został przecięty niemal do blejtramu dwiema liniami, które stykając się pod kątem prostym, tworzyły literę L.

Nawet nie próbował klamki, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Było znacznie ważniejsze, aby niczego tu nie ruszać, aniżeli zaoszczędzić dziesięć czy piętnaście minut, wzywając policję z domu Hilary Robarts. Ona już nie żyła. Szybkość była istotna, lecz nie była decydująca. Wrócił na drogę i to szybkim marszem, to biegiem, skierował się w stronę wiatraka. Wówczas usłyszał samochód; odwróciwszy się, zobaczył światła, zbliżające się ku niemu z dużą prędkością od północy. Było to BMW Aiexa Maira. Dalgliesh wyszedł na środek drogi i machnął latarką. Samochód zwolnił i przystanął. Dalgliesh zajął przez uchyloną szybę z prawej strony i zobaczył wybieloną blaskiem księżyca twarz Maira, który wpatrywał się weń z poważnym skupieniem, jak gdyby ich spotkanie miało charakter formalny.

Dalgliesh powiedział: — Mam dla ciebie niedobre nowiny. Hilary Robarts została zamordowana. Przed chwilą znalazłem zwłoki. Muszę się dostać do telefonu.

Dłonie, spoczywające lekko na kierownicy, zacisnęły się, a potem rozluźniły. W oczach załśniła czujność. Kiedy jednak Mair się odezwał, mówił z opanowaniem. Tylko to mimowolne stężenie rąk zdradziło jakiegokolwiek uczucia.

— Świstun? — zapytał.

— Na to wygląda.

— Mam telefon w wozie.

Nie mówiąc nic więcej otworzył drzwi, wysiadł i stał w milczeniu obok auta, gdy Dalgliesh przez dwie irytujące minuty usiłował dodzwonić się do biura Rickardsa. Nie zastał nadinspektora, ale zostawił wiadomość i rozłączył się. Tymczasem Mair odszedł może trzydzieści jardów, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce mieć z całą tą procedurą nic wspólnego, i wpatrywał się w rozmigotane światełka elektrowni.

Teraz wrócił i powiedział: — Wszyscyśmy ją ostrzegali przed tymi samotnymi kąpielami, ale nie chciała słuchać. Tylko że w gruncie rzeczy nie wierzyłem, iż może jej cokolwiek grozić. Zapewne tak

147

P. D. JAMES

właśnie myślą wszystkie ofiary, a potem jest już za późno. „To się nie może przydarzyć akurat mnie”. Może jednak i przytrafia się. A jednak to niezwykle, prawie nie do uwierzenia. Druga ofiara z Larksoken. Gdzie ona jest?

— Na skraju zagajnika — tam, jak przypuszczam, gdzie zwykle chodziła się kąpać.

Gdy Mair uczynił ruch jakby zamierzał pójść w stronę morza, Dalgliesh rzekł: — Ty nic nie możesz pomóc. Ja pójdę i zaczekam na policję.

— Wiem, że nic nie mogę pomóc. Ale chcę ją zobaczyć.

— Lepiej nie. Im mniej ludzi kręci się na miejscu przestępstwa, tym lepiej.

Mair gwałtownie zwrócił się ku niemu. — Rany boskie, Dalgliesh, czy ani na moment nie potrafisz wyjść ze skóry policjanta? Powiedziałem, że chcę ją zobaczyć.

Dalgliesh pomyślał: nie ja prowadzę tę sprawę i nie mogę zatrzymywać go siłą. Mogę jednak dopilnować, żeby nie zatarł śladów na ścieżce.

Nie oponując dłużej, odwrócił się i ruszył przodem. Skąd ta natarczywość, żeby zobaczyć zwłoki? — myślał. Aby przekonać się, że jest naprawdę martwa, z typowego dla naukowca pragnienia, by zweryfikować i potwierdzić? A może po prostu usiłuje osłabić ten horror, o którym wie, że w wyobraźni bywa straszniejszy niż w rzeczywistości? Czy wreszcie wchodzi w grę jakaś głębsza motywacja, potrzeba złożenia jej hołdu tą krótką chwilą spędzoną w ciszy i samotności nad jej ciałem, zanim z całym instrumentarium oficjalnego śledztwa przybędzie policja, aby na zawsze już pogwałcić każdy intymny sekret, jaki ze sobą dzielili?

Mair przyjął bez komentarza fakt, że Dalgliesh sprowadził go na południe z ubitej ścieżki wiodącej ku morzu; później, również w milczeniu, podążał za nim w ciemności pomiędzy strzelistymi grotami sosen. Światło latarki wylawiało z mroku kruche gałązki, obłamane przez Dalgliesha podczas marszu w przeciwną stronę, kobierzec igieł sosnowych przykurzony piaskiem, starą powgniataną puszkę. Ciemności zdawały się intensyfikować mocny żywiczny zapach, który atakował ich nozdrza z agresywnością narkotyku i sprawiał, że płuca wciągały powietrze z takim samym trudem, jak w parną noc najgorętszych dni lata.

Kilka minut później wyszli z dezorientujących mroków w biały chłód plaży i ujrzeli przed sobą przywodzący na myśl wypukłą tarczę z kutego srebra — obłany księżycem przepych morza. Stali przez

148

INTRYG I ŻĄDZE

chwile ramię przy ramieniu, łapiąc z trudem oddech, jak gdyby mieli za sobą długą ciężką przeprawę. Ślady Dalgliesha były wciąż widoczne w sypkim piasku powyżej pasa kamyków; idąc po nich dotarli do zwłok. Nie chcę tu być, pomyślał Dalgliesh; nie w jego towarzystwie, nie w takich okolicznościach; nie chcę, byśmy obaj gapili się bezkarnie na jej nagość. Miał wrażenie, że w tym zimnym wybielającym świetle jego zmysły są nadnaturalnie wyostrome. Poblądłe członki, aureola ciemnych włosów, jaskrawa czerwień i błękit ręcznika kąpielowego, kępki trzcinnika — to wszystko miało dwuwymiarową wyrazistość kolorowego zdjęcia. Nie miał nic przeciwko niezbędnemu czuwaniu przy zwłokach do czasu przybycia policji; był przyzwyczajony do mało absorbującego towarzystwa ludzi niedawno zmarłych. Ale mając u boku Maira, czuł się jak podglądacz. To powodowany odrazą raczej niż delikatnością odsunął się nieco i wbił wzrok w ciemność pomiędzy sosnami, odnotowując jednak każdy ruch i oddech wysokiej, sztywnej sylwetki, która przypatrywała się zwłokom ze skupioną uwagą chirurga.

Potem Mair powiedział: — Ten medalion, który ma na szyi... dostała go ode mnie dwudziestego dziewiątego sierpnia na urodziny. Jest w sam raz na przechowywanie jej yałowskiego klucza. Zrobił mi go na zamówienie jeden ze ślusarzy z warsztatów w Larksoken. Wykonują tam zdumiewająco precyzyjne elementy.

Dalgliesh, mając sporą wiedzę o rozmaitych sposobach, jakimi manifestuje się szok, nie odpowiedział nic. Głos Maira zabrzmiał nagle gardłowo: — Rany boskie, Dalgliesh, czy nie moglibyśmy jej przykryć?

Czym? — pomyślał Dalgliesh. Chyba nie sądzi, że wyrwę spod niej ręcznik? Powiedział: — Nie, wybacz. Nie powinniśmy ruszać ciała.

— Ależ to robota Świstuna. Dobry Boże, człowieku, to się rzuca w oczy. Sam mówiłeś.

— Świstun jest takim samym mordercą jak inni. Przynosi coś ze sobą na miejsce zbrodni i coś na nim zostawia. To coś może być dowodem. Jest człowiekiem, nie zaś żywołem.

— Kiedy przyjedzie policja?

— Zapewne niedługo. Nie zdołałem złapać Rickardsa, ale mieli się z nim skontaktować. Ja poczekam, ale ty już idź, jeśli chcesz. Nic tu po tobie.

— Zostanę, dopóki jej nie zabiorą.

— To może oznaczać długie oczekiwanie, chyba że zdołają szybko sprowadzić patologa.

— Więc będę czekać długo.

149

P. D. JAMES

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i powędrował na brzeg morza; jego ślady wykreśliły linię równoległą do śladów Dalglisha. Dalglish podszedł do pasa kamyków i usiadł z ramionami wokół kolan, obserwując wysoką sylwetkę kroczącą bez chwili przerwy tam i z powrotem samym skrajem fal. Wszelkie dowody, jeśli jego buty mogłyby jakichkolwiek dostarczyć, zostały bezpowrotnie usunięte. Absurdalna myśl. Żaden morderca nie piętnował swych ofiar wyraźniej niż Świstun. Lecz wobec tego skąd ten wewnętrzny niepokój, to przecucie, że sprawa nie jest tak prosta, jak mogłoby się zdawać?

Wygodnie usadowił się na drobnych kamykach, przygotowując się do dłuższego czekania. Chłodny blask księżyca, nieustanny szum fal i świadomość, że kilka kroków od niego sztywnieje martwe ciało, pogrążyły go w lekkiej melancholii, skłaniającej do zadumy nad śmiertelnością człowieka, w tym jego własną śmiertelnością. *Timor tñortis conturbat me*. Pomyślał: w młodym wieku potrafimy podejmować szaleńcze ryzyko, ponieważ śmierć nie jawi się nam jako perspektywa realna. Młodość mija opancerzona w poczucie nieśmiertelności. Dopiero na wieku średnim kładzie się cieniem wiedza o epizodycznej naturze życia. A lęk przed śmiercią, jakkolwiek irracjonalny, jest przecież najzupełniej zrozumiały, bez względu na to, czy postrzegamy ją jako ostateczne unicestwienie, czy też rytuał przeistoczenia. Każda komórka ciała została zaprogramowana do życia; wszystkie zdrowe istoty trzymają się życia kurczowo, do ostatniego tchu. Jakże trudno zaakceptować to przynoszące wszak wielką ulgę stopniowe pojmowanie faktu, że uniwersalny wróg może w końcu przybyć jako przyjaciel. Może na tym właśnie polega w części urok jego zawodu: że proces śledczy przydaje dostojęstwa indywidualnej śmierci — nawet śmierci osób najszpetniej szych i najnikczem-niejszych — odzwierciedlając w swym rozległym zainteresowaniu przesłankami i motywami odwieczną fascynację człowieka zagadką jego śmiertelności, a przy tym stwarzając wygodną iluzję świata moralnego, w którym możliwe jest pomszczenie krzywdy, wymierzenie sprawiedliwości i przywrócenie ładu. W istocie wszelako nic nie zostaje przywrócone, a już na pewno życie, jedyna zaś wymierzona sprawiedliwość jest ułomną sprawiedliwością ludzką. Źródła fascynacji zawodem leżały nie tylko w wyzwaniach intelektualnych, jakich dostarczał, bądź też poręcznej pretekstowości dla rygorystycznego egzekwowania rozdziału życia służbowego od prywatnego, na którym mu tak bardzo zależało. Teraz odziedziczył majątek dostatecznie duży, by rzucić pracę. Czy to właśnie miała na myśli ciotka, sporządzając swój kategoryczny testament? Czy mówiła w istocie: oto

150

INTRYG I ŻĄDZE

masz dość pieniędzy, by wszystkie siły poświęcić poezji? Czy nie czas już, by dokonać wyboru? Nie on prowadził tę sprawę. I nigdy nie będzie jej prowadzić. Z nawyku jednak sprawdzał czas, jaki zajmie policji dotarcie na miejsce przestępstwa; pierwszy szelest w zagajniku sosnowym usłyszał po trzydziestu pięciu minutach. Szli trasą, jaką im zasugerował, czyniąc przy tym masę zgielku. Pierwszy pojawił się Rickards, mając u boku młodszego od siebie, mocno zbudowanego mężczyznę, za nimi zaś w nierównych odstępach wyłoniło się spomiędzy drzew czterech solidnie obładowanych funkcjonariuszy w mundurach. Wstając na ich powitanie, Dalglish odniósł wrażenie, iż ma do czynienia z grupą ogromnych kosmitów o kwadratowych, nienaturalnie bladych twarzach, którzy dźwigają rekwizyty tyleż masywne, co niebezpieczne dla środowiska. Rickards skinął głową, ale odezwał się tylko po to, by przedstawić swojego sierżanta. Młody osiłek nazywał się Stuart Oliphant.

Razem zbliżyli się do zwłok i stanęli, wpatrzni w coś, co kiedyś było Hilary Robarts. Rickards oddychał ciężko jak po wyczerpującym biegu, emanując, w poczuciu Dalglisha, jakąś niezwykłą energią i podnieceniem. Oliphant i czterej pozostali funkcjonariusze położyli na ziemi sprzęt i przystanęli w niewielkiej odległości. Dalglish nie potrafił oprzeć się wrażeniu, iż wszyscy razem są aktorami na planie filmowym, czekającymi na klaps albo też okrzyk reżysera „cięcie!”, po którym rozejdą się niespiesznie, ofiara zaś przeciągnie się, usiądzie i rozcierając członki zacznie narzekać na zeszywnienie i zimno.

Po chwili, nie spuszczając oczu ze zwłok, Rickards zapytał: — Czy pan ją zna, panie Dalglish?

— Hilary Robarts, pełniąca obowiązki kierownika administracyjnego w Elektrowni Jądrowej Larksoken. Poznałem ją dopiero w miniony czwartek na przyjęciu wydanym przez pannę Mair. Rickards odwrócił się i spojrział w stronę Maira, który stał na brzegu tyłem do morza, ale tak blisko linii wody, że — zdaniem Dalgliessa — fale na pewno omywały jego buty. Nie uczynił najmniejszego ruchu, aby do nich podejść; wydawało się, że czeka na zaproszenie lub też sądzi, iż Rickards podejdzie do niego.

— To doktor Alexander Mair — wyjaśnił Dalgliess. — Jest dyrektorem Elektrowni Larksoken. Wezwałem was przez telefon z jego samochodu. Powiada, że poczeka do chwili zabrania zwłok.

— Więc poczeka sobie ładny kawał czasu. A zatem to doktor Alex Mair. Czytałem o nim. Kto ją znalazł?

151

P. D. JAMES

— Ja. Sądzę, że przez telefon wyraziłem się dostatecznie jasno. Albo Rickards z premedytacją szukał potwierdzenia faktów już

sobie znanych, albo też jego ludzie okazali się wyjątkowo nieudolni w przekazywaniu najprostszycy wiadomości.

— Niech pan pójdzie i wyjaśni mi, że to potrwa — zwrócił się Rickards do Oliphanta. — Nic tu po nim i tylko będzie nam włąził w drogę. Skłoń go, żeby wrócił do domu i poszedł spać. Jeśli nic nie wskórasz perswazją, spróbuj rozkazu. Powiedz, że pogadam z nim jutro.

Kiedy sierżant grzęznąć w podłożu pokonywał pas kamyków, rzucił za nim: — Oliphant, jeśli nie zechce odejść, proszę mu przynajmniej powiedzieć, żeby nie podchodził ani kroku bliżej. Potem rozstawcie parawany wokół zwłok. To mu zepsuje frajdę.

Dalgliess był zaskoczony, że Rickards potrafi mimochodem zdobyć się na takie okrucieństwo. Coś z tym facetem nie było w porządku, coś, co wykraczało poza profesjonalny stres, związany z koniecznością oglądania następnej ofiary Świstuna. Było tak, jakby za sprawą widoku ciała jakiś na poły uświadamiany i niedostatecznie stłumiony niepokój osobisty gwałtownie wyrwał się na wolność. Drugą reakcją było zwykle oburzenie. — Mair nie jest zboczonym oglądaczem — powiedział.

— Prawdopodobnie skutek szoku nie zachowuje się całkiem racjonalnie. W końcu znał tę kobietę. Hilary Robarts należała do grona jego najbliższych współpracowników.

— Nic jej teraz nie pomoże, nawet jeśli była jego kochanką.

— Potem, jakby przyjmując do wiadomości fakt, że został zbesztany, dodał: — W porządku, zamienię z nim słówko.

Niezgrabnie pobiegł ku morzu. Słyszac go, Oliphant odwrócił się i już razem podeszli do czekającej w milczeniu postaci. Dalgliess obserwował, jak rozmawiają ze sobą przez chwilę, a potem zaczynają się oddalać brzegiem; Mair, mając po bokach dwóch policjantów, wyglądał jak eskortowany więzień. Rickards niebawem wrócił na miejsce zbrodni, Oliphant jednak miał — jak się zdawało — towarzyszyć Mairowi w drodze do samochodu. Włączył latarkę i dał nura pomiędzy drzewa. Mair się zawahał. Ignorował zwłoki, jakby już je zabrano, ale Dalgliessowi posłał spojrzenie człowieka, który nie zdążył doprowadzić do końca jakichś ważnych spraw. Potem rzucił krótkie „dobranoc” i pospieszył za Oliphantem.

Rickards przemilczał fakt zmiany decyzji Maira, jak również nie skomentował metod perswazji, do których się uciekł, aby ją osiągnąć. Stwierdził tylko: — Nie ma torebki.

— Klucz do domu jest w medalioniku na szyi.

— Czy dotykał pan zwłok, panie Dalgliess?

152

INTRYG I ŻĄDZE

— Tylko uda i włosów, żeby sprawdzić ich wilgotność. Medalion jest prezentem od Maira. Sam mi powiedział.

— Mieszka gdzieś blisko, prawda?

— Mijał pan jej dom po drodze. To po drugiej stronie zagajnika. Byłem tam po znalezieniu zwłok, sądząc, że drzwi są twarte i będę mógł zadzwonić. W domu Robarts dopuszczono się aktu

wandalizmu

— ktoś wrzucił przez okno jej portret. Świstun i kryminalny eksces tej samej nocy... to dziwny zbieg okoliczności.

Rickards odwrócił się i spojrział Dalglieshowi prosto w oczy.

— Może. Ale ta zbrodnia nie jest robotą Świstuna. Świstun nie żyje. Popełnił samobójstwo w hotelu w Easthaven dziś około szóstej. Usiłowałem się z panem skontaktować, by o tym powiedzieć.

Kucnął przy zwłokach, dotknął twarzy, a potem uniósł głowę i pozwolił jej opaść. — Ani śladu rigor mortis. Nawet się jeszcze nie zaczyna. Wygląda na to, że zginęła w ciągu ostatnich paru godzin. Świstun umarł mając na sumieniu dość grzechów, ale to... to

— gwałtownie wyciągnąwszy palec pokazał martwe ciało — to, panie Dalgliesh, jest zupełnie inną historią.

4

Rickards naciągnął rękawiczki operacyjne. Jego powleczone kauczukową błoną grube palce wyglądały niemal obleśnie, jak wymiona wielkiej krowy. Uklęknął i jął manipulować przy medalionie. Wieczko odskoczyło i Dalgliesh spostrzegł leżący w środku, idealnie wpasowany yalowski kluczyk. Rickards go wyłuskał i powiedział: — Doskonale, panie Dalgliesh, chodźmy się przyjrzeć skutkom tego aktu wandalizmu.

Dwie minuty później w ślad za Rickardsem szedł ścieżką, wiodącą do frontowych drzwi chaty.

Rickards otworzył je i znaleźli się w korytarzyku, który prowadził do schodów i miał drzwi po obu stronach. Rickards pchnął drzwi z lewej strony; weszli do salonu. Było to wielkie pomieszczenie, biegnące przez całą długość domu — miało okna w obu końcach i kominek naprzeciwko drzwi. Portret otoczony odłamkami szkła leżał jakieś trzy stopy od okna. Zrobili krok i rozejrzeli się z uwagą.

153

P. D. JAMES

Dalgliesh wyjaśnił: — Został namalowany przez Ryana Blaneya, który mieszka w Chacie Żeglarza, też na przylądku, tylko dalej na południe. Widziałem to płótno w dniu swojego przyjazdu.

— Dziwny sposób dostarczenia — stwierdził Rickards. — Pozowała mu, prawda?

— Nie sądzę. Malował dla swojej przyjemności, nie zaś na zamówienie.

Zamierzał dodać, że — w jego przekonaniu — Ryan Blaney był ostatnią osobą skłoną do niszczenia swoich dzieł, ale wówczas uświadomił sobie, że akurat to wcale w istocie nie zostało zniszczone. Naprawienie dwóch nacięć, tworzących literę L, było właściwie błahostką. Nacięć równie precyzyjnych i przemyślanych, jak te na czole Hilary Robarts. Obrazu nie zniszczono w przyływie ślepej furii.

Rickards, jak się zdawało, chwilowo stracił dla portretu całe zainteresowanie. — A więc tutaj mieszkała — stwierdził. — Musiała mieć kręcka na punkcie samotności. To znaczy — jeśli naprawdę mieszkała sama.

— Jak wiem — odparł Dalgliesh — mieszkała sama.

Doszedł do wniosku, że był to przygnębiający pokój. Nie w tym sedno, że niewygodny — zawierał wszelkie niezbędne sprzęty; meble sprawiały jednak wrażenie odrzutów z cudzych domów, nie zaś rzeczy wybranych przez gospodarza wedle jakiejś spójnej koncepcji. Obok kominka z wmontowanym palnikiem gazowym stały dwa fotele o tapicerce z syntetycznej brązowej skóry. Stół, zajmujący miejsce w centrum pokoju, otaczały cztery rozmaite krzesła. Okno frontowe obudowano z boków dwoma regałami, które* wypełniały, jak się zdawało, podręczniki i przypadkowa kolekcja powieści. Na dwóch dolnych i nieco wyższych półkach stały segregatory. Tylko najdłuższa ściana, naprzeciwko drzwi wskazywała, że zrobiono cokolwiek, aby z tego budynku uczynić dom. Hilary Robarts najwyraźniej lubiła akwarele: było ich mnóstwo, upchanych jak w galerii. Dalgliesh odnosił wrażenie, iż rozpoznaje jedną albo dwie; żałował, że nie może podejść bliżej, aby je dokładnie obejrzeć. Możliwe jednak, że w tym pokoju był ktoś jeszcze prócz Hilary Robarts i pod żadnym pozorem nie należało zacierać ewentualnych śladów.

Wycofali się na korytarz i Rickards zamknął drzwi, a następnie otworzył przeciwległe, po prawej

stronie. Prowadziły do kuchni, pomieszczenia nieciekawego i czysto funkcjonalnego, które, aczkolwiek wyposażone zupełnie przyzwoicie, kontrastowało niekorzystnie ze swym odpowiednikiem w Chacie Męczennicy.

154

INTRYG I ŻĄDZE

Na środku stał niewielki drewniany stolik z laminowanym blatem, otoczony starannie i głęboko wsuniętymi czterema krzesłami od kompletu. Na stole, obok otwartej butelki wina, leżał korek i korkociąg. Dwa odwrócone pucharki spoczywały na suszarce.

— Wymyte — zauważył Rickards. — Przez nią albo jprzez mordercę. Ani na nich, ani na butelce nie znajdziemy żadnych odcisków palców. Ktoś z nią pił dzisiaj wieczorem.

— Jeśli tak — odparł Dalglish — to ktoś niezwykle wstrzemięźliwy. Lub też ona nie przepadała za alkoholem.

Rickards dłonią w rękawiczce ujął butelkę za szyjkę i powoli ją obrócił.

— Ubył mniej więcej kieliszek. Może zamierzali dokończyć po kąpieli. — Popatrzył na Dalglisha i zapytał: — Czy był pan tu wcześniej, panie Dalglish? Muszę pytać wszystkich, którzy ją znali.

— Oczywiście, że pan musi. Nie, nie byłem wcześniej w środku. Piłem klaret dziś wieczorem, ale nie w towarzystwie Hilary Robarts.

— Szkoda, że nie w jej towarzystwie. Żyłaby do tej chwili.

— Niekoniecznie. Mógłbym na przykład wyjść, kiedy przebierała się do kąpieli. Tak zresztą zapewne, zakładając, że była z kimś wieczorem, postąpił jej gość. — Urwał, zastanawiając się, czy powinien przekazać Rickardsowi swoje spostrzeżenie, a potem powiedział: — Ten kieliszek z lewej jest lekko wyszczerbiony na krawędzi.

Rickards podniósł naczynie i w świetle lampy sufitowej powoli je obrócił.

— Zazdroszczę panu wzroku. Tyle że nie ma to chyba znaczenia.

— Pewne osoby bardzo nie lubią pić ze splekanego szkła. Zaliczam się do ich grona.

— Dlaczego, w takim razie, nie wyrzuciła go do śmieci? Jakież ma sens trzymanie w domu kieliszka, z którego nie zamierza się korzystać? Mając do czynienia z alternatywą, wybieram możliwość bardziej prawdopodobną. Dwa kieliszki, dwie osoby pijące. Tak brzmi zdroworozsądkowe wytłumaczenie.

I taka jest podstawa, pomyślał Dalglish, większości działań policyjnych. Dopiero kiedy oczywistość okazuje się nie do obrony, powstaje konieczność wzięcia pod uwagę wyjaśnień mniej prawdopodobnych. Zarazem może to być pierwszy, fatalnie łatwy krok w stronę labiryntu nieporozumień. Zastanawiał się, dlaczego instynkt podpowiada mu z uporem, że piła samotnie. Może dlatego, iż butelka stała nie w salonie, lecz w kuchni. Wino, Chateau Talbot rocznik 1979, nie było jednym z tych cienkuszy, które można pić przy lada okazji.

155

P. D. JAMES

Dlaczego zatem nie wzięła go do salonu, by oddać mu sprawiedliwość w komfortowych warunkach? Z drugiej jednak strony, jeśli miała przed kąpielą ochotę na parę łyków, uznała może, iż nie warto się fatygować. Bo jeśli w kuchni piły dwie osoby, to dosunęła potem krzesła do stołu z wielką dokładnością... Ale faktem o znaczeniu najbardziej zasadniczym wydawał się Dalglishowi poziom trunku w butelce. Po co otwierać nową butelkę, żeby nalać dwa razy po pół kieliszka? Co, oczywiście, wcale nie oznaczało, że gościa, który pomoże dokończyć jej butelkę, spodziewała się dopiero później.

Rickards zdawał się wykazywać nienaturalnie duże zainteresowanie butelką i jej etykietką.

Znienacka zapytał szorstko: — O której wyszedł pan z młyna, panie Dalglish?

— O dziewiątej piętnaście. Pamiętam, że zerknąłem na zegar kominkowy i sprawdziłem czas ze swoim.

— I podczas spaceru nie widział pan nikogo?

— Nikogo i żadnych śladów — oprócz jej i swoich.

— A co właściwie robił pan na przylądku, panie Dalglish?

— Chodziłem, rozmyślałem. — Miał już dodać: „I brodziłem w wodzie jak chłopiec”, ale się powstrzymał.

Rickards powtórzył z zadumą: — Chodził pan i rozmyślał.

W nadwrażliwych uszach Dalgliessa zabrzmiało to jak werdykt, uznający jego działania za równie podejrzane, co ekscentryczne. Ciekawe, pomyślał, jak zareagowałby Rickards, gdybym otworzył przed nim duszę. „Rozmyślałem o mojej ciotce i mężczyznach jej życia: narzeczonemu, który zginął w 1918 i człowieku, którego kochanką może była, a może nie. Rozmyślałem o tysiącach osób, kroczących kiedyś tą plażą a teraz martwych — wśród nich o mojej ciotce — i o tym, jak będąc chłopcem nienawidziłem fałszywego romantyzmu tego głupiego wiersza o wielkich ludziach, pozostawiających swoje ślady w piaskach czasu*, ponieważ większość z nas może mieć jedynie nadzieję, że pozostawi po sobie właśnie coś takiego: trwające kilka chwil ślady, które zniweczy następna fala. Rozmyślałem, jak słabo znałem swoją ciotkę i zastanawiałem się, czy można jakkolwiek inną istotą ludzką, nawet ukochaną kobietę, poznać na poziomie głębszym niż naskórkowy. Myślałem o nocnym starciu bezmyślnych armii, ponieważ żaden poeta nie spaceruje nad morzem przy blasku księżyca, nie recytując w duszy cudownych wersów Matthew Arnolda. Rozważałem, czy byłbym lepszym poetą albo czy w ogóle byłbym poetą, gdybym nie zdecydował się jednocześnie na karierę policjanta. Mó-

* Psalm życia H. W. Longfellowa, przyp. tłum.

156

INTRYG I ŻĄDZE

więc bardziej prozaicznie: zastanawiałem się chwilami, jak na lepsze lub gorsze odmieni się moje życie w związku z faktem, że otrzymałem oto niezаслужenie trzy czwarte miliona".

To, że nie miał zamiaru ujawniać nawet najbardziej banalnych ze swoich przemyśleń, powodowało w nim irracjonalne poczucie winy, jakby z premedytacją zatajał informacje dużej wagi. W końcu, mówił sobie, trudno o zajęcia bardziej niewinne. I nie chodziło o to, że tkwił w kręgu podejrzanych. Rickards uznałby przypuszczalnie podobny pomysł za tak absurdalny, że niewart uwagi, jakkolwiek logicznie rzecz biorąc musiałby przyznać, iż żaden mieszkaniec przyłądka, znający osobiście Hilary Robarts, nie powinien się znaleźć poza orbitą śledztwa, a już najmniej z tego powodu, że jest wyższym funkcjonariuszem policji. Lecz Dalgliesh był świadkiem. Dysponował informacjami, które mógł ujawnić lub zataić, a świadomość, iż nie ma zamiaru ich zatajać, w niczym nie zmieniała faktu, że stosunki pomiędzy nim a Rickardsem były teraz odmiennej natury. Chcąc tego czy nie, był teraz zamieszany w sprawę i nie potrzebował wyjaśnień Rickardsa, by zdać sobie sprawę z tego nieprzyjemnego stanu rzeczy. Z zawodowego punktu widzenia nic go to wszystko nie powinno obchodzić; miał jednak powinności jako mężczyzna i człowiek.

Przekonał się z zaskoczeniem i lekkim zakłopotaniem, z jak wielką niechęcią odpowiadał na te pytania, sformułowane przecież dość delikatnie. Lecz przecież człowiek ma prawo przespacerować się wieczorem po plaży, nie opowiadając się ze swoich motywów funkcjonariuszowi policji. To uczucie, że sfera jego prywatności została pogwałcona, ten sprawiedliwy gniew, w jaki popadają wobec policyjnego przesłuchania najniewinniejsi z podejrzanych, a którego on doświadczył teraz osobiście, te emocje zatem podziałały nań odświeżająco. I uświadomił sobie, że wypytywanie jeszcze w dzieciństwie piekielnie go irytowało. „Co robisz? Gdzie byłeś? Co czytasz? Dokąd idziesz?” Był upragnionym jedynakiem niemłodych rodziców, obsesyjnych w swym zatroskaniu i nadopiekurczości; ponadto mieszkał w wiosce, gdzie syn proboszcza mógł zataić przed czujnymi oczyma niewiele ze swych postępów. I nagle, stojąc w tej anonimowej, sterylnej kuchni, przypomniał sobie wyraziście i z bolesnym ukłuciem w sercu ten moment, gdy pogwałcono najdroższą z jego tajemnic. Przypomniał sobie to miejsce odosobnienia, skryte w gęstwie bzów i laurów, zielony ulistniony tunel, prowadzący do trzech kwadratowych stóp jego wilgotnego, pachnącego pleśnią sanktuarium, przypomniał sobie tamto sierpniowe popołudnie, trzask gałęzi, wylaniającą się z listowia ogromną twarz kucharki. — Mama przypusz-

157

P. D. JAMES

czała, że tu jesteś, paniczku Adamie. Proboszcz chce cię widzieć. Czemu się chowasz w tych

śmierdzących krzakach? Nie lepiej to bawić się na słońcu? — A więc to ostatnie schronienie, o którym sądził, że jest dla wszystkich tajemnicą, zostało odkryte. Wiedzieli o nim cały czas!

Powiedział: — O Boże, gdybym mógł przed Twoim skryć się wzrokiem...

Rickards popatrzył nań z ukosa. — Coś pan mówił, panie Dalglish?

— Ot, taki cytat, który nagle przyszedł mi do głowy. Rickards nic nie odrzekł. Przypuszczalnie myślał: „Cóż, podobno jesteś poetą. Masz prawo do dziwactw”. Omiótł kuchnię ostatnim badawczym spojrzeniem, jak gdyby nieciekawym stół, cztery krzesła, otwarta butelka i dwa wymyte kieliszki przymuszone siłą jego wzroku miały wydać swój sekret.

Potem powiedział: — Zamknę dom na klucz i do jutra postawię kogoś do pilnowania. Mam się teraz spotkać w Easthaven z patologiem, doktorem Maitland-Brownem. Obejrzy Świstuna i przyjedzie wprost tutaj. Biolog sądowy powinien już dotrzeć z laboratorium. Chciał pan obejrzeć Świstuna osobiście, panie Dalglish, nieprawdaż? Teraz jest taki sam dobry moment, jak każdy inny.

Moment wydawał się Dalglishowi wyjątkowo nieodpowiedni. Jeden gwałtowny zgon stanowił zupełnie wystarczającą dawkę jak na jeden wieczór i z nagłym przypływem tęsknoty pomyślał o spokoju i samotności, jakie czekają w wiatraku. Perspektywa zaśnięcia przed rankiem wyglądała jednak słabo i zgłaszanie jakichkolwiek zastrzeżeń nie miało większego sensu. Rickards zaproponował: — Zawiozę pana, a potem podrzucę z powrotem.

Na myśl o podróży sam na sam z Rickardsem Dalglisha ogarnął wstręt. Odrzekł: — Jeśli teraz podrzuci mnie pan do wiatraka, wezmę swój samochód. Nie mam powodów, by siedzieć w Easthaven długo, a pan będzie może musiał poczekać.

Trochę go zaskoczyło, że Rickards zamierza zwinąć się z plaży. Fakt, miał do dyspozycji Oliphanta i resztę podwładnych; procedury działań na miejscu przestępstwa były rutynowe, ludzie są zapewne dostatecznie kompetentni, by wykonać wszystkie niezbędne czynności, a do czasu przybycia lekarza sądowego ciała i tak nie można ruszyć. Ale wyczuwał, że Rickardsowi zależy na tym, by zwłoki Świstuna obejrzeni we dwóch i zastanawiał się, jaki zapomniany incydent z ich wspólnej przeszłości jest źródłem tego wewnętrznego przymusu.

158

INTRYGII I ŻĄDZE

5

Hotel Balmoral był ostatnim budynkiem w nieciekawym dwudziestowiecznym szeregu przy gorszym końcu długiej promenady. Letnie żaróweczki wciąż wisiały pomiędzy wiktoriańskimi latarniami, ale — wyłączone teraz — kołysały się w nierównych zapętlonych zwojach jak tandetne naszyjniki, które przy lada podmuchu silniejszego wiatru zaczęły ronić swoje poczerńiałe paciorki. Sezon urlopowy dobiegł oficjalnie końca. Dalglish zaparkował za policyjnym roverem po lewej stronie promenady. Pomiędzy ulicą a roziskrzonym morzem rozciągał się plac zabaw dla dzieci, na który broniło przystępu ogrodzenie z siatki i zamknięta na kłódkę furtka, a obok niej zaślepiony okiennicami kiosk, cały w wyblakłych i poszarpanych afiszach, zapowiadających letnie rozrywki i reklamujących lody o najdziwniejszych kształtach; na jednym widniała głowa kłowna. Huśtawki były podwieszane wysoko, a jedno z siedzeń, poruszane tężejącym wiatrem, wystukiwało o metalową konstrukcję regularne „ratatata”. Hotel, wymalowany schludnie na jasnoniebieski kolor, którego nie potrafiło zgasić nawet matowe światło latarni ulicznych, wyróżniał się korzystnie wśród swoich szaroburzych sąsiadów. Lampa przy wejściu oświetlała duży arkusz bristolu, na którym widniały słowa: „Nowi właściciele, Bill i Joy Carterowie, serdecznie witają Państwa w Balmoral”. Druga kartka, wisząca poniżej, informowała po prostu: „Wolne miejsca”.

Kiedy chcąc przejść przez ulicę czekali, aż miną ich dwa jadące żółtym tempem samochody, których kierowcy rozglądali się za miejscem do parkowania, Rickards powiedział: — Pierwszy sezon Carterów. Podobno mimo pieskiego lata nieźle dawali sobie radę. Ta historia nie wyjdzie im na dobre. Jasne, ściągną tu strzygi, ale rodzice dobrze się zastanowią, zanim zdecydują się zjechać

do nich z dziećmi na rodzinne wakacje. Na szczęście teraz są obłożeni tylko w połowie. Dwie rezerwacje anulowały się dziś rano, tak że mają zaledwie trzy małżeństwa, które były poza hotelem, kiedy pan Carter znalazł zwłoki; do tej chwili zdołaliśmy je utrzymać w beztrudnej ignorancji. Są teraz w łóżkach i przypuszczalnie śpią. Miejmy nadzieję, że to się nie zmieni w najbliższym czasie. Pierwszy przyjazd policji obudził zapewne zainteresowanie jakichś miejscowych obywateli, ale funkcjonariusz w cywilu, dyskretnie pełniący służbę przy wejściu, spławił gapiów i teraz ulica była pusta; tylko pięćdziesiąt jardów dalej, po przeciwległej stronie, stała grupka złożona z czterech lub pięciu osób. Wydawało się, że z ożywieniem

159

P. D. JAMES

szeptają między sobą, a kiedy Dalgliesh na nie popatrzył, wolniutko ruszyły przed siebie, jakby popychane wiatrem.

Dalgliesh zapytał: - Dlaczego tutaj, na miłość boską?

- Wiemy dlaczego. Nie wiemy cholernie wielu rzeczy, ale na akurat to pytanie znamy odpowiedź.

Mają tu P**»^»?»^1^ Albert Upcraft, siedemdziesiąt pięć lat jak obszył. *^ *** przypomniał.

Miałby niejakie kłopoty z rekapitulacją wydarzeń wczorajszych, ale pamięć długoterminową jeszcze mu dopisuje. Owe wygląda na to, że Świstun był tu jako dziecko. Długo jego stryjka była kierowniczką hotelu. W czasie P**g^ TM*g przejmowała go z rąk matki na darmowe wakacje. Główna kiedy matka miała nowego chłopca i nowy wujek me %£**££* dziecko pałętał się mu pod nogami. Czasem chłopak P""^** całymi tygodniami. Nie sprawiał żadnych kłopotów. Pomagał przy gościach, załapywał się na drobne napiwki i nawet uczył w szkółce niedzielnej.

- Dzień dobiegł kresu*... - powiedział Dalgliesh

- Cóż, jego na pewno. Zameldował się o drugie, «ge dzisiaj po południu. Poprosił o ten sam pokój w tej» »^jto dziecko. Jedynka od tyłu, najtańsza w całym hotelu. ^art^ powinni być wdzięczni losowi za małe dobrodziejstwa. No£"££ warto zwinąć żagle z fasonem i zażyczyć sobie najlepszego ^ojnego pokoju z prywatną łazienką, widokiem na morze i w ogóle ze ^on^r^twiach zaskutkowało i przez sień —»*£«. w zapach ^Polityry ^ lawendowego odświeżacza do powietrza. lanowai ^ Waskim tłaczający porządek. Jaskrawa wykładzina w ^typrawy wąskim pasem pleksiglasu, nowiutkie tapety - inna na kazder"«-«D doczna przez otwarte drzwi jadalnia z czteroosobowymi ££*№ gdzie na śnieżnobiałych obrusach stały wazoniki z «™«D kwiatami: narcyzami i różami o pękających główkach ^iYI z zaplecza na powitanie Dalgliesha i Rickarda, była rownie echludig, jak hotel. Bili Carter, wyelegantowany mały ^owiczek wyglądający jakby przed chwilą zszedł z deski do prasowania: idealna gaJ białe, koszuli z krótkimi rękawami, nienagannie zawiązany' k^ P^J* żyłki kandy spodni. Jego żona miała na sob^ kwiciastą kłm sukienkę z krempliny, a na niej biały sweterek, zrobiony na drutach.

~* Popularny hymn anglikański autorstwa Sabinę Baring-Gould, często śpiewany w szkółkach niedzielnych, przyp. tłum.

160

INTRYG I ŻĄDZE

Najwyraźniej niedawno płakała. Jej puchowata, trochę dziecinna buzia pod starannie uczesanymi włosami blond była opuchnięta i zaczerwieniona; mogłoby się zdawać, że otrzymała policzek. Rozczarowanie, jakie okazała na widok dwóch zaledwie przybyszów, było żalosne i jednoznaczne.

— Myślałam, że przyjechali panowie go zabrać — powiedziała. — Dlaczego nie możecie go wreszcie zabrać?

Rickards nie przedstawił Dalgliesha.

— Zabierzemy go, pani Carter — zapewnił kobietę — natychmiast, gdy obejrzy go patolog. Powinien być lada chwila, już jest w drodze.

— Patolog? To przecież lekarz, prawda? Po co wam lekarz? On jest przecież martwy, czyż nie tak? Bill go znalazł. Ma poderżnięte gardło. Czy człowiek może być jeszcze bardziej martwy?

— Nie pobjędzie już u państwa długo, pani Carter.

— Pościel, powiada Bill, jest cała we krwi. Nie pozwolił mi wejść. Zresztą wcale nie miałam ochoty. Zniszczona wykładzina. Ogólnie wiadomo, jak jest trudno wywabić plamy z krwi. Kto nam zapłaci za łóżko i wykładzinę? O Boże, a ja już myślałam, że wreszcie zaczyna się nam układać. Dlaczego przyszedł tutaj, żeby to zrobić? To bardzo nieładne z jego strony, nieprawdaż? Bardzo nierozważne.

— Nie był człowiekiem kierującym się rozważą, pani Carter. Mąż objął ją ramieniem i wyprowadził. Niespełna pół minuty później pojawił się ponownie i stwierdził: — To, naturalnie, szok. Jest roztrzęsiona. Któżby zresztą nie był? Wie pan, jak trafić na górę, panie Rickards. Jest tam pański człowiek. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałbym panu nie towarzyszyć.

— W porządku, panie Carter, wiem jak trafić.

Nagle Bill Carter odwrócił się do nich tyłem i powiedział: — Proszę go stąd zabrać, panie nadinspektorze, proszę, na rany Chrystusa.

Dalglieshowi zdawało się przez chwilę, że mały człowieczek także płacze.

W hotelu nie było windy. Dalgliesh w ślad za Rickardsem wdrapał się na trzecie piętro, wąskim korytarzykiem podążył na tyły budynku, a wreszcie skręcił w prawo. Młody konstabl-detektyw wstał ze swojego krzesła przy drzwiach, otworzył je lewą ręką, a potem rozplaszczył się o ścianę. Z pokoju uderzył mocny wyziew krwi i śmierci.

Światło było włączone i blask bijący z lampy w tanim różowym kloszu ukazywał horror na łóżku w najdrobniejszych szczegółach. Pokój — maleńkie pudełeczko z jednym oknem, umieszczonym zbyt wysoko, aby można było przez nie dostrzec coś więcej prócz spłachetka

ii Intrygi i żądze

IÓI

P. D. JAMES

nieba - z trudem mieścił pojedyncze łóżko, krzesło stół nocny i komódkę, która, skoro powieszono jednocześnie rolę toaletki. Tu także jednak Jabf^cze czystość, wobec które) ta nieczysta rzecz na łozku^Pra^Ma {

okropniejsze wrażenie. Zarówno ziejąca rana w gardle z, e tnay karbowanymi naczyniami krwionośnym!, jak i - P?Jy*e> ^ o «padniętych kącikach, zdawały się krzykiem D»"***"?^ gniew w związku z tym pogwałceniem przyzwoitości b^Nelsyto widać innych cię i Dalgliesh pomyślał zrazu, że ten jedno razowy III gTaltowntgo unicestwienia wymagał na pewno męce,^> ^"°J* feT mieć dziecinna dłoń o skurczonych palcach,aktora w *oru*e zakrzepłej krwi spoczywała teraz na.^ *%£jfi&

f nkbTesklei^klonowy* skarpetkach, które wyglądały ,ak pierw ra

IIII^IX Na krześle obok łóżka w -«-IIIKB3!

wał ciemnoszary garnitur w prążki, z oparcia zwieszała^>»££

pasiastakoszula.krawat.Pod^^^^

ne, ale wypucowane na zwierciadlany porysK. byi*

moelvby należeć do dziewczyny.

lickards powiedział: - Neville Potter, wiek trzydzieci«esc ^ Mizerota. Trudno uwierzyć, że miał w tych łapkach dosć s^eby udusić kurczę. No i na spotkanie ze swoim StworeąP«g«» odstawiony jak struś na święto lasu, ale się pozmej rozmyślił Pewnie TMhe orzYDomniał, że mamuśka nie byłaby zachwycona, gdyby

ПЕСРВда, uważając, by nie stąpnąć w płamę *«gTM£** bokiem koło łóżka. Na blacie komody leżały narzędzi* Svnetime£ fg trofea: starannie zwinięta skórzana smycz, peruka blond i nieb e κ beret, scyzoryk, pomysłowa lampka na głowj,**£"* m Gbok wej opaski, do której przymocowano żarówkę i ba^k^_cie Ttolik^uchatych włosów - blond, kasztanowych£*^£££ całej tej starannie zaaranżowanej ekspozycji leżała kartka!^;^ Γno^Γna niej zaś, wypisana i *"*o^*%^^?*\$ krótka wiadomość: „Jest coraz gorzej,. To jedyny sposoD w , potrafię się powstrzymać. Proszę, niech ktoś weźmie pod opiekę Pongo". Słowo „proszę" zostało podkreślone. Rickards

I jego pies, Pongo, na rany Chrystusa - wyjaśnił Rickards.

INTRYG I ŻĄDZE

— Czy oczekiwał pan, że będzie się wabić Cerber?

Rickards otworzył drzwi i stanął do nich tyłem, łapczywie wdychając świeże powietrze.

— Mieszkali z mamuszką na jednym z kempingów opodal Cromer — powiedział. — Już od dwunastu lat. Był takim facetem od wszystkiego, wykonywał proste naprawy, nocą stróżował, przyjmował zażalenia. Szef ma drugi kemping pod Yarmouth i jeździł tam czasem na zastępstwa. Trochę samotnik. Miał małą furgonetkę i psa. Ożenił się z dziewczyną, którą trzy lata temu poderwał na kempingu, ale małżeństwo potrwało ledwie cztery miesiące. Puściła go w trąbę. Zmuszona do tego przez mamuszkę albo smród panujący w przyczepie. Bóg jeden wie, jakim cudem wytrzymała tak długo.

— Był oczywistym podejrzanym — zauważył Dalgliesh. — Musiał go pan przecież sprawdzać.

— Mamuska dała mu alibi na dwa morderstwa. Albo była pijana i nie miała pojęcia, czy był w domu, czy nie, albo kryła go świadomie. Albo, rzecz jasna, kompletnie jej wszystko wisiało. — Potem dodał z niespodziewaną gwałtownością: — Myślałem, że zdążyliśmy się już nauczyć, żeby nie brać podobnych alibi za dobrą monetę. Pogadam sobie z konstabłem, który ją przesłuchiwał, ale wie pan, jak to jest. Tysiące przesłuchań, zeznań, cały ten towar włączony do komputera. Oddałbym tuzin komputerów za jednego detektywa, który potrafi wyczuć, kiedy świadek kłamie. Dobry Boże, czyśmy się niczego nie nauczyli z tego blamażu w sprawie Rozpruwacza z Yorkshire?

— Czy pański człowiek dokonał rewizji w przyczepie?

— Jasne, przetrząsnęli ją jak Bóg przykazał. Okazali to minimum inicjatywy. Ale nic nie znaleźli. Widać dekował to wszystko gdzie indziej. Prawdopodobnie brał stamtąd co wieczór, a potem czyhał, wybierał odpowiedni moment. — Popatrzył na latarkę. — Pomysłowe, co? Jak powiada jego mamuska, zawsze była z niego złota rączka.

Prostokącik nieba za oknem był granatowoczarnym proporczykiem z jedną gwiazdą. Dalgliesh miał uczucie, że odkąd się obudził jesiennym świtem, witany przesyconym aromatem morza, zaznał dość wrażeń, by wypełnić nimi połowę życia: spokój i głęboka zaduma przechadzki pod wyniosłym sklepieniem St. Peter Mancroft, nostalgiczny ból wywołany przez wyblakłe fotografie dawno zmarłych osób, zaczepność fal, omywających jego boscie stopy, a wreszcie szok, jakiego doświadczył, gdy światło latarki padło na zwłoki Hilary Robarts. Był to dzień, który — rozciągnięty w czasie — jakby zamykał w sobie wszystkie pory roku. Bo też to jedyny sposób rozciągania czasu, czasu, który dla Świstuna zatrzymał się w potężnym chluśnięciu krwi. Teraz,

163

P. D. JAMES

gdy ów długi dzień dobiegł już kresu, dotarł do tego schludnego pokoiku, przemienionego w celę straceń, widział oczyma duszy, tak jak widzi się wspomnienia, obraz małego chudego chłopca, który wyciągnięty na wznak obserwuje przez to samo wysokie okno tę samą pojedynczą gwiazdę, a na blacie komódki leżą zdobycze dnia: napiwki w jedno- i sześciopensówkach, znalezione na plaży muszle, barwne kamienie, uschnięte wiechcie morskocynu.

On sam znalazł się tu ściągnięty wolą Rickardsa, który chciał go mieć w tym pokoju i o tej właśnie porze. Mógł przecież obejrzeć zwłoki Świstuna jutro w kostnicy albo, jeśli jedyna wymówka, którą mógłby się posłużyć — słaby żołądek — nie zabrzmiałaby po prostu śmiesznie, na stole sekcyjnym, żeby potwierdzić fakt nie wymagający właściwie potwierdzenia: że ten chuderlawy morderca nie jest raz dostrzeżonym przez świadka, liczącym sześć stóp wzrostu Dusicielem z Battersea. Ale Rickards potrzebował słuchacza, potrzebował jego, Dalgliesha, którego straszliwie doświadczony i niewzruszony spokój będzie stanowić ścianę, o jaką ciśnie gorycz i frustrację swojego fiaska. Zginęło pięć kobiet, a mordercą okazał się człowiek oczyszczony z podejrzeń na wczesnym etapie śledztwa. Smrodliwy zapaszek tego fiaska będzie trwać — przynajmniej w nozdrzach Rickardsa — jeszcze długo po tym, jak środki masowego przekazu stracą wszelkie zainteresowanie, a procedury oficjalne dobiegną końca. No i była jeszcze ta szósta śmierć, Hilary Robarts, która mogłaby nie zginąć, a już na pewno nie zginęłaby w taki sposób, gdyby Świstuna powstrzymano wcześniej. Dalgliesh wyczuwał jednak, że gniew Rickardsa — manifestujący się, między innymi, nietypową dlań brutalnością w słowach — jest napędzany czymś znacznie bardziej

osobistym, aniżeli poczucie klęski zawodo-' wej. Zastanawiał się, czy rzecz ma związek z jego żoną i oczekiwanym dzieckiem. Zapytał: — Co się stanie z psem?

Rickards, jak się zdawało, nie zwrócił uwagi na błahość kwestii. — A jak pan sądzi? Kto przygarnie psa, który widział to, co ten zwierzak, i był tam, gdzie był? — Popatrzył na sztywniejące zwłoki, a potem, odwróciwszy się do Dalgliesha, powiedział szorstko: — Mam wrażenie, że się pan nad nim lituje.

Dalgliesh zmilczał. Mógłby powiedzieć: „Tak, lituję się nad nim. I nad jego ofiarami. I nad panem. A od czasu do czasu, skoro o tym mowa, nawet nad sobą”. Pomyślał: Wczoraj czytałem Anatomie melancholii. Dziwne. Robert Burton, ten siedemnastowieczny pleban z Leicestershire, powiedział wszystko, co można by rzec przy takiej okazji. Usłyszał teraz te słowa z taką wyrazistością, jakby wypowiedział je na głos.

164

INTRYG I ŻĄDZE

„Z ciałami ich i dobytkiem wiemy co począć; aliści jaki los spotka ich dusze, Bóg jeden raczy wiedzieć; Jego łaska spłynąć może inter pontem et fontem, inter gladium et jugulum — między mostem a rzeką, między mieczem a gardłem”.

Rickards wzdrygnął się gwałtownie, jakby nagle ogarnął go chłód. Był to osobliwy odruch. Potem powiedział: — Przynajmniej oszczędził społeczeństwu kosztów utrzymywania go przez dwadzieścia lat. Jedyny argument za tym, żeby nie kasować facetów jego pokroju, jest taki, że możemy się od nich czegoś nauczyć, nie dopuścić w przyszłości do podobnych historii. Ale czy na pewno? Mielśmy Straffena, Bra-dy'ego, Nielsona. Ileśmy się od nich nauczyli?

— Jak przypuszczam, nie powiesiłby pan szaleńca? — zapytał Dalgliesh.

— Nie powiesiłbym nikogo. Znalazłbym mniej barbarzyński sposób. Ale oni wcale nie są szaleni, prawda? To znaczy przed aresztowaniem. Dają sobie w życiu radę jak większość ludzi. Potem nagle odkrywamy, że to potwory i postanawiamy, patrzcie państwo, uznać ich za wariatów. Bo to łatwiejsze do przełknięcia, bo nie musimy już myśleć o nich jak o istotach ludzkich. Nie musimy używać słowa „zło”. Wszyscy czują się wtedy znacznie lepiej. Chce pan poznać jego matkę, panie Dalgliesh?)

— Po co?

— Powinien pan jednak poznać jego matkę. Najprawdziwsza kurwa. I wie pan, jak ma na imię? Lilian. L jak Lilian. Łakomy kąsek dla psychiatrów. To ona sprawiła, że stał się tym, kim był. Ale przecież nie możemy sprawdzać ludzi pod kątem ich predyspozycji do rodzenia i wychowywania dzieci. Pewnie, gdy go wydała na świat, coś tam do niego czuła, wiązała z nim jakieś nadzieje. Skąd mogła wiedzieć, co z niego wyrośnie? Pan nigdy nie miał dzieci, prawda, panie Dalgliesh?

— Miałem syna. Krótko.

Rickards lekko kopnął drzwi i odwrócił wzrok. — Cholera zapomniałem. Wybacz pan. Dobry wybrałem sobie moment, żeby pytać. I to dla nas obu.

Na schodach, a potem w korytarzu, rozległy się stanowcze stąpnięcia. Dalgliesh powiedział: — Wygląda na to, że przyjechał patolog.

Rickards nic nie odrzekł. Podeszedł do komódki i palcem wskazującym lekko pchnął po lśniącem blacie płataninę włosów.

Powiedział: — Nie znajdziemy tu jednej próbki. Włosów Hilary Robarts. Laboratorium jeszcze sprawdzi, ale na pewno ich tu nie ma. No i zacznę się rozglądać za zupełnie innym mordercą. I, na Boga, panie Dalgliesh, tym razem go dopadnę.

165

P. O. JAMES 6

Czterdzieści pięć minut później Rickards był ponownie na miejscu morderstwa. Zdawało się, że przeszedł już etap uświadamianego zmęczenia i funkcjonuje w innym wymiarze czasoprzestrzeni, gdzie jego umysł potrafi pracować z nadnaturalną jasnością, ciało zaś stało się nieważkim tworem ze światła i powietrza, równie fantastycznym jak scena, gdzie poruszał się, mówił, rzucał rozkazy. Biały, półprzejrzysty krąg księżyca został przyćmiony jaskrawym lśnieniem zawieszonych na słupkach lamp, które oświetlały i konkretyzowały obrysy drzew, ludzi i sprzętu, a zarazem —

paradoksalnie — odbierały im treść i formę, przemieniając w jakieś byty obce i niesamowite. I jak zawsze, ponad zgłębieniem męskich głosów, zgrzytem stóp na kamykach, nagłym łopotem brezentu, gdy niezdecydowany wiatr przez moment przybiera na sile, rozbrzmiewał szum to uderzających o brzeg, to cofających się fal.

Dr Anthony Maitland-Brown, który na miejsce zbrodni jechał z Easthaven swoim mercedesem, przybył jako pierwszy. Ubrany w fartuch i rękawiczki klęczał już przy zwłokach, gdy dołączył do niego Rickards. Zaraz zresztą dyskretnie się oddalił, bo M. B. piekielnie nie lubił, gdy gapiono się nań podczas wstępnych oględzin ciała, i kiedy ktokolwiek zbliżył się doń na dystans nie przekraczający dziesięciu stóp, reagował zrzędlwym: „Czy naprawdę ten cały tłum musi się tu kręcić?” — jakby fotograf policyjny, biolog sądowy i funkcjonariusz zabezpieczający ślady byli istotnie żądną wrażeń tłuszcza. Był eleganckim i niezwykle przystojnym mężczyzną, mierzącym przeszło sześć stóp wzrostu; w młodości — jak głosiły plotki — powiedziano mu, że jest podobny do Leslie Howarda, w związku z czym spędził wiele następnych lat gorliwie lansując właśnie taki wizerunek swojej osoby. Rozwiedziony bez kwasów, był dobrze ustawiony życiowo: odziedziczył po matce stały roczny dochód, co pozwalało mu oddawać się bez ograniczeń dwóm wielkim pasjom — ubraniom i operze. W wolnych chwilach bywał w Covent Garden i Glyndebourne w towarzystwie ciągle innych, ale zawsze młodych i niezwykle urodziwych aktoreczek, które znosiły trzy godziny śmiertelnej nudy w imię prestiżu, płynącego z faktu, że pokazują się u jego boku, a może po prostu dreszczyku, jakiego dostarczała im świadomość, że te wymuskane dłonie, nalewające im wino, podające okrycia lub pomagające wysiąść z mercedesa, zajmują się zwykle czynnościami daleko bardziej niesamowitymi. Rickards zawsze uważał go za trudnego współpracownika, ale przy-

166

INTRYG I ŻĄDZE

znawał, że jest patologiem sądowym najwyższej klasy. A o takich, Bóg świadkiem, niełatwo. Czytając przejrzyste i zrozumiałe raporty M. B. z autopsji, był mu gotów wybaczyć nawet jego płyn po goleniu. Odstąpiwszy od zwłok, odwrócił się, by powitać nowo przybyłych — fotografa, operatora i biologa sądowego. Odcinek plaży sięgający pięćdziesięciu jardów od miejsca zbrodni został sprawnie ogrodzony linami, ścieżkę zaś, oświetloną teraz sznurem żarówek, pokryto plastikowymi płachtami. Rickards poczuł u swego boku powściągliwe podniecenie sierżanta.

— Znaleźliśmy ślad, panie nadkomisarzu — powiedział Stuart Oliphant. — Mniej więcej czterdzieści jardów od zwłok.

— Na trawie i igłach sosnowych?

— Nie, panie nadkomisarzu, na piasku. Ktoś, może jakiś dzieciak, wysypał pewnie z wiaderka. Odcisk jest bardzo dobry, panie nadkomisarzu.

Rickards podążył za sierżantem w głąb zagajnika. Cała ścieżka była przykryta, ale w jednym miejscu, w prawo od niej, z miękkiej ziemi sterczał proporczyk. Oliphant odgiął plastik, a potem podniósł pudełko, zakrywające ślad. W świetle żarówek było doskonale widać pokrywającą trawę i opadłe igliwie cienką warstewkę wilgotnego piasku, na niej zaś, liczący nie więcej niż sześć cali na cztery, odcisk skomplikowanego wzoru podeszwy prawego buta.

— Znaleźliśmy to zaraz po pańskim odejściu — wyjaśnił Oliphant.

— Tylko jeden, ale za to wyraźny. Zdjęcia są zrobione, a pomiary rano będą w laboratorium. Wygląda na dziesiątkę. Powinniśmy szybko mieć wyniki, choć spokojnie możemy się bez nich obejść. To sportowy but, panie nadkomisarzu. Firmy Bumble. Wie pan, o czym mówię, to te z rysunkiem pszczoły na pięcie. Pszczoła jest też wytłoczona na podeszwie. O, tu pan ma zarys skrzydełka. Nie sposób się pomylić.

But sportowy firmy Bumble. Trudno sobie wymarzyć bardziej charakterystyczny ślad. Oliphant wyraził swoje przemyślenia: — Dość często spotykane, rzecz jasna, ale nie aż tak znowu często. Jedne z najdroższych na rynku, porsche wśród butów treningowych. Ma je większość małaolatów z forszą. Idiotyczna nazwa*, ale właściciel firmy nazywa się Bumble. Rzucił je na rynek dopiero dwa

lata temu, ale prowadzi ostrą kampanię reklamową. Pewnie ma nadzieję, że nazwa chwyci.

* Bumble w zbitce z bee (pszczoła), czyli bumble-bee, znaczy potocznie „kurdupel” albo „karakan”, przyp. tłum.

167

P. D. JAMES

— Ten ślad wygląda na świeży — powiedział Rickards. — Kiedyśmy ostatnio mieli deszcz? Chyba w sobotę wieczorem, prawda? — Około jedenastej. Skończył się po północy, ale przedtem lalo jak z cebra.

— No i ta część ścieżki nie jest osłonięta drzewami. Nie wiaac żadnych wgłębień po kroplach deszczu, został zatem pozostawiony po północy z soboty na niedzielę. Interesujące jednak, że jest tylko jeden i to skierowany w stronę łądu. Jeśli ktokolwiek w takich butach przeszedł tędy w niedzielę, należałoby oczekiwać znalezienia przynajmniej jednego identycznego śladu w górnej części plaży.

— Niekoniecznie, panie nadkomisarzu. Miejscami kamyki dochodzą do samej ścieżki. Więc wystarczyło, że ten ktoś się ich trzymał. Ale czy ślad byłby tu nadal, gdyby został zrobiony przed jej śmiercią? Przecież musiała tędy przechodzić.

— Tylko dlaczego miałyby go zdeptać? Nie jest na samej ścieżce, lecz dobrze w prawo od niej. Dziwne jednak. Zbyt rzucający się w oczy, zbyt wyraźny, zbyt poręczny. Można by niemal pomyśleć, że został zrobiony specjalnie po to, aby nas zmylić.

— W sklepie sportowym w Blakeney mają takie buty, panie nadkomisarzu. Mogę wysłać któregoś z chłopców, żeby kupił parę dziesiątek zaraz jak otworzą. — Proszę dopilnować, żeby był w cywilu i kupił je jako zwykły klient. Muszę mieć pewność, że wzór jest taki sam, zanim zacznę żądać od ludzi wybebeszania szafek. Będziemy mieli do czynienia z inteligentnymi podejrzanymi. Nie chcę wpadki na samym początku śledztwa.

— Szkoda marnować czas, panie nadkomisarzu. Moj brat ma taKie same. Wzór jest identyczny.

— Potrzebuję potwierdzenia i to potrzebuję szybko — powiedział Rickards z uporem.

Oliphant położył na miejscu pudełko i płachtę, a potem w siad za Rickardsem ruszył w stronę plaży. Rickards czuł na sobie niemal fizyczne brzemie niechęci, wrogości i lekkiej wzdąrdy, jaka zdawała się emanować z sierżanta. Był jednak skazany na tego faceta. Oliphant należał do brygady, która przyjęła na siebie główny ciężar śledztwa w sprawie Swistuna i jakkolwiek ta miała mieć zupełnie inny charakter, trudno by go zastąpić nie wywołując przy tym całej lawiny problemów personalnych i logistycznych, a tego Rickards wolałby uniknąć za wszelką cenę. Podczas piętnastomiesięcznego polowania na Swistuna jego lekka niechęć wobec sierżanta przerodziła się w silną antypatię, o której wiedział, że nie do końca wynika z racjonalnych pobudek i nad

168

INTRYG I ŻĄDZE

którą usiłował panować tak dla dobra śledztwa, jak i szacunku dla samego siebie. Morderstwa seryjne i bez powikłań personalnych były dostatecznie trudnym wyzwaniem.

Nie dysponował żadnymi konkretnymi dowodami, że Oliphant jest człowiekiem brutalnym; on tak tylko wyglądał. Sześć stóp zdyscyplinowanego ciała i mięśni; smągła i konwencjonalnie przystojna twarz o lekko obrzmiałych rysach, pełnych ustach, twardych oczach i mięsistym jak pączek podbródka z głęboką dziurką. Rickards łapał się na tym, że nie potrafi oderwać od niej wzroku.

Wstręt, jaki żywił do „aściciela, wyniósł ją do rozmiaru kalectwa. Oliphant pił za dużo, ale to było ryzykiem związanym z wykonywaniem zawodu policjanta. Fakt, iż Rickards nigdy nie widział go zupełnie pijanym, tylko powiększał w jego mniemaniu przewinę. Normalny człowiek nie potrafiłby wlewać w siebie tyle alkoholu, a mimo to wciąż mocno trzymać się na nogach.

Poprawny w stosunku do funkcjonariuszy wyższych od siebie rangą, umiał okazywać szacunek nie popadając w serwilizm, lecz potrafił przy tym subtelnie dać Rickardsowi do zrozumienia, iż nie

spełnia standardów, które on, Oliphant, prywatnie mu wyznaczył. Cieszył się sporą popularnością wśród mniej wrażliwych żółtodziobów; inni rozważnie trzymali się odeń na dystans. Rickards mówił sobie, że gdyby popadł w tarapaty, Oliphant byłby ostatnim człowiekiem, od którego pragnąłby otrzymać pomoc. Oliphant pewnie by to sobie poczytał za komplement. No i żaden obywatel nigdy, nawet szeptem, nie poskarżył się na metody jego działania. To także, w sposób niepojęty, budziło w Rickardsie podejrzliwość. Sugerowało bowiem, że tam gdzie wchodzi w grę jego interesy osobiste, facet umie okazać dość sprytu, by zachowywać się wbrew swojej naturze. Był kawalerem, potrafił jednak — nie uciekając się do prymitywnej pyszałkowatości — stwarzać wrażenie, iż dla kobiet jest nieodparcie pociągający. Zapewne, w kilku przypadkach było to prawdą, ale przynajmniej nie próbował szczęścia z żonami kolegów. Ogólnie rzecz biorąc, reprezentował większość cech, jakich w młodych detektywach Rickards nie lubił najbardziej: agresywność kontrolowaną tylko dlatego, że samokontrola świadczy o rozwadze, nieskrywaną żądę władzy, zbyt wielką seksualną pewność siebie i rozdęte mniemanie o własnych możliwościach. Oliphant na pewno zostanie nadinspektorem, a może zawędruje jeszcze wyżej. Rickards nigdy nie zdołał się zmusić do użycia przezwiska sierżanta, które brzmiało Jumbo. Oliphant, zamiast obruszać się na pseudonim równie dziecinny, co nieodpowiedni, zdawał się go tolerować a nawet lubić, przynajmniej w ustach tych

169

P. D. JAMES

kolegów, których do jego używania prywatnie licencjonował. Śmiertelnicy mniej uprzywilejowani zazwyczaj poprzestawali na jednym razie.

Maitland-Brown był gotów do wygłoszenia wstępnej opinii. Wyprostowawszy się na całą swoją mierzącą sześć stóp i trzy cale wysokość, ściągnął rękawiczki i gestem aktora, rzucającego garderobianemu jakąś część kostiumu, cisnął je w stronę jednego z konsta-bli. Nie miał w zwyczaju omawiać swoich ustaleń na miejscu przestępstwa, niekiedy jednak zniżał się do tego, by je obwieścić.

— Autopsję przeprowadzę jutro, a raport dostarczę wam w środę. Powątpiewam, by spotkały nas jakieś niespodzianki. Wszystko stało się jasne już przy wstępnych oględzinach. Śmierć przez uduszenie. Do zabójstwa użyto przedmiotu o gładkiej powierzchni i szerokości dwóch centymetrów, może paska lub smyczy. Była wysoką, dobrze umięśnioną kobietą. Rzecz wymagała zatem siły, ale nie, biorąc pod uwagę czynnik zaskoczenia, siły nadzwyczajnej. Morderca stał prawdopodobnie skryty wśród sosen, a potem, gdy tylko wyszła z kąpieli, postąpił do przodu i zarzucił jej pasek na szyję. Zdażyła przedtem zaledwie chwycić ręcznik. Wykonała jeden lub dwa konwulsyjne ruchy stopami — widzicie ślady na trawie. Oceniam na podstawie dowodów, jakimi w tej chwili dysponuję, że zmarła pomiędzy ósmą trzydzieści a dziewiątą.

Maitland-Brown dawał do zrozumienia i najwyraźniej oczekiwał, że nie padną żadne pytania.

Żadne zresztą nie były potrzebne. Wyciągnął ramię po płaszcz, natychmiast podany usłużnie przez konstabla, i krótko się pożegnał. Rickards niemal oczekiwał ukłonu.

Rickards popatrzył na zwłoki. Teraz, spowite w plastikową płachtę, przywiodły mu przez sekundę na myśl opakowaną zabawkę, lalkę dla kogoś o zamiłowaniach dziwacznych i kosztownych, wytwór z kauczuku, syntetycznych włosów i szklanych oczu, zaledwie sztuczną podobiznę żywej kobiety. Głos Oliphanta zdawał się dochodzić z daleka.

— A zatem komendant Dalgliesh nie wrócił z panem, panie nadkomisarzu?

— Dlaczego miałby wracać? To nie jego działka. Prawdopodobnie śpi.

Pomyślał: Dobry Boże, gdybym i ja, mógł robić to samo! Tymczasem, jak fizyczny ciężar, zaczynały przygniatać jego wycieńczone barki wydarzenia nowego dnia: konferencja prasowa w sprawie samobójstwa Świstuna. Szef, rzecznik prasowy policji, następne śledztwo, przesłuchania podejrzanych, fakty, które należy ustalić,

170

INTRYGI I ŻĄDZE

a wreszcie, z ciężącą na sercu jak kamień pamięcią ostatniego fiaska, pchnięcie po torach nieruchawej maszyny dochodzenia w związku z morderstwem. I jakimś cudem będzie jeszcze

musiał znaleźć wolną chwilę, żeby zadzwonić do Susie.

Powiedział: — Pan Dalglish jest świadkiem, nie zaś funkcjonariuszem śledczym.

— Świadkiem, ale raczej nie podejrzanym.

— Czemu nie? Mieszka na przylądku, znał dziewczynę, wie, jak zabijał Świstun. Może w naszych oczach nie jest poważnym podejrzanym, ale będzie zeznawać jak wszyscy inni.

Oliphant popatrzył nań flegmatycznie.

— To będzie dla niego zupełnie nowe doświadczenie—stwierdził. — Miejmy nadzieję, że zabawne.

KSIĘGA CZWARTA

poniedziałek 26 września

1

Anthony, jak zwykle, obudził ją tuż po wpół do siódmej. Theresa wyrwała się z lepkiego grzęzawiska snu i zarejestrowała znajome odgłosy poranka: skrzyp łóżeczka, parsknięcia i pomruki Anthony'ego, który uchwyciwszy drążki windował się do pozycji pionowej. I poczuła równie znajome zapachy pokoju dzieciennego: pudru, nieświeżego mleka, zasikanej pieluchy. Wymacała guziczek lampy — przy czym zwisające na obrzeżu brudnego abażuru jelonki Bambi puściły się w skoczny tan — i otworzywszy oczy, spojrzała prosto w ślepkę Anthony'ego, otrzymując w nagrodę jego szeroki, obnażający ząbki uśmiech i rytualne podrygi, które rozkołysały całe łóżeczko. Cicho uchyliwszy drzwi pokoju bliźniaczek zobaczyła, że jeszcze śpią — Elizabeth zwinięta w kłębek przy ścianie, a Marie na wznak, z odrzuconą w bok rączką. Gdyby zdołała przewinąć i nakarmić Anthony'ego, zanim zaczną się wiercić, pospałaby jeszcze trochę, dając ojcu przynajmniej pół godziny spokoju więcej.

Będzie w imię pamięci matki opiekować się ze wszystkich sił obiema siostrami, dopóki okaże się to konieczne, ale naprawdę kochała tylko Anthony'ego. Wróciła do łóżka i jeszcze przez moment leżała nieruchomo i wpatrywała się weń, smakując tę chwilę przyjemności, jaką im sprawiało przyglądanie się sobie wzajem. Anthony puścił barierkę łóżeczka, uniósł — jakby parodiując niezgrabnego baletmistrza — jedną nogę, runął na materac, przewrócił się na wznak i wsunąwszy piąstkę do buzi zaczął hałaśliwie ssać. Za chwilę znudzi się tym surogatem jedzenia. Zsunęła nogi z łóżka, poczekała, aż we wszystkich jej członkach obudzi się siła, potem podeszła do łóżeczka, opuściła barierkę i chwyciła Anthony'ego w ramiona. Przewinie go w kuchni, na stole, przykrytym gazetą, a potem posadzi i przypnie w wysokim dziecięcym krzeselku, żeby mógł

I73\

P. D. JAMES

patrzeć, jak podgrzewa mu mleko. Zdaży go nakarmić, zanim obudzą się bliźniaczki, tak że będzie mogła je ubrać i przygotować na przyjazd pani Hunter z Opieki Społecznej, z którą pojedą do ogniska. Potem zje z ojcem śniadanie, a wreszcie — we trójkę z Anthonym — pójdą spacerkiem na skrzyżowanie, gdzie złapie szkolny autobus.

Wyłączała właśnie gaz pod rondelkiem z mlekiem, kiedy zadzwonił telefon. Serce podskoczyło jej do gardła, a potem zaczęło rytmicznie walić. Chwyciła słuchawkę, mając nadzieję, że zdażyła to zrobić dostatecznie szybko, by terkot nie zbudził ojca. Usłyszała mocny, konspiracyjny, ochrypły z podniecenia głos George'a Jago.

— Theresa? Tata wstał?

i — Nie, jeszcze nie, panie Jago. Wciąż śpi.

Pauza, jakby się zastanawiał, a potem: — OK, niech sobie śpi. Powiedz mu, jak wstanie, że Hilary Robarts nie żyje. Została zamordowana. Tej nocy. Znaleziona na plaży.

— Chce pan powiedzieć, że dopadł ją Świstun?

— Na to wyglądało... albo, jeśli chcesz znać moje zdanie, miało na to wyglądać. Ale nie mogło. Świstun już wówczas nie żył od dobrych trzech godzin. Jak ci mówiłem wczoraj wieczorem.

Pamiętasz?

— Tak, pamiętam, panie Jago.

— Dobrze się stało, że wczoraj zadzwoniłem, nie? Powiedziałaś mu, znaczy — tacie?

Powiedziałaś tacie o Świstunie?

Pod jego podnieceniem usłyszała natarczywą nutę niepokoju.

— Tak — odparła. — Powiedziałam mu.

— No więc wszystko w porządku. Teraz mu jeszcze powiedz o panie Robarts. Poproś, żeby do mnie przedzwonił. Mam podrzucić parę osób do Ipswich, ale będę z powrotem koło dwunastej. Albo mógłbym zamienić z nim słówko teraz, gdyby podskoczył do aparatu na jednej nodze.

— Nie podskoczy na jednej nodze, panie Jago. Śpi jak kamień. A ja muszę nakarmić Anthony'ego.

— Dobra. Ale mu powiedz, pamiętaj.

— Tak, na pewno powiem.

— Dobrze się stało, że zadzwoniłem wczoraj wieczorem — powtórzył. — On będzie wiedział, dlaczego.

Odłożyła słuchawkę. Miała wilgotne dłonie. Wytarła je o koszulę nocną i podeszła do kuchenki. Kiedy jednak ujęła rondel, ręce zaczęły jej drżeć tak mocno, że zdała sobie sprawę z tego, iż nie zdoła wlać mleka przez wąską szyjkę butelki. Postawiła butelkę w zlewo-

174

INTRYGII I ŻĄDZE

zmywaku i z wielką ostrożnością napełniła ją w połowie. Potem wypięła Anthony'ego z upręży i trzymając go w ramionach usiadła w niskim foteliku obok kominka. Anthony otworzył usta, wsunęła w nie smoczek i obserwowała, jak zaczął go z zapalem żuć. Oczy niemowlęcia, utkwione w jej twarzy, stały się nagle nieobecne; uniesione pulchne dłonie przykurczyły się jak łapki zwierzęcia.

Wtedy usłyszała skrzyp schodów i do kuchni wszedł ojciec. Nigdy rankiem nie pojawiał się przed nią bez czegoś, czego używał w charakterze szlafroka: zapiętego pod samą szyję starego prochowca. Twarz pod zmierzwionymi od snu włosami była szara i nabrzmiała, oczy natomiast nienaturalnie przekrwione.

— Ktoś może dzwonił? — zapytał.

— Tak, tatusiu, pan Jago.

— Czego chciał o tej porze?

— Chciał powiedzieć, że Hilary Robarts nie żyje. Została zamordowana.

Na pewno zauważy zmianę tonu jej głosu. Odnosiła wrażenie, że ma wargi tak suche, iż muszą się wydawać opuchnięte i zdeformowane; pochyliła niżej głowę, żeby nie mógł zobaczyć jej twarzy. Ale ojciec nie popatrzył na nią i nic nie powiedział. Dopiero odwróciwszy się tyłem zapytał: — A więc to Swistun, co? Dostał ją, prawda? Cóż, sama się prosiła.

— Nie, tatusiu, to nie mógł być Swistun. Nie pamiętasz? Pan Jago zadzwonił do nas wczoraj o wpół do ósmej i powiedział, że Swistun nie żyje. A teraz stwierdził, że jest rad, że wtedy zadzwonił i że będziesz wiedział dlaczego.

Milczał. Usłyszała szum wody, lecącej z kranu do czajnika, potem patrzyła, jak ojciec powoli stawia go na stole, włącza sznur do kontaktu, sięga po kubek. Czowała łomot swojego serca, ciepło Anthony'ego, jego puchatą główkę pod swoim podbródkiem. Zapytała: — Co pan Jago chciał przez to powiedzieć, tatusiu?

— Chciał powiedzieć, że ktokolwiek zabił pannę Robarts, zamierzał zwalić to na Świstuna. A to z kolei oznacza, że policja będzie podejrzewać tylko tych, którzy nie wiedzieli o jego śmierci.

— Ale ty wiedziałeś, tatusiu, bo ci o tym powiedziałam. Odwrócił się i nie patrząc na nią powiedział: — Mamie by się nie podobało, że kłamiesz.

Nie był jednak rozgniewany i wcale jej nie karmił. Jedyńm, co usłyszała w jego głosie, było ogromne znużenie. Powiedziała cichutko: — Ależ to nie jest kłamstwo, tatusiu. Pan Jago zadzwonił, kiedy poszedłeś do ubikacji. Powiedziałam ci jak wróciłeś.

175

P. D. JAMES

Wtedy podniósł głowę i ich oczy się spotkały. Nigdy nie sprawiał wrażenia tak przegranego, tak wyzbytego nadziei. Odrzekł: — W porządku, powiedziałeś mi. I to właśnie oświadczysz policjantom, kiedy cię zapytają.

— Oczywiście, tatusiu. Powiem im co się stało. Pan Jago powiedział mi o Świstunie, a ja powiedziałam tobie.

— A pamiętasz, co na to odrzekłem?

Smoczek skleił się. Wyjęła go z buzi Anthony'ego i potrząsnęła butelką, żeby wypuścić do niej powietrze. Anthony zareagował wściekłym wrzaskiem, który uciszyła, podając mu na powrót smoczek.

— Chyba mówiłeś, że jesteś zadowolony. Że nic nam teraz nie grozi.

— Tak — stwierdził. — Nic nam teraz nie grozi.

— Czy to znaczy, że nie będziemy musieli wynieść się z chaty?

— To zależy. Ale na pewno nie będziemy musieli wyprowadzić się od razu.

— Kto będzie teraz właścicielem, tatusiu?

— Nie wiem. Pewnie ten, kto jest jej prawnym spadkobiercą. Może zechce sprzedać dom.

— A nie moglibyśmy go kupić, tatusiu? Fajnie by było, gdybyśmy go mogli kupić.

— To znowu zależy od ceny. Nie ma sensu zastanawiać się nad tym. Właśnie teraz. Chwilowo wszystko jest w porządku.

— Czy policja do nas przyjdzie? — zapytała.

— Jasne. Prawdopodobnie jeszcze dzisiaj.

— A dlaczego tu przyjdzie, tatusiu?

— Żeby sprawdzić, czy wiedziałem o śmierci Świstuna. Żeby cię zapytać, czy wczoraj wieczorem wychodziłem z domu. Pewnie przyjadą, jak wrócisz ze szkoły.

Nie zamierzała jednak iść do szkoły. Było ważne, żeby dziś nie odstępować boku ojca. I miała na podorędziu wymówkę, ból brzucha. W dodatku prawdziwą, a przynajmniej częściowo prawdziwą. Kucając w toalecie zobaczyła niemal z radością pierwsze różowe oznaki miesiączki.

— Ale ty nie wychodziłeś z domu, tatusiu, prawda? Byłam na dole do piętnaście po ósmej, a potem słyszałam, jak się kręcisz na dole. No i grał telewizor.

— Telewizor nie jest żadnym alibi — odparł.

— Ależ zesłam także na dół. Nie pamiętasz? Położyłam się do łóżka wcześniej, o ósmej piętnaście, ale nie mogłam zasnąć i chciało mi się pić. Więc zesłam tuż przed dziewiątą, żeby napić się wody. Potem

176

INTRYG I ŻĄDZE

usiadłam na mamy krześle i czytałam. Przecież musisz pamiętać, tatusiu. Wróciłam na górę dopiero wpół do dziewiątej.

Stęknął. — Tak, pamiętam.

Nagle uświadomiła sobie, że do kuchni weszły bliźniaczki i stojąc obok siebie w drzwiach wpatrują się w ojca wzrokiem bez wyrazu. Rzuciła ostro: — Wracajcie i ubierzcie się. Nie powinnycie schodzić na dół bez ubrania, możecie się przeziębić.

Posłusznie odwróciły się i szurając stopami ruszyły po schodach na górę.

Z czajnika biła para. Ojciec wyłączył go, ale nie przystąpił do parzenia herbaty. Siedział tylko przy stole, opuściwszy głowę. There-sie wydało się że słyszy jego szept: — Nie jestem ciebie wart. Nie jestem ciebie wart. — Nie widziała jego twarzy, ale przez jedną okropną chwilę odniosła wrażenie, że płacze. Nie przestając karmić Anthony'ego wstała i podeszła do ojca. Obie ręce miała zajęte, ale przynajmniej przysunęła się doń jak najbliżej. Powiedziała:—Wszystko jest dobrze, tatusiu. Nie ma się o co martwić. Wszystko będzie w porządku.

2

W poniedziałek 26 wrześnią Jonathan Reeves pracował na zmianie 8.15—14.45 i jak zwykle pojawił się przy swoim stanowisku jeszcze przed czasem. Dopiero jednak za pięć dziewiąt zadzwonił telefon i Jonathan usłyszał oczekiwany głos. Caroline mówiła z zupełnym spokojem i tylko słowa były ponagląjące.

— Muszę się z tobą zobaczyć. Natychmiast. Możesz się wymknąć?

— Chyba tak. Pan Hammond jeszcze nie przyszedł.

— Spotkajmy się więc w bibliotece. Zaraz. To bardzo ważne, Jonathanie.

Nie musiała mu tego mówić. Nie domagałaby się spotkania w godzinach pracy, gdyby chodziło o jakąś błahostkę.

Biblioteka mieściła się w budynku administracyjnym obok archiwów i w części pełniła rolę świetlicy pracowniczej. Półki ciągnęły się wzdłuż trzech ścian, natomiast środek pomieszczenia umeblowano dwoma wolnostojącymi regałami i ośmioma wygodnymi krzesłami wokół niskich stolików. Kiedy Jonathan wszedł, Caroline była już na

12 Intrygi i żądze

177

P. D. JAMES

miejscu: stojąc obok regału z periodykami, przeglądała najnowszy numer „Nature”. Prócz niej w bibliotece nie było nikogo. Jonathan podszedł do Caroline, zastanawiając się, czy powinien ją pocałować, kiedy jednak odwróciła się i ogarnęła go spojrzeniem, pojął, że byłby to błąd. A przecież było to ich pierwsze spotkanie od tej piątkowej nocy, która w jego życiu zmieniła wszystko. Chyba, będąc ze sobą sam na sam, nie powinni się witać jak ludzie obcy.

Odezwał się z pokorą: — Coś mi chciałaś powiedzieć.

— Za minutkę. Jest akurat dziewiąta. Zamilcz, albowiem przemówi Bóg.

Poderwał głowę. Zaskoczyła go swym tonem tak, jakby wyrzuciła z siebie przekleństwo. Nigdy nie rozmawiali obszerniej o dyrektorze, ale przyjmował za pewnik, że Caroline podziwia doktora Maira i jest zadowolona ze stanowiska jego sekretarki osobistej. Przypomniał sobie usłyszane przypadkiem słowa Hilary Robarts, kiedy Caroline wkroczyła na ogólne zebranie u boku Maira: „A oto Pan i jego wierna służka”. Tak ją właśnie wszyscy postrzegali: jako inteligentną, dyskretną, piękną, ale potulną służebnicę człowieka, któremu — uznawszy, że jest godzin przywiązania — służy z radością i oddaniem.

W głośniku rozległ się trzask, z tła dobiegły jakieś niezrozumiałe słowa, a potem zabrzmiał miarowy, poważny głos Maira: — Zapewne w całej elektrowni nie ma jednej osoby, która by nie wiedziała, iż minionej nocy znaleziono na plaży zwłoki Hilary Robarts. Została zamordowana. Wydawało się zrazu, że jako druga z kolei pracownica Larksoken padła ofiarą Świstuna z Norfolk, teraz jednak jest niemal pewne, iż Świstun zmarł jeszcze przed Hilary. W odpowiednim czasie znajdziemy sposób, by wyrazić nasz smutek i ból z powodu utraty i jej, i Christine Baldwin. Tymczasem śmierć Hilary Robarts stała się przedmiotem policyjnego śledztwa, którym — tak samo, jak dochodzeniem w sprawie morderstw Świstuna — kieruje nadinspektor Rickards z Wydziału Kryminalnego w Norfolk. Przybędzie do elektrowni jeszcze dzisiaj przedpołudnia i być może zechce przesłuchać tych z państwa, którzy znając Hilary najlepiej, mogliby udzielić szczegółowszych informacji o jej życiu. Jeśli zatem ktokolwiek z państwa dysponuje najdrobniejszymi nawet, ale użytecznymi z punktu widzenia policji informacjami, proszony jest o skontaktowanie się z nadinspektorem Rickardsem albo podczas jego pobytu w elektrowni, albo też w Hoveton pod numerem telefonu 499-623.

Głośnik trzasnął jeszcze raz i zamilkł.

— Zastanawiam się — powiedziała Caroline — ile przygotował

178

INTRYG I ŻĄDZE

wersji tej mówki, zanim dopracował właściwą. Łagodna, ostrożna, żadnych brutalnych sformułowań, ale wszystko jasno dane do zrozumienia. I nie zirytował nas paplaniną, jak to ufa, że nie opuścimy się w pracy, bo to byłby tekst dobry dla egzaltowanych uczniów. Nigdy nie traci słów i czasu na rzeczy nieistotne. Fakt, byłby z niego świetny polityk.

— Ten nadinspektor Rickards — powiedział Jonathan. — Czy sądzisz, że zechce przesłuchać wszystkich?

— Wszystkich, którzy znali Hilary. Czyli także nas. I właśnie w tej sprawie chciałam z tobą pomówić. Otóż proponuję, żebyś oświadczył, iż cały wczorajszy wieczór — od szóstej do mniej więcej wpół do dziewiątej — spędziliśmy razem. To znaczy, ją tak powiem, a ty później potwierdzisz moje zeznanie. No i wszystko zależy od tego, czy nikt nie zdoła go podważyć. Tę właśnie kwestię musimy przedyskutować.

Ogarnęło go przerażenie. — Ale przecież nie spędziliśmy. Proszę mnie, bym skłamała. To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Nawet nie wiesz, jakie to niebezpieczne okłamywać policję... taka historia zawsze w końcu wychodzi na jaw.

Zdawał sobie sprawę, jak musi brzmieć jego głos — jak głos wystraszonego dzieciaka, który nie ma ochoty wziąć udziału w niebezpiecznej zabawie. Patrzył gdzieś w przestrzeń, bo nie chciał widzieć jej oczu, przełknięty tym, co mógłby w nich wyczytać: błaganie, gniew, pogardę.

— Dzwoniąc do mnie w sobotę — powiedziała — oświadczyłeś, że twoi rodzice wybierają się do Ipswich i z niedzieli na poniedziałek zanocują u twojej zamężnej siostry. Pojechali, prawda?

— Pojechali — odparł bezradnie.

To właśnie dlatego, że wiedział o ich planowanym wyjeździe, miał nadzieję — właściwie na poły oczekiwał — iż Caroline zaproponuje następne spotkanie. Pamiętał, co mu powiedziała przez telefon: — Posłuchaj, są chwile, kiedy kobieta chce być sama. Czyż tego nie rozumiesz? To, co stało się wczoraj, wcale nie oznacza, że każdą wolną sekundę musimy spędzać we dwoje.

Powiedziałam, że cię kocham, i chyba tego dowiodłam. Czy to nie wystarczy?

Teraz stwierdziła: — Więc wczoraj wieczorem byłeś w mieszkaniu sam. A może nie? Bo jeśli ktoś do ciebie wpadł albo zatelefonował, będę musiała pomyśleć o czymś innym.

— Nikt nie wpadł. Siedziałem sam do lunchu, a potem pojechałem na przejażdżkę.

— O której wróciłeś? Czy ktoś widział, jak wstawiasz wóz do

179

P. D. JAMES

garażu? Ten twój blok jest chyba nieduży? Spotkałeś kogoś w drodze do mieszkania? No a co ze światłami w oknach?

— Zostawiłem włączone. Zawsze tak robimy, kiedy w domu nie ma nikogo. Mama uważa, że tak jest bezpieczniej, bo wszyscy wtedy myślą, że w mieszkaniu ktoś jest. Wróciłem po zmroku.

Chciałem być sam, porozmyślać. Pojechałem do Blakeney i spacerowałem po moczarach. Byłem z powrotem dopiero za kwadrans jedenasta.

Westchnęła z zadowoleniem. — Więc wszystko wygląda doskonale. Spotkałeś kogoś na spacerze?

— Widziałem ze sporej odległości parę z psem. Nawet jeśli mnie znali, chyba nie mieli szansy rozpoznać.

— Gdzie jadłeś? — zapytała ostro, nie dając mu czasu na złapanie oddechu.

— Nigdzie. Dopiero w domu. Nie byłem głodny.

— A zatem wszystko w idealnym porządku. Jesteśmy bezpieczni. Nikt nie szpiegował mnie w domu, nikt nie przyszedł ani nie zadzwonił. Bo zwykle nikt do mnie nie przychodzi ani nie dzwoni. „Szpiegował”. Użyła, pomyślał, bardzo dziwnego słowa. Ale miała rację. Dom, parterowy budynek o architekturze równie mało pomysłowej, jak nazwa — Wśród Pól, stał w całkowitym osamotnieniu przy monotonnej wiejskiej drodze pod Hoveton. Nigdy nie był w środku, bo nie pozwalała się odprowadzać, a kiedy wreszcie obejrzał go w piątek, doznał zaskoczenia, a nawet lekkiego szoku. Oświadczyła, że wynajęła go z meblami od właścicieli, którzy wyjechali na rok do mieszkającej w Australii córki, a później postanowili pozostać tam na stałe. Dlaczego jednak ona tu pozostała? — myślał ze zdumieniem. Z pewnością był w okolicy do wynajęcia jakiś ciekawszy dom lub chata, jakieś niewielkie mieszkanko w Norwich, które mogłaby sobie kupić. Kiedy wchodził w ślad za nią przez drzwi frontowe, uderzył go kontrast pomiędzy nędzną wulgarnością wewnątrz a pogodną pięknnością Caroline. Wciąż pamiętał wszystkie szczegóły: bura wykładzina w sieni; salon, którego dwie ściany pokrywała tapeta w różowe paski, dwie pozostałe natomiast — w wielkie bukiety róż; twarda kanapa i dwa krzesła w brudnych pokrowcach; mała reprodukcja „Wozu z sianem” Constable’a, zawieszona, po pierwsze, zbyt wysoko, żeby ją przyzwoicie było widać, no i, po drugie, w niestosownej bliskości wszechobecnej odbitki przedstawiającej żółtolicą chińską dziewczynę; a wreszcie staromodny, osadzony w ścianie gazowy kominek. Caroline nie uczyniła nic, żeby tu cokolwiek zmienić, nic, żeby wycisnąć na domu piętno swojej osobowości. Było tak, jakby na niedostatki i szpetotę nie zwracała żadnej uwagi. Już w sieni Jonathana przeszedł dreszcz. Miał

180

INTRYGII I ŻĄDZE

ochotę wykrzyknąć: „Będziemy ze sobą pierwszy raz i to jest mój pierwszy raz w ogóle. Czy nie możemy pójść gdzie indziej? Czy to musi stać się tutaj?”

Powiedział żałośnie: — Chyba nie potrafię tego zrobić, a przynajmniej zrobić przekonująco. Nadinspektor Rickards połapie się, że kłamię. Będę miał na twarzy wypisane poczucie winy, zakłopotanie.

Postanowiła traktować go łagodnie. Wyjaśniła więc cierpliwie: — Twoje zakłopotanie go nie zaskoczy. Będiesz mu opowiadał, że kochając się spędziliśmy ze sobą wieczór. Już to jest dostatecznie przekonujące. Zupełnie naturalne. Uznałby za bardziej podejrzane, gdybyś nie miał na twarzy poczucia winy. Czy nie rozumiesz, że poczucie winy i zakłopotanie uczynią twoją opowieść jeszcze bardziej przekonującą?

A zatem nawet jego niedoświadczenie, brak pewności siebie, tak, nawet jego wstyd miały być wykorzystane dla jej celów.

— Posłuchaj — powiedziała — musimy tylko zamienić kolejność tych wieczorów. Piątkowy stanie się wczorajszym. Nic nie fabrykuj, nic nie wymyślaj. Powiedz im, cośmy robili, co jedli — jakie potrawy, jakie wina, o czym rozmawiali. To będzie brzmiało prawdziwie, bo jest prawdą. I nie przyłapią nas pytając o programy telewizyjne, których nie oglądaliśmy.

— Ale przecież to, co się stało, było sprawą prywatną. Dotyczącą tylko nas dwojga.

— Lecz już nie jest. Morderstwa niweczą prywatność. Kochaliśmy się. Policjanci bez wątpienia użyją drastyczniejszego sformułowania, przynajmniej w myślach. Ale kochaliśmy się w mojej sypialni, na moim łóżku. Pamiętasz?

Czy pamiętał? Och, tak, pamiętał. Poczul pieczenie na twarzy. Czuł się tak, jakby płonęło całe jego ciało. Łzy, które napłynęły mu do oczu, mimo że rozpaczliwie mobilizował całą swoją wolę, by je powstrzymać, były również parzące. Mocno zaciskał powieki, bo nie chciał ich wycierać.

Oczywiście, pamiętał. Bezbarwny kwadratowy pokoik na tyłach domu, równie anonimowy jak pokój w byle hotelu; mieszanina podniecenia i zgrozy, która go prawie paraliżowała: jego niezdarne ruchy, jej czułości, które rychło przerodziły się w polecenia. Była cierpliwa, doświadczona i pod koniec przejęła inicjatywę. Cóż, nie był na tyle naiwny, żeby przypuszczać, iż debiutowała równocześnie z nim. Tylko on robił to po raz pierwszy. Stała się, jak wiedział, rzecz nieodwołalna. To ona go posiadała, nie on ją, i ów akt wzięcia w posiadanie miał wymiar nie tylko fizy-

181

P. D. JAMES

czny. Przez moment oniemiał. Trudno było uwierzyć, że ta groteskowa, lecz kontrolowana gimnastyka miała jakikolwiek związek z tą Caroline, która stała teraz tuż przy nim, a przecież była zarazem tak odległa. Z niezwykłą ostrością zwrócił uwagę na nieskalaną czystość szarobiałej pasiastej koszuli o męskim kroju, falowanie długiej szarej spódnicy, na czarne pantofle, prosty złoty łańcuszek i także spinki do mankietów, na złociste włosy splecione w jeden gruby warkocz. Czy to właśnie pokochał — i kochał nadal — czy właśnie ta daleka, chłodna doskonałość była chłopięcym romantycznym ideałem? I pojął, z prawie słyszalnym westchnieniem, że ten ich pierwszy stosunek zniszczył coś więcej, niż afirmował — że tym, czego pragnął wtedy, za czym tęsknił teraz i co utracił na zawsze, była jej niedosiężna piękność. Zarazem wiedział, że wystarczy jeden jej gest, aby podążył za nią do tego parterowego domku, na tamto łóżko.

— Ale dlaczego? — zapytał żałośnie. — Dlaczego? Nie będą cię podejrzewać, przecież nie mogą. To zupełnie absurdalny pomysł. Byłaś z Hilary w dobrych stosunkach. Jesteś w dobrych stosunkach ze wszystkimi pracownikami elektrowni. Jesteś ostatnią osobą, którą mogłaby zainteresować się policja. Nie masz nawet motywu.

— A właśnie że mam. Nigdy jej nie lubiłam i nienawidziłam jej ojca'. To on zrujnował mamę, skazał ją na nędzę w ostatnich latach życia. A ja straciłam szansę zdobycia przyzwoitego wykształcenia. Jestem sekretarką, zasadniczo stenotypistką, i nigdy nie będę nikim więcej.

— Zawsze sądziłem, że możesz zostać tym, kim tylko zechcesz.

— Ale nie bez wykształcenia. W porządku, wiem — można dostać stypendium; tylko że ja musiałam rzucić szkołę i jak najszybciej zacząć zarabiać na życie. I nie chodzi wyłącznie o mnie;

ważne jest to, co Peter Robarts zrobił mamie. Ufała mu. Wszystko, każdy swój grosz, całe pieniądze, które zostawił tatuś, zainwestowała w tę jego firmę. Nienawidziłam go całe życie i z nienawiści do niego znienawidziłam Hilary. Ale jeśli zdołam przedstawić alibi, sprawa zostanie zamknięta raz na zawsze. Dadzą nam spokój, nam obojgu. Musimy tylko powiedzieć, że byliśmy razem, a dadzą nam spokój.

— Przecież nie mogą traktować krzywdy, wyrządzonej twojej matce przez ojca Hilary, jako motywu morderstwa. Czysty bezsens. No i to wszystko zdarzyło się dawno temu.

— Żaden motyw do zabicia innego człowieka nie jest sensowny. Ludzie zabijają z najdziwniejszych powodów. A ja jestem przewrażliwiona na punkcie policji. To irracjonalne, wiem, ale zawsze tak było.

182

INTRYG I ŻĄDZE

Właśnie dlatego prowadzę tak ostrożnie. Wiem, że nie potrafiłabym znieść prawdziwego przesłuchania. Boję się policji.

Zdawał sobie sprawę, że powołuje się na tę łatwą do dowiedzenia prawdę, widząc w niej argument uprawniający i uzasadniający żądanie. Miała obsesję na punkcie przestrzegania ograniczeń prędkości nawet wtedy, gdy droga była idealnie pusta; miała obsesję na punkcie zapinania pasów bezpieczeństwa, stanu technicznego auta. I przypomniał sobie tę sytuację sprzed trzech tygodni, kiedy podczas zakupów w Norwich złodziej wyszarpnął jej torebkę, a ona, lekceważąc ponaglenia Jonathana, odmówiła nawet zgłoszenia wypadku policji. Pamiętał jej słowa:—Nie ma sensu. Nigdy jej nie odzyskają, a my stracimy tylko w komisariacie masę czasu. Chodźmy, miałam w torebce zaledwie parę groszy.

A potem pomyślał: „Sprawdzam, weryfikuję to, co mi mówi”. I doznał przytłaczającego przypiływu wstydu przemieszanego z litością.

— W porządku — usłyszał jej głos. — Proszę o zbyt wiele. Znam te twoje odczucia w sprawie prawdy, uczciwości, ten harcerski katolicyzm. Proszę, żebyś poświęcił dobre mniemanie o sobie. Nikt tego nie lubi. Wszyscy potrzebujemy szacunku do siebie. Jak sądzę, twój polega na przeświadczeniu, że jesteś moralnie lepszy niż reszta. Czy jednak nie ma w tym odrobiny hipokryzji? Mówisz, że mnie kochasz, ale nawet dla mojego dobra nie ubrudzisz się kłamstwem. Nie jest to kłamstwo o dużym ciężarze. Nikomu nie wyrządzi krzywdy. Ale nie możesz się na nie zdobyć. Bo to by było wbrew twojej wierze. Lecz twoja wspaniała wiara nie powstrzymała cię przed pójściem ze mną do łóżka? Sądziłam, że katolicy są zbyt czyści, aby oddawać się okazjnému spółkowaniu.

„Okazyjne spółkowanie”. Każde słowo było jak cios; nie jak ostre bolesne ukłucia, lecz równe, mierzone walenie ciągle w ten sam punkt pokrytego sińcami ciała. Nigdy, nawet podczas tych pierwszych cudownych dni, które ze sobą spędzili, nie zdobył się na to, by rozmawiać z nią o swojej wierze. Od początku dała mu jasno poznać, że dla tej płaszczyzny jego życia nie ma ani sympatii, ani zrozumienia. Więc jak mógłby teraz wyjaśnić, że podążył za nią do tej sypialni bez najmniejszego poczucia winy, bo pożądanie, jakie w nim budziła, było silniejsze od jego miłości do Boga, silniejsze niż wyrzuty sumienia, niż wiara, i nie wymagało ani racjonalizacji, ani usprawiedliwienia, ponieważ usprawiedliwieniem było ono samo? Jak, pytał sam siebie, może być złem coś, o czym mówił mu każdy nerw, każdy mięsień, że jest naturalne, właściwe, a nawet święte?

183

P. D. JAMES

— Dobra — powiedziała — dajmy temu spokój. Proszę o zbyt wiele.

Urażony wzgardą w jej głosie, odparł bezradnie: — To nie o to chodzi. Nie jestem lepszy, wcale nie jestem. I żadna twoja prośba nie będzie dla mnie zbyt wielka. Jeśli to dla ciebie ważne, zrobię jak chcesz.

Spojrzała na niego ostro, jakby usiłując ocenić jego szczerłość i determinację. Usłyszał w jej głosie ulgę, kiedy powiedziała: — Posłuchaj, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, jesteśmy oboje niewinni i o tym wiemy. A to, co powiemy policji, mogło przecież być prawdą.

Popelniła błąd i wyczytał w jej oczach, że natychmiast zdała sobie z tego sprawę. — Mogło być prawdą, ale nie jest — odparł.

— Oto co ma dla ciebie prawdziwe znaczenie! Co jest ważniejsze niż mój spokój wewnętrzny, niż to, co — jak sądziłam — czujemy do siebie.

Pragnął zapytać, dlaczego jej spokój wewnętrzny musi być budowany na kłamstwie. Pragnął zapytać, co, w gruncie rzeczy, do siebie czują, co ona czuje wobec niego.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła: — W końcu, co może nawet jest jeszcze ważniejsze, będzie to alibi również dla ciebie. Przecież wszyscy wiedzą, jak źle odnosiła się do ciebie od czasu tej audycji w lokalnym programie radiowym. Malutki atomowy krzyżowiec Pana Boga. Chyba tego nie zapomniałeś?

Grubiaństwo tej uwagi, ton zniecierpliwienia w jej głosie, przejęły go odrazą. — A co będzie, jeśli nam nie uwierzą? — zapytał.

— Nie przerabiamy tego jeszcze raz. Dlaczego nie mieliby uwierzyć? Zresztą nie ma znaczenia, czy uwierzą. Liczy się tylko to, że nie zdołają dowieść nam kłamstwa. I w końcu jest rzeczą zupełnie naturalną, że z sobą byliśmy. Przecież nie chodzimy razem Od wczoraj. Posłuchaj, muszę już wracać do biura. Będziemy w kontakcie, ale chyba nie powinniśmy spotykać się dziś wieczorem.

Wcale nie oczekiwał, że spotkają się dzisiaj wieczorem. Wieści o ostatnim morderstwie zostały przekazane przez lokalną stację radiową, rozchodziły się z ust do ust. Matka, spragniona plotek, będzie niecierpliwie wyczekiwać jego powrotu z pracy.

Było jednak coś, co przed rozstaniem musiał powiedzieć Caroline; zdobył się jakoś na odwagę.

— Dzwoniłem do ciebie wczoraj wieczorem. Jadąc samochodem. Stałem przy budce telefonicznej i zadzwoniłem. Nie było cię w domu.

184

INTRYG I ŻĄDZE

Zapadła krótka chwila ciszy. Rzucił nerwowe spojrzenie na twarz Caroline, która jednak była pozbawiona wyrazu. — O której?

— Mniej więcej za dwadzieścia dziesiąta, może odrobinę później.

— Dlaczego? Dlaczego zatelefonowałeś?

— Chciałem z tobą pomówić. Czuję się samotny. Chyba miałem lekką nadzieję, że zmieniłaś zdanie i poprosisz, żebym przyszedł.

— No dobrze. Właściwie możesz się dowiedzieć. Wczoraj wieczorem byłam na przylądku.

Wzięłam Remusa na spacer. Zostawiłam wóz na gruntowej drodze za wioską i doszłam do samych ruin opactwa. Byłam tam, sądzę, około dziesiątej.

— Byłaś tam! — powtórzył z przerażeniem. — A ona przez cały ten czas leżała martwa kilka jardów od ciebie.

— Nie kilka, a raczej bliżej setki — odparła ostro. — Nie istniała najmniejsza szansa, żebym ją mogła znaleźć i, jeśli o tym myślisz, nie widziałam jej zabójcy. Trzymałam się grzbietu klifu. Nie schodziłam na plażę. Bo gdybym zeszła, to policjanci znaleźliby moje ślady, moje i Remusa.

— Ktoś jednak mógł cię widzieć. Noc była księżycowa i bardzo jasna.

— Na przylądku panowała idealna pustka. Morderca, nawet jeśli mnie widział, skryty wśród drzew, na pewno nie palił się do wyjścia na otwarty teren. Ale moja sytuacja nie jest najszcześniejsza. Właśnie dlatego potrzebuję alibi. Nie miałam ci zamiaru tego powiedzieć, ale teraz już wiesz. Nie zabiłam jej, byłam jednak w pobliżu miejsca zbrodni i miałam motyw. Dlatego proszę cię o pomoc.

Po raz pierwszy Jonathan wykrył w jej głosie łagodniejszy, może nawet błagalny ton. Drgnęła, jakby zamierzała go dotknąć, ale zaraz rozmyśliła się i ten odruch wahania, ta rezygnacja, rozczuliła go nie mniej, niż doprowadzony do końca gest. Uraz i żal ostatnich dziesięciu minut ustąpiły miejsca przyływowi czułości. Miał tak zdrętwiałe usta, że mówienie przychodziło mu z trudem, ale znalazł wreszcie właściwe słowa.

— Oczywiście, pomogę — powiedział. — Kocham cię. I nie zawiodę. Możesz na mnie polegać.

P. D. JAMES

Rickards uzgodnił z Aiexer Mairem, że będzie w elektrowni o dziewiątej rano, przedtem jednak zamierzał wpaść do Chaty Żeglarza i zobaczyć się z Ryanem Blaneyem. Wizyta wymagała delikatności. Wiedział, iż Blaney ma dzieci i że przesłuchanie przynajmniej najstarszej córki, będzie rzeczą niezbędną. Nie mógł go jednak przeprowadzić, nie mając ze sobą policjantki, której przyjazd został z racji jakichś niedopatrzeń opóźniony. Była to jedna z owych względnie drobnych irytujących kwestii, które niechętnie przyjmował do wiadomości; rozumiał jednak, że w tych okolicznościach dłuższy pobyt u Blaneyów nie byłby rzeczą rozsądną. Bez względu na to, czy facet okaże się poważnym podejrzanym, czy też nie, nie mógł ryzykować w przyszłości zarzutu, iż wydobyl informacje od osoby nieletniej z pominięciem regulaminowej procedury. Z drugiej strony Blaney miał prawo wiedzieć, jaki los spotkał jego obraz i jeśli nie powie mu o tym policja, błyskawicznie wyręczy ją ktoś inny. Rickardsowi zaś zależało na tym, by widzieć twarz Blaneya w chwili, gdy usłyszy nowiny tak o swoim pociętym płótnie, jak i zamordowaniu Hilary Robarts. Pomyślał, że nie widział w życiu miejsca tak przynębiającego, jak Chata Żeglarza. Padał drobny deszczyk i Rickards dojrzał chatę, stojącą w środku zaniedbanego ogrodu, poprzez migocącą mgłę, która zdawała się wchłaniać kształty i kolory, przekształcając świat w wilgotną amorficzną szarość. Pozostawiawszy w aucie detektywa-konstabla Gary'ego Price'a, Rickards z Oliphantem podążyli w stronę ganku, zarosłą zielskami ścieżyną. Nie było dzwonka, kiedy jednak Oliphant łupnął żelazną kołatką, drzwi otworzyły się niemal natychmiast i Ryan Blaney, chudy mężczyzna liczący sześć stóp wzrostu, powitał ich niechętnym spojrzeniem swoich zmętniałych oczu. Wydawało się, że ostatnia drobina barwy odpłynęła nawet z jego rudawych włosów, i Rickards pomyślał, że nigdy nie widział człowieka, który sprawiając wrażenie tak wykończonego, wciąż jednak trzymał się na nogach. Blaney nie zaprosił ich do środka, a Rickards tego nie sugerował. To może poczekać do chwili, gdy przyjdzie tu w towarzystwie policjantki. Blaney też może poczekać. Rickards pragnąłby już być w Elektrowni Jądrowej Larksoken. Poinformował Blaneya, że jego pocięty obraz został znaleziony w Tymiankowej Chacie, ale nie podał żadnych szczegółów. Nie było odpowiedzi. Zapytał: — Czy pan mnie słyszał, panie Blaney?

186

INTRYGI I ŻĄDZE

- Tak, słyszałem pana. Wiedziałem, że portret zniknął.
 - Od kiedy?
 - Od wczorajszego wieczoru, była wtedy może za kwadrans dziesiąta. Wpadła po obraz panna Mair. Dziś rano miała go ze sobą zabrać do Norwich. Powie panu. Gdzie teraz jest?
 - U nas. Trzeba będzie go zbadać. Naturalnie, otrzyma pan kwit.
 - A po co to wszystko? Możecie sobie zatrzymać i obraz, i kwit. Pocięty na kawałki, powiada pan?
 - Nie na kawałki, są dwa czyste cięcia. Może da się naprawić. Przywieziemy ze sobą następnym razem, żeby mógł go pan zidentyfikować.
 - Nie chcę go widzieć na oczy. Zatrzymajcie sobie ten obraz.
 - Będzie nam potrzebna identyfikacja, panie Blaney. Ale o tym pogadamy sobie przy następnym spotkaniu. Kiedy, nawiasem mówiąc, ostatnio widział pan portret?
 - W czwartek wieczorem, kiedy zapakowałem go i postawiłem w szopie. I o czym tu gadać? Był najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem, a ta kurwa go zniszczyła. Poproście o zidentyfikowanie Alice Mair albo Adama Dalglisha. Oboje widzieli portret.
 - Czy chce pan powiedzieć, że wie, kto to zrobił?
- Znów zapadła cisza. Przerwał ją Rickards. — Będziemy u pana późnym popołudniem, prawdopodobnie między czwartą a piątą, jeśli to panu odpowiada. Przywieziemy policjantkę i będziemy musieli porozmawiać z dziećmi. Są, jak przypuszczam, w szkole?
- Bliźniaczki są w ognisku, a Theresa w domu. Nie czuje się dobrze. Tylko niech pan nie mówi, że zadajecie sobie tyle fatygi z powodu jednego pociętego portretu. Odkąd to policja tak się przejmuje obrazami?
 - Przejmujemy się aktami kryminalnego wandalizmu. Jest jednak coś jeszcze. Muszę pana

poinformować, że Hilary Robarts została zamordowana wczoraj wieczorem.

Mówiąc to wpatrywał się badawczo w twarz Blaney. To był moment podniesienia kurtyny, może nawet prawdy. Jest z pewnością niemożliwe, aby wysłuchawszy tej nowiny Blaney nie zdradził jakichś uczuć: szoku, strachu, prawdziwego czy udanego zaskoczenia. Zamiast tego jednak powiedział spokojnie: — Tego też nie musiał mi pan mówić. Wiedziałem. George Jago dzwonił rano z „Naszego Bohatera”.

Czy naprawdę? — pomyślał Rickards i w myślach dorzucił George'a Jago do listy osób, które trzeba będzie przesłuchać przy

187

P. D. JAMES

pierwszej nadarzającej się okazji. Zapytał: — Czy stan zdrowia pozwoli Theresie porozmawiać z nami dziś po południu?

— Będzie tutaj i będzie czuła się dostatecznie dobrze. Potem zatrzęsnał im przed noisem drzwi. Oliphant stwierdził: — Bóg raczy wiedzieć, dlaczego Robarts w ogóle chciała kupować tę norę. A teraz od miesiący usiłowała ich wyeksmitować. I w Lydsett, i na przylądku wiele się o tym mówiło. — Poinformował mnie pan o tym po drodze. Jeśli jednak Blaney ją zabił, to po co miałyby zwracać na siebie uwagę wrzucając ten obraz do Tymiankowej Chaty? A dwa nie związane ze sobą przestępstwa — morderstwo i złośliwe zniszczenie — są zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, aby można go było przełknąć.

Dzień nie zaczynał się dobrze. Siąpiący deszczyk, któremu udawało się jakoś przenikać za kołnierz, jeszcze powiększał przygnębienie Rickardsa. Jadąc przez przylądek nie zauważył deszczu i gotów był niemal dać wiarę, że ta dróżka i ta malownicza, ale zgniła buda tworzą swój własny, przygnębiający mikroklimat. Czekają go niejedno, zanim tu wróci na bardziej stanowczą konfrontację z Ryanem Blaneyem, i nie miał ochoty na żaden punkt dzisiejszego programu. Kiedy szarpał furtką, aby przeciągnąć ją przez rosnącą na samym środku ścieżki kępę zielska, obrzucił chatę ostatnim spojrzeniem. Z komina nie leciał dym, a okna, zamglone od soli, były szczelnie pozamykane. Trudno było uwierzyć, że mieszka tu rodzina, że ten dom nie został już dawno opuszczony, by murszeć i popadać w ruinę. A potem, w prawym oknie na górze, dostrzegł bladą twarz, okoloną złotorudymi włosami. Wpatrywała się w nich Theresa Blaney.

4

Dwadzieścia minut później trzech funkcjonariusze byli w Elektrowni Jądrowej Larksoken. Zarezerwowano dla nich miejsce na parkingu zlokalizowanym nie opodal wartowni, przed ogradzającą teren siatką. Brama, gdy się do niej zbliżyli, została otwarta, z budynku wyszedł jeden ze strażników i usunął ruchome stożkowate pachołki. Formalności potrwały zaledwie kilka chwil. Powitani z beznamiętną uprzejmością przez umundurowanego dowódcę warty, wpisali się do

188

INTRYG I ŻĄDZE

księgi i otrzymali plakietki identyfikacyjne. Wartownik telefonicznie przekazał wiadomość o ich przybyciu, oświadczył, że sekretarka dyrektora, panna Amphlett, zjawi się lada moment, i z pozoru przestał się nimi interesować. Jego kolega — ten, co otwierał bramę i usuwał pachołki — stał odprężony i gawędził z krępy męczczyzną w stroju nurka, trzymającym pod pachą hełm; zapewne pracownikiem jednej z wież ciśnień. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego przyjazdem policji. Jeśli doktor Mair wydał instrukcję? by powitać funkcjonariuszy uprzejmie, ale z minimum zamieszania, jego personel spisywał się na medal. Przez okno wartowni spostrzegli, że jakaś kobieta, przypuszczalnie panna Amphlett, idzie ku nim niespiesznie betonową alejką. Była wyniosła, opanowaną blondynką, która — znalazłszy się już w ich towarzystwie — zignorowała zuchwałe spojrzenie Oliphanta, jakby go w ogóle nie było, i poważnie powitała Rickardsa. Nie odpowiedziała jednak uśmiechem na jego uśmiech albo dlatego, iż uznała taką reakcję za niestosowną w tych okolicznościach, albo też dlatego, że wedle jej opinii tylko niektórzy goście Larksoken zasługują na takie powitanie, funkcjonariusz policji zaś nie zalicza się do ich elitarnego grona.

Powiedziała: — Doktor Mair oczekuje pana, nadinspektorze

— i odwróciła się, by im służyć za przewodniczkę. Rickards poczuł się jak pacjent, którego pielęgniarka prowadzi do gabinetu lekarza. Sekretarka osobista wiele mówi o swoim szefie, a to, co na temat Aiexa Maira Rickards wyczytał z panny Amphlett, utwierdziło w nim prywatne wyobrażenia. Pomyślał o swojej sekretarce, dziewiętnastoletniej rozczochranej Kim, która ubierała się wedle najbardziej awangardowych wskazań aktualnej mody, której stenotypy były równie mało wiarogodne jak punktualność, która jednak nawet najmniej szacownych gości witała szerokim uśmiechem i propozycją

— przyjmowaną wyłącznie z braku wyobraźni i rozwagi — biurowej kawy oraz herbatników. Pomiędzy rozległymi trawnikami szli w ślad za panną Amphlett do budynku administracyjnego. Była kobietą narzucającą atmosferę skrępowania i Oliphant, najwyraźniej odczuwając potrzebę samopotwierdzenia się, zaczął paplać.

— Tam, w prawo, jest hala turbin, panie nadinspektorze, a za nią budynek reaktora i instalacje schładzające. Po lewej warsztaty. To reaktor termiczny Magnox, panie nadinspektorze, wprowadzony do użycia w roku 1956. Wyjaśniono nam to wszystko podczas zwiedzania. Paliwem jest metaliczny uran. Żeby zatrzymać ucieczkę neutronów i móc wykorzystywać naturalny uran, paliwo umieszcza się w długich,

189

P. D. JAMES

rurowych pojemnikach wykonanych ze stopu magnezu — Magnoxu, który słabo pochłania neutrony, za to silnie je odbija. Stąd wzięła się nazwa reaktora. Ciepło odzyskuje się przepuszczając pomiędzy prętami paliwowymi w rdzeniu reaktora dwutlenek węgla, który następnie przekazuje to ciepło wodzie w wytwornicy pary, para wreszcie porusza turbinę połączoną z generatorem elektrycznym.

Rickards-byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby Oliphant nie czuł potrzeby dzielenia się w towarzystwie panny Amphlett swoją powierzchowną wiedzą o energetyce jądrowej, i miał tylko nadzieję, że są to informacje z grubsza prawidłowe. Oliphant ciągnął: — Oczywiście, ten rodzaj reaktora to już dziś prehistoria i dlatego zastępuje się go typem ciśnieniowo-wodnym, takim właśnie, jaki budują w Sizewell. Sizewell również zwiedzałem, panie nadinspektorze. Pomyślałem, że nie zaszkodzi zrozumieć, o co chodzi w tym całym interesie.

A jeśli istotnie zrozumiałeś, mój mały słoniku, pomyślał Rickards, to jesteś bystrzejszy, niż ci się nawet zdaje.

Gabinet na pierwszym piętrze budynku administracyjnego, do którego ich wprowadzono, poraził Rickardsa swoim ogromem. Był niemal pustą kompozycją z przestrzeni i światła, pomyślaną tak, by mówiła coś o człowieku, który podniósł się z za swego olbrzymiego czarnego biurka i czekał z posępną powagą na obliczu, kiedy szli doń po ciągnącym się w nieskończoność chodniku. Jeszcze ściskając silną i nieprzyjemnie chłodną dłoń Maira, Rickards inwentaryzował i zapisywał w pamięci najbardziej charakterystyczne cechy gabinetu. Dwie ściany, zachodnia i północna, były gładkimi płaszczyznami, pomalowanymi jasnoszarą farbą, dwie pozostałe natomiast — sięgającymi od podłogi po sufit płytami szkła, za którymi rozpościerała się panorama nieba, morza i przylądka. Poranek był pochmurny, ale blada, zagadkowa poświata przesyciała powietrze, horyzont rozmazywał się we mgle, tak że niebo i morze zlały się w jedną roziskrzoną szarość. Przez moment Rickards doznał wrażenia, iż całkowicie nieważki unosi się w kosmosie, otoczony ścianami jakiejś osobliwej futurystycznej kapsuły. A potem na tę nałożyła się inna wizja. Usłyszał pulsujący pomruk silników i poczuł, że statek drży, tnąc dziobem napierające fale oceanu.

Gabinet umeblowany był spartańsko. Nie zagracone biurko Maira, z wysokim, ale wygodnym fotelem dla gościa po drugiej stronie, stało frontem do południowego okna i ustawionego tuż przed nim stołu konferencyjnego z ośmioma krzesłami. Gablota — jedyny mebel przy oknie na wschód — zawierała model, zgadywał Rickards, nowego reaktora ciśnieniowo-wodnego, który miano zbudować na terenie

190

INTRYG I ŻĄDZE

Larksoken. Wystarczyło rzucić okiem, by stwierdzić, że mistrzowsko wykonany model — cudeńko

ze szkła, stali i pleksiglasu — ma właściwie autonomiczną wartość przedmiotu dekoracyjnego. Ścianę północną zdołał jedyny w gabinecie obraz: wielki olej, przedstawiający na tle monotonnego piaskowo-krzewiastego pejzażu, ograniczonego w dali łańcuchem gór, mężczyznę ze strzelbą, który dosiadał chudego konia. Mężczyzna nie miał głowy, lecz kanciasty hełm z czarnego metalu, ciachnięty wąską szczeliną na oczy. Rickards uznał obraz za niepokojący i budzący trwogę. Kołatało mu się po głowie, że kiedyś widział albo jego kopię, albo coś bardzo podobnego, i że twórcą płótna jest Australijczyk. Ogarnęła go irytacja, gdy złapał się na myśli, że Adam Dalgliesh na pewno zna tytuł dzieła i nazwisko malarza.

Mair podszedł do stołu konferencyjnego, ujął jedno krzesło i dostawił je do biurka. Mieli siedzieć przodem do niego. Po krótkim wahaniu Gary Price przyniósł krzesło także dla siebie, postawił je za Mair i dyskretnie wyjął notes. Patrząc w szare ironiczne oczy dyrektora elektrowni, Rickards zaczął się zastanawiać, jak postrzega go Mair i w tym samym momencie w jego pamięci obudziły się, nieproszone, fragmenty rozmowy, jaką usłyszał kiedyś przypadkowo w stołówce Scotland Yardu.

— Och, Ricky nie jest durniem. Ma znacznie więcej oleju w głowie, niżby wskazywał na to jego wygląd.

— Tym lepiej dla niego. Przypomina mi jedną z tych postaci, jakie widuje się w każdym filmie wojennym. Biednego, poczciwego kutasa, który zawsze kończy z twarzą w błąku i kulą w piersi. Cóż, tego przesłuchania nie zamierzał skończyć z twarzą w błąku. To nic, że gabinet sprawia takie wrażenie, jakby został zaprojektowany specjalnie po to, żeby go zastraszyć; jest tylko gabinetem do pracy. Alex Mair natomiast, mimo całej swojej pewności siebie i legendarnego intelektu, jest tylko człowiekiem i jeśli zabił Hilary Robarts, skończy — jak kończyli lepsi od niego — spoglądając na niebo przez żelazne kratki i widząc zmieniające się oblicze morza tylko w wyobraźni.

Kiedy się usadowili, Mair powiedział: — Przypuszczam, że będziecie, panowie, potrzebowali jakiegoś pomieszczenia do przesłuchań. Zarządziłem, aby po zakończeniu tej rozmowy otrzymali panowie do dyspozycji mały pokój w Dziale Medycznym. Zaprowadzi tam panów panna Amphlett. Nie wiem, jak wiele czasu będziecie musieli u nas spędzić, na wszelki jednak wypadek zaopatrzyliśmy pokój w małą lodówkę i sprzęt do parzenia kawy i herbaty. Oczywiście,

191

P. D. JAMES

możecie również, panowie, prosić o przysyłanie napojów z kantyny i korzystać z serwowanych tam prostych posiłków. Panna Amphlett zaopatrzy was w dzisiejsze menu.

— Dziękuję — odparł Rickards. — Będziemy sami parzyć sobie kawę.

Czuł się w pozycji petenta i zastanawiał się, czy został w nią wmanewrowany. Będą potrzebowali pokoju do przesłuchań i trudno się uskarżać, że potrzeba taka została przewidziana. Niemniej początek uznałby za lepszy, gdyby to on okazywał inicjatywę; miał

— może nielogiczne — odczucie, że było coś poniżającego zawód, jaki wykonywał, w tych gorliwych zapewnieniach, że dostanie tu jeść i pić. Słane mu nad blatem biurka spojrzenie było wolne od niepokoju, zamyślane, niemal — skłonny był sądzić — szacujące. Wiedział, że stanął oto w obliczu potęgi i to potęgi, której działania dotąd właściwie nie doświadczył: potęgi pewnego siebie autorytetu intelektualnego. Cała gromada naczelników policji przedstawiałaby się mniej groźnie.

Alex Mair powiedział: — Pański naczelnik już się skontaktował ze Służbą Dochodzeniową Komisji Energii Atomowej. Inspektor Johns-ton pragnąłby dzisiaj rano zamienić z panem słówko, najchętniej zanim przystąpi pan do przesłuchań. Zdaje sobie sprawę, iż zasadnicza odpowiedzialność spoczywa na policji z Norfolk, jest jednak — co naturalne — zainteresowany całą historią.

— Przyjmujemy to do wiadomości — odparł Rickards — i będziemy mu wdzięczni za współpracę.

Bo będzie to współpraca, nie zaś wtykanie nosa w cudze sprawy. Zapoznał się był z powinnościami Służby Dochodzeniowej i dostrzegał ryzyko potencjalnych niesnasek i zachodzenia na siebie kompetencji. To jednak śledztwo pozostawało wyraźnie w gestii miejscowego Wydziału

Kryminalnego i było traktowane jako kontynuacja dochodzenia w sprawie Świstuna. Jeśli inspektor Johnston jest gotów zachowywać rozsądek, odpłaci mu tym samym, nie była to jednak kwestia jaką zamierzał omawiać z doktorem Mairem.

Mair wysunął prawą szufladę biurka i wyjął kartonową teczkę.

— Oto akta osobowe Hilary Robarts — powiedział. — Nie ma żadnych przeciwwskazań, by je pan sobie obejrzał, aczkolwiek zawierają tylko fakty podstawowe: wiek, miejsca, gdzie się uczyła, stopnie, przebieg pracy zawodowej, zanim przyszła do nas w 1984 i objęła stanowisko zastępczyni kierownika działu administracyjnego. Curriculum vitae, w którym nieobecność vitae rzuca się w oczy z uderzającą siłą. Suchy szkielet życia.

192

INTRYG I ŻĄDZE

Mair pchnął teczkę przez biurko i w geście tym było coś osobliwie ostatecznego. Życie zamknięte, definitywnie zakończone. Rickards podniósł teczkę i powiedział: — Dziękuję, panie dyrektorze. Na pewno te akta będą dla nas bardzo użyteczne. A teraz czy nie zechciałby pan oblec przynajmniej niektórych kości odrobiną ciała? Czy znał ją pan dobrze?

— Bardzo dobrze. W istocie przez jakiś czas byliśmy kochankami. Co niekoniecznie, przyznaję, zakłada coś więcej, niżli intymność czysto fizyczną, przypuszczalnie jednak nikt w całej elektrowni nie znał jej lepiej ode mnie.

Mówił spokojnie, bez odrobiny zażenowania, jak gdyby informował o fakcie zupełnie błahym, że — na przykład — uczęszczał z panną Robarts na tę samą uczelnię. Rickards zastanawiał się, czy Mair oczekuje, że w swoich pytaniach pójdzie tropem jego oznajmienia.

— Czy lubiano ją? — zapytał.

— Była wysoce kompetentna, a dwie te cechy nie zawsze idą w parze. Ci jednak pracownicy, którzy mieli z nią bezpośredni kontakt, szanowali ją i zasadniczo lubili. Będzie nam jej brak; przypuszczalnie odczujemy to z większą mocą, niż gdyby jej los spotkał kogoś z bardziej ostentacyjnie popularnych kolegów.

— Panu również będzie jej brak?

— Nam wszystkim.

— Kiedy zakończył się wasz romans, doktorze Mair?

— Mniej więcej trzy miesiące temu.

— Bez urazy?

— Bez grózb i płaczu. Od pewnego czasu spotykaliśmy się coraz rzadziej. Moja osobista przyszłość nie rysuje się w chwili obecnej całkiem wyraźnie, jest jednak mało prawdopodobne, abym miał dłuższy czas pełnić obowiązki dyrektora. Do zakończenia romansu podchodzę bardzo podobnie jak do zakończenia pracy na pewnym stanowisku: z naturalnym uczuciem, że oto jakiś etap życia dobiegł po prostu kresu.

— Dzieliła z panem takie podejście?

— Przypuszczam. Rozstaniu towarzyszyło niejakiemu uczucie żalu, sądzę jednak, iż żadne z nas nie wyobrażało sobie, że łączy nas wielka namiętność, bądź też że nasz związek okaże się trwały.

— Nie było zatem innego mężczyzny?

— Przynajmniej takiego, o którym wiem, ale, w końcu, dlaczego miałbym wiedzieć?

— Byłby pan więc zaskoczony — powiedział Rickards — na wieść,

13 Intrygi i żądze

193

P. D. JAMES

że w niedzielę rano napisała do swojego adwokata w Norwich, prosząc o spotkanie w celu omówienia swego testamentu, a także informując go, iż — wedle swych przewidywań — wyjdzie niebawem za mąż? Nie wysłany list o takiej właśnie treści znaleźliśmy wśród jej papierów.

Mair gwałtownie zamrugał oczyma, poza tym jednak nie okazał żadnej reakcji. Odparł beznamiętnie: — Tak, byłbym zaskoczony, choć właściwie nie wiem, z jakiego powodu. Zapewne dlatego, że prowadziła tu dość pustelniczy żywot i trudno sobie wyobrazić, jak znalazła czas i okazję, by zbudować nowy związek. Jest, oczywiście, całkiem prawdopodobne, iż wypłynął jakiś

mężczyzna z jej przeszłości, z którym teraz doszła do porozumienia. Obawiam się, że w tej kwestii nie mogę panu pomóc.

Rickards postanowił zwękslować rozmowę na inny tor.

— Jak się zdaje, spore emocje budzi fakt, iż nie była panu zbyt pomocna podczas publicznych konferencji w sprawie budowy drugiego reaktora. Nie udzielała się podczas przesłuchań oficjalnych, prawda? Nie bardzo więc wiem, czy odegrała w całej procedurze jakąś rolę.

— Oficjalnie nie odegrała. Lecz przy okazji jednego czy dwóch spotkań publicznych wdała się w nieroztropne potyczki słowne z krzykaczami. Później, podczas jednego z naszych dni otwartych, zastąpiła chorego naukowca, który zwykle towarzyszył zwiedzającym. Odpowiadając na niektóre pytania, okazała się — być może — mniej taktowna, niżby należało. Po tym incydencie w myśl moich poleceń przestała angażować się bezpośrednio w kontakty z opinią publiczną.

— Była więc kobietą prowokującą konflikty? — zapytał Rickards.

— Nie była jednak, skłonny jestem sądzić, kobietą prowokującą morderstwa. Oddana swojej pracy, z najwyższym trudem tolerowała coś, co uważała za zatwardziały obskurantyzm. Nie mając wykształcenia naukowego, zdobyła jednak znaczną wiedzę o nauce, która wyjaśnia mechanizmy tego, co się tutaj dzieje. Przy okazji, być może, nabrała nadmiernego szacunku dla poglądów naukowych, popieranym autorytetem ekspertów. Wielokrotnie podkreślałem, iż nie można oczekiwać, że postawę taką podzielią najszerze kręgi społeczeństwa, którym w ostatnich latach eksperci wmawiali zapewne, że drapacze chmur nigdy się nie wałą, londyńskiej kolejce podziemnej nie grożą pożary, a promy płynące przez kanał nie wywracają się do góry kilem.

Oliphant, który do tej chwili zachowywał milczenie, powiedział nagle: — Byłem jednym z gości podczas dnia otwartego. Ktoś ją zapytał o Czarnobyl. Uczyniła wtedy, nieprawdaż, uwagę o „zaledwie trzydziestu ofiarach, więc czym tu się przejmować?” Tak właśnie

194

INTRYG I ŻĄDZE

powiedziała, czyż nie? No więc aż się to prosiło o następne pytanie: jaka, zdaniem panny Robarts, liczba ofiar jest nie do zaakceptowania?

Alex Mair przeciągle popatrzył na Oliphanta, jakby zdumiony faktem, że gość w ogóle umie mówić, potem zamyślił się przez chwilę i odrzekł: — Porównując straty w ludziach, powstałe podczas katastrofy w Czarnobylu, z ilością zgonów przy okazji wypadków w fabrykach i kopalniach, przeprowadzała całkowicie sensowny dowód, jakkolwiek mogła to uczynić z większym taktem. Czarnobyl to drażliwy temat. Mamy już po uszy wyjaśniania opinii publicznej, że rosyjski reaktor typu RBMK ma sporą liczbę wad konstrukcyjnych, a w szczególności skłonność do gwałtownego wzrostu mocy w wypadku awarii chłodzenia. Takie konstrukcje, jak Magnox, AGR — ulepszony reaktor gazowy moderowany grafitem — czy też ciśnienio-wo-wodny PWR, nie mają tej cechy w żadnych warunkach eksploatacyjnych, a zatem zaistnienie podobnego wypadku jest fizycznie niemożliwe. Wybacz pan, jeśli brzmi to nadmiernie technicznie. Mówię po prostu rzecz taką: to się tu nie wydarzy, to się tu nie może zdarzyć i, w istocie, to nie zdarzyło się tutaj.

— Jest rzeczą mało ważną, panie dyrektorze — odparł z powagą Oliphant — czy wypadek miał miejsce tu, czy gdzie indziej, skoro zbieramy jego owoce. Czy przypadkiem Hilary Robarts nie wniosła przeciwko jednemu z członków miejscowej społeczności pozwu o zniesławienie, jakiego ten dopuścił się ponoć podczas owego spotkania, w którym brałem udział?

Ignorując go, Alex Mair zwrócił się do Rickardsa. — To chyba sprawa powszechnie znana. Był to, moim zdaniem, błąd. Miała uzasadnione pretensje, prawdopodobieństwo jednak, że uzyska satysfakcję na drodze sądowej, nie wydawało się wysokie.

— W interesie firmy próbował jej pan wybić to z głowy? — zapytał Rickards.

— I w jej własnym. Tak, próbowałem.

Zadzwoił stojący na biurku telefon. Mair wcisnął guziczek i powiedział: — To już nie potrwa długo. Powiedz mu, że oddzwonię w ciągu dwudziestu minut.

Rickards zastanawiał się, czy ten telefon został przez Maira zaaranżowany zawczasu. Jakby potwierdzając to podejrzenie, Mair stwierdził: — Z powodu mojego niedawnego związku z panną Robarts będzie pan chciał zapewne wiedzieć, co robiłem w niedzielę. Może opowiem się z moich

poczyńań już teraz. Obaj, jak sądzę, mamy przed sobą pracowity dzień.

195

P. D. JAMES

Było to niezbyt subtelne przypomnienie, że najwyższy już czas przystąpić do rzeczy.

Rickards zapanował nad głosem i odrzekł spokojnie: — Byłoby to dla nas bardzo pomocne, radie dyrektorze.

Gary Price, jakby skarcono go za nieuwagę, skwapliwie pochylił głowę nad notesem.

— Te sprzed niedzielnego wieczoru nie mają wprawdzie wielkiego znaczenia, ale chyba nie zaszkodzi, jeśli zrelacjonuję cały weekend. Wyjechałem stąd w piątek za kwadrans jedenasta; dotarwszy do Londynu zjadłem w Reform Club lunch ze swoim starym uniwersyteckim kolegą, a następnie — o drugiej trzydzieści — udałem się na spotkanie z podsekretarzem stanu do ministerstwa energetyki. Potem spędziłem nieco czasu w swoim mieszkaniu, wieczorem natomiast, w towarzystwie trojga przyjaciół, obejrzałem w Barbican Theatre „Poskromienie złośnicy”. Jeśli, co wydaje się mało prawdopodobne, zechce pan potwierdzić moje zeznanie, służę nazwiskami. W drogę powrotną do Larksoken wyruszyłem w niedzielę rano, lunch zjadłem w przydrożnym pubie i dotarłem do domu około czwartej. Wypiłem herbatę, przespacerowałem się po przylądku i po jakiejś godzinie wróciłem do Chaty Męczennicy. Około siódmej zjadłem w towarzystwie siostry szybką kolację i o siódmej trzydzieści albo odrobinę później pojechałem do elektrowni, gdzie w sali komputerowej pracowałem samotnie do dziesiątej trzydzieści, kiedy to postanowiłem wrócić do domu. Jechałem drogą nadbrzeżną, gdy zatrzymał mnie komendant Dalgliesh, informując, że Hilary Robarts została zamordowana. Resztę pan wie.

— Niezupełnie, doktorze Mair — odparł Rickards. — Trochę to trwało, zanim dotarliśmy na miejsce. Czy nie dotykał pan zwłok?

— Stałem i patrzyłem na nią, ale nie dotykałem. Dalgliesh nader sumiennie wypełniał swoje — czy, powinienem raczej powiedzieć, pańskie — obowiązki. Słusznie upomniał mnie, że niczego nie powinienem dotykać. Poszedłem zatem na brzeg morza i tam oczekiwałem waszego przyjazdu.

— Czy zwykle przychodzi pan do pracy w niedzielne wieczory? — spytał Rickards.

— Zawsze, ilekroć piątek muszę spędzić w Londynie. Mam teraz na głowie mnóstwo roboty i trudno by mi było uporać się z nią w ciągu pięciu dni. W istocie spędziłem w elektrowni zaledwie niespełna trzy godziny, były to jednak godziny dobrze wykorzystane.

— W sali komputerów przebywał pan samotnie. Zajmując się konkretnie czym?

196

INTRYG I ŻĄDZE

Jeśli nawet Mair uznał to pytanie za pozbawione związku ze sprawą, nie dał tego po sobie poznać.

— Moim tematem badawczym, który dotyczy analizy zachowań reaktora w hipotetycznych przypadkach utraty czynnika chłodzącego. Nie jestem, oczywiście, jedynym naukowcem, opracowującym tę jedną z najważniejszych dziedzin w całej problematyce konstrukcji reaktorów jądrowych. Międzynarodowa wymiana doświadczeń w tej kwestii jest bardzo rozbudowana. Zasadniczo to, co robię, polega na prognozowaniu możliwych skutków utraty czynnika chłodzącego metodą tworzenia modeli matematycznych, które następnie są oceniane przez analizę numeryczną i zaawansowane programy komputerowe.

— I tu, w Larksoken, pracuje pan nad tym samotnie? — zapytał Rickards.

— W tej elektrowni — tak. Podobne badania prowadzi się w Winfrith, a także poza granicami naszego kraju, na przykład w USA. Jak powiedziałem, ten temat jest przedmiotem rozbudowanej współpracy międzynarodowej.

— Czy utrata czynnika chłodzącego jest najgorszym, co się może zdarzyć? — zapytał nagle Oliphant.

Alex Mair wpatrywał się weń przez moment, jakby ważąc, czy na pytanie, pochodzące z takiego źródła, należy udzielić odpowiedzi, a potem rzekł: — Utrata czynnika chłodzącego jest potencjalnie niebywale wręcz niebezpieczna. Istnieją, oczywiście, procedury awaryjne, stosowane wówczas, gdy zawodzi zwykły system chłodzący. Wypadek na Three Mile Island podkreślił potrzebę zgłębienia skali i natury zagrożenia, jakie niosą awarie tego rodzaju. Analizowane zjawisko należałoby

podzielić na trzy podstawowe problemy: poważne uszkodzenie paliwa i stopienie się rdzenia, migracja uwolnionych produktów rozpadu i aerozoli przez główny obwód chłodzenia, zachowanie się w budynku reaktora produktów rozpadu w uwolnionym paliwie i parze. Jeśli jest pan tymi kwestiami autentycznie zainteresowany i dysponuje dostateczną wiedzą, by je zrozumieć, mogę zasugerować panu podstawową bibliografię, jakkolwiek to nie czas ani miejsce na edukację naukową.

Oliphant uśmiechnął się, jakby wdzięczny za przymówkę. Zapytał: — Czy ów naukowiec, który popełnił samobójstwo, doktor Toby Gledhill, nie realizował wraz z panem tego programu badawczego? Coś chyba czytałem o tym w miejscowych gazetach.

— Tak. Był moim asystentem. Tobias Gledhill był fizykiem, a zarazem niesłychanie utalentowanym operatorem komputerów. Bardzo nam go brak, tak jako kolegi, jak i człowieka.
197

P. D. JAMES

I to, pomyślał Rickards, wyczerpuje wątek Toby'ego Gledhilla. W ustach innego człowieka te słowa mogły być hołdem w swej prostocie nawet poruszającym. Beznamiętnie wypowiedziane przez Maira sprawiały wrażenie nonszalanckie i bagatelizujące sprawę. Ale, w końcu, samobójstwo spowodowało zamieszanie i było kłopotliwe. Stanowiło zgrzyt w precyzyjnie zorganizowanym świecie Maira.

— Mam tego ranka mnóstwo zajęć — zwrócił się Mair do Rickardsa. — I pan, panie nadinspektorze, bez wątpienia również. Czy naprawdę musimy wracać do tej sprawy?

— Uzupełnia ogólny obraz — odparł niewzruszenie Rickards. — Przypuszczam, że wchodząc wczoraj na teren elektrowni i wychodząc, odnotował pan te fakty w księdze na wartowni?

— Sądzę, że miał pan okazję zetknąć się już z obowiązującym u nas systemem. Każdy pracownik ma podpisaną plakietkę identyfikacyjną z fotografią i ściśle tajnym numerem osobistym. Gdy pracownik wchodzi na teren obiektu, numer ów jest sprawdzany elektronicznie, a poza tym wartownicy dokonują wzrokowej kontroli plakietki. Mój personel liczy pięćset trzydzieści osób, pracujących na trzy zmiany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. W weekendy obowiązuje system dwuzmianowy: zmiana dzienna — od ósmej piętnaście do dwudziestej piętnaście, i zmiana nocna — od dwudziestej piętnaście do ósmej piętnaście.

— I nikt nie może wejść lub wyjść niepostrzeżenie, nawet dyrektor?

— Nikt, a już najmniej, jak przypuszczam, dyrektor. Czas mojego przybycia jest odnotowywany zawsze, a poza tym wchodząc i wychodząc byłem widziany przez pełniącego służbę wartownika.

— Czy na teren elektrowni można się dostać wyłącznie przez wartownię?

— Tak, chyba że za przykładem bohaterów starych filmów wojennych człowiek decyduje się na wykonanie podkopu pod ogrodzeniem. W sobotni wieczór nikt nie ryl takich podkopów.

— Będziemy musieli się dowiedzieć — oświadczył Rickards — co od wczesnych godzin wieczornych do dziesiątej trzydzieści, kiedy komendant Dalgliesh znalazł zwłoki, robili wszyscy pracownicy elektrowni.

— Czy nie są to przesadnie rozległe ramy czasowe? Zapewne została zamordowana tuż po dziewiątej.

— Jest to najbardziej prawdopodobny czas zabójstwa i liczymy, że raport z autopsji dostarczy nam ściślejszego szacunku. Obecnie jednak

198

INTRYG I ŻĄDZE

wolę nie czynić zbyt kategoriycznych założeń. Mamy sporządzone jeszcze podczas dochodzenia w sprawie Świstuna formularze, które chcielibyśmy rozdać pracownikom elektrowni. Sądzę, że znaczną ich większość zdołamy z łatwością wyeliminować. Wszyscy, którzy mają rodziny albo prowadzą życie towarzyskie, bez trudu dostarczą alibi na niedzielny wieczór. Może mógłby pan zasugerować jakiś sposób rozprawienia kwestionariuszy, tak by rzecz mogła odbyć się bez uszczerbku dla normalnego trybu pracy.

— Najprościej — odparł Mair — będzie zostawić je na wartowni, gdzie zostaną wydane przychodzącym na swoją zmianę pracownikom. Pozostałym — chorym i przebywającym na

urlopach — dostarczycie formularze do domów. Podamy wam adresy. — Urwał na chwilę, a potem dodał: — Uważam za mało prawdopodobne, aby to morderstwo miało związek z Elektrownią Jądrową Larksoken, skoro jednak Hilary Robarts w niej pracowała i zamierzacie przesłuchiwać pozostałych naszych pracowników, orientacja w naszej geografii i organizacji może okazać się użyteczna. Moja sekretarka sporządziła dla panów wyciąg zawierający mapkę terenu, broszurkę z opisem funkcjonowania reaktora, co pozwoli wam wyrobić sobie opinię na temat rozmaitych jego funkcji, a dalej listę pracowników z podaniem stanowisk, wciąż obowiązującą strukturę zarządzania i schemat zmianowy. Jeśli zapragniecie, panowie, obejrzeć któryś z działów, zapewnię wam przewodnika. Są oczywiście rejony, do których nie można wchodzić bez odzieży ochronnej i których nie można opuszczać z pominięciem kontroli radiologicznej.

Wyjął dokumenty z prawej szuflady biurka i podał Rickardsowi. Ten przejrzał je, a po chwili powiedział: — Macie tu siedem działów, zarządzanych przez kierowników: naczelnego lekarza, głównego chemika, kierownika produkcji, kierownika konserwacji, fizyka reaktora^ naczelnego inżyniera i kierownika administracyjnego. To ostatnie stanowisko zajmowała Hilary Robarts.

— Zajmowała tymczasowo. Kierownik zmarł na raka kilka miesięcy temu i do tej chwili nikt nie został nominowany. Poza tym jesteśmy w trakcie reorganizacji: zamierzamy utworzyć, jak w Size-well, trzy główne działy — taki system jest, moim zdaniem, bardziej funkcjonalny i racjonalny. Przyszłość jednak, jak pan być może słyszał, jest niepewna i trudno wykluczyć, że ze zmianami trzeba będzie poczekać do chwili wyznaczenia nowego dyrektora bądź kierownika elektrowni.

— W chwili obecnej kierownik administracyjny odpowiada przed panem za pośrednictwem wicedyrektora?

199

P. D. JAMES

— Słusznie, doktora Jamesa Macintosha. Doktor Macintosh już od miesiąca przebywa w Stanach, gdzie zapoznaje się z tamtejszymi instalacjami nuklearnymi.

— A kierownikiem produkcji jest Miles Lessingham; jeden z gości czwartkowego przyjęcia u panny Mair.

Alex Mair nic nie odrzekł.

Rickards podjął: — Nie dopisywało panu szczęście, doktorze Mair. Dwa miesiące i trzy gwałtowne zgony członków personelu. Najpierw doktor Gledhill, potem zamordowana przez Świstuna Christine Baldwin, a teraz Hilary Robarts.

— Czy ma pan jakieś wątpliwości co do tego, że Christine Baldwin została zabita przez Świstuna?

— Najmniejszych. Włosy Christine Baldwin znaleziono po samobójstwie Świstuna wśród włosów innych ofiar, jej mąż zaś, który w normalnych okolicznościach byłby oczywistym podejrzanym, dysponował żelaznym alibi. Został odwieziony do domu przez przyjaciół.

— Śmierć natomiast Toby'ego Gledhilla została oficjalnie zbadana i werdykt, ten wygodny kęs na zapchanie gęby wszelkim konwencjom i ortodoksjom religijnym, brzmiał: „samobójstwo pod wpływem zachwiania równowagi duchowej”.

— Czy jego równowaga duchowa była istotnie zachwiana, panie dyrektorze? — zapytał Oliphant.

Mair obrócił nań swoje ironiczno-badawcze spojrzenie. — Skąd mogę wiedzieć, jaki był stan jego ducha, panie sierżancie? Z pewnością wiem tylko jedno: zabił się i uczynił to bez niczyjej pomocy.

Bez wątpienia, popełniając samobójstwo uważał, że ma po temu dostateczne powody. Doktor Gledhill cierpiał na depresję maniackalną. Swojej ułomności stawiał mężnie czoło i rzadko miała ona ujemny wpływ na jego pracę. Była wszakże jednym z tych odchyłeń charakterologicznych, które ryzyko samobójstwa zwiększają ponad przeciętną normę. A skoro zgadza się pan, że pomiędzy trzema tymi zgonami nie istnieje żaden związek, nie musimy chyba tracić czasu na dwa pierwsze. A może pańska uwaga, panie nadinspektorze, była po prostu wyrazem współczucia?

— Tylko uwagą — odparł Rickards. Potem podjął: — Jeden z pańskich pracowników, Miles Lessingham, znalazł zwłoki Christine Baldwin. Oświadczył nam, że stało się to pó drodze na przyjęcie u pana i panny Mair. Przypuszczam, że swoją przygodę opisał bardzo obrazowo. Rzecz zupełnie, powiedziałbym, naturalna. Trudno coś takiego zachować dla siebie.

INTRYGI I ŻĄDZE

— Wręcz niemożliwe — powiedział ze spokojem Mair. — Zwłaszcza w obecności przyjaciół.

— Którymi, państwo, rzecz jasna dla siebie byliście. Sami przyjaciele, a w ich gronie panna Robarts. A zatem poznaliście wszystkie okropne szczegóły z pierwszej ręki. Włącznie z tymi, które — z naciskiem o to proszony — miał przemilczeć.

— O których pan mówi, panie nadinspektorze?

Rickards nie odpowiedział, lecz zamiast tego spytał: — Czy mógłbym poznać nazwiska wszystkich, którzy byli obecni w Chacie Męczennicy, kiedy pojawił się w niej pan Lessingham?

— Moja siostra i ja, Hilary Robarts, pani Dennison — gospodyni ze Starej Plebanii, komendant Adam Dalglish z Policji Metropolitalnej. I córka Blaney... sądzę, że ma na imię Theresa. Pomagała siostrze w przygotowywaniu posiłku. — Urwał na chwilę, a potem dodał: — Te kwestionariusze, które zamierza pan rozprowadzić wśród pracowników elektrowni... Czyż nie jest oczywiste, że oznaczają stratę czasu tak dla nich, jak i dla panów? Najwyraźniej mamy tu do czynienia z czymś, co określa się mianem zmałpowanego morderstwa.

— Tym właśnie było, panie dyrektorze — odparł Rickards. — Zgodność wszystkich szczegółów. Bardzo sprytne, bardzo przekonujące. Są tylko dwie różnice: zabójca znał ofiarę i nie jest szaleńcem.

Pięć minut później, podążając w ślad za panną Amphlett do pokoju przesłuchań, Rickards myślał: „Tak, jesteś twardym klientem, brachu”. Żadnych żenujących manifestacji zgrozy lub rozpacz, które zawsze sprawiają wrażenie nieszczyrych, ładnych deklaracji niewinności. Założenie, iż nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby podejrzewać go o zabójstwo. Nie żądał obecności adwokata, bo go przecież nie potrzebował. Był jednak zbyt inteligentny, aby zbagatelizować wagę pytań o tamto przyjęcie. Zabójca Hilary Robarts, kimkolwiek był, doskonale wiedział, że tuż po dziewiątej jego ofiara pójdzie pływać; dokładnie orientował się, w jaki sposób morduje Świstun. Sporo osób znało jeden z tych faktów, liczba jednak tych, które znały oba, była mocno ograniczona. A sześć spośród nich uczestniczyło w miniony czwartek w przyjęciu, które odbyło się w Chacie Męczennicy.

P. D. JAMES

5

Pokój do przesłuchań, który im wyznaczono, był małym anonimowym pomieszczeniem biurowym z widokiem na wschód, zdominowanym przez wielki masyw hali turbin. Wyposażenie było dostateczne do ich celów, lecz bardzo skromne; odpowiednie, pomyślał kwaśno Rickards, dla gości, których obecność jest tolerowana, lecz nie jest mile widziana. W pokoju stało zatem masywne biurko, przyciągnięte najwyraźniej z innego gabinetu, trzy proste krzesła i jedno nieco wygodniejsze, z podłokietnikami, mały stolik przyścienny z elektrycznym czajnikiem na tacy, czterema filiżankami i spodeczkami (czyżby Mair oczekiwał, że będą podejrzanym serwować kawę?), a także wazą, wypełnioną opakowanymi kostkami cukru, i trzema puszkami.

— Co nam dali? — zapytał Rickards.

Gary Price przystąpił do otwierania puszek. — Torebki z kawą, herbatą, no i ciasteczka.

— Jakie ciasteczka? — spytał Oliphant.

— Strawne, panie sierżancie.

— W czekoladzie?

— Nie, panie sierżancie, po prostu strawne.

— No, miejmy nadzieję, że nie są radioaktywne. Lepiej niech pan już włączy czajnik, kawa by nam nie zaszkodziła. Skąd mamy brać wodę?

— Panna Amphlett mówiła, że znajdziemy kran w szatni na końcu korytarza. A poza tym czajnik jest pełen.

Oliphant przysiadł na jednym z prostych krzeseł, a potem wyciągnął się, jakby chciał sprawdzić, czy jest wygodne. Drewno skrzypnęło. Oliphant powiedział: — Zimny drań, co? I przy tym cwany. Niewieleś-my z niego wyciągnęli, panie nadkomisarzu.

— Tego bym nie powiedział, sierżancie. Na temat ofiary udzielił nam więcej informacji, niż mu

się przypuszczalnie zdaje. Kompetentna, lecz niezbyt lubiana, skłonna wtykać nos w kwestie pozostające poza jej zakresem obowiązków. To ostatnie wzięło się prawdopodobnie stąd, że sekretnie marzyła o karierze naukowej, nie zaś administracyjnej. Antagonizowała tutejszych obywateli i od czasu do czasu robiła elektrowni kuku. I, rzecz jasna, była kochanicą dyrektora ze wszystkimi tego faktu następstwami.

— To jednak zakończyło się trzy lub cztery miesiące temu — wtrącił Oliphant. — Bez urazy z którejkolwiek strony. Tak brzmi jego wersja.

202

INTRYGI I ŻĄDZE

— Jej wersji natomiast nie wysłuchamy już nigdy, prawda? Jedno wydało mi się dziwne. Mair spotkał Dalglisha jadąc do domu z elektrowni. Jego siostra przypuszczalnie nań czekała, a przecież wcale do niej nie zatelefonował. Nawet mu to nie przyszło do głowy.

— Był zaszokowany, panie nadkomisarzu, miał na głowie inne rzeczy. Właśnie się dowiedział, że jego dawna dziewczyna padła ofiarą szczególnie wrednego psychopatycznego mordercy. Taki numer potrafi przyćmić braterskie uczucia, a nawet myśli o kubeczku kakao przed pójściem do łóżka.

— Może. Ciekawe jednak, czy panna Mair zadzwoniła do elektrowni, żeby wyjaśnić przyczynę jego spóźnienia. Zapytamy.

— Jeśli bowiem nie zadzwoniła — rzekł Oliphant — to, moim zdaniem tylko z jednego powodu. Liczyła się z tym, że wróci późno. Była przekonana, że jest w Tymiankowej Chacie z Hilary Robarts.

— A jeśli nie zadzwoniła, żywiąc takie właśnie przekonanie, to znaczy, że nie mogła wiedzieć o śmierci Robarts. Racja, sierżancie, bierzmy się do dzieła. Na początek zamienimy kilka słów z panną Amphlett. Sekretarka szefa zazwyczaj wie na temat ogólnych układów więcej, niż ktokolwiek inny, nawet jej szef.

Jeżeli jednak Caroline Amphlett posiadała nawet jakieś interesujące informacje, to potrafiła je kunsztownie ukryć. Zasiadła na krześle ze spokojną pewnością człowieka, który wprawdzie ubiega się o pracę, ale doskonale wie, że ją otrzyma; z równym spokojem odpowiadała na pytania Rickardsa i dopiero gdy usiłował ją wysondować na temat związku Hilary Robarts z dyrektorem, zrzuciła na moment swą beznamiętną maskę. Z niesmakiem wydeła wargi, dając wyraz odrazie wobec faktu, że ktokolwiek może być tak wulgarnie wścibski, by wtykać nos w nie swoje sprawy, następnie zaś oświadczyła z satysfakcją, iż doktor Mair nigdy nie spowiadał się jej ze swego prywatnego życia. Przyznała, że był jej znany zwyczaj Hiiar3? Robarts pływania w godzinach wieczornych i to aż do późnej jesieni, wyraziła jednak myśl, iż o tym zamilowaniu wiedziało całe Larksoken. Panna Robarts była pływaczką entuzjastyczną i silną.

Świstunem interesowała się jedynie w aspekcie osobistego bezpieczeństwa — skłoniona do tego kolejnymi zbrodniami, zaniechała samotnych nocnych przechadzek — i prócz tego, co przeczytała w gazetach — że, mianowicie, dusi ofiary — o jego metodach nie miała żadnego pojęcia.

Wiedziała o czwartkowym przyjęciu w Chacie Męczennicy, chyba wspomniał o nim Miles Lessingham, nikt jednak nie omawiał z nią wydarzeń wieczoru, a zresztą nie widziała powodu, dla którego miałyby to robić. Co się tyczy jej zajęć w niedzielę, to cały

203

P. D. JAMES

wieczór, od godziny szóstej, spędziła u siebie ze swoim chłopakiem, Jonathanem Reevesem. Nie rozstawali się ani na moment aż do wpół do jedenastej, kiedy Reeves wyszedł. Zimne spojrzenie rzucone na Oliphanta sprowokowało go do pytania o to, co jedli i pili. Zapytana o swoje stosunki z Hilary Robarts, odparła, iż miała dla panny Robarts wiele szacunku, lecz ani ją lubiła, ani darzyła antypatią. Ich kontaktom służbowym towarzyszyła atmosfera najzupełniej przyjazna, nie przypomina sobie jednak, by kiedykolwiek spotkały się poza terenem elektrowni. Jak jej wiadomo, panna Robarts nie miała wrogów; nie, nie ma pojęcia, któż mógłby jej życzyć śmierci. Kiedy za Caroline Amphlett zamknęły się drzwi, Rickards powiedział: — Oczywiście sprawdzimy jej alibi, ale nie ma się co spieszyć. Niechaj młody Reeves wypoci się jeszcze przez godzinkę. Chciałbym

najpierw sprawdzić współpracowników Robarts.

Następne pół godziny okazało się jednak bezproduktywne. Bezpośredni podwładni Hilary Robarts byli raczej zaszokowani niż zrozwyczajeni, ich zeznania natomiast ukrzepiły wizerunek kobiety bardziej szanowanej niż lubianej. Nikt nie miał wszelako oczywistych motywów, nikt nie przyznawał się do szczegółowej wiedzy o stosowanym przez Świstuna sposobie zabijania, wszyscy natomiast — co istotniejsze — mieli alibi na niedzielny wieczór. Rickards zresztą nie spodziewał się czegoś innego.

Kiedy dobiegła końca sześćdziesiąta minuta, wezwał Jonathana Reevesa. Wkroczył do pokoju poblądły i sztywny, jak skazaniec wiedziony do celi straceń; pierwszą reakcją Rickardsa było zdumienie, że kobieta równie atrakcyjna jak Caroline Amphlett wybrała sobie tak nieodpowiedniego partnera. Rzecz nie w tym, iż Reeves miał szczególnie odpychającą twarz. Ta twarz, jeśli zapomnieć na moment o trądziku, nie była nawet nieładna, a poszczególne jej elementy, traktowane odrębnie, prezentowały się wręcz zupełnie dobrze. A jednak tworzyły całość tak pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu i pospolitą, że próba sporządzenia portretu pamięciowego musiałaby zakończyć się fiaskiem. Rickards uznał, że najłatwiej byłoby ją opisać w kategoriach mimiki, nie zaś rysów: nieustanne mruganie oczu za okularami w rogowych oprawkach, nerwowe przygryzanie warg, nagle, zwyczajem komików telewizyjnych, wyciąganie szyi. Z listy dostarczonej przez Aixa Maira Rickards wiedział, że wśród personelu Larksoken przytłaczającą większość stanowią mężczyźni. Czy Amphlett nie mogła znaleźć sobie kogoś lepszego? Zauroczenia seksualne bywają jednak całkiem irracjonalne. Weźmy jego i Susie. Na widok ich dwojga przyjaciele okazują prawdopodobnie takie samo zaskoczenie.

204

INTRYG I ŻĄDZE

Szczegółową część przesłuchania pozostawił Oliphantowi, co okazało się błędem. Oliphant, jak zawsze, kiedy miał do czynienia z wystraszoną podejrzaną, wybrał z garnituru swoich zachowań najgorsze i z namaszczeniem — jak również nie bez wyraźnej przyjemności — wycisnął z Reevesa obfitujące w detale potwierdzenie zeznań Caroline Amphlett.

Potem, kiedy Reeves został wreszcie zwolniony, oznajmił: — Facet się trzęsie jak osika, panie nadkomisarzu. To dlatego przemaglowałem go tak dokładnie. Uważam, że kłamie.

Jakże typowe, pomyślał Rickards; Oliphant zawsze zakłada najgorsze i na nie liczy. —

Niekoniecznie kłamie, sierżancie — odparł. — Jest po prostu wystraszony i zażenowany. Można mówić o pieskim szczęściu, kiedy pierwsza w życiu noc namiętności kończy się niezbyt subtelnym przesłuchaniem policyjnym. Alibi jednak wydaje się solidne i żadne z nich dwojga nie ma oczywistych motywów. Poza tym, nie dysponujemy dowodami, że wiedzieli szczegółowo o drobnych dziwa-ctewkach Świstuna. Weźmy się za kogoś, kto je znał. Za Milesa Lessinghama. Rickards ostatnio widział Lessinghama na scenie morderstwa Christine Baldwin; nazajutrz, kiedy Lessingham przyjechał, żeby podpisać zeznanie, akurat nie było go w komendzie. Zdawał sobie sprawę, iż wymuszony ironiczny humor i kontrolowane roztargnienie, jakie Lessingham okazywał na miejscu zbrodni, były w zasadzie reakcją szokową, wyczuwał w nim jednak również pewien uraz na punkcie policji, przeradzający się w niechęć. Było to, nawet wśród osób z klasy średniej, zjawisko ostatnimi czasy nierzadkie i zapewne Lessingham miał jakieś swoje powody. Nie czyniło go to ani wtedy, ani teraz łatwym partnerem. Po zwykłej rozgrzewce Rickards zapytał: — Czy zdawał pan sobie sprawę z natury stosunków, łączących doktora Maira z Hilary Robarts?

— On jest dyrektorem, ona była p.o. kierownika administracji.

— Mam na myśli stosunki seksualne.

— Nikt mi o nich nie mówił. Nie do końca jednak pozbawiony wrażliwości na sprawy innych śmiertelników, uznawałem za prawdopodobny fakt, iż są kochankami.

— Czy wiedział pan, że przestali nimi być?

— Przypuszczałem. Nie zwierzali się przede mną ani wówczas, kiedy nawiązywali romans, ani wtedy, gdy go kończyli. O szczegóły życia osobistego doktora Maira powinien pan spytać jego samego. Mam dosyć kłopotów ze swoim.

— Nie dotarły jednak do pana sygnały o problemach, powodowa-

nych przez ten związek: pretensjach, oskarżeniach o nepotyzm, może zazdrości?

— Mnie to nie dotyczyło. Funkcjonuję na zasadniczo innym obszarze.

— A co z panną Robarts? Czy odniósł pan wrażenie, iż romans zakończył się bez urazy? Czy, na przykład, nie sprawiała wrażenia zmartwionej?

— Jeśli nawet była zmartwiona, nie wypłakiwała się w moją marynarkę. Zapewne jednak, nawet gdyby miała zamiar się wypłakiwać, moją wybrałaby w ostatniej kolejności.

— I nie ma pan pojęcia, kto ją mógł zabić?

— Najmniejszego.

Rickards uczynił pauzę, a potem zapytał: — Czy ją pan lubił?

— Nie.

Przez moment Rickards był zbity z pantafelku. Pytanie takie zadawał często podczas przesłuchań w sprawie o zabójstwo i zwykle mógł liczyć na jakieś rezultaty. Tylko nieliczni z podejrzanych przyznawali się do antypatii wobec ofiary, nie zaplądając się przy tym w próby wyjaśnień i usprawiedliwień. Po chwilowej ciszy, z której wynikało jasno, że Lessingham nie ma zamiaru uszczegółowić swojego oświadczenia, Rickards spytał: — Dlaczego jej pan nie lubił, panie Lessingham?

— W istocie niewiele jest osób, które naprawdę lubię — podkreślam: lubię, nie zaś toleruję — i tak się akurat złożyło, że Hilary nie była jedną z nich. Skąd mam wiedzieć, czy na przykład pan i pański sierżant nie patrzycie na siebie wilkiem, a przecież to by wcale nie znaczyło, że którykolwiek z panów planuje zamordowanie drugiego. A skoro mowa o zabójstwie — będącym, jak przypuszczam, powodem mojej tutaj obecności — to dysponuję alibi na niedzielny wieczór. Może powinienem je przedstawić już teraz. Otóż mam trzydziestostopowy jacht, który trzymam w Blakeney. Wypłynąłem nim rano i pozostawałem na morzu do dziesiątej wieczorem. Mam świadka swojego wyjścia w morze — to Ed Wilkinson, który kotwiczony swoją rybacką krypkę obok mojej — nie mam natomiast świadka wejścia do portu. Z rana był przyzwoity wiatr, potem zakotwiczylem, złowiłem parę dorszy tudzież nieco witlinków i przyrządziłem je sobie na lunch. Miałem jedzenie, alkohol, książki i radio. Nie potrzebowałem do szczęścia nic więcej. Może nie jest to alibi najbardziej satysfakcjonujące, zaleca się jednak prostotą i prawdziwością.

— Czy miał pan ze sobą ponton? — zapytał Oliphant.

— Mam na dachu kabiny niezatapialny ponton. I ryzykując, że

INTRYG I ŻĄDZE

panów podekscytuję, muszę wyznać, że dysponowałem również składanym rowerem. Nie wylądowałem jednak ani na przylądku Lark-soken, ani gdziekolwiek indziej. Nawet w celu zamordowania Hilary Robarts.

— Czy w którymkolwiek momencie rejsu widział pan Hilary Robarts? — zapytał Rickards. — Czy miał pan w zasięgu wzroku plażę, na której zginęła?

— Nie zapuszczałem się tak daleko na południe. I nie widziałem nikogo, żywego czy martwego.

— Czy ma pan zwyczaj — spytał Oliphant — żeglować podczas weekendów samotnie?

— Nie miewam żadnych zwyczajów. Kiedyś żeglowałem w towarzystwie. Teraz robię to samotnie.

Rickards zapytał go o namalowany przez Blaneya portret Hilary Robarts. Przyznał, że go widział. George Jago, właściciel „Naszego Bohatera” w Lydsett, na tydzień — najwyraźniej poproszony o to przez Blaneya — wywiesił obraz w barze. Lessingham nie miał pojęcia, gdzie Blaney przechowywał swoje dzieło, nie ukradł go i nie zniszczył. Jeśli ktokolwiek dopuścił się takiego postępuku, to — jego zdaniem — najprawdopodobniej sama Robarts.

— I wałęsa portretem w swoje własne okno? — zapytał Oliphant.

— Sądzi pan, że podawszy go wałęsałyby nim raczej w okno Blaneya? Zgadza się. Z pewnością jednak tym, który poharatał płótno, nie był Blaney.

— Skąd ta pewność?

— Bo żaden twórca, obojętne: malarz czy naukowiec, nie może zniszczyć swego najdoskonalszego dzieła.

Oliphant powiedział: — To przyjęcie u panny Mair... opisał pan pozostałym gościom metody Świstuna, udzielając także informacji, co do których z naciskiem prosiliśmy o dyskrecję.

— Trudno — odrzekł oziębłe Lessingham — spóźnić się na przyjęcie dwie godziny bez najmniejszego usprawiedliwienia, a moje, w końcu, było dość niezwykle. Uznałem, że zgromadzonym należy się, choćby w namiastkowej formie, szczypta tych emocji, jakie stały się moim udziałem. Poza tym, aby milczeć, musiałbym zdobyć się na większą samokontrolę niż ta, do jakiej byłem wówczas zdolny. Zmasakrowane zwłoki to dla panów, rzecz jasna, bułka z masłem, ci jednak z nas, którzy wybrali zawody mniej ekscytujące, z reguły przypłacają ich widok niejakim stresem. Wiedziałem, iż mogę zaufać, że pozostali goście nie podzielą się moimi rewelacjami z prasą — zresztą, jak się orientuję, nikt z nich tego nie uczynił. Tak czy inaczej,

207

P. D. JAMES

dłaczego pytaacie, panowie, akurat mnie o przebieg czwartkowego wieczoru? W przyjęciu uczestniczył Adam Dalgliesh, macie zatem do dyspozycji znacznie bardziej doświadczonego i z waszego punktu widzenia niewątpliwie bardziej wiarogodnego świadka. Nie powiem „policyjną wtyczkę”; to nie byłoby fair.

Rickards odezwał się po raz pierwszy od kilku minut. Powiedział: — Byłoby natomiast nietrafne i obraźliwe.

Lessingham zwrócił się do niego i stwierdził chłodno: —> W tym rzecz. Dlatego właśnie powstrzymałem się przed użyciem tego słowa. A teraz, jeśli nie macie, panowie, kolejnych pytań, muszę pokierować trochę elektrownią.

6

Było już po południu, kiedy przesłuchania w Larksoken dobiegły końca i Rickards z Oliphantem mogli wyruszyć do Chaty Męczennicy. Gary Price został w elektrowni, żeby dopilnować sprawy formularzy; mieli go zabrać po przesłuchaniu Alice Mair, które — przeczuwał Rickards — będzie bardziej owocne, jeśli przeprowadzi je tylko dwóch funkcjonariuszy. Alice Mair przywitała ich spokojnie u drzwi, nie okazując po sobie ani podenerwowania, ani ciekawości, rzuciła okiem na legitymacje służbowe i zaprosiła do środka. Jak techników, pomyślał Rickards, którzy do naprawy telewizora przyjechali nieco później, niż ich oczekiwano. No i przesłuchanie, jak zauważył, miało się odbyć w kuchni. Zrazu wybór ten uznał za osobliwy, rozejrzawszy się jednak dokoła, stwierdził, że pomieszczenie właściwie nie zasługuje na skromne miano kuchni, skoro z czysto kuchennymi łączy cechy gabinetu i salonu. Zdumiony jego rozmiarem, zaczął zastanawiać się z roztargnieniem, czy panna Mair wyburzyła jakąś ściankę działową, aby uzyskać tak wiele przestrzeni. Zadał sobie również pytanie, co o tej kuchni powiedziałyby Susie, i doszedł do wniosku, że zapewne nie czułaby się w niej dobrze. Susie lubiła, by każde z pomieszczeń domu miało ściśle przypisaną funkcję; kuchnia była zatem do przygotowywania, a jadalnia do spożywania posiłków, salonik do oglądania telewizji, sypialnia natomiast do spania i — raz w tygodniu — uprawiania miłości.

208

INTRYG I ŻĄDZE

Usiedli z Oliphantem w ustawionych z obu stron kominka, wymoszczonych poduchami wiklinowych fotelach o wysokich oparciach. Fotel Rickardsa był niezwykle wygodny i, rzekłbyś, delikatnie przystosował się do jego długiej sylwetki. Alice Mair usiadła na krześle przy biurku, które najpierw odwróciła w stronę gości.

— Mój brat oczywiście poinformował mnie o morderstwie natychmiast, gdy minionej nocy wrócił do domu. Obawiam się, że w sprawie śmierci Hilary Robarts nie będę panom zbyt pomocna. Cały wczorajszy wieczór spędziłam w domu i nic nie widziałam ani nie słyszałam. Mogę jednak powiedzieć to i owo na temat portretu. Czy mielibyście, panowie, ochotę na kawę?

Rickards miałby, i to dużej; stwierdził, że jest zaskakująco spragniony. Odmówił jednak w imieniu swoim i Oliphanta. Propozycję uznał za czysto grzecznościową i nie uszło jego uwagi szybkie spojrzenie, jakie panna Mair rzuciła na blat biurka, gdzie w dwóch schludnych stosach piętrzyły się

zadrukowane stronice i kartki maszynopisu. Wyglądało na to, że przeszkadzili jej w robieniu korekty. Cóż, nie tylko oni byli zapracowani. Rickards złapał się również na tym, że jest irracjonalnie poirytowany opanowaniem panny Mair. Nie spodziewał się, że zastanie ją pogrążoną w histerii bądź też oszołomioną środkami uspokajającymi, które zażyła ogarnięta rozpaczą. Ofiara, w końcu, nie była jej krewną. Lecz Hilary Robarts należała do grona najściślejszych współpracowników Aiexa Maira, bywała gościem w Chacie Męczennicy i zaledwie cztery dni temu jadła tu kolację. Było coś oburzającego w tym, że Alice Mair potrafi z całkowitym spokojem przeprowadzać korektę, co z pewnością wymaga koncentracji umysłu. Zamordowanie Robarts wymagało wielkiego opanowania... Niepoważne podejrzenie; Rickards nie dopatrywał się w zabójstwie cech zbrodni, popełnionej przez kobietę. Pozwolił jednak, by podejrzenie to wbiło się w jego umysł jak kolec i tam już pozostało. Wyjątkowa kobieta, pomyślał. Może to przesłuchanie okaże się bardziej produktywne, niż oczekiwał.

Zapytał: — Prowadzi pani dom swojemu bratu, panno Mair?

— Nie, prowadzę dom sobie. Tak się składa, że podczas pobytu w Larksoken, a więc, naturalnie, przez większą część tygodnia, mieszka w nim również mój brat. Trudno sobie wyobrazić, aby mógł administrować Elektrownią Jądrową Larksoken ze swego londyńskiego mieszkania. Jeśli akurat jestem w domu i gotuję kolację, zwykle ją ze mną jada. Hołduję pogładowi, że wymaganie, aby w imię sprawiedliwego podziału obowiązków gospodarskich pichcił sobie omlety, byłoby zupełnie absurdalne. Nie widzę jednak związków pomiędzy

14 Intrygi i żądze

209

P. D. JAMES

wewnętrznymi ustaleniami, regulującymi nasze życie, a zamordowaniem Hilary Robarts. Czy nie moglibyśmy-raczej przejść do wydarzeń minionej nocy?

Przerwano im rozmowę. Rozległo się pukanie do drzwi; bez słowa przeprosin Alice Mair wstała i wyszła do sieni. Usłyszeli wyższy kobiecy głos i po chwili gospodyni wróciła do kuchni z nowo przybyłą, którą przedstawiła jako panią Dennison ze Starej Plebanii. Była to ładna kobieta o delikatnym wyglądzie, ubrana w konserwatywny tweedowy kostium; sprawiała wrażenie głęboko wytraconej z równowagi. Rickards ocenił z aprobatą zarówno jej wygląd, jak i stan duchowy. Tak właśnie, w jego przekonaniu, powinna wyglądać i zachowywać się kobieta, która dowiedziała się o szczególnie brutalnym morderstwie. Obaj detektywi wstali na jej widok; pani Dennison zajęła fotel Oliphanta, on zaś przysunął sobie krzesło od stołu.

Pani Dennison impulsywnie zwróciła się do Rickardsa: — Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale po prostu nie mogłam wytrzymać w domu. To przerażające wieści. Czy jest pan absolutnie pewien, że sprawcą nie mógł być Świstun?

— Nie tym razem, proszę pani — odparł Rickards.

— Nie zgadza się rozkład wydarzeń w czasie — powiedziała Alice Mair. — Mówiłam ci o tym, kiedy dzwoniłam dziś rano, Meg. W innym wypadku nie miałybyśmy tu dzisiaj policji. To nie mógł być Świstun.

— Wiem, że tak mówiłaś. Ale nie mogłam oprzeć się nadziei, że zaszła jakaś pomyłka, że najpierw zabił ją, a potem siebie, że Hilary Robarts była jego ostatnią ofiarą.

— W pewnym sensie była, pani Dennison — zauważył Rickards.

Alice Mair wyjaśniła spokojnie: — Sądzę, że czasem określa się to nazwą zmałpowanego morderstwa. Na świecie roi się od psychopatów i ten rodzaj obłędu najwyraźniej może być zaraźliwy.

— Zgoda, ale czyż to nie okropne?! Czy skoro już zaczął, będzie, tak jak Świstun, zabijać raz za razem, odbierając wszystkim poczucie bezpieczeństwa?

— Nie powinna się pani tym przejmować, pani Dennison — stwierdził Rickards.

Odwróciła się doń niemal z gniewem. — Ależ oczywiście, że się tym przejmuję! Wszyscy muszą się przejmować. Tak długo żyliśmy z okropieństwem Świstuna. Myśl, że to wszystko zaczyna się od nowa, jest przerażająca.

210

INTRYG I ŻĄDZE

Alice Mair wstała. — Powinnaś wypić kawę, Meg. Nadinspektor Rickards i sierżant Oliphant odmówili, nam jednak bardzo się ona przyda.

Rickards nie zamierzał puścić jej tego płazem i oświadczył stanowczo: — Jeżeli będzie ją pani parzyć tak czy owak, panno Mair, to pozwolę sobie zmienić zdanie. Napiję się z przyjemnością i pan bez wątpienia też, sierżancie.

Teraz, pomyślał, nastąpi kolejna chwila zwłoki, ponieważ przy hałasującym młynku nie sposób będzie rozmawiać. Dlaczego nie zrobi po prostu rozpuszczalnej?

Kawa jednak, kiedy ją wreszcie dostali, była wyśmienita i Rickards stwierdził, że robi mu zaskakująco dobrze. Pani Dennison ujęła kubek w dłonie, pokotyła nim jak dziecko ogarniane sennością, a potem odstawiła na kominku i zwróciła się do Rickardsa: — Być może przeszkadza panu moja obecność. Wypiję tylko kawę i wrócę na plebanię. Będę tam przez całą resztę dnia, gdyby chciał pan ze mną porozmawiać.

— Nie zaszkodzi jednak, jeśli zostaniesz i wysłuchasz, co się stało minionej nocy — wtrąciła Alice Mair. — Są tu pewne interesujące punkty. — Popatrzyła na Rickardsa. — Jak panu mówiłam, spędziłam w domu cały wieczór, od wpół do szóstej. Tuż po siódmej trzydzieści brat pojechał do elektrowni, a ja zabrałam się za korektę. Nie chcąc, by mi przeszkadzano, włączyłam sekretarkę automatyczną.

— I nie opuszczała pani chaty przez cały wieczór? — zapytał Rickards.

— Aż do wpół do dziesiątej, kiedy to pojechałam do Blaneyów. Może jednak powinnam uporządkować swoją opowieść, panie nadinspektorze. Mniej więcej dziesięć po ósmej przesłuchałam taśmę, sądząc, że Być może tymczasem zadzwonił brat, i właśnie wtedy usłyszałam nowinę George'a Jago o śmierci Świstuna.

— Czy nie przekazała pani tej wiadomości komuś innemu?

— Nie było to konieczne. Jago prowadzi własną agencję informacyjną. Z pewnością dopilnował, żeby dowiedzieli się wszyscy. Wróciłam do kuchni i kontynuowałam korektę do dziewiątej trzydzieści. Pomyślałam wówczas, że odbiorę od Blaneya portret Hilary Robarts. Obiecałam, że w drodze do Londynu podrzucę go do galerii w Norwich, a zamierzałam wyruszyć w drogę bardzo wcześnie. Mam w takich sytuacjach lekkiego bzika na punkcie czasu i nie lubię zbaczać nawet o pół mili. Zadzwoniłam do Chaty Żeglarza, by powiadomić Blaneya, że chcę zabrać obraz, ale numer był zajęty. Po kilku daremnych próbach wyprowadziłam samochód i pojechałam. Na

211

P. D. JAMES

miejscu byłam po niespełna piętnastu minutach. Napisałam do Blaneya liścik informujący, że zgodnie z ustaleniami zabrałam obraz; zamierzałam wsunąć go pod drzwi.

— Czy nie jest to odrobinę ekscentryczne, panno Mair? Czyż nie łatwiej było zapukać do drzwi i odebrać portret od niego osobiście?

— Postąpiłam tak, ponieważ uprzednio Blaney wyjaśnił mi dokładnie, gdzie trzyma obraz i jak w lewo od drzwi znaleźć kontakt. Potraktowałam to jako jednoznaczny sygnał, że nie oczekuje — i, w rzeczy samej, nie życzy sobie — by mu przeszkadzano osobistymi odwiedzinami w chacie. Podczas tej rozmowy był ze mną pan Dalgliesh.

— Czyż jednak nie było to dziwne? Zapewne uważał swoje płótno za dobre, bo w przeciwnym razie nie chciałby go wystawiać. Człowiek byłby skłonny sądzić, że w takiej sytuacji wolałby osobiście powierzyć je pani opiece.

— Naprawdę? Chyba chodziło o coś zupełnie innego. Jest niezwykle zamkniętym człowiekiem i to pogłębiło się jeszcze od czasu śmierci jego żony. Nie lubi gości, a już szczególnie kobiet, które mogłyby popatrzeć krytycznym okiem na porządki, panujące w chacie, i na stan dzieci. Rozumiem go. W jego sytuacji reagowałabym tak samo.

— Poszła więc pani wprost do szopy, która jest pracownią malarską Blaneya. Gdzie jest usytuowana?

— Około trzydziestu jardów w lewo od chaty. Mały drewniany budynek. Sądzę, że dawniej pełnił rolę pralni albo wędzarni. Przyświecałam sobie po drodze latarką, choć właściwie nie było to

konieczne, bo księżyc świecił wyjątkowo jasno. Drzwi nie były zamknięte. A jeśli i teraz zamierza pan oświadczyć, że to dziwne, wyniknie stąd wniosek, iż nie rozumie pan życia na przylądku. Mieszkając na takim pustkowiu, nabraliśmy zwyczaju pozostawiania otwartych drzwi. Nie sądzę, by Blaneyowi przyszło kiedykolwiek do głowy zamykać na klucz swoją szopę. Włączyłam zatem światło i zobaczyłam, że obrazu nie ma tam, gdzie spodziewałam się go znaleźć.

— Proszę teraz o precyzyjny opis przebiegu wydarzeń, uwzględniając szczegóły, jeśli potrafi je sobie pani przypomnieć.

— Mówimy tu o wczorajszym wieczorze i nie będzie mi trudno przypomnieć sobie szczegóły, panie nadinspektorze. Nie wyłączyłam światła w szopie i zapukałam do drzwi chaty. Na dole paliły się światła, ale zasłony były zaciągnięte. Czekałam może pół minuty, zanim zareagował na stukanie. Uchylił drzwi, lecz nie zaprosił mnie do

212

INTRYGII I ŻĄDZE

środku. Powiedziałam „Dobry wieczór, Ryan”, na co skinął głową, ale nic nie odrzekł. Bił od niego silny odór whisky. Powiedziałam: „Przyjechałam po obraz, lecz nie ma go w szopie czy też po prostu nie mogę go znaleźć”. Ryan na to, nieco bełkotliwym głosem: „Stoi na lewo od drzwi, opakowany w tekturę i szary papier. Zaklejony taśmą samoprzylepną”. Odparłam: „Już nie stoi”. Znowu nic nie powiedział, wyszedł natomiast na dwór, pozostawiając za sobą otwarte drzwi, i razem ruszyliśmy do szopy.

— Czy szedł równo?

— Zataczał się i to nawet mocno, ale z całą pewnością trzymał się na nogach. Mówiąc o woni alkoholu i bełkocie, nie miałam na myśli, że był tak zwanym denatem. Odnosiłam jednak wrażenie, iż przez cały wieczór pił w dosyć równym tempie. Mając mnie u boku, stanął w drzwiach szopy. Milczał może trzydzieści sekund, a potem powiedział tylko: „Tak, zniknął”.

— Jak zareagował? — zapytał Rickards, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, jął cierpliwie sugerować: — Był zaszokowany? Zły? Zaskoczony? A może zbyt pijany, aby się tym przejąć?

— Słyszałam pytanie, panie nadinspektorze. Czy o to, jak się wówczas czuł, nie powinien pan raczej zapytać samego Blaneya? Co do mnie, uważam się za kompetentną jedynie do tego, by przekazać, jak wyglądał, co mówił i co robił.

— Co zatem robił?

— Odwrócił się ode mnie i zaczął bić pięściami o framugę drzwi. Potem na minutę wsparł o nią głowę. Wówczas wydało mi się to gestem aktorskim, później uznałam jednak, że zareagował spontanicznie.

— A potem?

— Powiedziałam do niego: „Czy nie powinniśmy zadzwonić na policję? Możemy to zrobić stąd, jeśli twój telefon działa. Usiłowałam się z tobą połączyć, ale linia była bez przerwy zajęta”. Bez słowa ruszył w stronę chaty, a ja za nim. Nie zaprosił mnie do środka, więc zatrzymałam się w drzwiach. Podeszedł do wykuszu pod schodami i stwierdził: „Słuchawka była źle odłożona. Dlatego nie mogłaś się dodzwonić”. Powtórzyłam wówczas: „No więc zadzwońmy na policję. Im szybciej złożysz meldunek o kradzieży, tym lepiej”. Odwrócił się do mnie i odparł: „Jutro, jutro”. Podeszedł do swego krzesła i usiadł. Nie dawałam za wygraną. „Mam zadzwonić, Ryanie, czy sam to zrobisz? Sprawa jest naprawdę ważna”. „Zadzwoń — powiedział. — Jutro. Dobranoc”. Był to wyraźny sygnał, że chce zostać sam, więc odeszłam.

213

P. D. JAMES

— I podczas całej wizyty widziała pani tylko Blaneya? Dzieci się już nie kręciły?

— Zakładałam, że już śpią. Nie widziałam ich i nie słyszałam.

— I nie omawiała pani z Blaneyem śmierci Świstuna?

— Uznałam, że George Jago zadzwonił do Blaneya wcześniej niż do mnie. Poza tym, co tu było do omawiania? Ani ja, ani Ryan nie mieliśmy nastroju na pogawędki w progę.

Obie strony, pomyślał Rickards, okazały jednak osobliwą powściągliwość. Czy paliła się aż tak, by stamtąd odejść? Czy jemu zależało aż tak bardzo, aby mieć ją już z głowy? Czy może jakiś fakt

znacznie bardziej dotkliwy aniżeli zniknięcie portretu, wyparł z myśli jednego z nich dwojga nawet śmierć Świstuna?

Rickards musiał zadać pytanie o znaczeniu krytycznym. Jego implikacje były oczywiste i nie mogła nie uświadomić ich sobie kobieta tak inteligentna, jak Alice Mair.

— Panno Mair, czy sądząc po wyglądzie pana Blaney'a owego wieczoru, uważa pani, iż był w stanie prowadzić samochód?

— Absolutnie niemożliwe. I nie dysponuje samochodem, który mógłby prowadzić. Ma niedużą furgonetkę, którą jednak z powodu niesprawności zatrzymano na stacji diagnostycznej.

— A jechać na rowerze?

— Mógłby próbować, lecz w ciągu kilku minut skończyłby w wykrocie.

Rickards gorączkowo obliczał w myślach. Wyniki autopsji będą dopiero w środę, jeśli jednak swoim zwyczajem Hilary Robarts poszła pływać tuż po skrócie najważniejszych wiadomości, otwierającym główne wydanie dziennika — który w niedzielę nadawano dziesięć po dziewiątej — to znaczy, że zginęła około wpół do dziesiątej. A wedle Alice Mair o dziewiątej czterdzieści pięć pijany Ryan Blaney był w swojej chacie. Doprawdy trudno sobie wyobrazić, by popełnił szczególnie wyrafinowaną zbrodnię, wymagającą pewnej ręki, nerwów jak postronki i zdolności przewidywania, a ponadto przed dziewiątą czterdzieści pięć zdołał wrócić do domu. Alice Mair, jeśli mówi prawdę, dostarczyła Blaneyowi alibi. Blaney natomiast z pewnością nie będzie mógł zrewanżować się jej tym samym.

Rickards, który niemal zapomniał o obecności Meg Dennison, popatrzył teraz w jej stronę i zobaczył, że ze złożonymi na podolku dłońmi siedzi jak wystraszone dziecko, a jej nietknięta kawa wciąż stoi na kominku.

— Pani Dennison, czy wiedziała pani już wczoraj o śmierci Świstuna?

214

INTRYG I ŻĄDZE

— Och, tak. Pan Jago dzwonił również do mnie, może kwadrans przed dziesiątą.

— Prawdopodobnie próbował wcześniej — powiedziała Alice Mair — ale zapewne byłaś w drodze do Norwich, odwożąc Copleyów.

Meg Dennison zwróciła się wprost do Rickardsa. — Powinam być, ale nawalił samochód.

Musiałam ściągać w pośpiechu Sparksa i jego taksówkę. Zdażył na szczęście, ale zaraz potem miał robotę w Ipswich, więc nie mógłby przywieźć mnie z powrotem. Był tak dobry, że wyręczył mnie i odprowadził Copleyów na pociąg.

— Czy w ciągu wieczoru wychodziła pani ze Starej Plebanii? Meg Dennison podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. — Nie

— odparła. — Pożegnawszy Copleyów, cały czas przebywałam w domu. — Urwała, a potem rzekła: — Przepraszam, wyszłam na kilka chwil do ogrodu. Wyraziłabym się zatem precyzyjniej, mówiąc, że nie opuszczałam terenu posesji. A teraz, jeśli mi panowie wybaczą, chciałabym wrócić już do domu.

Wstała i jeszcze raz zwróciła się do Rickardsa: — Jeśli zechce mnie pan przesłuchać, panie nadinspektorze, będę na Starej Plebanii.

Wyszła, niemal wypadła z kuchni, zanim obaj mężczyźni zdążyli wstać. Panna Mair nawet nie drgnęła, by ją odprowadzić, i kilka sekund później usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał Oliphant. Ukazał kominek skinieniem głowy i stwierdził: — Zabawne, nawet nie tknęła swojej kawy.

Rickards miał jednak dla Alice Mair ostatnie pytanie.

— Musiała dochodzić północ — powiedział — kiedy doktor Mair wrócił do domu. Czy dzwoniła pani do elektrowni, aby dowiedzieć się, czy wyszedł bądź też dlaczego się spóźnia?

Odparła oziębło: — Nawet mi to przez myśl nie przeszło, panie nadinspektorze. Skoro Alex nie jest ani moim dzieckiem, ani mężem, nie dotyczy mnie przymus kontrolowania jego czynności. Nie jestem stróżem brata swego.

Oliphant wbił w nią swoje posępne, podejrzliwe oczy i zapytał:

— Ale mieszka z panią, nieprawdaż? Rozmawiacie ze sobą, nieprawdaż? Musiała pani, na

przykład, wiedzieć o jego związku z Hilary Robarts. Aprobowała go pani?

Alice Mair nie zarumieniła się, lecz jej głos ciął jak stal.

— Moja aprobata lub dezaprobata byłaby wyrazem równie bezczelnej impertynencji, jak to pytanie. Jeśli chcecie, panowie, dyskutować o życiu prywatnym mojego brata, proponuję wam Aiexa jako rozmówcę.

215

P. D. JAMES

— Panno Mair — powiedział cicho Rickards — zabito kobietę i zmasakrowano jej zwłoki. Kobieta, którą pani знаła. Mając na względzie okrucieństwo tej zbrodni, zechce sobie pani, mam nadzieję, darować zbyt egzaltowane reakcje na pytania, które chwilami mogą się wydawać bezczelne bądź impertynenckie.

Gniew uczynił go nad zwykłą miarę wymownym. Ich spojrzenia spotkały się. Z jego oczu, jak wiedział Rickards, biła ślepa furia, wywołana zarówno brakiem taktu Oliphanta, jak i odpowiedzią Alice Mair. Jej natomiast szare oczy były znacznie bardziej zagadkowe. Rickardsowi zdało się przez moment, że dostrzega w nich zaskoczenie, potem czujność, niechętny szacunek i wreszcie niemal badawcze zainteresowanie.

A kiedy piętnaście minut później odprowadzała ich do drzwi, zbiła go nieco z tropu, podając mu rękę. Gdy ją uściśnął, powiedziała: — Proszę mi wybaczyć, panie nadinspektorze, zachowałam się nieprzyjemnie. Wykonujecie przykry, ale niezbędny zawód i macie prawo żądać współpracy. Jeśli chodzi o mnie, możecie na nią liczyć.

7

Nawet gdyby zniknęła znad wejścia jaskrawo wymalowana tablica, zaden mieszkaniec Norfolk nie miałby wątpliwości co do osoby bohatera, któremu pub w Lydsett zawdzięczał swoją nazwę, każdy przybysz natomiast od jednego spojrzenia na wzmiankowaną tablicę natychmiast rozpoznałby admirałski kapelusz z gwiazdą, udekorowaną pierś, czarną przepaskę na oku i podpięty pusty rękaw. Rickards pomyślał, że widywał wprawdzie gorsze wizerunki lorda Nelsona, ale nie było ich wiele. Tu mężny admirał wyglądał jak przebrana za mężczyznę księżniczka Anna.

George Jago najwyraźniej uznał, że przesłuchanie powinno się odbyć w sali barowej, pograżonej teraz w popołudniowym letargu. Mając zatem u boku małżonkę, podprowadził Rickardsa i Oliphanta do niewielkiego drewnianego stołu na żeliwnych nogach, ustawionego w pobliżu ogromnego wygasłego kominka. Obsiedli stół, jak — pomyślał Rickards — czwórka osobliwie niedobrych uczestników seansu spirytystycznego, przeprowadzanego jednak w odpowiednio po temu niedoświetlonym ustronnym miejscu. Pani Jago była kościstą, jasno-

216

INTRYGI I ŻĄDZE

oką niewiastą o ostrych rysach, która patrzyła na Oliphanta takim wzrokiem, jakby znała na wylot podobnych mu facetów i nie zamierzała kupować odeń żadnego kitu. Była potężnie umalowana. Dwa placki jaskrawego różu zdobiły policzki, jaskraworóżowa szminka pokrywała szerokie usta, zakończone krwistoczerwonymi szponami palce dźwigały rozmaitość pierścieni. Nienaturalnie połyskliwe czarne włosy były z przodu spiętrzone i ufrызowane w trzy rzędy drobnych loczków, dalej zaczesane do góry, a wreszcie poupinane grzebieniami z boków i z tyłu. Nosiła pani Jago plisowaną spódnicę oraz bluzkę z jakiegoś świecącego materiału w czerwono-biało-niebieskie paseczki; w bluzce tej, zapiętej pod szyję i ugniatanej mnogością złotych łańcuszków, jej właścicielka wyglądała jak wyspecjalizowana w epizodach aktorka, przymierzająca się do roli barmanki w, bulwarowej komedii. Żadna kobieta nie mogłaby założyć na siebie kreacji mniej odpowiedniej do wiejskiego pubu, a przecież tak pani Jago, jak i jej małżonek, siedzący ramię z ramię z radośnie wyczekującymi minami dzieciaków, które zachowują się najlepiej jak umieją, sprawiali wrażenie idealnie dopasowanych i do siebie, i do tego miejsca. Oliphant zajął się wygrzebaniem podstawowych informacji na ich temat i podzielił się nimi z Ricard-sem, kiedy jechali do pubu. George Jago prowadził przedtem licencjonowany pub w Catford, ale wraz z żoną przeprowadził się do Lydsett, po części dlatego że jego szwagier, George Sparks, miał na skraju wioski warsztat i firmę wynajmu samochodów, do której potrzebował póletatowego pomocnika.

George Jago jeździł tedy u Spark-sa jako kierowca, pozostawiając w takich razach lokal pod opieką pani Jago. Zdomowili się w wiosce, brali aktywny udział w życiu społeczności lokalnej i — jak się zdawało — nie tęsknili za zgiełkiem miasta. Rickards pomyślał, że wschodnia Anglia zaakceptowała i wchłonęła więcej ekscentrycznych par. Także jego z żoną, skoro o tym mowa. George Jago — krępy, wesoły mężczyzna o jasnych mrugających oczach, który roztaczał atmosferę z trudem tłumionej energii — w roli wiejskiego szynkarza prezentował się z pewnością lepiej niż jego żona w roli żony wiejskiego szynkarza. To z pewnością on zmienił charakter pubu. Niska, belkowana dębem sala barowa została przekształcona w zagracone i źle zakomponowane muzeum Nelsona. Jago spenetrował zapewne całą wschodnią Anglię w poszukiwaniu przedmiotów mających choćby najodleglejszy związek z osobą admirała. Nad kominkiem wisiała wielka litografia, przedstawiająca scenę z kokpitu Victory, gdzie Nelson romantycznie umiera w ramionach Hardy'ego. Pozostałe ściany były pokryte malowidłami i odbitkami ilustrującymi najśłynniejsze bitwy — pod Abu Kirem, pod Kopenhagą i Trafalgarem; nie

217

P. D. JAMES

zabrakło, rzecz jasna, lady Hamilton, zaprezentowanej na bodaj dwóch portretach, z których jeden był tandetną reprodukcją znanego obrazu Romneya; drzwi flankowały pionowe rzędy tablic pamiątkowych, z poczerniałych zaś sufitowych belek zwieszały się festony rocznicowych naczyń — częściowo, sądząc po żywości ornamentu, oryginalnych. W górnej części jednej ze ścian szereg chorągiewek układał się w coś, co było zapewne powtórzeniem słynnego sygnału, nadanego pod Trafalgarem z pokładu okrętu flagowego*, rozsnuta zaś pod sufitem sieć symbolizowała zapewne w sposób najogólniejszy związek admirała z morzem. I nagle, patrząc właśnie na tę pozlepianą sadzą sieć, Rickards sobie przypomniał. Zatrzymał się tu z Susie na drinka, kiedy pierwszej zimy ich małżeństwa zwiedzali podczas weekendu tę część wybrzeża. Nie pobyli długo, bo Susie uskarżała się, że lokal jest zbyt zatłoczony i zadymiony. Ale pamiętał ławę, na której siedzieli: pod ścianą, na lewo od drzwi. On wypił małe piwo. Susie — pół wytrawne sherry. Wtedy — przy rozpalonym kominku, w którym płomienie skakały wysoko z trzeszczących polan, przy zgiełku, donośnych, pogodnych głosów ludzi z Norfolk — pub wydawał się interesująco nostalgiczny i przytulny. Teraz jednak, w wątlym świetle jesiennego popołudnia, to nagromadzenie artefaktów ani, w ogromnej większości, autentycznych, ani szczególnie wartościowych, trywializowało w poczuciu Rickardsa i umniejszało tak długą historię samego budynku, jak i osiągnięcia admirała. Doznał ataku klaustrofobii i z trudem oparł się impulsowi, by pchnięciem otworzyć drzwi i wpuścić do środka świeże powietrze dwudziestego stulecia.

Jak to po fakcie określił Oliphant, przesłuchiwanie George'a Jago było czystą przyjemnością. Nie traktował człowieka jak potrzebnego, ale niemile widzianego technika o wątpliwych kompetencjach, który zabiera tylko cenny czas. Nie używał słów, jakby były zaszyfrowanymi sygnałami służącymi nie do wyrażania, lecz ukrywania myśli, nie usiłował subtelnie zaszachować rozmówcy swą wyższą inteligencją. Nie postrzegał rozmowy z policjantami jako starcia umysłów, w którym przewaga leży z pewnością po jego stronie, ani też nie reagował na zupełnie naturalne pytania z tą mieszaniną strachu i nieugiętości, jaką w obliczu sił specjalnych okazują niektóre ofiary totalitarnych reżimów. W sumie, podkreślił Oliphant, był odświeżającą odmianą.

Jago przyznał radośnie, że w niedzielę, tuż po wpół do ósmej, dzwonił do Blaneyów i panny Mair z wieścią o śmierci Świstuna. Skąd o niej wiedział? Ponieważ jeden z policjantów, zaangażowanych * „Anglia oczekuje, że każdy z was wypełni dzisiaj swą powinność”, przyp, tłum.

218

INTRYG I ŻĄDZE

w sprawę, zadzwonił do żony, aby ją powiadomić, że ich córka może bez ryzyka iść tego wieczoru samotnie na prywatkę, żona natomiast zadzwoniła do swojego brata Harry'ego Upjohna, który prowadzi pod Cromer „Koronę i Kotwicę”, Harry zaś, będąc dobrym kumplem, zadzwonił do niego. Jago dokładnie pamiętał, co powiedział Theresie Blaney: „Powiedz tacie, że znaleźli zwłoki Świstuna. Samobójstwo, Zabił się w Easthaven. Nie ma już powodów do żałoby”.

Zadzwonił do Blaneyów, bo wiedział, że Ryan lubi sobie z wieczora wypić kufelek, a boi się

zostawiać dzieciaki same, dopóki Świstun hasa na swobodzie. Blaney nie przyszedł tego wieczoru, ale to o niczym nie świadczy. Co do panny Mair, to podobnie brzmiący komunikat podyktował automatycznej sekretarce. Nie zadzwonił do pani Dennison, bo sądził, że odwozi Copleyów i jest w drodze do Norwich.

— Ale zadzwonił pan do niej później? — zapytał Rickards.

— Dopiero kiedy mu przypomniałam — wtrąciła pani Jago. — Byłam na niesporach o wpół do siódmej, a potem wpadłam do Sadie Sparks, żeby omówić sprawy jesiennego jarmarku. Sadie znalazła liścik z informacją od Charliego, że dostał dwa pilne wezwania: najpierw miał odstawić Copleyów na pociąg w Norwich, a potem zabrać jakąś parę z Ipswich. Więc kiedy wróciłam do domu, powiedziałam George'owi, że pani Dennison nie odwoziła w końcu Copleyów i że powinien natychmiast do niej zadzwonić i przekazać wiadomość o Świstunie. Chodziło mi o to, że lepiej się wyśpi, wiedząc, że Świstun nie czyha w ogrodzie plebanii, ale że jest martwy. No więc George zadzwonił.

— Ano chyba był wówczas kwadrans po dziewiątej — uzupełnił Jago. — Tak czy siak, zadzwoniłbym niewiele później, bo obliczałem sobie, że wróci gdzieś o wpół do dziesiątej.

— Czy pani Dennison odebrała telefon? — zapytał Rickards.

— Nie, wtedy nie odebrała. Spróbowałem jeszcze raz jakieś pół godziny później i wtedy jej powiedziałem.

— A zatem nikogo z rozmówców nie poinformował pan, że zwłoki znaleziono w hotelu Balmoral?

— Skąd miałem o tym wiedzieć? Wszystko, co mi powiedział Harry Upjohn, to że znaleźli Świstuna i że jest martwy. Powiedziałbym, że policja tuszowała sprawę... to znaczy, gdzie go znaleźiono. Nie chciała mieć tłumu żadnych krwi gapiów. Kierownik hotelu też nie chciał, skoro o tym mowa.

— A dziś z samego rana obdzwonił pan znowu wszystkich z informacją, że została zamordowana panna Robarts. Jak pan to odkrył?

219

P. D. JAMES

— Widziałem przejeżdżające radiowozy, nie? Więc wskoczyłem na rower i podjechałem do bramy. Wasi chłopcy zostawili bramę otwartą, więc ją zamknąłem i poczekałem. Kiedy wracali, znów ją otworzyłem i zapytałem, co jest grane.

— Zdaje się, że ma pan niezwykły talent do wyciskania informacji z policjantów — zauważył Rickards.

— Ano, zna się paru z nich, nie? Przynajmniej naszych miejscowych chłopaków. Popijają w „Bohaterze”. Ale kierowca pierwszego wozu nic mi nie powiedział. Ani kierowca karetki z kostnicy. Dopiero jak otwierałem bramę przed trzecim wozem, zapytałem, kto umarł i mi powiedzieli. To znaczy, człowiek umie rozpoznać ten karawan.

— Kto właściwie panu powiedział? — zapytał złowrogo Oliphant.

George Jago obrócił nań swoje jasne i niewinne spojrzenie błazna. — A skąd mam wiedzieć? W nocy wszyscy policjanci są szarzy. Któryś.

— I dzwonił pan dziś z rana? Dlaczego tak późno? Dlaczego dopiero wtedy?

— Bo jak się dowiedziałem, to było już po północy. Ludziska lubią nowiny, ale jeszcze bardziej lubią pospać. No, ale do Ryana Blaneya zadzwoniłem w pierwszej kolejności.

— Dlaczego akurat do niego?

— A dlaczego nie? Leży w naturze człowieka przekazywać najpierw wieści osobie najbardziej zainteresowanej.

— A był istotnie osobą najbardziej zainteresowaną — stwierdził Oliphant. — No i co, przyjął je z ulgą?

— Może tak, może nie. Nie rozmawiałem z nim osobiście. Przekazałem wiadomość Theresie.

— A zatem nie rozmawiał pan z Blaneyem ani wczoraj, ani dzisiaj — powiedział Oliphant. — Trochę dziwne, nieprawdaż?

— Zależy jak człowiek na to patrzy, nie? Za pierwszym razem był w swojej szopie. Nie lubi

podchodzić do telefonu, kiedy maluje. Po co zresztą miałby podchodzić. Ja powiedziałem Theresie, a Theresa jemu.

— Skąd pan wie, że mu powiedziała? — zapytał Rickards.

— Od niej. Dlaczego miałaby mu nie mówić?

— Ale nie ma pan pewności, że to zrobiła?

— A pan — wtrąciła niespodziewanie pani Jago — nie może mieć pewności, że tego nie zrobiła. I tak czy owak, jakież to ma znaczenie? Blaney teraz wie. Wszyscy wiemy. Wiemy o Świstunie i wiemy o panie Robarts. I może gdybyście złapali Świstuna rok temu, panna Robarts wciąż by żyła.

220

INTRYGII I ŻĄDZE

— Co chce pani przez to powiedzieć, pani Jago? — spytał szybko Oliphant.

— Chcę powiedzieć, że to było skopiowane morderstwo, jak się gada we wsi. Są rzecz jasna tacy, co mówią, że pokręciliście coś z czasem i że to robota Świstuna. No i jest stary Humphrey... ten zwała wszystko na ducha Świstuna.

— Interesuje nas portret panny Robarts, namalowany ostatnio przez Blaneya — powiedział Rickards. — Czy którekolwiek z państwa go widziało? Czyście o nim ze sobą rozmawiali?

— Jasne, żeśmy go widzieli — odparła pani Jago. — Wisiał u nas w sali barowej. Wiedziałam, że ściągnie nieszczęście. Występny obraz, słowo daję.

Jago zwrócił się do żony i jął wyjaśniać spokojnie, lecz z naciskiem: — Nie rozumiem, jak możesz mówić, że obraz był występny. Rzeczy nie bywają występne. Przedmiot nieożywiony nie jest ani występny, ani święty. Występek jest czymś, czego dopuszczają się ludzie.

— I czymś, co myślą. A ten obraz, George, powstał z występnych myśli i dlatego powiadam, że był występny.

Przemawiała stanowczo, bez najmniejszego jednak uporu czy niechęci. Był to najwyraźniej ten rodzaj małżeńskiego sporu, niezłośliwego i ujętego w żelazne karby reguł, którym się oboje delectowali. Przez kilka minut zwracali uwagę tylko na siebie.

— Jasna rzecz — ciągnął Jago — że nie był to obraz z rodzaju tych, jakie człowiek powiesiłby sobie w salonie.

— Albo w barze, skoro już o tym mówimy. Szkoda, że to zrobiłeś, George.

— Masz rację. A jednak po staremu nie myślę, żeby podsunął komukolwiek jakiś zasadniczo nowy pomysł. I nie możesz powiedzieć, że był występny. Bo obraz, Doris, nie może taki być.

— Dobra, powiedzmy, że dostajesz narzędzie tortur, coś, co było wykorzystywane przez gestapo.

— Pani Jago powiodła wzrokiem po sali, jakby żywiła bezzasadną nadzieję, że pośród całej tej zbieraniny znajdzie odpowiedni przykład. — Powiedziałabym wówczas, że to coś jest występne i nie chcę widzieć tego pod swoim dachem.

— Mogłabyś najwyżej -powiedzieć, że było wykorzystywane do występnych celów, Doris; to wielka różnica.

— Dlaczego właściwie powiesił pan portret? — zapytał Rickards.

— Bo Blaney mnie prosił, oto dlaczego. Zwykle znajduję miejsce na jedną czy dwie z jego małych akwarelek, które czasem udaje mu się sprzedać, a czasem nie. Zawsze mu mówię, że mają to być morskie pejzaże. To znaczy, wszystko u nas jest związane z admirałem,

221

P. D. JAMES

tematyka wyłącznie żeglarska. Ale napał się, żebym powiesił ten obraz i pottrzymał przez tydzień. Przywiózł go rowerem w poniedziałek dwunastego.

— Mając nadzieję go sprzedać?

— Och, nie, nie był na sprzedaż, ten obraz nie był. Co do tego Blaney nie pozostawił wątpliwości.

— Więc po co go było w ogóle wieszać? — zapytał Oliphant.

— Tak właśnie powiedziałem. — Jago odwrócił się triumfalnie do sierżanta, jakby uznając w nim równego sobie eksperta od logiki. — „Po co wieszać, jak go nie chcesz sprzedać?”, zapytałem.

„Niech sobie na niego popatrzą — odparł. — Chcę, żeby go widzieli. Chcę, żeby widział go cały

świat". Krzynę za dużo optymizmu, pomyślałem sobie. Koniec końców, nie jesteście Galerią Narodową, nie?

— Jeśli już, to raczej Narodowym Muzeum Morskim — wtrąciła rozpromieniona Doris.

— Gdzie pan powiesił obraz?

— Tam, naprzeciwko drzwi. Musiałem, nieprawdaż, zdjąć dwa obrazki z Bitwą pod Abu Kirem.

— Ile osób widziało go w ciągu tych siedmiu dni?

— Czyli pyta pan, ilu miałem wtedy klientów, nie? To znaczy, widzieli go wszyscy, którzy byli w pubie. Nikt nie mógł przegapić. Doris chciała, żebym zdjął obraz, ale skoro obiecałem, że go potrzymam do poniedziałku, wisiał do poniedziałku. Ale byłem rad, kiedy Blaney go wreszcie zabrał. Jak mówiłem, wszystko jest u nas pamiątkowe, wszystko związane z admirałem. Tamto płótno nie pasowało do wystroju. No, ale nie pobyło długo. Blaney obiecał, że zjawi się po nie dziewiętnastego rano i się zjawił.

— Czy ktokolwiek z przylądka albo elektrowni widział obraz?

— Ci, którzy akurat przyszli. „Nasz Bohater” nie jest ich zwykłą metą. Większość pod koniec dnia chce się stąd zabrać w diabły i któż by im się dziwił? To znaczy, mieszkanie nad sklepikiem jest zupełnie w porządku, ale, na Boga, nie nad takim sklepikiem.

— Czy wiele się mówiło o tym portrecie? Czy, na przykład, ktokolwiek pytał, gdzie go Blaney zwykle trzyma?

— Jeśli mówiło, to nie ze mną. I chyba ludziska przeważnie wiedzą, gdzie Blaney trzyma obraz. Sporo gadał o swojej szopie. A jeśli liczył, że go sprzeda, to się przeliczył, nie było żadnych ofert. Ale powiem panom, kto między innymi widział portret. Hilary Roberts.

— Kiedy to było?

— Dzień po tym, jak go przyniósł, około siódmej wieczorem.

222

INTRYGII I ŻĄDZE

Wpada tu od czasu do czasu. Nigdy nie pije dużo, najwyżej dwa kieliszeczki wytrawnego sherry. Siaduje przy kominku.

— Sama?

— Zazwyczaj. Raz czy dwa towarzyszył jej doktor Mair. Ale we wtorek była sama.

— Jak się zachowała, kiedy spostrzegła obraz?

— Wstała i zaczęła mu się przyglądać. W pubie było wówczas dość tłoczno i wszyscy umilkli.

Wie pan, jak to jest, nie? Gapili się. Nie widziałem jej twarzy, bo stała tyłem do mnie. Potem

podeszła do baru i oświadczyła: „Postanowiłam zrezygnować z bywania w tym lokalu.

Najwyraźniej klienci z Larksoken nie są mile widziani”. Potem wyszła. Cóż, mile witam wszystkich klientów, byle umieli pić i nie prosili o kredyt, ale doszedłem do wniosku, że nie będę jej opłakiwał.

— Nie była zatem lubiana w tych okolicach?

— Nie wiem, jak tam w okolicach, ale w tym pubie nie była szczególnie lubiana.

Zabrała głos Doris Jago: — Intrygowała, oto w czym rzecz, aby wygryźć Blaneyów z Chaty

Żeglarza. A biedny Blaney to przecież wdowiec, który usiłuje wychować czwórkę dzieciaków.

Gdzie, jej zdaniem, miałby się podziać? Dostaje zasiłek rodzinny, a poza tym inne ochłapki, jakie

skapują z Opieki, ale przecież z tego nie załatwi sobie nowego domu. Ale przykro mi, że zginęła,

jasne, przecież w takich razach człowiekowi powinno być przykro, nie? Nie jest przyjemnie, jeśli takie coś spotyka kogokolwiek. Wyślemy jej wieniec od „Naszego Bohatera”.

— Czy to wtedy widział ją pan po raz ostatni?

— George tak — powiedziała pani Jago. — Ja wczoraj po południu widziałam ją na przylądku.

Pewnie kilka godzin przed jej śmiercią. Mówiłam potem George'owi: Może byłam ostatnim

człowiekiem, który ją widział przy życiu, no, oprócz Neila Pascoe i Amy. Wtedy mi to nawet przez myśl nie przeszło. Nie umiemy patrzeć w przyszłość, ja bym zresztą nie chciała. Niekiedy

spoglądam na elektrownię i zastanawiam się, czy któregoś dnia nie pokończymy wszyscy, jak ryby wyrzucone na brzeg.

Oliphant spytał, w jakich okolicznościach znalazła się na przylądku.

— Rozwoziłam magazyn parafialny, jakżeby inaczej. Zawsze robię to po południu w ostatnią

niedzielę miesiąca. Zabieram z kościoła po rannym nabożeństwie i rozwożę w okolicach obiadu. Panowie nazywają to lunchem, ale dla nas jest to obiad.

223

P. D. JAMES

Rickards od dziecka nazywał swój wczesnopołudniowy posiłek obiadem i czynił tak nadal, mimo prowadzonej przez teściową nieustającej kampanii, by podnieść jego status społeczny. Teściowa w dzień jadła zawsze lunch, wieczorem natomiast obiad, nawet kiedy, jak bywało nader często, składał się on z sardynek na grzankach. Zastanawiał się, co zjedzą dzisiaj. Powiedział: — Nie zdawałem sobie sprawy, że mieszkańcy przylądka, prócz Copleyów, oczywiście, to ludzie pobożni. — I pani Dennison. Ona bywa w kościele bardzo regularnie. Nie mogę powiedzieć, że pozostali też... a co tu gadać o uczestnictwie w nabożeństwach... ale biorą magazyn parafialny. — Ton pani Jago zdawał się sugerować, że są w świecie takie otchłanie bezbożności, do jakich mieszkańcy przylądka jeszcze się nie zniżyli. — Wszyscy z wyjątkiem Blaneyów, rzecz jasna, ale to zrozumiałe, skoro są rzymskokatolikami. Przynajmniej ona była, biedaczynka, więc i dzieciaki też są. To znaczy, powinny być, prawda? Nie sądzę, żeby Ryan wierzył w cokolwiek. Ale to artysta. Nie jeździłam do Chaty Żeglarza nawet kiedy żyła Blaneyowa. Tak czy inaczej, rzymskokatolicy nie mają magazynu parafialnego.

— Ja bym tego nie powiedział, Doris — stwierdził George Jago. — Ja bym się do tego nie posunął. Mogą mieć.

— Mieszkamy tu od czterech lat, George, ojciec McKee był w pubie nie raz i nie dwa, a przecież nie widziałam żadnego takiego magazynu.

— Mogłaś nie zauważyć, zgodzisz się ze mną?

— Zauważyłabym, George, gdyby było co do zauważenia. Różnią się od nas. Nie mają po żniwach dziękczynnych modłów i nie mają magazynów parafialnych.

Jej mąż zaczął wyjaśniać cierpliwie: — Są inni, bo mają odmienne dogmaty. To ma związek wyłącznie z dogmatami, Doris, a nie modłami po żniwach albo magazynami parafialnymi.

— Wiem, że z dogmatami. Papież im mówi, że Dziewica Maryja została wniebowzięta i muszą w to wierzyć. O dogmatach wiem wszystko.

Zanim George Jago zdołał otworzyć usta, aby poddać krytycznej refleksji tę wiarę we własną nieomyślność, jaką zademonstrowała jego połówica, Rickards wtrącił pospiesznie: — A zatem rozwoziła pani magazyny wczoraj po południu. Dokładnie kiedy?

— Ano, chyba wyruszyłam około trzeciej albo trzeciej z minutami. W niedzielę jadamy obiad dość późno i o wpół do trzeciej jeszcześmy się nie zabrali do deseru. Potem George nastawił zmy-

224

INTRYGI I ŻĄDZE

warkę, a ja byłam gotowa do drogi. Powiedzmy, trzecia piętnaście, jeśli chcemy być dokładni.

— O trzeciej piętnaście to już cię dawno nie było, Doris — wtrącił Jago. — Wyjechałaś, rzekłbym, bliżej trzeciej dziesięć.

— Pięć minut w te czy wewte nie ma chyba żadnego znaczenia

— rzucił ze zniecierpliwieniem Oliphant.

George Jago obrócił nań wzrok wyrażający, w starannie odmierzonych proporcjach, zaskoczenie i lekką przyganę. — Mogą mieć. Mogą mieć krytyczne znaczenie. Powiedziałbym, że w śledztwie dotyczącym morderstwa pięć minut może mieć krytyczną wagę.

Swoje pięć groszy wtrąciła pani Jago: — Krytyczną wagę może mieć nawet jedna minuta, jeśli właśnie w ciągu tej minuty popełniono zbrodnię. Przynajmniej krytyczną dla ofiary. Nie pojmuję, jak może pan mówić, że nie ma żadnego znaczenia.

Rickards uznał, że najwyższy już czas, by zainterweniować. — Zgadzam się, że pięć minut może mieć istotne znaczenie, panie Jago, ale raczej nie pięć akurat tych minut. Może pańska małżonka opowie nam teraz dokładnie, co robiła i widziała.

— Ano, wsiadłam na rower. George zawsze proponuje, że mnie będzie wozić, ale przez tydzień najeździ się dość i nie chciałam mu zawracać głowy wyprowadzaniem samochodu. A już na pewno nie w niedzielę, po rostbefie i puddingu.

— Żadna fatyga, Doris. Przecież ci mówiłem, żadna fatyga.
— Wiem, George, czyż jednak nie mówiłam właśnie, że się zaofiarowałeś? Ale lubię odrobinę wysiłku i zawsze wracam przed zmrokiem. — Zwróciła się do Rickardsa i wyjaśniła: — Dopóki działał Świstun, George nie pozwalał mi wychodzić po zmroku.
— Wyruszyła więc pani między trzecią dziesiątą i trzecią piętnaście i pojechała rowerem na przylądek — odpowiedział Oliphant.
— Wioząc, jak zawsze, w koszyku magazyny parafialne. Najpierw pojechałam do przyczepy. Zawsze najpierw jadę do przyczepy. Z Neilem Pascoe to teraz trochę śliska sprawa.
— W jakim sensie śliska, pani Jago?
— Ano, prosił już nie raz, żebyśmy wykładali to jego pisemko
— nazywa je „Biuletyn Nuklearny” — na bar; może, mówił, ktoś je kupi, może chociaż przejrzy. Aleśmy się z George'em zawsze wykręcali. To znaczy, mamy trochę klientów z Larksoken i nikomu nie jest miło, kiedy leży przed nim gazetka, gdzie pisze, że to, co ten ktoś robi, jest zbrodnicze i trzeba temu położyć kres. A na pewno nie jest miło, kiedy człowiek wpada na spokojnego drinka. Poza tym, nie wszyscy z Lydsett są zachwyceni akcją Neila. Nie da się zaprzeczyć, że

15 Intrygi i żądze

225

P. D. JAMES

dzięki elektrowni wioska ma większy ruch w interesie i więcej stanowisk pracy. No i trzeba trochę ufać ludziom, prawda? Jeśli taki doktor Mair powiada, że energia jądrowa jest bezpieczna, to przypuszczalnie jest. Chociaż kto tam właściwie może wiedzieć, nieprawdaz?

— Ale pan Pascoe bierze magazyn parafialny? — zapytał cierpliwie Rickards.

— Ano magazyn kosztuje tylko dziesięć pensów, a Neil lubi pewnie wiedzieć, co się dzieje w parafii. Kiedy się zjawił na przylądku — będzie dwa lata temu — odwiedziłam go i spytałam, czy weźmie magazyn. Był chyba ciut zaskoczony, ale wziął, zapłacił i bierze cały czas. Jak już nie będzie chciał, to wystarczy, że mi powie.

— I co się stało w przyczepie? — spytał Rickards.

— Zobaczyłam, jak powiedziałam wcześniej, Hilary Robarts. Wręczyłam Neilowi magazyn, pobrałam pieniądze i gawędziliśmy sobie trochę w środku, kiedy zajechała tym swoim czerwonym golfem. Amy była z dzieciakiem na dworze, zdejmowała pranie ze sznurków, które tam sobie porozwieszali. Na widok samochodu Neil wyszedł z przyczepy i stanął obok Amy. Panna Robarts wysiadła z samochodu, ale Neil i Amy nic nie mówili, tylko wpatrywali się w nią, stojąc ramię w ramię. Niespecjalne powitanie, ale czego innego się spodziewać? Potem, kiedy panna Robarts podeszła do nich na odległość jakichś sześciu jardów, Timmy pobiegł do niej i złapał ją za nogawkę. To przyjazny konusik i nie zamierzał zrobić nic złego. Zna pan dzieciaki. Ale taplał się przedtem w tej kałuży błocka pod kranem i teraz zaczął jej smarować spodnie. Odepchnęła go i to wcale mocno. Mały padł na pupę, zaczął ryczeć i rozpętało się piekło.

— Co zostało powiedziane? — zapytał Oliphant.

— Tak dokładnie to nie pamiętam. Ale padło wiele słów, jakich nie powinno używać się przy niedzieli. Były takie na „p” i były takie na „k”. Niech pan sobie sam dopowie.

— Czy padły jakieś groźby? — spytał Rickards.

— Zależy, co pan rozumie przez groźby. Było mnóstwo wrzasku i pisku. Tylko nie z ust Neila. Stał oniemiały i był taki blady, jakby miał lada chwila zemdleć. Głównie darła się Amy. Człowiek mógłby pomyśleć, że panna Robarts dźgnęła małego nożem. Nie pamiętam z tego nawet połowy. Spytajcie Neila Pascoe. Panna Robarts chyba nie zauważyła mojej obecności. Spytajcie Amy i Neila. Oni wam powiedzą.

— Ale — stwierdził Rickards — pani mi też powie. To bardzo pomocne, kiedy mamy opis tego samego incydentu z różnych ust. Uzyskujemy wówczas dokładniejszy obraz.

226

INTRYGI I ŻĄDZE

— Dokładniejszy? — wtrącił Jago. — Może najwyżej inny. Byłby dokładniejszy tylko wówczas,

gdyby wszyscy mówili prawdę.

Przez moment Rickards obawiał się, że pan Jago już jest gotów zakwestionować jego opinię z pomocą kolejnej analizy semantycznej. Powiedział: — Cóż, jestem pewien, że mówi pani prawdę, pani Jago. Oto dlaczego zaczęliśmy od pani. Czy może sobie pani przypomnieć, co rzeczywiście zostało powiedziane?

— Chyba panna Robarts oświadczyła, że przyjechała tu po to, aby poinformować ich, że rezygnuje ze sprawy sądowej, ale teraz niech ją diabli, jeśli się wycofa, a przy tym ma nadzieję, że puści ich z torbami. „Ciebie i tę twoją kurwę”, jak to ujęła. Czarujące, nieprawdaż?

— Użyła takich właśnie słów?

— I jeszcze paru innych, których nie potrafię sobie przypomnieć.

— Chodzi mi o to, pani Jago, czy osobą, rzucającą pogrożki, była panna Robarts.

Po raz pierwszy na twarzy pani Jago zagościło zakłopotanie; potem rzekła: — Cóż, ona się zawsze odgrażała, nieprawdaż? To nie Neil Pascoe*ją oskarżał.

— Co nastąpiło potem?

— Nic. Panna Robarts wsiadła do auta i odjechała. Amy wpakowała dzieciaka do przyczepy i zatrzasnęła drzwi. Neil wyglądał tak żałośnie, że tylko czekałam, aż wybuchnie płaczem, więc pomyślałam sobie, że powinnam powiedzieć mu coś na pocieszenie.

— I co pani powiedziała?

— Powiedziałam, że jest jadowitą występłą dziwką i któregoś dnia ktoś ją załatwi.

— To nie było ładne z twojej strony, Doris — zauważył pan Jago. — Zwłaszcza przy niedzieli.

Doris Jago powiedziała pojednawczo: — Nie byłoby miłe w jakimkolwiek dniu tygodnia, ale niewiele się pomyliłam, prawda?

— I co stało się potem, pani Jago? — zapytał Rickards.

— Dalej rozwoziłam magazyny. Najpierw pojechałam na Starą Plebanię. Zwykle tam nie jeżdżę, bo Copleyowie i pani Dennison zawsze uczestniczą w niedzielnej mszy i sami biorą swój magazyn, ale wczoraj się nie zjawili, więc byłam trochę zaniepokojona. Okazało się jednak, że byli tylko zajęci pakowaniem. Copleyowie wyjeżdżali do córki, do Wiltshire. Pomyślałam, że to dobrze i że pani Dennison trochę sobie odpocznie. Zaproponowała mi herbatę, ale odmówiłam, bo szykowała podwieczorek dla Copleyów. Ale posiedziałam w kuchni pięć minut i nieco sobie pogwarzyłyśmy. Powiedziała, że od kilku osób z Larksoken dostała bardzo ładne dziecięce ciuszki na jesienny jarmark, dobre —

227

P. D. JAMES

jej zdaniem — na bliźniaczki Blaney. Zastanawiała się, czy Blaney byłby nimi zainteresowany.

Mogłaby je wycenić i dać Ryanowi do wyboru jeszcze przed jarmarkiem. Już raz tak kiedyś postąpiliśmy, ale udało się nam przeprowadzić rzecz bardzo taktownie. Bo Ryan nic by nie wziął, podejrzewając, że chodzi o dobroczynność. Ale to żadna dobroczynność, nieprawdaż? To gromadzenie pieniędzy na fundusz kościelny. Widuję Ryana, kiedy bywa w pubie, i pani Dennison doszła do wniosku, że lepiej, bym to ja wystąpiła z taką sugestią.

— A po wizycie na Starej Plebanii?

— Pojechałam do Chaty Męczennicy. Panna Mair płaci łącznie raz na sześć miesięcy, więc nigdy nie zawracam sobie głowy pobieraniem pieniędzy. Czasem jest zajęta, czasem w rozjazdach, więc zwykle wsuwam tylko magazyn przez otwór na listy.

— Czy zastała ją pani w niedzielę?

— Nie widziałam żywego ducha. Potem pojechałam do ostatniego domu, tego w którym mieszka Hilary Robarts. Oczywiście wróciła do tego czasu, widziałam przed garażem jej czerwonego golfa. Ale do niej też zazwyczaj nie pukam. To nie taka kobieta, co to zaprosi człowieka na plotki i filiżankę herbaty.

— Więc jej pani nie widziała? — zapytał Oliphant.

— Widziałam ją już wcześniej, prawda? A jeśli pan pyta, czy widziałam ją po raz drugi, to odpowiedź brzmi „nie”, nie widziałam jej. Ale ją słyszałam.

Pani Jago urwała na chwilę, aby wzmocnić efekt. Rickards zapytał: — W jakim sensie ją pani

słyszała, pani Jago?

— Słyszałam ją, nieprawdaż, przez szczelinę na listy, kiedy wsuwałam magazyn. No i miała z kimś piękną sprzeczuchną. Rzekłabym nawet: prawdziwą awanturę. Już drugą tego dnia. A może nawet trzecią.

— Co ma pani na myśli, pani Jago? — spytał Oliphant.

— Po prostu się zastanawiam. Odniosłam wrażenie, że kiedy zjawiała się koło przyczepy, była nieźle nabuzowana. Zaczerwieniona, drażliwa, no, wiecie, panowie.

— I to wszystko dostrzegła pani z drzwi przyczepy?

— Właśnie. Taki już mam talent.

Rickards zapytał: — Zorientowała się pani może, czy rozmawiała z mężczyzną, czy też z kobietą?

— Jednym z dwojga. Słyszałam tylko jeden głos: jej. Ale ktoś tam z nią na pewno był, chyba że wrzeszczała na siebie samą.

— Która to mogła być godzina, pani Jago?

— Czwarta, moim zdaniem, albo ciut później. Powiedzmy, że do przyczepy dotarłam o trzeciej dwadzieścia pięć, a zabrałam się stamtąd

228

INTRYG I ŻĄDZE

pięć po wpół do czwartej. Potem kwadrans na Starej Plebanii — czyli jest za pięć czwarta — i jazda przez przylądek. A więc musiało być tuż po czwartej.

— Potem wróciła pani do domu?

— Słusznie i było to tuż po wpół do piątej, prawda, George? Jej małżonek odparł: — Może tak, kochanie. Choć z drugiej strony, może i nie. Spałem wówczas.

Dziesięć minut później Rickards i Oliphant wyszli.

George i Doris odprowadzali wzrokiem wóz policyjny aż zniknął z pola widzenia.

Doris stwierdziła: — Nie mogę powiedzieć, że mi się spodobał ten sierżant.

— A ja nie mogę powiedzieć, że spodobał mi się którykolwiek z nich.

— Nie sądzisz chyba, George, że popełniłam błąd, mówiąc im o tej kłótni?

— A miałaś jakiś wybór? To jest morderstwo, Doris, i byłaś jedną z ostatnich osób, które widziały ją przy życiu. Dowiedzieliby się tak czy owak, choćby częściowo, od Neila Pascoe. Nie ma co zatajać rzeczy, o których policjanci i tak w końcu się dowiedzą. No a ty mówiłaś szczerą prawdę.

— Tego bym nie powiedziała, George, a przynajmniej nie całą prawdę. Trochę ją może stonowałam. Ale nie powiedziałam im żadnych kłamstw.

Przez chwilę w milczeniu kontemplowali ten drobny niuans, a potem Doris stwierdziła: — To błocko, którym Timmy usmolił spodnie panny Robarts, pochodziło z kałuży pod kranem. Kapie tam już od tygodni. Czyż nie byłoby zabawne, gdyby Hilary Robarts zginęła dlatego, że Neil Pascoe nie umiał zmienić uszczelki?

— Wcale nie zabawne, Doris — odparł jej mąż. — Nie powiedziałbym, żeby w ścisłym słowa znaczeniu było to zabawne.

8

Rodzice Jonathana Reevesa przeprowadzili się z małego segmentu w południowym Londynie do mieszkania w nadmorskim bloku tuż za granicami Cromer. Propozycja pracy w elektrowni, jaką otrzymał Jonathan, zbiegła się w czasie z przejściem ojca na emeryturę; pomysł starszych państwa polegał na tym, żeby zamieszkać w miejscu, które

229

P. D. JAMES

polubili podczas wielokrotnie spędzanych tu wakacji, i żeby jak oświadczyła Jonathanowi matka, zapewnić mu domowe warunki, dopóki nie znajdzie odpowiedniej dziewczyny. Ojciec przez pięćdziesiąt lat pracował w dziale dywanów dużego domu towarowego w Clapham — zaczął jeszcze jako piętnastolatek tuż po szkole podstawowej, by awansować w końcu na stanowisko kierownika działu. Miał prawo kupować w macierzystej firmie dywany po cenach niższych nawet niż hurtowe, resztki — czasem dostatecznie duże na wyłożenie małego pokoiku — dostawał za

darmo, tak, że od dzieciństwa Jonathan nie pamiętał pomieszczenia w domu, gdzie wykładziny nie sięgałyby od ściany do ściany.

Czasem zdawało się, że gruba wełna i włókno sztuczne absorbowały i wyciszały nie tylko kroki mieszkańców. Spokojną reakcją matki na każde wydarzenie było albo: „Jakże urocze” — stwierdzenie jednak pasujące do smakowitego posiłku, zaręczyn bądź urodzin w rodzinie królewskiej czy też wyjątkowo pięknego wschodu słońca — albo: „Okropne, okropne, nieprawdaż? Człowiek się czasem zastanawia, do czego zmierza ten świat”, co z kolei odnosiło się do wydarzeń tak rozmaitych, jak zabójstwo Kennedy'ego, szczególnie brutalna zbrodnia, gwałty popełnione na dzieciach, zamach bombowy Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Ale w gruncie rzeczy wcale się nie zastanawiała, do czego zmierza świat. Zdumienie było uczuciem dawno wygłuszonym w niej przez strzyżone albo puchate wykładziny na jucie lub filcu. Odnosił wrażenie, iż żyją w harmonii, ponieważ ich emocje, uległe atrofii z powodu niestosowania bądź niekultywowania, są po prostu zbyt słabe, aby uporać się z czymś tak z natury swojej dynamicznym, jak kłótnia. Na pierwsze oznaki zaognienia atmosfery matka mawiała: „Nie podnoś głosu, kochanie, nie lubię sprzeczek”. Kontrowersje, jakkolwiek intensywne, znajdowały wyraz w opryskliwości, która jednak umierała szybko z braku energii, mogącej utrzymać ją przy życiu.

Dogadywał się niezłe ze swoją starszą o osiem lat siostrą Jennifer, mieszkającą obecnie w Ipswich ze swoim mężem, urzędnikiem magistrackim. Kiedyś, gdy obserwował, jak pochyla się nad deską do prasowania, mając na twarzy dobrze znajomy wyraz lekko gniewnej koncentracji, doznawał pokusy, by poprosić: „Pogadaj ze mną. Powiedz, co myślisz o śmierci, występku, o tym, co tutaj robimy”. Ale jej odpowiedź była do przewidzenia: „Wiem co ja tutaj robię. Prasuję koszule taty”. Wobec znajomych a także osób, które mogłyby określić mianem przyjaciół, matka Jonathana zawsze mówiła o swoim mężu jako panu Reevesie: „Pan Reeves jest niesłychanie ceniony przez pana Wainwrighta”; „Oczywiście, można powiedzieć, że bez pana Reevesa nie

230

i

INTRYGII I ŻĄDZE

byłoby działu dywanów u Hobbsa i Wainwrighta”. Dom towarowy reprezentował te aspiracje, tradycje i przekonania, które inni odnajdywali w swych zawodach, szkołach, pułkach i religiach. Pan Wainwright starszy był dla rodziców Jonathana wychowawcą, pułkownikiem, arcykapłanem; ich sporadyczne bytności w kaplicy Zjednoczonego Kościoła Reformowanego wyrażały zaledwie ukłon w stronę mniejszego Boga. Być może, podejrzewał Jonathan, świadomie nie chodzili częściej i regularniej. Ludzie mogliby zapragnąć poznać ich bliżej, wciągnąć w aktywność parafialną, spotkania przy wiście, majówki, mogliby nawet zechcieć ich odwiedzić. W pierwszy piątek jego pierwszego tygodnia w szkole średniej klasowy osiłek oznajmił: — Stary Reevesa jest sprzedawcą u Wainwrighta i Hobbsa. W zeszłym tygodniu wcisnął mojej matce dywan — i ze służalczo złożonymi na piersi dłońmi przeszedł w lansadach przez salę. — Przekona się pani, zapewniam, że ta mieszanka jest niezwykle trwała. A sam wzór jest bardzo popularny”.

Śmiech był sykofancki, ale wymuszony, kpiny zaś, z braku wdzięcznej widowni, szybko zostały poniechane. Większość ojców kolegów klasowych Jonathana miało jeszcze mniej prestiżowe stanowiska.

Niekiedy myślał: Nie możemy przecież być aż tak bardzo zwyczajni i nudni, jak się zdaje — i zastanawiał się, czy jakaś ułomność ukryta w nim samym nie wywołuje karlenia całej rodziny, czy jego nieudolność i pesymizm nie infekują pozostałych jej członków. Czasem wyjmował też z szuflady biurka album zdjęć rodzinnych, który zdawał się tę zwyczajność dokumentować: rodzice, sztywno upozowani na promenadzie w Cromer albo w ogrodzie zoologicznym Whipsnade, on sam, wręcz groteskowy w todzie i birecie, podczas uroczystości wręczenia dyplomów. Tylko jedno zdjęcie było dlań prawdziwie interesujące: studyjna fotografia z czasów pierwszej wojny światowej przedstawiała jego dziadka, który mając obok siebie ogromną aspidistrę w orientalnej donicy, siedział ukosem na sztucznym murku. Wpatrywał się ze skupieniem poprzez otchłań siedemdziesięciu czterech lat w pogodną, wrażliwą twarz tego chłopca, który w swym niedopasowanym, zapiętym pod szyję mundurze i o kilka numerów za wielkiej czapce wyglądał na

wychowanka sierocińca raczej niż żołnierza. Nie miał wówczas zapewne nawet dwudziestu lat. Przeżył Passchendaele oraz Ypres, a potem — gdy rannego i zatrutego gazem zdemobilizowano na początku 1918 — miał jeszcze dość wigoru, by począć syna, choć nie miał już sił praktycznie na nic więcej. To życie, mówił sobie Jonathan, nie mogło być zwyczajne. Dziadek zniósł cztery lata okropności z męstwem, wytrwałością i stoicką akceptacją wszyst-

231

P. D. JAMES

kiego, co zsyłał nań Bóg czy los. Ale jeśli nawet nie było zupełnie zwyczajne, to dziś wydawało się to pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Pozwoliło zachować nazwisko, nic więcej. A jakie znaczenie miał ten fakt?

W pewnym momencie uderzyło go spostrzeżenie, że i w życiu ojca istnieje pierwiastek stoicyzmu wcale nie tak innego od stoicyzmu dziadka. Być może nie należy porównywać pięćdziesięciu lat u Hobbsa i Wainwrighta z czterema latami we Francji, i jedno wszakże, i drugie wymagało godnego i stoickiego godzenia się z losem. Bardzo by chciał pomówić z ojcem o jego młodości i o dziadku, co nigdy jednak nie wydawało się możliwe. Wiedział, iż nie powstrzymuje go wrodzona nieśmiałość, lecz obawa, że jeśli nawet przełamie tę osobliwą barierę powściągliwości i milkliwości, nie znajdzie za nią nic. Przypomniał sobie Gwiazdkę 1968, kiedy ojciec kupił mu pierwszą książkę popularnonaukową, Księgę cudów nauki dla dzieci. W Boże Narodzenie siedzieli przez wiele godzin, powoli przerzucając kartki, a ojciec najpierw czytał tekst, potem zaś wszystko mu wyjaśniał. Wciąż miał tę książkę. Wciąż od czasu do czasu oglądał rysunki. „Jak działa telewizja”. „Co się dzieje, kiedy jesteśmy prześwieceni”. „Newton i jabłko”. „Tajemnice współczesnych statków”. Ojciec wtedy powiedział: — Chciałbym być naukowcem, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Ten jeden jedyny raz dał do zrozumienia, że jego życie, życie ich wszystkich mogłoby być odmienne, pełniejsze. Ale sprawy potoczyły się tak, jak potoczyły, i Jonathan wiedział, że ich życie nigdy nie będzie odmienne. Myślał: Każdy z nas pragnie kontrolować swoje życie, więc tak długo upraszcza je i zuboża, aż stanie się dostatecznie żałosne i ubogie, aby można je było kontrolować. Tylko raz rutynę ich przewidywalnych dni zakłóciło wydarzenie dramatyczne i nieoczekiwane. Wkrótce po szesnastych urodzinach Jonathana ojciec wziął rodzinnego morrisa i zniknął. Trzy dni później odnaleziono go: siedział w aucie na szczycie Beachy Head i wpatrywał się w morze. Uznano rzecz za wynikłe z przepracowania załamanie nerwowe i pan Wainwright dał ojcu dwa tygodnie urlopu. Ojciec nigdy nie wyjaśnił, co się naprawdę stało, przyjmując za swój, oficjalny pogląd o czasowej amnezji. Ani jedno z rodziców nie wspomniało o sprawie nigdy więcej. Ich mieszkanie znajdowało się na czwartym i najwyższym piętrze nowoczesnego prostokątnego bloku. Salon od frontu miał przeszklone drzwi na wąski balkon, mieszczący dwa krzesła. Były tylko dwie sypialnie: rodziców od strony morza i jego, znacznie mniejsza, z widokiem na parking, rząd garaży i miasto. W salonie znajdował się

232

INTRYG I ŻĄDZE

gazowy kominiek ścienny, wspomagający centralne ogrzewanie; tuż po przeprowadzce rodzice zamontowali nad nim fałszywy gzyms, na którym matka wyeksponowała wszystkie drobne precjoza ze starego domu w Clapham. Jonathan pamiętał poranek, gdy po raz pierwszy oglądali mieszkanie. Matka wyszła na balkon i powiedziała do ojca: „Tu jest tak, jak na pokładzie liniowca” — a potem odwróciła się niemal z ożywieniem, jak gdyby w jej pamięci obudziła się scena ze zdjęcia w jednym z tych starych magazynów filmowych, które trzymała latami: statek w festonach porpczyków, wyfutrzone gwiazdy na pokładzie, a nad tym wszystkim muzyka w wykonaniu orkiestry stojącej na nabrzeżu i syrena pilotującego kutra. W istocie od samego początku rodzice postrzegali to mieszkanie jako cudowną odmianę w stosunku do ich małego segmentu. Latem przystawiali dwa bujaki do okna z widokiem na morze. Zimą cofali je w głąb pokoju i przysuwali w pobliże kominka. Ani jednak zimowe wichury, ani nieprzyjemny upał lata nigdy nie wycisnęły z ich ust słówka żalu za dawnym życiem.

Kiedy; ojciec przeszedł na emeryturę, sprzedali swój samochód i teraz pojedynczy garaż służył

kupionej z drugiej ręki fiście Jonathana. Jonathan wstawił wóz i zamknął drzwi. Przekręcając klucz w zamku, pomyślał, jak bardzo niekrepujące są mieszkania w tym bloku. Niemal połowę z nich zajmowały emerytowane małżeństwa o prawie niezmiennych przyzwyczajeniach: spacer z rana, spotkanie z przyjaciółmi na herbatce, powrót do domu przed siódmą. Kiedy przyjeżdżał po pracy, blok był cichy, a zasłony w oknach zaciągnięte. Zastanawiał się, czy Caroline wiedziała, czy też po prostu domyślała się, z jaką dyskrecją może wychodzić i wchodzić. Przed drzwiami mieszkania — mając już klucz w ręku — zawahał się przez moment, żałując, że nie da się odwlec chwili spotkania z rodzicami. Dłuższe wystawanie wyglądałoby jednak nienaturalnie; zapewne słyszeli windę.

Matka omal nie rzuciła się biegiem na jego spotkanie.

— To okropne, nieprawdaż? Biedna dziewczyna. Tata i ja słyszeliśmy o wszystkim przez radio. Ale przynajmniej znaleźli Świstuna. Jeden kłopot mniej. Po niej nie zabije już nikogo innego.

— Uważają, że umarł przed panną Robarts — powiedział Jonathan — a zatem jej mordercą może nie być Świstun.

— Ależ to na pewno Świstun. Zginęła tak samo, jak pozostałe, prawda? Więc któż inny mógł to zrobić?

— Policja właśnie próbuje to ustalić. Spędzili w elektrowni całe przedpołudnie. Mnie przesłuchali dopiero około dwunastej.

— Dlaczego cię chcieli przesłuchać? Przecież nie mogą myśleć, że miałeś z tym coś wspólnego?

233

P. D. JAMES

— Oczywiście, że nie, mam. Przesłuchują wszystkich, to jest wszystkich, którzy ją znali. A poza tym, mam alibi.

— Alibi? Jakie alibi? Po co miałbyś potrzebować alibi?

— Nie potrzebuję, ale tak się składa, że je mam. Jadłem tego wieczoru kolację z pewną dziewczyną z elektrowni.

Twarz matki pojaśniała w okamgnieniu; radość z nowin przyćmiła na chwilę zgrozę, wywołaną morderstwem. — No więc z kim jadłeś tę kolację, Jonathanie?

— Z dziewczyną z elektrowni. Już ci mówiłem.

— Przecież wiem, że z dziewczyną. Ale jaką dziewczyną? Dlaczego nie zaprosiłeś jej do domu?

Przecież wiesz, że ten dom jest twój w takim samym stopniu, jak mój i taty. Zawsze możesz przyprowadzać przyjaciół. Może byś zaprosił ją na herbatę w sobotę lub niedzielę? Wszystko pięknie przygotuję, dam najlepszy serwis po babci. Na pewno nie będziesz musiał się wstydzić.

Drezcząc się tym, że słucha matki z politowaniem, odparł: — Może zaproszę ją któregoś dnia. Teraz jeszcze za wcześnie.

— Nie rozumiem, jak może być za wcześnie na poznanie twoich przyjaciół. Skądinąd dobrze, że z nią byłeś, skoro policja żąda alibi. A o której wróciłeś do domu?

— Mniej więcej za kwadrans jedenasta.

— No, to niezbyt późno. Wyglądasz na zmęczonego. To musiał być szok dla wszystkich w Larksoken: znajoma dziewczyna i to, jak mówili w radiu, zajmująca poważne stanowisko.

Jonathan odparł: — Tak, to był szok. Chyba dlatego nie jestem głodny. Chciałbym zjeść kolację trochę później.

— Ależ wszystko już gotowe, Jonathanie. Kotleciki jagnięce. Podsmażone, teraz tylko muszę je włożyć na moment do opiekacza. Jarzyny też mam gotowe. Wszystko się zmarnuje.

— Dobrze, będę za pięć minut.

Powiesił marynarkę w korytarzu, potem poszedł do swojego pokoju i wyciągnawszy się na łóżku, wbił spojrzenie w sufit. Myśl o jedzeniu przyprawiła go o mdłości, ale obiecał, że przyjdzie za pięć minut, i jeśli tego nie uczyni, matka zapuka do drzwi. Zawsze pukała, jakkolwiek bardzo delikatnie: dwa wyraźne, dyskretne stuknięcia, jak umówiony sygnał. Ciekawe, pomyślał, czy boi się, że jeśli wejdzie bez uprzedzenia, zastanie go przy jakimś osobliwym zajęciu? Zmusił się do tego, by usiąść i spuścić nogi z łóżka; natychmiast ogarnęły go mdłości i słabość — przez moment obawiał się, iż zemdleje. Bezbłędnie rozpoznawał swój stan: mieszanina zmęczenia, strachu i litości nad sobą.

INTRYGI I ŻĄDZE

A przecież na razie nie szło tak źle. Było ich trzech: nadinspektor Rickards, mocno zbudowany, poważny młody człowiek, którego przedstawiono jako detektywa sierżanta Oliphanta i jeszcze odeń młodszy mężczyzna w kacie, protokolant, jak się wydawało, którego mu nie przedstawiono.

Wyznaczono im do przesłuchań pokój na obrzeżach Działu Medycznego; siedzieli, obaj w cywilu, przy małym stoliku. W pokoju unosił się jak zwykle słaby zapach środków dezynfekujących.

Jonathan nigdy nie rozumiał powodu takiego stanu rzeczy, skoro wszystkie procedury medyczne przeprowadzano gdzie indziej. Za drzwiami wisiały nadal dwa białe fartuchy, a pozostawiona przez kogoś na szafce z segregatorami taca pełna menzurki pogłębiała jeszcze atmosferę niedbalstwa i prowizorki.

Przesłuchanie było bardzo spokojne i bardzo rzeczowe. Jonathan czuł, że tak samo jak tuziny innych osób, które ją znały lub utrzymywały, że ją znają, jest poddawany obróbce wstępnej. Niemal oczekiwał, że każą mu podwinąć rękaw i poczuje ukłucie igły. Wiedział, że prawdziwy sondaż, jeśli postanowią go przeprowadzić, odbędzie się później. Był przy tym zaskoczony faktem, że na początku nie towarzyszył mu strach. Żywił niczym nie poparte przekonanie, że policjanci posiadają nadnaturalny dar wykrywania kłamstw, że wkroczy do tego pokoju, dźwigając aż nadto widoczne brzemie winy, kręactwa i knozań, zmierzających do pokrzyżowania szyków sprawiedliwości. Na ich żądanie podał swoje nazwisko i adres. Sierżant zapisał. Potem powiedział niemal ze znużeniem: — Gdyby z łaski swojej zechciał nam pan powiedzieć, gdzie był wczoraj pomiędzy szóstą a dziesiątą trzydzieści.

Jonathan pamiętał, że pomyślał wówczas: Dlaczego między szóstą a dziesiątą trzydzieści?

Znaleziono ją na plaży. Lubiła pływać tuż po wiadomościach o dziewiątej; wiedzieli to wszyscy — przynajmniej wszyscy, którzy ją znali. Wiadomości w niedzielę zaczynają się o dziewiątej dziesięć. Potem przypomniał sobie, kiedy ją znaleźli. Nie zdążyli jeszcze dostać raportu z sekcji zwłok.

Może wciąż nie są pewni, co do momentu zgonu, albo na wszelki wypadek biorą pod uwagę szersze ramy czasowe. Szósta do dziesiątej trzydzieści. Ale okres, który naprawdę wchodzi w grę, to okolice dziewiątej. Był zaskoczony, że umiał to wszystko wyliczyć z taką precyzją.

Odparł: — Byłem z rodzicami w domu aż do obiadu... to jest posiłku o pierwszej. Potem wyjechałem, żeby spędzić wieczór z moją dziewczyną, panną Caroline Amphlett. Przebywałem z nią do dziesiątej trzydzieści, może trochę dłużej. Mieszka w parterowym domu nie opodal Holt. Jest osobistą sekretarką dyrektora, doktora Maira.

235

P. D. JAMES

— Wiemy, gdzie mieszka, proszę pana. I wiemy, kim jest. Czy ktokolwiek widział, jak pan przyjeżdża lub wyjeżdża?

— Nie sędzę. Dom stoi na pustkowiu, a drogą przejeżdżało niewiele samochodów. Może ktoś w moim bloku widział jak wyjeżdżam.

— Jak spędziliście państwo wieczór?

Funkcjonariusz w kacie nie pisał, patrzył tylko; nie sprawiał jednak wrażenia ani zaciekawionego, ani nawet zainteresowanego. Najwyżej lekko znużonego.

. — Caroline przyrządziła kolację, a ja jej pomagałem. Miała przygotowaną zupę i tylko ją podgrzała. Jedliśmy omlet z pieczarkami, owoce, sery, piliśmy wino. Po kolacji rozmawialiśmy, potem poszliśmy do łóżka i kochaliśmy się.

— Nie sędzę, byśmy musieli się wglębiać w co intymniejsze fragmenty wieczoru, proszę pana. Od jak dawna jest pan zaprzyjaźniony z panną Amphlett?

— Od mniej więcej trzech miesięcy.

— Czy ten wspólny wieczór był planowany wcześniej?

— Kilka dni wcześniej, choć nie pamiętam dokładnie kiedy.

— Kiedy wrócił pan do domu?

— Tuż po jedenastej czterdzieści pięć. Na to, jak się obawiam, nie mam świadków. Rodzice byli tej nocy poza domem — z wizytą u siostry w Ipswich.

— Czy wiedział pan, że wyjadą, kiedyście z panną Amphlett planowali wspólny wieczór?
— Tak. Zawsze jeżdżą do siostry w ostatnią sobotę miesiąca. Tyle, że to nie miało żadnego znaczenia. Chodzi mi o to, że mam już dwadzieścia osiem lat. Mieszkam z nimi, ale nie muszę się spowiadać z tego, co robię.

Sierżant popatrzył nań przeciągle i powiedział: — Kawaler, biały, lat dwadzieścia osiem — jakby chciał te fakty zapisać sobie w pamięci. Jonathan oblał się rumieńcem i pomyślał: To był błąd. Nie próbuj być za dowcipny, nic nie wyjaśniaj, po prostu odpowiadaj na pytania.

Nadinspektor oświadczył: — Dziękujemy panu, to na razie wszystko.

Będąc już przy drzwiach, Jonathan usłyszał głos Rickardsa: — Nie odnosiła się do pana sympatycznie, mówię oczywiście o panie Robarts, w związku z tym programem lokalnej rozgłośni, w którym brał pan udział, Moja religia i moja praca} Słuchał pan tego, sierzancie?

Sierżant odparł z powagą: — Nie, panie nadkomisarzu, nie

236

INTRYG I ŻĄDZE

słuchałem. Sam nie pojmuję, dlaczego przegapiłem. Bez wątpienia ogromnie fascynujący.

, Jonathan odwrócił się do policjantów i powiedział: — Nie zareagowała zbyt sympatycznie. Ale jestem chrześcijaninem i muszę się liczyć z tym, że nie zawsze będzie mi lekko.

— Błogosławionyś, jeśli za głoszenie słowa Bożego ludzie prześladują cię i obrzucają zniewagami — powiedział Rickards. — Doszło może do jakichś drobnych prześladowań? Cóż, mogło być gorzej. Przynajmniej nie rzucają was teraz lwom.

Sierżant, jak się zdawało, uznał to za niezwykle zabawne.

Jonathan zaczął się zastanawiać, skąd mogli wiedzieć o dokuczliwościach, jakie w związku z programem musiał znosić ze strony Hilary Robarts. Musi całą tę historię wyrzucić z myśli...

Wiedział jednak, że nie będzie to możliwe. Teraz, gdy przypomniał sobie relację Caroline, uderzyły go jej niespójności. Dlaczego zaparkowała samochód na takim pustkowiu, przy drodze gruntowej, pod drzewami? Dlaczego postanowiła pojechać z Remusem aż na przylądek, skoro w pobliżu domu ma dość terenów spacerowych? Rzecz byłaby oczywista, gdyby zamierzała pochodzić po plaży, pozwalając psu chlapać się w wodzie, zgodnie jednak z tym, co mu powiedziała, przez cały czas trzymała się z dala od brzegu. I jakie istnieją dowody na to, że nie dotarła do klifu wcześniej niż o dziesiątej, kiedy to, wedle przypuszczeń, Hilary Robarts nie żyła już od pół godziny?

Dalej ta historia o jej matce. Jonathan doszedł do wniosku, że w nią po prostu nie wierzy: nie uwierzył, kiedy mu opowiadała, a teraz wierzył jeszcze mniej. Ale ten akurat punkt będzie mógł zapewne sprawdzić. Istnieją w Londynie agencje detektywistyczne, które podejmą się zlecenia tego rodzaju. Pomysł przejął go jednocześnie wstrętem i podnieceniem, oszołomił swoją zuchwałością: skontaktować się z takimi ludźmi, zapłacić im za szpiegowanie Caroline! Nie było to bowiem coś, czego by się po nim spodziewała, czego spodziewałby się po nim ktokolwiek. Ale dlaczego miałby tego nie zrobić? Dysponował wystarczającą sumą pieniędzy. A takie śledztwo to nic haniebnego.

Ale najpierw musi ustalić jej datę urodzenia. To nie powinno być trudne. Znał Shirley Coles, niższą urzędniczkę w kadrach. Czasem nawet myślał, że Shirley go lubi. Nie pozwoli mu zapewne obejrzeć akt osobowych Caroline, lecz przecież nie powinna mieć nic przeciwko udostępnieniu nieszkodliwej informacji. Może powiedzieć, że chce dać Caroline prezent urodzinowy, a ma przeczucie, że dzień się już zbliża. Dysponując jej nazwiskiem i datą urodzenia, zdoła zapewne wytropić jej rodziców, ustalić, czy matka jeszcze żyje,

237

P. D. JAMES

a jeśli tak, to gdzie mieszka i jaka jest jej sytuacja finansowa. W bibliotece była londyńska książka telefoniczna instytucji; są tam na pewno wymienione agencje detektywistyczne. Nie chciał przeprowadzać sprawy listownie — wstępne ustalenia będzie przypuszczalnie można poczynić przez telefon, a potem, w razie konieczności, weźmie jednodniowe zwolnienie i osobiście pojedzie do Londynu. Pomyślał: Muszę wiedzieć. Jeśli to jest kłamstwem, kłamstwem będzie wszystko: spacer po przylądku, wszystko, co mi mówiła, nawet jej miłość.

Usłyszał dwa stuknięcia do drzwi. Stwierdził ze zgrozą, iż płacze: nie hałaśliwie, a bezgłośnie, za to

z prawdziwym potopem łez. Zawołał:

— Już idę, już idę — potem podszedł do umywalki i zaczął obmywać twarz. Podniósł głowę i przyjrzał się sobie w lustrze. Odnosił wrażenie, że zgryzoty i zmęczenie, zakorzenione w nim zbyt głęboko, aby dały się uleczyć, odarły zeń całą żalosną pozę, że ta twarz, dotychczas przynajmniej zwyczajna i znajoma, jemu samemu wydaje się teraz tak odstręczająca, jak na pewno wydaje się Caroline. Wpatrując się w swój wizerunek, dostrzegł go jej oczyma: matowe brązowe włosy z białymi drobinami łupieżu, które codzienne mycie szamponem tylko pomnaża; osadzone zbyt blisko siebie oczy w czerwonych obwódkach; wilgotne białe czoło, na którym krosty trądziku sterczą jak piętna hańby seksualnej. Pomyślał: Nie kocha mnie i nigdy nie kochała. Jej wybór padł na mnie z dwóch powodów: wiedziała, że ją kocham i sądziła, że jestem zbyt głupi, aby odkryć prawdę. Ale nie jestem głupi i ją ujawnię. Zacznę od najmniejszego kłamstwa, tego o matce. A co z kłamstwami, których dopuścił się on sam — okłamywaniem rodziców, przedstawieniem policji fałszywego alibi? I tego największego ze wszystkich. „Jestem chrześcijaninem i muszę się liczyć z tym, że nie zawsze będzie mi lekko”. Nie był już chrześcijaninem, a być może nigdy nim nie był. Jego nawrócenie wynikało wyłącznie z potrzeby, aby go akceptowano, brano poważnie, obdarzano — w ramach tej małej grupki szczerych wyznawców — przyjaźnią za to, co sobą reprezentuje. Ale to nie była prawda. Nic nie było prawdą. Jednego dnia dowiedział się, że dwie najważniejsze sprawy w jego życiu — wiara i miłość — są ułudami.

Dwa stuknięcia do drzwi były tym razem bardziej natarczywe. Matka zawołała: — Jonathanie, czy czujesz się dobrze? Kotleciki zaraz się przypalą.

— Wszystko w porządku, mamó. Już idę.

Potrzebował jednak jeszcze całej minuty intensywnego ochlapywania twarzy, zanim wróciła do względnie normalnego wyglądu i mógł bezpiecznie otworzyć drzwi, aby w towarzystwie rodziców zasiąść do kolacji.

238

KSIĘGA PIĄTA

od wtorku 27 września do czwartku 29 września /

1

Jonathan Reeves poczekał, aż pani Simpson wyjdzie ze swojego gabinetu na kawę i dopiero wówczas udał się do kadr, gdzie przechowywano akta osobowe pracowników. Wszystkie, jak wiedział, zostały skomputeryzowane, wciąż jednak istniały oryginalne dokumenty, których pani Simpson strzegła tak, jakby były nośnikami informacji niebezpiecznych bądź obciążających. Pani Simpson zbliżała się powoli do kresu kariery zawodowej i nigdy nie pogodziła się z archiwistyką komputerową. Z jej punktu widzenia naprawdę istniało tylko to, co wypisane czarno na białym zawierały kartonowe okładki tradycyjnej teczki. Jej asystentką była mianowana ostatnio na stanowisko młodszej referentki Shirley Coles, zamieszkała we wsi ładniutka osiemnastolatka. Na samym wstępie pouczono ją o ważności dyrektora i kierowników działowych, nadal jednak nie opanowała wiedzy o rządzących każdą większą organizacją prawach znacznie subtelniejszej natury, które precyzyjnie wskazują czyje, bez względu na stanowisko rozkazodawcy, polecenia należy traktować poważnie, czyje natomiast bezpiecznie można ignorować. Była miłym dzieciakiem, pragnącym się przypodobać i wrażliwym na przyjazny gest.

Jonathan powiedział: — Jestem niemal pewien, że jej urodziny wypadają na początku przyszłego miesiąca. Wiem, że akta osobowe są poufne, ale chodzi mi przecież tylko o datę urodzenia. Bądź tak dobra i sprawdź to dla mnie.

Zabrzmiało to niezręcznie i nerwowo, ale wywierało pozytywny efekt: Shirley wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek czuje się niezręcznie i nerwowo. Jonathan dodał: — Chodzi tylko o datę urodzenia. Słowo honoru. I nikomu nie powiem, skąd się dowiedziałem. Caroline mi mówiła, ale zapomniałem w kamień.

— Nie powinnam tego robić, panie Reeves.

239

P. D. JAMES

— Wiem, ale to jedyny sposób, w jaki mogę się dowiedzieć. Przecież mieszka tu sama, więc nie mogę spytać matki. Naprawdę cholernie bym nie chciał, żeby sobie pomyślała, że zapomniałem.

— Czy nie mógłby pan przyjść jeszcze raz, kiedy wróci pani Simpson? Przypuszczam, że panu powie. Nie powinnam sięgać do akt, kiedy jest. nieobecna.

— Mógłbym ją poprosić, wiem, ale wolę tego nie robić. Znasz ją przecież. Obawiam się, żeby mnie wyśmiała... w związku z Caroline. Sądziłem, że to zrozumiesz. A tak nawiasem, gdzie jest pani Simpson?

— Na kawie. Zawsze urządza sobie dwudziestominutową przerwę.

Stojąc przy szafie z segregatorami patrzył jak podchodzi do sejfu i zaczyna kręcić rozetką. Zapytał:

— Czy udostępniono by policjantom akta osobowe, gdyby o nie poprosili?

— Och, nie, panie Reeves, to by nie było w porządku. Nie ma ich prawa oglądać nikt, prócz doktora Maira i pani Simpson. Są poufne. Policjanci widzieli jednak akta panny Robarts. Doktor Mair poprosił o nie w poniedziałek z samego rana, jeszcze przed przybyciem policji. Pani Simpson zaniósła je do niego osobiście. Ale to zupełnie inna sprawa. Panna Robarts nie żyje. Kiedy człowiek umiera, nic już nie jest prywatne.

— Fakt — przytaknął. — Nic nie jest prywatne, kiedy człowiek umiera.

Nagle stanęła mu przed oczyma scena, w której, w tamtym małym wynajętym domku w Romford, pomaga matce uporządkować rzeczy dziadka po jego zgonie na atak serca: brudne ubrania, smród, spizarka z ogromnym zapasem prażonej fasoli, stanowiącej główny pokarm starego, niczym nie przykryte talerze z zatęchłym i zapleśniałym jedzeniem, wreszcie te obrzydliwe magazyny ilustrowane, które znalazł na dnie szuflady i które — z purpurowym wypiekiem na twarzy — matka gwałtownie wyrwała mu z rąk. Tak, kiedy człowiek umiera, nic nie ostaje się w tajemnicy.

Shirley, odwrócona doń tyłem, powiedziała: — To morderstwo to coś okropnego, prawda? Trudno się z tym pogodzić. Zwłaszcza, że ofiarą padł ktoś, kogo się znało. Tu, w kadrach, miałyśmy w związku z nim masę dodatkowej roboty. Policjanci zażądali całej listy personelu z adresami. I każdy dostał kwestionariusz z pytaniem, gdzie i w którym towarzystwie był w niedzielny wieczór. Zresztą sam pan wie. Wszyscyśmy to dostali.

Zamek szyfrowy wymagał precyzji. Pierwsza próba zakończyła się fiaskiem i teraz Shirley z najwyższą uwagą przekreślała rozetkę po raz

240

INTRYG I ŻĄDZE

drugi. O Boże, pomyślał Jonathan, kiedy się wreszcie z tym upora? Drzwiczki otworzyły się wreszcie. Dostrzegł róg małej metalowej kasetki. Wyjęła z niej pęk kluczy, podeszła do szafy, wybrała jeden i wsunęła w zamek. Pod dotknięciem jej palców wysunęła się taca. Shirley, której udzieliła się z pozoru niecierpliwość Jonathana, zerknęła z niepokojem na drzwi i pospiesznie ją przeglądać zawieszona akta.

— O, jest!

Musiał się powstrzymać, żeby nie wyrwać jej teczek z rąk. Shirley otworzyła okładkę i Jonathan dostrzegł znajomy żółty formularz: wniosek o przyjęcie do pracy, taki sam, jaki i on musiał kiedyś wypełnić. To, czego potrzebował, było wypisane starannymi wielkimi literami. Caroline Sophia St. John Amphlett, urodzona 14 października 1957 w Aldershot, Anglia, narodowość brytyjska.

Shirley zamknęła teczkę, pospiesznie włożyła ją na miejsce i wsunęła szufladę. Przekreślając klucz w zamku powiedziała: — No i już pan wie. Czternasty października. Naprawdę niedługo. Dobrze się stało, że pan sprawdził. Jak będziecie świętować? Gdyby pogoda się utrzymała, moglibyście urządzić sobie piknik na łodzi.

— Na jakiej łodzi? — zapytał stropiony. — Nie mam łodzi.

— Caroline ma. Kupiła stary jacht kabinowy pana Hoskinsa, ten, który kotwiczy w Wells-next-the-Sea. Wiem, ponieważ pan Hoskins dał ogłoszenie w oknie pana Brysona w Lydsett i jak mój wujek Ted je zobaczył, to pomyślał, że może kupi, bo cena była okazjna. Ale kiedy zadzwonił, to pan Hoskins mu powiedział, że jacht kupiła już panna Amphlett z Larksoken.

— Kiedy to było?

— Trzy tygodnie temu. Nie mówiła panu?

Pomyślał: Jeszcze jeden sekret, może zupełnie niewinny, a przecież dziwny. Nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania łodziami czy morzem. Stary jacht kabinowy, za okazjną cenę. No i jesień nie jest najlepszą porą na kupowanie łodzi.

Usłyszał głos Shirley: — Sophia to zupełnie ładne imię. Trochę staroświeckie, ale mi się podoba. Panna Amphlett nie wygląda jednak na Sophię, prawda?

Jonathan zobaczył jednak nie tylko pełne nazwisko i datę urodzenia. Poniżej widniały nazwiska rodziców. Ojciec, Charles Roderick St. John Amphlett, oficer zawodowy, nie żyje. Matka Patricia Caroline Amphlett. Miał w kieszeni kartkę z notesu i szybko zapisał dane. Były niespodziewaną zdobyczą. Zapomniał, że formularz jest tak szczegółowy. Nie ma wątpliwości, że dysponując tymi wszystkimi faktami agencja detektywistyczna bez problemów wytropi matkę Caroline.

16 Intrygi i żądze

241

P. D. JAMES

Dopiero kiedy klucze wróciły do kasetki, a kasetka do sejfu, odetchnął swobodnie. Teraz, gdy zdobył już to, na czym mu zależało, nie chciał sprawić wrażenia niewdzięcznika, wynosząc się zbyt pospiesznie. Było wprawdzie ważne, aby zniknął przed powrotem pani Simpson, jeśli nie chciał narazić się na pytanie, co tutaj robi i — w rezultacie — być zmuszonym do kłamstwa, ale postanowił pozostać jeszcze chwilę dłużej. Shirley usiadła za biurkiem i zaczęła robić łańcuszek ze spinaczy.

— Koszmarne się czuję w związku z tym morderstwem — powiedziała. — Naprawdę. Czy wie pan, że byłam tam w niedzielę po południu? To znaczy tam, gdzie zginęła. Urządziliśmy sobie piknik, żeby Christopher mógł się pobawić na plaży. To znaczy, tata, mama, Christopher i ja. To mój mały braciszek, ma dopiero cztery lata. Zaparkowaliśmy wóz na przylądku, zaledwie pięćdziesiąt jardów od domu panny Robarts, aleśmy jej, oczywiście, nie widzieli. Nie widzieliśmy nikogo przez całe popołudnie i tylko z daleka mignęła nam pani Jago, która na rowerze rozwoziła magazyny parafialne.

— Czy opowiedziałaś o tym policji? — zapytał Jonathan. — Przypuszczam, że to by ich zainteresowało. Mam na myśli fakt, że nie widziałaś nikogo w pobliżu jej domu.

— Och, tak, powiedziałam im. I naprawdę byli zainteresowani. A wie pan, zapytali, czy Christopher nie wysypał jakiegoś piasku w pobliżu ścieżki. No bo wysypał. Zabawne, prawda? To znaczy zabawne, że im coś takiego przyszło do głowy.

— Więc właściwie kiedy tam byliście? — zapytał Jonathan.

— O to też mnie pytali. Niezbyt długo. Od wpół do drugiej do jakiejś wpół do czwartej. Prawdę mówiąc, to lunch zjedliśmy w aucie, bo mama powiedziała, że to nie ta pora roku, żeby siedzieć na plaży i narażać się na wilka. Potem poszliśmy ścieżką do takiej zatoczki i Christopher zbudował nad morzem zamek z piasku. Świetnie się bawił, ale nam wcale nie było za ciepło, więc postanowiliśmy się zbierać, no i mama właściwie musiała ciągnąć Christophera, który darł się jak najęty. Tata poszedł przodem, a myśmy trochę zostali z tyłu. Mama powiedziała: „Nie pozwolę brać ci tego piasku do auta, Christopher, bo wiesz, że tata tego nie lubi”. No i kazała mu wysypać piasek, przy czym, rzecz jasna, rozdarł się na nowo. Jak pragnę Boga, ten dzieciak to czasami istne półdiabły. Zabawne, prawda? To znaczy, żeśmy byli tam tego samego dnia.

— Jak sądzisz, dlaczego zainteresowali się tym piaskiem? — zapytał Jonathan.

— Tatusia też to zaciekało. Ten detektyw, no wie pan, ten, który

242

INTRYG I ŻĄDZE

mnie przesłuchiwał, powiedział, że być może znajdą jakiś ślad, no i chcą z góry wyeliminować całą naszą rodzinę. Dwaj młodzi detektywi, przyjemni, nie powiem, wpadli do rodziców wczoraj wieczorem. Zapytali mamę i tatę, jakie buty mieli wczoraj na nogach i powiedzieli, że chcieliby je ze sobą zabrać. Chybaby o to nie prosili, gdyby czegoś nie znaleźli, prawda?

— Twoi rodzice musieli się okropnie denerwować — powiedział Jonathan.

— Och, nie, nic a nic. W końcu nie byliśmy tam, kiedy zginęła, prawda? Po pikniku pojechaliśmy na podwieczorek do dziadków w Hunstanton i zasiedzieliśmy się do wpół do dziesiątej. O wiele za

długo dla Christophera, jak powiedziała mama. Ale spał w wozie całą drogę do domu. Zabawne, przyzna pan? Być tam tego samego dnia. Gdyby została zamordowana kilka godzin wcześniej, widzielibyśmy zwłoki. Chyba nigdy nie wybierzemy się w to miejsce, a ja nie poszłabym tam po zmroku nawet za tysiąc funtów, bo bym się bała, że spotkam jej ducha. Zabawne z tym piaskiem, prawda? No bo jeśli znajdą ślad, który im pomoże schwytać mordercę, to tylko dlatego, że Christopher. chciał się bawić na plaży, a mama kazała mu wysypać piasek. Taki drobiazg. Mama powiedziała, że jej to przywodzi na myśl kazanie z zeszłej niedzieli, w którym ksiądz mówił, jak nawet nasze najmniejsze postęпки miewają ogromne konsekwencje. Ja nic takiego nie pamiętam. To znaczy, lubię śpiewać w chórze, ale kazania pana Smoletta są śmiertelnie nudne. Taki drobiazg, ślad stopy w miękkim piasku. I jeśli chodzi o ślad pozostawiony w piasku z wiaderka Christophera, to mógł go zrobić tylko ktoś, kto przechodził ścieżką po wół do czwartej. — Ile osób o tym wie? — zapytał. — Mówiłaś jeszcze komuś oprócz policjantów? — Tylko panu. Mówili, żeby to zachować dla siebie i aż do tej chwili milczałam jak zakłeta. Wiem, że pani Simpson była bardzo ciekawa, dlaczego chcę się zobaczyć z nadinspektorem Rickardsem. Bez przerwy powtarzała, że nie widzi, co mu mogę ważnego powiedzieć i że nie powinnam marnować czasu policjantów tylko dlatego, że chcę się poczuć ważna. Przypuszczam, że się niepokoiła, czy nie powiem mu o tej kłótni, którą miała z panną Robarts, gdy zniknęły akta doktora Gledhilla i gdy się okazało, że przez cały czas były u doktora Maira. Ale pan nikomu nie powie, dobrze? Nawet pannie Amphlett? — Nie — obiecał. — Nie powiem. Nawet jej.

P. D. JAMES

2

Książka telefoniczna zawierała zaskakująco wiele niczym się z pozoru nie różniących agencji detektywistycznych. Wybrał jedną z największych i zanotował numer. Nie wchodziło w grę telefonowanie ani z elektrowni, ani z domu, gdzie warunki były jeszcze gorsze, a poza tym chciał zadzwonić jak najszybciej. Postanowił wyskoczyć na lunch do miejscowego pubu i przy okazji poszukać budki telefonicznej.

Ranek zdawał się ciągnąć w nieskończoność; o dwunastej Jonathan oznajmił, że wychodzi na wcześniejszy lunch i — sprawdzivszy uprzednio, że ma dostatecznie dużo drobnych monet — pospiesznie opuścił teren elektrowni. Najbliższa budka była we wsi, w pobliżu sklepu wielobranżowego. Niezbyt dyskretne miejsce, ale Jonathan wytłumaczył sobie, że przecież przed nikim nie musi się ukrywać.

Telefon został bardzo szybko odebrany przez kobietę. Jonathan zawczasu przygotował swój tekst, a rozmówczyni nie sprawiała wrażenia zdziwionej sprawą, z jaką się zwrócił. Rychło jednak stało się jasne, że nie pójdzie mu tak łatwo, jak oczekiwał. Tak, usłyszał, agencja z pewnością może się podjąć odszukania osoby na podstawie takich informacji, jakimi dysponuje, usługa jednak nie ma zafiksowanej ceny. Wszystko zależy od stopnia trudności i czasochłonności zlecenia, a dopóki nie zostanie ono złożone oficjalnie, trudno będzie podać nawet przybliżony koszt. Cóż, powiedzmy że nie mniej niż dwieście i przypuszczalnie nie więcej niż czterysta funtów. Zasugerowała, by niezwłocznie napisał list, zawierający fakty, jakimi dysponuje i określający jego oczekiwania, dokonując równocześnie na konto agencji zaliczkowej wpłaty w wysokości stu funtów. Tak, firma potraktuje sprawę jako bardzo pilną, dopóki jednak nie otrzyma zlecenia, nie może określić, jak długo potrwa jej załatwianie. Podziękował, oświadczył, że napisze i odłożył słuchawkę, rad, iż nie podał swojego nazwiska. Nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że przyjmą informację przez telefon, podadzą cenę usługi i obiecują szybkie rezultaty. To wszystko było jednak zbyt formalne, zbyt kosztowne, zbyt wolne. Zastanawiał się, czyby nie spróbować szczęścia z inną agencją, doszedł jednak do wniosku, że nikt z tej wysoce konkurencyjnej branży nie może mu sprawić miłej niespodzianki.

Zanim wrócił do elektrowni i zaparkował wóz, nieomal zdołał przekonać sam siebie, by dać za wygraną. A potem przyszło mu do głowy, że przecież może przeprowadzić własne śledztwo. Nazwisko nie należało do pospolitych; może jest jakiś Amphlett w londyńskiej książce telefonicznej, a jeśli nie, to w spisie telefonów któregoś z innych

INTRYGI I ŻĄDZE

wielkich miast. I jej ojciec był zawodowym żołnierzem. Chyba jest jakiś rejestr wojskowych, w którym mógłby poszukać... czy. nie nazywa się to Rocznik Oficerski? Warto poszperać trochę na własną rękę, zanim narazi się na wydatek być może ponad stan; sama myśl o pisaniu do agencji detektywistycznej odbierała mu chęć działania. Zaczynał się czuć jak spiskowiec i ta nowa dla niego rola podniecała go, odwołując się zarazem do jakiegoś aspektu jego natury, którego istnienia dotąd nie podejrzewał. Będzie działał samotnie i dopiero jeśli poniesie fiasko, przemyśli wszystko od nowa.

Pierwszy krok był najzupełniej oczywisty i tak w istocie prosty, że Jonathan zarumienił się ze wstydu, iż nie przyszedł mu do głowy wcześniej. Poszedł raz jeszcze do biblioteki i przestudiował londyńską książkę telefoniczną. Znalazł kogoś o nazwisku P. C Amphlett, mieszkającego przy Pont Street, SW1. Jonathan zagapił się na moment, a potem drżącą dłonią wydobyl notes i zapisał numer. Inicjały* były identyczne z inicjałami matki Caroline, nic jednak nie sugerowało, czy abonent jest mężczyzną, czy kobietą. Mógł tu zachodzić najzwyczajniejszy zbieg okoliczności. Nazwa Pont Street też nic Jonathanowi nie mówiła, jakkolwiek nie sądził, by SW1 był w Londynie rejonem zamieszkanym przez biedaków. Czy jednak zaserwowałyby mu kłamstwo, które mógł sprawdzić zajrzawszy do pierwszej lepszej książki telefonicznej? Tylko jeśli była aż tak pewna swojej dominacji nad nim i jego uzależnienia od niej, tak przekonana o jego głupocie i nieudolności, że uznała, iż nie warto się tym przejmować. Potrzebowała alibi i on jej to alibi zapewnił. A jeśli ta jedna sprawa była kłamstwem — gdyby odwiedził Pont Street i przekonał się, że jej matka nie żyje w nędzy — to co, z wszystkich tych rzeczy, jakie mu powiedziała, było prawdą? Kiedy dokładnie pojechała na przylądek i w jakim celu? Ale przecież tych podejrzeń nie mógł serio brać pod uwagę. Pomysł, że Caroline zamordowała Hilary Robarts, był absurdalny. Dlaczego jednak nie chciała w takim razie powiedzieć policji prawdy?

Wiedział, co uczyni w następnej kolejności. W drodze do domu zadzwoni na Pont Street i poprosi Caroline. Ustali przynajmniej w ten sposób, czy numer należy do jej matki. A jeśli należy, to weźmie dzień zwolnienia albo poczeka do soboty, pod byle pretekstem pojedzie do Londynu i sprawdzi osobiście.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność i Jonathan z największym wysiłkiem koncentrował się na pracy. Był pełen obaw, że pojawi się Caroline i zaprosi go do siebie. Wyglądało jednak na to, że go unika i był z tego zadowolony. Tłumacząc się bólem głowy wyszedł dziesięć

245

P. D. JAMES

minut wcześniej, a już po niespełna dwudziestu minutach był w budce telefonicznej w Lydsett. Przez pół minuty nikt nie odbierał i Jonathan tracił już prawie nadzieję, gdy jakiś kobiecy głos wymówił numer powoli i wyraźnie. Jonathan postanowił udawać Szkota. Wiedział, że ma dar naśladowania, a poza tym jego babka po kądzieli była autentyczną Szkotką. Potrafi wypaść przekonująco. Zapytał: — Czy zastałem może pannę Caroline Amphlett?

Długa chwila milczenia, a potem kobieta rzuciła zaczepnie: — A kto mówi?

— Nazywam się John McLean. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Aha, pan McLean. To dziwne, że pana nie znam, a pan najwyraźniej nie wie, że panna Amphlett już tu nie mieszka.

— Czy mogłaby mi pani zatem podać jej nowy adres?

Znów chwila milczenia, a potem: — Chyba nie mam na to najmniejszej ochoty. Ale jak pan chce zostawić wiadomość, to dopilnuję, żeby do niej dotarła.

— Czy mówię może z jej matką? — zapytał.

W słuchawce rozległ się śmiech. Nieprzyjemny śmiech. — Nie, nie z matką. Mówi pan z panną Beasley, gospodynią. Czy jednak naprawdę musiał pan o to pytać?

Wówczas przyszło mu do głowy, że mogą być dwie Caroline Amphlett i dwie matki o takich samych inicjałach. Szansa bliska zeru, fakt, ale mógł przy okazji sprawdzić. Zapytał: — Czy Caroline nadal pracuje w Elektrowni Jądrowej Larksoken?

Tym razem nie mógł mieć żadnych złudzeń. Głos w słuchawce był ochrypły z niechęci. — Skoro pan o tym wie, panie McLean, to po diabła zawracał pan sobie głowę dzwonieniem do mnie? I słuchawka donośnie stuknęła o widełki.

3

Był wtorek, wpół do jedenastej wieczorem, gdy Rickards po raz drugi zjawił się w Wiatraku Larksoken. Zapowiedział się telefonicznie tuż po szóstej, dając do zrozumienia, że jego wizyta, jakkolwiek późna, będzie miała charakter oficjalny; były pewne fakty, które pragnął sprawdzić, i pytanie, które musiał zadać. Wcześniej tego samego dnia Dalgliesh wpadł do sztabu operacyjnego w Hoveton i złożył zeznanie,

246

INTRYG I ŻĄDZE

dotyczące okoliczności odnalezienia zwłok. Rickardsa wówczas nie było, Oliphant jednak, zbierający się już do wyjścia, poinformował Dalgliesha o stanie śledztwa; uczynił to bez niechęci, lecz w sposób dość formalny, sugerujący, iż postępuje w myśl instrukcji. A i sam Rickards, który zdjawszy kurtkę, zasiadł tam, gdzie poprzednio — na stojącym w prawo od kominka krześle o wysokim oparciu — sprawiał wrażenie odrobinę lepiej ułożonego. Nosił tego dnia ciemny garnitur w prążki, który mimo przesadnie nawet wypieszczonego kroju wydawał się lekko znoszony i wytarty, jakby pochodził ze sklepu z przecenioną odzieżą. Nie leżał dobrze na tyczkowej sylwetce Rickardsa, nadając mu niestosowny zwłaszcza tu, na przylądku, „miejski” wygląd człowieka, odszykowanego na wesele bądź rozmowę wstępną w sprawie pracy, której w gruncie rzeczy nie ma nadziei otrzymać. Ledwie maskowana niechęć, gorycz porażki, wywołana śmiercią Świstuna, a nawet gorączkowa energia niedzielnej nocy wyparowała zeń jak dym. Dalgliesh zastanawiał się, czy przypadkiem Rickards nie rozmawiał z naczelnikiem i nie otrzymał jakiejś rady. Bo jeśli tak, to potrafił odgadnąć jej treść. Sam zapewne udzieliłby podobnej.

„To irytujące, że pałęta się po pańskim ogródku, ale jest jednym z najwyższych stopniem detektywów z Metropolitalnej i pieszczosz-kciem komisarza. No i zna tych ludzi. Był na przyjęciu u Mairów. Znalazł zwłoki. Dysponuje użytecznymi informacjami. Jasne, to zawodowiec, a więc ich nie zatai, otrzyma je pan wszakże znacznie gładziej i ułatwi życie wam obu, jeśli przestanie pan traktować go jak rywala lub, co gorsza, podejrzanego”.

Podając Rickardsowi szklaneczkę whisky, Dalgliesh zapytał go o żonę.

— Czuje się świetnie, świetnie — odparł Rickards, ale w jego tonie było coś sztucznego.

— Przypuszczam, że teraz, po śmierci Świstuna, wróci do domu — powiedział Dalgliesh.

— Tak by się mogło zdawać, prawda? Ja bym tego chciał, ona by tego chciała, ale pozostaje maleńki problem z matką Sue. Otóż teściowa nie chce, żeby jej skarbuleńki miał cokolwiek wspólnego z jakimikolwiek nieprzyjemnymi sprawami — w szczególności z morderstwem i w szczególności akurat teraz.

— Trudno, wychodząc za mąż za funkcjonariusza policji, odciąć się od spraw nieprzyjemnych, w tym także morderstw.

— Nigdy nie brała pod uwagę, że Sue wyjdzie za policjanta Dalgliesha zaskoczyła gorycz w głosie Rickardsa. Znów z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że jest proszony o jakąś pociechę,

247

P. D. JAMES

będąc ostatnim człowiekiem, który mógłby jej udzielić. Szukając w myślach znieczulającej odpowiedzi, zerknął na twarz Rickardsa, na wyraz zmęczenia, niemal przegranej, na zmarszczki, które w chwijnym blasku płomieni wydawały się głębsze, niż rzeczywiście były. Potem poszukał ratunku w kwestiach praktycznych.

— Jadł pan kolację? — zapytał.

— Och, po powrocie do domu wyciągnę coś z lodówki.

— Zostało mi trochę zapiekanki, jeśli ma pan ochotę. Mogę ją błyskawicznie podgrzać.

— Nie powiem nie, panie Dalgliesh.

Trzymając tacę na kolanach jadł zapiekanekę z łapczywym apetytem, jakby nie miał nic w ustach od kilku dni, a potem skórka od chleba wytarł resztki sosu. Tylko raz podniósł głowę znad talerza, aby

zapytać: — Czy sam pan to przyrządził, panie Dalglish?

— Człowiek musi opanować przynajmniej podstawy sztuki kulinarnej, jeśli mieszka samotnie, a nie chce uzależniać się od innych w sprawach życiowo najbardziej fundamentalnych.

— A tego by pan nie chciał, prawda? Uzależnienia od innych w sprawach życiowo najbardziej fundamentalnych?

Lecz powiedział to bez goryczy, a później uśmiechnięty wyniósł do kuchni tacę i pusty talerz.

Sekundę później Dalglish usłyszał szum wody z kranu. Rickards zmywał po sobie.

Musiał być znacznie bardziej głodny, niż mu się zdawało. Dalglish dobrze wiedział, z jaką zwodniczą łatwością przyjmuje się założenie, iż pracując po szesnaście godzin na dobę można efektywnie funkcjonować na samej kawie i połykanych w locie kanapkach. Wróciwszy do kuchni, Rickards opadł na krzesło i westchnął z zadowoleniem. Jego twarz odzyskała naturalną barwę, a kiedy przemówił, jego głos zabrzmiał z dawną mocą.

— Jej tatuśkiem był Peter Robarts. Pamięta go pan?

— Nie. Czy powinienem?

— Właściwie nie. Ja też nie kojarzyłem, ale zdążyłem go sprawdzić. Dorobił się po wojnie, w której — nawiasem mówiąc — walczył dość dzielnie. Jeden z tych facetów, którzy nieustannie rozglądają się za swoją wielką szansą; w jego wypadku okazały się nią tworzywa sztuczne. To był niezły okres dla rozmaitych bystrzaków, lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. Nie miał innych dzieci prócz Hilary. Zrobił więc fortunę szybko, ale jeszcze szybciej ją roztrwonił. Zwykle powody: ekstrawagancje, ostentacyjna hojność, kobiety, rzucanie pieniędzmi na lewo i prawo, jakby je drukował, wiara w to, że bez względu na okoliczności, szczęście nie może go opuścić. Powinien

248

INTRYGII I ŻĄDZE

dziękować opatrności, że nie skończył w ciupie. Wydział przestępstw gospodarczych sklecił przeciwko niemu zgrabniutką sprawę i był o krok od aresztowania, gdy papa Robarts dostał zawału. Padł u Simpsona twarzą w półmisek tak martwy, jak kaczka, którą miał na lunch. To musiało być dla niej bardzo trudne: jednego dnia ukochana córeczka tatusia, chmurki z nieba na każde życzenie, następnego

— niemal hańba, śmierć, ubóstwo.

— Względne ubóstwo — powiedział Dalglish. — Ale na tym, oczywiście, polega ubóstwo. Nie tracił pan czasu.

— To i owo, chociaż niewiele, wyciągnęliśmy od Maira; w sprawie reszty trzeba było grzebać. Pomogła nam policja z londyńskiego City. Rozmawiałem z Wood Street. Zawsze sobie powtarzam, że nic, co ma związek z ofiarą, nie jest błahe, zaczynam się jednak zastanawiać, czy całe to[^] grzebanie nie jest przypadkiem stratą czasu.

— Jest jedyną sensowną metodą pracy — odparł Dalglish.

— Ofiara ginie, bo jest kimś jedynym w swoim rodzaju.

— „A skoro zrozumiesz jej życie, zrozumiesz także śmierć”. Stary Blanco White... pamięta go pan?... wbijał to nam do głowy, kiedy byłem młodym konstabłem-detektywem. I co mamy na koniec? Kupę śmieci, jak z przewróconego kosza. W gruncie rzeczy wcale nie składają się na obraz człowieka. A w wypadku tej ofiary nasze łupy są wyjątkowo skromne. Pozostawiła po sobie tyle, co nic. Nie znaleźliśmy w jej domu żadnego dziennika i żadnych listów z wyjątkiem jednego, do adwokata: prosiła o spotkanie pod koniec przyszłego tygodnia tudzież informowała o planowanym zamażpójściu. Oczywiście, odwiedziliśmy tego adwokata. Nie zna nazwiska wybranka panny Robarts; nie zna go, nawiasem mówiąc, nikt, włącznie z doktorem Mairem. Jedynym znalezionym przez nas dokumentem godnym uwagi była kopia jej testamentu. W dwóch wierszach suchej prozy prawniczej zapisuje wszystko Alexowi Mairowi. Trudno mi sobie jednakowoż wyobrazić, że Mair zamordował ją dla dwunastu funtów na specjalnym koncie rezerwowym w banku National Westminster oraz praktycznie zrujnowanej chałupy, zajętej w dodatku przez gromadę lokatorów. W sumie — poza tym listem, testamentem, zwykłymi wyciągami z banku i rachunkami — kompletna pustka. Można by pomyśleć, że świadoma zbliżającej się śmierci, uprzątnęła wszystko, co wiązało się z jej życiem. A, skoro o tym mowa, żadnych śladów jakiegoś grzebania. Jeśli w domu było coś,

czego poszukiwał morderca i wybił okno, aby to coś dostać, zatarł swoje ślady bardzo skutecznie.

— Jeśli wybił okno, aby dostać się do środka — powiedział

249

P. D. JAMES

Dalgliesh — to przypuszczalnie możemy wyeliminować z naszych rozważań doktora Maira. Mair wiedział, że klucz jest w medalionie. Mógł go zabrać, wykorzystać i odłożyć później na miejsce. Powstałoby przy tym dodatkowe ryzyko pozostawienia na scenie zbrodni jakichś śladów, są też mordercy, którzy za żadną cenę nie wrócą do zwłok ofiary. Inni, oczywiście, doznają nieprzemyślanego impulsu, by to uczynić. Gdyby jednak Mair zabrał kluczyk, musiałby go odłożyć nie licząc się z ryzykiem. Pusty medalion wskazywałby bezpośrednio na niego.

Rickards powiedział: — Cyril Alexander Mair, ale „Cyrila” sobie odpuścił. Prawdopodobnie uważa, iż „Sir Alexander Mair” będzie brzmiało lepiej niż „Sir Cyril”. Co mu się nie podobało w „Cyrilu”? Mój dziadek miał na imię Cyril. Jestem uprzedzony do ludzi, którzy nie używają swoich właściwych imion. Była jego kochanką, nawiasem mówiąc.

— Powiedział to panu?

— W zasadzie nie miał wyboru, prawda? Związek miał charakter bardzo dyskretny, ale ten i ów z elektrowni na pewno o nim wiedział lub przynajmniej czegoś się domyślał. Mair jest zbyt inteligentny, aby zatajać informacje, które — jak wie — zdobędziemy wcześniej czy później.

Wedle jego wersji, romans naturalną koleją rzeczy dobiegł kresu za porozumieniem stron. Mair liczy się z przenosinami do Londynu; ona chciała pozostać w Larksoken. Cóż, właściwie nie miała innego wyjścia, chyba że zdecydowałaby się na rezygnację ze stanowiska, które dla kobiety myślącej o karierze zawodowej musiało mieć duże znaczenie. Zdaniem Maira ich związek nie był dostatecznie silny, by utrzymać się przy życiu na ochłapach okazjonalnych spotkań podczas weekendów. Człowiek by pomyślał, że cała historia wynikła z wygodnictwa. On podczas swojego pobytu w Larksoken potrzebował kobiety, ona — mężczyzny. Towar musi być pod ręką, nie ma sensu jeździć na zakupy sto mil. Zupełnie jakby chodziło o mięso. On się przenosi do Londynu, ona postanawia zostać. Trzeba sobie znaleźć inny sklep masarski.

Dalgliesh sobie przypomniał, że Rickards zawsze był trochę purytański w sprawach seksu. Jasne, trudno przepracować dwadzieścia lat w zawodzie detektywa, nie stykając się z rują i poróbstwem pod najrozmaitszymi postaciami, a także znacznie bardziej zwyrodniałymi i przerażającymi manifestacjami ludzkiego seksualizmu, przy których ruja i poróbstwo są czymś krzepiąco normalnym. Ale to wcale nie znaczyło, że je lubił. Złożył policyjną przysięgę i dotrzymywał jej. Złożył w kościele przysięgę małżeńską i bez wątpienia zamierzał jej

250

INTRYG I ŻĄDZE

dotrzymać. A w zawodzie, gdzie nieregularne godziny pracy, alkohol, atmosfera męskiego kumplostwa, stała obecność i obfitość policjantek narażały małżeństwa na niejedno niebezpieczeństwo, jego stadło uchodziło za niewzruszone. Był zbyt doświadczony i zasadniczo zbyt uczciwy, aby pozwalać sobie na uprzedzenia, lecz przynajmniej pod jednym względem Mair nie miał szczęścia co do osoby prowadzącego dochodzenie detektywa.

Rickards powiedział: — Jej sekretarka, Katie Flack, złożyła ostatnio prośbę o wymówienie.

Najwyraźniej uznała szefową za zbyt wymagającą. Doszło do kłótni w związku z faktem, że dziewczyna przedłużyła sobie ponoć godzinną przerwę na lunch. A inny podwładny Robarts, Brian Taylor, stwierdził, że nie sposób z nią pracować i zażądał przeniesienia. Opowiedział nam wszystko z godną uznania szczerością, ale mógł sobie na nią pozwolić, bo był w Norwich na kawalerskiej popijawie u przyjaciela, na co ma — od ósmej wieczorem — przynajmniej dziesięciu świadków. Dziewczyna też nie musi się niczym przejmować. Spędziła wieczór w towarzystwie rodziny, oglądając telewizję.

— Tylko rodziny? — zapytał Dalgliesh.

— Nie. Na szczęście dla niej tuż przed dziewiątą wpadli sąsiedzi, aby omówić stroje na ślub ich córki. Katie Flack miała być druhną. Cytrynowe suknie, do tego bukietiki z białych i żółtych chryzantem. Bardzo gustowne. Mamy pełny opis. Sądzę, iż uznała, że zwiększy to wiarygodność jej

alibi. Tak czy inaczej, trudno któreś z nich dwojga uznać serio za podejrzanego. W dzisiejszych czasach jeżeli człowiek nie lubi szefa, po prostu zwija żagle. Przypuszczalnie mają wrażenie, iż Robarts zabiła się sama, żeby im sprawić kłopot. Ani jedno, ani drugie nie udaje, że darzyło ją sympatią. Ale w tym morderstwie jest coś znacznie silniejszego niż niechęć. I może to pana zaskoczy, panie Dalgliesh, lecz wcale nie była postrzegana źle przez pracowników na wyższych stanowiskach. Szanowano jej kompetencję, bo rzeczywiście była kompetentna. Poza tym zakres jej obowiązków nie pokrywał się bezpośrednio z obowiązkami innych. Miała sprawnie administrować elektrownią, stwarzając jak najlepsze warunki działania dla personelu naukowego i technicznego. I najwyraźniej dobrze wywiązywała się z tego zadania. Odpowiadano na moje pytania bez oporów, ale też bez nadgorliwości. Jest w tej firmie jakaś solidarność. Przypuszczam, że ludzie, którzy nieustannie są obiektem krytyki i rozmaitych ataków, okazują swoistą ostrożność w kontaktach z resztą świata. Tylko jedna osoba przyznała się otwarcie do antypatii wobec Hilary Robarts: Miles Lessingham. Tyle że dysponuje czymś w rodzaju alibi — twierdzi, że

251

P. D. JAMES

w momencie zabójstwa przebywał na swoim jachcie. I nie czynił tajemnicy ze swoich uczuć. Nie chciał w jej towarzystwie jeść, pić, spędzać wolnego czasu, nie miał ochoty z nią sypiać. Wszelako, jak podkreślił, podobnie odnosi się do bardzo wielu osób, a przecież nie ma najmniejszego zamiaru ich mordować. — Urwał na chwilę, a potem zapytał: — W piątek rano doktor Mair oprowadził pana po elektrowni, prawda?

— Poinformował pana o tym?

— Doktor Mair nie powiedział mi nic, czego nie musiał powiedzieć. Nie, ta sprawa wypłynęła podczas rozmowy z pewną miejscową dziewczyną, która pracuje w k&drach. Gadatliwa bestyjka. Dowiedziałem się od niej wielu interesujących rzeczy. Zastanawiałem się, czy podczas pańskiej wizyty zdarzyło się coś, co mogłoby być istotne.

Dalgliesh oparł się pokusie, by zareplikować, że jeśli się zdarzyło, to opowiedziałby o tym wcześniej z własnej inicjatywy. Odparł: — Była to interesująca wizyta, a elektrownia prezentuje się dość imponująco. Doktor Mair usiłował wytłumaczyć mi różnicę pomiędzy reaktorem termicznym a nowym reaktorem ciśnieniowo-wodnym. Rozmowa dotyczyła zatem spraw technicznych i tylko raz, marginalnie zresztą, doktor Mair wspomniał o poezji. Miles Lessingham pokazał mi miejsce, z którego oddał swój samobójczy >skok Toby Gledhill. Właśnie samobójstwo Gledhilla wydało mi się kwestią istotną, nie potrafiłem jednak wyobrazić sobie jego związku ze sprawą. Niewątpliwie ogromnie poruszyło Lessinghama i to nie tylko dlatego, że stał się jego mimowolnym świadkiem. Na przyjęciu u panny Mair pomiędzy Lessinghama i Hilary Robarts doszło do nader dwuznacznej wymiany zdań.

Rickards wychylił się do przodu; szklaneczka whisky niemal tonęła w jego wielkiej dłoni. Nie podnosząc wzroku, powiedział: — Przyjęcie u Mairów. Przypuszczam, że to milutkie zebranko — jeśli było milutkie — jest sednem całej sprawy. I wiąże się z nim coś, o co chciałbym pana spytać. To prawdziwy powód mojej wizyty. Ta dziewczynka, Theresa Blaney... co dokładnie zdołała podsłuchać na temat ostatniej ofiary Świstuna?

Dalgliesh spodziewał się tego pytania i był jedynie zaskoczony, że Rickards z jego zadaniem czekał tak długo.

Odparł ostrożnie: — Bez wątplenia usłyszała jakąś część opowieści. Wie pan o tym, bo mówiłem mu już wcześniej. Nie potrafię jednak określić, jak długo stała za drzwiami jadalni, zanim ją spostrzegłem, ani też jaką część rozmowy zdołała podsłuchać.

252

INTRYG I ŻĄDZE

— Czy pamięta pan, w jakim punkcie swojej relacji był Lessingham, gdy zauważył pan Therese?

— Nie jestem pewien. Chyba opisywał zwłoki — to co ujrzał, kiedy wrócił z latarką.

— A zatem mogła słyszeć o cięciach na czole i włosach łonowych.

— Czy o tym drugim powiedziała by jednak ojcu? Miała dewocyjnie religijną matkę wyznania rzymskokatolickiego. Nie znam Theresy, lecz przypuszczam, że jest dziewczynką niezwykle

skromną. Czy skromna, dobrze wychowana dziewczynka mogłaby o takich sprawach rozmawiać z mężczyzną, nawet z własnym ojcem?

— Dobrze wychowana? Skromna? Żyje pan w ubiegłym stuleciu. Proszę spędzić pół godziny na boisku ogólniaka, a usłyszysz pan rzeczy, od których włosy staną panu dęba. Dzisiejsza młodzież potrafi powiedzieć wszystko i wszystkim.

— Ale nie ta dziewczynka.

— W porządku, mogła jednak powiedzieć ojcu o nacięciu w kształcie litery L i włosach jako takich, a już skąd się wzięły, Blaney potrafił domyślić się sam. Do diabła, ogólnie wiadomo, że zbrodnie Świstuna musiały mieć podłoże seksualne. Nie gwałcił ofiar, ale też nie podkręcał się samym zabijaniem. Człowiek nie musi być Krafft... jak mu tam właściwie?

— Krafft-Ebing.*

— Brzmi to jak nazwa sera. No więc człowiek nie musi być Krafftem-Ebingiem, a nawet nie musi być szczególnie wysublimowany seksualnie, żeby odgadnąć, jakimi to włosami posługiwał się Świstun.

Dalglish powiedział: — To jednak ważne, jeśli obsadza pan Blaneya w roli głównego podejrzanego, prawda? Czy on albo ktokolwiek inny zabiłby w taki właśnie sposób, nie mając całkowitej pewności co do stosowanych przez Świstuna metod? Mógł mieć nadzieję, że zwali to morderstwo na konto Świstuna tylko wtedy, gdy nie pomyli się w żadnym szczególe. Jeśli nie zdoła pan udowodnić, iż Theresa powiedziała ojcu o włosach i nacięciu w kształcie litery L, pańska koncepcja zostanie znacznie osłabiona. Powątpiewam, czy zdoła pan zmontować oskarżenie. Poza tym, Oliphant mówił chyba, że Blaney ma alibi od panny Mair — która stwierdziła, że pijany przebywał w domu o dziewiątej trzydziści — a także od swojej córki. Czyż nie zeznała, iż położyła się wprawdzie do łóżka o ósmej piętnaście, ale tuż przed dziewiątą zeszła na dół, żeby napić się wody?

* Richard von Krafft-Ebing (1840—1902) — niemiecki lekarz i neurolog, specjalizujący się w psychologicznych aspektach chorób umysłowych, przyp. tłum.

253

Ihfe

P. D. JAMES

— Tak właśnie powiedziała, panie Dalglish. Ale ja panu powiem coś innego: ten dzieciak potwierdzi każdą historyjkę, jaką postanowi nam zaserwować jej tata. Podejrzenie do siebie pasują czasy pewnych zdarzeń. Robarts umiera o dziewiątej dwadzieścia, no, z tolerancją kilku minut w tę czy w tamtą. Theresa Blaney kładzie się spać kwadrans po ósmej i jak na zawołanie czterdzieści pięć minut później schodzi napić się wody. Szkoda, że jej pan nie widział, jej i tego domu. Co ja mówię, przecież pan widział! Były tam ze mną dwie policjantki z młodzieżówki i traktowały ją jak ośeska. Nie żeby tego potrzebowała. Siedzieliśmy w uroczym kółeczku dookoła kominka, a ona trzymała na kolanach tego malucha. Czy "próbował pan kiedyś przesłuchiwać dziecko, żeby ustalić, czy jego tata jest mordercą, i to dziecko, które tuląc w ramionach młodszego braciszka wpatruje się w pana wielkimi oczami, pełnymi wyrzutu? Zasugerowałem, żeby Theresa oddała brata do potrzymania jednej z policjantek, ledwie jednak próbowała go przejąć, mały zaczął wyc. Nie chciał iść nawet do ojca. Można by pomyśleć, że zawczasu uzgodnił to z Theresa. No i, oczywiście, przez całe przesłuchanie był tam Ryan Blaney. Nie można przesłuchiwać dziecka pod nieobecność rodzica, jeśli rodzic chce uczestniczyć w przesłuchaniu. Dobry Boże, kiedy zaaresztuję kogoś za to morderstwo — a zaaresztuję, panie Dalglish, tym razem zaaresztuję — mam nadzieję, że nie będę musiał zakładać kajdanek Ryanowi Blaneyowi. Te dzieciaki w swoim życiu straciły już dość. Ale Blaney miał najsilniejszy motyw ze wszystkich podejrzanych i nienawidził Hilary Robarts. Nie sądzę, by potrafił ukryć tę nienawiść, nawet gdyby bardzo się starał, a w gruncie rzeczy nie starał się wcale. Rzecz nie tylko w tym, że próbowała go wysiadać z Chaty Żeglarza. To sięga głębiej. Nie wiem, jakie są korzenie całej historii — może mają jakiś związek z żoną Blaneya. Ale się dowiem. Po przesłuchaniu zostawił dzieciaki w domu i odprowadził nas do samochodów. Ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałem, brzmiały: „Była wredną kurwą i cieszę się, że nie żyje. Ale jej nie zabiłem, a wy nie potraficie dowieść czegoś przeciwnego”. Znam argumenty przemawiające na

jego korzyść. Jago oświadczył, że zadzwonił około wpół do ósmej, by powiadomić Blaneya, że Świstun nie żyje. Rozmawiał z Theresa, która — jak utrzymuje — przekazała nowinę ojcu. Nie widzę powodów, dla których miałyby tego nie zrobić. Chyba powinniśmy przyjąć, że powiedziała. Nie zostawiłby dzieci samych w domu, wiedząc, że Świstun żyje i poluje. Nie zrobiłby tego żaden odpowiedzialny ojciec, a za takiego, wedle ogólnie panującej opinii, uchodzi Blaney. Nawiasem mówiąc, potwierdzają to nawet miejscowe władze. Dwa tygodnie temu wysłały

254

INTRYG I ŻĄDZE

opiekunkę społeczną, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. I powiem panu, kto był pomysłodawcą, panie Dalglish. To bardzo ciekawa historia. Hilary Robarts.

— Czy miała jakieś konkretne zastrzeżenia?

— Żadnych. Stwierdziła po prostu, że zmuszona do odwiedzania od czasu do czasu Chaty Żeglarza po to, by omówić naprawy i tak dalej, z troską zwróciła uwagę na brzemię obowiązków, jakie musi dźwigać Blaney, i pomyślała sobie, że przydałaby mu się odrobina oficjalnej pomocy. Opowiadała, jak to widuje Therese — i to czasem w godzinach lekcyjnych — która holując za sobą bliźniaczki pcha do domu ciężki wózek z zakupami. No więc poprosiła telefonicznie o wysłanie do Blaneyów opiekunki społecznej. Ta, najwyraźniej, doszła po wizycie do wniosku, że wszystko wygląda lepiej, niż można by oczekiwać. Bliźniaczki uczęszczały już do ogniska, więc zaproponowała tylko dodatkową pomoc w domu, której Blaney nie zamierzał > przyjąć. Nie wiem, czy warto go za to potępić. Ja sam wolałbym nie mieć Opieki na karku.

— Czy Blaney wie, że pomysłodawczynią wizyty była Hilary Robarts?

— Władze, zgodnie ze swoim zwyczajem, nie poinformowały go o tym, i nie widzę, skąd mógłby się dowiedzieć. Gdyby jednak wiedział, miałby jeszcze silniejszy motyw, nieprawdaż? Ta wizyta mogłaby być ostatnią kroplą.

— Czy jednak zabiłby w taki sposób? — zapytał Dalglish. — Logicznie rzecz biorąc, wiedza o śmierci Świstuna przekreśla metodę.

— Niekoniecznie, panie Dalglish. Załóżmy, że to podwójny blef. Załóżmy, że — w gruncie rzeczy — mówi nam coś takiego: „Posłuchajcie, mogę udowodnić, iż wiedziałem o śmierci Świstuna. Morderca Hilary Robarts natomiast nie wiedział. Dlaczego zatem nie szukacie kogoś, kogo nie poinformowano, że zwłoki Świstuna zostały znalezione?” I, na Boga, panie Dalglish, istnieje jeszcze jedna możliwość. Przyjmijmy, że wiedział o śmierci Świstuna, ale zakładał, iż zgon nastąpił całkiem niedawno. Zapytałem Therese, co, dokładnie, powiedział jej George Jago. Pamiętała każde słowo, a zresztą Jago to potwierdził. Jego wiadomość brzmiała zatem: „Powiedz tacie, że Świstun nie żyje. Popęłił samobójstwo. Przed chwilą, w Easthaven”. Żadnej wzmianki o hotelu ani godzinie, o której się zameldował. Jago nie znał tych faktów. Nowina, którą otrzymał od swojego kumpla z „Kotwicy i Korony”, była niezłe pokręcona. Blaney mógł więc przyjąć założenie, iż zwłoki znaleziono gdzieś na otwartym terenie,

255

P. D. JAMES

zaledwie pięć mil w dół wybrzeża. Mógł zabić bezkarnie. Wszyscy — także policja — zaakceptują wersję, że Świstun zaliczył ostatnią ofiarę, a potem ze sobą skończył. Mój Boże, panie Dalglish, to zgrabniutki schemat.

Dalglish pomyślał na własny użytek, że bardziej zgrabniutki, niż przekonujący. Powiedział: — Przyjmuje pan zatem, że pocięty obraz nie jest bezpośrednio związany z morderstwem. Nie wyobrażam sobie, aby Blaney zniszczył własne dzieło.

— NibyTzemu nie? To, jak widziałem, nic specjalnego.

— Myślę, że dla niego był czymś specjalnym.

— Ten portret to niezła łamigłówka, słowo daję. Ale na nim nie kończą się trudności. Zanim Robarts poszła popływać po raz ostatni, ktoś z nią pił, ktoś, kogo znała i wpuściła do domu. Na suszarce były dwa kieliszki, a to, na mój rozum, oznacza, że piły dwie osoby. Nie zaprosiłaby Blaneya do Tymiankowej Chaty, a gdyby się nawet zjawił, nie wpuściłaby go do domu, trzeźwego czy zalanego.

— Jeśli jednak wierzy pan pannie Mair — powiedział Dalgliesh — pańska wersja obciążająca Blaney'a łamie się tak czy owak. Alice Mair utrzymuje, że widziała go w Chacie Żeglarza o dziewiątej czterdzieści pięć lub nieco później i że był pijany. Zgoda, mógł tylko udawać; to by mu nie sprawiło kłopotu. Nie mógł natomiast zabić Hilary Robarts o dziewiątej dwadzieścia i wrócić do domu na dziewiątą czterdzieści pięć, skoro nie dysponował żadnym samochodem.

— Ale dysponował rowerem — zauważył Rickards.

— Wymagałoby to niezwykle szybkiego pedałowania. Wiemy, że umarła po kąpieli, nie zaś przed nią. Gdy ją znalazłem, włosy przy skórze wciąż były wilgotne. Możemy zatem przyjąć bezpieczne założenie, iż zmarła pomiędzy dziewiątą piętnaście a dziewiątą trzydzieści. Nie mógł wziąć roweru ze sobą i odbyć drogi powrotnej brzegiem morza. Był przyptływ, musiałby jechać po ławicy kamieni, a to piekielnie trudna robota. Tylko na jednym odcinku plaży pozostaje podczas przyptłwu strefa wolnego piasku — w tej małej zatoczce, gdzie pływała Hilary Robarts. Bo gdyby jechał drogą, spostrzegłaby go panna Mair. Zapewniła mu alibi, którego — moim zdaniem — nie zdoła pan podważyć.

— Ale nie jest to alibi działające w obie strony — powiedział Rickards. — Panna Mair twierdzi, że przebywała samotnie w Chacie Męczennicy aż do dziewiątej trzydzieści, kiedy to wyjechała, żeby odebrać portret. Ona i ta gospodyni ze Starej Plebanii, pani Dennison, są jedynymi osobami, uczestniczącymi w czwartkowym przyjęciu, które nawet nie próbowały przedstawić jakiegokolwiek alibi. No i ma

256

INTRYGI I ŻĄDZE

motyw. Hilary Robarts była kochanką jej brata. Wiem, że Mair utrzymuje, iż romans był skończony, ale to tylko jego wersja. Załóżmy, że planowali ślub po jego przenosinach do Londynu. Alice Mair — osoba niezamężna — całe życie poświęciła bratu. Nie potrafi inaczej skanalizować swoich uczuć. Dlaczego zatem rezygnować zeń na rzecz innej kobiety i to teraz, kiedy Mair' jest bliski spełnienia swych ambicji?

Dalgliesh pomyślał, że jest to zdecydowanie zbyt naskórkowe wytłumaczenie relacji międzyludzkich, które — odnotowane przezeń tylko pobieżnie — sprawiały wrażenie daleko bardziej skomplikowanych. Powiedział: — Jest popularną zawodową pisarką. Przypuszczam, że sukces zapewnia swoistą formę samorealizacji emocjonalnej, jeśli przyjmujemy, iż panna Mair jej potrzebuje. Sprawiała na mnie wrażenie kobiety niesłuchanie samodzielnej.

— Sądziłem, że pisuje książki kucharskie. I to ma być, pańskim zdaniem, popularna zawodowa pisarka?

— Książki Alice Mair są wysoko cenione i niezwykle lukratywne. Mamy wspólnego wydawcę. Gdyby musiał wybierać pomiędzy dwojgiem, przypuszczalnie pozbyłby się mnie.

— A więc myśli pan, że małżeństwo brata przyjęłaby niemal z ulgą, że ma już ochotę zrzucić z siebie odpowiedzialność? Niech dla odmiany pogotuje dlań i poopiekuje się nim jakaś inna kobieta?

— Dlaczego miałyby potrzebować kobiecej opieki? Teoretyzowanie na temat ludzi oraz ich pragnień jest wysoce ryzykowne, ale powątpiewam, czy Alice Mair poczuwa się do takiej odpowiedzialności, Alex Mair natomiast pragnie czy też musi korzystać z jej dobrodziejstw.

— Jak więc pan to widzi, mam na myśli ich stosunki? W końcu mieszkają ze sobą, a przynajmniej na ogół mieszkają. Ona, tak się powszechnie sądzi, ma kręcka na jego punkcie.

— Nie mieszkaliby wspólnie, gdyby nie musieli, jeśli w ogóle można to nazwać wspólnym mieszkaniem. Ona, jak rozumiem, wiele podróżuje, zbierając materiały do swoich książek, on natomiast ma w Londynie własne cztery kąty. A w ogóle, jakim cudem ktoś, kto podczas jednego zaledwie przyjęcia obcował z nimi przez szerokość stołu, miałby rozszyfrować naturę ich stosunków? Skłonny byłbym sądzić, że składa się na nią lojalność, zaufanie, szacunek wzajemny. Zresztą proszę zapytać ich samych.

— Lecz nie zazdrość, o niego lub jego kochankę?

— Jeśli coś takiego wchodzi w grę, Alice Mair ukrywa to niezwykle sprytnie.

17 Intrygi i żądze

257

P. D. JAMES

— W porządku, panie Dalglish, weźmy pod uwagę inny scenariusz. Załóżmy, że Mair miał Robarts po uszy, załóżmy, że ciągnęła go do ołtarza, że chciała zrezygnować z pracy i przenieść się z nim do Londynu. Załóżmy, że stała się utrapieniem. Czy Alice Mair nie doszłaby do wniosku, że powinna zrobić coś w tej sprawie?

— Na przykład zaplanować i zrealizować szczególnie pomysłową zbrodnię, aby wybawić brata z chwilowych kłopotów? Czy nie byłby to odrobinę przesadny wyraz siostrzanej lojalności?

— Och, ależ te zdecydowane na wszystko kobiety nie są tylko chwilowym kłopotem, chyba się pan ze mną zgodzi? Proszę się tylko zastanowić, ilu zna pan mężczyzn, którzy zostali zmuszeni do nie chcianego małżeństwa tylko dlatego, że kobiety miały silniejszą wolę niż oni. Albo dlatego, że nie potrafili znieść całego tego zgiełku, łez, wyrzutów, szantażu emocjonalnego.

— Sam romans trudno uznać za potencjalne narzędzie szantażu

— .odparł Dalglish. — Byli ludźmi wolnego stanu; nikogo nie oszukiwali; nie wywołali publicznego skandalu. I trudno wyobrazić mi sobie kogokolwiek, mężczyznę czy kobietę, kto zdołałby zmusić Aiexa Maira do zrobienia czegoś, czego ten nie chce uczynić. Wiem, że wygłaszanie powierzchownych sądów jest niebezpieczne, jakkolwiek od pięciu ostatnich minut nie robimy nic innego, ale Mair sprawia na mnie wrażenie człowieka, który żyje i prawdopodobnie zawsze żył jedynie pod dyktando własnej woli.

— Co mogłoby go pchnąć na drogę występku, gdyby ktoś usiłował stanąć mu na drodze.

— A zatem teraz jego obsadza pan w roli mordercy.

— Obsadzam go w roli człowieka mocno podejrzanego.

— A co z tą parą, mieszkającą w przyczepie? — zapytał Dalglish.

— Czy istnieją jakiegokolwiek dowody, że wiedziała o metodach Świstuna?

— Niczegośmy nie znaleźli, ale jaką możemy mieć pewność? Ten facet, Neil Pascoe, włóczy się tą swoją furgonetką, pija w okolicznych pubach. Mógł usłyszeć to czy owo. Nie każdy policjant, zaangażowany w sprawę, musiał koniecznie zachowywać dyskrecję. Nie dopuszczaliśmy szczegółów do prasy, co jednak nie znaczy, że nie krążyły plotki. Pascoe ma coś w rodzaju alibi. Był furgonetką na południe od Norwich, u pewnego gościa, który listownie wyraził zainteresowanie SPEN-em, tą jego antynuklearną organizacją. Pascoe, jak to wygląda, miał nadzieję, że zdoła zmontować filię. Powiada, że gadali gdzieś do ósmej dwadzieścia, a potem ruszył w drogę powrotną do domu

— podkreślam: on tak twierdzi. Dziewczyna, z którą mieszka w przy-

258

INTRYG I ŻĄDZE

czepie, Amy Camm, zeznała, iż dotarł na dziewiątą i resztę wieczoru spędzili razem. Moim zdaniem, wrócił trochę później, bo musiałby ostro piłować tego swojego rżęcha, aby aż zza Norwich dotrzeć do Larksoken w ciągu czterdziestu minut. No i ma motyw, jeden z najmocniejszych. Gdyby Hilary Robarts doprowadziła do procesu o zniesławienie, byłby zrujnowany. A podtrzymanie jego alibi leży w interesie Camm. Uwiła sobie z dzieciakiem w przyczepie przytulne gniazdko. Powiem panu coś jeszcze, panie Dalglish: mieli kiedyś psa. Smycz nadal wisi na przyczepie.

— Czy wisiłaby jednak, gdyby któreś z nich dwojga udusiło Robarts?

— Ludzie mogli widzieć tę smycz. Pascoe i Camm mogli dojść do wniosku, że z dwojga złego będzie bardziej podejrzaną, jeśli ją zniszczą lub ukryją, niż gdy po staremu powieszają na tym samym miejscu. Zabraliśmy ją, rzecz jasna, choć dla czystej formalności. Skóra Robarts nie była pęknięta, na smyczy więc nie będzie żadnych śladów fizycznych, a jeśli nawet znajdziemy linie papilarne, to najwyżej Camm i Pascoe. Oczywiście, będziemy nadal sprawdzać alibi. Wszystkich cholernych pracowników elektrowni, a jest ich z górą pięć setek. Trudno w to uwierzyć, prawda? Człowiek łązi tam i nie widzi żywej duszy, w okolicy zresztą też przemieszczają się tak, z pozoru, niewidzialnie, jak ta ich energia. Przeważnie mieszkają w Norwich i Cromer; pewnie chcą mieć blisko do szkół i sklepów. W pobliżu elektrowni osiadło zaledwie kilka osób. Większa część sobotniej drugiej zmiany była w domach, uczciwie gapiąc się w telewizory albo bawiła gdzieś w towarzystwie

przyjaciół. Sprawdzimy wszystkich, bez względu na to, czy mieli z Robarts do czynienia, czy też nie, ale chodzi tu o zwykłą formalność. Wiem, gdzie mam szukać podejrzanych: wśród gości tamtego przyjęcia. Dzięki temu, że Lessingham nie potrafi! trzymać buzi na kłódkę, poznali dwa krytyczne ważne fakty: że włosy wpychane przez Świstuna w usta ofiar były włosami łonowymi i że nacięcie na czole miało kształt litery L. To nam bardzo wyraźnie zawężyło pole penetracji. Alex Mair, Alice Mair, Margaret Dennison, sam Lessingham i — zakładając, że Theresa złożyła relację ojcu — Ryan Blaney. Zgoda, może nie zdołam podważyć jego alibi, czy też alibi Maira — ale cholernie uczciwie spróbuję to zrobić.

Dziesięć minut później Rickards wstał i oświadczył, że najwyższy czas wracać do domu. Dalgliesh odprowadził go do auta. Pułap chmur był niski, ziemia i niebo tonęły w tej samej wszechpochłaniającej ciemności, która sprawiała, że migoczące światelka elektrowni pozornie przysunęły się bliżej, nad morzem zaś, przywodząc na myśl jakąś

259

P. D. JAMES

nowo odkrytą mgławicę, unosiła się biała fosforyzująca poświata. W tym mroku nawet zetknięcie stopy z twardym gruntem było dezorientujące i przez kilka sekund obaj mężczyźni wahali się, jak gdyby dziesięć jardów drogi do samochodu, lśniącego w blasku wylewającego się z drzwi światła niczym zawieszony w powietrzu latający spodek, było niebezpieczną przeprawą przez zdradzieckie mokradła. Nad ich głowami śmigły wiatraka połyskiwały białawo, pewne swej uspionej mocy.

— Wszystko na tym przylądku jest kontrastowe — powiedział Rickards. — Kiedy dziś rano wyszedłem z przyczepy Neila Pascoe, stanąłem na niskim piaszczystym klifie i popatrzyłem w kierunku południowym. Nie było tam nic prócz starej rybackiej szopy, jakiegoś zwoju liny, przewróconej skrzynki i tego okropnego morza. Taki sam widok, jak zapewne od tysiąca lat. A potem odwróciłem się ku północy i ujrzałem tę cholernie wielką elektrownię. Teraz też ją widzę i to widzę stojąc pod wiatrakami. Działa, nawiasem mówiąc? Myślę o wiatraku.

— Tak mi mówiono — odparł Dalgliesh. — Skrzydła się obracają, ale nie miały. Oryginalne kamienie młyńskie są w dolnej komorze. Czasem miałbym ochotę popatrzeć, jak się kręcą, ale zwalczam w sobie tę pokusę, bo nie jestem pewien, czy puściwszy śmigły w ruch, zdołałbym je później zatrzymać. Ich skrzywienie przez całą noc byłoby irytujące.

Dotarli do samochodu, Rickards jednak, wsparłszy rękę o drzwiczki, nie palił się do wsiadania. Powiedział: — Przebyliśmy długą drogę, nieprawdaż, pomiędzy tym wiatrakami a elektrownią? Ile to jest? Cztery mile przylądka i trzysta lat postępu. A potem przychodzą mi na myśl te dwa ciała w kostnicy i zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle zawędrowaliśmy dokądkolwiek. Mój tata pewnie by mówił o grzechu pierworodnym. Był świeckim kaznodzieją ten mój tata. Miał wszystko poukładane.

Tak samo, jak mój, skoro o tym mowa, pomyślał Dalgliesh i stwierdził: — Szczęściarz.

Zapadło milczenie, przerwane przez dobiegający z otwartych drzwi wyraźny terkot telefonu.

— Lepiej niech pan chwilę poczeka — powiedział Dalgliesh. — To może być do pana.

Było. Oliphant zapytał, czy zastał nadinspektora Rickardsa. Nie złapał go w domu, a numer Dalgliesha był jednym z kilku, jakie nadinspektor zostawił na wszelki wypadek.

Rozmowa miała krótki przebieg. Niespełna minutę później Rickards ponownie dołączył do stojącego w drzwiach Dalgliesha. Lekka

260

INTRYG I ŻĄDZE

melancholia kilku ostatnich minut opadła zeń bez śladu i kroczył sprężyscie.

— Sprawa mogła wprawdzie poczekać do jutra, ale Oliphant chciał, żebym się dowiedział jak najszybciej. To może być ten przełom, którego potrzebujemy. Dzwonili z laboratorium. Pewnie pracowali non stop. Oliphant przypuszczalnie panu mówił, że znaleźliśmy odcisk stopy?

— Wspominał. W prawo od ścieżki, na miękkim piasku. Nie podał żadnych szczegółów.

Dalgliesh natomiast, przestrzegający kategorycznie zasady nieo-mawiania sprawy z niższymi funkcjonariuszami pod nieobecność prowadzącego śledztwo, nawet się nie dopytywał.

— Dostaliśmy potwierdzenie. To podeszwa buta sportowego Bumble, prawego. Rozmiar dziesięć.

Te buty mają bardzo charakterystyczne tłoczenie podeszwy i żółtą pszczołę na piętach. Musiał je pan widywać. — A kiedy Dalgliesh milczał, dorzucił: — Tylko, rany boskie, niech mi pan nie mówi, że ma pan taką parę. To by była komplikacja, bez której spokojnie mogę się obejść.

— Nie, nie mam. Są dla mnie za modne. Ale ostatnio, tu, na przykładu, widziałem takie buty.

— Na czyich nogach?

— Na niczyich. — Zamyślił się przez moment, a potem powiedział. ;— Teraz sobie przypominam. W ubiegłą środę rano, nazajutrz po przyjeździe, zaniósłem trochę ubrań ciotki — w tym dwie pary butów — na Starą Plebanię. W nie używanej kuchence stoją tam dwie skrzynki, do których ludzie wkładają rzeczy przeznaczone na kościelny kiermasz. Drzwi od tyłu, jak zwykle w dzień, były otwarte, więc nie zwracałem sobie głowy pukaniem. Wśród innych rzeczy, była w skrzynce para butów Bumble. Czy, mówiąc ściślej, dostrzegłem piętę jednego buta. Przypuszczam, że drugi też tam był, tyle że go nie zauważyłem.

— Na wierzchu skrzynki?

— Nie, mniej więcej w dwóch trzecich wysokości. W przezroczystej plastikowej torbie. Jak powiadam, nie widziałem całej pary, lecz dostrzegłem piętę z tą charakterystyczną żółtą pszczołą. Możliwe, że buty należały do Toby'ego Gledhilla. Lessingham wspominał, że w chwili samobójstwa takie właśnie miał na nogach.

— I zostawił je pan na miejscu. Zdaje pan sobie sprawę z wagi tego co pan mówi, prawda, panie Dalgliesh?

— Tak, zdaje sobie sprawę i... tak, nie ruszyłem buta. Proszę pamiętać, że wybrałem się tam, by dorzucić rzeczy na kiermasz, nie zaś po to, by podkraść kilka z nich.

261

P. D. JAMES

Rickards stwierdził: — Jeśli była para, a zdrowy rozsądek dyktuje, że była, mógł ją zabrać dosłownie każdy. Co też, jeśli nie ma ich już w skrzynce, z całą pewnością uczynił. — Zerknął na fosforyzującą tarczę swojego zegarka. — Jedenasta czterdzieści pięć. O której, pańskim zdaniem, chodzi spać pani Dennison?

— Zapewne znacznie wcześniej — oświadczył stanowczo Dalgliesh.

— Iz pewnością przed pójściem do łóżka rygluje wszystkie drzwi. Jeśli więc ktoś je zabrał, nie zdoła podrzucić ich na miejsce dzisiejszej nocy.

Doszli do samochodu. Rickards znów położył dłoń na drzwiczkach i z zadumą, jak się zdawało, wbił wzrok w ciemności. Jego podniecenie, trzymane z żelazną dyscypliną na wodzy, było jednak tak wyczuwalne, jak gdyby walił kulakami w maskę samochodu. Potem otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Reflektory jak szperacze wwierciły się w mrok.

Kiedy opuszczał szybę, żeby się pożegnać, Dalgliesh powiedział:

— Jest coś, o czym może powinienem wspomnieć w związku z Meg Dennison. Nie wiem, czy pan pamięta, ale to ona była ową nauczycielką stojącą w samym centrum głośnego konfliktu rasowego w Londynie. Mając za sobą tyle rozmaitych przesłuchań, przez ile przeszła, trudno jej będzie, sądzę, poddać się jeszcze jednemu. A to oznacza, że być może czeka pana trudna rozmowa. Przemyślał starannie każde słowo, obawiając się, że to, co chce powiedzieć, okaże się błędem. Było błędem. Ostrzeżenie, mimo ostrożnej formy, w jakiej zostało wyartykułowane, obudziło tę uśpioną wzajemną niechęć, z której nieprzyjemnie zdawał sobie sprawę podczas wszystkich swoich kontaktów z Rickardsem.

— Chciał pan zapewne powiedzieć — stwierdził Rickards — że ta rozmowa będzie trudna dla niej. Miałem już okazję zamienić kilka słów z tą panią i znam jej przeszłość. Trzeba wiele odwagi, aby bronić swoich zasad tak, jak czyniła to ona. Można by nawet rzec, masę uporu. A kobietę, która ma tyle ikry, stać chyba na wszystko, zgodzi się pan ze mną?

4

Dalgliesh odprowadzał wzrokiem światła wozu, póki, dotarłszy do szosy nadbrzeżnej, Rickards nie skręcił w prawo; później zamknął drzwi i przed pójściem spać wziął się bezplanowo za porządk. Patrząc retrospektywnie na wydarzenia wieczoru, przyznawał, że niezbyt

262

INTRYG I ŻĄDZE

chętnie rozmawiał z Rickardsem o swojej piątkowej wizycie w Elektrowni Jądrowej Larksoken i nie do końca szczerze opisał mu swoje reakcje — może dlatego, że były znacznie bardziej złożone, miejsce natomiast bardziej imponujące, niż się spodziewał. Został zaproszony na ósmą czterdzieści pięć, ponieważ Mair pragnął oprowadzić go osobiście, był zaś umówiony w Londynie na lunch. Na samym początku wizyty Mair zapytał: — Co wiesz o energii jądrowej?

— Niewiele. Może najsensowniej byłoby przyjąć założenie, iż nie wiem nic.

— Wobec tego powinniśmy przed zwiedzaniem zacząć od zwykłego wstępu na temat źródeł promieniowania i tego, co rozumiemy przez energię nuklearną i atomową. Poprosiłem Milesa Lessinghama, który jest kierownikiem produkcji, aby nam towarzyszył.

Taki był początek tych dwóch niezwykłych godzin. Dalgliesh, eskortowany przez swoich mentorów, został ubrany w odzież ochronną, a potem z niej wyłuskany, poddany kontroli na napromieniowanie i zasypany potężną lawiną faktów i cyfr. Mimo że przebywał tu jako człowiek z zewnątrz, był świadom, iż elektrownia jest zarządzana z niezwykłą kompetencją przez znakomitego specjalistę, cieszącego się szacunkiem i autorytetem. Alex Mair, z pozoru lekko traktujący funkcję przewodnika swego wyjątkowego gościa, był jednak w każdej chwili uważnym, odpowiedzialnym i nie pozwalającym, by inni zapomnieli o jego pozycji, władcą tego królestwa. Dalglieshowi zaimponowało również zaangażowanie tych pracowników, którzy posługując się terminami zrozumiałymi dla laika tłumaczyli mu, na czym polegają ich obowiązki. Wyczuwał pod ich profesjonalizmem bardzo osobisty stosunek do energii jądrowej, przybierający niekiedy postać kontrolowanego entuzjazmu zmieszanego ze swoistą defensywnością, przypuszczalnie najzupełniej naturalną, jeśli wziąć pod uwagę niejednoznaczny stosunek opinii publicznej do energetyki atomowej w ogóle. Kiedy jeden z inżynierów powiedział: „To niebezpieczna technologia, ale potrzebujemy jej i potrafimy nad nią panować”, Dalgliesh usłyszał w jego głosie nie arogancję pewnego siebie naukowca, lecz szacunek dla żywiołu, będącego przedmiotem jego kontroli, coś na kształt miłosno-nienawistnego stosunku żeglarza do oceanu, będącego dlań tyleż naturalnym domem, co szanowanym przeciwnikiem. Gdyby przyjąć, że celem zwiedzania było obudzenie w nim ufności, to cel ów został w części osiągnięty. Jeżeli energia jądrowa może być bezpieczna w czyichkolwiek rękach, w tych — jest bezpieczna na pewno. Tylko do jakiego stopnia bezpieczna i na jak długo?

263

P. D. JAMES

Czując pulsowanie w uszach, stał w olbrzymiej hali turbin, podczas gdy Mair bombardował go faktami i liczbami, dotyczącymi ciśnień, napięć i wyłączalności; stał, odziany w strój ochronny, i spoglądał w dół, gdzie zużyte elementy paliwowe na kształt złowieszczych ryb wylegiwały się przez sto dni w basenie chłodzącym, czekając, aż będzie je można przewieźć do Sellafield na regenerację; przespacerował się brzegiem morza, aby obejrzeć instalacje chłodzące i skraplacze pary. Ale najbardziej interesującym momentem wizyty było zwiedzanie budynku reaktora. Mair, wezwany przez pisk swojego interkomu, przeprosił ich na jakiś czas i Dalgliesh pozostał tylko z Lessinghamem. Stali na wysoko podwieszanej galerii, patrząc w dół na czarne pomosty załadownicze obu reaktorów. Obok każdego z nich piętrzyła się ogromna maszyna podająca paliwo. Dalgliesh przypomniał sobie Toby'ego Gledhilla i zerknął z ukosa na towarzysza. Lessingham miał tak bladą i ściągniętą twarz, iż Dalgliesh obawiał się, że może zasłabnąć. Potem jednak, martwym głosem ucznia recytującego wykutą na pamięć lekcję, zaczął mówić: — W każdym reaktorze jest dwadzieścia sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt osiem elementów paliwowych, które są wymieniane co pięć do dziesięciu lat. Każde z urządzeń załadowniczych mierzy, w przybliżeniu, prawie osiem metrów i ma masę stu pięćdziesięciu ton. Może na raz załadować czternaście elementów paliwowych wraz z osprzętem, niezbędnym w cyklu uzupełniania paliwa. Zbiornik ciśnieniowy ma potężną osłonę z żeliwa i utwardzonego drewna. Tym, co widzi pan na szczycie maszyny, jest wciągnik do podnoszenia elementów. Jest również urządzenie spinające, które łączy maszynę z reaktorem, oraz kamera umożliwiająca śledzenie całej operacji. Urwał i Dalgliesh spostrzegł, że jego dłonie, zaciśnięte na balust-radce, silnie drżą. Milczeli obaj.

Spazm trwał niespełna dziesięć sekund. Potem Lessingham powiedział: — Szok jest przedziwnym fenomenem. Skok Toby'ego prześladował mnie we snach przez wiele tygodni po wypadku. Potem nagle przestał. Uznałem wtedy, że mogę już patrzeć na pomost załadowniczy i na zawsze wyrzucić z duszy tamten obraz. Przeważnie mogę. W końcu pracuję tutaj, to moje stanowisko. Ale sen czasami powraca i są chwile, gdy — jak właśnie teraz — widuję Toby'ego z taką wyrazistością, że jestem gotów podejrzewać się o halucynacje.

Dalgliesh czuł, iż nie potrafi powiedzieć niczego, co nie byłoby banalne. Lessingham ciągnął: — Dotarłem do niego pierwszy. Leżał na brzuchu, ale nie mogłem go odwrócić. Nie potrafiłem się zmusić, by go dotknąć. Zresztą nie potrzebowałem tego robić. Wiedziałem, że jest

264

INTRYG I ŻĄDZE

martwy. Wyglądał jak maleńka, poskręcana szmaciana lalka. Zwracałem tylko uwagę na te idiotyczne żółte pszczoły na jego sportowych butach. Chryste, jakże byłem potem rad, mogąc się pozbyć tych cholernych butów.

A zatem Gledhill nie miał na sobie odzieży ochronnej. Impuls samobójczy nie był całkowicie spontaniczny.

— Musiał być niezłym wspinaczem — stwierdził Dalgliesh.

— Och, tak, Toby umiał się wspinać. Zresztą był to najpośledniej-szy z jego talentów.

A potem, nie zmieniając tonu na jotę, Lessingham podjął opis reaktora i procedury załadunku do rdzenia nowego paliwa. Pięć minut później dołączył do nich Mair. Gdy zakończywszy zwiedzanie wracali do jego gabinetu, zapytał: — Czy słyszałeś o Richardzie Feynmanie?

— Tym amerykańskim fizykiem? Kilka miesięcy temu widziałem program telewizyjny na jego temat; w przeciwnym wypadku jego nazwisko nic by mi nie mówiło.

— Feynman powiedział: „Prawda jest znacznie cudowniejsza, niż wyobrażał sobie jakikolwiek artysta z przeszłości. Dlaczego zatem nie opiewają jej dzisiejsi poeci?” Jesteś poetą, lecz to miejsce, skupiona w nim potęga, piękno rozwiązań technicznych, wspaniałość tego wszystkiego wcale cię szczególnie nie interesuje, prawda? Ani ciebie, ani któregośkolwiek innego poety?

— Interesuje mnie, co jednak nie znaczy, że potrafię przetworzyć to w poezję.

— Fakt, twoja tematyka jest bardziej przewidywalna, zgoda? Jak to idzie?

Dwadzieścia procent zgarń Bóg i wszyscy święci, Dwadzieścia procent — kwiatki, ptaszki, drzewa, A całą resztę smętny facet skręci, Co gania babę lub przed babą zwiewa.

— Procentowy udział Boga i Jego świętych bardzo ostatnio spadł — powiedział Dalgliesh — ale zgadzam się z tobą, że baby stoją coraz lepiej.

— I przypuszczalnie ten biedaczek, Swistun z Norfolk, też me jest zbyt dobrym tematem poetyckim.

— Jest ludzki. A to czyni zeń odpowiedni temat do poezjowania.

— Nie taki to jednak temat, który wybrałbyś dla siebie? Dalgliesh mógłby odrzec, iż to nie poeta wybiera sobie temat, lecz

temat wybiera jego, ale jednym z powodów ucieczki do Norfolk była

265

P. D. JAMES

właśnie chęć uniknięcia dyskusji poetyckich. A gdyby nawet miał ochotę porozprawiać o swoim pisaniu, to na pewno na rozmówcę nie wybrałby Maira. Sam się jednak zdumiał, jak mało niechęci obudziły w nim te pytania. Trudno było Maira polubić, nie sposób jednak nie obdarzyć szacunkiem. Jeśli to on zamordował Hilary Robarts, Ric-kards będzie miał niezwykle groźnego przeciwnika.

Wyrzebując z kominka resztki popiołu, przypomniał sobie z niezwykłą wyrazistością ów moment, gdy stał obok Lessinghama i wpatrywał się w ciemną pokrywę reaktora, pod którą bezgłośnie warzyła się olbrzymia i tajemnicza moc. Zastanawiał się, ile minie czasu, zanim Rickards zada sobie pytanie, dlaczego morderca wybrał te akurat buty.

S

Rickards wiedział, że Dalgliesh ma rację: wizyta u pani Dennison o tak późnej porze byłaby niczym nie uzasadnionym najściem. Nie potrafił jednak przejechać obok Starej Plebanii nie zwolnwszy, by

zerknąć w poszukiwaniu znaków życia. Nie dostrzegł żadnych; za gęstwą szarpanych wiatrem krzaków dom stał mroczny i cichy. Wchodząc do swojego, równie ciemnego domu Rickards poczuł przemożne zmęczenie. Było jednak masę papierkowej roboty, z którą musiał się uporać przed pójściem do łóżka, w tym końcowy raport dotyczący sprawy Świstuna; powinien w nim odpowiedzieć na kłopotliwe pytania, zarysować linię obrony, która stwarzała szansę odparcia zarzutów, zarówno prywatnych, jak i publicznych, że policja wykazała się niekompetencją, że dowodzenie akcją było liche, że okazano nadmierną wiarę w technikę, zbyt mało wagi przywiązując do poczciwej staroświeckiej roboty dochodzeniowej. Dopiero potem miał sięgnąć po najnowsze meldunki związane z morderstwem Robarts.

Zbliżała się czwarta nad ranem, kiedy zdarł z siebie ubranie i padł twarzą na łóżko. Zapewne poczuł przez sen, że jest mu zimno, kiedy bowiem wreszcie się obudził, stwierdził, że leży pod kocem. Zapaliwszy lampę przy łóżku stwierdził — tym razem z trwogą — coś jeszcze: dochodziła ósma, przespał więc terkotanie budzika. Oprzytomniawszy w okamgnieniu, odrzucił koc, wstał z łóżka i pochylił twarz do lustra nad żoniną toaletką. Na jej blacie, udrapowanym dookoła biało-

266

INTRYG I ŻĄDZE

-różowym tiulem, stał komplecik, składający się z tacy i stojaczka na biżuterię; na ramie lustra była zawieszona szmaciana laleczka, którą Susie w dzieciństwie wygrała na jarmarku. Brakowało tylko naczynek z kosmetykami; ich nieobecność odczuł nagle tak boleśnie, jak gdyby Susie zmarła, one zaś zostały usunięte razem z innymi nieważnymi okruchami życia. Co ma wspólnego — rozmyślał, pochylając się jeszcze bardziej do lustra — z tą biało-różową całkowicie kobiecą sypialnią jego wymizerowana twarz i twardy męski tors? Po raz kolejny doznał tego samego uczucia, jakie nawiedziło go wówczas, gdy sprowadzili się tu miesiąc po podróży poślubnej: że nic w tym domu tak naprawdę nie należy do niego. Jako młody konstabl-detektyw byłby zdumiony, gdyby ktokolwiek mu powiedział, że dojdzie do takiego domu ze żwirową pętlą podjazdu, z półakrowym ogrodem, z osobnym salonem i jadalnią, które — urządzone dobranymi z wielką pieczołowitością kompletami mebli, wciąż zresztą dziewiczo nieskalanych — przypominały mu, ilekroć tam wchodził, ów dom towarowy przy Oxford Street, gdzie dokonywali zakupów. Ptfcl nieobecność Susie znów jednak czuł się w domu źle, jak pogardzany i ledwie tolerowany gość.

Nakładając szlafrok, otworzył drzwi małego pomieszczenia w południowej części domu, które miało pełnić rolę pokoju dziecięcego. Łóżeczko, jasnocytrynowo-białe, współgrało kolorystycznie z zasłonami. Pod ścianą stolik do przewijania; dolna półka czekała na dziecięce rozmaitości, zwieszająca się z boku torba — na czyste pieluchy. Na tapecie hasały stada królików i owieczek. Trudno było uwierzyć, że któregoś dnia będzie tu spało jego dziecko.

Odpychał go od siebie nie tylko ten dom. Brak Susie sprawiał, że chwilami trudno mu było uwierzyć w realność ich małżeństwa. Poznali się podczas rejsu do Grecji, który potraktował jako alternatywę zwykle wypełniającej mu urlop samotnej pieszej włóczęgi. Była jedną z niewielu na pokładzie młodych kobiet; podróżowała z matką, wdową po dentyście. Teraz zdawał sobie sprawę, że to Susie okazała inicjatywę, że to ona dążyła do małżeństwa, że to ona wybrała jego na długo przedtem, zanim on wpadł na pomysł, żeby wybrać ją. Olśnienie jednak, kiedy wreszcie przyszło, było pochlebne raczej niż burzące jego spokój wewnętrzny, a poza tym trudno powiedzieć, że inicjatywa Susie trafiła na niepodatny grunt. Osiągnął ten etap życia, gdy chwilami delektował się wyidealizowaną wizją żony czekającej w domu, wygod życia rodzinnego, kogoś, do kogo się powraca po ciężkim dniu, a wreszcie dziecka, nadziei na przyszłość i uzasadnienia wszelkich wysiłków dziś.

267

P. D. JAMES

Susie wyszła za niego mimo oporu ze strony matki, która zrazu — może pamiętając, że Susie liczy już dwadzieścia osiem lat i że upływ czasu jej nie służy — zdawała się sprzyjać pomysłowi, później jednak — kiedy zaręczyny stały się faktem dokonany — zaczęła jasno dawać do zrozumienia, iż jedynaczkę mógł spotkać lepszy los. Hałaśliwie zatem eksploatowała ten wątek, poddając zarazem

Rickardsa intensywnej reedukacji towarzyskiej. Aliści nawet ona nie umiała znaleźć w domu słabych punktów. Pochłoniął wszystkie oszczędności Rickardsa plus największy kredyt, jaki mogła udźwignąć jego pensja, jawił się jednak jako niewzruszony symbol dwóch rzeczy o największym dlań znaczeniu: małżeństwa i pracy.

Susie była zawodową sekretarką, ale z zadowoleniem — jak się zdawało — zrezygnowała z pracy. Gdyby postanowiła pracować nadal, Rickards by ją w tej decyzji poparł. Sprzyjałby zresztą wszelkim zainteresowaniom, jakie zechciałaby okazać. Wolał jednak, by poprzestawała na domu i ogrodzie, by czekała wieczorami na jego powrót. Nie był to ani aktualnie modny rodzaj małżeństwa, ani też taki, na jaki może sobie pozwolić większość par, odpowiadał jednak Rickardswi, który dziękował opatrności, że odpowiada również Susie.

Wiedział już teraz, że nie kochał jej w chwili ślubu. W istocie, mógłby przyznać, nie znał wówczas nawet prawdziwej treści słowa „miłość”, skoro w żaden sposób nie odnosiło się ono do na poły wstydlivych i często poniżających przygód, jakie miewał z kobietami przedtem. A przecież nie tylko pisarze i poeci używali tego słowa; posługiwał się nim cały świat, wiedząc jeśli nie z bezpośrednich doświadczeń nawet, to instynktownie, co oznacza. Czasem czuł się upośledzony, wydziedziczony z tej wspólnej własności, jak człowiek, który od urodzenia pozbawiony jest zmysłu smaku lub węchu. A gdy kilka miesięcy po ślubie pokochał Susie, było tak, jakby otworzyło się przed nim coś, o czym wiedział, lecz czego nie doświadczył, jakby ślepe oczy przejrzały nagle na rzeczywistość światła, kolorów i kształtów. Nastąpiło to pewnej nocy, gdy po raz pierwszy znalazła w jego fizycznej miłości szczęście i na poły płacząc, na poły się śmiejąc, przywarła doń i wyrzucała z siebie szeptem niezrozumiałe czułości. Mocniej objął ją ramionami i w chwili zdumionego olśnienia pojął, że to miłość. Ta chwila afirmacji była zarazem spełnieniem i obietnicą, nie końcem poszukiwań, lecz początkiem odkrywania. Nie pozostawiła miejsca na zwątpienie; jego miłość, raz potwierdzona, wydawała się mu niezniszczalna. Może ich małżeństwo będzie miało momenty wspólnych smutków i niepokojów, ale to, co w nim jedynie ważne, wyznaczała ta chwila. Czy jest naprawdę możliwe, myślał teraz

268

INTRYG I ŻĄDZE

Rickards, aby miała mu zagrozić lub nawet je zniszczyć ta pierwsza poważna próba — decyzja Susie, by ulec z rozmysłem zastosowanej przez matkę mieszance zastraszania i błagalnych próśb i opuścić go tuż przed narodzinami ich pierwszego dziecka? Chciał być przy niej, kiedy podadzą jej niemowlę; teraz może nawet nie będzie wiedział, kiedy zacznie się poród. Obraz uporczywie prześladowający go przed zaśnięciem i tuż po przebudzeniu, na którym teściowa stojąc w sali porodowej triumfalnie trzyma w ramionach jego dziecko, sprawiał, że niechęć, jaką odczuwał wobec niej, przybierała rozmiary paranoidalne.

Na prawo od toaletki wisiała w srebrzonej ramce jedna z ich ślubnych fotografii; została zrobiona tuż po ceremonii, którą — można by pomyśleć — wyreżyserowano specjalnie pod kątem wykazania różnic w pozycji społecznej obu rodzin. Susie lekko przechylała się ku niemu; jej ostra wrażliwa twarzyczka nie wyglądała na dwadzieścia osiem lat; jasna głowa w wianku ledwie sięgała jego ramienia. Kwiaty, drobne różyczki i konwalie, były sztuczne, ale w jego wspomnieniach tamtego dnia roztaczały słodki, ulotny aromat. Poważnie uśmiechnięta twarz Susie była nieodgadniona, nie wyrażała nawet tego, co z pewnością symbolizował ten cały rytuał bieli: To jest coś, o co zabiegałam, czego pragnę, co osiągnęłam. On sam patrzył wprost w obiektyw, godnie znosząc — zakończoną właśnie tą fotografią — na pozór nie mającą końca serię ujęć przed kościołem. Rodzinom dano wreszcie spokój, zostali tylko oni — prawnie zaślubieni, para z oficjalnym błogosławieństwem. Sesja fotograficzna, jak to postrzegał z dzisiejszej perspektywy, była najistotniejszą częścią ceremonii, w której ślub kościelny stanowił zaledwie mało ważny wstęp do skomplikowanego ustawiania i przedstawiania najrozmaiciej poubieranych, obcych sobie ludzi wedle jakiejś hierarchii, niezupełnie wprawdzie zrozumiałej dla niego, lecz najzupełniej przejrzystej dla rozbieranego i pohukującego fotografa. Znów usłyszał głos teściowej: „Tak, obawiam się, że szczyptę nieokrzesany, ale naprawdę bardzo zdolny. Materiał na naczelnika policji, jak mi mówiono”.

Cóż, on nie był materiałem na naczelnika policji, o czym ona doskonale wiedziała, ale przynajmniej nie mogła niczego zarzucić domowi, jaki zapewnił jej jedynacze.

Było zbyt wcześnie na telefon i wiedział, że teściowa wstająca zwykle bardzo późno — odbije sobie na nim tę pierwszą niedogodność dnia. Jeśli jednak nie porozmawia z Susie teraz, następna okazja może się przytrafić dopiero późnym wieczorem. Przez moment stał, wpatrując się w telefon przy łóżku i myślał z niechęcią o podniesieniu słuchawki. Gdyby sprawy stały inaczej, gdyby nie to nowe morder-

269

P. D. JAMES

stwo, wsiadłby do auta, pojechał do Yorku i przywiózł Susie. Mając go u boku, może znalazłaby w sobie siłę, aby przeciwstawić się matce. A tak musiałaby jechać samotnie albo z matką, gdyby ta uparła się — co może byłoby dla Susie lepsze — aby jej towarzyszyć w długiej podróży pociągiem. Ale chciał ją mieć tutaj; chciał ją mieć w domu. Sygnał, jak mu się zdawało, odezwał się nieprzyzwoicie wiele razy, zanim odebrała telefon teściowa, potwierdzając numer z tak znużoną rezygnacją, jakby dzwoniło do niej po raz dwudziesty tego ranka.

— Mówi Terry, pani Cartwright — powiedział. — Czy Susie już wstała?

Nigdy nie zwracał się do niej „mamo”. Był to nonsens, do którego nie umiał się zmusić i którego ona — by oddać jej sprawiedliwość

— nigdy nie sugerowała.

— Cóż, teraz zapewne tak. To nie jest dobry pomysł, Terry, dzwonić przed dziewiątą. Susie sypia ostatnio bardzo dobrze i musi wypoczywać. Poza tym usiłowała cię złapać przez cały wczorajszy wieczór. Zaczekaj.

Potem, przynajmniej minutę później, usłyszał ciche, niepewne:

— Terry?

— Dobrze się czujesz, kochanie?

— Tak, wszystko doskonale. Wczoraj mama zabrała mnie do doktora Mainpe'a. Zajmował się mną, kiedy byłam dzieckiem. Teraz też ma mnie na oku i powiada, że wszystko idzie znakomicie. Na wszelki wypadek zarezerwował mi łóżko w tutejszym szpitalu.

A więc i to zostało załatwione, pomyślał z goryczą; na moment zagościła w jego duszy zdradziecka koncepcja, że zaplanowały to wspólnie, że Susie właśnie tego chciała. Powiedział: — Wybacz, że nie było mnie wczoraj pod telefonem, ale mieliśmy naprawdę gorącą sytuację. Chciałem ci powiedzieć, że Świstun nie żyje.

— Pisali o tym we wszystkich gazetach, Terry. To cudowna wiadomość. Jak się czujesz? Czy odżywasz się należycie?

— Doskonale, czuję się doskonale. Jestem przemęczony, ale w dobrej formie. Posłuchaj, kochanie, to nowe morderstwo jest zupełnie inne. To już nie jest seryjny zabójca.

Niebezpieczeństwo minęło. Obawiam się, że nie ma szans, żebym przyjechał po ciebie, ale mógłbym odebrać cię z Norwich. Czy sądzisz, że wyrobiłabyś się jeszcze dzisiaj? Dwie po trzeciej jest pociąg pospieszny. Jeśli chciałaby z tobą przyjechać matka i zostać do narodzin dziecka, to, oczywiście, nie mam nic przeciwko temu.

Miał, lecz była to stosunkowo niewysoka cena.

— Poczekaj, Terry, mama chce z tobą mówić.

270

INTRYG I ŻĄDZE

*

Potem, po kolejnej długiej pauzie, usłyszał głos teściowej.

— Susie tu zostaje, Terry.

— Świstun nie żyje, pani Cartwright. Niebezpieczeństwo minęło.

— Wiem, że Świstun nie żyje. Ale macie tam następną zbrodnię, prawda? Wciąż na wolności jest jakiś morderca, a ty go ścigasz. Dziecko ma się urodzić za dwa tygodnie i tym, czego teraz potrzebuje Susie, jest spokój od morderstw i śmierci. Myślę w tej chwili przede wszystkim o zdrowiu Susie. Ona potrzebuje czułości i dobroci.

— Nigdy jej tego nie brakło, pani Cartwright.

— Zaryzykowałabym twierdzenie, że robiłeś, co mogłeś, ale chyba nieczęsto bywasz w domu, prawda? Wczoraj wieczorem Susie dzwoniła do ciebie cztery razy. Naprawdę rozmowa z tobą była jej potrzebna, Terry, tylko że ty się akurat gdzieś włączyłeś. To nie jest dobre rozwiązanie, przynajmniej teraz. Pół nocy poza domem, łapiąc morderców albo ich nie łapiąc. Wiem, że taka jest ta twoja praca, ale muszę zarazem brać pod uwagę dobro Susie. Chcę, żeby jej dziecko urodziło się bezpiecznie. W takim czasie miejsce dziewczyny jest przy matce.

— Sądziłem zawsze, iż miejsce żony jest przy mężu.

O Boże, pomyślał, że też wyrwały mi się te słowa. Opłynęła go fala bezdennej rozpacz, na którą złożyło się i ubolewanie nad sobą, i gniew, i desperacja. Jeśli nie przyjedzie dzisiaj, pomyślał, nie przyjedzie już nigdy. Dziecko urodzi się w Yorku i teściowa będzie je trzymać w ramionach wcześniej niż ja. Porwie w swoje szpony ich oboje, teraz i na zawsze. Wiedział, jak silne są więzy pomiędzy tą wdową, a jej jedyną córką. Nie było dnia, żeby Susie nie zatelefonowała do matki, czasem więcej niż raz. Wiedział, z jakim trudem i cierpliwością zaczynał dopiero powoli rozluźniać więzy tej obsesyjnej matczynej niewoli, w której tkwiła jego żona. Teraz oddał w ręce pani Cartwright następną broń. Usłyszał w jej głosie triumf.

— Nie opowiadaj mi, z łaski swojej, o jej właściwym miejscu, Terry. W następnej kolejności zaczniesz rozprawiać o obowiązkach Susie. A co z twoimi obowiązkami wobec niej? Mówiłeś, że nie możesz po nią przyjechać, a ja nie mam zamiaru dopuścić, żeby rodziła w pociągu. Susie zostanie tutaj, dopóki nie zakończy się sprawa tego ostatniego morderstwa i dopóki nie znajdziesz czasu, żeby po nią przyjechać.

Rozmowa została przerwana. Powoli odłożył słuchawkę, ale nie odstępował od telefonu. Może Susie oddzwoni. Mógł, oczywiście, sam zatelefonować jeszcze raz, wiedział jednak z bolesnym poczuciem beznadziejności, że nie miałyby to najmniejszego sensu. Ona nie

271

!■

P. D. JAMES

przyjedzie. A potem aparat nagle zaterkotał. Rickards porwał słuchawkę i powiedział skwapliwie:

— Halo? Halo?

Ale to tylko ze sztabu operacyjnego w Hoveton dzwonił sierżant Oliphant; Rickards wywnioskował z tego wczesnego telefonu, że albo Oliphant nie położył się ani na chwilę, albo też zdążył złapać jeszcze mniej snu niż on. Jego własne cztery godziny wydały mu się teraz rozpustą.

— Naczelnik usiłuje pana złapać, panie nadkomisarzu. Powiedziałem jego

rzecznikowi prasowemu, że nie ma sensu dzwonić do pana do domu, bo pewnie jest pan właśnie w drodze.

— Będę w drodze za pięć minut Tylko nie do Hoveton, lecz do Starej Plebanii w Larksoken. Pan Dalgliesh wskazał nam interesujący trop w sprawie tych butów. Proszę na mnie czekać przed plebanią za trzy kwadranse. I niech pan lepiej od razu zadzwoni do pani Dennison. Proszę jej powiedzieć, żeby zamknęła drzwi od tyłu i aż do naszego przybycia nie wpuszczała nikogo. Niech jej pan nie spłoszy; proszę powiedzieć, że chcemy jej zadać jedno czy dwa pytania i wolimy to zrobić z samego rana, zanim zdąży z kimkolwiek porozmawiać.

Jeśli nawet nowiny wprawiły Oliphanta w podniecenie, potrafił je ukryć. Powiedział: — Ale nie zapomniał pan, panie nadkomisarzu, iż rzecznik zwołał na dziesiątą konferencję prasową? Wisiał mi już na karku Bill Starling z lokalnej rozgłośni, ale powiedziałem mu, żeby poczekał do dziesiątej. No i chyba naczelnik chciałby wiedzieć, czy zamierzamy podać do publicznej wiadomości przypuszczalny czas zgonu.

Chciał to wiedzieć nie tylko naczelnik. Byłoby im bardzo na rękę przemilczeć na razie przybliżony czas morderstwa, bo uniknęliby wówczas konieczności kategorycznego stwierdzenia, że nie mogła to być robota Świstuna. Wcześniej czy później będą jednak musieli wypłynąć na czyste wody, a kiedy dostaną do rąk raport z autopsji, trudno im będzie udzielać wykrętnych odpowiedzi na coraz bardziej natarczywe pytania dziennikarzy. Odparł: — Do czasu otrzymania raportu z autopsji nie będziemy udzielać żadnych informacji technicznych.

— Raport już mamy, panie nadkomisarzu. Doktor Maitland-Brown podrzucił go jakies

dwadzieścia minut temu, jadąc do szpitala. Wyraził ubolewanie, że nie może na pana zaczekać. Jasne, że wyraził, pomyślał Rickards. Ale nie powiedział nic ponadto; Maitland-Brown nie miał zwyczaju plotkować z niższymi funkcjonariuszami. — Nie było powodu, żeby musiał czekać — od-

272

INTRYGII I ŻĄDZE

rzekł. — Wszystko, co nas może zainteresować, znajdziemy w raporcie. Lepiej niech go pan otworzy i przekaże mi najważniejsze sprawy.

Usłyszał stuk słuchawki, odkładanej na biurko. Nastąpiła może minuta ciszy, a potem Oliphant powiedział: — Brak śladów świeżej aktywności seksualnej. Nie została zgwałcona. Wygląda na to, że była wyjątkowo zdrową i silną kobietą, zanim ktoś nie zarzucił jej na szyję tego postronka. Po zbadaniu treści żołądka jest nieco bardziej precyzyjny w określeniu czasu zgonu, ale nie zmienia swojego pierwszego szacunku. Pomiędzy ósmą trzydzieści a dziewiątą czterdzieści pięć; jeżeli postawimy na dziewiątą dwadzieścia, nie zgłosi zastrzeżeń. No i nie była w ciąży, panie nadkomisarzu.

— W porządku, sierzancie. Za czterdzieści pięć minut widzimy się przed Starą Plebanią. Ale niech go diabli, jeśli stawia czoło ciężkiemu dniu bez żadnego śniadania. Pospiesznie wyjął z lodówki dwa płaty wędzonki i położył je we włączonym na pełną moc opiekaczu; potem nastawił czajnik i sięgnął po kubek. Teraz jedna mocna kawa, a wędzonkę, włożoną pomiędzy dwie kromki chleba, zje w samochodzie.

Cztery minuty później, przejeżdżając przez Lydsett, pomyślał o minionym wieczorze. Nie zasugerował Dalglieshowi wspólnej wizyty na Starej Plebanii. Nie było to konieczne; jego informacje zostały sformułowane dostatecznie precyzyjnie, fatygowanie zaś komendanta z Policji Metropolitalnej w celu wskazania skrzynki używanych butów zakrawałoby na przesadę. Istniał wszakże jeszcze jeden powód. Rickards był zupełnie rad, mogąc popijać whisky Dalgliesha i zjadać jego zapiekanek, a wreszcie omawiać z nim zasadnicze punkty śledztwa. Cóż, w końcu, mieli ze sobą wspólnego oprócz zawodu? Ale to z całą pewnością nie oznaczało, że pragnął obecności Dalgliesha, kiedy zawód ten naprawdę wykonywał. Z przyjemnością złożył tę wczorajszą wizytę w wiatraku, bo nie musiał przynajmniej wracać do pustego domu; z zadowoleniem siedział przy kominku i nawet poczuł się — pod koniec wieczoru — przyjemnie zrelaksowany. Ledwie jednak stracił z Dalglieshem fizyczny kontakt, wróciły — i to z równie peszącą mocą jak przy łożu śmierci Świstuna — dawne urazy. Wiedział, że nigdy całkowicie nie pojedna się z Dalglieshem i znał powód takiego stanu rzeczy. Wystarczyło, by pomyślał o tamtym incydencie, a zalewała go fala niechęci. Incydencie sprzed dwunastu lat; wątpił, czy Dalgliesh go w ogóle pamięta. To, oczywiście, stanowiło w największym stopniu o sile urazu: że słowa, które w jego pamięci przetrwały całe lata, które wówczas go poniżyły i omal nie

18 Intrygi i żądze

273

P. D. JAMES

zniweczyły w nim całej pewności siebie, że zatem te słowa zostały wypowiedziane tak lekko i najwyraźniej tak szybko zapomniane.

Miejscem, w którym padły, był wąski dom-plomba na tyłach Edgware Road, powodem — ofiara, pięćdziesięcioletnia prostytutka. Nie żyła od tygodnia, kiedy ją znaleźli i odór w zagraconej, pozbawionej dopływu powietrza norze był tak obrzydliwy, że Rickards musiał przycisnąć do ust chusteczkę, aby powstrzymać wymioty. Jednemu z konstabli-detektywów nie dopisało aż tyle szczęścia. Rzucił się gwałtownie, żeby otworzyć okno i może by zdążył, gdyby nie było na kamień scementowane brudem. Chusteczka, trzymana przez Rickardsa przy ustach, była mokra od śliny, której nie mógł przełknąć, jak gdyby jej także udzielił się okropny smród. Leżała nago wśród butelek, pastylek, napoczętego jedzenia, leżała — odrażający glon gnijącego mięsa — zaledwie o stopę od przelewającego się nocnika, który pod koniec stał jednak za daleko. Nie on jednak był źródłem najstraszliwszego odoru. Kiedy z pokoju wyszedł patolog, Rickards zwrócił się do najbliższego konstabla i powiedział: — Rany boskie, czy nie można by usunąć tego gnoju? I wtedy głos Dalgliesha ciał ode drzwi jak bat.

— Sierzancie, właściwe słowo brzmi „ciało”. Albo, jeśli pan woli, „trup”, „zwłoki”, „ofiara”, nawet w ostateczności „nieboszczka”. Patrzy pan na kobietę. Nie była gnojem za życia i nie jest gnojem teraz.

Wciąż reagował na to wspomnienie fizycznie; odczuwał stężenie mięśni brzucha, gorącą falę gniewu. Nie powinien był, oczywiście, puścić tego płazem — zwłaszcza takiej publicznej bury, zwłaszcza bury, jakiej musiał wysłuchać w obecności konstabli. Powinien był spojrzeć aroganckiemu sukinsynowi prosto w oczy i powiedzieć, prawdę, nawet gdyby miało go to kosztować stopień.

— Ale już nie jest kobietą, prawda, panie inspektorze? Nie jest istotą ludzką. Czymże więc jest, jeśli nie jest człowiekiem?

To była krzyżująca niesprawiedliwość. Tuziny kolegów zasługiwały na taką zimną nagane, ale, na Boga, przecież nie on. Nigdy, odkąd go przeniesiono do Wydziału Kryminalnego, nie postrzegał ofiary jako pozbawionej znaczenia bryły mięsa, nigdy nie czerpał lubieżnej, na poły wstydlivej przyjemności z widoku obnażonych zwłok, nigdy — nawet na najniżej upadłe, najbardziej odrażające z ofiar — nie patrzył bez odrobiny litości a niekiedy bólu. Te słowa były kompletnie nie w jego stylu, wyrwały się z poczucia bezradności, zmęczenia po dziewiętnastogodzinnym dniu, z niemożliwej do opanowania odrazy fizycznej: Czysty pech, że dotarły do uszu Dalgliesha, którego zimny sarkazm potrafił być bardziej niszczący niż najstraszliwsze przekleń-

274

INTRYG I ŻĄDZE

stwa wykrzykiwane przez innych wyższych funkcjonariuszy. Pracowali razem jeszcze przez sześć miesięcy. Ten przypadek nie miał dalszych reperkusji. Najwyraźniej Dalgliesh był zadowolony z pracy Rickardsa, a przynajmniej nie miał powodów do krytyki. Ani też do pochwał. Był w roli przełożonego skrupulatnie poprawny i zachowywał się tak, jakby nigdy nie doszło pomiędzy nimi do spięcia. Jeśli później żałował swoich słów, nie dał temu wyrazu. Może byłby zdumiony, gdyby się dowiedział, jak gorzką, niemal obsesyjną wzbudziły niechęć. Teraz jednak po raz pierwszy Rickards zaczął się zastanawiać, czy wówczas również Dalglieshem nie powodowały wewnętrzne napięcia, czy nie szukał ulgi w goryczy słów. W końcu na krótko przedtem utracił żonę i nowo narodzone dziecko. Ale cóż to mogło mieć wspólnego z martwą prostytutką w londyńskim burdelu? Powinien się był ugryźć w język. W tym sedno. Powinien wiedzieć, jaki naprawdę jest jego podwładny. Rickards uważał za niemal paranoidalny fakt, że pamięta ten incydent tak długo i z takim gniewem. Ale przecież to świadomość, że Dalgliesh wkroczył na jego teren wywlokła go z zapomnienia. Zdarzały mu się gorsze rzeczy, przyjmował do wiadomości i zapominał dużo ostrzejszą krytykę. Tej jednak nie zapomni. Kiedy wczoraj siedział przy kominku w Wiatraku Larkso-ken — pijąc whisky Dalgliesha, niemal równy gospodarzowi rangą, nie zagrożony przezeń w swych kompetencjach — miał wrażenie, iż przeszłość można przekreślić. Teraz pojął, że to niemożliwe. Bez tego wspomnienia mogliby z Adamem Dalglieshem zostać przyjaciółmi. Szanował go, podziwiał, cenił jego sądy, nawet potrafił w jego towarzystwie czuć się dobrze. Ale — mówił sobie — nigdy nie zdoła go polubić.

6

Oliphant nie czekał w samochodzie, lecz ze skrzyżowanymi nogami wspierał się o maskę i czytał gazetę. Sprawiał wrażenie — bez wątpienia zamierzone — człowieka, który marnuje czas od przynajmniej dziesięciu minut. Kiedy podjechał Rickards, wyprostował się i podał mu gazetę, mówiąc: — Poszli na całość, panie nadkomisarzu. Zresztą można się chyba było tego spodziewać. Artykuł, wydrukowany nie na pierwszej stronie, lecz na rozkładówce, sygnowany przez reportera kryminalnego gazety, miał

275

P. D. JAMES

wielki czarny nagłówek z wykrzyknikiem: NIGDY WIĘCEJ! Rickards przeczytał: „Dowiedziałem się dzisiaj, że Neville Potter, mężczyzna zidentyfikowany jak Świstun, który w niedzielę popełnił samobójstwo w hotelu Balmoral w Easthaven, był na wczesnym etapie śledztwa przesłuchiwany przez policję i został wyeliminowany z kręgu podejrzeń. Pytanie brzmi, dlaczego. Policja znalazła typ

poszukiwanego. Samotnik. Prawdopodobnie kawaler lub rozwiedziony. Nietowarzystki. Człowiek dysponujący samochodem i wykonujący zawód związany z poruszaniem się nocą. Neville Potter był właśnie kimś takim. Gdyby aresztowano go po pierwszym przesłuchaniu, ocalałyby może cztery niewinne kobiety. Czyż nie nauczyliśmy się niczego z fiaska w sprawie Rozpruwacza z Yorkshire?"

— Zwykła bzdura — powiedział Rickards. — Ofiary płci żeńskiej są albo dziwkami, które przypuszczalnie dostają to, na co zasłużyły, albo niewinnymi kobietami.

Idąc podjazdem w stronę Starej Plebanii, pospiesznie przebiegł wzrokiem pozostałą część artykułu, w którym dziennikarz formułował teorię, że policja zbyt polega na komputerach, sprzęcie, szybkich wozach i technologii. Najwyższy czas wrócić do mundurowych na patrolu. Jaki ma sens faszerowanie komputera tą nie kończącą się masą danych, skoro przeciętny detektyw nie jest na tyle kompetentny, by rozpoznać oczywistego podejrzanego? Artykuł wyrażał wprawdzie pewne osobiste poglądy Rickardsa, ale wcale nie był przez to dla niego strawniejszy.

Rzucił gazetę Oliphantowi i zapytał: — Czy oni sobie wyobrażają, że zdołalibyśmy schwytać Świstuna, gdybyśmy na każdym skrzyżowaniu wiejskich dróg ustawili posterunkowego?

Powiedział pan pani Dennison, że przyjeżdżamy, i poprosił, żeby wcześniej nie przyjmowała żadnych gości?

— Nie sprawiła wrażenia zachwyconej, panie nadkomisarzu. Oświadczyła, że jedynymi gośćmi, których mogłaby się spodziewać, będą mieszkańcy przylądka, a skoro są jej przyjaciółmi, to nie rozumie dlaczego miałaby ich spławić. Na razie nikt się jednak nie zjawił, przynajmniej od frontu.

— Sprawdzał pan tylne drzwi?

— Kazał mi pan czekać przed plebanią, panie nadkomisarzu. Nie zachodziłem od tyłu.

Początek trudno było uznać za obiecujący. Jeśli jednak Oliphant zdołał swym zwykłym brakiem taktu nastawić panią Dennison nie-przyjaźnie, to nie dała tego po sobie poznać, kiedy otwierała im drzwi i z pełną powagą kurtuazją zapraszała do środka. Rickards znowu

276

INTRYG I ŻĄDZE

pomyślał, jak bardzo jest ładna z tą swoją delikatną staroświecką urodą, pastelową, bardzo angielską i już chyba niemodną. Nawet jej strój

— nie wszechobecne spodnie, lecz szara plisowana spódnica, takiż sweterek, nałożony na niebieską bluzkę i pojedynczy sznur pereł

— miał w sobie coś z niedzisiejszej szlachetności. Mimo jednak okazywanego opanowania była bardzo błada, a starannie umalowane różową szminką usta wydawały się na tle bezkrwistych policzków niemal jaskrawe; Rickards dostrzegł pod cienką wełną swetra nienaturalną sztywność ramion.

— Może zechciałby pan wejść do salonu, panie nadinspektorze

— powiedziała — i wyjaśnić mi łaskawie, o co w tym wszystkim chodzi. No i, jak sądzę, nie odmówicie, panowie, kawy?

— To miłe z pani strony, pani Dennison, ale obawiam się, że na kawę nie pozwoli nam brak czasu. Sądzę, że nie będziemy pani fatygować długo. Szukamy pary butów — sportowych, firmy Bumble

— które, mamy podstawy przypuszczać, mogą się znajdować w skrzyni z ciuchami na kiermasz. Chcielibyśmy ją zobaczyć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Rzuciła im szybkie spojrzenie, a potem bez słowa poprowadziła przez drzwi w końcu sieni i krótki korytarz do kolejnych, tym razem zaryglowanych drzwi. Bez trudu odciągnęła zasuwę i znaleźli się w drugim, krótszym korytarzyku, wyłożonym kamiennymi płytami, który kończył się na masywnych drzwiach, wychodzących na tyły domu. Były zabezpieczone ryglami na dole i górze.

Po obu stronach korytarzyka były także drzwi, przy czym jedno — na prawo — otwarte.

Pani Dennison wprowadziła ich do środka. — Tu właśnie trzymamy rzeczy na kiermasz —

oznajmiła. — Jak już powiedziałam przez telefon sierżantowi Oliphantowi, tylne drzwi zostały zaryglowane wczoraj po południu i nie otwierałam ich aż do tej chwili. W ciągu dnia są zwykle otwarte, tak by ktoś, kto przynosi darowiznę, nie musiał pukać.

— Co oznacza — zauważył Oliphant — że ludzie mogą nie tylko zostawiać tu rzeczy, lecz również je zabierać. Czy nie obawia się pani kradzieży?

— To jest Larksoken, panie sierżancie, nie Londyn. Pomieszczenie miało kamienną podłogę, ściany z nie otynkowanej

cegły i jedno, umieszczone wysoko okienko; pierwotnie pełniło zapewne rolę spiżarni lub składziku, jego obecna funkcja była natomiast widoczna od jednego rzutu oka. Pod ścianą stały dwie skrzynie po herbacie: tę z lewej w trzech czwartych wypełniały buty, tę z prawej zaś kłębowisko toreb, pasków i krawatów. Obok drzwi ciągnęły się

277

P. D. JAMES

dwie długie półki. Na jednej stała zbieranina najrozmaitszych przedmiotów: filiżanki, spodki, jarmarczne pamiątki, talerze płytke i głębokie, radio tranzystorowe, lampka nocna ze splekanym i brudnym abażurem. Druga półka dźwigała rząd starych, postrzępionych książek, przeważnie w broszurowych wydaniach. Na haczykach, wbitych w krawędź dolnej półki, wisiały ubrania lepszej jakości — garnitury, kurtki, sukienki, dziecięce ciuszki; do części przyszpilono już wypisane na karteluszka ceny. Oliphant może przez dwie sekundy omiatał składzik spojrzeniem, a potem obrócił uwagę na skrzynkę z butami. Wystarczyła niespełna minuta, by stwierdzić, że nie zawiera pantofli sportowych Bumble. Niemniej, obserwowany przez Rickardsa i panią Dennison, przystąpił do systematycznych poszukiwań. Najpierw wyjął każdą parę butów, przeważnie związanych sznurowadłami, a potem systematycznie ułożył je na powrót do skrzyni. Rickards wyjął z neseseru prawego Bumble'a i podał go pani Dennison. ,

— Te buty wyglądały właśnie tak. Czy pamięta pani, aby para podobnych leżała w skrzyni, a jeśli tak, to kto ją przyniósł?

Odpowiedziała bez chwili namysłu: — Nie miałam pojęcia, że nazywają się Bumble, ale tak, para takich butów leżała w skrzyni. Przyniósł je pan Lessingham z elektrowni. Poproszono go o rozdysponowanie rzeczy, pozostałych po pewnym młodzieńcu, który zabił się w Larksoken. Dwa z wiszących tam garniturów również należały do

Toby'ego Gledhilla.

— Kiedy pan Lessingham przyniósł te buty, pani Dennison?

— Nie pamiętam dokładnie, ale chyba późnym popołudniem w jakiś tydzień po śmierci pana Gledhilla — zapewne pod koniec miesiąca. Musi jednak zapytać go pan o to osobiście, panie nadinspektorze, przypuszczalnie będzie pamiętał dokładniej.

— Czy wszedł od frontu?

— Och, tak. Powiedział, że nie zostanie na herbatę, ale w salonie zamienił kilka słów z panią Copley. Potem wniósł tu walizkę z odzieżą i rozpakowaliśmy ją razem. Włożyłam buty do plastikowej torby.

— I kiedy widziała je pani po raz ostatni?

— Chyba nie potrafię sobie tego przypomnieć, panie nadinspektorze. Wpadam tu tylko od czasu do czasu, żeby wycenić niektóre sztuki odzieży i niekoniecznie zaglądam wówczas do skrzyni z butami.

— Nawet po to, by sprawdzić, co ostatnio przyniesiono?

— Robię to niekiedy, ale trudno tu mówić o jakichś regularnych inspekcjach.

— To są bardzo charakterystyczne buty, pani Dennison.

— Wiem i gdybym ostatnio szperała w skrzyni, musiałabym

278

INTRYG I ŻĄDZE

zauważyć, a nawet zwrócić uwagę, że zniknęły. Ale nie szperałam. Nie mogę zatem powiedzieć, kiedy je zabrano.

— Ile osób zna obowiązujący tu system?

— Większość mieszkańców przyłądka i ci z pracowników Larksoken, którzy regularnie dostarczają towaru. Zwykle podjeżdżają wozami w drodze do domu i czasem, jak właśnie pan

Lessingham, dzwonią do drzwi wejściowych. Niekiedy ja odbieram od nich torby z odzieżą, innym znów razem tylko mówią, że zostawią je lub zostawili w składziku. Same kiermasze odbywają się w świetlicy w Lydsett, ale Stara Plebania jest wygodnym punktem zbiórki darów; dzień czy dwa przed imprezą podjeżdża furgonetką pan Sparks albo pan Jago z „Naszego Bohatera” i zabiera wszystko do wsi.

— Ale widzę, że wyceniła już pani część towaru.

— Tylko część, panie nadinspektorze. Znamy potrzeby pewnych osób i wiemy, że miałyby ochotę kupić to czy owo jeszcze przed kiermaszem.

Sprawiła wrażenie zażenowanej i Rickards zastanawiał się, czy do beneficjentów tej zasady nie należą Copleyowie. Dobrze znał mechanizm kiermaszy kościelnych. Jego matka aktywnie uczestniczyła w dorocznych imprezach tego typu; wszyscy pomagierzy traktowali jako przywilej prawo pierwszego wyboru. Bo właściwie dlaczego miałyby być inaczej? — Czy to znaczy, że każdy z tutejszych obywateli, który — na przykład — potrzebuje ubrań dla dzieci, wie, iż może je kupić na plebanii?

Zarumieniła się; Rickards widział, że to pytanie ją zakłopotало. Odrzekła: — Mieszkańcy Lydsett zwykle czekają do kiermaszu. Nie miałyby dla nich wielkiego sensu przyjeżdżać tutaj, żeby zobaczyć, co się nam udało zebrać. Niekiedy jednak sprzedają jakieś rzeczy osobom z przylądka. Są przecież darami na fundusz kościelny i jeżeli ktoś chce je kupić wcześniej, płacąc oczywiście odpowiednią cenę, to nie widzę powodu, dla którego należałoby zrezygnować z takiej praktyki.

— A kto chce je kupować wcześniej, pani Dennison?

— Pan Blaney kupował niekiedy ubrania dla dzieci. Jedna z tweedowych marynarek pana Gledhilla była dobra na pana Copleya, więc zapłaciła za nią pani Copley. No i mniej więcej dwa tygodnie temu wpadł Neil Pascoe, żeby zobaczyć, czy nie mamy czegoś dla Tim-my'ego.

— Czy było to, zanim pan Lessingham przywiózł buty, czy też potem? — zapytał Oliphant.

— Nie pamiętam, panie sierżancie. Lepiej niech pan jego zapyta. Żadne z nas nie zaglądało wówczas do skrzyni z butami. Pana Pascoe

279

P. D. JAMES

interesowały ciepłe sweterki dla Timmy'ego. Zapłacił za dwa. Puszka z pieniędzmi stoi na półce w kuchni.

— A zatem ludzie nie obsługują się tu sami, pozostawiając po prostu pieniądze?

— Och, nie, panie nadinspektorze. Nikomu by to nie przyszło do głowy.

— A co z paskami? Czy potrafiłaby się pani zorientować, gdyby zniknął jeden z nich?

— Jak pan sobie to wyobraża? — odparła z nagłą niecierpliwością.

— Proszę tylko popatrzeć, ta skrzynka to najprawdziwsza rupieciarnia: paski, szelki, stare torebki, szaliki. Jakim cudem mogłabym się zorientować, co i kiedy stąd zniknęło?

— Czy byłaby pani zaskoczona — powiedział Oliphant — gdybyśmy powiedzieli pani, że mamy świadka, który widział buty w tej skrzyni jeszcze w minioną środę rano?

Oliphant potrafił sprawić, że nawet najprostsze i najniewinniejsze pytanie brzmiało w jego ustach jak oskarżenie. Jego gruboskórność jednak, czasami ocierająca się o arogancję, była zwykle starannie przemyślana i wiedząc, że bywa użyteczna, Rickards rzadko usiłował ją okiełznać. W końcu to właśnie Oliphant był bliski zburzenia kamiennego spokoju Aiexa Maira. Teraz wszakże powinien wziąć pod uwagę to, iż rozmawia z byłą nauczycielką. Pani Dennison omiotła go łagodnie karcącym spojrzeniem, odpowiedniejszym dla nieposłusznego dziecka.

— Nie sędzę, by słuchał pan uważnie tego, co mówiłam, panie sierżancie. Nie mam pojęcia, kiedy zabrano buty. A skoro tak, to jakże mogą być zaskoczona informacją, kiedy były widziane po raz ostatni?

— Zwróciła się do Rickardsa: — Jeśli mamy omawiać tę kwestię dalej, powinniśmy, jak sędzę, przenieść się do salonu, gdzie nie będziemy musieli tego czynić na stojąco.

Rickards miał nadzieję, że będzie tam choć odrobinę cieplej.

Przez sień zaprowadziła ich do pokoju we frontowej części domu; wychodzące na południe okna dawały widok na nierówny trawnik, a także skutecznie zasłaniającą drogę gęstwą laurów,

rododendronów i karłowatych krzewów. Pokój był wielki i niewiele cieplejszy od magazynu, z którego wyszli, ponieważ nawet najsilniejsze jesienne słońce nie było w stanie przeniknąć przez okna o małych szybkach i ciężkie aksamitne zasłony. Powietrze było lekko zgęstniałe od zapachu wosku, potpourri i aromatycznego jedzenia, przywodząc na myśl spożywane tu przed dziesiątkami lat podwieczorki; Rickards niemal się spodziewał, że usłyszy szelest krynolin.

280

INTRYG I ŻĄDZE

Pani Dennison nie zapaliła światła, a Rickards wyczuwał, że nie bardzo może ją o to prosić. W mglistym półmroku dostrzegł masywne mahoniowe meble, konsolki zastawione fotografiami, wygodne miękkie fotele w zniszczonych pokrowcach, a nade wszystko takie mnóstwo obrazów w ozdobnych ramach, że nadawały pokojowi aurę przygnębiającej i rzadko odwiedzanej prowincjonalnej galerii. Pani Dennison, obojętna może na ciemności, zdawała sobie jednak sprawę z panującego tu chłodu. Pochyliła się, by włączyć stojący w prawo od rzeźbionego kominka grzejnik elektryczny, potem usiadła tyłem do okna i gestem ukazała Rickardsowi i Oliphantowi kanapę; ramię w ramię zasiedli dostojnie na twardych, niepodatnych poduchach. Pokój z całym swym brzemieniem ciężkiego mahoni, z atmosferą pompatycznej szacowności, pomniejszał jakoś osobę gospodyni, która na swym wielkim fotelu wydawała się Rickardsowi bladą nierzeczywistą zjawą. Pomyślał o jej życiu na przylądku, w tym stojącym na pustkowiu, niemożliwym zapewne do sprawnego prowadzenia domu, zastanawiał się, czego szukała, uciekając na to smagane wiatrami wybrzeże i czy to coś znalazła.

Zapytał: — Kiedy zostało postanowione, że wielebny i pani Copley udadzą się do córki?

— W ubiegły piątek, po zamordowaniu Christine Baldwin. Córka niepokoiła się o nich już od pewnego czasu i nalegała, by przyjechali, dopiero, jednak bliskość tamtej zbrodni wpłynęła na ich decyzję. Miałam zawieźć ich do Norwich w niedzielę wieczorem na pociąg o ósmej trzydzieści.

— Czy był to fakt powszechnie znany?

— Sądzę, że mówiono o nim. Był, można by tak to ująć, powszechnie znany wśród osób, które mogły się o nim dowiedzieć. Pan Copley musiał poczynić ustalenia w związku z nabożeństwami, które zwykle odprawia. Powiedziałam pani Bryson ze sklepu, że zamiast jak zwykle, przeszło litra mleka dziennie będę brała tylko ćwierć litra. Tak, chyba był to fakt powszechnie znany.

— Dlaczego, zgodnie z planem, nie zawiozła ich pani do Norwich?

— Ponieważ zepsuł się samochód, kiedy państwo Copleyowie kończyli pakowanie. Chyba już to wyjaśniłam. Około wpół do siódmej wyprowadziłam wóz z garażu i podstawiłam pod drzwi. Wówczas był jeszcze w porządku, kiedy jednak kwadrans po siódmej załadowałam wreszcie Copleyów i byliśmy gotowi ruszać, nie chciał zapalić. Zadzwoiłam więc po pana Sparksa do Lydsett i uzgodniłam, że odwiezie ich swoją taksówką.

— Bez pani?

281

P. D. JAMES

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Oliphant wstał, podszedł do stojącej w pobliżu lampy i bez słowa ją zapalił. Na Meg Dennison spłynęło mocne światło. Przez chwilę Rickards sądził, że zaprotestuje; lekko uniosła się z fotela, a potem usiadła i podjęła jak gdyby nigdy nic: — Miałam w związku z tym wyrzuty sumienia. Czułabym się znacznie lepiej, gdybym mogła wsadzić ich do pociągu, ale pan Sparks miał zaraz potem wezwanie w Ipswich i mógł się podjąć odwiezienia Copleyów tylko pod warunkiem, że ruszy tam prosto z dworca. Ale obiecał, że będzie im towarzyszył do samego przedziału. No i, oczywiście, nie są dziećmi. Liverpool Street to stacja końcowa i miała na nich czekać córka.

Dlaczego, zastanawiał się Rickards, jest nastawiona tak defensywnie? Przecież nie może zakładać, że traktujemy ją jako poważną podejrzaną. Ale właściwie dlaczego nie? Znał bardziej nieprawdopodobnych morderców. Dostrzegał strach w dziesiątku drobnych oznak, jakich nie przegapiłby żaden doświadczony policjant: drżeniu rąk, nad którym usiłowała zapanować, gdy dostrzegła jego spojrzenie; nerwowym tiku jednego z kącików oczu; nieopanowanym wierceniu się w jednej chwili, sztucznej natomiast, wymuszonej sztywności w drugiej; napięciu,

pobrzmiwającym w głosie; nienaturalnie zuchwałej nieugiętości, jaką rezolutnie budziła w swoim wzroku, kiedy patrzył jej w oczy. Traktowane odrębnie, były znamionami zrozumiałego stresu; wszystkie razem składały się na coś bliskiego przerażeniu. Miał Dalglieshowi za złe wygłoszone wczoraj wieczorem ostrzeżenie, a jednak mogło mieć ono sens. Może ma oto do czynienia z kobietą, która przeszła przez więcej agresywnych przesłuchań, niż potrafiła znieść? Ten fakt nie zwalniał go wszakże z obowiązków służbowych.

— Zadzwoiła pani po taksówkę natychmiast? — zapytał. — Nie usiłując ustalić, co nawaliło w wozie?

— Nie było czasu na grzebanie pod maską, a zresztą jestem kiepskim mechanikiem. Nigdy nie znałam się na samochodach. Dopisało mi szczęście, że zauważyłam awarię dostatecznie wcześniej, no i jeszcze większe — że pan Sparks był akurat do dyspozycji. Przyjechał niezwłocznie. Państwo Copleyowie byli już wówczas bardzo zaniepokojeni: czekała na nich córka, wszystko zostało ustalone. Musieli zdążyć na ten pociąg.

— Gdzie zazwyczaj stoi samochód, pani Dennison?

— Chyba już panu mówiłam, panie nadinspektorze. W garażu.

— Zamkniętym?

•— Jest tam kłódka, a właściwie kłódeczka. Żadna przeszkoda, jak

282

INTRYG I ŻĄDZE

sądę, gdyby ktoś chciał się włamać, ale nikt dotąd nie próbował. Była zamknięta, kiedy poszłam po samochód.

— Trzy kwadranse przed planowanym wyjazdem.

— Tak. Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Czy to w jakiś sposób znaczące?

— Jestem po prostu ciekaw, pani Dennison. Dlaczego tak wcześniej?

— Czy musiał pan kiedykolwiek załadować do auta bagaż dwojga starszych ludzi, którzy wyjeżdżają na bezterminowy pobyt? Pomagałam pani Copley w pakowaniu, potem nie byłam jej potrzebna przez minutkę, więc pomyślałam, że to dobra okazja, żeby wyprowadzić samochód.

— Czy kiedy stał już przed domem, miała go pani cały czas w polu widzenia?

— Oczywiście, że nie. Sprawdzalam, czy Copleyowie niczego nie zapomnieli, rekapitulowałam sprawę, jakich trzeba będzie dopilnować podczas ich nieobecności — rozumie pan, parafialne, związane z koniecznością wykonania kilku telefonów i tak dalej.

— Gdzie to się działo?

— W gabinecie pana Copleya. Pani Copley była w swojej sypialni.

— A nie pilnowany samochód stał na podjeździe?

— Czy sugeruje pan, że ktoś dopuścił się sabotażu?

— Cóż, to by była zupełnie fantastyczna historia, nieprawdaż? Skąd ten pomysł?

— Pan go podsunął, panie nadinspektorze. W innym wypadku nigdy by mi nie przyszedł do głowy. I zgadzam się, jest zupełnie fantastyczny.

— Co zrobiła pani o dziewiątej czterdzieści, kiedy z „Naszego Bohatera” zadzwonił pan Jago, informując, że znaleziono zwłoki Świstuna?

— Nic już nie mogłam zrobić; Copleyowie byli wówczas od godziny w drodze. Zadzwoiłam do ich córki w londyńskim klubie i zdołałam ją złapać, zanim wyjechała na dworzec po rodziców. Oznajmiła, że skoro wszystko zostało już przygotowane, mogą pobyc u niej przynajmniej tydzień. W istocie jednak wrócą jutro po południu. Panią Duncan-Smith poproszono o zaopiekowanie się chorą przyjaciółką.

— Jeden z moich ludzi rozmawiał z panem Sparksem — powiedział Rickards. — Otóż Sparks twierdzi, że pragnąc panią upewnić, iż Copleyowie odjechali bez przygód, zadzwonił do pani przy pierwszej nadarzającej się sposobności, ale pani nie zastał. Nastąpiło to mniej

283

P. D. JAMES

więcej kwadranse po dziewiątej, wtedy zatem, gdy po raz pierwszy usiłował panią złapać pan Jago.

— Byłam zapewne w ogrodzie. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, czułam, że muszę się wynieść

z domu. A noc była bardzo piękna i jasna.

— I nie peszyła pani świadomość, że Świstun, o którego śmierci nie mogła pani jeszcze wtedy wiedzieć, hasa gdzieś na swobodzie?

— To dosyć niezwykle, panie nadinspektorze, ale Świstun nigdy nie przejmował mnie strachem. Zagrożenie wydawało się odległe, trochę nierzeczywiste.

— Czy nie oddaliła się pani poza granice ogrodu? Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nie oddaliłam się poza granice ogrodu.

— A mimo to nie słyszała pani telefonu?

— To duży ogród.

— Noc jednak była bardzo cicha, pani Dennison. Nic nie odrzekła.

— Kiedy wróciła pani z tej włóczęgi w ciemnościach? — zapytał.

— Nie nazwałabym przechadzki po ogrodzie włóczęgą w ciemnościach. Zapewne przebywałam na dworze około pół godziny. Wróciłam może pięć minut przed telefonem pana Jago.

— Kiedy natomiast dowiedziała się pani o zamordowaniu Robarts, pani Dennison? Najwyraźniej nie było już ono dla pani nowością, gdyżśmy spotkali się w Chacie Męczennicy.

— Przypuszczałam, że już pan to wie, panie nadinspektorze. Panna Mair zadzwoniła do mnie tuż po siódmej w poniedziałek rano. Sama dowiedziała się od brata jeszcze w nocy, ale nie chciała mnie niepokoić wiadomościami tak bulwersującymi.

— Czyżby — zapytał Oliphant — były to dla pani wieści naprawdę bulwersujące? Prawie pani nie znała panny Robarts. Dlaczego zatem bulwersujące?

Pani Dennison popatrzyła nań przeciągle, a potem odwróciła głowę. Powiedziała: — Skoro odczuwa pan potrzebę zadawania takich pytań, sierżancie, to czy jest pan pewien, że wykonuje właściwy zawód?

Rickards wstał. Odprowadziła ich do drzwi. Odchodzili już, kiedy z nagłym ożywieniem zwróciła się do Rickardsa: — Panie nadinspektorze, nie jestem idiotką. Te wszystkie pytania o buty...

Najwyraźniej znaleźliście na miejscu zbrodni jakiś ślad i przypuszczacie, że mógł zostać zrobiony przez mordercę. Ale zapewne buty Bumble nie są

284

INTRYG I ŻĄDZE

czymś rzadkim. Mógł je nosić ktokolwiek. Fakt, że zniknęła para Toby'ego Gledhilla, może być zwykłym zbiegiem okoliczności. Przecież niekoniecznie zabrano ją w zbrodniczym celu. Mógł je zabrać każdy, kto potrzebował butów sportowych.

Oliphant spojrział na nią z ukosa. — Och, naprawdę nie sędzę, proszę pani. Jak sama pani powiedziała chwilę temu, to jest Larksoken, nie zaś Londyn.

I wykrzywił swe grube wargi w pełnym samozadowolenia uśmiechu.

7

Rickards chciał się zobaczyć z Lessinghamem niezwłocznie, ale zaplanowana na dziesiątą konferencja prasowa oznaczała, że przesłuchanie musi poczekać; żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, telefon do Larksoken przyniósł informację, że Lessingham wziął jednodniowe zwolnienie i zostawił wiadomość, iż będzie osiągalny w swoim domu pod Blakeney. Był, na szczęście, i Oliphant bez słowa wyjaśnień umówił się z nim na południe.

Spóźnili się niespełna pięć minut, by stwierdzić z rozczarowaniem, że gospodarz niskiego domu, wzniesionego z drewna i cegły przy szosie nadbrzeżnej o milę na północ od wioski, jest nieobecny. Na drzwiach frontowych tkwiła przybita gwoździkiem kartka: „Jeśli komuś jestem potrzebny, próbować szczęścia na Czapli, cumującej w Blakeney. To dotyczy również policji”.

— Bezczelny sukinsyn — powiedział kwaśno Oliphant. I, jakby nie mogąc uwierzyć, że w ogóle bywają podejrzani aż tak złośliwie nieskłonni do współpracy, nacisnął klamkę, zajrzał do okna, a potem zniknął na tyłach domu. Po powrocie oświadczył: — Ruina. Przydałoby się chociaż parę maźnięć pędzlem. Dziwne sobie miejsce wybrał do zamieszkania. Te moczary są zimą diabło przygnębiające. Człowiek skłonny byłby sądzić, że wolałby mieć wokół siebie chociaż odrobinę życia.

Rickards prywatnie się zgadzał, że wybór Lessinghama padł na osobliwe miejsce. Dom,

sprawiający wrażenie bliźniaka, przerobionego później na jednorodzinny, jakkolwiek charakteryzował się znośnymi proporcjami i swoiście melancholijnym wdziękiem, sprawiał jednak na pierwszy rzut oka wrażenie zapuszczonego i nie zamiesz-

285

P. D. JAMES

kanego. Lessingham w końcu był inżynierem na wysokim stanowisku i przypuszczalnie nie osiadł tu z powodu ubóstwa.

Rickards stwierdził: — Zapewne chce mieć blisko do jachtu, a na tym wybrzeżu wybór portów jest lichej. W grę wchodzi albo Blakeney, albo Wells-next-the-Sea.

Kiedy wsiadali do samochodu, Oliphant smętnie obejrzał się na dom, jak gdyby ten skrywał za złuszczającą się farbą ważką tajemnicę, którą, skłoniony do tego kilkoma dziarskimi kopniakami w drzwi, niechybnie by ujawił. Zapinając pas bezpieczeństwa, mruknął: — A jak dojedziemy do portu, to znajdziemy kartkę, żeby spróbować szczęścia w pubie.

Lessingham był jednak tam, gdzie zapowiedział. Dziesięć minut później zobaczyli go na opustoszałym nabrzeżu, gdzie mając przed sobą silnik zaburtowy siedział na odwróconej skrzyni. Tuż obok cumował mierzący trzydzieści stóp długości jacht z centralnie położoną kabiną. Było oczywiste, że Lessingham nie wziął się jeszcze do roboty. Względnie czysta szmata wypadła z jego palców tak, z pozoru, niespokojnych, że nie mogły jej utrzymać; wpatrywał się w silnik wzrokiem człowieka, który zetknął się oto z problemem tyleż skomplikowanym, co nieuchwytnym. Kiedy stanęli przy nim, podniósł wzrok i Rickards doznał szoku na widok zmiany, jaka się w nim dokonała. Zdawało się, że w ciągu dwóch zaledwie dni przybyło mu dziesięć lat. Był boso, nosił wyblakły granatowy sweter i modnie wystrzępione dżinsy do kolan, ale ten nieformalny przyodziewek tylko podkreślał jego miejską bladeść, skórę opiętą na wydatnych kościach policzkowych i cienie pod głęboko osadzonymi oczyma, wyglądające jak sińce. Przecież czasem żeglujecie, pomyślał Rickards. To niezwykle, że nawet tegoroczne marne lato nie musnęło go choćby herbatnikową opalenizną.

Lessingham nie wstał, lecz powiedział bez żadnych wstępów:

— Mielicie szczęście, że udało się wam złapać mnie telefonicznie. Byłoby zbrodnią zmarnować wolny dzień pod dachem, zwłaszcza teraz. Doszedłem do wniosku, że możemy również dobrze pogadać tu, jak gdziekolwiek indziej.

— Niezupełnie—odparł Rickards. — Jakies ustronniej sze miej sce byłoby jednak lepsze.

— To jest dostatecznie ustronne. Tubylcy nie potrafią rozpoznać w panach policjantów.

Oczywiście, jeśli chcecie, bym złożył oficjalne zeznanie lub też zamierzacie mnie aresztować, preferowałbym komisariat. Wolałbym nie kalać swojego domu i łodzi. — Po chwili dodał:

— To znaczy kalać jakimiś nieprzyjemnymi sensacjami.

286

INTRYG I ŻADZE

— Dlaczego pan przypuszcza, że moglibyśmy go chcieć zaaresztować? — zapytał flegmatycznie Oliphant. — I właściwie za co? — Po chwili dodał jeszcze „proszę pana”, co w jego ustach zabrzmiało jak groźba.

Rickardsa ogarnęła "irytacja. Wykorzystywanie łatwych otwarć było bardzo w stylu sierżanta, ale ten dziecinny przedwstępny sparring nie ułatwi przecież przesłuchania. Lessingham przeciągle popatrzył na Oliphanta, rozważając z całkowitą powagą, czy pytanie wymaga odpowiedzi.

— Bóg raczy wiedzieć. Przypuszczam, że zdołalibyście coś wykombinować, panowie, gdybyście się zdrowo przyłożyli. — Potem, uświadomiwszy sobie dopiero teraz, że stoją, podniósł się na nogi i powiedział: — W porządku, wejdźmy na pokład.

Rickards nie był żeglarzem, ale odniósł wrażenie, iż jacht — zbudowany wyłącznie z drewna — jest stary. Przez środek niskiej kabiny, do której musieli wchodzić zgięci we dwoje, biegł wąski mahoniowy stół z ławkami po obu stronach. Lessingham zajął miejsce naprzeciwko dwóch policjantów; siedzieli wszyscy tak stłoczeni, że Rickards czuł zapach swoich towarzyszy, męską mieszaninę, do której powstania przyczynił się pot, rozgrzana wełna, piwo i płyn po goleniu Oliphanta. Trudno było sobie wyobrazić gorsze miejsce do przesłuchiwanie podejrzanego;

Rickards, gardząc sobą za tę myśl, zastanawiał się, czy Dalgliesh nie zorganizowałby tego lepiej. Czuł przy sobie masywne cielsko Oliphanta, który dotykał jego nogi nienaturalnie ciepłym udem, i z trudem opanował odruch, by się odsunąć.

— Czy to pańska łódź? — zapytał. — Ta, na której żeglował pan w zeszłą niedzielę?

— Nie żeglowałem, panie nadinspektorze, bo przeważnie był za słaby wiatr. Ale, tak, to moja łódź i byłem na niej w minioną niedzielę.

— Chyba uszkodził pan kadłub. Na prawej burcie jest długa rysa o świeżym wyglądzie.

— Bystro pan to zauważył; otarłem się o wieżę ciśnień w pobliżu elektrowni. Nieuwaga. Znam te wody jak własną kieszeń. Gdyby zjawił się pan dwie godziny później, byłaby zamalowana.

— I nadal utrzymuje pan, że ani przez chwilę nie miał w polu widzenia plaży, na której panna Robarts wzięła swoją ostatnią kąpiel?

— Zadawał mi pan to pytanie już w poniedziałek. Zależy, co ma pan na myśli, mówiąc „w polu widzenia”. Dostrzegłbym plażę przez lornetkę, gdybym popatrzył w tamtym kierunku, potwierdzam jednak, że nie zbliżyłem się do niej na dystans mniejszy niż pół mili i że nie lądowałem. To uważam za rozstrzygające, skoro nie mógłbym jej

287

P. D. JAMES

zamordować, nie stanąwszy uprzednio na brzegu. Wątpię jednak, by pofatygowali się panowie aż tutaj tylko po to, by ponownie zapoznać się z moim alibi.

Rickards z trudem wsunął ramię pod stół, wciągnął na ławkę swój neseser, wyjął z niego parę butów sportowych Bumble i starannie ustawił jena stole. Nie spuszczał oka z twarzy gospodarza.

Lessingham błyskawicznie wziął się w garść, nie zdołał jednak zapobiec wytrzeszczowi oczu i nerwowemu tikowi mięśni wokół ust. Buty — dziewicze, nowe, szaro-białe, z małymi symbolami pszczoły na piętach — zdominowały, z pozoru, całą kabinę. Oliphant je wszakże zignorował.

— Był pan jednak na południe od wież ciśnień — powiedział. — Rysa jest na sterborcie. A zatem musiał pan płynąć na północ, kiedy jej się pan dorobił.

— Zawróciłem jakichś pięćdziesiąt jardów za wieżami. Elektrownia miała być, wedle moich zamierzeń, najdalszym punktem rejsu.

— Buty, proszę pana — powiedział Rickards. — Czy widział pan kiedykolwiek taką parę?

— Oczywiście, to buty Bumble. Nie wszystkich na nie stać, ale widział je prawie każdy.

— Czy widział je pan na nogach jakiegokolwiek pracownika Larksoken?

— Tak. Miał takie Toby Gledhill. Kiedy popełnił samobójstwo, jego rodzice prosili, bym rozdysponował pozostały po nim dobytek. Nie było tego wiele, Toby nie obciążał się rzeczami.

Para garniturów, spodnie, kurtki, pół tuzina par butów. Były wśród nich takie. Prawie zupełnie nowe. Kupił je dziesięć dni przed śmiercią i założył tylko raz.

— I co pan z nimi zrobił, proszę pana?

— Spakowałem całą jego odzież i zaniósłem na Starą Plebanię, gdzie zbiera się rzeczy na kiermasz kościelny. Copleyowie przeznaczyli do tego mały składzik na tyłach domu. Od czasu do czasu doktor Mair zamieszcza na tablicy ogłoszeń apel, by ci z pracowników, którzy mają zbędne rzeczy, odnosili je na Starą Plebanię. To element kampanii, zmierzającej do wskazania, że stanowimy część tutejszej społeczności, jesteśmy sobie na przylądku jedną szczęśliwą rodziną. Może nie zawsze chodzimy do kościoła, ale okazujemy dobrą wolę, odziewając sprawiedliwych w nasze stare ciuchy.

— Kiedy zawiózł pan ubrania Toby'ego Gledhilla na Starą Plebanię?

— Nie pamiętam dokładnie, ale chyba jakieś dwa tygodnie po jego śmierci. Tuż przed weekendem, jak sądzę. Przypuszczalnie był to piątek dwudziestego szóstego sierpnia. Może pani Dennison będzie

288

.INTRYGI I ŻĄDZE

pamiętać. Wątpię, czy warto pytać panią Copley, jakkolwiek się z nią wtedy widziałem.

— A więc przekazał pan rzeczy pani Dennison?

— Właśnie. Zazwyczaj drzwi od tyłu są za dnia otwarte i można po prostu podrzucić rzeczy, ale

tym razem doszedłem do wniosku, że winienem wręczyć je formalnie. Nie byłem całkowicie pewien, czy zostaną przyjęte. Niektóre osoby bywają przesadne, jeśli chodzi o kupowanie ubrań po niedawno zmarłych. No i zwalenie ich tak, po prostu, wydało mi się... cóż, niewłaściwe.

— I co wydarzyło się na Starej Plebanii?

— Niewiele. Otworzyła mi pani Dennison i zaprosiła do salonu. Była tam pani Copley, wyjaśniłem jej więc powód swojej wizyty. Wybąkała wówczas kilka zwykłych bezsensownych banałów na temat śmierci Toby'ego, a pani Dennison zapytała, czy nie napiłbym się herbaty. Odmówiłem i w ślad za nią poszedłem do magazynu, gdzie składowane są rzeczy. Jest tam duża skrzynia, przeznaczona na buty. Wrzuca się do niej po prostu pary związane sznurowadłami. Rzeczy Toby'ego przyniosłem w walizce i rozpakowywaliśmy ją razem z panią Dennison. Oświadczyła, że garnitury są za dobre na kiermasz i spytała, czy nie zgłoszę zastrzeżeń, jeśli sprzeda je osobno, przeznaczając, rzecz jasna, uzyskane pieniądze na fundusz kościelny. Uznała, że w ten sposób dostanie lepszą cenę. Odniosłem wrażenie, że zastanawia się, czy jedna z kurtek nie byłaby odpowiednia na pana Copleya. Odparłem, że może sobie robić, co zechce.

— A co z butami sportowymi? Czy zostały wrzucone do skrzyni razem z innymi?

— Tak, ale w plastikowej torbie. Pani Dennison powiedziała, iż są w zbyt dobrym stanie, aby ryzykować, że się pobrudzą od innych. Wyszła więc i przyniosła torbę. Chyba nie bardzo wiedziała, co począć z garniturami, zaproponowałem więc, że zostawię walizkę. W końcu też należała do Toby'ego. Również mogła iść na kiermasz. Ziemia do ziemi, prochy do prochów, ciuchy do ciuchów. Byłem rad, mogąc to mieć z głowy.

— Oczywiście czytałem o samobójstwie doktora Gledhilla — powiedział Rickards. — Musiało to być szczególnie bolesne dla pana, naocznego świadka. Opisywano go jako błyskotliwego młodego człowieka o wielkiej przyszłości.

— Był twórczym naukowcem. Mair potwierdzi, jeśli ma to dla pana jakiegokolwiek znaczenie. Oczywiście, bez względu na to, co mówią humaniści, każda dobrze uprawiana nauka jest twórcza, ale bywają naukowcy obdarzeni geniuszem, nie zaś zaledwie talentem, mający tę

19 Intrygi i żądze

289

P. D. JAMES

specjalną wizję, natchnienie oprócz niezbędnej cierpliwej skrupulatności. Ktoś to nieźle opisał, choć nie bardzo pamiętam kto. My, większość z nas, powoli, w męce, posuwamy się do przodu jard za jardem; oni skaczą ze spadochronem za liniami nieprzyjaciela. Toby był młody, miał dopiero dwadzieścia cztery lata. Mógł osiągnąć wszystko.

Rickards pomyślał: Wszystko albo nic, jak większość tych młodych geniuszy. Przedwczesna śmierć obdarza zwykle krótką zastępczą nieśmiertelnością. Nie znał ani jednego młodego detektywa, który po przypadkowym zgonie nie zostałby natychmiast okrzyknięty potencjalnym naczelnikiem policji. Zapytał: Co właściwie robił w elektrowni? Na czym polegała jego praca?

— Współdziałał z Mairem w badaniach nad bezpieczeństwem. Najkrócej mówiąc, chodzi o zachowanie rdzenia w anormalnych warunkach. Toby nigdy o tym ze mną nie dyskutował, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że nie pojąłbym skomplikowanych kodów komputerowych. Jestem tylko cholernym durnym inżynierem. Mair zamierza opublikować studium przed objęciem tej nowej funkcji, o której się mówi; uczyni to, bez wątpienia, sygnując pracę dwoma nazwiskami i przyznając współautorowi należne zasługi. Wszystko, co pozostanie po Tobym, to właśnie nazwisko, umieszczone pod nazwiskiem Maira w nagłówku rozprawy naukowej.

Z jego głosu przebijało bezgraniczne znużenie. Spojrzał w stronę drzwi i drgnął, jakby zamierzał wyjść z tej klaustrofobicznej kabiny na świeże powietrze. Potem, wciąż nie spuszczać oczu z drzwi, powiedział: — Nie będę nawet usiłował wytłumaczyć panom Toby'ego, bo nic byście z tego nie zrozumieli. Naraziłbym tylko siebie i was na stratę czasu.

— Jest pan tego zdumiewająco pewny, panie Lessingham.

— Jestem pewny i to bardzo pewny. A powodów tego stanu rzeczy nie potrafię wyjaśnić, unikając sformułowań dla panów obraźliwych. Zachowajmy tedy maksymalną prostotę, trzymajmy się faktów. Był więc człowiekiem wyjątkowym. Mądrym, dobrym, pięknym. Jeśli znajdujemy jedną z tych cech w istocie ludzkiej, możemy mówić o szczęściu; jeżeli odnajdujemy wszystkie trzy na raz,

mamy do czynienia z kimś niezwykłym. Kochałem go. Wiedział o tym, bo mu powiedziałem. On mnie nie kochał i nie był homoseksualistą. Nie, żeby to miało panów obchodzić. Mówię o tym, ponieważ było faktem, a wy ponoć operujecie faktami; ponadto — skoro upieracie się, by okazywać zainteresowanie jego osobą — nie zaszkodzi, jeśli ujrzycie go we właściwym świetle. Jest jeszcze jeden powód. Najwyraźniej szukacie

290

INTRYGII I ŻĄDZE

wszelkich brudów, jakie można wygrzebać. Wolę zatem, żebyście poznali fakty z moich ust niż plotki z ust innych.

— A więc nie miał pan z nim stosunków seksualnych? — zapytał Rickards.

Nagle powietrze rozdarł wściekły jazgot, a o bulaje zabębniły białe skrzydła. Zapewne na zewnątrz ktoś karmił mewy.

Lessingham poderwał się, jakby ten hałas był dla niego czymś nowym. Potem z powrotem opadł na ławkę i powiedział raczej ze znużeniem niż z gniewem: — A co to, do cholery, ma wspólnego z zabójstwem Hilary Robarts?

— Być może nic, w którym to przypadku wszystkie te informacje zachowają charakter konfidencyjny. Pozwoli pan jednak, że na tym etapie to ja będę decydował, co jest istotne, a co nie.

— Spędziliśmy ze sobą noc dwa tygodnie przed jego śmiercią. Jak powiedziałem, był miły. Pierwszą i ostatnią.

— Czy ten fakt jest ogólnie znany?

— Nie informowaliśmy o nim przez lokalną rozgłośnię radiową, nie pisaliśmy w lokalnej prasie i nie wywiesiliśmy ogłoszenia w kantynie pracowniczej. Oczywiście, że nie był ogólnie znany, bo dlaczego, u diabła, miałby być?

— Czy którykolwiek z was przejąłby się, gdyby było inaczej?

— Tak, ja bym się przejął, przejęlibyśmy się obaj. Tak samo, jak pan, gdyby zaczęto publicznie nicować pańskie życie seksualne. Oczywiście, że przejęlibyśmy się. Po jego śmierci rzecz przestała być obiektem mojej troski. O śmierci przyjaciela można powiedzieć jedno: uwalnia człowieka od wielu spraw, które uważał za ważne.

Uwalnia, pozwalając na co? — pomyślał Rickards. Na morderstwo, ten obrazoburczy akt protestu i wyzwania, ten jeden krok przez nie oznaczoną i nie strzeżoną granicę, który — skoro już zostanie uczyniony — na zawsze odsuwa człowieka od reszty jego gatunku? Postanowił jednak ominąć narzucające się pytanie.

Zamiast tego spytał: — Jaką miał rodzinę? — Brzmiało to tak banalnie i nijako, jakby obojętnie obgadywali wspólnego znajomego.

— Miał ojca i matkę. Taką właśnie rodzinę. Czy jest jeszcze jakiś inny rodzaj?

Ale Rickards był zdecydowany okazywać cierpliwość. Nie przychodziło mu to łatwo, umiał ednak rozpoznać ból, gdy jego naprężone i nagie ścięgna podtykano mu pod oczy. Powiedział łagodnie:

— Chodzi mi o ogólne warunki domowe. Czy miał rodzeństwo?

— Jego ojciec jest proboszczem wiejskim. Matka żoną proboszcza wiejskiego. Był jedynakiem. Jego śmierć omal rodziców nie zniszczyła.

291

P. D. JAMES

Gdybyśmy mogli przedstawić ją jako nieszczęśliwy wypadek, zrobilibyśmy to. Gdyby pomogły coś kłamstwa, łąałbym jak najęty. Dlaczego, do cholery, się nie utopił? W ten sposób pozostawiłby im chociaż margines na wątpliwości. Czy o to panu chodziło?

— Jest to istotne dla uzyskania pełniejszego obrazu. — Urwał a potem, prawie beznamiętnie, zadał krytyczne pytanie: — Czy Hilary Robarts wiedziała, że spędził pan noc z Tobiaszem Gledhillem?

— A jakież to może mieć...? W porządku, wasza praca polega na grzebaniu się w brudach. Znam tę metodę. Trałujecie wszystko, co wam wpada w sieci, a potem odrzucacie to, czego nie możecie wykorzystać. W trakcie tej zabawy poznajecie wiele tajemnic, do których nie macie szczególnego

prawa, i sprawiacie wiele cierpień. Czy was to bawi? Czy to was właśnie podkręca?

— Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie, proszę pana.

— Tak, Hilary wiedziała. Dowiedziała się dzięki jednemu z tych zbiegów okoliczności, których prawdopodobieństwo, kiedy zaistnieją, wydaje się mniejsze niż jeden do miliona, a które jednak w prawdziwym życiu nie są ani tak niezwykle, ani tak zdumiewające. Przejeżdżała obok mojego domu, kiedyśmy o wpół do ósmej rano wychodzili z niego z Tobym. Wzięła wówczas wolny dzień i zapewne wybierając się dokądś, wyruszyła wcześniej. Nie ma sensu pytać mnie, dokąd, bo nie mam pdjęcia. Przypuszczam, że jak większość ludzi, miała przyjaciół, których odwiedzała od czasu do czasu. To znaczy, ktoś tam, gdzieś, musiał ją lubić.

— Czy o tym spotkaniu rozmawiała kiedykolwiek z panem bądź też kimś, kogo pan zna?

— Nie uczyniła tej sprawy własnością publiczną. Zapewne uznała ją za zbyt piękną perłę, aby cisnąć przed wieprze. Uwielbiała władzę, a to z pewnością dawało jej jakąś władzę. Przejeżdżając obok nas, zwolniła prawie do zera i popatrzyła mi w oczy. Doskonale pamiętam, co wyrażał jej wzrok: rozbawienie, które najpierw ustąpiło miejsca wzdargdzie, a potem triumfowi. Zrozumieliśmy się doskonale. Niemniej później nie usłyszałem od niej na ten temat ani jednego słowa.

— Czy może zatem rozmawiała z Tobym Gledhillem?

— Och tak, rozmawiała, a jakże. Dlatego właśnie popełnił samobójstwo.

— Skąd pan wie, że z nim rozmawiała? Powiedział panu o tym.

— Nie.

— Sugeruje pan, że go szantażowała?

— Sugeruję, że był nieszczęśliwy, zdezorientowany, niepewny każdego aspektu swego życia — badań, przeszłości, seksualizmu.

292

INTRYG I ŻĄDZE

Wiem, że pociągała go seksualnie. Pragnął jej. Była jedną z tych dominujących, silnych fizycznie kobiet, które pociągają mężczyzn tak wrażliwych, jak Toby. Sądzę, że o tym wiedziała i potrafiła to wykorzystać. Nie mam pojęcia, jak go dopadła i co mu powiedziała, ale jestem cholernie pewien, że gdyby nie Hilary Robarts, żyłby do dziś. A jeśli myślicie, że to mi daje motyw do zabójstwa, macie stuprocentową rację. Ale jej nie zabiłem, a skoro tak, to nie znajdziecie żadnych dowodów, że było inaczej. Jakaś częśćka mnie, bardzo mała częśćka, odczuwa żal z powodu jej śmierci. Nie lubiłem jej i nie sądzę, by była kobietą szczęśliwą, a nawet szczególnie wartościową. Była jednak zdrowa, inteligentna i młoda. Śmierć powinna być zarezerwowana dla starych, chorych i znużonych. Odczuwam w tej kwestii lekki przyływ *lacrimae rerum**. Widać zasmuca nas nawet śmierć nieprzyjaciół, a przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy w określonym stanie ducha. Co jednak nie znaczy, że chciałbym, aby została przywrócona życiu. Możliwe jednak, że jestem uprzedzony, nawet niesprawiedliwy. Kiedy Toby był szczęśliwy, nikt nie potrafił dorównać mu w radości. Ogarnięty smutkiem, zapadał w swe własne prywatne piekło. Może zdołałaby tam do niego dotrzeć, może zdołałaby mu pomóc. Wiem, że ja bym nie potrafił. Trudno pocieszać przyjaciela, podejrzewając, że widzi w twoich zabiegach sztuczkę, aby go zwabić do łóżka.

— Był pan uderzająco szczery — powiedział Rickards — sugerując swój ewentualny motyw. Ale nie przedstawił pan nawet okrucza konkretnego dowodu na poparcie teorii, że za śmierć Toby'ego Gledhilla w jakiś sposób odpowiada Hilary Robarts.

Lessingham spojrział mu prosto w oczy, zamyślił się, a potem odrzekł: — Skoro zabrnąłem tak daleko, mogę chyba opowiedzieć całą resztę. Odezwał się do mnie, idąc na spotkanie ze śmiercią. Powiedział: „Przełącz Hilary, że nie musi się już przejmować. Dokonałem wyboru”. Zaraz potem zobaczyłem, jak wspina się na suwnicę. Stanąwszy na szczycie, balansował przez chwilę, a potem rzucił się głową w dół na reaktor. Chciał, żebym widział, jak umiera i widziałem, jak umiera.

— Symboliczna ofiara — zauważył Oliphant.

— Przerazającymu bogu atomu? Przypuszczałem, że któryś z panów może powiedzieć coś takiego, sierżancie. Bo tak właśnie wyglądały typowe wulgarne reakcje, opierające się na interpretacji zbyt gruboskórnej i zbyt aktorskiej. A wszystkim, czego pragnął Toby, było, na miłość boską, jak najszybciej skrócić sobie kark. — Urwał, zadumał się

* Z Wergiliusza (Eneida, 462): „Sunt lacrimae rerum et mentem mortalia tangunt” (Są łzy rzeczy — i wzrusza człowieczy ból łona, przeł. T. Kuryłowski), przyp. tłum.

293

P. D. JAMES

na chwilę, a wreszcie podjął: — Samobójstwo to niezwykle fenomen. Rezultat jest nieodwracalny. Unicestwienie. Koniec wszelkich wyborów. A przecież czynnik stanowiący ostateczny impuls bywa tak trywialny. Drobne niepowodzenie, chwilowa depresja, stan pogody, nawet niesmaczny obiad. Czy Toby Gledhill by zginął, gdyby poprzednią noc spędził ze mną, nie zaś samotnie? Jeśli był wtedy samotny.

— Chce pan powiedzieć, że nie był?

— Nie istniały dowody potwierdzające którąkolwiek z tych wersji i nigdy ich już nie będzie. Ale, w końcu, znamioną cechą tamtego śledztwa był fakt, że nie zdołało dostarczyć dowodów w żadnej sprawie. Samą śmierć widziało trzech świadków: ja i jeszcze dwie inne osoby. Nikogo nie było w pobliżu Toby'ego, nikt go nie pchnął, nie mógł to być nieszczęśliwy wypadek. Ani ja, ani ktokolwiek inny nie zeznawał na temat stanu jego psychiki. Można by powiedzieć, że było to śledztwo przeprowadzone naukowo. Kategorycznie trzymało się faktów.

— A gdzie, pańskim zdaniem, spędził ostatnią noc przed śmiercią?

— zapytał cicho Oliphant.

— Z nią.

— Co pan ma na poparcie tego stwierdzenia?

— Niczego, co by uwzględnił sąd. Po prostu dzwoniłem do niego trzykrotnie pomiędzy dziewiątą a północą i nie odebrał ani razu.

— I nie wspominał pan o tym policji czy koronerowi?

— Wręcz przeciwnie. Zapytano mnie, kiedy widziałem go po raz ostatni. Było to w kantynie, dzień przed śmiercią. Wspominałem o swoich późniejszych telefonach, ale nikt nie uznał tego za istotne. Bo niby dlaczego miałby uznać? Czego dowodziły? Mógł wyjść na spacer. Mógł nie podnosić słuchawki. Jego śmierci nie otaczała żadna tajemnica. A teraz, jeśli nie macie, panowie, zastrzeżeń, chciałbym się stąd zabrać i przystąpić do czyszczenia tego cholernego silnika.

W milczeniu wracali do samochodu. Potem Rickards powiedział:

— Arogancki sukinsyn, nieprawdaż? Wyłożył swoje poglądy z brutalną otwartością. Nie ma sensu wyjaśniać czegokolwiek policji. Nie chce używać obraźliwych określeń. Jesteśmy zbyt tępi, ignorancy i niewrażliwi, aby pojąć, że naukowiec niekoniecznie musi być technokratą bez wyobraźni, że można ubolewać nad śmiercią kobiety, nie życząc jej przy tym zmartwychwstania i że atrakcyjny seksualnie chłopak może być gotów sypiać z przedstawicielami obojga płci.

Oliphant stwierdził: — Mógł to zrobić, jeśli wykorzystywał silnik na pełnych obrotach. Przybił do brzegu dalej na północ od miejsca,

294

INTRYG I ŻĄDZE

gdzie pływała, i szedł poniżej linii przyływu. W przeciwnym razie znaleźlibyśmy ślady.

Przeprowadzono bardzo dokładne poszukiwania, panie nadkomisarzu, przynajmniej milę w każdym kierunku. Zidentyfikowaliśmy ślady pana Dalgliesha, ale poza nimi w górnej części plaży nie było nic.

— O, tak, musiał uważać. Ale mógł bez problemu wylądować pontonem na kamienistym gruncie. Niektóre odcinki plaży są w całości pokryte kamykami, a wąskie łachy piasku da się bez trudu przeskoczyć.

— A co z ruinami umocnień, tymi bryłami betonu? Trudno by było podejść blisko brzegu, na północ od miejsca zbrodni, przynajmniej gdzieś w promieniu krótkiego marszu.

— Ostatnio ryzykancko żeglował, prawda? Jest ta rysa w części dziobowej. Nie potrafi udowodnić, że otarł się o wieżę. Ale na jakim luzie o tym mówił! Spokójniutko oświadcza, że gdybyśmy przyjechali godzinę później, to by zdążył ją zamalować. Nie żeby mu to cokolwiek pomogło] ślad nadal byłby widoczny. W porządku, więc udaje mu się podejść do brzegu najbliżej, jak można — powiedzmy, sto jardów na północ od miejsca, gdzie została znaleziona — a potem

dociera po kamieniach do zagajnika i kryje się pośród drzew. Albo też ładuje na ponton składany rower i ładuje w bezpieczniejszej odległości. Nie mógł podczas przyływu jechać po plaży, ale byłby zupełnie bezpieczny na szosie nadbrzeżnej, gdyby nie używał świateł. Wraca na łódź i korzystając z ostatnich chwil przyływu, cumuje w Blakeney. Nóż i buty nie stanowią żadnego problemu: ciska je za burtę. Przeszukamy jacht — za jego zgodą, oczywiście — no i chcę, żeby ktoś samotnie odbył tę trasę. Jeśli wśród naszych chłopców jest jakiś doświadczony żeglarz, użyjemy jego, jeśli nie — weźmiemy któregoś z miejscowych. Sprawdzimy czas co do minuty. I powinniśmy pogadać z poławiaczami krabów, mieszkającymi w stronę Cromer. Któryś mógł być w morzu tej nocy i widzieć jego łódź.

— Jakże to uprzejme z jego strony, panie nadkomisarzu — powiedział Oliphant — że podał nam swój motyw na talerzu.

— Aż tak uprzejmie, że wciąż się zastanawiam, czy nie jest to zasłona dymna dla czegoś, czego nam nie powiedział.

Kiedy jednak Rickards zapinał pas bezpieczeństwa, przyszła mu do głowy inna możliwość. Lessingham milczał na temat swojego związku z Tobym Gledhillem, dopóki nie padło pytanie o buty sportowe Bumble. Musiał wiedzieć — jakżeby inaczej? — że jeszcze silniej wiązały one morderstwo z mieszkańcami przylądka, a w szczególności ze Starą Plebanią. Czy ta jego nagła otwartość nie wynikała przypad-

295

P. D. JAMES

kiem w mniejszym stopniu z potrzeby wyznań, w większym natomiast ze świadomej chęci odwrócenia podejrzeń od kogoś innego? A jeśli tak, zastanawiał się Rickards, to który z podejrzanych mógł go, wedle największego prawdopodobieństwa, skłonić do tego ekscentrycznego aktu galanterii?

8

W czwartek rano Dalglish pojechał do Lydsett, żeby zrobić zakupy w wiejskim sklepie. Jego ciotka zaopatrywała się tutaj we wszystkie podstawowe towary, on zaś kontynuował tę praktykę po części — jak wiedział — po to, by uspokoić dotkliwie wyrzuty sumienia, że ma, chociażby chwilowo, drugi dom. Wieśniacy wcale nie byli weekendowiczom niechętni, jakkolwiek ich domy stały puste przez większą część roku, a i wkład niedzielnych gości w życie społeczne wsi był minimalny, woleli jednak, gdy ci przyjeżdżając nie mieli bagażników wyładowanych dobrami z Harrodsa czy Fortnuma i Masona.

Poza tym robienie zakupów u Brysonów w ich narożnym sklepie nie wymagało szczególnej ofiarności. Był to zaopatrzony w dzwonek nad drzwiami bezpretensjonalny wiejski sklep wielobranżowy, który

— jak dowodziły wiktoriańskie białe-czarne fotografie miejscowości

— z zewnątrz nie zmienił się prawie wcale w ciągu minionych stu dwudziestu lat. W środku jednak przez ostatnie cztery lata zmienił się bardziej niż w przeciągu całej swojej dotychczasowej historii. Czy to ze względu na coraz większą liczbę domów letnich, czy też bardziej wyrafinowane gusta miejscowych obywateli, proponował teraz świeże makarony, spory wybór serów francuskich i angielskich, droższe gatunki marmolad i musztard, obfitość delikatesów i — jak informowała wywieszka — dostarczane codziennie świeże rogaliki.

Wjechawszy w boczną uliczkę, Dalglish musiał ominąć oparty o krawężnik stary masywny rower z przymocowanym do bagażnika dużym wiklinowym koszem, kiedy zaś wszedł do sklepu, zobaczył, że Ryan Blaney właśnie kończy zakupy. Pani Bryson podliczyła, jednocześnie pakując do toreb, trzy spore bochny chleba, pudełka cukru, kartony mleka i rozmaitość puszek. Blaney posłał Dalglishowi spojrzenie swych przekrwionych oczu, lekko skinął głową i wyszedł.

296

INTRYGI I ŻĄDZE

Wciąż nie ma furgonetki, pomyślał Dalglish, obserwując, jak Blaney przekłada do kosza zawartość jednej z toreb, dwie natomiast pozostałe wieszka na kierownicy. Pani Bryson obdarzyła Dalglisha zachęcającym uśmiechem, ale nic nie powiedziała. Była sklepikarką zbyt roztropną, aby

zarabiać sobie na famę plotkarki bądź też zbyt otwarcie angażować się w lokalne kontrowersje, Dalgliesh jednak wyczuwał, że atmosferę przesycą jej nie wypowiedziane współczucie dla Blaneya, którego jednak źródła nie potrafił, jako policjant, precyzyjnie zlokalizować. Rickards i jego ludzie wypytywali na pewno wieśniaków o mieszkańców przylądka, Blaneya w szczególności, i być może nie okazywali się przy tym dość taktowni.

Pięć minut później zatrzymał auto przy bramie, zagrządzającej drogę na przylądek. Po przeciwnej stronie, na nasypie oddzielającym wąską szosę od zarosłego trzciną kanału, siedział włóczęga. Był brodaty i nosił kraciatą tweedową czapkę, spod której dwa staranne kucyki przewiązanych gumkami mocnych siwych włosów spadały prawie na ramiona. Spożywał jabłko, które kroił nożem o krótkiej rękojeści, wrzucając następnie plastry do ust. Jego długie nogi w grubych welwetowych spodniach były szeroko rozrzucone, jak gdyby pragnął wyeksponować parę czarno-szaro-białych butów sportowych, których widoczna nowość pozostawała w jaskrawym kontraście z resztą przyodziewku. Dalgliesh zamknął bramę, a potem podszedł do włóczęgi i spojrzął w jego jasne inteligentne oczy, osadzone w ściągniętej ogorzalej twarzy. Jeśli istotnie był włóczęgą, to przenikliwość tego pierwszego spojrzenia, aura pewnej siebie niezależności, jaką roztaczał, a wreszcie fakt, że jego dość delikatne dłonie były zupełnie czyste, czyniły go włóczęgą doprawdy niezwykłym. Z drugiej jednak strony obfitość ekwipunku wykluczała prawdopodobieństwo, że jest przypadkowym wędrowcem. Jego kurtka koloru khaki, wyglądająca na wojskowy demobil, była ściągnięta szerokim skórzanym pasem, z którego na sznurku zwieszał się emaliowany kubek, mały rondel i patelnia. Obok niego leżał na ziemi niewielki, lecz solidnie nabity plecak.

— Dzień dobry — powiedział Dalgliesh, — Proszę wybaczyć, jeśli moje pytanie zakrawa na impertynencję, ale skąd pan wzięł te buty?

Głos, który udzielił odpowiedzi, był głosem człowieka wykształconego, starannie modulowanym głosem kogoś, pomyślał Dalgliesh, kto mógł być w przeszłości nauczycielem.

— Nie zamierza pan, mam nadzieję, oznajmić, że jest ich właścicielem. Byłbym niepokieszony, gdyby nasza znajomość, jakkolwiek

297

P. D. JAMES

siłą rzeczy przelotna, rozpoczęła się od dyskusji na temat prawa własności.

— Nie, nie są moje. Po prostu zastanawiałem się, od jak dawna należą do pana.

Mężczyzna skończył jeść jabłko. Przez ramię cisnął skórkę do rowu, oczyścił o trawę ostrze swojego scyzoryka, który następnie z uwagą wsunął do kieszeni. Rzekł: — Niech mi wolno będzie zapytać, czy zainteresowanie pańskie bierze się z... proszę wybaczyć... nieu-miarkowanego i nagannego wścibstwa, niczym nie uzasadnionej podejrzliwości wobec pokrewnej sobie istoty ludzkiej czy też chęci nabycia podobnej pary obuwia? Bo obawiam się, że w tym ostatnim przypadku nie będę panu pomocny.

— Nic z tych rzeczy. Ale pytanie jest ważne i nie wynika ani z bezczelności, ani z podejrzliwości.

— Jakkolwiek, proszę pana, nie zostało zadane ani w sposób szczery, ani bezpośredni. A tak przy okazji, nazywam się Jonah.

— Adam Dalgliesh.

— A zatem, Adamie Dalgliesh, niechże mi pan poda jeden dobry powód, dla którego miałbym na pańskie pytanie udzielić odpowiedzi, a natychmiast ją pan otrzyma.

Dalgliesh zamyślił się przez moment. Istniała teoretyczna możliwość, że ma oto przed sobą mordercę Hilary Robarts, w gruncie rzeczy jednak ani przez chwilę w nią nie wierzył. Rickards, poczuwając się może do obowiązku złożenia mu krótkiego meldunku, zadzwonił wczoraj z informacją, że pantofli Bumble nie ma już w skrzyni z butami. Nie oznaczało to wcale, że wzięł je włóczęga bądź też, że jest to ta sama para. Powiedział: — W niedzielę wieczorem na plaży uduszono dziewczynę. Jeśli ostatnio znalazł pan te buty lub je otrzymał, albo też w niedzielę chodził w nich po przylądku, policja musi o tym wiedzieć. Znalaziono wyraźny ślad. Jest ważne, by go zidentyfikować choćby w celu wyeliminowania z kręgu podejrzeń osoby, która je miała na nogach.

— Przynajmniej to zostało postawione jasno. Mówi pan jak policjant i z ubolewaniem przyjąłbym

do wiadomości, że jest nim pan istotnie.

— Nie prowadzę tej sprawy, lecz jestem policjantem i wiem, że tutejszy Wydział Kryminalny poszukuje pary butów sportowych Bumble.

— A to właśnie, jak rozumiem, są buty sportowe Bumble. Myślałem o nich raczej w kategorii butów jako takich.

— Jedyna etykiетка z nazwą jest pod językiem. Na tym polega

298

INTRYG I ŻĄDZE

strategia rynkowa firmy. Pantofle Bumble mają być rozpoznawane mimo braku natrętnie eksponowanej nazwy. Jeśli jednak są to Bumble, mają na piętach żółte pszczoły.

Jonah nic nie odrzekł, ale nagłym dziarskim ruchem wyrzucił stopy do góry, potrzymał je tak przez chwilę, a potem opuścił na ziemię.

Milczeli obaj, a potem Jonah zapytał: —• Chce mi pan powiedzieć, że mam na nogach buty mordercy?

— Istnieje pewna, ale tylko pewna możliwość, że nosił je w chwili śmierci dziewczyny. Czy teraz zdaje pan sobie sprawę z ich znaczenia?

— Bez wątpienia zostanie mi ono uświadomione jeśli nie przez pana, to innego przedstawiciela pańskiej branży.

— Czy słyszał pan o Świstunie z Norfolk?

— To jakiś miejscowy ptak?

— Morderca masowy.

— I te buty należą do niego?

— On nie żyje. To ostatnie zabójstwo usiłowano przypisać właśnie jemu. Czy chce pan powiedzieć, że nigdy o nim nie słyszał?

— Czasem miewam do czynienia z prasą, zwłaszcza kiedy potrzebuję gazety do innych niż lektura, bardziej przyziemnych celów. W pojemnikach na śmieci jest tego mnóstwo. Rzadko je czytuję, bo tylko utwierdzają mnie w przekonaniu, że ten świat nie jęst dla mnie. Wygląda na to, że przegapiłem tego pańskiego posłańca śmierci, Świstuna. — Urwał, a potem dodał: — I co mam teraz począć? Rozumiem, że jestem w pańskich rękach.

— Jak powiedziałem — odparł Dalgliesh — nie ja prowadzę tę sprawę. Jestem z Policji Metropolitalnej. Gdyby jednak zechciał mi pan towarzyszyć, mógłbym wezwać telefonicznie funkcjonariusza kierującego dochodzeniem. To niedaleko. Mieszkam w Wiatraku Larksoken, na przylądku. Poza tym mogę przynajmniej zaproponować, by zamienił pan swoje buty na jedne z moich. Jesteśmy podobnego wzrostu, zapewne znajdziemy jakąś odpowiednią parę.

Jonah zaskakująco zwinnie zerwał się na nogi. W drodze do samochodu Dalgliesh powiedział: — Wprawdzie nie mam prawa pana indagować, proszę jednak zaspokoić moją ciekawość. Jak wszedł pan w ich posiadanie?

— Zostałem nimi obdarowany... nierozmyślnie, należałoby dodać. .. w nocy z niedzieli na poniedziałek. Dotarłem na przylądek po zmroku i skierowałem się do mojej tradycyjnej w tych stronach kryjówki. Jest nią na poły przysypany ziemią bunkier w pobliżu klifu. „Schron bojowy”, tak brzmi chyba oficjalnie stosowana nazwa. Przypuszczam, że wie pan, o czym mówię.

299

P. D. JAMES

— Tak. Niezbyt zdrowe, skłonny jestem sądzić, miejsce na nocny wypoczynek.

— Bez wątpienia, sypiałem w lepszych. Zaleca się jednak kameralnością. Przylądek nie leży na trasach uczęszczanych przez innych wędrowców. Zwykle wpadam tu raz do roku i zatrzymuję się na dzień lub dwa. Schron daje doskonałą osłonę przed kaprysmi atmosferycznymi, a ponieważ szczelina okienna jest zwrócona ku morzu, mogę rozniecić tam małe ognisko, nie obawiając się wykrycia. Wszystkie śmieci usuwam na bok i konsekwentnie je ignoruję. Jest to zasada, którą i panu bym rekomendował.

— Udał się pan wprost do schronu?

— Nie. Swoim zwyczajem wpadłem najpierw na Starą Plebanię. Mieszkające tam wiekowe

małżeństwo z reguły pozwala mi życzliwie skorzystać z kranu. Chciałem napęłnić bidon. Tak się jednak złożyło, że w domu nie było nikogo. W oknach parteru paliły się wprawdzie światła, ale nikt nie zareagował na dzwonek.

— Czy pamięta pan, która to mogła być godzina?

— Nie posiadam zegarka, a nie przywiązuję wielkiej wagi do upływu czasu pomiędzy zachodem a wschodem słońca. Przechodząc jednak przez wioskę, zauważyłem, iż zegar na kościele Św.

Andrzeja wskazuje ósmą trzydzieści. Byłem zatem na Starej Plebanii kwadrans po dziewiątej, może troszkę później.

— I co pan zrobił?

— Wiedząc, że przy garażu jest kran zewnętrzny, pozwoliłem sobie napęłnić bidon bez błogosławieństwa gospodarzy. Trudno sobie wyobrazić, by poskapili mi czystej wody.

— Czy widział pan samochód?

— Stał na podjeździe. Garaż był otwarty, ale — jak powiadam — nie widziałem żywej duszy.

Później udałem się wprost do kryjóWKi. Byłem już wówczas niezmiernie strudzony. Napęłłem się wody, zjadłem skórkę chleba i nieco sera, a następnie położyłem się spać. Buty ciśnięto przez drzwi bunkra gdzieś w ciągu nocy.

— Ciśnięto, nie zaś wstawiono? — zapytał Dalgliesh.

— Tak sobie wyobrażam. Każdy, kto by wszedł do bunkra, na pewno by mnie zauważył. Jest znacznie bardziej prawdopodobne, że je wrzucono. W zeszłym tygodniu przed pewnym kościołem w Ipswich przeczytałem następującą maksymę: „Bóg daje każdemu ptaszkowi jego robaczka, lecz nie ciska go na oślep do gniazda”. Tym razem, najwyraźniej, uczynił wyjątek.

— I nie obudził pana hałas ich upadku? To dość ciężkie buty.

— Wciąż mówi pan jak policjant. W niedzielę przeszedłem pieszo

300

INTRYGII 1 ŻĄDZE

dwadzieścia mil. Mam czyste sumienie i mocny sen. Obudziłem się bez wątpienia, gdyby wylądowały mi na głowie. A tak znalazłem je dopiero nazajutrz obok siebie. —: Ustawione?

— Ależ nie. Po przebudzeniu przewróciłem się z lewego boku na wznak, poczułem coś twardego pod plecami i zapaliłem zapałkę. Tym, co mnie uwierało, był jeden z butów. Drugi znalazłem obok swoich nóg.

— Nie były związane?

— Gdyby były, mój szanowny panie, to miałbym raczej niewielkie szanse znaleźć jeden z nich pod karkiem, drugi zaś w okolicy stóp.

— Czy ta cała historia nie obudziła w panu ciekawości? W końcu buty były praktycznie nowe, a takie rzadko się wyrzuca.

— Oczywiście, że byłem ciekaw. W przeciwieństwie jednak do przedstawicieli pańskiego zawodu nie odczuwam obsesyjnej potrzeby znajdowania wyjaśnień. Nie przyszło mi też do głowy, że mam obowiązek poszukania właściciela bądź odniesienia butów na najbliższy posterunek policji.

Powątpiewam, czy podziękowano by mi tam za fatygę. Przyjąłem tedy z wdzięcznością ów dar Boga czy losu. Moje stare buty dobiegały już kresu swojego żywota. Znajdzie je pan w bunkrze.

— I założył pan te.

— Nie od razu. Były zbyt wilgotne. Zaczekałem aż wyschną.

— Wilgotne w niektórych miejscach czy w całości?

— Wilgotne w całości. Ktoś je wymył bardzo starannie, przypuszczalnie trzymając pod kranem.

— Albo wchodząc w nich do morza.

— Obwąchałem je. Nie pachniały słoną wodą.

— Potrafi pan to stwierdzić?

— Mój drogi panie, ja korzystam ze swoich zmysłów. Szczególną wrażliwością charakteryzuje się nos. Potrafię odróżnić wodę morską od kranowej. Po zapachu ziemi umiem określić, w jakim jestem hrabstwie.

Na skrzyżowaniu Dalgliesh skręcił w lewo i ukazały się przed nim strzeliste białe śmigły wiatraka. Przez kilka chwil jechali w zgodnym milczeniu.

Potem Jonah powiedział: — Ma pan może prawo wiedzieć, jakiego to człowieka zaprasza pod swój dach. Jestem otóż współczesnym obibokiem, utrzymywanym przez rodzinę. Wiem, że pierwotnie takich jak ja zsyłano do kolonii, obecnie jednak — po pierwsze — są bardziej wybredni w wyborze ewentualnych kandydatów, po wtóre zaś roz-

301

P. D. JAMES

stanie z zapachami i barwami angielskiej prowincji nie bardzo by mi odpowiadało. Mój brat, wzór cnót obywatelskich i wybitny członek swej społeczności, rokrocznie przelewa na moje konto tysiąc funtów, czyniąc to pod warunkiem, że nigdy nie wprawię go w zażenowanie swoją bliską obecnością. Interdykt, mógłbym uściślić, dotyczy miasta, w którym sprawuje urząd burmistrza, skoro jednak wespół ze swymi urbanistami pozbawił je resztek niegdysiejszego wdzięku, wykreśliłem ów gród ze swego rozkładu jazdy bez najmniejszego żalu. Brat mój jest niestrudzony w czynieniu dobra i, jak pan widzi, także ja zaliczam się do grona beneficjentów jego dobroczynności. Został też słusznie uhonorowany przez Jej Królewską Mość Orderem Imperium Brytyjskiego, i nie jest to z pewnością szczyt jego ambicji.

— Pański brat wykręcił się tanim kosztem — zauważył Dalgliesh.

— Czy osobiście byłby pan skłonny zapłacić więcej za zagwarantowanie sobie mojej stałej nieobecności?

— Ależ nie. Wnioskuje po prostu, że jest to suma, która ma pozwolić utrzymać się panu na powierzchni, i zastanawiam się, jak pan tego potrafi dokonać. Tysiąc funtów w roli regularnie wypłacanej łapówki to sporo, w roli jednak kwoty, mającej wystarczyć na całoroczne utrzymanie, to z pewnością zbyt mało.

— Oddając bratu sprawiedliwość, muszę stwierdzić, że chętnie podniósłby mi uposażenie w zgodzie z obowiązującym współczynnikiem indeksacji płac. Ma niemal obsesyjne poczucie biurokratycznej obowiązkowości. Oświadczyłem mu jednak, że dwadzieścia funtów tygodniowo to w istocie więcej, niż potrzebuję. Proszę zważyć, że nie mam domu, nie płacę rat, czynszu, nie ponoszę wydatków związanych z elektrycznością, ogrzewaniem, telefonem czy samochodem. Nie truję ani swego ciała, ani środowiska. Człowiek, który nie potrafi wyżywić się za trzy funty dziennie, jest albo niewolnikiem nieumiarkowanych potrzeb, albo też osobą kompletnie pozbawioną inicjatywy. Hinduski wieśniak potraktowałby taką sumę jako zawrotną.

— Hinduski wieśniak miałby mniej problemów z zapewnieniem sobie ciepła. Zimy są na pewno ciężkie.

— Sroga zima jest istotnie próbą wytrzymałości. Wszelako nie narzekam. W zimie jestem zawsze najzdrowszy. No i zapałki są tanie. Nigdy nie opanowałem tych harcerskich sztuczek z lupą i pocieraniem drewniek. Szczęśliwie znam pół tuzina farmerów, którzy pozwalają mi sypiać w stodołach. Wiedzą, że nie palę, jestem schludny i rankiem odchodzę. Nie powinno się jednak nadużywać dobroci. Ludzka dobroć przypomina zepsyty kran: na początek strumień tryska z imponującą mocą, ale rychło wysycha. Mam swoją całoroczną trasę i to

302

INTRYG I ŻĄDZE

też ich pokrzepia. Na farmie, odległej stąd o dwadzieścia mil na północ, już niebawem będą mówić: „Czy to nie pora, kiedy zwykle wpada do nas Jonah?” Witają mnie z ulgą raczej niż pobłażaniem. Jeśli ja nadal żyję, żyją również oni. I nigdy nie żebrze. Propozycja kupna jest znacznie bardziej efektywna. Słowa: „Czy moglibyście mi sprzedać dwa jajka i ćwierć litra mleka”, wypowiedziane u drzwi farmy, owocują zwykle — pod warunkiem brzęknięcia monetą — sześcioma jajkami i pół litrem mleka. Niekoniecznie pierwszej świeżości, ale przecież hojność bliźnich ma swoje granice.

— A książki? — zapytał Dalgliesh.

— Ach, proszę pana, z tym bywa istotnie problem. Klasykę mogę studiować w czytelniach publicznych, jakkolwiek konieczność przerwania lektury i podjęcia wędrowki bywa niekiedy irytująca. Co do reszty, to polegam na używanych wydaniach broszurowych, które nabywam w ulicznych kramikach. Jest może dwóch kramarzy, którzy zwracają pieniądze bądź zamieniają przeczytaną książkę na inną. To niezwykle tania odmiana wypożyczalni publicznej. Odzież znów to

przede wszystkim kiermasze kościelne i te użyteczne sklepy z demobilem wojskowym.

— Od jak dawna prowadzi pan takie życie? — zapytał Dalglish.

— Od bez mała dwudziestu lat, proszę pana. Większość włóczęgów to ludzie godni politowania, ponieważ są niewolnikami swych namiętności, przeważnie do alkoholu. Człowiek wolny od wszystkich ludzkich żądź prócz potrzeby jedzenia, snu i ruchu, jest wolny prawdziwie.

— Nie do końca — zauważył Dalglish. — Ma pan najwyraźniej konto bankowe i jest uzależniony od tego tysiąca funtów.-

— Zgoda. Czy jednak sądzi pan, że moja wolność byłaby pełniejsza, gdybym go nie brał?

— Może byłby pan bardziej niezależny. Może musiałby pan pracować.

— Nie nadaję się do pracy, a żebranię uważam za haniebną. Na szczęście Pan nie pozwolił szczepnąć swej bezbronnej owieczce. Byłbym niepokieszony, gdybym pozbawił brata satysfakcji czynienia dobra. Fakt, dysponuję kontem bankowym, aby móc przejąć moje doroczne kieszonkowe — i do tego stopnia sięga mój konformizm. Skoro jednak cały mój dochód zależy od braku osobistych kontaktów z bratem, trudno wyobrazić sobie inne rozwiązanie: ponadto moja książeczka czekowa i towarzysząca jej plastikowa płytką mają zgoła cudowny wpływ na policjantów, gdy ci — jak to się niekiedy zdarza — okazują bezczelne zainteresowanie moimi poczynaniami. Nie miałem pojęcia,

303

P. D. JAMES

że kawałek plastiku jest aż tak skutecznym gwarantem szacowności właściciela.

Dalglish zapytał: — Żadnych luksusów? Żadnych dodatkowych potrzeb? Alkohol? Kobiety?

— Jeśli mówiąc o kobietach ma pan na myśli seks, moja odpowiedź brzmi „nie”. Ja uciekam, proszę pana, od alkoholu i od kobiet.

— A zatem od czegoś pan ucieka. Mógłbym wygłosić tezę, że uciekinier nigdy nie jest całkowicie wolny.

— A ja mógłbym zapytać, przed czym pan uciekł na ten pusty przylądek. Bo jeśli przed przemocą, związaną z pańskim zawodem, to okazał się pan wyjątkowym pechowcem.

— I teraz ta sama przemoc otarła się o pańskie życie. Bardzo mi przykro.

— Szkoda fatygi. Człowiek, który obcuje z naturą, jest przyzwyczajony do przemocy i zaprzyjaźniony ze śmiercią. W angielskim żywopłocie* jest więcej przemocy niż w najparszywszej dzielnicy wielkiego miasta.

Kiedy dotarli do wiatraka, Dalglish zadzwonił do Rickardsa. Nie zastał go w sztabie operacyjnym, był tam jednak Oliphant, który oświadczył, że przyjedzie niezwłocznie. Potem Dalglish zaprowadził Jonaha na górę, gdzie dokonali przeglądu pół tuzina par butów, zabranych przez Dalglisha na urlop. Nie było problemu z rozmiarem, ale Jonach przymierzył wszystkie i przed dokonaniem wyboru drobiazgowo obejrzał każdy pantofel. Dalglisha kusiło, by powiedzieć, że życie w prostocie i wyrzeczeniach nie zepsuło w gościu oka do dobrej skóry. Z niejakim żalem skonstatował, że wybór padł na jego ulubione i najdroższe buty.

Jonah przespacerował się po sypialni, z zadowoleniem spoglądając na własne stopy. — Chyba nie mogłem zawrzeć lepszej transakcji —■ powiedział. — Te sportowe cuda pojawiły się w odpowiednim momencie, ale nie bardzo nadają się do poważnego maszerowania i zamierzałem je zamienić na coś odpowiedniejszego przy pierwszej nadarzącej się okazji. Prawa włóczęgi są nieliczne, proste, ale imperatywne. Polecam je panu. Dbaj o dobrą perystaltykę; kap się raz w tygodniu; noś na ciało bawełnę lub wełnę, natomiast na nogach — skórę.

Piętnaście minut później Jonah zatonął w fotelu i trzymając w dłoni kubek kawy, z satysfakcją spoglądał na swe stopy. Oliphant, w towarzystwie jedynie kierowcy, przybył błyskawicznie. Wkroczył do

* Żywopłoty są w Anglii sadzone wokół pól; pełnią rolę miedzy, przyp. tłum.

304

INTRYGI I ŻĄDZE

pokoju, wnosząc ze sobą aurę samczej groźby i władczości. Zanim jeszcze Dalglish zdołał dokonać prezentacji, powiedział do Jonaha:

— Musiał pan wiedzieć, że nie ma prawa do tych butów. Są nowe.

Słyszeliśmy kiedyś o kradzieży przez znalezienie?

— Jedna chwila, sierżancie — wtrącił Dalgliesh i, odciągawszy Oliphanta na stronę, powiedział cicho: — Proszę traktować pana Jonaha grzeczniej. — I, zanim Oliphant zdążył zaprotestować, dodał: — W porządku, powiem to sam, oszczędzając panu fatygi. To nie jest moja sprawa. Ale on jest gościem w moim domu. Gdyby w poniedziałek pańscy ludzie uważniej przeszukali przylądek, zaoszczędziłoby to zakłopotania wszystkim nam trzem.

— Ale trzeba go traktować jako poważnego podejrzanego, panie komendancie. Miał buty.

— Ma również nóż — powiedział Dalgliesh — i przyznaje, że w niedzielę wieczorem przebywał na przylądku. Niech go pan zatem traktuje jako poważnego ze wszech miar podejrzanego, jeśli zdoła pan znaleźć jakiś motyw i dowód, że wiedział o metodach Świstuna, a choćby fakcie jego istnienia. Ale dlaczego nie wysłucha pan jego wersji, zanim pochopnie uzna go za winowajcę? Oliphant odrzekł: — Winny czy nie, panie Dalgliesh, jest ważnym świadkiem. Nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy puścić go wolno.

— Ja zaś nie wyobrażam sobie, jak, zgodnie z prawem, moglibyście go zatrzymać. Ale to już pański problem, sierżancie.

Kilka minut później Oliphant prowadził Jonaha w stronę wozu. Dalgliesh również wyszedł rzed dom. Jonah, zanim zajął miejsce z tyłu, odwrócił się do niego.

— Dzień, w którym pana spotkałem, nie był dla mnie fortunny, Adamie Dalgliesh.

— Być może jednak był fortunnym dniem dla sprawiedliwości.

— Och, sprawiedliwość. A zatem w tej branży pan działa? Chyba zabrał się pan za nią zbyt późno. Nasza planeta gna ku zagładzie. Może ostateczny zmrok sprowadzi tamten betonowy silos na skraju zatrutego morza. Jeśli nie odbierze mu palmy pierwszeństwa jakieś inne szaleństwo człowieka. Zawsze nadchodzi taki moment, kiedy każdy naukowiec, nawet Bóg, musi spisać na straty jeden swój eksperyment. Ach, widzę na pańskiej twarzy niejaką ulgę. Myśli pan sobie: „Okazuje się, że ten osobliwy włóczęga jest szaleńcem. Nie muszę już brać go poważnie”.

— Moja dusza zgadza się z panem — odparł Dalgliesh. — Moje geny są bardziej optymistyczne.

— Doskonale pan o tym wie. Wszyscy o tym wiemy. Bo jakże

20 Intrygi i żądze

305

P. D. JAMES

inaczej można wyjaśnić tę współczesną chorobę ludzkości? A kiedy zapadnie ten ostateczny zmrok, umrę tak, jak żyłem, w najbliższym suchym rowie. — Potem uśmiechnął się z rozbrajającą słodyczą i dodał: — Mając na nogach pańskie buty, Adamie Dalgliesh.

9

Spotkanie z Jonahem pozostawiło uczucie dziwnego niepokoju. Dalgliesh wciąż miał w wiatraku masę zadań, a jednak nie był skłonny ztrzeć się z którymkolwiek z nich. Instynkt podpowiadał mu, by wsiąść do jaguara i jechać bardzo szybko i daleko. Próbował jednak tej sztuczki zbyt często, aby nie stracić resztek wiary w jej skuteczność. Wiatrak wciąż będzie stał po jego powrocie, żaden z problemów nie rozwiąże się sam. Bez trudu rozpoznawał źródło swego stanu ducha: frustrujące zaangażowanie w sprawę, od której, chociaż nigdy nie będzie jego sprawą, nie potrafi się jednak zdystansować. Przypomniawszy sobie słowa wypowiedziane przez Rickardsa, kiedy się rozstawali w noc morderstwa: „Może nie chce się pan w to mieszać, panie Dalgliesh, ale już pan jest wmieszany. Może pan żałować, że się znalazł w pobliżu zwłok, ale żal w niczym nie zmienia faktu, że pan przy nich był”.

Chyba coś bardzo podobnego powiedział sam pewnemu podejrzanemu w jednej z własnych spraw. Zaczynał teraz rozumieć, dlaczego zostało to tak źle przyjęte. Powodowany impulsem, odryglował drzwi wiatraka i po drabinach wspiął się na poddasze. Tu, jak podejrzewał, znajdowała spokój jego ciotka. Może i on odnajdzie go chociaż odrobinę. Nadzieja ta rychło okazała się złudna.

Kiedy spoglądał na przylądek z południowego okna, w polu widzenia pojawił się rowerzysta, zrazu, z powodu nadmiernej odległości, anonimowy; potem Dalgliesh rozpoznał w nim Neila Pascoe. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, lecz — jak większość mieszkańców przylądka — znali się z

widzenia. Pascoe, pochylony nad kierownicą, zdawał się pedałowac z przyciężką determinacją. Kiedy jednak znalazł się w pobliżu wiatraka, zahamował nagle, spuścił nogi na ziemię, zagapił się na wiatrak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, a potem zsiadł z roweru i prowadząc go po piaszczystym, zakrzaczonym terenie, ruszył pieszo.

306

INTRYG I ŻĄDZE

Przez sekundę Dalgliesha kusilo, żeby nie przyznawać się, iż jest w domu. Potem uzmysłowił sobie, że jaguar stoi zaparkowany obok wiatraka, a i jego własna twarz mogła zostać przez gościa dostrzeżona w oknie. Jakikolwiek powód sprowadzał Neila Pascoe, zanosilo się na to, że nie zdoła uniknąć jego odwiedzin. Podeszedł do okna nad drzwiami, otworzył je i zawołał: — Mnie pan szuka?

Pytanie było retoryczne. Kogóż innego mógł się spodziewać Pascoe w Wiatraku Larksoken? Spoglądając w dół na uniesioną twarz z rzadką sterczącą bródką, Dalgliesh dostrzegł dziwacznie pomniejszoną i skarłałą, bezradną, dość żalną postać, która kurczowo trzymała się roweru, jakby miał jej zapewnić opiekę.

Pascoe krzyknął przekrzykując wiatr: — Czy mógłbym z panem pomówić?

Uczciwa odpowiedź brzmiałaby: „Skoro pan musi”, Dalgliesh jednak doszedł do wniosku, że wykrzyczana — bo tylko w taki sposób mogła dojść do stojącego na dole przybysza — zabrzmiałaby niegrzecznie. Nie siląc się zatem na dobywanie głosu, powiedział:

— Schodzę.

Pascoe wsparł rower o ścianę wiatraka i w ślad za Dalglieshem podążył do salonu.

— Nie spotkaliśmy się dotąd — powiedział — ale przypuszczam, że pan o mnie słyszał. Jestem Neil Pascoe z przyczepy. Wybacz pan, że nachodzę, kiedy zapewne chciałby pan mieć trochę spokoju.

— Mówił jak zakłopotany komiwojazer, który usiłuje przekonać potencjalnego klienta, że nie jest hochsztaplerem.

Tym razem Dalgliesh doznał pokusy, by odpowiedzieć: „Może i miałbym ochotę na trochę spokoju, ale wygląda na to, że będę musiał obejść się smakiem”. Zapytał: — Kawy?

Pascoe, zgodnie z przewidywaniem, oświadczył: — Jeśli nie sprawi to panu zbyt wielkiego kłopotu.

— Nie ma sprawy. Myślałem, czyby nie zaparzyć dla siebie. Poszli razem do kuchni i kiedy Dalgliesh mełł ziarna i nastawiał

czajnik, Pascoe stał w drzwiach, wspierając się o ościeżnicę w nieprzekonująco swobodnej pozie. Dalgliesha uderzyła myśl, że od kiedy zamieszkał w wiatraku, spędza masę czasu przygotowując nieproszonym gościom jadło i napitek. Kiedy młynek przestał hałasować, Pascoe powiedział niemal gwałtownie: — Muszę z panem pomówić.

— Jeśli na temat morderstwa, to właściwym rozmówcą jest nadinspektor Rickards. Ja nie prowadzę tej sprawy.

— Ale znalazł pan zwłoki.

— Co w pewnych okolicznościach czyniąc mnie podejrzanym, nie

307

P. D. JAMES

daje mi prawa do zawodowego ingerowania w śledztwo, prowadzone przez innego funkcjonariusza na terenie pozostającym poza moją jurysdykcją. Powtarzam: nie ja prowadzę dochodzenie. Zresztą pan o tym wie, bo nie jest głupcem.

Pascoe nie spuszczał oczu z parzącej się kawy. Powiedział: — Wcale nie liczyłem, że będzie pan zachwycony moją wizytą. Nie przyjechałbym jednak, gdybym mógł porozmawiać z kimś innym. Ale są sprawy, o których nie mogę dyskutować z Amy.

— A więc zgoda, tylko proszę nie zapominać, z kim pan ma do czynienia.

— Z policjantem. To coś w rodzaju kapłaństwa, prawda? Służba, która nigdy się nie kończy.

Kiedy człowiek raz zostaje kapłanem, jest nim już zawsze.

— To naprawdę w niczym nie przypomina kapłaństwa. Żadnej tajemnicy spowiedzi i żadnych

rozgrzeszeń. Właśnie o tym usiłuję pana przekonać.

Nie mówili już nic więcej, dopóki Dalglish nie zaniósł do salonu dwóch kubków z zaparzoną kawą. Usiedli po obu stronach kominka. Pascoe przyjął kubek, ale wydawało się, że nie bardzo wie, co ma z nim robić. Przez chwilę, nie usiłując pić, obracał go w dłoniach i wpatrywał się w kawę. Po chwili powiedział: — Chodzi o Toby'ego Gledhilla, tego chłopca... cóż, w gruncie rzeczy był chłopcem... który w elektrowni popełnił samobójstwo.

— Słyszałem o Tobym Gledhillu — odparł Dalglish.

— A więc spodziewam się, że pan wie, jak zginął. Skoczył na pokrywę reaktora i skreślił sobie kark. Było to w piątek, dwunastego sierpnia. Dwa dni wcześniej, w środę, przyszedł do mnie około ósmej wieczorem. Byłem w przyczepie sam; Amy pojechała furgonetką do Norwich na zakupy, potem chciała iść do kina i zapowiedziała, że wróci późno. Ja opiekowałem się Timmym. Wtedy zapukano do drzwi i zobaczyłem jego. Znałem go, rzecz jasna. A przynajmniej wiedziałem, kim jest. Widziałem go podczas jednego czy dwóch dni otwartych, jakie organizują w elektrowni. Zwykle staram się na nich bywać. Nie mogą mi zabronić, a mam okazję zadać jakieś kłopotliwe pytanie, które torpeduje ich propagandę. I zdaje mi się, że uczestniczył w niektórych spotkaniach na temat tego nowego reaktora ciśnieniowo-wodnego. Ale, rzecz jasna, nigdyśmy się osobiście nie poznali. Nie miałem pojęcia, czego ode mnie chce, ale zaprosiłem go do środka i poczęstowałem piwem. Rozpaliłem piecyk, bo trzeba było podsuszyć masę popranych łaszków Timmy'ego, tak że w przyczepie zrobiło się piekielnie gorąco i wilgotno. Kiedy przypominam sobie tamten

308

INTRYG I ŻĄDZE

wieczór, widzę Toby'ego Gledhilla przez kłęby pary. Po piwie zapytał, czy nie moglibyśmy wyjść na dwór. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, przyczepa przyprawiała go o klaustrofobię i kilka razy pytał, kiedy spodziewam się powrotu Amy. No więc wyjąłem Timmy'ego z łóżeczka, wsadziłem go do nosidla i poszliśmy brzegiem w kierunku północnym. Dopiero gdyśmy byli na wysokości ruin opactwa, zdradził mi cel swojej wizyty. Wyrzucił to z siebie bez obsłonek, bez żadnego wstępu. Doszedł do wniosku, że energia nuklearna jest niebezpieczna i dopóki nie rozwiążemy problemu odpadów radioaktywnych, nie powinniśmy budować żadnych więcej elektrowni jądrowych. Użył przy tym dość dziwnego określenia. „Niesie nie tylko niebezpieczeństwo — powiedział. — Niesie również zgniliznę”.

— Czy wyjaśnił, dlaczego doszedł do takiego wniosku? — zapytał Dalglish.

— To w nim chyba narastało od wielu miesięcy, a Czarnobyl postawił kropkę nad i. No i powiedział, że zdarzyło się ostatnio coś jeszcze, co pozwoliło mu podjąć decyzję. Nie zdradził co, ale obiecał, że mi powie, tylko najpierw musi wszystko przemyśleć. Zapytałem, czy zamierza po prostu zrezygnować z pracy, czy też gotów jest nam pomóc. Odparł, że chciałby pomóc, bo rzucenie pracy to za mało. Była to dla niego trudna decyzja, zdaję sobie sprawę, jak trudna. Podziwiał i lubił swoich kolegów. Powiedział, że to oddani nauce i bardzo inteligentni ludzie, którzy wierzą w to, co robią. On już po prostu przestał wierzyć. Nie myślał o przyszłości, a przynajmniej nie potrafił wyobrazić jej sobie wyraziście. Był taki, jak ja teraz: chciał tylko o tym wszystkim porozmawiać. Chyba uznał mnie za naturalnego partnera. Oczywiście, wiedział o SPEN-ie. — Spojrzał na Dalglisha i wyjaśnił naiwnie: — To skrót od „Społeczeństwo Przeciwno Energii Nuklearnej”. Kiedy padło hasło budowy nowego reaktora, sformowałem niewielką miejscową grupę, by się jej przeciwstawić. To znaczy grupę zwykłych, zatroskanych tutejszych obywateli, nie zaś jedną z tych ogólnokrajowych organizacji. Nie było to łatwe. Większość ludzi po prostu udaje, że elektrowni tak naprawdę nie ma. Dla innych jest ona dobrodziejstwem, bo daje pracę, dostarcza klientom sklepom i pubom. Tak czy inaczej, sprzeciw wobec nowego reaktora nie szedł głównie stąd; angażowali się członkowie Przyjaciół Ziemi, Greenpeace. Jasne, byli przez nas mile widziani. To oni dysponują ciężką artylerią. Ale pomyślałem sobie, że to ważne, aby działało się coś na poziomie lokalnym no i chyba nie mam natury człowieka, który się przykleja. Lubię działać na własną rękę.

309

P. D. JAMES

Dalgliesh stwierdził: — I Gledhill byłby dla pana zdobyczą nie lada. — Implikacja tych słów była prawie brutalna.

Pascoe oblał się rumieńcem, a potem spojrział Dalglieshowi w oczy. — I taki aspekt wchodził w grę. Chyba natychmiast zdałem sobie z tego sprawę. Nie byłem taki całkiem bezinteresowny. To znaczy, wiedziałem, jak byłoby ważne, gdybym go pozyskał. No i pochlebiało mi, że najpierw zgłosił się do mnie. Bo SPEN w gruncie rzeczy wiele nie zdziałał. Nawet ten skrót był błędem. Chciałem czegoś, co ludzie łatwo zapamiętają, ale SPEN... śmiechu warte. Wiem, co pan myśli: że lepiej przysłużyłbym się sprawie, przystępując do jednej z istniejących grup nacisku, zamiast ulegać podszeptom egoizmu. Ma pan słuszność.

— Czy Gledhill wspominał o swoich ewentualnych rozmowach z innymi osobami z elektrowni?
— zapytał Dalgliesh.

— Powiedział, że na razie z nikim nie rozmawiał. Sądzę, że tego obawiał się najbardziej. Szczególnie brzydził się myślą o zakomunikowaniu swojej decyzji Milesowi Lessinghamowi. Rozgadał się, kiedyś-' my tak wędrowali po plaży, to mu chyba przynosiło ulgę. Powiedział, że Lessingham go kocha. Osobiście nie był pederastą, choć nie potrafił się zadeklarować. Ale niezwykle podziwiał Lessinghama i czuł, że w jakiś sposób sprawi mu zawód. Stwarzał wrażenie, że wszystkim, co go dotyczy, rządzi chaos... jego odczuciami w sprawie energii atomowej, życiem osobistym, karierą, wszystkim.

Nagle Pascoe, jak się zdawało, uświadomił sobie, że trzyma kubek z kawą, więc pochyliwszy głowę, zaczął pić wielkimi łykami, jak człowiek dręczony okrutnym pragnieniem. Kiedy kubek był pusty, odstawił go na podłogę i wytarł usta grzbietem dłoni.

Potem podjął: — To był ciepły wieczór po deszczowym dniu, pierwsza noc nowiu. Zabawne, jak doskonale to wszystko pamiętam. Szliśmy po kamykach, tuż powyżej linii przypływu. A potem, nagle, z piany wyłoniła się ona, Hilary Robarts. Ubrana tylko w majteczki od bikini, stała przez chwilę, a woda spływała z jej włosów, które lśniły w tym niesamowitym blasku, jaki w gwiazdzistą noc zdaje się emanować z morza. Potem powoli ruszyła w naszą stronę. Chyba staliśmy jak zahipnotyzowani. Rozpaliła na kamieniach małe ognisko z chrustu i otoczyliśmy je wszyscy troje. Podniosła ręcznik, ale się nim nie owinęła. Wyglądała... cóż, wyglądała cudownie; na jej skórze migotały kropelki wody, a pomiędzy piersiami spoczywał ten medalion. Wiem, że to zabrmi śmiesznie i... cóż... banalnie, ale przywodziła na myśl jakąś boginię, która wyłoniła się z morza. Nie zwracała na mnie żadnej uwagi, ale patrzyła na Toby'ego. Powiedziała: „Miło cię widzieć, Toby. Może wpadłbyś do mnie na drinka i kolację?” Takie

310

INTRYG I ŻĄDZE

zwyczajne słowa. Takie z pozoru nieszkodliwe słowa. Ale tylko z pozoru. Nie sądzą, żeby mógł się jej oprzeć. Nie przypuszczam, abym i ja był do tego zdolny. Nie w tamtej chwili. No i tak samo dobrze, jak ona, wiedziałem, co robi. Prosiła go, by dokonał wyboru! Po mojej stronie nic prócz kłopotów, straconej pracy, osobistej udreki, może nawet hańby. Po jej — poczucie bezpieczeństwa, sukces zawodowy, szacunek przełożonych i kolegów. No i miłość. Sądzę, że proponowała mu miłość. Wiedziałem, co nastąpi w tej chacie, jeśli z nią pójdzie, on zresztą też wiedział. Ale poszedł. Nawet się ze mną nie pożegnał. Ona zarzuciła ręcznik, na ramię i odwróciła się, jakby nie mając żadnych wątpliwości, że za nią podąży. Podążył. A dwa dni później, w piątek dwunastego sierpnia, popełnił samobójstwo. Nie wiem, co mu powiedziała. Nikt się już nie dowie. Ale myślę, że po tym spotkaniu on już nie mógł wytrzymać. Nie chodzi o to, czym mu groziła i czy w ogóle mu groziła. Myślę jednak, że gdyby nie to spotkanie na plaży, Gledhill żyłby nadal. To ona go zabiła.

— W śledztwie nie wypłynęła żadna z tych spraw? — zapytał Dalgliesh.

— Żadna. Bo dlaczego niby miałyby wypłynąć? Nie zostałem powołany na świadka. Wszystko przeprowadzono bardzo dyskretnie. Alex Mair dopilnował, żeby nie było żadnego rozgłosu. Jak pan zapewne zauważył, nie ma go nigdy, kiedy w elektrowni dzieje się coś nie tak. Wszyscy są tam specami od tuszowania.

— Dlaczego mi to pan opowiada?

— Bo chcę mieć pewność, że jest czymś, co powinien usłyszeć Rickards. A tak naprawdę to chyba dlatego, że chcę się tym z kimś po prostu podzielić. Nie wiem właściwie, dlaczego mój wybór padł na pana. Proszę wybaczyć.

Jedynie słuszna, choć niekoniecznie uprzejma replika, musiałaby zabrzmieć: „Wybrałeś mnie, mając nadzieję, że zdejmę ci z karku obowiązki i wezmę na siebie przekazanie tej historii Rickardsowi”. Zamiast tego Dalgliesh powiedział: — Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że te informacje powinny trafić do nadinspektora Rickardsa.

— Czy jednak? Tego właśnie chcę być pewien. To, przypuszczam, zwykła obawa ludzi, mających do czynienia z policją. Jaki zrobią użytek z moich zeznań? Czy nie wyciągną fałszywych wniosków? Czy wykorzystując je nie aresztują niewinnego człowieka? Zapewne wierzy pan w prawość policji, bo w przeciwnym wypadku nie wykonywałby pan nadal zawodu detektywa. Ale pozostali z nas wiedzą, że nie wszystko i nie zawsze idzie dobrze, że niewinni bywają prześladowani, winowajcy potrafią się wykręcić, a sami policjanci są niekiedy mniej

311

P. D. JAMES

rzetelni, niż usiłują nam to przedstawić. Nie proszę, by służył mi pan za skrzynkę pocztową, nie jestem aż tak dziecinny. Ale naprawdę nie wiem, jaką wagę mogą mieć moje informacje. Oboje już nie żyją. Nie rozumiem, w jaki sposób moja opowieść o tamtym spotkaniu może Rickardsowi pomóc w schwytaniu zabójcy panny Robarts. A już na pewno żadnego z nich dwojga nie przywróci do życia.

Dalgliesh ponownie napełnił kawą kubek Neila Pascoe. Potem powiedział: — Oczywiście, że jest to istotne. Sugeruje pan, że Hilary Robarts zmusiła szantażem Toby'ego Gledhilla do pozostania w pracy. Jeśli potrafiła uciec się do szantażu wobec jednej osoby, potrafiła uczynić to także wobec innej. Wszystko, co dotyczy panny Robarts, może mieć związek z jej śmiercią. I proszę nie obawiać się za bardzo o niewinnych podejrzanych. Nie zamierzam twierdzić, iż w śledztwie dotyczącym morderstwa niewinni są pod szczególną ochroną. Oczywiście, zdarza się im ucierpieć. Nikt, kto nawet odlegle styka się ze zbrodnią, nie wychodzi z tego bez uszczerbku. Ale nadinspektor jest człowiekiem niegłupim i uczciwym. Wykorzysta tylko to, co ma znaczenie dla śledztwa, uznanie jednak, co jest istotne, co zaś nie, pozostaje wyłącznie w jego kompetencjach.

— Chyba to właśnie pragnąłem usłyszeć. W porządku, wszystko mu opowiem.

Pospieszenie dopił kawę, jak gdyby pragnął już wyjść, a potem, rzuciwszy tylko kilka słów na pożegnanie, wsiadł na rower i pochyłony popedałował wściekle ścieżką. Dalgliesh w zamyśleniu zaniósł kubki do kuchni. Wербalny opis Hilary Robarts, wyłaniającej się z morskiej piany jak połyskliwa bogini, był zdumiewająco żywy, ale nie zgadzał się jeden szczegół. Pascoe wspominał o medalionie, spoczywającym pomiędzy piersiami. Dalgliesh przypomniał sobie słowa Maira, wypowiedziane nad zwłokami: „Ten medalion, który ma na szyi... dostała go ode mnie dwudziestego dziewiątego sierpnia na urodziny”. W środę dziesiątego sierpnia po prostu nie mogła go mieć. Pascoe niewątpliwie widział wychodzącą z morza Hilary Robarts z medalionem pomiędzy nagimi piersiami; tyle że nie mogło to być dziesiątego sierpnia.

KSIĘGA SZÓSTA

od soboty i października do czwartku 6 października

1

Jonathan postanowił, że poczeka do soboty i dopiero wtedy pojedzie do Londynu, aby kontynuować swoje prywatne śledztwo. Matka gładko przełknie wersję, że zamierza odwiedzić Muzeum Nauki, podczas gdy jednodniowe zwolnienie w środku tygodnia jak zawsze obruszy lawinę pytań, dokąd jedzie i dlaczego. Uznał jednak, że postąpi rozsądnie, jeśli przed pójściem na Pont Street spędzi w muzeum przynajmniej pół godziny; było już zatem po trzeciej, kiedy stanął przed kamienicą. Jeden fakt stał się oczywisty od pierwszego spojrzenia: nikt, kto mieszkał w tym domu i zatrudniał gospodynię, nie mógł być biedakiem. W części kamienny, w części ceglany, dom stanowił część imponującego szeregu wiktoriańskich kamienic, a jego połyskujące czarne drzwi wejściowe były oflankowane kolumnami i zdobnym zielonkawym szkłem dwóch parterowych okien. Te drzwi były otwarte i Jonathan dostrzegł kwadratowy hol o marmurowej czarno-białej posadzce, fragment

balustrady dekoracyjnych żeliwnych schodów i złocistą windę w ażurowym szybie. Na prawo stało biurko, przy którym pełnił służbę umundurowany portier. Nie chcąc zwrócić na siebie uwagi, Jonathan spiesznie podjął marsz, rozważając swe następne posunięcie.

Właściwie nie pozostało mu nic innego, jak dotrzeć do najbliższej stacji metra, wrócić na dworzec Liverpool Street i złapać pierwszy pociąg do Norwich. Osiągnął to, co sobie zamierzył: uzyskał potwierdzenie, że Caroline go okłamała. Mówił sobie, iż powinien być zaszokowany i strapiiony — w równej mierze jej kłamstwem, co pokrętnością działań, do jakich się uciekł, by to kłamstwo wykryć. Zdawało mu się, że ją kocha. Bo kochał ją. Podczas minionego roku nie było godziny, w której zniknęłaby z jego myśli. Ta jasnowłosa, daleka, zamknięta w sobie piękność stała się jego obsesją. Jak uczeń wystawał

313

Т°Т™НПЯРЬИИЄ Wtante^«pitalu jako techr |C-tt akl?innepytaniMei)epotrafi odparo miałyby pasc jakieś inne pytania?

• l "U.PeWnoŚC^Siebie «kroczył do holu. miałby problem 2e spojrzeniem portierowi w oczy mony wm ą We wtee Ъ^^. _ ^ prtBeasey_2 tie82kai iatщer Zechce

Cr ^lempaimyCa*eAmphlett. TZh! ^^Pneadł do kantorku

W n notb ,P°my8ła: C'istoi u» Przeszkodzi.

PG!2 2^°dachizad*i!dodrzwi? Potem uś>

r i™ /Г" P0rtier Mtychmiast telefonicznie Sv w I ШЄ otwierala^tewi. Niemniej t nitL -mu systemb«Pieczeństwa za szczel

МГТГС-11 P°p0IтвдУ-W porządku, -Możę pan Isc. pierwsze piętro

Jeew°n.ZyStałzWindy'Dwuteydlowemahoni

i w miarę iS ,udaszŁZ czkania nie dobieg* w sroźl hf ,C2ekal) dRwi I* Ш w jego wyob głupiec ftŁ^^.*"*y sforsować badawczo I?^u^fflW»aicprzyglądajęc "mknąć pntWldzialne80*» doznał gwałtowne asuwaidrJ,111 Jednak lekko brzęknął łańcuch, s Odchw?1 StanctyotWMa*

fabrykowan IP°diCCiadeCyzii,ieodwiedzi mieszka 0sob!!Pannv& sw°)eJ hlstoryjki, aby zastanowić i Ш*Ч niew easky' Stow*sPodyni" wyczarov Wiadc2ai sm-aStę WŚrednimwieku'w najgorszym

doPomocv ?nā' ^^-pełną szacunku, sygnał • oczywistośćokazała się tak niesamov ?°la!4krvrSlę * zaskocffinia> a potem, zakłopota £0ste 2łot0 reakc'i,oblahif żeńcem. Była nis * ratt>ion •

w!osy"kowane, z siwymi odi oЛЧie i jык połyskliwy hełm. Ponieważ dc

Nyc^^ą niezliczonymi drobnymi zmars K°ściach policzkowych naciągała się

i %ej0 m°cno nabiegle krwią, zdawało si<

Ч?кагБ0^ГOілпе, pływają w otwartych ranach. I

%vm_f11* niezliczonymi drohnmvi zmars;

315

P. D. JAMES

w miejscach, któredy mogła przechodzić; z radością szedł do łóżka, ponieważ tylko tam nikt mu nie przeszkadzał w snuciu tajemnych erotycznych fantazji; budził się z pytaniem, gdzie i w jakich okolicznościach spotkają się następnym razem. Z pewnością ani fizyczny akt spełnienia, ani też ujawnienie łgarstwa nie może unicestwić miłości. Ale dlaczego potwierdzenie jej dwulicowości odbiera jako coś zupełnie znośnego, niemal przyjemnego? Powinien być zmiądzony; zamiast tego przepełniało go uczucie satysfakcji bliskie triumfu. Kłamała niemal beztróska, pewna, że jest zbyt zakochany, zbyt usidlony, zbyt głupi, aby zakwestionować jej bajeczkę. Ale teraz, skoro prawda została już ujawniona, stosunek sił w ich związku uległ subtelnej zmianie. Nie był na razie pewien, jak wykorzysta zdobyte informacje. Znalazł w sobie energię i odwagę do działania, czy jednak znajdzie dość odwagi, by skonfrontować Caroline z tą swoją nową wiedzą, pozostawało zupełnie innym problemem.

Z oczyma wlepionymi w płyty chodnika doszedł szybko do końca Pont Street, a potem zawrócił i pokonując tę samą trasę w przeciwnym kierunku, usiłował połapać się w swoich burzliwych uczuciach, które były tak skłębione, że zdawały się toczyć walkę o dominację nad jego duszą: ulga, żal, niesmak, triumf. I to wszystko okazało się tak łatwe. Każda groźna przeszkoda od nawiązania kontaktu z agencją detektywistyczną do znalezienia pretekstu dla odbycia wycieczki do Londynu

— została pokonana z większą łatwością, niż mógł sobie wymarzyć. Dlaczego tedy nie zaryzykować następnego kroku? Dlaczego nie uzyskać zupełnej pewności? Znał nazwisko gospodyni, panny Beasley. Mógł się z nią spotkać, oświadczyć, że poznał Caroline rok czy dwa temu, na przykład w Paryżu, zgubił jej adres, a teraz chce z nią ponownie nawiązać kontakt. Wiedział, że letnie wakacje roku 1986 Caroline spędziła właśnie we Francji; on też tam wówczas pojechał. Był to jeden z faktów, jakie wypłynęły podczas rozmów na ich pierwszych randkach, kiedy to gwarząc o lekturach, podróżach i sztuce usiłowali znaleźć jakiś wspólny grunt, łączący ich zainteresowania. Cóż, był przynajmniej w Paryżu. Zwiedzał Luwr. Mógł powiedzieć, że tam się właśnie poznali.

Podaje, oczywiście, fałszywe nazwisko. Wystarczy imię ojca. Perci val. Charles Percival. Nazwisko odrobinę niezwykle będzie lepsze niż jakieś zupełnie pospolite, które może zabrzmieć oczywistym fałszem. Oświadczy, że mieszka w Nottingham. Studiował na tamtejszym uniwersytecie i zna miasto. Jakimś cudem możność wyobrażenia sobie znajomych ulic uprawdopodobniała przyjętą legendę. Musi zakotwiczyć swoje kłamstwa przynajmniej na peryferiach prawdy.

314

INTRYG I ŻĄDZE

Powie, że pracuje w tamtejszym szpitalu jako technik laboratoryjny. Jeśli padną jakieś inne pytania, też je potrafi odparować. Ale dlaczego miałyby paść jakieś inne pytania?

Z udaną pewnością siebie wkroczył do holu. Jeszcze wczoraj miałby problem ze spojrzeniem portierowi w oczy. Teraz, przepełniony wiarą we własne siły, powiedział: — Chciałbym odwiedzić pannę Beasley z mieszkania numer trzy. Zechce pan powiedzieć, że jestem przyjacielem panny Caroline Amphlett.

Portier wstał zza biurka i przeszedł do kantorku, żeby zatelefonować. Jonathan pomyślał: Cóż stoi na przeszkodzie, bym wszedł po prostu po schodach i zadzwonił do drzwi? Potem uświadomił sobie, że w takim razie portier natychmiast telefonicznie ostrzegłby pannę Beasley, żeby nie otwierała mu drzwi. Niemniej trudno było uznać panujący w domu system bezpieczeństwa za szczelny.

Portier wrócił po pół minuty. — W porządku, sir — powiedział. — Może pan iść. Pierwsze piętro. Nie skorzystał z windy. Dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi, zaopatrzone w mosiężny numer, dwa zamki i wizjer, prowadziły do mieszkania we frontowej części domu. Jonathan przygładził włosy, nacisnął guzik dzwonka i zmusił się, by z udaną swobodą popatrzeć wprost w oko judasza. Z mieszkania nie dobiegały żadne odgłosy i w miarę, jak czekał, drzwi jęły się w jego wyobraźni przemieniać w groźną barykadę, którą usiłowałby sforsować tylko zarozumiały głupiec. Przez sekundę, mając wizję przyglądającego mu się zza drzwi badawczo, niewidzialnego oka, doznał gwałtownej pokusy, by stąd umknąć. Potem jednak lekko brzęknął łańcuch, stuknęła odciągana zasuwka i drzwi stanęły otworem.

Od chwili podjęcia decyzji, że odwiedzi mieszkanie, był zbyt zajęty fabrykowaniem swojej historyjki, aby zastanowić się świadomie nad osobą panny Beasley. Słowo „gospodyni” wyczarowywało tradycyjnie odzianą niewiastę w średnim wieku, w najgorszym przypadku trochę władczą i groźną, w najlepszym — pełną szacunku, gadatliwą, skłoną do pomocy. Rzeczywistość okazała się tak niesamowita, że Jonathan aż wzdrygnął się z zaskoczenia, a potem, zakłopotany faktem, że nie zdołał ukryć reakcji, oblał się rumieńcem. Była niska i bardzo chuda; proste złotorude włosy — farbowane, z siwymi odrostami — apadały na ramiona jak połyskliwy hełm. Ponieważ dolne powieki były wywinięte i mocno nabiegłe krwią, zdawało się, że oczy, płytko osadzone i ogromne, pływają w otwartych ranach. Skóra, bardzo biała i pokarbowana niezliczonymi drobnymi zmarszczkami, tylko na wydatnych kościach policzkowych naciągała się jak cieniutki per-

315

P. D. JAMES

gamin. Kontrastując z nią, kruchą bez ochronnej warstwy makijażu, usta były cienką krechą jadowitego karmazynu. Panna Beasley, ubrana w kimono i pantofle na wysokich obcasach, trzymała w ramionach małego, niemal bezwłosego pieska o wytrzeszczonych ślepiach i wysadzonej

klejnotami obróżce na cieniutkiej szyi. Przez chwilę, tuląc psa do siebie, stała w milczeniu, przypatrując się Jonathanowi badawczo.

Jonathan, z którego w gwałtownym tempie wyciekała starannie dotąd pielęgnowana odwaga, powiedział: — Wybaczy pani za kłopot. Chodzi o to, że jestem przyjacielem panny Caroline Amphlett i usiłuję ją odnaleźć.

— Cóż, tu jej pan nie znajdzie. — Głos, w którym rozpoznał ten z rozmowy telefonicznej, był zaskakujący jak u tak wątlej kobiety: głęboki, ochryply, zupełnie przyjemny.

— Przepraszam, jeśli trafiłem do niewłaściwych Amphlettów. Bo widzi pani, Caroline dała mi adres dwa lata temu, ale go zgubiłem, więc po prostu skorzystałem z książki telefonicznej.

— Wcale nie powiedziałam, że trafił pan do złych Amphlettów; stwierdziłam tylko, że jej pan tu nie znajdzie. Ale, ponieważ wygląda pan dość nieszkodliwie i najwyraźniej nie nosi broni, zapraszam do środka. Nigdy nadto ostrożności w tych gwałtownych czasach, ale na Baggotcie można polegać. Niewielu intruzów zdoła się przemknąć obok Baggotta. Czy jest pan intruzem, panie...?

— Percival. Charles Percival.

— Wybaczy pan mój deshabile, panie Percival, ale zwykle po południu nie spodziewam się gości. Przez kwadratową sień i dwuskrzydłowe drzwi podążył za nią do salonu. Z powagą wskazała mu kanapę, ustawioną przed kominkiem, mebel niewygodnie niski, miękki jak łoże i ozdobiony na końcach festonami sznurów z frędzlami. Powoli, jak gdyby grając na zwłokę, panna Beasley usadowiła się w eleganckim wysokim fotelu z uszami, posadziła sobie psa na podołku i wbiła w Jonathana skupiony surowy wzrok inkwizytora. Jonathan, którego uda tonęły w miękkich poduchach kanapy, ostre zaś kolana dotykały niemal podbródka, wiedział, że musi wyglądać równie idiotycznie i nieokrzesanie, jak się czuje. Pies, nagi, jakby go oskórowano i nieustannie drżący, jakby doprowadzał go do szaleństwa dojmujący chłód, obrócił najpierw na niego, a potem na nią błagalne spojrzenie swych wytrzeszczonych ślepiów. Skórzana obróżka, wysadzana wielkimi grudami czerwonych i niebieskich kamieni, spoczywała ciężkim brzemieniem na kruchej szyi zwierzaka.

316

INTRYG I ŻĄDZE

Jonathan oparł się pokusie, by rozejrzeć się po pokoju, a mimo to każdy szczegół wnętrza wtargnął do jego świadomości: marmurowy kominek i wiszący nad nim olejny portret, przedstawiający całą sylwetkę wiktoriańskiego oficera o bladej, aroganckiej twarzy, która — przecięta sięgającym niemal policzka długim kosmykiem jasnych włosów — oznaczała się prawie niesamowitym podobieństwem do twarzy Caroline; ustawione pod ścianą cztery rzeźbione krzesła o gobelinowej tapicerce; jasna, woskowana podłoga, zarzucona pomarszczonymi dywanami; okrągły stół na środku pokoju i przyścienny ze zwykłą ekspozycją zdjęć w srebrnych ramkach. Unosił się silny zapach farby i terpentyny. Zapewne remontowano któreś z innych pomieszczeń. Po chwili milczącego badania kobieta powiedziała: — A zatem jest pan przyjacielem Caroline. Zaskakuje mnie pan, panie... panie... Wybaczy pan, ale zapomniałam już, jak się pan nazywa.

— Percival — powiedział stanowczym głosem. — Charles Percival.

— A ja Oriole Beasley. Jestem tu gospodynią. Jak więc mówiłam, zaskakuje mnie pan, panie Percival. Skoro jednak powiada pan, że jest przyjacielem Caroline, naturalnie wierzę panu na słowo.

— Może nie powinienem był używać określenia „przyjaciel”. Spotkałem ją tylko raz, w Paryżu, w 1968. Zwiedzaliśmy razem Luwr. Ale chciałbym się z nią znowu zobaczyć. Dała mi adres, lecz go zgubiłem.

— Cóż za nieuwaga. A więc odczekał pan dwa lata, a potem postanowił ją odnaleźć. Dlaczego właśnie teraz, panie Percival? Najwyraźniej umiał pan powściągać swą niecierpliwość aż przez dwa lata.

Wiedział, jakie musi sprawiać na niej wrażenie: pozbawionego pewności siebie, nieśmiałego, skrepowanego. Czegóż jednak innego mogłaby oczekiwać po mężczyźnie, który idiotycznie wierzy, iż po dwóch latach zdoła ożywić przelotny i dawno martwy romans. Powiedział: — Po prostu

akurat wpadłem na kilka dni do Londynu. Pracuję w Nottingham. Jestem technikiem w szpitalu. Nieczęsto mam okazje wyjeżdżać na południe. W gruncie rzeczy po prostu tak mnie tknęło, żeby spróbować odnaleźć Caroline.

— Jak sam pan widzi, tu jej nie ma. W istocie nie mieszkała w tym domu, odkąd ukończyła siedemnasty rok życia, a skoro jestem zaledwie gospodynią, to nie czuję się uprawniona do przekazywania przypadkowym ciekawskim informacji na temat miejsc pobytu członków rodziny. Czy określiłby się pan mianem przypadkowego ciekawskiego, panie Percival?

317

P. D. JAMES

— Może to tak wygląda — odparł Jonathan. — Po prostu odnalazłem nazwisko w książce telefonicznej i pomyślałem, że warto spróbować. Oczywiście, istniała możliwość, że wcale nie chciałyby się ze mną zobaczyć.

— Skłonna jestem sądzić, że to bardziej niż prawdopodobne. Bo, bez wątpienia, ma pan jakiś dowód tożsamości, stwierdzający, że jest pan Charlesem Percivalem z Nottingham.

— Obawiam się, że nie — odrzekł Jonathan. — Nie myślałem...

— Nawet karty kredytowej czy prawa jazdy? Wyruszył pan w tę podróż osobiwie nieprzygotowany, panie Percival.

Coś w tym głębokim, arogancko arystokratycznym głosie, jakaś mieszanina beczelności i wzgardy, boleśnie ukłuło Jonathana i kazało mu zareagować wyzywającym: — Nie jestem z gazowni, proszę pani. Nie widzę powodów, dla których miałbym się legitymować. Chciałem uzyskać banalną informację. Miałem nadzieję spotkać się z Caroline lub może z panią Amphlett. Wybacz pani, jeśli ją uraziłem.

— Wcale mnie pan nie uraził. Gdyby łatwo mnie było urazić, nie pracowałabym dla pani Amphlett. Obawiam się zresztą, że i jej nie ma pan szansy zobaczyć. Pod koniec września pani Amphlett udaje się do Włoch, potem zaś, na zimę, przenosi się do Hiszpanii. Jestem zdumiona, że Caroline nie powiedziała panu o tym jej zwyczaju. Pani Amphlett nie znosi melancholii jesieni i chłodu zimy. Kobieta zamożna nie musi być skazana ani na jedno, ani na drugie. Jestem pewna, że doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę, panie Percival.

Oto na koniec otwierała się szansa, której potrzebował. Zmusił się, by spojrzeć w te okropne krwawiące oczy i powiedział: — Jeśli się nie mylę, Caroline mówiła mi, że jej matka jest biedna, bo straciła cały majątek, zainwestowany w wytwórnę plastików Petera Robartsa.

Jego słowa wywarły niezwykle efekt. Panna Beasley oblała się szkarłatnym rumieńcem, który wykwitł na szyi i jak wysypka ogarnął twarz, a potem czoło. Oniemiała na dłuższą chwilę, kiedy jednak odezwała się ponownie, całkowicie panowała nad głosem.

— Albo rozmyślnie coś pan pokręcił, panie Percival, albo pańska pamięć jest w przypadku faktów natury finansowej równie zawodna, jak w przypadku adresów. Caroline nie mogła panu powiedzieć nic podobnego. Jej matka w dwudziestym pierwszym roku życia odziedziczyła fortunę po dziadku i nie straciła z niej złamanego pensa. To mój niewielki kapitalik — dziesięć tysięcy funtów, gdyby to pana zainteresowało — został nierozważnie zainwestowany w kombinacje tego budzącego zaufanie łotra. Jest jednak mało prawdopodobne, aby

318

INTRYGI I ŻĄDZE

informację o tej drobnej tragedii osobistej Caroline powierzyła uszom nieznanego.

Nic mu nie przychodziło do głowy, nie potrafił dać wiarogodnego wyjaśnienia, uciec się do wykrętu. Ale miał dowód, którego potrzebował: Caroline kłamała. Powinien go być przepelnić triumf, że znalazł potwierdzenie swoich podejrzeń, że jego drobną akcję uwieńczył sukces. Zamiast tego ogarnęło go na moment przytłaczające przygnębienie i świadomość tyleż przerażająca, co irracjonalna, że dowód perfidii Caroline został kupiony za okropną cenę.

Przez chwilę wpatrywała się weń bez słowa, a potem nagle spytała: — Co pan myśli o Caroline? Najwyraźniej wywarła na panu silne wrażenie, skoro postanowił pan odnowić znajomość.

Niewątpliwie myślał też pan o niej przez dwa minione lata.

— Wydaje mi się... wydała mi się bardzo piękna.

— Prawda? Cieszę się, że tak pan uważa. Byłam jej opiekunką... czy też nianią, jeśli upieramy się przy tym groteskowym terminie. Można powiedzieć, że ją wychowałam. Trudno uznać, że odpowiadam popularnym wyobrażeniom o niani. Szerokie przytulne łono, schludny fartuszek, Kubuś Puchatek, O czym szumią wierzby, jedz marchewkę, żebyś miała czerwoną krew. Ale i ja miałam swoje metody. Pani Amphlett towarzyszyła brygadierowi na jego zamorskich placówkach i wówczas zostawałyśmy razem, tylko my dwie. Pani Amphlett hołdowała przekonaniu, iż dziecko powinno się chować w poczuciu stabilizacji... pod warunkiem, że nie ona ma ją zapewnić. Oczywiście, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby Caroline była chłopcem. Amphlettowie nigdy nie cenili sobie córek. Caroline miała brata, który jako piętnastolatek zginął w wypadku samochodowym, jadąc w aucie przyjaciela. Była z nimi Caroline, ale wyszła z tego niemal bez draśnięcia. Sądzę, że rodzice nigdy jej tego nie wybaczyli. Nie umieli na nią patrzeć, nie dając zarazem do zrozumienia, że z dwojga ich dzieci zginęło to niewłaściwe. Jonathan pomyślał: Nie chcę tego słuchać, nie chcę tego słyszeć. Powiedział: — Nigdy nie mówiła, że miała brata. Ale wspomniała o pani.

— Doprawdy? Mówiła panu o mnie. Teraz naprawdę mnie pan zaskoczył, panie Percival. Proszę wybaczyć, ale, moim zdaniem, jest pan ostatnią osobą, z którą rozmawiałaby na mój temat. Pomyślał: Ona wie. Nie zna prawdy, ale wie, że nie jestem Charlesem Percivalem z Nottigham. I odniósł wrażenie, patrząc w te niezwykle oczy, w których trudno było nie rozpoznać mieszaniny pogardy i podejrzliwości, że panna Beasley i Caroline są sojusznicz-

319

P. D. JAMES

kami w jakimś kobiecym spisku, on zaś sam — spisku tego nieszczęsną, wzgardzoną ofiarą. Ta świadomość obudziła w nim gniew i dodała mu sił. Ale nic nie powiedział.

Po chwili podjęła: — Pani Amphlett zatrzymała mnie i po tym, jak Caroline wyprowadziła się z domu, i po tym nawet, jak odszedł brygadier. Ale „odszedł” to niezbyt odpowiedni eufemizm dla żołnierza. Może powinnam powiedzieć „został powołany na wyższą służbę”, „wezwany pod sztandar”, „awansowany do chwały wieczystej”. A może tak się mawia w Armii Zbawienia? Coś mi się zdaje, że tylko wojacy z Armii Zbawienia bywają awansowani do chwały wieczystej.

— Caroline mi mówiła, że jej ojciec był zawodowym żołnierzem — wtrącił Jonathan.

— Caroline nigdy nie była dziewczyną skłoną do zwierzeń, pan jednak, jak się zdaje, umiał sobie zdobyć jej zaufanie, panie Percival. Tak więc nie jestem teraz nianią, lecz gospodynią, a moja pracodawczyni nawet na czas swojej nieobecności potrafi mi zagwarantować masę zajęć. Nie ma szans, żebym się tu nudziła, o, nie. Przede wszystkim Maxie. Listy, które trzeba przekazać do pani. Zanieść do czyszczenia jej biżuterię. Popłacić rachunki. Zrobić remont mieszkania. Pani Amphlett ma szczególnie wstręt do zapachu farby. No i oczywiście codzienna opieka nad Maxiet. Nigdy nie czuł się dobrze w hotelach dla psów*, prawda, skarbeczku? Zastanawiam się, jaki czeka mnie los, kiedy Maxie awansuje do chwały wieczystej.

Nie miał już nic do powiedzenia, a zresztą najwyraźniej nie oczekiwała, że jeszcze cokolwiek od niego usłyszy. Po chwili milczenia, kiedy to uniosła łapkę psa i lekko pogładziła się nią po twarzy, stwierdziła: — Najniespodziewaniej w świecie dawni przyjaciele Caroline zapalali chęcią ponownego nawiązania z nią kontaktu. Nie dalej niż we wtorek ktoś pytał o nią telefonicznie. Albo w środę. A może to był pan, panie Percival?

— Nie — odparł, zdumiony łatwością, z jaką przyszło mu to kłamstwo. — Nie telefonowałem. Doszedłem do wniosku, że lepiej spróbować szczęścia osobiście.

— Ale wiedział pan, o kogo pytać. Znał pan moje nazwisko. Podał je pan Baggottowi. Nie zamierzał dać się jej złapać. Odrzekł: — Pamiętałem je. Caroline, jak już mówiłem, wspominała mi o pani.

* Ze względu na surowość brytyjskich przepisów o kwarantannie (pół roku przy wjeździe do kraju) pani Amphlett nie może zabierać psa za granicę, przyp. tłum.

320

INTRYG I ŻĄDZE

— Byłoby jednak rozsądniej najpierw zatelefonować. Wyjaśniłabym, że jej nie ma, oszczędzając

w ten sposób pański czas. Ale ten drugi przyjaciel miał zupełnie inny głos. Zdecydowanie inny. Szkocki, jak sądzę. Jeśli mi pan wybaczy, panie Percival, pański głos pozbawiony jest jakiegokolwiek wyrazu i charakteru.

— Jeśli nie sądzi pani, że może mi dać adres Caroline—powiedział Jonathan — to lepiej już pójdę. Przepraszam za najście w nieodpowiednim momencie.

— A może napisałby pan do niej list, panie Percival? Zaraz podam panu papeterię. Nie sądzę wprawdzie, by informowanie pana o jej adresie było rzeczą właściwą, może pan jednak zaufać, że nie omieszkam przekazać jej każdej wiadomości, jaką zechce mi pan powierzyć.

— Nie ma jej zatem w Londynie?

— Nie, nie mieszka w Londynie od trzech lat, a stąd wyprowadziła się jako siedemnastolatka. Wiem jednak, gdzie mieszka. Utrzymujemy kontakt. Pański list będzie w moich rękach bezpieczny. Pomyślał: To oczywista pułapka. Ale nie może mnie zmusić do napisania listu. Nie mogę zostawić tu ani słowa napisanego własnoręcznie. Caroline rozpoznałaby je, nawet gdybym zmienił charakter pisma. Odparł: — Chyba napiszę później, bo chciałbym mieć czas do namysłu. Jeśli nadam list na ten adres, będzie pani mogła przekazać go dalej?

— Uczynię to z przyjemnością, panie Percival. A teraz, jak sądzę, nie powinnam pana dłużej zatrzymywać. Pańska wizyta okazała się może mniej produktywna, niż pan liczył, mam nadzieję jednak, że dowiedział się pan tego, czego pragnął się pan dowiedzieć.

Ale nawet nie drgnęła i Jonathan poczuł się przez moment uwięziony, jak gdyby nieprzyjemnie miękkie i podatne poduchy kanapy trzymały go z mocą imadła. Niemal oczekiwał, że panna Beasley zerwie się nagle, zagrozi mu drogę do drzwi, zamknie je na klucz i wezwie telefonicznie portiera lub policję. Co by wówczas zrobił: usiłował wyrwać jej klucz i umknąć? Poczekał na policję i spróbował wyłgać się z galimatiasu? Ale panika ustąpiła. Panna Beasley wstała, poprowadziła go do drzwi i bez słowa je otworzyła. Nie zamknęła ich od razu: był świadom, że oboje — ona i dygoczący w jej ramionach pies — odprowadzają go spojrzeniem. Kiedy stanął na górnym stopniu, odwrócił się, by posłać pożegnalny uśmiech. To, co ujrzał, sprawiło, że najpierw zeszytniał, jak słup soli, a potem niemal biegiem pokonał schody, hol i wypadł z drzwi. Nigdy w życiu nie widział, by ludzka twarz wyrażała tak wielką i tak skoncentrowaną nienawiść.

21 Intrygi i żądze

321

P. D. JAMES

2

Całe przedsięwzięcie okazało się znacznie bardziej wyczerpujące, niż Jonathan w ogóle mógł przypuszczać, kiedy więc dotarł wreszcie na dworzec Liverpool Street, był bardzo zmęczony. Stacja znajdowała się w przebudowie — czy też „modernizacji”, jak głośno porozwieszane ku pokrzepieniu serc wielkie tablice — i przemieniła się w zgiełkliwy i dezorientujący labirynt prowizorycznych mostków i tablic informacyjnych w którym odnalezienie pociągu było zadaniem nie lada. Skręciwszy nie tam, gdzie trzeba, Jonathan — zagubiony przez moment, jak gdyby nagle przeniesiono go do jakiejś zagranicznej stolicy — znalazł się w centrum wyłożonego lśniąco płytami pasażu. Przybyciu do miasta nie towarzyszyły podobne sensacje; teraz nawet dworzec pogłębiał w nim uczucie, że oto zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie zapuścił się na zupełnie sobie obcy teren.

Ledwie pociąg ruszył, Jonathan opadł na oparcie i zamknąwszy oczy podjął próbę zaprowadzenia ładu wśród wydarzeń dnia i swoich własnych, sprzecznych doznań. Zamiast tego jednak, i to prawie natychmiast, zapadł w sen, by ocknąć się dopiero wówczas, gdy pociąg zwolnił na dworcu w Norwich. Sen mu posłużył: ruszył w stronę parkingu, przepełniony świeżą energią i optymizmem. Wiedział już, co robi: pojedzie do domku Caroline, przedstawi jej zdobyte dowody i zapyta, dlaczego kłamała. Nie może przecież widywać się z nią nadal, udając, że niczego nie wie. Byli kochankami; powinni okazywać sobie zaufanie. Jeżeli była zaniepokojona lub przestraszona, powinna u niego szukać pomocy i pocieszenia. Wiedział, że nie mogła zamordować Hilary Robarts; już sama taka myśl była profanacją. Nie kłamałaby jednak, gdyby nie pchało ją do tego przerażenia. Krył się tu jakiś okropny sekret. Skłoni ją, aby poszła na policję, wyjaśniła, dlaczego skłamała sama

i do kłamstwa namówiła jego. Pójdą razem, przyznają się razem. Nie zadał sobie pytania, czy Caroline zechce go widzieć i czy w ogóle — w sobotę wieczorem — będzie w domu. Wiedział jedynie, że sytuacja pomiędzy nimi musi ulec wyjaśnieniu. Decyzja była słuszna i nieodwołalna; Jonathan doświadczał nawet niewielkiego przyływu mocy. Uważała go za łatwowiernego i nieudolnego głupca. Cóż, udowodni jej, że się myliła. Od tej chwili w ich stosunkach nastąpi subtelna zmiana — kochankiem Caroline będzie mężczyzna pewniejszy siebie i mniej podatny na obróbkę.

Czterdzieści minut później, jadąc w ciemnościach po płaskim, monotonnym terenie, zbliżał się do domku Caroline. Kiedy zwolnił,

322

INTRYGII I ŻĄDZE

ujrzawszy go po lewej stronie szosy, znów pomyślał, jakże jest samotny i nieciekawym; dlaczego, zastanawiał się, mając do wyboru tyle wiosek, położonych znacznie bliżej Larksoken, tyle pięknych zakątków Norwich i wybrzeża, Caroline zdecydowała się na ten zakazany bungalow, na to niemal złowróżbne pudełeczko z surowej czerwonej cegły. Samo zresztą słowo „bungalow” wydało mu się absurdalne, skoro natychmiast wywoływało obraz podmiejskiej zabudowy szeregowej, domków przytulnych i szacownych, zamieszkałych przez staruszków niezdolnych już do wspinania się na piętra. Caroline powinna mieszkać w wieży z szerokim widokiem na morze.

Wtedy ją zobaczył. Z podjazdu wyjechał srebrny golf i nabierając prędkości, pomknął na wschód. Caroline naciągnęła na swoje jasne włosy coś, co wyglądało na wełnianą czapkę, ale Jonathan rozpoznał ją natychmiast. Nie wiedział natomiast, czy Caroline rozpoznała jego albo fiestę, zahamował jednak instynktownie i dopiero kiedy zniknęła, podjął pościg. Przez tę krótką chwilę oczekiwania słyszał histerycznie ujadającego Remusa.

Był zdumiony łatwością, z jaką udawało mu się śledzić Caroline. Chwilami jakiś wyprzedzający go samochód zasłaniał mu srebrnego golfa, kiedy indziej znów — na skrzyżowaniach albo w wioskach — zwalniał sam, aby nie zorientowała się, że za nią jedzie. Minęli Lydsett i wtedy skręciła, by przeciąć przylądek. Jonathan obawiał się, że już go rozpoznała, że wie, iż go ma na karku, a jednak parł dalej, jak gdyby nigdy nic. Kiedy uporała się z bramą, poczekał, aż zniknie za garbem przylądka, ujechał kawałek, przystanął i wyłączwszy światła ruszył przed siebie pieszo. Dostrzegł, że kogoś zabiera; w reflektorach jej wozu mignęła przez chwilę szczupła dziewczyna o sterczącej, żółtopomarańczowej czuprynie. Golf ruszył na północ szosą nadbrzeżną, potem — przy elektrowni — skierował się w głąb lądu, by wreszcie ponownie skręcić na północ. Czterdzieści minut później cel jazdy stał się oczywisty: nabrzeże w Wells-next-the-Sea.

Zaparkował fiestę obok golfa i ruszył za dziewczynami, nie tracąc z oczu biało-niebieskiej czapki Caroline. Szły szybko, w milczeniu, nie oglądały się za siebie. W porcie na chwilę je zgubił, ale potem dostrzegł ponownie: wchodziły na pokład łodzi. Ostatnia szansa; musi teraz pomówić z Caroline. Przyspieszył prawie do biegu. Były już na pokładzie. Łódź — dość mała, bo licząca najwyżej piętnaście stóp długości — miała niską kabinę i zaburtowy silnik. Obie dziewczyny stały w kokpicie. Kiedy podszedł, Caroline obróciła się ku niemu.

— Czego tu, do cholery, szukasz?

323

PIIIIIIII

P. D. JAMES

— Chcę z tobą porozmawiać. Śledziłem cię, odkąd wyszłaś z domu.

— Wiem, ty durniu. Miałam cię w lusterku praktycznie przez całą drogę. Mogłam cię zgubić bez problemów. Powinieneś sobie odpuścić te szpiegowskie zabawy, bo ani do ciebie nie pasują, ani nie jesteś w nich dobry.

W jej głosie nie było jednak złości; tylko irytacja i znużenie. Powiedział: — Caroline, muszę z tobą pomówić.

— Więc zaczekaj do jutra. Albo, jeśli musisz, stój tu jak słup i czekaj. Wrócimy za godzinę.

— Ale gdzie płyniesz? Co robisz?

— A jak ci się zdaje? To jest łódź, moja łódź. A tam jest morze. Płyniemy z Amy na krótki rejs.

Amy, pomyślał. Co za Amy? Lecz Caroline nie przedstawiła towarzyski. — Ale jest już tak późno — zaprotestował anemicznie. — Ciemno, a poza tym gęstnieje mgła.

— No więc jest ciemno i mgliście. To w końcu październik. Posłuchaj, Jonathanie, może byś tak zaczął pilnować własnego nosa i wrócił do domu, do mamusi.

Kręciła się po kokpicie. Jonathan wychylił się i chwycił burtę łodzi, czując jak przenosi łagodne kołysanie przyływu. Powiedział: — Caroline, proszę, porozmawiaj ze mną. Nigdzie nie pływ.

Kocham cię.

— Wątpię.

Żadne z nich nie zwracało uwagi na obecność Amy. Jonathan powiedział z rozpaczą: — Wiem, że skłamałaś mówiąc, iż twoja matka została doprowadzona do ruiny przez ojca Hilary. Nie było w tym szczypty prawdy. Posłuchaj, jeśli jesteś w kłopotach, chcę ci pomóc. Musimy porozmawiać. Tak dalej być już nie może.

— Nie jestem w żadnych kłopotach, a gdybym nawet była, to do ciebie zwróciłabym się o pomoc w ostatniej kolejności. I zabierz te łapy z mojej łodzi.

Takim tonem, jakby to była najważniejsza z dotyczących ich dwojga spraw, powiedział: — Twojej łodzi? Nigdy mi nie mówiłaś, że masz łódź.

— Jest bardzo wiele rzeczy, o których ci nie mówiłam.

I wtedy, nagle, pojął. Nie było już miejsca na wątpliwości. — Więc to wszystko nie było naprawdę, tak? Nie kochasz mnie i nigdy mnie nie kochałaś.

— Miłość, miłość, miłość. Przestań przeżuwać to słowo, Jonathanie. Posłuchaj, idź do domu. Stań przed lustrem i dobrze się sobie przyjrzyj. Jak w ogóle mogło ci strzelić do głowy, że to było naprawdę?

324

INTRYG I ŻĄDZE

To jest naprawdę, Amy i ja. Ja tkwię w Larksoken z jej powodu, a ona — z mojego. Teraz już wiesz.

— Wykorzystałaś mnie.

Zdawał sobie sprawę, że powiedział to głosem skarżącego się dziecka.

— Tak, wykorzystałam cię. Wykorzystaliśmy się nawzajem. Kiedy poszliśmy do łóżka, ja wykorzystałam cię, a ty wykorzystałeś mnie. Na tym polega seks. No i, jeśli chcesz wiedzieć, to była dla mnie cholernie ciężka harówka i omal się przy niej nie porzygałam.

Nawet wstrząsany konwulsjami rozpaczy i poniżenia, wyczuwał w Caroline niecierpliwość, która z nim samym nie miała nic wspólnego. Okrucieństwo było zamierzone, ale wolne od pasji. Zniósłby je łatwiej, gdyby riie było tak kliniczne. Jego obecność stanowiła irytującą, ale drobną przeszkodę w sprawach znacznie ważniejszych.

Lina cumownicza śmignęła z pachołka, Caroline włączyła silnik i łódź wolno zaczęła odsuwać się od nabrzeża. Dopiero teraz Jonathan naprawdę zwrócił uwagę na tę drugą dziewczynę, która przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Milcząc stała w kokpicie obok Caroline, poważna, lekko drżąca i jakaś bezradna; Jonathan odniósł wrażenie, że zanim łódź z obiema pasażerkami przemieniła się w bezkształtną plamę i zanim on sam poczuł w oczach pierwsze piekące łzy, na jej dziecinnej buzi wykwitł wyraz zakłopotania przemieszanego ze współczuciem. Poczekał, aż łódź ostatecznie zniknie na czarnej wodzie, i wtedy podjął następną decyzję. Znajdzie pub, wypije piwo, coś przekąsi i będzie tu, kiedy wrócą. Nie mogą pozostawać w morzu długo, bo przegapią koniec przyływu. A on musi poznać prawdę. Nie potrafi znieść kolejnej nocy niepewności. Stał jeszcze przez chwilę, zapatrzony w mrok, jak gdyby wciąż mógł dostrzec mały jachcik i jego dwie pasażerki, a potem odwrócił się i powłócząc nogami ruszył w stronę najbliższego pubu.

3

Nienaturalnie donośny warkot silnika wstrząsnął nieruchomym powietrzem. Amy niemal oczekiwała, że lada chwilą otworzą się drzwi domów, ludzie wybiegną na nabrzeże i zaczną na nich pomstować. Caroline wykonała jakiś ruch i warkot zamienił się w łagodny szept.

325

P. D. JAMES

Łódź odsuwała się od brzegu. Amy zapytała gniewnie: — Kto to jest? Co to za menda?

— Po prostu facet z Larksoken. Nazywa się Jonathan Reeves. Jest bez znaczenia.

— Dlaczego nagadałaś mu kłamstw? Dlaczego nałgałaś na nasz temat? Nie jesteśmy lesbijkami.

— Bo tak było trzeba. A w ogóle czy to istotne? Kompletna błahostka.

— To jest istotne dla mnie. Popatrz na mnie, Caroline, mówię do ciebie.

Ale Caroline wciąż nie patrzyła jej w oczy. Powiedziała spokojnie: — Zaczekaj, aż wyjdziemy z portu. Jest coś, co ci muszę powiedzieć, ale chcę znaleźć się najpierw na głębokiej wodzie, więc chwilowo muszę być skoncentrowana. Przejdź na dziób i uważnie się rozglądaj.

Amy stała przez moment niezdecydowana, lecz potem usłuchała i przytrzymując się krawędzi niskiej kabiny, ostrożnie ruszyła ku dziobowi. Wcale nie była pewna, czy jest zachwycona władzą, jaką ma nad nią Caroline. Nie miało to nic wspólnego z pieniędzmi, które anonimowo i nieregularnie wpływały na jej książeczkę bądź były pozostawiane w ruinach opactwa. Nie miało to nawet nic wspólnego z emocjami i tajemnym poczuciem mocy, jakie czerpała z faktu, że jest uczestniczką spisku. Być może po tym pierwszym spotkaniu w pubie w Islington, które sprawiło w efekcie, że została zwerbowana do Operacji Ptasi Śpiew, podświadomie podjęła decyzję, by okazywać Caroline posłuszeństwo i lojalność, a teraz, kiedy nadszedł czas próby, nie umiała z siebie strząsnąć więzów tej nie zadeklarowanej zależności.

Obejrzawszy się przez ramię dostrzegła, że światła portu słabną, okna stają się najpierw maleńkimi prostokącikami a potem ledwie jasnymi punktami. Silnik zagadał donośniej: stojąc na dziobie, Amy poczuła pod sobą potęgę Morza Północnego. Słyszała syk ciętych fal, widziała inne, wyłaniające się z mgły — gładkie i czarne jak olej. Współ z łodzią unosiła się, dygotała, a potem osuwała się w dół. Po dziesięciu minutach obserwacji opuściła stanowisko i wróciła do kokpitu. Powiedziała: — Posłuchaj, jesteśmy już daleko od lądu. O co w tym wszystkim chodzi? Czy musiałaś mi to mówić? Wiem, że powinnam trzymać się z dala od ludzi z Larksoken, ale odnajdę go i powiem mu prawdę. Caroline, patrząc przed siebie, stała nieruchomo u steru. W lewej dłoni trzymała kompas. Odparła: — My nie wrócimy. To ci właśnie miałam powiedzieć.

326

INTRYG I ŻĄDZE

Zanim Amy zdążyła otworzyć usta, Caroline dodała: — Tylko nie zacznij histeryzować i nie próbuj żadnych dyskusji. Masz prawo do wyjaśnień i otrzymasz je pod warunkiem, że będziesz siedzieć cicho. Nie mam już w tej chwili wyboru; musisz poznać prawdę, a przynajmniej część prawdy.

— Jakiej prawdy? O czym ty mówisz? I dlaczego mamy nie wrócić? Powiedziałaś, że wypływamy tylko na godzinę. Powiedziałaś, że mamy się na morzu spotkać z pewnymi ludźmi i otrzymać nowe instrukcje. Zostawiłam Neiiowi kartkę, że niedługo wracam. Muszę wrócić do Timmy'ego.

Ale Caroline wciąż patrzyła przed siebie. — Nie wrócimy, ponieważ nie możemy wrócić — stwierdziła. — Kiedy cię zwerbowałam i wyciągnęłam z tej londyńskiej komuny, nie powiedziałam ci prawdy. To nie leżało w twoim interesie, a poza tym nie wiedziałam, do jakiego stopnia mogę ci zaufać. Sama zresztą nie znałam całej prawdy — tylko tyle, ile powinnam wiedzieć. Takie są zasady działania. Operacja Ptasi Śpiew nie ma nic wspólnego z opanowaniem Larksoken w imię praw zwierząt. W ogóle nie ma nic wspólnego ze zwierzętami. Nie chodzi w niej ani o zagrożone wieloryby, ani chore foki, ani dręczone zwierzęta laboratoryjne, ani bezdomne psy, czy też którąkolwiek z tych wydumanych tragedii, nad którymi tak rozpaczasz. Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego. O ludzi i ich przyszłość. Chodzi o sposób, w jaki urządzimy nasz świat.

Mówiła bardzo cicho i z ogromnym naciskiem. Starając się przekrzyczeć warkot silnika, Amy powiedziała: — Nic nie słyszę! Słyszę piąte przez dziesiąte. Wyłącz to cholerstwo!

— Nie teraz. Mamy jeszcze przed sobą długą drogę. Spotykamy się z nimi w precyzyjnie określonym punkcie. Musimy płynąć wprost na południowy wschód, a potem wziąć namiar na przybrzeżne instalacje elektrowni i latarnię morską Happsburgh. Mam nadzieję, że ta mgła nie zgęstnieje jeszcze bardziej.

— Z kim? Z kim mamy się spotkać?

— Nie znam ich nazwisk ani funkcji, jakie pełnią w organizacji. Jak powiedziałam, każdy z nas

wie tylko tyle, ile koniecznie powinien wiedzieć. Wedle moich instrukcji, gdyby Operacja Ptasi Śpiew spaliła na panewce, miałam zadzwonić na pewien numer i uruchomić awaryjną procedurę ewakuacji. To dlatego kupiłam tę łódź i utrzymywałam ją w gotowości. Przeszwarcują nas do Niemiec, zaopatrzą w fałszywe paszporty, nową tożsamość, wcielą do organizacji, załatwią pracę.

— Ale mnie to gównie interesuje! — Amy patrzyła na Caroline

327

P. D. JAMES

z przerażeniem. — To terroryści, prawda? I ty też do nich należysz. Jesteś cholerną terrorystką!

— A kim innym są agenci kapitalizmu? — zapytała spokojnie Caroline. — Czym są armie, policja, sądy? Kim Są przemysłowcy, wielonarodowe korporacje, które trzymają w garści trzy czwarte ludności świata, dając jej tylko nędzę i głód? Nie używaj słów, których nie rozumiesz.

— Rozumiem to słowo. I odpuść sobie ten protekcyjnalizm. Jesteś szajbnięta czy co? Coście planowali, na miłość boską? Dokonać sabotażu reaktora, uwolnić całą tę radioaktywność jeszcze gorzej niż w Czarnobylu, wykończyć wszystkich na przyładku, Timmy'ego, Neila, moje koty?

— Nie zamierzaliśmy sabotować reaktora ani powodować żadnego skażenia. Wystarczyłaby groźba, kiedy byśmy już opanowali te elektrownie.

— Elektrownie? Ile? Gdzie?

— Jedną tu, jedną we Francji i jedną w Niemczech. Akcja byłaby skoordynowana i wywarła pożądany skutek. Rzecz nie w tym, co moglibyśmy zrobić po opanowaniu tych elektrowni; ważny jest strach ludzi przed tym, co — ich zdaniem — moglibyśmy zrobić. Wojna jest rozwiązaniem przestarzałym i niepotrzebnym. Nie musimy dysponować armią. Wszystko, czego potrzebujemy, to kilku wyszkolonych, inteligentnych i oddanych towarzyszy o niezbędnych umiejętnościach. To, co nazywasz terroryzmem, może zmienić świat; biorąc pod uwagę zaangażowane siły i środki, jest znacznie bardziej efektywne niż ta militarystyczna machina śmierci, w której robił karierę mój ojciec. Jest tylko jeden element wspólny. Żołnierz, w ostateczności, jest gotów oddać życie za swoją sprawę. Cóż, my tak samo.

— Nic z tego nie wyjdzie! — wykrzyknęła Amy. — Rządy do tego nie dopuszczają!

— To się już dzieje i nikt nie jest temu w stanie zapobiec. Rządy nie są dostatecznie zjednoczone i brak im woli. A przecież to tylko początek.

— Zatrzymaj tę łódź — powiedziała Amy, patrząc na Caroline. — Ja wysiadam.

— I popłyniesz do brzegu? Albo utoniesz, albo zamarzniesz na śmierć. No i jest mgła.

Amy zwróciła uwagę na gęstniejącą mgłę. Jeszcze chwilę temu odnosiła wrażenie, iż widzi dalekie, przypominające gwiazdy, światła brzegu, że dostrzega czerń ospale przewalających się fal. Teraz jednak powoli, lecz nieuchronnie, wszystko pochłaniała lepka wilgoć. Wy-

328

INTRYG I ŻĄDZE

krzyknęła: — O Boże, odwieź mnie z powrotem. Musisz mnie wysadzić. Musisz. Ja chcę do Timmy'ego. Chcę do Neila.

— Nie mogę tego zrobić, Amy. Posłuchaj, jeśli nie chcesz w tym wszystkim maczać palców, to po prostu powiedz, kiedy pojawi się łódź. Wysadzą cię gdzieś na brzeg. Niekoniecznie w tych stronach, ale gdzieś. Nie są nam potrzebni niezdecydowani rekruci. I tak byłaby masa kłopotów ze zdobyciem dla ciebie nowego paszportu, nowej tożsamości. Ale jeśli nie chcesz się naprawdę zaangażować, to dlaczego zabiłaś Hilary Robarts? Czy sądzisz, że zależało nam na dochodzeniu skoncentrowanym na Larksoken, na tej całej uwadze policji, Rickardsie przesiadującym w elektrowni, na grzebaniu w życiorysach wszystkich podejrzanych? Skąd mogę mieć pewność, że nie pęknie, jeśli Rickards cię aresztuje, że tak w przesłuchaniu, jak i przed sądem nie wypaplasz wszystkiego o-Operacji Śpiew Ptaków?

— Oszalałaś? — wrzasnęła Amy. — Płynę na łódce z cholerną wariatką. Wcale jej nie zabiłam.

— Więc kto? Pascoe? To by było tak samo niebezpieczne.

— Jak mógł ją zabić? Wracał wtedy z Norwich. Trochę okłamaliśmy Rickardsa, ale był w przyczepie kwadrans po dziewiątej i całą resztę wieczoru spędziliśmy we trójkę, z Timmym. No i nie mieliśmy bladego pojęcia o tych wszystkich numerach Świstuna, wiesz, kaleczeniu czoła,

włosach... Sądziłam, że to ty ją zabiłaś.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Bo odkryła Operację Śpiew Ptaków. Czy nie dlatego uciekasz? Bo nie masz innego wyjścia? '

— Masz rację, że nie mam innego wyjścia, ale to nie z powodu Robarts. Ona niczego się nie dowiedziała. Bo niby skąd? Ale ktoś się dowiedział. Nie chodzi tylko o zabójstwo Hilary Robarts. Zaczęli mnie sprawdzać. Służby bezpieczeństwa. Jakoś wpadły na mój trop, przypuszczalnie przez jedną z naszych niemieckich komórek albo dzięki wtyczce w IRA.

— Skąd wiesz? Może uciekasz przed urojeniem.

— Za dużo tu zbiegów okoliczności. Na przykład ta ostatnia pocztówka, którą schowałaś w ruinach opactwa. Mówiłam ci, że leżała na odwrót. Ktoś ją przeczytał.

— Każdy mógł ją znaleźć. I wiadomość nic by mu nie powiedziała. Ja też nigdy nie umiałam się w nich połapać.

— Ktoś ją znalazł pod koniec września? Po sezonie urlopów i wycieczek? Znalazł i skrzętnie odłożył? Ale na tym nie koniec. Sprawdzali mieszkanie mojej matki. Matka ma gospodynię, która

32Q
P. D. JAMES

kiedyś była moją niańką. Właśnie ona zadzwoniła do mnie kilka godzin temu. Nie czekałam. Przekazałam sygnał, że się zwijam.

Za prawą burtą przesuwały się rozmyte, lecz wciąż widoczne światła brzegu. Hałas silnika przestał brzmieć natrętnie, wydawał się teraz cichym, niemal przyjemnym pomrukiem. A może, pomyślała Amy, po prostu do niego przywykłam. Wciąż jednak uważała za niesamowite, że sunąc tak cicho i miarowo przez ciemności, słucha głosu Caroline, opowiadającej te niewiarygodne rzeczy.

Opowiadającej o terroryzmie, zdradzie i ucieczce z takim spokojem, jakby omawiała szczegóły najbliższego pikniku. Amy zaś chciała słuchać, chciała wiedzieć. Stwierdziła, że pyta: — Gdzie ich poznałaś, no, tych ludzi, dla których pracujesz?

— W Niemczech. Miałam wtedy siedemnaście lat. Niania zachorowała i letnie wakacje spędziłam z rodzicami. Ojciec tam stacjonował. On nie zwracał na mnie większej uwagi, ale ktoś inny — tak. ~ To było tak dawno temu.

— Oni umieją czekać; ja też.

— A ta niańka czy gospodyni. Też uczestniczy w Śpiewie?

— Ona o niczym nie ma pojęcia, absolutnie o niczym. Musiałabym upaść na głowę, żeby ją wybrać. Stara idiotka, właściwie wyrzucony pieniądz, tyle że matka potrafi ją jakoś wykorzystać i ja też. Nienawidzi matki; powiedziałam jej, że mamuśka mnie szpieguje i poprosiłam, by dawała mi znać, ilekroć ktoś będzie o mnie pytał telefonicznie lub osobiście. Dzięki temu może wytrzymać z matką. Dzięki temu czuje się ważna, znajduje potwierdzenie, że jest dla mnie kimś, że ją kocham.

— A kochasz?

— Kiedyś kochałam. Jako dziecko musiałam kogoś kochać. Wyrosłam z tego i wyrosłam z niej. Cóż, był więc telefon i był gość. We wtorek zadzwonił jakiś Szkot albo ktoś udający Szkota. A dzisiaj był gość.

— Jaki gość?

— Młody facet, który oświadczył, że poznał mnie we Francji. Kłamstwo. Był z MI5. Któż inny mógł go wysłać?

— Ale nie możesz mieć pewności. A przynajmniej tyle pewności, by nadać ten sygnał, rzucić wszystko w diabły, zdać się na ich łaskę i niełaskę.

— Mogę. Pomyśl, kim innym mógł być? Zaistniały trzy odrębne incydenty: pocztówka, telefon i wizyta. Na co jeszcze miałam czekać? Aż faceci z bezpieczeństwa kopniakami wywalą moje drzwi?

— Jaki był ten dzisiejszy gość?

— Młody. Zdenerwowany. Niezbyt przystojny. No i nieszczególnie przekonujący. Nawet niania mu nie uwierzyła.

330

INTRYGII I ŻĄDZE

— Dziwny jak na agenta MI5. Nie stać ich na lepszych?

— Miał udawać kogoś, kto poznał mnie we Francji, trochę się zadurzył, chciał mnie zobaczyć ponownie i sprężył się na tyle, żeby złożyć osobistą wizytę. Oczywiście, że sprawiał wrażenie młodego i nerwowego. Takiego kogoś, na logikę, powinni posłać. Trudno sobie wyobrazić, żeby wybrali czterdziestoletniego repa z Curzon Street. Oni już umieją wytypować odpowiedniego człowieka do konkretnego zadania. Na tym polega ich robota. Był w porządku, nie ma sprawy. Może nawet wcale nie chodziło o to, żeby był przekonujący. Może usiłovali mnie przestraszyć, zmusić do działania, wyszczuć z kryjówki.

— No więc przystąpiłaś do działania, nie? Ale jeśli się mylisz co do tego wszystkiego, to jak zareagują faceci, dla których pracujesz? Swoją ucieczką spaliłaś Operację Ptasi Śpiew.

— Operacji zaniechano, ale nie powstało żadne zagrożenie na przyszłość. Moje instrukcje mówiły, że mam zadzwonić, jeśli zdobędę wyraźny dowód, że zostałam zdekonspirowana. Są takie dowody. I to jeszcze nie koniec. Mój telefon jest na podsłuchu.

— Chyba co do tego nie możesz mieć pewności.

— Nie mogę, ale mam.

Nagle Amy wykrzyknęła: — Co zrobiłaś z Remusem? Nakarmiłaś go, zostawiłaś mu wodę?

— Oczywiście, że nie. To ma wyglądać na wypadek. Muszą uwierzyć, że dwie lesbije wybrały się wieczorem popływać łódką i utonęły. Muszą uwierzyć, że miałyśmy w planie być na morzu najwyżej parę godzin. Remusa karmię zwykle o siódmej. Jak go znajdą, musi być głodny i spragniony.

— Ale może tak się zdarzyć, że zaczną cię szukać dopiero w poniedziałek! Pies dostanie szau, będzie ujadł i skamlał. Ty cholerna kurwo!

Rzuciła się zniecka na Caroline, godząc paznokciami w jej twarz i wykrzykując przekleństwa. Caroline była jednak dla niej za silna. Na przegubach Amy jak stalowe obręcze zacisnęły się dłonie przeciwniczki i chwilę później wylądowała plecami na grodzi. Przez łzy gniewu i rozpacz wyszeptowała: — Ale dlaczego? Dlaczego?

— Dla sprawy, której warto poświęcić życie. Niewiele jest takich.

— Nic nie jest warte życia, może z wyjątkiem innej osoby, kogoś, kogo się kocha. Ja umarłabym dla Timmy'ego.

— To nie jest żadna sprawa, to jest sentymentalizm.

— A jeśli postanowię umrzeć dla sprawy, to, do jasnej cholery, sama ją sobie wybiorę. I na pewno nie będzie nią terroryzm. Nie umrę dla sukinsynów, którzy podkładają bomby w knajpach, wysadzają

331

P. D. JAMES

w powietrze moich przyjaciół i pieprzą w czambuł zwyczajnych ludzi, bo ci nie mają żadnego znaczenie, kapujesz?

— Musiałaś jednak coś podejrzewać — powiedziała Caroline.

— Nie masz wykształcenia, ale nie jesteś też głupia. Nie wybrałabym cię, gdybym nie miała co do tego pewności. Nigdy mnie nie wypytywałaś, bo zresztą i tak nie otrzymałabyś żadnych odpowiedzi, ale przecież nie mogłaś sądzić, że zadajemy sobie tyle fatygi dla wystraszonych kociąt i mordowanych młodych foczek.

Jak to naprawdę wyglądało? — zastanawiała się Amy. Może w gruncie rzeczy wierzyła w intencje, nie wierząc zarazem w prawdopodobieństwo realizacji? Nie wątpiła w ich wolę; tylko w zdolności wykonawcze. A tymczasem miała doskonałą zabawę, uczestnicząc w tej całej konspiracji. Bawiły ją emocje, świadomość, że ma przed Neilem tajemnice, ten na poły wywoływany w sobie dreszczyk strachu, gdy po zapadnięciu ciemności wychodziła z przyczepy, aby ukrywać pocztówki w ruinach opactwa. Schowana za odłamkami falochronuomal nie wybuchła głośnym śmiechem owej nocy, gdy niewiele brakowało, a przyłapałiby ją pani Dennison i Dalgliesh. No i pieniądze też się przydawały — hojne wynagrodzenie za tak lekką robotę. I był ten sen, w którym flaga o nie znanym jeszcze wzorze powiewała nad elektrownią, zmuszając do szacunku, posłuchu, natychmiastowej reakcji. Mieli mówić całemu światu: „Przestańcie. Przestańcie natychmiast”. Mieli mówić w obronie zwierząt, więzionych w ogrodach zoologicznych, w obronie zagrożonych

wielorybów, zatrutych chorych fok, udreńczonych zwierząt laboratoryjnych, tych przerażonych stworzeń, które w smrodzie krwi i śmierci są zaganiane do szlach-tużów, w imieniu kur stłoczonych tak bardzo, że nie mogą nawet dziobać, w imieniu całego tego wykorzystywanego i prześladowanego świata braci mniejszych. Ale to było tylko marzenie. A rzeczywistość? — niematerialne deski pod stopami, ciemna, dusząca mgła, oleiste fale, uderzające o wątlą łódkę. Rzeczywistością była śmierć; nie miała alternatywy. Wszystko w jej życiu — od chwili, gdy poznała Caroline w tamtym pubie i gdy potem poszły razem do komuny — prowadziło do tej chwili prawdy, do tego koszmaru.

Jęknęła: — Chcę Timmy'ego. Co z moim dzidziusiem? Chcę mojego dzidziusia!

— Wcale nie będziesz musiała porzucać go na zawsze. Znajdą jakiś sposób, żeby was połączyć.

— Ty chyba jesteś głupia. Jakie miałyby życie z gangiem terrorystów? Spiszą go na straty tak samo, jak spisują wszystkich innych.

332

INTRYG I ŻĄDZE

— A twoi rodzice? — zapytała Caroline. — Nie mogliby go wziąć? Nie mogą się nim zaopiekować?

— Oszalałaś? Zwiąłam z domu, bo ojczym tłukł mamę. Kiedy zabrał się do mnie, poszłam na całość. Czy sądzisz, że pozwoliłabym tej parce wziąć Timmy'ego?

Jej matka chyba lubiła przemoc, a przynajmniej lubiła to, co po niej następowało. Dwa lata poprzedzające ucieczkę nauczyły Amy jednego: uprawiaj seks tylko z facetami, którzy pragną cię bardziej niż ty ich.

— A Pascoe? — zapytała Caroline. — Czy jesteś pewna, że o niczym nie wie?

— Jasne, że nie wie. Nie byliśmy nawet kochankami. On nie chciał mnie, ja nie chciałam jego. Był jednak ktoś, kogo pragnęła: przypomniała sobie nagle z wielką wyrazistością, jak leży z Aiexer wśród wydm; przypomniała sobie zapach morza, piasku i potu, zobaczyła znów jego poważną ironiczną twarz. Cóż, nie zamierza mówić Caroline o Aiexie. To jej prywatna tajemnica. Zachowa ją dla siebie.

Pomyślała o dziwnych ścieżkach, którymi dotarła do tego punktu w czasie i przestrzeni. Może gdyby tonęła, całe życie przemknęłoby przed jej oczyma — jak to się ponoć zdarza — niczym gwałtowny błysk, dopełnione w tej chwili ostatecznego unicestwienia, zrozumiane i uporządkowane. Ale teraz dostrzegła przeszłość w serii kolorowych slajdów, wyświetlanych szybko jeden po drugim: jakiś przelotny obraz, ledwie doświadczone, a już umykające uczucie. Nagle zaczęła gwałtownie dygotać. — Jest mi zimno — powiedziała.

— Kazałam ci zabrać ciepłe ubranie i nic więcej. Ten sweter to za mało.

— Nie mam innych ciepłych ubrań.

— Na przylądku? To co nosisz w zimie?

— Czasem Neil pożycza mi swoje palto. Nosimy je na zmianę, kto akurat wychodzi. Mieliliśmy nadzieję, że uda się coś kupić na kermaszu.

Caroline zdjęła kurtkę. — Masz, owiń się — powiedziała.

— Nie, to twoje. Nie chcę.

— Nałóż.

— Powiedziałam, że nie chcę.

Ale, jak dziecko, pozwoliła Caroline nałożyć na siebie i zapiąć kurtkę. Potem kucnęła, niemal wciskając się pod biegnącą wokół całego kokpitu wąską ławeczkę, byle tylko oddzielić się od grozy tych nadciągających bezgłośnie fal. Po raz pierwszy, i to każdym swoim nerwem, odczuła nieubłaganą potęgę morza. Ujrzała oczyma wyobra-

333

P. D. JAMES

źni, jak jej blade, martwe ciało osuwa się przez mile wilgotnej ciemności tam, gdzie na dnie czekają już szkielety żeglarzy, którzy utonęli przed nią, a obojętne morskie stwory przepływają pomiędzy wręgami prastarych wraków. Mgła natomiast, rzadsza teraz, lecz w tajemniczy sposób groźniejsza, stała się żywą istotą, wirującą łagodnie, dyszącą i odbierającą oddech, wciskającą w każdy por

skóry swe obrzydliwe wilgotne czułki. Było to uczucie tak sugestywne, że Amy zaczęła chciwie łapać powietrze. Nie sposób było uwierzyć, że gdzieś tam jest ład, jasne okna skryte pod zasłonami, światło wylewające się z drzwi pubów, wesołe głosy, ludzie siedzący w ciepłe i bezpieczeństwie. Zobaczyła przyczepę — tak jak wielokrotnie widziała ją, wracając z Norwich o zmroku: krzepki drewniany sześciobok, z pozoru zakorzeniony w glebie przylądka, odporny na wichury i morze; ciepła poświata w oknach; spirala dymu, sącząca się z komina. Pomyślała o Timmym i Neilu. Jak długo Neil będzie zwlekać z powiadomieniem policji? Nie należał do ludzi działających pochopnie. W końcu nie była dzieckiem, miała prawo gdzieś wyjść. Zapewne nie zrobi nic do rana, może nawet poczeka jeszcze dłużej. Ale co to ma za znaczenie? Policja nic nie będzie mogła zdziałać. O tym, gdzie są, wie tylko ta samotna postać stojąca w porcie; jeśli nawet podniesie alarm, będzie już za późno. Nie miała sensu nawet wiara w realne istnienie terrorystów. Były zagubione w tym wilgotnym mroku. Będą krążyć, aż wyczerpie się paliwo, potem zaczną dryfować, aż wreszcie dziób jakiegoś wielkiego statku pośle na dno ich wątłą łódź.

Straciła poczucie upływu czasu. Rytmiczny pomruk silnika nie przyniósł jej uspokojenia, lecz rodzaj letargu, w którym czuła jedynie twardość drewna, wbijającego się jej w plecy, i widziała tylko nieruchomą sylwetkę Caroline.

Przez kilka sekund w jej mózgu panowała zupełna cisza. Potem, gdy łódź lekko szarpnęła się w przód, Amy usłyszała skrzyp drewna i plusk wody. Wciągnęła w płuca duszącą wilgoć, poczuła, jak zimno przenika przez kurtkę i wsącza się do kości. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł je odnaleźć w tym bezmiarze wody i pustki; zresztą przestało ją to obchodzić.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała Caroline. — Tu się mamy z nimi spotkać. Musimy tylko poczekać, aż podpłyną.

Amy znów usłyszała warkot silnika, teraz zaledwie leciutkie pulsowanie. I nagle pojęła. Nie był to efekt świadomego procesu rozumowania, lecz oślepiająca i przerażająca pewność, która spłynęła na nią z wyrazistością wizji. Na jedną sekundę jej serce zamarło, potem drgnęło w gwałtownym spazmie i jego miarowy łomot pobudził ciało

334

INTRYG I ŻĄDZE

do życia. Niemal zerwała się na nogi. — Wcale nie wysadzą mnie na brzegu prawda? Zabijają mnie. Ty o tym wiesz. Wiedziałaś cały czas. Przywiozłaś mnie tu na śmierć.

Caroline nie spuszczała z oczu dwóch światła: błysków latarni morskiej i migotania wież ciśnień.

— Nie histeryzuj — powiedziała zimno.

— Nie puszczają mnie wolno, nie będą ryzykować, wiem za dużo. I sama mówiłaś, że nie na wiele im się przydam. Posłuchaj, musisz mi pomóc. Powiedz im, jaka byłam użyteczna, przekonaj, że warto mnie zatrzymać. Gdybym tylko znalazła się na brzegu, mogłabym spróbować jakoś się wymknąć. Ale muszę mieć szansę. Caroline, ty mnie w to wciągnęłaś. Musisz mi pomóc. Muszę wrócić na brzeg. Posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie, Caroline! Musimy porozmawiać.

— Przecież mówisz. I to, co mówisz, jest po prostu śmieszne.

— Tak? Naprawdę, Caroline?

Wiedziała, że nie powinna błagać. Pragnęłaby rzucić się do stóp Caroline i zaskowyczeć: „Popatrz na mnie. Jestem człowiekiem. Jestem kobietą. Chcę żyć. Moje dziecko mnie potrzebuje. Może nie jestem najlepszą matką, ale innej nie ma. Pomóż mi”. Wiedziała jednak zrodzoną z desperacji instynktowną mądrością, że poniżające błagania, płacz, chwytywanie za ręce budzą jedynie wstręt. Stawką jest życie. Musi zachowywać spokój, oprzeć się na argumentach. Musi jakoś znaleźć właściwe słowa. Powiedziała: — Nie chodzi tylko o mnie, chodzi również o ciebie. To może być dla nas obu wybór pomiędzy życiem a śmiercią. Ty im też nie będziesz potrzebna. Byłaś użyteczna, dopóki pracowałaś w Larksoken, dopóki mogłaś przekazywać im informacje o wewnętrznej strukturze elektrowni, o tym, kto i kiedy pełni służbę. Teraz, tak samo jak ja, jesteś tylko kamieniem u nogi. Nie ma żadnej różnicy. Jaka robotę mogłabyś wykonywać, żeby się im opłacało pomagać ci finansowo, zaopatrzyć cię w nową tożsamość? Nie zdołają cię wkręcić do innej elektrowni. A MI5, jeśli naprawdę wpadło na twój trop, nie przestanie szukać. Jeśli nasze zwłoki nie zostaną wyrzucone na brzeg, nie uwierzą tak łatwo w wypadek. A oni właśnie planują, że

zostaną wyrzucone. Co dla nich znaczą dwie ofiary więcej? Dlaczego akurat tu ma się odbyć spotkanie? Dlaczego tak daleko? Mogli nas wziąć na pokład znacznie bliżej lądu. Gdybyśmy im naprawdę były potrzebne, mogliby nas ewakuować drogą powietrzną. Caroline, wracajmy. Jeszcze nie jest za późno. Możesz powiedzieć tym ludziom, dla których pracujesz, że nie mogłaś wypłynąć, bo mgła była za gęsta. Jeśli nadal będziesz chciała uciekać, znajdą inny sposób, by ci w tym pomóc. Nic nikomu nie powiem, nie ośmielę się. Przysięgam ci na

335

p' I

' *4 -, ^- eə O. ,

P. D. JAMES

swoje życie. Jeśli teraz wrócimy, to będzie wyglądało tak, jakby dwie przyjaciółki wracały z krótkiego rejsu. Tu chodzi o moje życie, Carolinej a może również o twoje. Dałaś mi kurtkę. Teraz proszę o życie.

Nie dotknęła Caroline. Wiedziała, że niewłaściwy gest — niewykluczone nawet, że jakikolwiek gest — może mieć fatalne skutki. Ale wiedziała zarazem, że ta milcząca postać, zapatrzona nieruchomo przed siebie, podejmuje teraz decyzję. I patrząc na jej rzeźbioną, skupioną twarz, Amy pojęła po raz pierwszy w życiu, że jest zupełnie samotna. Nawet kochankowie, postrzegani teraz jako procesja stęzących, proszących twarzy i błędzących, łakomych rąk, byli tylko przypadkowymi nieznanymi, dającymi jej przelotne złudzenie, iż można dzielić życie. Nigdy też nie poznała Caroline i nigdy jej nie pozna, nie zrozumie nawet powierzchownie, co w jej przeszłości, może w dzieciństwie, doprowadziło do tego niebezpiecznego spisku i do tej chwili podejmowania decyzji. Fizycznie były tak blisko siebie, że słyszały swoje oddechy, a zarazem każda z nich tkwiła w swojej samotności i to takiej samotności, jak gdyby na całym tym ogromnym morzu nie było żadnej innej łodzi, żadnej innej żywej duszy. Może było im pisane umrzeć razem, ale każda z nich przejdzie przez mękę swojej własnej śmierci tak samo, jak przechodziła przez życie. No i nic już nie zostało do powiedzenia. Broniła swojej sprawy i wyzbyła się wszystkich słów. Teraz w ciemności i ciszy czekała na werdykt, czy będzie żyć, czy też umrze.

Wydawało się jej, że nawet czas stanął w miejscu. Caroline wyciągnęła rękę i wyłączyła silnik. W niesamowitej ciszy Amy słyszała głuchy, natarczywy łomot swojego serca. I wtedy Caroline przemówiła. Jej głos był spokojny, wyważony, jak gdyby Amy przedstawiła jej trudny problem teoretyczny, który należy rozstrzygnąć.

— Musimy odpłynąć z miejsca spotkania. Dysponujemy zbyt słabym silnikiem, aby im umknąć, jeśli nas znajdą i ruszą w pościg. Jedyne nasze nadzieje polega na tym, że jeśli oddalimy się stąd, wygasimy wszystkie światła i będziemy zachowywać ciszę, nie potrafia nas znaleźć w tej mgle.

— Czy nie mogłybyśmy wrócić do portu?

— Nie ma czasu. To przeszło dziesięć mil, a oni mają potężny silnik. Dopadną nas w okamgnieniu. Naszą jedyną szansą jest mgła.

I wtedy usłyszały, stępiony przez mgłę, lecz mimo to wyraźny, odgłos zbliżającej się łodzi.

Instynktownie przysunęły się do siebie, bojąc się nawet szeptać. Pojmowały, że jedyną szansę stwarza im cisza, mgła, możliwość przegapienia przez tamtych ich małej łodzi. Warkot

336

INTRYGI I ŻĄDZE

silnika jednak spotęźniał, stając się regularnym, dochodzącym zewsząd i znikąd, wibrującym pomrukiem. Potem, kiedy już były pewne, że dostrzegą dziób, wylaniający się z mroku, przestał przybierać na sile i Amy doszła do wniosku, że tamci powoli je okrążają. I wtedy nagle wrzasnęła. Szperacz przebił mgłę i poraził je z pełną mocą. Blask był tak oślepiający, że widziały tylko gigantyczny stożek światła, w którym cząsteczki mgły unosiły się jak srebrny, roziskrzony pył. Ochrypli głos z cudzoziemskim akcentem zapytał: — Czy to Skowronek z portu Wells?

Chwila ciszy, a potem Amy usłyszała głos Caroline. Był czysty i donośny, ale Amy wychwyciła w nim nutę najwyższego przerażenia: — Nie. Jest nas czwórka przyjaciół z Yarmouth, ale prawdopodobnie wejdziemy do Wells. Wszystko w porządku, nie potrzebujemy pomocy, dzięki. Szperacz jednak ani drgnął. W oślepiającym blasku łódka zdawała się trwać zawieszona pomiędzy morzem a niebem. Mijały sekundy. Nie padło ani jedno słowo więcej. Potem reflektor wyłączono i znów usłyszały, oddalający się tym razem, warkot silnika. Przez minutę, wciąż wyczekujące, wciąż zbyt przestraszone, aby mówić, dzieliły rozpaczliwą nadzieję, że wybieg zagrał. Później zrozumiały. Znów pochwyciło je światło. Rozległ się ryk silnika i z mgły wystrzeliła łódź. Caroline miała tylko czas dotknąć swym lodowatym policzkiem policzka Amy i powiedzieć: — Wybacz mi. Wybacz.

Zawisł nad nimi ogromny dziób. Amy usłyszała trzask pękającego drewna i łódź wyprysnęła z wody. Amy poczuła, że leci przez bezmiar wilgotnego mroku, a potem spada, spada nieskończenie długo, roz-krzyżowana w czasie i przestrzeni. Potem było pluśnięcie wody i chłód tak lodowaty, że przez kilka sekund nie czuła nic. Odzyskała zmysły, kiedy wypłynęła na powierzchnię, walcząc o złapanie oddechu, nieświadoma już zimna; czuła tylko potworny ból w piersiach, miazdżonych stalową obręczą, tylko zgrozę, tylko rozpaczliwe pragnienie utrzymania głowy nad wodą, przeżycia. Coś twardego otarło się o jej twarz, potem odpłynęło. Machając na oślep rękami, zacisnęła dłoń na desce z łodzi. Ta deska dawała przynajmniej szansę. Położyła na niej ramiona, czując błogosławioną ulgę, że nie musi już walczyć. Była teraz zdolna do racjonalnego myślenia. Dzięki desce będzie mogła zaczekać do rana, aż podniesie się mgła. Ale przecież na długo przedtem będzie martwa z zimna i wyczerpania. Jediną nadzieję stwarzało jej dopłynięcie do brzegu, tylko w którym kierunku leży brzeg? Gdyby mgła się podniosła, mogłaby dostrzec światła, może nawet światła przyczepy. I Neila, który do niej macha. Przecież to bzdura. Przyczepa jest

22 Intrygi i żądze

337

P. D. JAMES

odległa o wiele mil. Neil na pewno odchodzi już od zmysłów z niepokoju. No i nigdy nie skończy adresowania tych kopert. Timmy pewnie płacze z tęsknoty. Musi wrócić do Timmy'ego.

Na koniec jednak morze okazało się litościwe. Zimno, od którego ręce odrętwiały tak bardzo, że nie mogły już utrzymać deski, wprowiło także w odrętwienie umysł Amy. Osuwała się w nieświadomość, kiedy ponownie odnalazł ją szperacz. Nie myślała już i nie czuła strachu, kiedy łódź zawróciła, by na pełnej szybkości staranować jej ciało. Potem była już tylko cisza, ciemność i jedna drewniana deska, podskakująca łagodnie na powierzchni morza, które w tym miejscu zabarwiło się czerwienią.

4

W sobotę Rickards wrócił do domu po ósmej; było to wcześniej niż zwykle i po raz pierwszy od wielu tygodni zdołał obudzić w sobie uczucie, że ma przed sobą cały wieczór, a także możliwość wyboru sposobu, w jaki go spędzi: niespieszny posiłek, telewizja, radio, spokojne nadgonienie domowych powinności, telefon do Susie, wczesne pójście do łóżka. Nie mógł jednak znaleźć sobie miejsca. Mając do dyspozycji kilka wolnych godzin, nie wiedział, co z nimi począć. Przez moment zastanawiał się, czyby nie pójść na samotną kolację do jakiejś knajpki, ale trud jej wyboru, wydatek, nawet konieczność zarezerwowania stolika, wydawały się ceną nieproporcjonalnie wysoką wobec możliwej przyjemności. Wziął prysznic i zmienił ubranie, jak gdyby gorąca kąpiel była aktem rytualnego oczyszczenia z brudów jego pracy, morderstwa i niepowodzeń, który czekający go wieczór uczyni znaczącym i przyjemnym. Potem otworzył puszkę prażonej fasoli, opiekł cztery kielbaski i dwa pomidory, a następnie zaniósł to wszystko na tacy do salonu i zjadł posiłek, oglądając telewizję.

O dziewiątej dwadzieścia wyłączył odbiornik i przez kilka minut siedział nieruchomo z tacą na kolanach. Pomyślał, że musi wyglądać, jak jedno z tych współczesnych malowideł; Mężczyzna z tacą, sztywna znieruchomiała postać w zwykłym otoczeniu, które jednak sprawia niezwykle, a nawet złowieszcze wrażenie. Kiedy tak siedział, usiłując zmobilizować w sobie dość energii, żeby chociaż wstać i pozmywać, opanowało go znajome przygnębienie, poczucie, że jest we własnym

338

INTRYG I ŻĄDZE

domu kimś obcym. O ileż swobodniej czuł się pijąc whisky Dalgliesha, wśród rozjaśnionych blaskiem płomieni kamiennych ścian Wiatraka Larksoken aniżeli tu, we własnym salonie, na znajomyTM krzesło o sztywno tapicerowanym siedzisku, przy kolacji przyrządzonej z własnych produktów. I nie chodziło tylko o nieobecność Susie, tego usadowionego w krzesło naprzeciwko ducha w ostatni*11 miesiącu ciąży. Przyłapał się na tym, że porównuje te oba pokoje, szukając w swoich tak odmiennych na nie reakcjach przesłanek^ zdolnych wyjaśnić to pogłębiające się przygnębienie, którego własny le8° salon wydawał się po części symbolem, po części zaś przyczyną- Nie w tym sedno, że w wiatraku płonął prawdziwy ogień, syczący? strzelający prawdziwymi iskrami i pachnący jesienią, podczas gdy Jeg° był syntetyczny. Nie chodziło o to, że meble Dalgliesha były stare, pokryte niepodrabialną patyną stuleci, ustawione nie na pokaz> lecz dla wygody^ że obrazy były prawdziwymi olejami i autentycznymi akwarelami, że wreszcie ani jeden element wystroju nie znalazł tam, jak się zdawało, miejsca tylko dlatego, iż dostrzeżono w nim jakąś szczególną autonomiczną wartość. Przede wszystkim, uznał Rickards, różnica polega na książkach, dwóch ścianach półek dźwigających książki wszelkiego wieku i rodzaju, książki użytkowe i książki dla przyjemności płynące tak z lektury, jak i po prostu trzymania w dłoniach. Skromny ich księgozbiór znalazł przytułek w sypialni. Susie zdecydowała, że książki są zbyt różnorodne, zniszczone i nieliczne, aby zasługiwały na eksponowanie w miejscu, które darnie zwała salonem. Zbiór współczesnych powieści sensacyjnych w wydaniach broszurowych, cztery tomy z klubu książki, do którego należał przez dwa lata, kilka pozycji podróźniczych w twardej oprawie podręcz-niki policyjne, szkolne nagrody Susie za staranność i szydełkowanie — to była cała ich biblioteka. Ale dziecko powinno dorastać w otoczeniu książek. Czytał gdzieś, że codzienny kontakt z książka*111' rodzice zachęcający do czytania, to najlepszy początek życia. Może należałoby obudować kominek regałami i zacząć zbierać. Dickens: lub*1 Dickensa w czasach szkolnych; oczywiście Szekspir i najwięksi angi^scy Poeci-Jego córka — ani przez moment nie wątpili z Susie, że dziecko będzie dziewczynką — pokocha poezję.

To wszystko jednak musi poczekać. Na razie warto by się wziąć do sprzątnia. Panująca w pokoju atmosfera ponurej prete»s)°na*noscl była w części związana, pojął Rickards, z brudem. Ich salon przypominał zapuszczony pokój hotelowy, na którym położono kreskę, bo albo nie spodziewano się, że ktokolwiek zechce w nim zamieszkać albo też miał zamieszkać ktoś, komu jest wszystko jedno. Uświador*11! sobie, że

339

P. D. JAMES

powinien był zatrzymać panią Adcock, która w środy przychodziła sprzątać na trzy godziny. Ale pracowała dla nich tylko przez dwa ostatnie miesiące ciąży Susie. Rickards rzadko ją widywał i bardziej z umiłowania prywatności aniżeli braku zaufania myślał z niechęcią o powierzaniu kluczy do domu osobie prawie nieznamomej. Mimo zatem złych przeczuć Susie wypłacił pani Adcock odprawę i oświadczył, że poradzi sobie sam.

Dołożył statki z kolacji do wielu innych, wypełniających już zmywarkę, i wziął z szuflady pierwszą z ułożonych tam w staranny stosik ściereczek. Kurz grubą warstwą pokrywał wszystkie powierzchnie. Przeciągnąwszy ścierką po parapecie w salonie stwierdził ze zdziwieniem, że pokryła się tłustym czarnym brudem.

Potem przeniósł się do holu. Mimo, a może za sprawą codziennego podlewania, stojący obok telefonu cyklamen nieoczekiwanie uwiadł. Stał ze ściereczką w dłoni zastanawiając się, czy wyrzucić roślinę, czy też istnieje szansa jej uratowania, gdy usłyszał zgrzyt kół na podjeździe. Uchylił drzwi, a potem pchnął je z taką mocą, że odbiły i zatrzasnęły się z hukiem. On jednak stał już u drzwi taksówki, chwytając w ramiona zaokrągloną kobiecą postać.

— Kochanie, kochanie, dlaczego nie zadzwoniłaś?

Przytuliła się do niego. Dostrzegł ze współczuciem białą przezroczystą skórę i cienie pod oczyma. Nawet pod grubym tweedem płaszcz zdawał się wyczuwać ruchy dziecka.

— Nie miałam czasu. Mama wyszła do pani Blenkinsop, która mieszka parę kroków dalej. Zdażyłam tylko zadzwonić po taksówkę i zostawić mamie karteczkę. Musiałam przyjechać. Nie

jesteś zły?

— Moje kochanie, moja najdroższa. Jak się czujesz?

— Zmęczona. — Roześmiała się. — Kochany, zatrzasnąłeś drzwi. Będziesz musiał skorzystać z mojego klucza.

Wziął od niej torebkę, wygrzebał klucze i portmonetkę, zapłacił taksówkarzowi, który tymczasem postawił walizkę Susie koło drzwi. Dłonie drżały mu tak bardzo, że w trudem włożył klucz do zamka. Na poły przeniósł Susie przez próg i ostrożnie posadził ją na krześle w holu.

— Posiedź tu sekundkę, kochanie, przyniosę walizkę.

— Terry, ten cyklamen zupełnie zmarniał. Za często go podlewałeś.

— Nie, nie w tym rzecz. Umarł z tęsknoty za tobą. Roześmiała się. Był to mocny, radosny śmiech. Miał ochotę porwać

ją na ręce i krzyczeć ze szczęścia. Susie nagle spowaźniała. — Czy mama dzwoniła?

340

INTRYG I ŻĄDZE

— Jeszcze nie, ale na pewno zadzwoni.

I wtedy, jak na zawołanie, zaterkotał telefon. Chwycił słuchawkę. Tym razem czekał na głos teściowej bez niepokoju i lęku. Tym jednym cudownym uczynkiem Susie już na zawsze wyrwała ich oboje spod niszczącego wpływu jej matki. Czuł się tak, jakby ogromna fala uniosła go z morza nieszczęść i na zawsze postawiła na skale, dającej stopom mocne oparcie. Przez sekundę dostrzegł na twarzy Susie wyraz niepokoju, ostry jak skurcz bólu; potem jednak żona wstała niezgrabnie, przytuliła się do niego i wsunęła rękę w jego dłoń. Lecz osobą, która telefonowała, nie była pani Cartwright.

— Do komendy zadzwonił Jonathan Reeves i połączyli go ze mną — powiedział Oliphant. — Mówi, że Caroline Amphlett i Amy Camm wypłynęły razem łodzią. Nie ma ich już od trzech godzin, a mgła coraz bardziej gęstnieje.

— Więc dlaczego zadzwonił na policję? Powinien to zgłosić Straży Przybrzeżnej.

— Ja to zrobiłem, panie nadkomisarzu. Ale właściwie zadzwonił z innego powodu. Nie spędził z Amphlett tego niedzielnego wieczoru. Ona była na przylądku. Chciał powiedzieć, że Amphlett skłamała. Tak samo, jak on.

— Nie pierwszy i nie ostatni. Ściągniemy ich z samego rana i posłuchamy ich wyjaśnień. Nie mam wątpliwości, że Amphlett będzie jakieś miała na podorędziu;

— Dlaczego jednak kłamała, jeśli nie ma nic do ukrycia? — zapytał Oliphant flegmatycznie. — I nie chodzi tylko o fałszywe alibi. Reeves powiada, że ten ich cały romans był dęty, że Amphlett wykorzystywała go, aby zataić swój lesbijski związek z Camm. Po mojemu one obie maczały w tym palce. Amphlett, jak wszyscy z Larksoken, wiedziała o tych nocnych kąpielach Robarts. No i blisko jak nikt współpracowała z Mairem. Była jego sekretarką osobistą. Mair mógł jej opowiedzieć w szczegółach o tamtym przyjęciu, a przy okazji o metodach Świstuna. Z butami też nie byłoby problemu. O skrzyni na plebanii wiedziała przynajmniej Camm. Ubiera dzieciaka w te kościelne ciuchy.

— Nie byłoby problemu ze zdobyciem butów — zauważył Rickards — ale byłby problem z ich noszeniem. Żadna z kobiet nie ma takiego rozmiaru stopy.

Oliphant zbagatelizował tę, jak zapewne uważał, dziecinną obiekcję. Powiedział: — Nie miały czasu próbować. Lepiej było złapać buty za duże niż za małe, lepiej miękkie, niż twarde. No i Camm ma motyw, panie nadkomisarzu. Podwójny motyw. Groziła Robarts, kiedy ta pchnęła jej małego. Mamy zeznanie pani Jago w związku z tą kłótnią.

341

P. D. JAMES

Poza tym, jeśli chciała pozostać w przyczepie, blisko kochanki, było ważne, aby nie dopuścić do procesu Robarts przeciwko Neilowi Pascoe. Camm wiedziała niemal na pewno, gdzie wieczorami pływa Robarts. Albo od Amphlett, albo od Pascoe. Pascoe się przyznał, że czasami latał ją podglądać. Plugawy gnojek. I jest coś jeszcze. Camm ma tę smycz, pamięta pan? Amphlett też, skoro o tym mowa. Reeves powiada, że w niedzielę wieczorem była na przylądku ze swoim psem.

— Na miejscu zbrodni nie znaleźliśmy żadnych psich śladów, sierżancie. Niech się pan zanadto nie podnieca. Może ona była gdzieś w pobliżu, ale pies na pewno nie.

— Zamknęła go w samochodzie, panie nadkomisarzu. Może nie miała go przy sobie, ale moim zdaniem użyła smyczy. Jest jeszcze jedno. Te dwa kieliszki w Tymiankowej Chacie. Według mnie Caroline Amphlett była z Hilary Robarts, zanim ta wzięła swoją ostatnią kąpiel. Jest sekretarką Maira. Robarts by ją wpuściła bez gadania. Wszystko się zgadza, panie nadkomisarzu. Mamy wodoszczelną sprawę.

Wodoszczelną jak sito, pomyślał Rickards. Oliphant jednak miał słuszość, była to jakaś wersja, chociaż nie dysponowali na razie ułamkiem dowodu. Nie może dopuścić, żeby uprzedzenia wobec człowieka odebrały mu trzeźwość sądu. A jeden fakt był przygnębiająco oczywisty. Ta teoria, w wypadku aresztowania innego podejrzanego, będzie — mimo braków jakichkolwiek dowodów — darem niebios dla obrońcy..

Powiedział: — Pomysłowe, ale w całości oparte na poszlakach. Tak czy inaczej, może poczekać do jutra. Dziś już nic nie możemy zdziałać.

— Powinniśmy pogadać z Reevesem, panie nadkomisarzu. Do rana może zmienić swoją śpiewkę.

— Więc niech pan z nim pogada. I proszę dać mi znać, kiedy wróci Amphlett i Camm. Widzimy się jutro w Hoveton o ósmej. Wtedy je ściagniemy. I nie chcę, by którąkolwiek z nich przesłuchiowano przed moim przyjazdem. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak jest, panie nadkomisarzu. Dobranoc, panie nadkomisarzu. Kiedy odłożył słuchawkę, Susie powiedziała: — Jeśli sądzisz, że powinieneś jechać, kochany, to nie zwracaj uwagi na mnie.

— To nic pilnego. Oliphant da sobie radę. Lubi sobie porządzić. Nie odbierajmy naszemu słonikowi uciechy.

— Ale nie chcę sprawiać ci kłopotów, kochanie. Mama sądziła, że w czasie mojej nieobecności będzie ci się lepiej żyło.

342

INTRYGII I ŻĄDZE

Odwrócił się i wziął ją w ramiona. Ustami wyczuł na jej twarzy swe własne ciepłe łyzy. — W czasie twojej nieobecności nigdy nie żyje mi się lepiej — powiedział.

5

Ciała, lub to z nich, co umożliwiło pewną identyfikację, zostały wyrzucone na brzeg dwa dni później, w odległości dwóch mil na południe od Hunstanton. W poniedziałek rano emerytowany urzędnik skarbowy spacerujący ze swoim dalmatyńczykiem po plaży zauważył, że pies obwąchuje coś, co wygląda na miotany falą, spowity w wodorosty blok smalcu. Kiedy podszedł bliżej, przedmiot został wessany przez cofającą się falę, a potem, uniesiony na grzbiecie następnej, opadł wprost u jego stóp. Mężczyzna z pełną niedowierzania zgrozą rozpoznał wtedy równo odcięty w pasie tors kobiety. Przez sekundę stał skamieniały, patrząc jak woda pieni się w pustym lewym oczodole i porusza rozplaszczonymi piersiami. Potem odwrócił się i gwałtownie zwymiotował, a wreszcie, zataczając się jak pijany, ciągnąc psa za obroże, ruszył niemal na oślep po kamiennym usypisku.

Ten sam przypyływ wraz z deskami i częścią dachu kabiny wyrzucił nie uszkodzone zwłoki Caroline Amphlett. Odnalazł je podczas jednego ze swych regularnych patroli Przygłup Billy, nieszkodliwy i przyjacielski śmieciarz plażowy. Najpierw zauważył deski i z radosnym popiskiwaniem wyciągnął je na brzeg. Potem, zabezpieczywszy zdobycz, zwrócił uwagę na topielicę. Nie był to pierwszy trup, jakiego znalazł podczas czterdziestoletniej kariery zawodowej; wiedział, co musi zrobić, kogo ma powiadomić. Najpierw, ujawszy zwłoki pod pachami, wyciągnął je poza zasięg fal. Potem, pojękując z cicha, jakby opłakiwał swoją niezgrabność i brak reakcji ze strony zwłok, uklęknął obok nich i zdjawszy kurtkę, okrył nią postrzępioną koszulę i spodnie dziewczyny.

— Milusio? — zapytał. — Milusio?

Na koniec wyciągnął rękę, odgarnął z jej oczu kosmyk włosów i kołysząc się z lekka zaczął nucić coś na kształt dziecinnej kołysanki.

P. D. JAMES

Dalgliesh trzykrotnie po lunchu w czwartek złożył pieszce wizyty w przyczepie, ale nie zastał Neila Pascoe ani razu. Wolał nie sprawdzać telefonicznie, czy Pascoe już wrócił: nie przychodziło mu do głowy racjonalne uzasadnienie chęci zobaczenia się z nim i uznał, że będzie najlepiej, jeśli odwiedziny w przyczepie sprawią wrażenie zupełnie przypadkowych, jakby pod wpływem impulsu zdecydował się na nie podczas spaceru. W pewnym sensie mogła to być wizyta w celu złożenia kondolencji; tę wersję jednak, znając Amy Camm zaledwie z widzenia, uznał za równie nieuczciwą co mało przekonującą. Krótco po piątej, kiedy dzień zaczął szarzeć, spróbował ponownie. Tym razem drzwi przyczepy były szeroko otwarte, ale Neila Pascoe nie dostrzegł nigdzie w pobliżu. Stał niezdecydowany, co robić dalej, gdy zza krawędzi klifu uniósł się kłęb dymu i krótko strzelił płomień; zaraz potem powietrze wypełnił ostry zapach ogniska.

Dalgliesh podszedł do skraju klifu i zobaczył niezwykłą scenę. Pascoe ułożył w krąg duże kamienie i bryły betonu, rozniecił z chrustu ogień i teraz wrzucał do niego papiery, tekturowe teczki, pudła i chyba rozmaite sztuki odzieży. Stos innych rzeczy, czekających na spalenie, był dociśnięty elementami, też niewątpliwie przeznaczonego dla ognia, łódeczka Timmy'ego. Poplamiony, zgięty materac leżał na boku jak prowizoryczna, nieefektywna osłona przed wiatrem. Pascoe, ubrany tylko w niezgrabne spodnie, błyskając oczyma w poczerniałej twarzy i zapoconym torse, miotał się niczym demon w tańcu Świętego Wita. Kiedy Dalgliesh zsunął się ze stoku i podszedł do ogniska, powitał go krótkim skinieniem głowy i z desperackim pośpiechem jał wyciągać spod drążków łódeczka małą obszarpaną walizkę. Potem wskoczył na dwa głązy stanowiące obramowanie ogniska i stojąc na szeroko rozstawionych nogach złapał równowagę. W czerwonym blasku płomieni jego lśniące ciało wydawało się przez moment przezroczyste, jak gdyby rozświetlone od wewnątrz, spływające zaś z ramion duże krople potu przypominały krew. Pascoe wrzasnął, uniósł walizkę wysoko nad ogniem i otworzył ją nagłym szarpnięciem. Dziecinne -łaszki kolorową ulewą poleciały w dół i schwyte w pół drogi przez jezor ognia rozbłysły krótkimi płomieniami, skrzyły się i poczerniały znikły w samym sercu żaru. Pascoe stał przez moment, oddychając ciężko, a potem zeskoczył na ziemię z na poły rozpaczliwym, na poły triumfalnym okrzykiem. Dalgliesh w tym wspólnym zgiełkliwym koncercie wiatru, ognia i morza rozumiał, a nawet w części dzielił jego

344

INTRYG I ŻĄDZE

uniesienie. Przy każdym porywie wiatru płomień ryczały i syczały, tak że dostrzegał przez rozedrganą gorącą mgłę nabiegłe jakby krwią żyłkowania fal, rozbijających się o brzeg. Gdy Pascoe wrzucił do ognia kolejne pudło papierów, zwęglone fragmenty uniosły się i zatańczyły jak ogarnięte szaleństwem ptaki, musnęły w locie twarz Dalgliesha i czarną wysypką pokryły górną część kamiennej ławicy. Dalgliesh poczuł pieczenie w oczach.

— Czy przypadkiem nie zaśmieca pan plaży? — zapytał donośnie. Pascoe odwrócił się do niego i przekrzykując ryk płomieni odrzekł:

— A co to ma za znaczenie? Przecież zaśmiecamy tę całą cholerną planetę.

— Niech pan zasypie to piaskiem i zostawi do jutra — odkrzyknął Dalgliesh. —• Dziś za mocno wieje na palenie ognisk.

Przewidywał, że sugestia zostanie zignorowana, ku jego wszakże zaskoczeniu, przywołała Neila Pascoe do rzeczywistości. Odpłynęła zeń cała werwa i uniesienie. Popatrzył w ogień i powiedział tępo:

— Chyba ma pan rację.

Obok stosu rupieci leżała zardzewiała łopata i szpadel. Obaj mężczyźni zaczęli zasypywać ognisko piaskiem i kamykami. Kiedy ostatni czerwony jezor skończył z gniewnym sykiem, Pascoe odwrócił się i pobrnął plażą w kierunku klifu. Dalgliesh podążył za nim. Pytanie, którego się nieco obawiał— „Ma pan jakąś sprawę? Po co chciał się pan ze mną zobaczyć?” — nie zostało zadane ani na głos, ani, najwyraźniej, w myślach.

Doszedłszy do przyczepy Pascoe kopniakiem otworzył drzwi i opadł przy stole. Powiedział: — Chce pan piwa? Albo herbaty? Kawa mi się skończyła.

— Nie, dziękuję.

Dalglish obserwował, jak Pascoe przeciska się do lodówki, wraca do stołu, otwiera puszkę i przechyliwszy głowę do tyłu jednym strumieniem wlewa do gardła całe piwo.

Milczeli obaj; Dalglish odnosił wrażenie, że jego towarzysz prawie nie zwraca na niego uwagi. W przyczepie było ciemno i twarz Neila Pascoe przypominała z odległości dwóch stóp rozmyty owal, w którym nienaturalnie jasno błyszczały białka oczu. Mamrocząc coś na temat zapalek, Pascoe niezgrabnie wstał; rozległ się trzask, syk, zapłonęła ustawiona na stole lampa naftowa. W jej nabierającym siły blasku twarz Neila Pascoe, pokryta brudem i smugami sadzy, wydawała się wymizerowana i martwa, oczy zaś były przytępione cierpieniem. Wiatr wstrząsał przyczepą, lecz nie czynił tego brutalnie; było tak, jakby w regularne kołysanie wprawiały ją czyjeś niewidzialne ręce. Roz-

345

P. D. JAMES

suwane drzwi w końcu pomieszczenia były otwarte i Dalglish widział wąskie łóżko, a na nim stos kobiecych ubrań, zwieńczony kupką tub, pojemników i buteleczek. Poza tym przyczepa sprawiała wrażenie wysprzątanej, lecz jednocześnie ogołoconej — chwilowego i źle wyposażonego przytuliska raczej niż domu. Wciąż jednak w powietrzu wisiał charakterystyczny zapach niemowlęcia — fekaliów i mleka. I przyczepę, i myśli obu mężczyzn wypełniała nieobecność Tim-my'ego oraz jego matki.

Po wielu minutach milczenia Pascoe podniósł wzrok. — Spaliłem całe archiwum SPEN-u razem z resztą tego śmiecia. Jak się pan zresztą przypuszczalnie domyślił. Nigdy nie było z tego cyrku żadnego pożytku. SPEN zaspokajał tylko moją potrzebę bycia kimś ważnym. Sam pan przecież powiedział coś w tym stylu, kiedy odwiedziłem pana w wiatraku.

— Naprawdę? Nie miałem do tego prawa. Co pan teraz zrobi?

— Pojadę do Londynu i rozejrzę się za pracą. Uniwersytet nie przedłuży mi stypendium na przyszły rok. Nie mam o to pretensji. Wolałbym wprawdzie wrócić na północny wschód, ale Londyn stwarza większe nadzieje.

— Jaką pracą?

— Jakąkolwiek. Pieprzę, czym się będę zajmował, byle było z tego parę groszy i bylebym nie odbierał roboty innym.

— Co się stało z Timmym? — zapytał Dalglish.

— Zabrały go miejscowe władze. W oparciu o postanowienia kodeksu opiekuńczego czy coś w tym stylu. Wczoraj przyszły po niego dwie opiekunki społeczne, zupełnie przyzwoite kobieciny, ale nie chciał z nimi iść. Wrzeszczał i musiały go ode mnie odrywać. Co to za społeczeństwo, które robi dzieciom takie rzeczy?

— Nie sądzę, żeby miały jakikolwiek wybór — odparł Dalglish. — Przecież należało mu zapewnić jakąś przyszłość. Nie mógł tu z panem pozostawać w nieskończoność.

— Niby dlaczego nie? Opiekowałem się nim przeszło rok. No i przynajmniej ocaliłbym coś z tego całego bagna.

— Czy odnaleźli rodzinę Amy? — zapytał Dalglish.

— Nie mieli za dużo czasu, prawda? I nie spodziewam się, że mi powiedzą, kiedy ją znajdą. Timmy mieszkał tu przez rok z górą, ale ja liczę się mniej niż dziadkowie, których nie widział w życiu i którym prawdopodobnie kompletnie wisi.

Wciąż trzymał pustą puszkę po piwie. Obracając ją powoli w dłoniach, powiedział: — Tak naprawdę najbardziej porusza mnie w tym wszystkim dwulicowość. Przypuszczałem, że jej zależy. Och,

346

INTRYGI I ŻĄDZE

nie na mnie, ale na tym, co usiłowałem zrobić. Tymczasem to była gra. Wykorzystywała mnie, wykorzystywała to miejsce, żeby być blisko Caroline.

— Przecież nie mogły widywać się zbyt często — powiedział Dalglish.

— Czy ja wiem? Pewnie kiedy wyjeżdżałem, wymykała się na spotkanie z kochanką. Timmy

musiał tu siedzieć samotnie całymi godzinami. Nigdy się nim nie przejmowała. Koty były dla niej ważniejsze niż Timmy. Wzięła je pani Jago. Będzie im dobrze. Na przykład wychodziła w niedzielne popołudnia, oświadczając mi beczelnie, że ma randkę na wydmach. Sądziłem, że żart, chciałem w to wierzyć. A cały czas naprawdę spotykała się z Caroline, kochały się, naśmiewały ze mnie.

—: Na potwierdzenie tego, że były kochankami, ma pan tylko słowa Reevesa — zauważył Dalgliesh. — Caroline mogła go okłamać.

— Nie, nie, nie kłamała, jestem pewien. Wykorzystały nas dwóch, Reevesa i mnie. Amy nie była... jakby to powiedzieć, nie była niedopieczona. Mieszkaliśmy razem przeszło rok. Drugiej nocy Amy... cóż, zaproponowała, że pójdzie ze mną do łóżka. Ale to był jej sposób zapłacenia za wikt i dach nad głową. Wówczas żadnemu z nas nie wyszłoby to na dobre. Ale po jakimś czasie zacząłem chyba mieć nadzieję. To znaczy, kiedyśmy tak mieszkali razem, zadurzyłem się w niej. Ale ona w gruncie rzeczy brzydziła się mną fizycznie. I kiedy wracała z tych niedzielnych spacerów — wiedziałem. Wmawiałem sobie, że to urojenie, ale wiedziałem. Po prostu biło z niej szczęście.

— Czy rzeczywiście to dla pana tak ważne, ten romans z Caroline, zakładając, że był prawdziwy? Czy to wszystko, co was łączyło

— sympatia, przyjaźń, koleżeństwo, opieka nad Timmym — czy więc to wszystko traci dla pana całe znaczenie tylko dlatego, że uprawiała swoje życie seksualne poza ścianami tej przyczepy?

— Zapomnieć i wybaczyć? — powiedział Pascoe z goryczą.

— W pańskich ustach to wygląda tak prosto.

— Nie przypuszczam, aby mógł pan czy nawet chciał zapomnieć. Nie rozumiem jednak, dlaczego użył pan słowa „wybaczyć”. Nie składała przecież żadnych obietnic.

— Gardzi pan mną, prawda?

Jakże nieprzyjemny jest ten psychiczny masochizm osób głęboko nieszczęśliwych — pomyślał Dalgliesh. Niemniej jednak musiał zadać pewne pytanie.

— Czy nie zostawiła nic — dokumentów, zapisków, dziennika

— z czego wynikałoby, co robiła na przylądku?

347

P. D. JAMES

— Nic, a poza tym wiem, co tu robiła, po co przyjechała. Przyjechała, żeby być blisko Caroline.

— Czy miała jakieś pieniądze? Choć ją pan utrzymywał, musiała mieć jakieś własne pieniądze.

— Zawsze miała trochę gotówki, choć nie wiem, skąd ją brała. Nigdy mi nie mówiła, a ja nigdy nie pytałem. Wiem natomiast, że nie pobierała zasiłków. Powiedziała, że sobie nie życzy, aby Opieka weszła, czy ze sobą sypiamy. Rozumiałem ją, - Podzielam ten punkt widzenia.

— I zapewne nie otrzymywała żadnej korespondencji.

— Od czasu do czasu dostawała pocztówki. W gruncie rzeczy dosyć regularnie. Musiała mieć w Londynie jakichś przyjaciół. Nie wiem, co później robiła z tymi kartkami. Pewnie wyrzucała. W przyczepie nie ma nic prócz jej ciuchów i kosmetyków. Spalę je w następnej kolejności i wówczas nie pozostanie już żaden ślad, że tu kiedykolwiek mieszkała.

— Wreszcie sprawa morderstwa — powiedział Dalgliesh. — Czy • sądzi pan, że Caroline Amphlett zabiła Robarts?

— Może. Nic mnie to nie obchodzi. To już nie ma żadnego znaczenia. Jeśli nawet tego nie zrobiła, to i tak Rickards robi z niej kozła ofiarnego, z niej i z Amy.

— Ale tak naprawdę nie wierzy pan, że Amy mogła się dopuścić zbrodni?

Pascoe popatrzył na Dalgliesha z irytacją i złością nie rozumiejącego dziecka. — Nie wiem! Niech pan posłucha, ja jej nigdy naprawdę nie znałem. To właśnie usiłuję panu powiedzieć. Nie wiem! I nic mnie to nie obchodzi, odkąd zabrano Timmy'ego. Mam w głowie taki cholerny kociokwik... jestem wściekły z powodu tego, co zrobiła, kim była. Jestem zrozpaczony, bo nie żyje. Człowiek chyba nie może być jednocześnie zrozpaczony i wściekły. Powinienem ją oplakiwać, a tymczasem czuję ten piekielny gniew.

— Och, tak — powiedział Dalgliesh. — Człowiek może czuć jednocześnie rozpacz i gniew. To najbardziej typowa reakcja na utratę kogoś bliskiego.

Nagle Pascoe zaczął płakać. Pusta puszka brzęknęła o stół, pochylił nad nią głowę, jego ramionami wstrząsnęło drzenie. Kobiety, pomyślał Dalgliesh, radzą sobie z rozpaczą lepiej niż my- Widział je przy tej robocie tyle razy — policjantki, które instynktownie brały w ramiona zrozpaczoną matkę czy dziecko. Oczywiście, pewni mężczyźni też są w tym dobrzy. Na przykład Rickards w dawnych czasach. On sam miał niezłe gadanie, ale, w końcu, słowa były jego rzemiosłem. Natomiast

348

INTRYG I ŻĄDZE

■ Może zrobilibyśmy

sprawiało mu kłopoty coś, co ludziom o prawdziwie szerokim sercu przychodziło ze spontaniczną łatwością: gotowość, by dotknąć i być dotykany. Pomyślał: Jestem tu pod fałszywym pretekstem. Gdyby nie to, może umiałbym zareagować odpowiednio.

— Wiatr chyba trochę osłabł — powiedział, porządek na plaży?

Godzinę później Dalgliesh był gotów wracać do wiatraka. Kiedy zegnał się z Neilem Pascoe u drzwi przyczepy, podskakując na kępach trawy podjechała niebieska fiesta z młodym człowiekiem za kierownicą.

— Jonathan Reeves — wyjaśnił Pascoe. — Był zaręczony z Caroline Amphlett, a przynajmniej tak mu się zdawało. Wyrolowała go tak samo, jak Amy mnie. Wpadł tu raz czy dwa, żeby pogadać. Pomyśleliśmy, żeby może skoczyć do „Naszego Bohatera” na partyjkę bilardu.

Nie jest to, uznał Dalgliesh, wizja pociągająca: dwóch mężczyzn złączonych wspólną rozpaczą, którzy przy piwie i bilardzie pocieszają się wymianą opowieści o perfidii ich kobiet. Pascoe najwyraźniej uznał, że powinien go przedstawić przybytemu i oto Dalgliesh złapał się na tym, że potrzasa zaskakująco krzepką dłonią i składa formalne kondolencje.

Jonathan Reeves powiedział: — Wciąż w to nie mogę uwierzyć, ale zapewne tak się zawsze mówi po czyjejs nagłej śmierci. No i nie mogę oprzeć się uczuciu, że nastąpiło to z mojej winy. Powinienem być je zatrzymać.

— Były dorosłymi kobietami — stwierdził Dalgliesh. — Przypuszczalnie wiedziały, co robią. Jedynym, i to mało realnym sposobem powstrzymania ich, jaki potrafię sobie wyobrazić, byłoby zastosowanie siły fizycznej.

— Powinienem je być powstrzymać — powtórzył z uporem Reeves, a po chwili milczenia dodał:

— Wciąż mam ten sen, właściwie koszmar. Stoi, trzymając dziecko na rękach, obok mojego łóżka i mówi: „To wszystko twoja wina. Wyłącznie twoja wina”

— Caroline stoi z Timmym? — zapytał Pascoe.

Reeves popatrzył nań tak, jakby się dziwił, że ktokolwiek może być aż tak tępy. Odrzekł: — Nie Caroline. Przychodzi do mnie Amy. Amy, której wcale nie znałem, przychodzi do mnie ociekając wodą, z dzieckiem na rękach, i mówi, że to wszystko moja wina.

P. D. JAMES

7

Nieco ponad godzinę później opuściwszy przylądek Dalgliesh jechał na zachód szosą A1151. Po dwudziestu minutach skręcił w wiodącą na południe wąską drogę wiejską. Zapadł już mrok, a niskie, gnane i szarpane wiatrem chmury, nasunęły się jak postrzępiony koc na księżyc i gwiazdy. Dalgliesh, nie zwracając uwagi na skowyt i gwałtowne uderzenia wiatru, jechał szybko i bez wahania. Odbył tę trasę tylko raz, tego samego dnia wczesnym rankiem, ale nie musiał sięgać do mapy: dokładnie wiedział, gdzie jedzie. Po obu stronach drogi, za niskimi żywopłotami, rozciągały się czarne, gładkie pola. Niekiedy reflektory wozu osrebrzały smagające gałęzmi zdeformowane drzewo, na chwilę, jak szperacz, wyławiały z mroku znieruchomiałą twarz czy osamotnioną farmę, odbijały się od świetlistych punkcików oczu zwierzęcia, które natychmiast rzuciło się do ucieczki. Jazda nie trwała długo, niespełna pięćdziesiąt minut, ale Dalgliesh, który wpatrzony przed siebie automatycznymi ruchami przesuwiał dźwignię zmiany biegów, poczuł się w pewnym momencie zagubiony, jakby przez posepny mrok tego wstydliwie skrytego płaskiego pejzażu podróżował już nieskończenie wielką liczbę godzin.

Ceglana wczesnowiktoriańska willa stała na obrzeżach wsi. Brama, za którą ciągnął się żwirowy podjazd, była otwarta i Dalgliesh przejechał powoli pomiędzy miotającymi się drzewkami

laurowymi, pod skrzypiącymi gałęzmi wysokich buków, a następnie wmanewrował jaguara pomiędzy trzy samochody, dyskretnie zaparkowane już obok domu. Dwa rzędy okien od frontu były ciemne, pojedyncza natomiast żarówka, rozjaśniająca półokrągły świetlik nad drzwiami, wydała się Dalglieshowi nie tyle ciepłą oznaką zamieszkania, co jakimś umówionym sygnałem, złowróżbnym stygmatem utajonego życia. Nie musiał dzwonić. Uważnie nasłuchiowano i drzwi, w chwili gdy przed nimi stanął, zostały otwarte przez tego samego krzepkiego dozorcę o jowialnej twarzy, który powitał go przy okazji porannych odwiedzin. Teraz, jak i wtedy, miał na sobie niebieski kombinezon uszyty tak doskonale, że wyglądał jak mundur. Dalgliesh zastanawiał się, jaką dokładnie rolę pełni ów mężczyzna: szofera, ochroniarza, totumfackiego? A może ma funkcję jeszcze bardziej wyspecjalizowaną i złowieszczą?

— Są w bibliotece, sir — powiedział dozorca. — Przyniosę kawę. Czy będzie pan miał ochotę na kanapki, sir? Zostało nieco wołowiny, mógłbym też zrobić z serem.

— Dziękuję, proszę tylko o kawę — odparł Dalgliesh.

350

INTRYG I ŻĄDZE

Czekali na niego w tym samym małym pokoju na tyłach domu. Jego ściany pokrywała boazeria z jasnego drewna, jedyne okno w głębokim prostokątnym wykuszu przesłaniała gęsto udrapowana zasłona z wyblakłego granatowego aksamitu. Mimo nazwy, funkcja pomieszczenia nie była jasna. W istocie, ściana naprzeciwko okna była zastawiona półkami, na których jednak stało zaledwie pół tuzina woluminów w skórce i leżały stopy jakichś magazynów, które sprawiały wrażenie kolorowych dodatków do niedzielnych wydań gazet. Pokój miał osobliwie niepokojącą atmosferę prowizorki nie pozbawionej jednak wygód, przypadkowego schroniska, w którym wszakże chwilowi mieszkańcy pragną się czuć możliwie najlepiej. Przy ozdobnym marmurowym kominku stało półokręgiem sześć rozmaitych przeważnie skórzanych foteli i tyleż małych stolików.

Przeciwnie koniec pokoju zajmował nowoczesny drewniany stół i sześć krzeseł. Tego ranka dźwigał resztki śniadania, a w powietrzu unosił się nieprzyjemnie ciężki zapach bekonu i jajek. Teraz miejsce brudnych talerzy zajęła taca z butelkami, szklaneczkami i kieliszkami. Z różnorodności zaserwowanych trunków Dalgliesh wysnuł wniosek, że gospodarzom powodzi się całkiem nieźle. Taca nadawała pomieszczeniu klimat pospiesznie przygotowanego pokoju gościnnego, w którym jednak niewiele więcej można było uznać za gościnne. Na przykład panował tu chłód. Stojący na płycie kominka papierowy parawan szeleścił przy każdym poświście wiatru w dymniku, a dwie spirale grzejnika, ustawionego na podnóżku, dostarczały zdecydowanie zbyt mało ciepła nawet jak na potrzeby pokoju tak zagraconego i o tak skromnych rozmiarach.

Na wchodzącego Dalgliesha obróciły się trzy pary oczu! Clifford Sowerby stał wsparty o kominek dokładnie w takiej samej pozycji, jak wówczas, gdy Dalgliesh widział go po raz ostatni. W swym ciemnym garniturze i nieskazitelnej lnianej koszuli również wyglądał tak świeżo, jak o dziewiętej rano. I teraz, i wtedy, jego sylwetka dominowała w pokoju. Był tęgawym, konwencjonalnie przystojnym mężczyzną o pewności siebie i kontrolowanej jowialności dyrektora szkoły lub prosperującego bankiera. Każdy wypłacany klient mógł bez lęku wkroczyć do jego gabinetu. Spotkawszy go zaledwie drugi raz, Dalgliesh znów odczuł instynktowny i z pozoru irracjonalny niepokój. Ten człowiek był bezwzględny i niebezpieczny, a przecież podczas kilku godzin, kiedy się nie widzieli, Dalgliesh nie umiał sobie przypomnieć ani jego twarzy, ani głosu.

Nie dałoby się powiedzieć tego samego o Billu Hardingu. Mierzył przeszło sześć stóp wzrostu i ze swoją bladą piegowatą twarzą,

351

МШЯМППМ

P. D. JAMES

zwieńczoną strzechą rudych włosów doszedł najwyraźniej do wniosku, że skoro anonimowość nie wchodzi w grę, trzeba postawić na ekscentryczność. Do garnituru z grubego kraciastego tweedu nosił krawat w kropki. Dźwignąwszy się nie bez trudu z niskiego fotela, flegmatycznie podszedł do tacy z alkoholem, a kiedy Dalgliesh oświadczył, że poczeka na kawę, zastygł z butelką whisky w

ręku, jakby nie wiedząc, co z nią zrobić. Względem konfiguracji personalnej z godzin porannych nastąpiła jedna istotna zmiana. Alex Mair ze szklaneczką whisky stał obok regału, sprawiając wrażenie głęboko zainteresowanego sześciora tomami w skórze i stosem periodyków. Odwrócił się, kiedy wszedł Dalglish, posłał mu długie badawcze spojrzenie, a potem lekko skinął głową. Był bez wątpienia najprzystojniejszym i najinteligentniejszym z trzech czekających mężczyzn, ale zdawało się, że coś — pewność siebie czy energia — odpłynęła zeń nagiej miał na twarzy ów lekki grymas jaki można zobaczyć u człowieka usiłującego nie pokazać po sobie fizycznego bólu. Sowerby, którego oczy pod ciężkimi powiekami zdradzały rozbawienie, powiedział: — Przypaliłeś sobie włosy, Adamie. Pachniesz tak, jakbyś zadeptywał ognisko.

— Bo to właśnie robiłem.

Mair nawet nie drgnął, ale Sowerby i Harding zasiedli po obu stronach kominka. Dalglish zajął miejsce pomiędzy nimi. Poczekali, aż przyniesiono kawę i Dalglish dostał filiżankę. Sowerby, rozparty w fotelu, zagapił się w sufit, sprawiając wrażenie człowieka, który gotów jest czekać choćby całą noc.

To Bill Harding powiedział wreszcie: — A zatem, Adamie?

Odstawiwszy filiżankę, Dalglish opisał w szczegółach wszystko, co wydarzyło się, odkąd przyszedł do przyczepy. Miał pamięć absolutną. Nie sporządzał notatek, bo ich nie potrzebował. Na koniec relacji powiedział: — Możecie więc być spokojni. Pascoe wierzy w coś, co stanie się, jak sądzę, wersją oficjalną: że obie dziewczyny były kochankami, wyruszyły w nierozważny rejs i zostały przypadkowo staranowane we mgle. Nie myślę, aby sprawił kłopoty wam bądź komukolwiek innemu. Jego zdolność do rozrabiania została chyba wyczerpana.

----A Camm nie zostawiła w przyczepie żadnych obciążających dowodów? — zapytał Sowerby.

— Wątpię, czy w ogóle miała coś do zostawienia. Pascoe powiada, że przeczytał jedną czy dwie pocztówki, kiedy zostały nadesłane, ale zawierały zwykłą bezsensowną paplaninę. Camm najwyraźniej je niszczyła. Pascoe zaś, z moją pomocą, zniszczył wszystko co zostało po

INTRYG I ŻĄDZE

Camm. Iomagałem mu nosić do ogniska resztkę jej ubrań i kosmetyków. Kiedy zajmował się ich paleniem, miałem okazję, by wrócić do przyczepy i dokładnie ją przeszukać. Nic tam nie było Sowerby powiedział oficjalnym tonem: - Jesteśmy niezwykle zobowiązani, że zechciałeś to dla nas zrobić, Adamie. Oczywiście nie mogłszy posłużyć się Rickardsem, skoro nie ma pojęcia o tym aspekcie sprawy który jest interesujący dla nas. Poza tym stałeś wobec mego w uprzywilejowanej pozycji. Pascoe postrzega cię bardziej jako przyjaciela niż policjanta. To jasno wynika z jego odwiedzin w Wiatraku Larksoken. Z jakiegoś powodu ma do ciebie zaufanie

— Juz mi to wszystko wyjaśniałeś rano — odparł Dalglish. - Waszą prośbę uznałem w danych okolicznościach za uzasadnioną W kwestii terroryzmu nie jestem ani naiwny, ani ambiwalentny Poprosiliście o coś i ja to coś zrobiłem. Nadal jednak uważam, że powinniście wtajemniczyć Rickardsa, choć decyzja należy do was Macie swoją odpowiedź. Camm, jeśli była zaangażowana w spisek Amphlett, me zwierzyła się z tego Neilowi Pascoe, który z kolei nie żywi wobec obu kobiet żadnych podejrzeń. Wierzy, iż Camm mieszkała z nim tylko po to, aby być jak najbliżej kochanki. Pascoe, mimo wszystkich swoich liberalnych przekonań, jest równie skłonny, jak każdy inny mężczyzna, tłumaczyć sobie, że kobieta, która uparcie odmawia mu współżycia, jest albo lesbijką, albo frygidą.

Sowerby pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek. Powiedział: — Przypuszczam, że kiedy dzisiaj na plaży grałeś Ariela przy Neilu Pascoe w roli Prospera*, ten me przyznał się do zamordowania Hilary Robarts, co> Rzecz niewielkie, wagi, ale ciekawość leży w naturze człowieka.

— Wedle instrukcji miałem rozmawiać z nim o Amy Camm, Pascoe jednak wspomniął o morderstwie. Nie sądzę, aby naprawdę wierzył, iż Amy uczestniczyła w zabiciu Robarts, choć w gruncie rzeczy jest mu obojętne, czy obie dziewczyny zrobiły to, czy nie. A czy ty masz co do tego pewność?

— Nasza pewność nie ma tu żadnego znaczenia. To Rickards powinien ją uzyskać i, jak

przypuszczam, uzyskał. Nawiasem mówiąc, czy widziałeś się z mm dzisiaj lub rozmawiałeś?
— Dzwonił koło południa; jak sądzę po to, by mnie poinformować o powrocie zony. Z jakiegoś powodu uznał, że mogę tym być zainteresowany. Co się zaś tyczy morderstwa, to istotnie skłania się chyba do wniosku, że popełniły go wspólnie Amphlett i Camm.

* Postacie z Burzy Szekspira. Ariel zawdzięczający Prosperowi wolność staje się jego sługą, przyp. tłum.

23 Intrygi i żądze

-,«

laH^^^^HI^^HHI^H^^IjjjjjjjjjjjJllJjJB^HlljjjjjjjjjiHH^H^H^H^HaHBHHiMH^^MB

P. D. JAMES

— I ma przypuszczalnie rację — zauważył Harding.

— Na podstawie jakich dowodów? — zapytał Dalglish. — A skoro nie został wtajemniczony, że przynajmniej jedną z kobiet podejrzewa się o terroryzm, gdzie ma szukać motywu zbrodni?

— Daj spokój, Adamie — powiedział ze zniecierpliwieniem Harding — na jakie konkretne dowody mógłby liczyć? A poza tym miały motyw, przynajmniej miała go Camm. Nienawidziła Robarts. Ric-kards ma przynajmniej jednego świadka awantury pomiędzy nimi, jaka miała miejsce w niedzielę, kilka godzin przed morderstwem. Poza tym Camm była wściekle opiekuńcza wobec Neila Pascoe i należała do tej jego grupy. Proces o zniesławienie zrujnowałby go i na dobre załatwił SPEN, który i tak ledwo zipał. Camm chciała śmierci Robarts, więc Amphlett ją zabiła. Taki będzie panował ogólny pogląd i Rickards go przyjmie. Bo, oddajmy mu sprawiedliwość, zapewne osobiście wierzy w taką właśnie wersję.

— Camm wściekle opiekuńcza wobec Pascoe? — zdziwił się Dalglish. — Kto tak powiedział? To supozycja, nie zaś dowód.

— Lecz Rickards ma pewne dowody, prawda? Poszlakowe, fakt, ale w tej sytuacji chyba nie może liczyć na inne. Amphlett wiedziała, iż Robarts pływa wieczorami; wiedzieli o tym praktycznie wszyscy pracownicy elektrowni. Zmontowała sobie fałszywe alibi. Camm, jak wszyscy inni, miała dostęp do składziku na Starej Plebanii. A Pascoe sam teraz przyznaje, że mogła być dziewiętnaście, kiedy wrócił z Norwich. Zgoda, pod względem czasowym byłoby to na styk, ale wcale nie jest nieprawdopodobne, jeśli Robarts poszła pływać nieco wcześniej niż zwykle. Składa się to wszystko na zupełnie sensowną wersję. Nie taką wprawdzie, która uzasadniałaby aresztowanie, gdyby kobiety żyły, dostatecznie jednak przekonującą, aby uniemożliwić skazanie kogokolwiek innego.

— Czy Amy Camm pozostawiłaby dziecko? — zapytał Dalglish.

— Czemu nie? Mały przypuszczalnie spał, a gdyby nawet nie spał i darł się na całe gardło, to któż by go usłyszał? Przecież, na miłość boską, nie sugerujesz, Adamie, że była dobrą matką? W końcu go zostawiła, prawda? Na dobre, jak się okazało, chociaż być może nie miała początkowo takiego zamiaru. Jeśli mnie pytasz, dzieciak zajmował w hierarchii jej wartości dosyć poślednie miejsce.

— Kreślisz zatem wizerunek matki — powiedział Dalglish — która za drobny akt przemocy na swoim dziecku mści się morderstwem, a zarazem to samo dziecko zostawia samotnie w przyczepie i idzie pożeglować ze swoją przyjaciółką. Czyż Rickardsowi nie będzie trudno pogodzić ze sobą te sprzeczności?

354

INTRYGI I ŻĄDZE

— Bóg raczy wiedzieć — powiedział Sowerby z nutką zniecierpliwienia w głosie — jak Rickards w ogóle godzi cokolwiek ze sobą. Na szczęście nie musimy go o to pytać. Tak czy inaczej, Adamie, jest do pomyślenia bardzo konkretny motyw. Robarts mogła podejrzewać Amphlett. W końcu kierowała administracją, była inteligentna i skrupulatna. .. może nawet nadmiernie skrupulatna, nie sądzi pan, Mair?

Wszystkie oczy skierowały się na milczącą postać stojącą przy regale. Mair odwrócił się i powiedział cicho: — Tak, była skrupulatna choć wątpię, czy dostatecznie skrupulatna, aby wykryć spisek, który umknął mojej uwadze. — Potem znów wykręcił się do nich tyłem i wrócił do kontemplowania księgozbioru.

Przez moment zapadła pełna zakłopotania cisza, którą przerwał Bill Harding. Z takim ożywieniem,

jakby Mair w ogóle nie zabierał głosu, podjął: — Któż zatem był lepiej usytuowany, żeby ujawnić ziarno zdrady? Rickards może nie dysponować konkretnymi dowodami i motywami, ale przypuszczalnie wszystko prawidłowo sobie poukłada.

Dalglish wstał i podszedł do stołu. — Widzę, że odpowiadałoby wam zamknięcie sprawy — powiedział. — Gdybym to jednak ja prowadził dochodzenie, akta pozostałyby otwarte.

— Najwyraźniej — stwierdził sucho Sowerby. — Dziękujemy zatem Bogu, że go nie prowadzisz. Ale wątpliwości zatrzymasz dla siebie, Adamie? Nie muszę chyba o tym mówić.

— Więc dlaczego mówisz?

Odstawił filiżankę na stół. Zdawał sobie sprawę, że Sowerby i Harding nie spuszczają zeń oczu, jakby był podejrzanym, który nagle może spróbować szczęścia w ucieczce. Wrócił na fotel i zapytał: — A jak Rickards czy ktokolwiek inny wyjaśni tę wycieczkę łodzią?

— Nie musi wyjaśniać — odparł Harding. — Były kochankami, do cholery. Miały ochotę na romantyczny rejs. W końcu łódź należała do Amphlett. Ani jedna, ani druga nie wzięła ze sobą nic. Amy zostawiła kartkę dla Pascoe, informującą, że wróci za parę godzin. W oczach Rickardsa i w oczach wszystkich innych to musi sprawić wrażenie nieszczęśliwego wypadku. A skąd mamy wiedzieć, że nim nie był? Ani nam się śniło płoszyć Amphlett; przynajmniej na razie.

— Wasi ludzie nie znaleźli niczego w jej domu?

Harding popatrzył na Sowerby'ego. Nie było to pytanie, na które mieliby ochotę odpowiadać, ani też takie, które powinno być zostać zadane. Po krótkiej pauzie Sowerby odrzekł: — Idealnie czysty. Żadnego radionadajnika, żadnych dokumentów, żadnych branzowych instrumentów. Jeśli Amphlett zamierzała zwinąć żagle, dokładnie usunęła przedtem wszystkie ślady.

355

P. D. JAMES

— W porządku — powiedział Harding. — Jeśli spanikowała i rzeczywiście była w trakcie ucieczki, to powstaje istotny problem: dlaczego tak nagle? Przy założeniu, iż to ona zabiła Robarts, mogła przeważyć szalę świadomości, że dobiera się do niej policja. Ale nie dobierała się. Mógł to, oczywiście, być prawdziwy rejs i prawdziwy wypadek. Albo obie mogły zginąć z ręki swoich. Stały się zbędne, odkąd spalił na panewce plan dotyczący Larksoken. Cóż bowiem mieliby towarzysze z nimi począć? Dać im nową tożsamość, nowe dokumenty, wkręcić do jakiejś niemieckiej elektrowni? Skórka nie warta wyprawki, skłonny byłbym sądzić.

-- Czy mamy jakiegokolwiek dowody, że to był wypadek? Czy jakiś statek meldował o uszkodzeniu dziobu, możliwej kolizji? — zapytał Dalglish.

— Jak dotąd żaden — odparł Sowerby. — I wątpię, czy zamelduje. Jeśli istotnie Amphlett należała do tej organizacji, przez którą — jak sądzimy ~- została zwerbowana, to inni jej członkowie nie mieliby żadnych oporów przed zafundowaniem sprawie dwóch męczennic. Czy ona w ogóle miała pojęcie, z jakiego pokroju ludźmi ma do czynienia? Mgła okazała się pomocna, ale staranowaliby łódź nawet bez mgły. Albo, skoro o tym mowa, wzięliby dziewczyny na pokład i wykończyli gdzie indziej. Zaaranżowanie wypadku jednak, zwłaszcza wobec takiego daru niebios, jak mgła, byłoby naj sensowniej szym trybem działania. Sam bym tak postąpił. — Bez wątpienia, pomyślał Dalglish. Tak by właśnie postąpił-

Harding zwrócił się do Maira. — Nigdy nie żywił pan wobec niej najmniejszych podejrzeń? — zapytał.

— Już pan o to pytał. Żadnych. Byłem zaskoczony — nawet nieco poirytowany — że nie chce pozostać moją sekretarką, kiedy obejmę to nowe stanowisko. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie powód takiego stanu rzeczy. Nie mogłem się nadziwić, że jej wybór padł na takiego mężczyznę, jak Jonathan Reeves.

— Był to jednak wybór przemyślany — zauważył Sowerby. — Mężczyzna słaby, którego mogła zdominować: Niezbyt inteligentny. Już w niej zakochany. Mogła go spławić w każdej chwili, a on gubiłby się w domysłach, dlaczego. I cóż byłoby tu do podejrzwania? Zauroczenia seksualne mają z reguły irracjonalny charakter.

Nastąpiła pauza, a potem dodał: — Czy widział pan kiedykolwiek tę drugą dziewczynę, Amy? Mówiono mi, że odwiedziła elektrownię podczas jednego z tych dni otwartych, jakkolwiek nie

sądzę, by ją pan mógł zapamiętać.

356

INTRYGII I ŻĄDZE

V

Twarz Maira "była białą maską. Odrzekł: — Chyba widziałem ją raz. Jasne, malowane włosy, puciołowata, zupełnie ładna buzia. Niosła dziecko. Co się z nim stanie, nawiasem mówiąc? A może z nią?

— Dom dziecka, jak sądzę — odparł Sowerby. — Chyba, że znajdą ojca lub dziadków. W końcu prawdopodobnie zostanie wzięte na wychowanie lub adoptowane. Zastanawiam się, co, do cholery, myślała sobie jego matka.

— Czy one w ogóle myślą? — powiedział z nagłą gwałtownością Harding. — Kiedykolwiek? Żadnej wierności, stabilizacji, uczuć rodzinnych, lojalności. Są jak papier miotany wiatrem. Potem, kiedy znajdują coś, w co można uwierzyć, coś, co stwarza im uludę, że są kimś ważnym, na co pada ich wybór? Na przemoc, anarchię, nienawiść, morderstwo.

Sowerby spojrział nań z zaskoczeniem i lekkim rozbawieniem, a potem powiedział: — Na idee, dla których, jak sądzi ten i ów, warto umierać. To, oczywiście, sedno problemu.

— Tylko dlatego, że pragną umrzeć. Nie radzisz sobie z życiem?

— poszukaj pretekstu, jakiejś sprawy, co do której możesz sobie wmówić, że jest warta ofiary i narkotyzuj się swym zafascynowaniem śmiercią. Przy odrobinie szczęścia możesz ze sobą zabrać tuzin biednych młotów, ludzi, którzy umieją uporać się z życiem i wcale nie chcą umierać. No i jest zawsze to ostateczne samooszukiwanie, ten akt finalnej arogancji. Męczeństwo. Samotni i nieprzystosowani głupcy na całym świecie będą zaciskać pięści, wyrzaskiwać twoje nazwisko, nosić transparenty z twoim portretem i rozglądać się za kimś, kogo można by zastrzelić, wysadzić w powietrze albo okaleczyć. Na przykład ta dziewczyna, Amphlett. Nawet nie mogła tłumaczyć się nędzą. Ojciec—wysoki oficer wojska, poczucie bezpieczeństwa, dobre wykształcenie, przywileje, pieniądze. Miała wszystko.

— Wiemy, co miała — zareplikował Sowerby. — Nie możemy natomiast wiedzieć, czego jej brakowało.

Harding go zignorował. — I co właściwie mieli zamiar zrobić z elektrownią, gdyby ją opanowali? Byliby im potrzebni eksperci, programiści.

— Moim zdaniem można przyjąć założenie — powiedział Mair

— że wiedzieli, jacy specjaliści będą im potrzebni i jak ich sprowadzić.

— Do kraju? Jak?

— Może drogą morską.

Sowerby popatrzył nań, a potem powiedział z lekkim zniecierpliwieniem: — Ale tego nie zrobili. Nie mogliby tego dokonać, a nasze

357

P. D. JAMES

zadanie polega na dopilnowaniu, by nie zdołali tego dokonać również w przyszłości.

Po krótkiej chwili milczenia odezwał się Mair. — Przypuszczam, że dominującą partnerką była Amphlett. Zastanawiałem się, jakich mogła użyć argumentów czy pokus. Ta dziewczyna, Amy, wydała mi się istotą ulegającą instynktom, a takie z reguły niechętnie umierają dla idei politycznych. Ten sąd jest, oczywiście, wyłącznie naskórkowy. Widziałem ją tylko raz.

— Nie znając dobrze ich obu — zauważył Sowerby — nie możemy stwierdzić z pewnością, która była stroną dominującą. Powiedziałbym, że niemal na pewno Amphlett. Na temat Camm nie wiemy i nie podejrzewamy nic. Prawdopodobnie zwerbowano ją jako łączniczkę. Amphlett musiała mieć jakiś kontakt w organizacji, z którym spotykała się od czasu do czasu choćby tylko po to, żeby otrzymać instrukcje. Camm dostawała prawdopodobnie zaszyfrowane wiadomości, określające miejsce i czas następnego spotkania, i przekazywała je dalej. A co do powodów? Bez wątplenia była po prostu niezadowolona z życia.

Bill Harding pochylił się nad stołem i nalał sobie dużą whisky. Potem powiedział ochryłym głosem człowieka pijanego: — Dla większości z nas życie przeważnie było i bywa mało

zadowolające. Celem istnienia świata nie jest sprawianie nam satysfakcji. Próby przykrojenia go do naszych życzeń są niczym nie uzasadnione.

Sowerby skrzywił usta w swym sprytnym, pełnym wyższości uśmiechu. — Może oni uważają, że robią właśnie coś takiego — powiedział pogodnie.

Piętnaście minut później Dalglish wyszedł w towarzystwie Maira. Kiedy otwierali samochody, obejrzał się przez ramię i spostrzegł, że dozorca wciąż stoi w otwartych drzwiach.

— Chce się upewnić, czy opuściliśmy teren — powiedział Mair. — Co za niezwykli ludzie! Zastanawiam się, jak wpadli na trop Caroline. Nawet nie próbowałem pytać, skoro jasno dali do zrozumienia, że nie mają zamiaru udzielać żadnych wyjaśnień.

— Oczywiście, że nic by nie powiedzieli. Niemal na pewno otrzymali sygnał od niemieckich służb bezpieczeństwa.

— No i ten dom. Jak, u Boga Ojca, znajdują takie miejsca? Przypuszczasz, że stanowi ich własność, czy też wypożyczyli go, wynajęli lub się po prostu do niego włamali?

— Moim zdaniem, należy do jednego z ich ludzi — odparł Dalglish. — Zapewne emerytowanego funkcjonariusza, który udostępnia kolegom klucz w miarę potrzeb.

358

INTRYG I ŻĄDZE

— A teraz prawdopodobnie pakują manatki. Odkurzają meble, ścierają odciski palców, dojadają resztki, wyłączają światła. Za godzinę nikt nie będzie wiedział, że tu kiedykolwiek byli. Idealni chwilowi mieszkańcy. Mylą się wszakże co do jednej rzeczy. Pomędzy Amy a Caroline nigdy nie było stosunków fizycznych. To zupełny nonsens.

Mówił z taką mocą, przekonaniem, a nawet gniewem, że Dalglish zastanawiał się przez moment, czy Caroline Amphlett nie była dlań przypadkiem kimś więcej niż sekretarką osobistą. Mair zapewne to wyczuł, ale ani udzielił żadnych wyjaśnień, ani zaprzeczył. Dalglish powiedział: — Nie miałem jeszcze okazji pogratulować ci nowego stanowiska.

Mair zajął miejsce w fotelu, przekręcił kluczyk, ale nie zamknął drzwi; milczący strażnik wciąż cierpliwie czekał.

— Dziękuję — odparł Mair. — Te tragedie w Larksoken odebrały mi nieco satysfakcji, ale nadal jest to najbardziej odpowiedzialna funkcja, na jaką kiedykolwiek mógłbym liczyć. — Potem, kiedy Dalglish już się odwracał, dorzucił: — A zatem przypuszczasz, że po przyładku wciąż grasuje morderca?

— A ty nie?

Mair jednak nie odpowiedział. Zamiast tego spytał: — Co byś zrobił, będąc na miejscu Rickardsa?

— Skoncentrowałbym się na ustaleniu, czy tego niedzielnego wieczoru Blaney albo Theresa wychodzili z Chaty Żeglarza. Jeśli w jednym lub drugim wypadku tak, miałbym zamkniętą sprawę. Nie potrafiłbym wprowadzić niczego dowieść, opierałaby się jednak próbie logiki i chyba prezentowała prawdziwą wersję wydarzeń.

8

Dalglish wcześniej wyjechał z podjazdu, ale Mair, przyspieszywszy ostro, wyprzedził go na pierwszym prostym odcinku szosy i już cały czas pozostawał w przodzie. Myśl o tym, że miałby się wlec przez całą drogę do Larksoken za jaguarem, wydawała mu się z jakiegoś powodu nieznośna.

W istocie jednak takie niebezpieczeństwo nie istniało: Dalglish był policjantem także za kierownicą, co najwyżej ocierał się o górną granicę dozwolonej prędkości. Skręcając

359

P. D. JAMES

w główną szosę, Mair nie widział już w swoim lusterku światła jaguara. Prowadził niemal automatycznie, z wzrokiem wbitym przed siebie, nie zwracając uwagi na przemykające z szybkością kadrów przyspieszonego filmu gięte wiatrem drzewa czy rozwijające się jak nie mająca kresu świetlista wstęga, kocie oczy. Na przyładku spodziewał się pustej drogi, pokonawszy więc nieduże wzniesienie dostrzegł światła karetki niemal w ostatniej chwili. Gwałtownie skręcił kierownicę, zjechał w podskokach z szosy, wyhamował i siedział przez chwilę nieruchomo, wsłuchany w ciszę. Odnosił wrażenie, iż uczucia, które tłumił w sobie przez trzy ostatnie godziny,

szarpia nim tak, jak wichura poszarpuje drzewami. Musiał wziąć w karby swoje myśli, uporządkować i zinterpretować te zdumiewające uczucia, które zatrzażały go irracjonalnością i mocą. Czy to możliwe, że doznał ulgi z powodu jej śmierci — która oznaczała uniknięcie niebezpieczeństwa i potencjalnego zakłopotania — a zarazem był rozdzierany żalem, bólem tak przemożnym i fizycznie dojmującym, że mógł być jedynie rozpaczą? Musiał wziąć się w garść, żeby nie zacząć walić głową o kierownicę. Amy była tak pozbawiona zahamowań, tak namiętna, tak bezpośrednia. I dotrzymywała słowa. Nie kontaktował się z nią od tego ostatniego spotkania po południu, w niedzielę morderstwa, ona zaś nawet nie usiłowała ślać do niego listów czy telefonować. Zgodzili się, że romans musi dobiec końca i że oboje będą milczeć. Dotrzymała swojej części umowy, wiedział zresztą, że dotrzyma. A teraz była martwa. Zaczął na głos wymawiać jej imię: Amy, Amy, Amy. Nagle wstrząsnęło nim westchnienie, które szarpnęło mięśniami jego piersi tak, jakby miał pierwsze konwulsje ataku serca; potem poczuł na twarzy wilgoć pierwszych przynoszących ulgę łez. Nie płakał, odkąd był chłopcem; teraz, wylewając całe potoki łez i poznając wargami ich zaskakująco słony smak, mówił sobie, że te minuty nie kontrolowanych uczuć były pozytywne i terapeutyczne. Był je Amy winien, a gdy już minęły, gdy złożył jej hołd swoją rozpaczą, mógł ją wyrzucić z duszy tak, jak uprzednio zamierzał wyrzucić ją z serca. Dopiero pół godziny później, przekręcając klucz w stacyjce przypomniał sobie karetkę i zastanowił się, którego z niewielu mieszkańców przyłądka wieziono do szpitala.

INTRYG I ŻĄDZE

9

Kiedy kierowca karetki i sanitariusz pchali nosze na kółkach ogrodową ścieżką, wiatr wdarł się pod róg czerwonego koca i wzdął go jak balon. Pasy nie pozwoliły mu ulecieć, ale Blaney rzucił się na ciało Theresy, jakby osłaniał ją desperacko przed czymś znacznie groźniejszym niż wiatr. Pochylony szedł przy noszach bokiem, jak krab, i pod kocem ścisnął dłonie córki. Były gorące, wilgotne i bardzo małe; odnosił wrażenie, iż wyczuwa każdą delikatną kosteczkę. Pragnąłby wyszeptywać jej do ucha słowa pocieszenia, ale zgroza wysuszyła mu gardło i kiedy usiłował mówić, jego szczęka dygotała paralitycznie. Zresztą nie miałby pojęcia, jak ją pocieszać. Zbyt świeża była pamięć innej karetki, innych noszy, innej podróży. Ledwie ośmielił się rzucić ukradkowe spojrzenia na twarz Theresy, obawiając się, że zobaczy na niej to samo, co na twarzy jej matki: ową bladość, ten nieobecny wyraz pogodzenia się z losem, który oznaczał, że oddalała się już od niego, od wszystkich doczesnych spraw życia, nawet od jego miłości i że zmierza do owej mrocznej krainy, gdzie ani nie może jej towarzyszyć, ani nie jest mile widziany. Usiłował znaleźć pokrzepienie, przypominając sobie dziarski głos doktora Entwhistle.

— Wszystko będzie w porządku. To tylko wyrostek robaczkowy. Natychmiast zabieramy ją do szpitala. Operacja zostanie przeprowadzona jeszcze dziś wieczorem i przy odrobinie szczęścia będzie pan miał córkę w domu za kilka dni. Żadnych obowiązków, rzecz jasna, ale o tym pogadamy później. Teraz proszę się łąpać za telefon. I niech pan przestanie panikować, człowieku, ludzie nie umierają na ślepą kiszkę.

Umierali jednak. Umierali pod narkozą, umierali ponieważ wywiązywało się zapalenie otrzewnej, umierali ponieważ chirurg popełniał błąd. Czytywał o podobnych przypadkach. Nie miał żadnej nadziei.

Kiedy nosze zostały dźwignięte z ziemi i zgrabnie wsunięte do karetki, odwrócił się i popatrzył na Chatę Żeglarza. Nienawidził jej teraz, nienawidził za to, co mu zrobiła, nienawidził za uczynki, do jakich go pchnęła. Była, jak on sam, przeklęta. Pani Jago, mając u boku dwie milczące bliźniaczki, stała w drzwiach z Anthonym w niedoświadczonych rękach. Zadzwoił do „Naszego Bohatera” z prośbą o pomoc i George Jago niezwłocznie przywiózł żonę, by pozostała z dziećmi aż do powrotu ojca. Poza państwem Jago nie miał się do kogo zwrócić. Zadzwoił do Alice Mair z Chaty Męczennicy, ale usłyszał tylko zgłoszenie automatycznej sekretarki. Pani Jago podniosła rączkę

„j... ..” ..-., ..
P. D. JAMES

Anthony'ego w geście pożegnania, a potem pochyliła się i powiedziała coś do bliźniaczek. Posłusznie pomachały. Blaney wszedł do karetki i zatrzasnęły się za nim drzwi.

Karetka podskakiwała i kołysała się łagodnie na drodze dojazdowej, a potem, osiągnąwszy wąską szosę, wiodącą przez przylądek do Lydsett, nabrała szybkości. Nagle szarpnęła się w bok, przy czym Blaney omal nie spadł z fotelika. Siedzący naprzeciwko niego sanitariusz zaklął.

— Jakiś cholerny dureń jechał za szybko.

Blaney nic nie odrzekł. Siedział bardzo blisko Theresy, wciąż trzymając ją za rękę i stwierdził, że modli się tak, jak gdyby był złaźniony rozmowy z Bogiem, w którego nie wierzył, odkąd skończył siedemnaście lat. — Nie pozwól jej umrzeć. Nie karz jej za moje winy. Uwierzę w Ciebie. Zrobię wszystko. Mogę się zmienić, być lepszy. Ukarz mnie, ale nie karz jej. O Boże, pozwól jej żyć.

I nagle stanął znowu na tym okropnym cmentarzyku i mając w dłoni zimną rączkę Theresy usłyszał monotony głos ojca McKee. Ziemię pokrywała sztuczna trawa, ale jeden kopczyk był nagi i znów zwrócił uwagę na złocistość świeżo rozkopanej gleby. Nie wiedział, że norfolcka ziemia może mieć tak bogatą kolorystykę. Od jednego z wieńców odpadł biały kwiat, mały, udręczony, trudny do rozpoznania pączek o przekłutej szpilką łożydze; doznał prawie nieopanowanej pokusy, by podnieść go, zanim zostanie wraz z ziemią zepchnięty do grobu, wziąć go do domu, wstawić do wody i pozwolić umrzeć w spokoju. Urzymywał nienaturalną sztywność, żeby nie ulec temu impulsowi. Nie ośmielił mu się w końcu ulec i kwiat skonał pod pierwszymi bryłami ziemi.

Usłyszał szept Theresy i pochylił się nad nią tak nisko, że poczuł zapach jej oddechu.

— Tato, czy ja umrę?

— Nie. Nie.

Prawie wykrzyczał te słowa, to wyzwanie rzucone śmierci, i zdał sobie sprawę, że sanitariusz zerwał się z miejsca. Powiedział cicho: — Słyszałaś, co mówił doktor Entwistle. To tylko ślepa kiszka.

— Chcę się zobaczyć z ojcem McKee.

— Jutro. Po operacji. Dam mu znać. Odwiedzi cię. Nie zapomnę. Słowo. Teraz leż spokojnie.

— Tatusiu, chcę się z nim zobaczyć zaraz, jeszcze przed operacją. Jest coś, o czym mu muszę powiedzieć.

— Powiesz mu jutro.

362

INTRYG I ŻĄDZE

— A mogę powiedzieć tobie? Muszę powiedzieć to komuś natychmiast.

— Jutro, Thereso — odparł niemal gniewnie. — ZostaW to do jutra. — A potem, pełen obrzydzenia wobec swego egoizmu, wyszeptał: — Powiedz mi, kochanie, jeśli musisz — i zamknął oczy, aby nie widziała w nich zgrozy, poczucia beznadziejności.

Wyszeptała: — Chodzi o tę noc, kiedy zginęła panna Robarts. Zakradłam się w ruiny opactwa.

Widziałam, jak zbiega do morza. Tatusiu, ja tam byłam.

— To bez znaczenia — odrzekł ochryple. — Nie musisz mi mówić nic więcej.

— Ale chcę ci powiedzieć. Powinam była zrobić to wcześniej. Proszę, tatusiu.

Położył dłoń na jej dłoniach. — Powiedz.

— Był tam jeszcze ktoś inny. Widziałam, jak idzie w stronę morza. Pani Dennison.

Ulga, jak ciepłe, oczyszczające letnie morze, zalewała go fala za falą. Po chwili milczenia znów usłyszał głos Theresy: — Tatusiu, czy komuś o tym powiesz? Policji?

— Nie — odparł. — Cieszę się, że mi powiedziałaś, ale to nie jest ważne. O niczym nie świadczy. Zapewne spacerowała po prostu w blasku księżyca. Nikomu nie powiem.

— Nawet o tym, że byłam tej nocy w ruinach?

— Nie — rzekł stanowczo. — Nawet o tym. A przynajmniej nie teraz. Porozmawiamy jednak o tym, co powinniśmy zrobić, po operacji.

I po raz pierwszy zdołał uwierzyć, że po operacji będą jeszcze mieli dla siebie czas.

10

Gabinet pana Copleya znajdował się na tyłach Starej Plebanii, a z jego okien rozciągał się widok na zaniedbany trawnik i trzy rzędy poskręcanych przez wiatr krzaków, które Copleyowie zwali „gęstwą”. Był to jedyny pokój na plebanii, do którego Meg nie weszłaby bez pukania; pełnił ogólnie akceptowaną rolę prywatnego królestwa pana domu, jak gdyby ten był ciągle proboszczem

i potrzebował sank-

363

P. D, JAMES

tuarium, w którym mógłby przygotowywać cotygodniowe kazania albo udzielać porad tym parafianom, którzy się o nie zwrócą. To tu codziennie rano i wieczorem odprawiał nabożeństwa, mając za wszystkich wiernych tylko żonę i Meg, których ciche kobiece głosy udzielały odpowiedzi i odczytywały właściwe wersety psalmów. Pierwszego dnia pobytu Meg na plebanii pan Copley powiedział delikatnie, ale bez zakłopotania: — Odprawiam w swoim gabinecie dwa nabożeństwa dziennie, ale, jeśli nie ma pani ochoty, proszę nie przymuszać się do uczestnictwa.

Postanowiła jednak brać w nich udział, zrazu tylko z uprzejmości, później jednak głównie dlatego, że ten codzienny rytuał, piękne, na poły zapomniane kadencje, potrafiły budzić w niej wiarę, nadawać dniom należyty kształt. I sam gabinet, jedyny w całym masywnie szpetnym, lecz wygodnym domu, zdawał się reprezentować niezdobytą ostoję bezpieczeństwa, ogromną skałę, ó którą daremnie były złe, natrętne wspomnienia ze szkoły, drobne zgryzoty codziennego życia, nawet okropieństwo Świstuna i groźba elektrowni jądrowej. Meg wątpiła, czy zmieniło się tu wiele od czasów pierwszego wiktoriańskiego proboszcza. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się półki z książkami, biblioteka teologiczna, do której — zdaniem Meg — pan Copley sięgał ostatnio bardzo rzadko. Błat wielkiego mahoniowego biurka był zwykle pusty i Meg podejrzewała, że większość czasu pan Copley spędza w bujaku, ustawionym frontem do ogrodu. Trzy ściany pokrywały zdjęcia i obrazy: ósemka wioślarska z uniwersyteckich czasów gospodarza, wąsate młode twarze pod śmiesznie małymi czapeczkami; grupa kleryków przed wyświęceniem; banalne akwarelki w złotych oprawach, zapewne impresje z wielkiej podróży jakiegoś wiktoriańskiego praszczura; akwaforty przedstawiające Katedrę w Norwich, nawę główną Winchesteru i ogromny ośmiobok Ely. Po jednej stronie ozdobnego dziewiętnastowiecznego kominka wisiał krucyfiks. Wydawał się Meg bardzo stary i wartościowy, ale wolała o to nie pytać. Ciało Chrystusa było ciałem młodzieńca, wyprężonym w męce agonii; otwarte usta wydawały się triumfalnie lub wyzywająco krzyczeć coś do Boga, który Go opuścił. Nic poza tym w całym gabinecie nie mogło uderzyć mocą lub zaniepokoić; meble, przedmioty, obrazy to wszystko mówiło o porządku, pewności, nadziei. Teraz, gdy zapukawszy Meg czekała na ciche „Proszę wejść”, przyszła jej do głowy myśl, że w równej mierze szuka pociechy w tym pokoju, jak i u jego gospodarza.

Pan Copley z książką na kolanach siedział w fotelu; gdy weszła Meg, niezgrabnie i sztywnie zaczął wstawać.

364

INTRYG I ŻĄDZE

— Niech pan się nie fatyguje, proszę — powiedziała. — Pragnęłabym porozmawiać prywatnie przez kilka minut.

Dostrzegła w wyblakłych niebieskich oczach nagły błysk niepokoju i pomyślała: Obawia się, że chcę złożyć wypowiedzenie. Dodała więc szybko, ale z łagodną stanowczością: — Jako z kapłanem. Chciałabym uzyskać od pana poradę jako od duchownego.

Odłożył książkę. Meg dostrzegła, że jest to pozycja, którą w zeszłym tygodniu wypożyczyli z żoną z obwoźnej biblioteki, najnowszy H.R.F. Keating. Copleyowie lubili powieści detektywistyczne i Meg była zawsze lekko poirytowana faktem, że oboje przyjmują za pewnik, iż to on powinien czytać pierwszy. To niefortunnie usytuowane w czasie przypomnienie jego łagodnego domowego, egoizmu nabrało na moment nieproporcjonalnie wielkiego znaczenia i Meg postawiła sobie pytanie, skąd w ogóle wzięła się myśl, że pan Copley może jej być pomocny. A jednak, czy należało krytykować go za hierarchię priorytetów małżeńskich, którą osobiście ustaliła Dorothy Copley i egzekwowała ją przez pięćdziesiąt trzy lata? Zwracam się o radę nie do mężczyzny, powiedziała sobie Meg, lecz duchownego. Nie pytam przecież hydraulika, jak traktuje żonę i dzieci, zanim dopuszczę go do ciekącego rezerwuaru.

Wskazał gestem drugi bujak, Meg podciągnęła go i ustawiła naprzeciwko. Z rozwągą oznaczył stronicę skórzaną zakładką, a potem z szacunkiem godnym nabożnej księgi położył kryminal na kolanach, przykrywając go splecionymi dłońmi. Odnosiła wrażenie, że skoncentrował się i

wychylony w przód lekko skłonił głowę, jakby siedział w konfesjonale. Nie miała się z czego spowiadać, pragnęła tylko zadać pytanie, które w swej surowej prostocie sięgało, jak to postrzegała, do samego serca jej ortodoksyjnej, samoutwierdzającej się, ale nie bezkrytycznej wiary chrześcijańskiej. Powiedziała: — Jeśli stoimy w obliczu decyzji, dylematu, to skąd mamy wiedzieć, co jest słuszne?

Wydało się jej, że dostrzega w łagodnej twarzy Copleya zelżenie napięcia, rodzaj wdzięczności za to, że pytanie okazało się mniej uciążliwe, niż zakładał. Mimo to zastanowił się nad odpowiedzią.

— Podpowie nam to sumienie, jeśli się w nie dobrze wsłuchamy.

— Ten cichy, cieniutki głosik, jak głos Boga?

— Nie jak, Meg. Sumienie jest głosem Boga. W kolekcje na zielonoświątkową niedzielę modlimy się wszak o słuszny osąd wszelkich rzeczy.

— Ale skąd możemy być pewni — zapytała z łagodną natarczywością — że to, co słyszemy, nie jest naszym własnym głosem, głosem naszych własnych podświadomych żądz? Przesłanie, w które wsłuch-

365

P. D. JAMES

jemy się tak uważnie, musi przejść przez filtr naszych doświadczeń, naszej osobowości, cech dziedzicznych, wewnętrznych potrzeb. Czy kiedykolwiek możemy się wyzwolić od intryg i żądz naszych własnych serc? Czy sumienie przypadkiem nie mówi nam tego, co najbardziej pragnęlibyśmy usłyszeć?

— Nie mam takich doświadczeń. Sumienie nakazywało mi zwykle postępować wbrew moim żądom.

— Albo temu, co w owym czasie za żądze pan uważał.

Przyciskała go jednak zbyt mocno. Siedział w milczeniu, gwałtownie mrugając oczyma, jak gdyby poszukiwał inspiracji w starych kazaniach, homiliach, znajomych tekstach. Po chwili pauzy powiedział: — Było mi wielce pomocne myśleć o sumieniu jako o instrumencie, na przykład instrumencie strunowym. Przesłanie jest w muzyce, jeśli jednak nie dbamy o instrument i nie przestrzegamy dyscypliny regularnych ćwiczeń, otrzymujemy odpowiedź wysoce niedoskonałą. Przypomniała sobie, że grywał amatorsko na skrzypcach. Jego zreumatyzowaną palce nie nadawały się już do trzymania instrumentu, który jednak wciąż leżał w futerale na blacie biurka w rogu. Metafora, dla niego może znacząca, była chybiona w odniesieniu do Meg.

Powiedziała:—Jeśli jednak nawet sumienie podpowiada mi, co jest słuszne — to znaczy słuszne w kategoriach prawa moralnego czy wręcz prawodawstwa naszego kraju — to przecież niekoniecznie zwalnia mnie z odpowiedzialności. Założmy, że wysłucham głosu swojego sumienia i postąpiwszy w myśl jego wskazówek skrzywdzę kogoś innego lub nawet narażę go na niebezpieczeństwo.

— Musimy czynić to, o czym wiemy, że jest dobre, pozostawiając resztę Bogu.

— Lecz przecież każda ludzka decyzja musi brać pod uwagę przypuszczalne konsekwencje; na tym właśnie polega istota decyzji. Jakże można oddzielać przyczynę od skutku?

' — Sądzę, że byłoby nam pomocne, gdybyś zwierzyła się z natury swojego problemu... to jest, jeśli uważasz, że możesz to uczynić.

— Zdradziłabym w ten sposób cudzą tajemnicę, ale dam przykład. Powiedzmy, że ktoś regularnie okrada swojego pracodawcę. Jeśli go wydam, zostanie wyrzucony z pracy, jego małżeństwo będzie narażone na rozpad, żona i dzieci doznają krzywdy. Mogę dojść do wniosku, że lepiej pogodzić się z faktem, iż sklep czy firma ponosi nieistotną ze swego punktu widzenia stratę kilku funtów tygodniowo, aniżeli sprawiać tyle cierpień niewinnym ludziom.

Milczał przez moment, a potem powiedział: — Sumienie mogłoby ci doradzić rozmowę ze złodziejem raczej niż jego pracodawcą.

366

INTRYGI I ŻĄDZE

Wyjaśnij mi, że wiesz, skłoń, by zaniechał swoich praktyk. Oczywiście, pieniądze powinny zostać zwrócone. Rozumiem, że sprawiłoby to pewne praktyczne trudności.

Obserwowała, jak boryka się z problemem, zmarszczywszy czoło usiłuje wywołać przed oczyma

duszy mityczną postać złodziejskiego męża i ojca, jak odziewa kwestię moralną w żywą tkanę.

— Co jednak—zapytała—jeśli nie zechce lub nie może zaprzestać kradzieży?

— Nie może? Jeśli kradnie z nieodpartego impulsu, to oczywiście wymaga pomocy lekarskiej. Tak, z pewnością należałoby tego spróbować, jakkolwiek nie jestem optymistą, jeśli chodzi o powodzenie psychoterapii.

— A gdy nie zechce lub obieca, że przestanie, a potem zaczyna kraść ponownie?

— Nadal musisz wybierać takie rozwiązanie, jakie jest słuszne wedle głosu twojego sumienia. Nie zawsze potrafimy ocenić konsekwencje. W zarysowanym przez ciebie przypadku dopuszczanie do dalszych bezkarnych kradzieży byłoby przymykaniem oczu na nieuczciwość. Ujawniwszy prawdę, nie możesz udawać, że jej nie znasz, nie możesz zrzucić z siebie odpowiedzialności. Wiedza zawsze niesie ze sobą odpowiedzialność; jest to jednakowo prawdziwe w odniesieniu do Aiexa Maira z Larksoken, jak i nas dwojga, siedzących w tym gabinecie. Powiedziałaś, że zostałyby skrzywdzone dzieci; ale one już są krzywdzone przez nieuczciwość ojca, tak samo zresztą jak żona, która nieświadomie korzysta z owoców owej nieuczciwości. Musisz także wziąć pod uwagę innych: być może w kręgu podejrzeń tkwią niewinni pracownicy. Nie ujawniona nieuczciwość może przybierać coraz większe rozmiary, tak że pod koniec żona i dzieci mogą wpaść w znacznie poważniejsze tarapaty niż wówczas, gdyby przestępstwu ojca postawiono tamę od razu. Oto dlatego wybieramy najbezpieczniejszy tryb postępowania, kiedy kierujemy się głosem sumienia, resztę pozostawiając Bogu.

Pragnęła zapytać: „Nawet jeśli straciliśmy pewność w Jego istnienie? Nawet jeśli wygląda to na jeszcze jeden sposób unikania odpowiedzialności osobistej, której — jak sam mówisz — nie możemy i nie powinniśmy unikać?” Ale dostrzegła z poczuciem winy, że nagle na jego twarzy osiadło zmęczenie. Nie przegapiła też ukradkowego spojrzenia, jakie rzucił na swoją książkę. Chciał już wracać do inspektora Ghote, hinduskiego łagodnego bohatera książek Keatinga, który — mimo swych zwątpień — dotrze w końcu do celu, bo żyje w świecie fikcji: gdzie problemy mogą być

367

"^Ł

■■■■НММЯНИЯ^МН^^^

P. D. JAMES

rozwiązane, zło pokonane, sprawiedliwość wymierzona, gdzie wreszcie śmierć jest zaledwie zagadką, rozstrzyganą w ostatnim rozdziale. Był bardzo starym człowiekiem. Nie należało go trudzić. Pragnęła położyć mu dłoń na ramieniu i powiedzieć, że wszystko w porządku, że nie musi się niepokoić. Zamiast tego wstała i używając po raz pierwszy słowa, które przyszło jej z naturalną łatwością, powiedziała pocieszające kłamstwo.

— Dziękuję, ojcze, bardzo mi ojciec pomógł. Wszystko widzę teraz znacznie jaśniej. Będę wiedziała, jak postąpić.

11

Każdy zakręt i nierówność pozarastanej ścieżki ogrodowej, wiodącej do furki na przyładek, Meg знаła tak dobrze, iż właściwie nie musiała śledzić podrygów krążka światła ze swojej latarki; wiatr, zawsze na Larksoken kapryśny, także jak się zdawało — stąpił nieco ostrze swej furii. Kiedy jednak znalazła się na grzbiecie niewielkiej wyniosłości i dostrzegła światełko nad drzwiami Chaty Męczennicy, zaatakował ze wzmożoną siłą, jakby zamierzał porwać ją z ziemi i wirującą w powietrzu cisnąć na powrót do bezpiecznego schronienia Starej Plebanii. Nie próbowała z nim walczyć, lecz tylko niżej pochyliła głowę i oburącz przytrzymując chustkę przeczekwała wściekły atak. Po chwili znów mogła się wyprostować. Niebo również było niespokojne: gwiazdy świeciły jasno, lecz z bardzo daleka, księżyc wirował wśród postrzępionych chmur jak niesiony wiatrem lampion z cienkiego papieru. Maszerując z wysiłkiem w stronę Chaty Męczennicy, Meg odnosiła wrażenie, że cały przyładek pogrążył się w chaosie i że nie potrafi już określić, czy ryk, jaki ma w uszach, jest dziełem wichury, uderzeń krwi czy też łamiących się fal. Kiedy na koniec stanęła bez ruchu przy dębowych drzwiach, zastanowiła się po raz pierwszy, czy jest w domu Alex Mair. Uznała za dziwne, że taka możliwość nie przyszła jej wcześniej do głowy. Wiedziała, że nie potrafi

stanać z nim twarzą w twarz — nie w tej chwili, jeszcze nie. Lecz na dzwonek zareagowała Alice.

— Czy jesteś sama? — zapytała Meg.

— Tak, sama. Alex jest w Larksoken. Wejdz, Meg.

Meg powiesiła w sieni płaszcz i chustkę, a następnie w ślad za

368

INTRYGII I ŻĄDZE

Alice poszła do kuchni. Alice najwyraźniej zajmowała się korektą. Teraz ponownie usiadła przy biurku, wykręciła się z krzesłem i popatrzyła na Meg, która zajęła swe zwykle miejsce w fotelu przy kominku. Przez kilka chwil milczały obie. Alice miała na sobie długą brązową spódnicę z cienkiej wełny, bluzkę zapiętą pod samą szyję, na niej zaś długi, bo sięgający niemal podłogi, fałdzisty kaftan bez rękawów w wąskie brązowe i brunatne paski. Przydawał jej hieratycznego dostojęstwa i niemal kapłańskiej, starannie zakomponowanej powagi. Przy czym, rzecz osobliwa, cały strój sprawiał zarazem wrażenie wygodnego i całkiem niezobowiązującego. W kominku płonął niewielki ogień z polan, przepelniając kuchnię bogatym jesiennym aromatem, w przewodach zaś przyjemnie wzdychał i pojękiwał wygłuszany grubymi siedemnastowiecznymi murami wiatr. Niekiedy wdzierał się z większą mocą i wtedy polana z sykiem budziły się do ognistego życia. To wszystko — ubranie, ogień, zapach płonącego drewna, nakładający się na subtelniej szy aromat ziół i ciepłego chleba — było znane Meg z wielu spokojnych wieczorów, jakie spędziły tu razem, i bardzo drogie. Dzisiejszy wieczór był jednak straszliwie odmienny. Po nim już nigdy nie będzie czuła się w tej kuchni dobrze. Zapytała: — Przeszkadzam?

— Oczywiście, co wcale nie znaczy, że jestem z tego niezadowolona.

Meg wyjęła z torebki dużą szarą kopertę.

— Odnoszę ci pierwsze pięćdziesiąt stron korekty. Postąpiłam, jak prosiłaś: przeczytałam tekst, szukając tylko błędów drukarskich.

Alice wzięła kopertę i nie patrząc na nią, odłożyła na biurko. — O to mi właśnie chodziło — powiedziała. — Mam taką obsesję na punkcie zgodności przepisów kucharskich, że przegapiam czasem literówki. Mam nadzieję, że się nie przepracowałam.

— Nie, czytałam z przyjemnością, Alice. Przywodziło mi to na myśl Elizabeth David.

— Niezbyt mocno, mam nadzieję. Jest tak cudowna, że czasem zaczynam się obawiać, czy nie jestem pod jej zbyt wielkim wpływem.

Zapadło milczenie. Meg pomyślała: Rozmawiamy ze sobą tak, jakbyśmy odczytywały scenariusz; niezupełnie jak nieznajome, lecz osoby, które uważają na każde słowo, ponieważ atmosfera pomiędzy nimi jest przepelniona niebezpiecznymi myślami. Czy naprawdę znam ją dobrze? Co kiedykolwiek powiedziała mi o sobie? Zaledwie kilka szczegółów z dzieciństwa, jakieś strzępy informacji, kilka zdań wtrąconych w rozmowę, które—jak rzucona zapalka — oświetliły na moment kontur nieznanego terenu. Ja zwierzyłam się niemal z wszystkiego

369

P. D. JAMES

— opowiedziałam o całym dzieciństwie, o konflikcie rasowym w szkole, o śmierci Martina. Czy jednak kiedykolwiek była to przyjaźń na równych prawach? Ona wie o mnie więcej niż jakikolwiek inny żyjący człowiek. Ja wiem o Alice jedynie to, że jest dobrą kucharką.

Przez cały czas czuła na sobie niemal kpiące spojrzenie przyjaciółki. Alice powiedziała: — Przecież nie borykałaś się z wiatrem tylko po to, żeby mi przynieść pięćdziesiąt stron korekty.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Rozmawiasz ze mną.

Meg śmiało popatrzyła w oczy Alice. Powiedziała: — Te dwie dziewczyny, Caroline i Amy... mówi się, że to one zamordowały Hilary Robarts. Wierzysz w to?

— Nie. Czemu pytasz?

— Ja też nie wierzę. Czy sądzisz, że policja spóbuje zwalić na nie winę?

Głos Alice był doskonale opanowany. — Raczej nie. I czyż nie jest to zbyt teatralny pomysł? Zresztą dlaczego mieliby to zrobić? Nadinspektor Rickards wywarł na mnie wrażenie funkcjonariusza sumiennego i uczciwego, jakkolwiek nie jest może przesadnie inteligentny.

— Cóż, ale to dla policji wygodna wersja, prawda? Dwie podejrzane nie żyją. Sprawa zamknięta. Żadnych śmierci więcej.

— Czy istotnie były podejrzane? Najwyraźniej bardziej niż ja zaskarbiłaś sobie zaufanie Rickardsa.

— Nie miały alibi. Ten mężczyzna z Larksoken, z którym podobno zaręczona była Caroline — Jonathan Reeves, prawda?

— zeznał, jak się zdaje, że nie byli ze sobą tego wieczoru. Caroline skłoniła go do kłamstwa. Wie o tym obecnie większość pracowników Larksoken. No i, oczywiście, cała wioska. Poinformował mnie o tym telefonicznie George Jago.

— No więc nie miały alibi. Inni też nie mieli — ty, na przykład. Brak alibi nie jest dowodem winy. Nawiasem mówiąc, ja również nie mam. Cały ten wieczór spędziłam w domu, choć wątpię, czy potrafiłabym tego dowieść.

I oto nadszedł wreszcie moment, który od chwili morderstwa wypełniał myśli Meg, moment prawdy, który napawał ją przerażeniem. Powiedziała suchymi, nieposłusznymi ustami: — Ale przecież nie było cię w domu, czyż nie tak? W mojej obecności oświadczyłaś nadinspektorowi Rickardsowi, że byłaś, ale to nieprawda.

Po kilku sekundach milczenia Alice zapytała ze spokojem: — Czy to mi właśnie przysłaś powiedzieć?

— Wiem, że da się to jakoś wyjaśnić. Głupio nawet pytać. Po
370

INTRYG I ŻĄDZE

prostu leży mi to na sercu od tak dawna. Jesteś moją przyjaciółką. Przyjaciele powinni mieć odwagę pytać. Powinna między nimi panować uczciwość, wiara, zaufanie.

— O co pytać? Czy musisz przemawiać jak pracownik poradni przedmałżeńskiej?

— Zapytać, dlaczego powiedziałaś policji, że byłaś tu o dziewiątej. Bo nie byłaś. Ja natomiast, tak. Po wyjeździe Copleyów odczuwałam nagłą potrzebę zobaczenia się z tobą. Próbowałam zadzwonić, ale odbierała tylko ta automatyczna sekretarka. Nie zostawiłam żadnej wiadomości; nie miało to sensu. Przyszłam. Dom był pusty. W salonie i kuchni paliły się światła, ale drzwi były zamknięte. Zawołałam cię. Wieża była nastawiona na pełny regulator. Chatę wypełniała triumfalna muzyka. Nie było jednak nikogo.

Alice przez chwilę siedziała w milczeniu. Potem powiedziała spokojnie: — Wyszłam na spacer, żeby podelektować się księżycem. Nie spodziewałam się przypadkowych gości. Prócz ciebie nie miewam przypadkowych gości, a sądziłam, że jesteś w Norwich. Podejmując jednak zwykłe środki ostrożności przeciwko intruzom, zamknęłam drzwi. Jak się dostałaś do środka?

— Dzięki twojemu kluczowi. Chyba nie zapomniałaś, Alice. Dałaś mi klucz rok temu. Mam go przez cały czas.

Alice spojrzała na nią i Meg dostrzegła, jak na jej twarzy rysuje się przypomnienie, gorycz, a potem, nim się odwróciła, ślad smętnego uśmiechu. Powiedziała: — A jednak zapomniałam, i to w kamień. Niezwykła historia! Zresztą nie przejmowałabym się nawet, gdybym pamiętała. W końcu sądziłam, że jesteś w Norwich. Ale zapomniałam. Mamy tyle tych kluczy do chaty, część tu, część w Londynie. A ty nigdy mi nie przypomniałaś, że jeden jest u ciebie.

— Przypomniałam ci raz, na samym początku, i powiedziałaś, żebyś go zatrzymała. Jak głupiec, uznałam, że to o czymś świadczy, o przyjaźni, zaufaniu; że jest znakiem iż Chata Męczennicy zawsze stoi przede mną otworem. Powiedziałaś, że może mi się przydać pewnego dnia.

Teraz Alice roześmiała się w głos. — I przydał ci się. Co za ironia losu. Ale to nie w twoim stylu wchodzić nieproszona, pod moją nieobecność. Nie robiłaś tego nigdy przedtem.

— Przecież nie miałam pojęcia, że cię nie ma. Paliły się światła, słyszałam muzykę. Kiedy zadzwoniłam po raz trzeci, a ty nie otworzyłaś, zaczęłam się obawiać, że jesteś chora, nie masz sił wezwać pomocy. Więc otworzyłam drzwi. Ogarnęła mnie fala cudownej muzyki. Rozpoznałam ją, symfonia Mozarta g-moll. To był ulubiony utwór Martina. Wybrałaś niezwykłą taśmę.

371

P. D. JAMES

— Nie wybierałam jej. Po prostu włączyłam odtwarzacz. A coż, twoim zdaniem, powinnam była wybrać? Requiem, żeby uhonorować odejście duszy, w którą nie wierzę?

Meg podjęła, jakby wcale nie usłyszała tej uwagi: — Przeszłam do kuchni. Tu też paliło się światło. Pierwszy raz byłam w niej sama i nagle poczułam się, jak ktoś obcy. Czułam, że nic tu się ze mną nie łączy. Że nie mam prawa tu być. To dlatego wyszłam natychmiast, nie zostawiając wiadomości.

— Zupełnie prawidłowe odczucie — stwierdziła ze smutkiem Alice. — Nie miałaś prawa tu być. I odczuwałaś aż tak nieprzepartą chęć złożenia mi wizyty, że zaryzykowałaś samotny spacer po przylądku, nie wiedząc jeszcze o śmierci Świstuna?

— Nie szłam z uczuciem strachu. Przylądek był tak opustoszały. Nie ma tu miejsc, gdzie ktoś mógłby się zaczaić, no i wiedziałam, że kiedy dotrę do Chaty Męczennicy, będę z tobą.

— Fakt, niełatwo cię przestraszyć, prawda? Czy boisz się teraz?

— Nie ciebie, tylko siebie. Boję się tego, o czym myślę.

— No więc dom był pusty. I co jeszcze? Najwyraźniej musi być coś jeszcze.

— Ta wiadomość na twoim magnetofonie — powiedziała Meg. — Gdybyś naprawdę wysłuchała jej dziesięć po ósmej, zadzwoniłabyś na dworzec w Norwich i poprosiła o nadanie przez megafon komunikatu, że prosisz, bym się z tobą skontaktowała telefonicznie. Wiedziałaś, jak bardzo Copleyowie nie chcą jechać do córki. Nie wiedział o tym nikt inny na przylądku, bo Copleyowie nigdy nikomu nie mówili, a ja powiedziałam tylko tobie. Zadzwoniłabyś, Alice. Usłyszałabym komunikat i przywiozła ich z powrotem do domu. Taka rzecz musiałaby ci przyjść do głowy.

— Jedno kłamstwo wobec Rickardsa — stwierdziła Alice — które mogło wynikać z wygodnictwa, chęci uniknięcia kłopotów, i jeden przypadek bezmyślności. Czy to już wszystko?

— Nóż. Środkowy nóż z twojego stojaka. Nie było go na swoim miejscu. Wówczas nie znaczyło to dla mnie, rzecz jasna, nic, ale stojak wyglądał dziwnie. Tak przyzwyczaiłam się do widoku pięciu noży, starannie uszeregowanych wedle rozmiaru. Teraz znów jest. Był na miejscu już w poniedziałek po morderstwie. Ale w niedzielę wieczorem go nie było.

Miała ochotę wykrzyknąć: „Przecież nie masz zamiaru używać go jak gdyby nigdy nic! Alice, nie używaj go!” Ale zamiast tego zmusiła się, by mówić dalej, usiłując zachować spokojny ton głosu, nie błagać nim o pociechę i zrozumienie.

372

INTRYG I ŻĄDZE

— Nazajutrz, kiedy zadzwoniłaś z informacją o śmierci Hilary, nie wspomniałam ani słowem o swojej wizycie. Nie wiedziałam, w co mam wierzyć. Nie w tym rzecz, iż cię podejrzewałam; nie potrafiłam tego i nie potrafię. Potrzebowałam jednak czasu do namysłu. Dopiero późnym przedpołudniem znalazłam w sobie dość sił, by do ciebie przyjść.

— I zastałaś mnie w towarzystwie nadinspektora Rickardsa, którego okłamywałam. I zobaczyłaś, że nóż na powrót tkwi w stojaku. Ale nic wtedy nie powiedziałaś i nie powiedziałaś nic od tamtej chwili. Nawet, jak przypuszczam, Adamowi Dalglieshowi.

Było to celne pchnięcie. Meg odparła: — Nie powiedziałam nikomu. Jakżeby mogła? Uważałam, że najpierw powinniśmy się rozmówić. Wiedziałam, że aby skłamać, musiałaś mieć po temu powód, który uznawałaś za istotny.

— A potem powoli, może zupełnie nieświadomie, zaczęłaś zdawać sobie sprawę, jaki to mógł być powód?

— Nie sędzę, byś zamordowała Hilary. To fantastyczne, absurdalne nawet jako rzucone mimochodem słowa, przelotna myśl. Brakowało jednak noża, a ciebie nie było w domu. Kłamałaś i nie rozumiałam dlaczego. Nadal nie rozumiem. Zastanawiam się, kogo osłaniaasz. I chwilami... wybacz, mi Alice... chwilami zastanawiam się też, czy nie było cię tam, kiedy ją zabijał, czy nie przyglądałaś się, nie stałaś na czatach, a może nawet pomogłaś, wycinając te włosy.

Alice siedziała tak nieruchomo, że jej długie palce i fałdy kaftana wyglądały jak rzeźbione w kamieniu. Powiedziała: — Nie pomagałam nikomu i nikt nie pomagał mnie. Na plaży były tylko dwie osoby, Hilary Robarts i ja. Zaplanowałam to sama i zrobiłam to sama.

Przez moment siedziały w milczeniu. Meg czuła, jak ogarnia ją wielki chłód. Słyszała słowa i wiedziała, że mówią prawdę. A może znała ją zawsze? Pomyślała: „Nigdy już nie będziemy

siedziały razem w tej kuchni, nigdy więcej nie znajdę tu spokoju i poczucia bezpieczeństwa". I wówczas przyplętnęło do niej dziwne wspomnienie: siedząc w tym samym fotelu, obserwowała, jak Alice przygotowuje ciasto na kruche ciasteczka — przesiewa mąkę na marmurową płytę, dodaje sześcianiki miękkiego masła, wbija jajka, delikatnie ugniata mieszaninę swymi długimi palcami, dodając do niej coraz więcej mąki, formuje błyszczącą kulę. Powiedziała: — To były twoje ręce. Twoje ręce zacisnęły jej pasek na gardle, twoje ręce wycięły włosy, twoje ręce naznaczyły jej czoło literą L. Zaplanowałaś to sama i zrobiłaś to sama.

— Wymagało to odwagi — odparła Alice — mniej jednak, niż mogłabyś przypuszczać. Umarła bardzo szybko, bardzo łatwo. Mog-

373

P. D. JAMES

libyśmy mówić o szczęściu, gdyby było nam dane odejść w tak niewielkich cierpieniach. Nie zdążyła nawet poczuć przerażenia. Miała lżejszą śmierć niż ta, która czeka większość z nas. A to, co nastąpiło później, nie miało żadnego znaczenia. Przynajmniej dla niej. Dla mnie zresztą tak samo. Była martwa. Tylko to, co wyrządzamy żyjącym, wymaga gwałtownych emocji, odwagi, nienawiści i miłości.

Po chwili milczenia dodała: — Tylko w swoim zapale udowadniania mi zbrodni nie pomieszaj przypadkiem podejrzeń z dowodami. Bo nic nie potrafisz dowieść. W porządku, powiadasz, że brakowało noża — ale to tylko twoje słowo przeciwko mojemu. A nawet, jeśli go brakowało... mogę powiedzieć, że wyszłam na spacer i morderca skorzystał z okazji.

— I później odstawił nóż z powrotem? A w ogóle, skąd miał wiedzieć, że go tam znajdzie?

— Wszyscy wiedzą, że jestem kucharką, a kucharki miewają ostre noże. No i dlaczego miałby go nie odstawić?

— Jak się mógł dostać? Drzwi były zamknięte na klucz.

— Na to znów jest tylko twoje słowo. Powiem, że zostawiłam drzwi otwarte. Mieszkańcy przyłódka tak zwykle postępują.

Meg pragnęłaby krzyknąć: „Przestań, Alice. Nie planuj już następnych kłamstw. Niech przynajmniej pomiędzy nami będzie prawda". Powiedziała: — A portret, rozbita szyba, czy te też twoje dzieła?

— Oczywiście.

— Ale dlaczego? Po co te wszystkie komplikacje?

— Ponieważ były konieczne. Czekając, aż Hilary wyjdzie z morza, dostrzegłam Theresę Blaney, która nagle pojawiła się na skraju klifu, obok ruin opactwa. Stała tylko przez chwilę, potem zniknęła. Lecz dostrzegłam ją. Przy tym blasku księżycy nie mogłam się pomylić.

— Ale jeśli cię nie dostrzegła, jeśli nie było jej tam, kiedy ty... kiedy umarła Hilary...

— Czyż nie rozumiesz? Oznaczało to, że jej ojciec nie ma alibi. Theresa zawsze sprawiała na mnie wrażenie prawdomównego dziecka, a poza tym została wychowana w silnie religijnej atmosferze. Gdyby powiedziała policji, że była tej nocy na przyłódku, Ryanowi groziłoby straszne niebezpieczeństwo. Zresztą gdyby nawet okazała dość rozsądku, żeby skłamać, to jak długo potrafiłaby kłamać przekonująco? Policja przesłuchiwałaby ją delikatnie, Rickards nie jest brutalem, ale dziecko z natury prawdomówne rzadko umie sugestywnie kłamać. Kiedy wróciłam do domu po zabójstwie, przesłuchiwałam taśmę. Przyszło mi do głowy, że może Alex zmienił plany i zatelefonował. To

374

INTRYG I ŻĄDZE

właśnie wtedy, zbyt późno, usłyszałam wiadomość George'a Jago. Wiedziałam, że tego morderstwa nie da się już przypisać Świstunowi. Musiałam Ryanowi zapewnić alibi. Spróbowałam zatem do niego zadzwonić, żeby mu powiedzieć, iż zamierzam zabrać obraz. Kiedy nie zdołałam uzyskać połączenia, zrozumiałam, że muszę pojechać do Chaty Żeglarsza i to pojechać jak najszybciej.

— Mogłaś po prostu wziąć obraz, zapukać do drzwi i powiedzieć Blaneyowi, że to zrobiłaś. Byłby to wystarczający dowód jego obecności w domu.

— Sprawiałoby to jednak zbyt naciągane wrażenie. Ryan dał mi jasno do zrozumienia, że mogę

sobie wziąć portret, ale nie mam mu przy tym zawracać głowy. Wyraził się jednoznacznie. I świadkiem tej rozmowy był Adam Dalgliesh. Nie jakiś zupełnie przypadkowy gość, lecz najinteligentniejszy detektyw Scotland Yardu. Nie, musiałam mieć jakiś istotny powód, żeby zapukać i porozmawiać z Ryanem.

— Więc włożyłaś obraz do bagażnika swojego wozu i oznajmiłaś Ryanowi, że w szopie go nie ma? — Było to, w poczuciu Meg, coś zgoła niesamowitego, że zgroza może zostać na chwilę przytłumiona przez ciekawość. Rozmawiały ze sobą tak, jakby snuły skomplikowane plany na najbliższy piknik.

— Właśnie — odparła Alice. — Nawet by mu przez myśl nie przeszło, że to ja sama zabrałam obraz minutę wcześniej. Sprzyjał mi oczywiście fakt, że był na poły pijany. Nie tak pijany, jak opisałam to Rickardowski, lecz dostatecznie pijany, by nie móc zabić Robarts i wrócić do Chaty Żeglarza za kwadrans dziesiąta.

— Nawet furgonetką czy na rowerze?

— Furgonetka była niesprawna, a na rowerze by się nie utrzymał. Poza tym musiałabym go zobaczyć, gdyby pedałowal do domu. Moje świadectwo oznaczało, że Ryan będzie bezpieczny, nawet jeśli Theresa przyzna się do nieobecności w domu. Po rozstaniu z Blaneyem zatrzymałam się na chwilę przy bunkrze i wrzuciłam buty do środka. Nie mogłam ich spalić, tak jak spaliłam papier i sznurek z portretu, bo przyszło mi do głowy, że płonąca guma może pozostawić jakiś ślad i trwałe zapach. Nie sądziłam, że policja będzie szukać butów, bo nie zakładałam, iż znajdzie jakiś ślad. A gdyby nawet znaleziono buty, to nie zaistnieje żadna okoliczność umożliwiająca powiązanie ich z tym akurat morderstwem. Przed wyrzuceniem opłukałam je starannie pod kranem na dworze. Idealnie byłoby gdybym mogła je odłożyć do skrzyni na plebanii, ale wiedziałam, że jesteś w Norwich i że drzwi będą zamknięte; nie miałam odwagi czekać.

— A potem wrzuciłaś obraz przez okno domu Hilary Robarts?

375

P. D. JAMES

— Musiałam się go jakoś pozbyć. W ten sposób wyglądało to na świadomy akt wandalizmu i nienawiści, którego mogło się dopuścić bardzo wiele osób, i to nie tylko z przyłądka. Jeszcze bardziej komplikowałam tym postępkami sprawę i dostarczałam dodatkowego dowodu na korzyść Ryana. Nikt by nie uwierzył, że rozmyślnie zniszczył własne dzieło. Miałam jednak podwójny cel: chciałam się dostać do Tymiankowej Chaty. Wybiłam dostatecznie dużą część szyby, aby móc wejść przez dziurę.

— To jednak było okropnie niebezpieczne. Mogłaś się skaleczyć, jakiś kawałek szkła mógł się wbić w twoje buty. Twoje własne buty, bo przecież wyrzuciłaś już te sportowe.

— Obejrzałam potem podeszwy bardzo starannie. No i dobrze uważałam, gdzie stąpałam. Zostawiła na dole światło, nie musiałam więc posługiwać się latarką.

— Ale dlaczego? Czego tam szukałaś? Co miałaś nadzieję znaleźć?

— Nic. Chciałam pozbyć się paska. Zwinęłam go w kłębek i odłożyłam do szuflady w sypialni pomiędzy innymi paskami, rajstopami, chusteczkami i skarpetkami.

— Gdyby jednak zbadała go policja, okazałoby się, że nie ma na nim odcisków Hilary.

— Ani moich. Cały czas nosiłam rękawiczki. Dlaczego zresztą mieliby badać ten pasek? Na logikę morderca powinien użyć swojego i zabrać go ze sobą. Najmniej prawdopodobnym miejscem ukrycia narzędzi zbrodni był dom ofiary. Dlatego go wybrałam. Gdyby zresztą nawet postanowiono dokładnie zbadać każdy pasek i każdą smycz na przyłądka, to jakież użyteczne odciski palców można uzyskać z pół-calowego kawałka skóry, dotykanego przez tuziny rąk?

Meg powiedziała z goryczą: — Zadałaś sobie wiele trudu, żeby zapewnić Ryanowi alibi. A co z innymi niewinnymi ludźmi, na których może paść podejrzenie? Byli i wciąż są narażeni na niebezpieczeństwo. Czy o nich nie pomyślałaś?

— Przejmowałam się tylko jednym człowiekiem, Aiexer, tyle że on miał najmocniejsze alibi ze wszystkich. Kontrola przy wejściu na teren elektrowni, a potem przy wyjściu.

— Myślałam o Neilu Pascoe, Amy, Milesie Lessinghamie, nawet o sobie — odparła Meg.

— Żadne z was nie jest ojcem odpowiedzialnym za czwórkę dzieci bez matki. Uznałam za mało

prawdopodobne, by Lessingham nie zdołał sobie sprokurować alibi; gdyby go zresztą nie miał, to i tak nie istnieją przeciwko niemu żadne konkretne dowody. Mam jednak przecucie, że domyśla się, kto to zrobił. Lessingham nie jest głupcem.

376

INTRYG I ŻĄDZE

Ale jeśli nawet wie, nie powie tego nigdy. Neil Pascoe i Amy mogli wzajemnie zapewnić sobie alibi, a ty, moja droga Meg, chyba nie widzisz się w roli poważnej podejrzanej.

— Ale tak się czuję. Kiedy Rickards mnie przesłuchiwał, miałam wrażenie, iż przeniosłam się znów do tamtego pokoju nauczycielskiego, że widzę wokół siebie te zimne oskarżycielskie twarze, wiem, że zostałam już osądzona i uznana za winną, i wręcz zastanawiam się, czy przypadkiem nie jestem winna.

— Możliwe tarapaty niewinnych podejrzanych, nawet twoje, zajmowały na liście moich priorytetów dosyć niskie miejsce.

— A teraz pozwalasz, by zwalono winę na Caroline i Amy, zmarłe i niewinne?

— Niewinne? Tylko w tej sprawie. Może masz rację, może policji będzie wygodnie przyjąć wersję, że uczyniła to któraś z nich bądź że były współsprawczyniami. Z punktu widzenia Rickardsa lepiej mieć dwie zmarłe podejrzane niż pusty areszt. Im to już nie przeszkadza. Krzywda nie dotyczy zmarłych: ani ta, którą wyrządzają, ani ta, która jest wyrządzana im.

— Ale to złe i niesprawiedliwe.

— Meg, one nie żyją. Nie żyją. To już nie może mieć znaczenia. „Niesprawiedliwość” to słowo, a one wyrwały się już spod władzy słów. Nie istnieją. Poza tym, życie jest niesprawiedliwe. Jeśli czujesz powołanie, by uczynić coś w kwestii niesprawiedliwości, skoncentruj się na niesprawiedliwości wyrządzanej żywym. Alex miał prawo do tego stanowiska.

— A Hilary Robarts, czy ona nie miała prawa żyć? Wiem, że nie była sympatyczna ani też pewnie zbyt szczęśliwa. Nie pozostawiła zrozpaczonych bliskich, nie osierociła dzieci. Zabrałaś jej jednak coś, czego nikt nie może jej zwrócić. Nie zasługiwała na śmierć. Pewnie nikt na nią nie zasługuje, nie na taką śmierć. Przecież nie wieszamy już teraz nawet Świstunów. Nauczyliśmy się czegoś od czasów Tyburnu* i spalania Agnes Poley. Hilary Robarts żadnym swoim uczynkiem nie zasłużyła na śmierć.

— Nie twierdzę, że zasługiwała, by umrzeć. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy była szczęśliwa, bezdzietna, a nawet czy jej życie miało jakieś znaczenie dla kogokolwiek prócz niej samej. Mówię po prostu, że pragnęłam, aby umarła.

* Tyburn—podziemna rzeka w Londynie, od której wzięło nazwę słynne miejsce straceń, przyp. tłum.

377

ПШШШ

ПМЯЯЯНИЯНЯ

P. D. JAMES

— To, co mówisz, jest tak występne, że nie potrafię tego zrozumieć. Alice, ty przecież popełniłaś okropny grzech.

Alice roześmiała się. Roześmiała się na całe gardło, niemal radośnie, jakby rzeczywiście była głęboko rozbawiona. — Meg, ty nieustannie mnie zadziwiasz. Używasz słów, które już dawno wyszły z ogólnego obiegu, a nawet, jak się zdaje, z obiegu kościelnego. Nie potrafię ogarnąć umysłem implikacji tego prostego słówka. Jeśli jednak chcesz to ujrzeć w kategoriach teologicznych, przypomnij sobie Bonhoefera*. Napisał: „Musimy niekiedy chcieć być winnymi”. Cóż, ja właśnie chcę być winna.

— Być winna, zgoda, ale nie czuć się winna. Tak jest zapewne znacznie łatwiej.

— Och, ależ czuję się winna. Poczucie winy obudzono we mnie już w dzieciństwie. A kiedy samym sercem swojej istoty czujesz, że nie masz nawet prawa istnieć, jeden więcej powód wyrzutów sumienia nie odgrywa wielkiej roli.

Meg pomyślała: Nigdy nie zdołam się z tego oczyścić, nigdy nie zapomnę wydarzeń tego wieczoru. Ale muszę wiedzieć wszystko. Nawet najboleśnieszka prawda jest lepsza od półprawdy. Rzekła: —

Tego popołudnia, gdy przyszedłam ci powiedzieć, że Copleyowie jadą do córki...

— W piątek po przyjęciu — wtrąciła Alice. — Trzydzieści dni temu.

— Tak niedawno? Mam wrażenie, że to było w jakimś innym wymiarze czasu. Więc poprosiłaś, bym po przyjeździe z Norwich wpadła do ciebie na kolację. Czy planowałaś to jako część swojego alibi? Czy zamierzałaś wykorzystać nawet mnie?

Alice spojrzała jej w oczy. Odparła: — Tak. Wybacz. Powinnaś przyjść około dziewiątej trzydzieści; do tego czasu byłabym z powrotem i wyjmowała z duchówki gorące danie.

— Przygotowane wcześniej i nie stanowiące pokusy dla Aiexa, który miał być w elektrowni.

— Tak to sobie właśnie wymyśliłam. Kiedy odmówiłaś, nie nalegałam. To by później mogło wyglądać podejrzanie, jak próba zapewnienia sobie alibi. Poza tym i tak nie zmieniałabyś zdania, prawda? Nigdy go nie zmieniasz. Ale sam fakt zaprosin pracował na moją korzyść. Kobieta, która zaprasza przyjaciółkę na kolację, raczej nie planuje w tym samym czasie morderstwa.

* Dietrich Bonhoeffer (1906-1945), niemiecki teolog protestancki, twórca tzw. bezreligijnego chrześcijaństwa, stracony przez nazistów, przyp. tłum.

378

INTRYG I ŻĄDZE

— Gdybym jednak przyjęła zaproszenie i zjawiła się tu o wpół do dziesiątej, byłoby to, biorąc pod uwagę późniejszą zmianę planu, dosyć dla ciebie kłopotliwe. Nie mogłabyś pojechać do Chaty Żeglarza, żeby zapewnić Blaneyowi alibi. No i wciąż byś miała te buty i pasek.

— Największy problem stanowiły buty. Nie sądzę, by powiązano je z morderstwem, musiałabym jednak pozbyć się ich jeszcze tej samej nocy. Nie umiałabym wytłumaczyć się z faktu ich posiadania. Być może wymyśliłabym je i ukryła, mając nadzieję, że nazajutrz zdołam niepostrzeżenie podrzucić je do skrzyni. Ale znalazłabym sposób zapewnienia Ryanowi alibi. Zapewne powiedziałabym ci, że nie mogę się do niego dodzwonić i że powinniśmy natychmiast podjechać do Chaty Żeglarza, aby powiadomić go o śmierci Świstuna. To jednak rozważania wyłącznie akademickie. Powiedziałaś, że nie przyjdiesz, i wiedziałam, że nie przyjdiesz.

— A jednak przyszedłam. Nie na kolację. Ale przyszedłam.

— No właśnie. Dlaczego, Meg?

— Przygnębienie po ciężkim dniu, smutek z powodu odjazdu Copleyów, chęć zobaczenia się z tobą. Nie liczyłam na posiłek. Zjadłam wczesną kolację, a potem spacerowałam po przylądku. Było jeszcze jedno, o co musiała zapytać. — Wiedziałaś, że Hilary chodzi pływać po wysłuchaniu najważniejszych wiadomości. Przypuszczalnie wiedzieli to wszyscy, którym znane były jej przyzwyczajenia. Zadałaś sobie trud, by zapewnić Blaneyowi alibi na dziewiątą dwadzieścia i krótki okres potem. Ale założmy, że zwłoki zostałyby znalezione dopiero nazajutrz. Zapewne losom Hilary zainteresowano by się dopiero wówczas, gdyby w poniedziałek nie zjawiła się w pracy. Najpierw zadzwoniono by, żeby sprawdzić, czy nie jest chora; może dopiero wieczorem ktoś pofatygowałby się do niej osobiście. Mogła się kąpać z rana, nie zaś wieczorem.

— Patologowie potrafią zwykle określić czas zgonu z dość znaczną dokładnością. I wiedziałam, że zostanie znaleziona tej samej nocy. Wiedziałam, że Alex obiecał do niej wpaść, wracając z elektrowni. Jechał właśnie do Tymiankowej Chaty, kiedy spotkał Adama Dalglisha. Teraz, jak sądzę, wiesz już wszystko z wyjątkiem pewnych szczegółów dotyczących butów Bumble. W niedzielę, późnym popołudniem, wkradłam się na plebanię od tyłu. Wiedziałam, że zastanę otwarte drzwi, a ty będziesz jadła podwieczorek. Na wypadek, gdyby mnie spostrzeżono, miałam ze sobą w torbie trochę ciuchów. Nie spostrzeżono mnie jednak. Wzięłam miękkie wygodne buty o numerze, który wydawał się na mnie z grubsza odpowiedni. Zabrałam także jeden z pasków.

379

■■■■■МННМ

P. D. JAMES

Było jeszcze jedno pytanie, najważniejsze.

— Ale dlaczego, Alice? Muszę to wiedzieć. Dlaczego?

— To niebezpieczne pytanie, Meg. Czy jesteś pewna, że chcesz poznać odpowiedź?

— Chcę poznać odpowiedź, muszę to wszystko zrozumieć.

— Czy nie wystarczy ci informacja, że była zdecydowana wyjść za Aiexa, a ja byłam zdecydowana do tego nie dopuścić?

— Nie mogłaś jej zabić z tego powodu. To niemożliwe. Chodziło o coś więcej, musiało chodzić.

— Tak. Chyba masz prawo wiedzieć. Szantażowała Aiexa. Mogła uniemożliwić mu otrzymanie tego stanowiska, lub — gdyby je mimo wszystko otrzymał — sprawić, że nie byłby w stanie normalnie na nim funkcjonować. Dysponowała narzędziem, dzięki któremu mogła zniweczyć całą jego karierę. Toby Gledhill powiedział jej, iż Alex z premedytacją wstrzymał opublikowanie wyników ich wspólnych badań, ponieważ mogły one wpłynąć negatywnie na decyzję o zainstalowaniu w Larksoken drugiego reaktora. Pewne rezultaty wypadły bardziej krytycznie niż pierwotnie sądzono. Ludzie sprzeciwiający się budowie w Larksoken nowego reaktora ciśnieniowo-wodnego mogli wykorzystać ten fakt, by spowodować zwłokę i obudzić nową falę hysterii.

— Chcesz powiedzieć, że świadomie sfałszował wyniki?

— Do czegoś takiego nie jest zdolny. Opóźnił jedynie ich opublikowanie. Zrobi to za miesiąc czy dwa. Jest to jednak informacja z rodzaju tych, które raz trafiwszy na łamy prasy, mogą narobić nienaprawialnych szkód. Toby był już niemal gotów przekazać ją Neilowi Pascoe, ale Hilary wybiła mu to z głowy. Szkoda było trwonić taki łakomy kęs. Zamierzała go użyć do zaciągnięcia Aiexa przed ołtarz. Powiedziała mu o tym, gdy po przyjęciu odprowadzała ją do domu; ja dowiedziałam się o wszystkim od Aiexa jeszcze tej samej nocy. Zrozumiałam wówczas, co muszę zrobić. Jedyнным sposobem, jakim prócz małżeństwa mógł sobie kupić jej milczenie, było awansowanie Hilary z p.o. kierownika na kierownika administracyjnego Larksoken, rozwiązanie równie trudne do przyjęcia, jak fałszerstwo wyników badań naukowych.

— Chcesz powiedzieć, że mógłby ją naprawdę poślubić?

— Mógł, gdyby został do tego zmuszony. Ale jakież gwarancje bezpieczeństwa miałby nawet wówczas? Tę informację mogła trzymać w zanadrzu do końca życia. I to jakiego życia — u boku kobiety, która szantażem zmusiła go do małżeństwa, kobiety, której nie pragnął, której nie szanował ani nie kochał.

380

INTRYG I ŻĄDZE

A potem dodała głosem tak cichym, że Meg usłyszała z najwyższym trudem: — Byłam Alexowi winna jedną śmierć.

— Ale skąd miałaś pewność co do tego wszystkiego, aż taką pewność, żeby ją zabić? — zapytała Meg. — Czy nie powinnaś była z nią porozmawiać, przekonać jej, wytłumaczyć?

— Rozmawiałam z nią. Byłam u niej w niedzielę po południu. Wtedy, kiedy pani Jago przyniosła magazyn parafialny. Można powiedzieć, że wybrałam się tam, aby zaproponować jej szansę życia. Nie mogłabym jej zabić, nie uzyskawszy pewności, że jest to konieczne. A to oznaczało, że musiałam zrobić coś, czego nie robiłam nigdy przedtem — rozmawiać z nią o Aiexie, usiłować ją przekonać, że małżeństwo nie leży w interesie żadnego z nich dwojga, skłaniać, by mu dała spokój. Mogłam sobie oszczędzić ponizenia. Nie doszło do żadnej dyskusji, była ponad to. Przestała się nawet zachowywać racjonalnie. Przez pewien czas darła się na mnie jak opętana.

— A czy twój brat wiedział o tej wizycie? — zapytała Meg.

— Nie ma o niczym pojęcia. Nie powiedziałam mu ani wtedy, ani potem. Zdradził mi jednak swój plan: Zamierzał obiecać jej małżeństwo, a później — otrzymawszy stanowisko — wycofać się z przyrzeczenia. Nigdy nie rozumiał tej kobiety, jej pasji, desperacji. Była jedynaczką bogatego człowieka, rozpieszczaną i zaniedbywaną na zmianę, usiłującą całe życie współzawodniczyć z ojcem, nauczoną, że to, czego człowiek chce, należy mu się z prawa, jeśli tylko potrafi to coś zdobyć siłą. I była odważna. Miała obsesję na punkcie Aiexa, swojej chęci zdobycia go, a nade wszystko tęsknoty do posiadania dziecka. Powiedziała, że jest jej winien dziecko. Czy sądził, że Hilary jest jak jeden z tych jego reaktorów, możliwa do okiełznania? Czy myślał, że wetknąwszy w ten żywiol jakiś swój odpowiednik prętów borowych zdoła zapanować nad wyzwoloną energią? Gdyśmy się rozstawały tego popołudnia, wiedziałam, że nie mam wyboru. Niedziela była ostatecznym terminem. Alex miał wpaść do Tymiankowej Chaty w drodze powrotnej z elektrowni.

Miał szczęście, że dobrałam się do Hilary wcześniej.

Może najgorsze z wszystkiego było to oczekiwanie na jego powrót do domu. Nie ośmieliłam się zadzwonić do elektrowni. Nie mogłam mieć pewności, że będzie sam w gabinecie czy sali komputerów, a poza tym nigdy nie pytałam go telefonicznie, kiedy zamierza wrócić. Siedziałam więc i czekałam przez niemal trzy godziny. Przypuszczałam, że to właśnie Alex odnajdzie zwłoki. Nie zastanie jej w domu i naturalną kolejną rzeczą pójdzie sprawdzić na plaży. Znajdzie zwłoki, z wozu zadzwoni na policję, a potem do mnie. Kiedy tego nie zrobił,

24 Intrygi i żądze

381

P. D. JAMES

zaczęłam fantazjować, że jakimś cudem naprawdę nie jest martwa, że spartaczyłam robotę. Wyobrażałam sobie, jak miota się wokół mej, robi jej sztuczne oddychanie usta-usta, jak jej oczy powoli się otwierają. Wyłączyłam światła i przeszłam do salonu, żeby obserwować drogę. Nie przejechała nią jednak karetka, lecz wozy policyjne, ten cały objazdowy teatr zbrodni. Alex jednak ciągle nie wracał.

— A kiedy wreszcie przyjechał?

— Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Poszłam do łóżka; wiedziałam, że muszę zachowywać się jak zwykle, nie czekać nań do późna. Przyszedł do mojego pokoju, powiedział, że Hilary nie żyje, opisał w paru słowach, jak zginęła. „Świstun?“, zapytałam, a on odrzekł: „Zdaniem policji, nie. Świstun już nie żył, kiedy została zamordowana“. Potem wyszedł. Nie sądzę, byśmy mogli wytrzymać ze sobą w tej atmosferze przesyconej naszymi nie wypowiedzianymi myślami. Zrobiłam, co powinnam była zrobić i co warto było zrobić. Dostał to stanowisko i po ogłoszeniu nominacji nie będą mu go mogli odebrać. A przynajmniej z tego powodu, że jego siostra jest morderczynią.

— Jeśli jednak dowiedzą się, dlaczego została morderczynią?

— Nie dowiedzą się. Wiedziały o tym tylko dwie osoby, ciebie natomiast nie wtajemniczyłabym nigdy, gdybym ci nie ufała. Mówiąc bardziej przyziemnie: powątpiewam, czy dano by ci wiarę, nie mając potwierdzenia innego świadka. A Toby Gledhill i Hilary Robarts, dwie jedyne osoby, które mogłyby takiego potwierdzenia udzielić, nie żyją.

— Potem, po minucie ciszy, dodała: — Zrobiłabyś to samo dla Martina.

(

— Och, nie, nie.

— Nie w taki sposób, jak ja. Nie wyobrażam sobie, byś zdobyła się na użycie siły fizycznej. Ale wyobraź sobie, że on i ktoś jeszcze tonie, ty zaś stoisz na brzegu i masz moc postanowienia, który z nich utonie, a który przeżyje. Czy zawahałabyś się wówczas?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale to by było coś zupełnie innego. Nie planowałabym czyjegokolwiek utonięcia, nikomu bym go nie życzyła.

— Ujmijmy to inaczej. Gdyby powiedziano ci, że miliony ludzi będą żyły bezpieczniej jeśli Alex otrzyma stanowisko, do którego jest wyjątkowo predestynowany, ale otrzyma je wyłącznie za cenę życia jednej kobiety, to czy wówczas także byś się wahała? Ja stanęłam właśnie w obliczu takiej decyzji. Nie wykręcaj się przed nią, Meg. Ja się nie wykręcałam.

— Ale morderstwo? Jakże morderstwo może cokolwiek rozwiązać? Nigdy nie rozwiązało.

382

INTRYG I ŻĄDZE

— Och, ale może i rozwiązuje — powiedziała Alice z nagłą pasją.

— Uczyłaś historii, prawda? Więc musisz o tym wiedzieć.

Meg czuła się wyczerpana i obolała. Pragnęła, by rozmowa dobiegła już końca. Nie mogła jednak dobiec. Pozostawało zbyt wiele do powiedzenia. Zapytała: — Co zamierzasz zrobić?

— To zależy od ciebie.

Lecz w swojej zgrozie i niedowierzaniu Meg znalazła odwagę. Więcej niż odwagę: stanowczość. Odparła: — O nie, wcale nie zależy. Nie jest to odpowiedzialność, o którą prosiłam, i nie chcę jej

ponosić.

— Nie możesz jej jednak uniknąć. Wiesz to, co wiesz. Dzwon do nadinspektora Rickardsa. — Kiedy Meg nie uczyniła żadnego ruchu w stronę aparatu, dodała: — Przecież nie zaczniesz mi tu cytować E.M.Forstera. „Gdybym musiał stanąć w obliczu wyboru pomiędzy zdradą ojczyzny a zdradą przyjaciela, znalazłbym w sobie, mam nadzieję, dość ikry, żeby zdradzić ojczyznę”.

Meg odparła: — Jest to jedno z tych błyskotliwych powiedzonek, które—jeśli się je podda analizie — albo nie znaczą nic, albo znaczą coś całkiem głupiego.

— Pamiętaj tylko — powiedziała Alice — że cokolwiek postanowisz, nie przywrócisz jej życia. Masz do dyspozycji kilka rozwiązań, ale akurat to nie wchodzi w grę. Ujawnienie prawdy bardzo mile łechce ludzkie ego; zapytaj Adama Dalgliesha. A jeszcze milej łechce ludzką próżność wiara, że można pomścić niewinność, ożywić przeszłość, wymierzyć sprawiedliwość. Ale to ułuda. Zmarli pozostają zmarłymi. Możesz najwyżej skrzywdzić żywych w imię sprawiedliwości, odpłaty za zło, zemsty. Rób to, jeśli masz w tym jakąkolwiek przyjemność, ale nie dopatruj się w takim postępowaniu cnoty. Wiem, że cokolwiek postanowisz, będzie decyzją nieodwołalną. Mogę ci wierzyć i mogę ci ufać.

Meg spostrzegła, że zwrócone na nią spojrzenie Alice jest poważne, ironiczne i wyzywające. Nie było jednak błagalne. Alice powiedziała:

— Czy chcesz mieć trochę czasu na zastanowienie?

— Po co? Wiem już, co muszę zrobić. Muszę powiedzieć. Choć wołałabym, abyś ty to zrobiła.

— Więc daj mi czas do jutra. Kiedy zacznę mówić, nie będę miała już dla siebie ani chwili. Są pewne rzeczy, które muszę zrobić. Korekta, sprawy do uporządkowania. I chciałabym mieć jeszcze dwanaście godzin wolności. Będę wdzięczna, jeśli możesz mi je dać. Nie mam prawa prosić o nic więcej, proszę więc tylko o to.

— Kiedy się przyznasz — powiedziała Meg — będziesz musiała podać im jakiś motyw, jakiś powód, coś, w co będą mogli uwierzyć.

383

P. D. JAMES

— Och, ależ uwierzą bez problemów. Zazdrość, nienawiść, niechęć starzejącej się dziewczicy dla kobiety, która wyglądała tak jak ona i żyła tak jak ona. Powiem, że chciała go poślubić, zabrać mi Aiexa po wszystkim, co dla niego zrobiłam. Dostrzegą we mnie zneurotyzowaną, klimakteryczną babę, której chwilowo pomieszały się klepki. Nienaturalny afekt. Tłumiony seksualizm. W taki sposób mężczyźni mówią o kobietach podobnych do mnie. Ten rodzaj motywu bywa akceptowany przez facetów pokroju Rickardsa. Podam mu go na dłoni.

— Nawet jeśli oznacza to dla ciebie Broadmoor? Alice, czy potrafisz to znieść?

— Jest to w końcu jakaś możliwość, prawda. Albo to, albo więzienie. To było starannie zaplanowane morderstwo. Nawet najsprytniejszy adwokat nie zdoła go przedstawić jako czynu w afekcie. A wątpię, czy wikt w Broadmoor różni się czymkolwiek od więziennego.

Meg odnosiła wrażenie, że nic nigdy nie będzie już pewne. Nie tylko jej wewnętrzny świat legł w gruzach, lecz również znajome elementy świata zewnętrznego straciły wszelką realność.

Cylindryczne biurko Alice, kuchenny stół, wysokie wyplatane krzesła, rzędy lśniących garnków, Kuchenka — to wszystko wydawało się tak niematerialne, jakby miało zniknąć za lada dotknięciem.

Nagle uświadomiła sobie, że ta część kuchni, po której błędzi wzrokiem, jest pusta. Alice zniknęła.

Ogarnięta osłabieniem odchyliła się w fotelu i zamknęła oczy; kiedy je otworzyła, dostrzegła tuż nad sobą olbrzymią, niemal księżycową twarz Alice. Alice podawała jej wysoką szklanekę. — To whisky — powiedziała. — Wypij, dobrze ci zrobi.

— Nie, Alice, nie mogę. Naprawdę nie mogę. Wiesz, że nie znoszę whisky, przyprawia mnie o mdłości.

— Ta ci nie zaszkodzi. Są sytuacje, kiedy whisky jest najlepszym remedium. Wypij, Meg.

Poczuła drżenie kolan i w tej samej chwili nieopanowanie puściły się z jej oczu łzy, słone strumyki, spływające po policzkach i ustach. Pomyślała: To się nie dzieje w rzeczywistości. To nie może być prawdą. Ale miała to samo uczucie, gdy wywołana z klasy, delikatnie usadzona na krześle w prywatnym saloniku dyrektora, wysłuchiwała z ust panny Mortimer wiadomości o śmierci Martina.

Trzeba było pomyśleć rzecz nie do pomyślenia, uwierzyć w rzecz nie do wiary. Słowa znaczyły to, co oznaczały zawsze: „morderstwo”, „śmierć”, „rozpacz”, „ból”. Widziała poruszające się usta panny Mortimer, z których jak dymki w komiksie wylatywały dziwaczne, nie powiązane ze sobą zdania. Zauważyła, że usta zostały przed rozmową otarte ze

384

INTRYGII I ŻĄDZE

szminki. Może panna Mortimer doszła do wniosku, że tylko nagie usta mają prawo przekazać tę straszną wiadomość. Znow widziała te trwające w nieustannym ruchu mięsiste wargi, znow dostrzegła, że górny guzik swetra panny Mortimer ledwie się trzyma na pojedynczej nitce, znow usłyszała swój własny głos, który mówi, naprawdę mówi: „Panno Mortimer, oderwie się pani guzik”.

Zacisnęła palce na szklance, która — z pozoru — rozrosła się do olbrzymich rozmiarów i była ciężka jak kamień. Zapach whisky przyprawiał ją o skurcz żołądka. Ale nie miała siły, by się opierać. Powoli uniosła szklankę do ust. Czuła w pobliżu twarz Alice, czuła na sobie jej badawczy wzrok. Pociągnęła pierwszy mały łyżeczek i miała właśnie odrzucić głowę do tyłu, by opróżnić szklankę do dna, gdy łagodnie, lecz stanowczo wyjęto ją z jej rąk. Usłyszała głos Alice: — Masz rację, Meg, to nigdy nie był twój ulubiony napitek. Zrobię nam kawę, a potem odprowadzę cię na Starą Plebanię

Piętnaście minut później Meg zmyła filiżanki i taki był koniec tego niezwykłego wieczoru. Potem ruszyły razem w stronę plebanii. Miały wiatr w plecy i Meg odnosiła wrażenie, że jak dwie czarownice unoszą się w powietrzu, tylko chwilami dotykając stopami ziemi. U drzwi plebanii Alice zapytała: — Co zamierzasz robić dziś w nocy, Meg? Modlić się za mnie?

— Będę się modlić za nas obie.

— Zgoda, tylko nie licz na moją skrucę. Nie jestem, jak wiesz, pobożna i nie rozumiem tego słowa, chyba że oznacza żal, iż jakiś nasz uczynek nie przyniósł rezultatów tak dobrych, na jakie liczyliśmy. W tym sensie mogę żałować tylko tego drobnego pecha, że ty, moja droga Meg, jesteś tak mało kompetentnym mechanikiem samochodowym.

A potem, jakby powodowana nagłym impulsem, uchwyciła Meg za ramiona. Był to chwyt gwałtowny, niemal bolesny. Meg sądziła przez moment, że Alice zamierza ją pocałować, po chwili jednak uścisk zelżał i dłonie opadły. Alice pożegnała się krótko i odwróciła.

Przekręcając klucz w zamku i otwierając drzwi, Meg spojrzała przez ramię, lecz Alice zniknęła już w ciemnościach; szaleńczy szloch, który przez jeden niewiarygodny moment Meg uważała za płacz kobiety, okazał się tylko zawodzeniem wiatru.

цншшм^ншан

pierwszoplanowe zn informacji, podchwycyM moelv zostać złożone w cai Kfphlea to i owo. Tego na 3Jmvślic. JeśH nawet ofic, "wiązanej, to Rickards na] AmY Camm przy pomocy sw< ^ała Hilary Robarts. Dt minionego wieczoru, uznał z. który uzasadniał spokojnie i k niemu jego własne argument

— Jest samodzielną koc» życie, zawód. Dlaczego u di żeni? Nie usiłowała go pow I trudno powiedzieć, że jest wyobrazić sobie Aiexa Maira facet, który nie pozwoli Bof tylko sam ją sobie wybierze.

— Brak motywu — po ogniwem teorii. I przyznaję, jakichkolwiek innych. Lec2 Wiedziała, jak zabijał Świsł dostatecznie dużą stopę, by i Żeglarza miała okazję wrzuci się pan? Sądzę, że ta zbroć popełniając ją nie miał pojęć o niej krótko potem.

— To bardzo pomysłów

Dalgliesha kusiło, by od po prostu logiczne. Rickarc przesłuchać Alice Mair, 1 prowadził tej sprawy. Za dw ludzie z MI 5 mają w zanadi

będą ją musieli wykonać sar
było usprawiedliwione i o v
sobie, że trudno winić Rick
decyzji, jakie miał podjąć 1
Ta nieoczekiwana eks
leWrie obrzydzenie samym
P. D. JAMES

12

Dalgliesh kończył porządkować ostatnie papiery po ciotce, kiedy zaterkotał telefon. Dzwonił Rickards, którego mocny, dźwięczny od euforii głos brzmiał tak wyraźnie, jakby dobiegał z tego samego pokoju. Jego żona godzinę temu wydała na świat córkę. Dzwoni ze szpitala. Żona czuje się doskonale. Dziecko jest cudowne. Ma tylko kilka minut. Robią teraz jakieś medyczne abrakadabry, a potem będzie mógł wracać do Susie.

— Wróciła do domu w ostatniej chwili, panie Dalgliesh. Szczęśliwy traf, prawda? A położna powiada, że nie zetknęła się z takim szybkim porodem przy pierwszej ciąży. Tylko sześć godzin. Siedem i pół funta, waga jak w sam raz. Chcieliśmy mieć dziewczynkę. Damy jej na imię Stella Louise. Louise to po matce Susie. Nie szkodzi jeśli trochę uszczęśliwimy starą raszplę. Odkładając słuchawkę po złożeniu gorących gratulacji — które, jak podejrzewał, Rickards uznał za ledwo ciepłe — Dalgliesh zaczął się zastanawiać, dlaczego został zaszczycony tak świeżymi informacjami z placu boju, i doszedł do wniosku, że Rickards, nie posiadając się z radości, wydzwania do wszystkich, których mogłyby zainteresować nowiny, i wypełnia w ten sposób minuty, zanim uzyska pozwolenie na powrót do żony. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie potrafię wyrazić, jakie to uczucie, panie Dalgliesh”.

Dalgliesh jednak pamiętał, jakie to uczucie. Zastygł na moment z ciepłą słuchawką w dłoni, usiłując zaprowadzić ład pośród reakcji, które przy wieściach tak zwyczajnych i spodziewanych wydały mu się nadmiernie skomplikowane, by wreszcie dojść z niesmakiem do wniosku, że częścią tego, co właśnie odczuwa, jest zazdrość. Czy to, rozmyślał, pobyt na przylądku, gdzie tak wyraźnie człowiek uświadamia sobie przejściowość a zarazem ciągłość ludzkiego istnienia, wiecznotrwałość cyklu narodzin i śmierci, czy może zgon Jane Dalgliesh, jego ostatniej krewnej, stał się przyczyną, że przez moment doświadczył dojmującego pragnienia, by także mieć żywe dziecko?

Ani on, ani Rickards nie wspomnieli o morderstwie. Rickards uznałby to bez wątpienia za niemal brutalny gwałt na swej prywatnej, uświęconej ekstazie. No i, w końcu, niewiele zostało do powiedzenia. Rickards dał jasno do zrozumienia, że uważa sprawę za zamkniętą. Amy Camm i jej kochanka nie żyły i było mało prawdopodobne, aby udało się dowieść ich winy. Zresztą teoria, że są winowajczyniami, miała wyraźne luki. Rickards wciąż nie dysponował dowodami, że

386

INTRYG I ŻĄDZE

którkolwiek z kobiet wiedziała o szczegółach zbrodni Świstuna. Ten aspekt jednak najwyraźniej tracił ostatnio w policyjnych umysłach pierwszoplanowe znaczenie. Ktoś mógł być niedyskretny. Strzępy informacji, podchwyczone przez Camm w „Naszym Bohaterze”, mogły zostać złożone w całość. Sama Robarts mogła powiedzieć Amphlett to i owo. Tego natomiast, czego nie usłyszały, mogły się domyślić. Jeśli nawet oficjalnie opatrzone sprawę etykietką nie rozwiązanej, to Rickards na prywatny użytek przyjmował wersję, że Amy Camm przy pomocy swojej kochanki Caroline Amphlett zamordowała Hilary Robarts. Dalgliesh, kiedy spotkali się na krótko minionego wieczoru, uznał za stosowne wystąpić z innym poglądem, który uzasadniał spokojnie i logicznie, Rickards jednak obrócił przeciw niemu jego własne argumenty.

— Jest samodzielną kobietą. Sam pan tak mówił. Ma swoje własne życie, zawód. Dlaczego u diabła miałyby się przejmować, z kim się żeni? Nie usiłowała go powstrzymać przy pierwszym małżeństwie. I trudno powiedzieć, że jest mu potrzebna opieka. Czy potrafi pan wyobrazić sobie Aiexa Maira, który robi coś, na co nie ma ochoty? To facet, który nie pozwoli Bogu zdecydować o chwili swojej śmierci tylko sam ją sobie wybierze.

— Brak motywu — powiedział Dalgliesh — jest najsłabszym ogniwem teorii. I przyznaję, że nie

ma śladu dowodów sądowych czy jakichkolwiek innych. Lecz Alice Mair spełnia wszelkie kryteria. Wiedziała, jak zabijał Świstun; wiedziała, skąd wziąć te buty i ma dostatecznie dużą stopę, by móc je nosić; w drodze powrotnej z Chaty Żeglarza miała okazję wrzucić je do bunkra. Ale jest coś jeszcze, zgodzi się pan? Sądzę, że ta zbrodnia została popełniona przez kogoś, kto popełniając ją nie miał pojęcia o śmierci Świstuna, lecz dowiedział się o niej krótko potem.

— To bardzo pomysłowe, panie Dalglish.

Dalglisha kusilo, by odpowiedzieć, że wcale nie pomysłowe, lecz po prostu logiczne. Rickards poczuje się zobligowany, by ponownie przesłuchać Alice Mair, lecz daleko nie zajędzie. Poza tym, nie prowadził tej sprawy. Za dwa dni będzie z powrotem w Londynie. Jeśli ludzie z MI 5 mają w zanadru jeszcze jakiś pomysł na brudną robotę, będą ją musieli wykonać sami. I tak zaangażował się mocniej, aniżeli to było usprawiedliwione i o wiele mocniej, niż miał na to ochotę. Mówił sobie, że trudno winić Rickardsa czy też mordercę za to, iż większość decyzji, jakie miał podjąć na przykładu, wciąż nie była podjęta.

Ta nieoczekiwana eksplozja zazdrości wywołała w Dalglishu lekkie obrzydzenie samym sobą, które to uczucie pogłębiło się jeszcze

387

ЯТМЯИПМ

£.<?

Sn fl в л

"1

«.SBił-iAW

•< Jf(E. s.^ 6

o .a w g- „

3 B Bě.

O N N

•<! B* <j <5

CS w 53 £

t- VJ O- N CS

й- Я S' 3 & ï 2

g-S.r S' o- S 5 3 g- -o"4 &'«^* *"" *■ fi- e ~# ,r ~ M. S'M K-.9- W- 2Г-*

СГ to -

a M o n EL к-

ora "o >a cl<x3 a в «

sag- fi I-s*

Ia Л " tu u fo C **— rv

o B."< Л -a 3 S ^ *<

3'ГййОе-2.и3 — o, c* C ri ~- **Гы C--

i £• ir £r ~ ^ S' 3-^ ■ S s. n> o.-a v" q

8 3 s.†^^^

frŁB

7Г

Il O

W I»

3 ta

O. _O N ST

P. D. JAMES

bardziej, kiedy stwierdził, że czytana właśnie książkę — biografię Tolstoja pióra A.N.Wilsona — zostawił na poddaszu wiatraka. Ta lektura dostarczała mu zadowolenia i pocieszenia, których, jak mu się zdawało, potrzebował w tej chwili szczególnie. Zatrzasnąwszy uważnie drzwi domu, by nie wdarła się do niego wichura, pochylony obszedł krzywizną wieży, włączył światła i wdrapał się na najwyższą kondygnację. Na zewnątrz wiatr wyl i wrzeszczał jak stado obłąkanych demonów, tu

jednak, w tej stożkowo sklepionej małej komóreczce, panował niezwykle spokoj. Powodowany impulsem, otworzył wschodnie okno i pozwolił wdrzeć się do środka dzikiej, oczyszczającej potędze wichury. To wtedy ponad kamiennym murkiem zamykającym patio Chaty Męczennicy dostrzegł światło w oknie kuchennym. Nie było to zwykłe światło. Na jego oczach zamigotało, przygasło, potem zamigotało ponownie i spotężniało w czerwonawą poświatę. Widział już w przeszłości takie światło i zdawał sobie sprawę, co oznacza. Chata Męczennicy stanęła w ogniu. Nieomal zjechał po dwóch drabinach, łączących kondygnacje wiatraka, wpadł do salonu na chwilę zaledwie dostatecznie długą, by wezwać telefonicznie straż pożarną i pogotowie, a potem znów był na dworze, dziękując opatrności, że nie wstawił jaguara do garażu. Kilka sekund później gnał z pełną szybkością po nierównej murawie przyładka. Wyhamował ostro i rzucił się do drzwi frontowych. Były zamknięte. Przez moment rozważał możliwość staranowania ich samochodem. Ościeżnica jednak była z masywnego siedemnastowiecznego dębu, a poza tym manewrowanie i przyspieszanie pociągnie za sobą utratę wielu bezcennych sekund. Pognał na tyły domu, przesadził mur i znalazł się na dziedzińcu. Wystarczyła chwila, by stwierdzić, że tylne drzwi są również zaryglowane na dwie zasuwy. Nie miał wątpliwości, kto jest w środku; musiał wydostać ją przez okno. Zerwał kurtkę, owinął nią prawe ramię, a jednocześnie odkręcił kran przy domu i ochlapał sobie głowę oraz górną połowę ciała. Ociekał wodą, kiedy usztywniwszy łokieć rąbnął nim w szybę. Szkło jednak, które miało stawiać skuteczny opór zimowym wichurom, było mocne. Dalgliesh musiał wspiąć się na parapet i wczepiony w górną część framugi zadać kilka pod rząd gwałtownych kopniaków zanim szyba poddała się z brzękiem, a ku niemu gwałtownie skoczyły płomienie.

Za oknem był podwójny zlew. Dalgliesh przetoczył się po nim, dławiony dymem opadł na kolana i ruszył na czworakach w jej stronę. Leżała — długie ciało sztywne jak manekin — pomiędzy kuchenką a stołem. Płonęły jej włosy, ubranie i leżała tak, patrząc w sufit, skąpana w jezorach ognia. Lecz jej twarz była jeszcze nietknięta i kiedy znalazł

388

INTRYG I ŻĄDZE

się przy niej, dostrzegł w szeroko otwartych oczach taką koncentrację na poły szaleńczego hartu, że do jego duszy wdarł się nieproszony wizerunek Agnes Poley, a płonące meble stały się nagle trzaskającymi polanami jej okropnego męczeństwa; potem, mimo ostrego, duszącego dymu, poczuł odór palonego ciała.

Szarpnął Alice Mair, ale była zaklinowana, a na jej nogi zwałił się płonący stół. Musiał zyskać choć kilka sekund. Zataczając się, kaszląc, podszedł do zlewu, rozkręcił do oporu oba krany i nabierając wody do garnka chlustał nią w płomienie raz za razem. Na niewielkim obszarze ogień zasyczał i zgasł. Odrzuciwszy kopnięciami płonące szczątki, Dalgliesh przerzucił sobie przez ramię jej ciało i z trudem dotarł do drzwi. Zasuwy jednak, tak gorące, że ledwie można było ich dotknąć, zgrzały się na kamień. Trzeba będzie spróbować oknem. Posapując z wysiłku, jął przepychać bezwładne brzemię nad zlewozmywakiem, ale zaczepiło się o krany i potrzebował całej wieczności koszmarnych wysiłków, by je uwolnić, dopchać do okna i zobaczyć wreszcie, jak się przechyla i ginie mu z pola widzenia. Zakrztusił się świeżym powietrzem i uchwyciwszy krawędź zlewozmywaka spróbował wydzwignąć własne ciało, ale nagle z jego nóg odpłynęła cała moc. Poczul, jak się pod nim uginają, i musiał wesprzeć oba łokcie na obudowie zlewu, żeby nie runąć na wznak w potężniejące płomienie. Aż do tej chwili ledwie odczuwał ból, który teraz jednak zaczął się wgryzać w jego plecy i nogi jak rozszalała zgraja psów. Nie był w stanie sięgnąć głową do rozkręconych kranów, ale nabrał wody w dłoń i ochlapał nią twarz, jakby jej chłodne błogosławieństwo mogło przynieść ulgę torturowanym nogom. I nagle opadła go niemal nieodparta pokusa, by zwolnić uścisk i zamiast kontynuować tę skazaną na niepowodzenie próbę ucieczki, poddać się płomieniom. Było to tylko chwilowe szaleństwo i w rezultacie dało mu impuls do podjęcia ostatniej desperackiej próby. Uchwycił krany obiema dłońmi, a potem powoli, z wysiłkiem, wydzwignął ciało do pozycji półleżącej. Teraz, kiedy kolana znalazły oparcie na twardej krawędzi zlewozmywaka, mógł powoli przepychać się ku oknu. Otaczały go kłęby dymu, a jego plecy atakowały z rykiem wielkie jezory płomieni. Od tego ryku pękały mu bębenki. Ten ryk

unosił się nad całym przylądkiem i Dalgliesh nie wiedział już, czy słyszy ogień, wiatr, czy morze. Potem uczynił ostatni wysiłek i poczuł pod sobą miękkie ciało Alice Mair. Stoczył się z niego. Nie płonęło już. Do zwęglonej skóry kleiły się tu i ówdzie poczerniałe strzępy odzieży, Zdołał się jakoś podnieść i zataczając się dokuszytykał do kranu. Dotarł do niego na moment przed utratą przytomności i ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był syk, kiedy strumień wody spłynął na jego zarzące się ubranie.

389

P. D. JAMES

Otworzył oczy minutę później. Kamienie pod jego poparzonymi plecami były okropnie twarde i kiedy spróbował się poruszyć, przejmujący ból wyrwał mu z ust donośny okrzyk. Nigdy dotąd nie zaznał takiego bólu. Pochyliła się nad nim blada twarz; rozpoznał Meg Dennison. Pomyślał o tej zwęglonej rzeczy pod oknem i zdołał powiedzieć: — Nie patrz. Nie patrz.

Odpowiedziała jednak cicho: — Ona nie żyje. Musiałam popatrzeć.

Potem przestał ją rozpoznawać. Jego zdezorientowana dusza znalazła się w innym miejscu, w innym czasie. I nagle, wśród tłumu gapiów, uzbrojonych w piki żołnierzy, strzegących stosu, znalazł się Rickards, który mówił: „Ale ona nie jest rzeczą, panie Dalgliesh. Jest kobietą”. Zamknął oczy. Objęły go ramiona Meg. Przechylił na bok głowę i wcisnął twarz w jej kurtkę, zaciskając zęby na wełnie, aby nie zhańbić się głośnym jękiem. Potem poczuł na twarzy jej chłodne dłonie. Powiedziała: — Nadjeżdża karetka. Słyszę ją. Leż spokojnie, kochany. Wszystko będzie dobrze. Zdołał jeszcze usłyszeć dzwon wozu straży pożarnej i znów osunął się w niebyt.

EPILOG

środa 18 stycznia

Adam Dalgliesh wrócił do Wiatraka Larksoken dopiero w połowie stycznia, w dzień tak ciepły, że przylądek spowijała prawdziwie godna tegorocznej przedwczesnej wiosny jaskrawa przejrzystość. Wyszedłszy przez tylną furtkę plebanii, Meg — która umówiła się z nim, iż po południu wpadnie do wiatraka, aby się pożegnać — spostrzegła pierwsze kwitnące przebiśniegi i przykucnęła, pragnąc nasycić oczy ich drżącymi na wietrze zielonymi główkami. Czula pod stopami sprężystość murawy, a w dali stado mew krążyło, obniżając lot, jak nawałnica białych płatków.

Jaguar stał przy wiatraku, a przez otwarte drzwi na opustoszały pokój kładł się pas słonecznego blasku. Dalgliesh, klęcząc na podłodze, pakował do skrzyń resztę księgozbioru ciotki. Zawinięte już w papier obrazy stały oparte o ścianę. Meg uklękła obok Dalgliesha i zaczęła podawać mu związane sznurkiem paczki książek. — Jak tam nogi i plecy? — zapytała.

— Trochę sztywne i bliźny jeszcze czasem swędzą. Ale w zasadzie dobrze.

— Już nie boli?

— Już nie boli.

Pracowali przez kilka minut w zgodliwym milczeniu, a potem Meg powiedziała: — Wiem, że nie chcesz, by ci to mówiono, ale wszyscy jesteśmy wdzięczni za to, co robisz dla Blaneyów.

Komorne, jakie ustaliłeś za wiatrak, jest symboliczne i Ryan zdaje sobie z tego sprawę.

— Nie robię mu żadnej przysługi — odparł Dalgliesh. — Chciałem, żeby w wiatraku zamieszkała jakaś tutejsza rodzina i Blaneyowie byli oczywistymi kandydatami. To nie jest, w końcu, dom dla byle kogo. Jeśli niepokoi go wysokość czynszu, niechże uważa się za dozorcę. W takiej sytuacji to ja teoretycznie powinienem mu dopłacać.

391

P. D. JAMES

— Niewielu ludzi szukających stróża wybrałoby ekscentrycznego malarza z czwórka dzieci. Ale to miejsce będzie dla nich idealne: dwie łazienki, przyzwoita kuchnia i wieża na pracownię malarską Ryana. Theresa zmieniła się nie do poznania. Od czasu operacji nabrała sił i teraz po prostu promieniuje z niej szczęście. Wpadła wczoraj na Starą Plebanię, żeby opowiedzieć nam, jak mierzy pokoje i planuje, gdzie ustawi taki czy inny mebel. To dla nich naprawdę znacznie lepszy dom niż Chata Żeglarza, nawet gdyby Alex nie zamierzał się jej pozbyć. Nie mam mu tego za złe. Czy wiesz, że sprzedaje także Chatę Męczennicy? Teraz, gdy jest tak bardzo zajęty swoją nową pracą, chce — jak myślę — odciąć się całkowicie od przylądka i związanych z nim wspomnień. To

chyba zupełnie naturalne. No i zapewne nie wiesz o Jonathanie Reevesie. Zaręczył się z pewną młodą pracownicą elektrowni, Shirley Coles. A pani Jago dostała list od Neila Pascoe. Po paru falstartach został czasowo zatrudniony jako pracownik społeczny w Camden. Zdaniem pani Jago, sprawia wrażenie zadowolonego z losu. I wreszcie są dobre wieści o Timmym, przynajmniej dobre moim zdaniem. Policja odnalazła matkę Amy, która jednak, razem ze swoim konkubentem, nie chcą Timmy'ego, dzieciak zatem został przewidziany do adopcji. Pójdzie do jakiegoś małżeństwa, które zapewni mu miłość i bezpieczeństwo.

Potem urwała, wystraszona, że po prostu papie, że Dalgliessa może wcale nie interesują te lokalne ploteczki. Ale było jedno pytanie, które leżało jej na sercu od trzech ostatnich miesięcy i na które tylko on mógł udzielić odpowiedzi. Obserwowała przez chwilę jego długie wrażliwe palce, zręcznie układające książki w skrzyni, a wreszcie spytała: — Czy Alex przyjmuje do wiadomości, że jego siostra zabiła Hilary? Nie chciałam o to pytać nadinspektora Rickardsa, który zresztą i tak by mi nie odpowiedział. I oczywiście żadną miarą nie zapytałabym Aiexa. Od śmierci Alice ani razu nie rozmawialiśmy o niej czy też o morderstwie. Na pogrzebie prawie w ogóle nie rozmawialiśmy. Wiedziała jednak, że Rickards nie ukryłby niczego przed Adamem Dalglieshem.

— Nie sądzę, by Alex Mair był człowiekiem, który okłamuje się, gdy ma kłopoty z faktami — odrzekł Dalgliesh. — Na pewno zna prawdę, co wcale nie znaczy, że podzieli się nią z policją. Oficjalnie zgadza się z jej poglądem, że morderczyni nie żyje, jakkolwiek nie sposób obecnie udowodnić, czy była tą morderczynią Alice Mair, Amy Camm czy też Caroline Amphlett. Problem polega na tym, że nie istnieje ani jeden konkretny dowód, który pozwoliłby powiązać pannę Mair ze śmiercią Hilary Robarts i z pewnością nie dość wiele dowodów

392

INTRYG I ŻADZE

o charakterze poszlakowym, aby pośmiertnie naznaczyć ją piętnem morderczyni. Wątpię, czy Rickards miałby ją nawet prawo aresztować. Otwarty werdykt rozprawy po wypadku oznacza, że nie została nawet dowiedziona teoria samobójstwa. Raport inspektora pożarniczego potwierdza, że źródłem ognia był przewrócony rondel z wrzącym tłuszczem, co mogło nastąpić podczas gotowania, kiedy — na przykład s — wypróbowywała nowy przepis.

— A cała reszta opiera się na mojej opowieści, prawda? — zapytała z goryczą Meg. — Niezbyt prawdopodobnej opowieści kobiety, która już kiedyś sprawiała kłopoty i ma na koncie załamanie psychiczne. To wyszło jasno podczas przesłuchań. Inspektor Rickards miał, jak się zdawało, obsesję na punkcie naszych wzajemnych relacji, wypytywał, czy miałam do Alice jakiś uraz, czyśmy się kłóciły. Pod koniec nie wiedziałam już, czy uważa mnie za złośliwego kłamcę, czy jej współniczkę.

Jeszcze trzy i pół miesiąca po śmierci Alice trudno jej było myśleć o tamtych przesłuchaniach bez dobrze znajomej niszczącej mieszaniny bólu, strachu i gniewu. Czując na sobie te przenikliwe, sceptyczne oczy musiała powtarzać swoją historię raz za razem. Rozumiała zresztą, dlaczego przyjmował ją z takimi oporami. Nigdy nie umiała przekonująco kłamać, Rickards zaś wiedział, że kłamie. Ale dlaczego? — pytał. Jaki powód morderstwa podała Alice Mair? Jaki miała motyw? Przecież nikt nie mógł siłą zmusić jej brata do poślubienia Hilary Robarts. Poza tym był żonaty już wcześniej. Jego eks-żona żyje i świetnie się miewa, a zatem dlaczego akurat ten związek był nie do przyjęcia dla jego siostry?

Ale nic mu nie powiedziała i tylko powtarzała z uporem, że Alice chciała zapobiec małżeństwu. Obiecała, że nie powie i nigdy nie powie, nikomu, nawet Adamowi Dalglieshowi, który był jedynym człowiekiem na świecie, zdolnym, by ją do tego skłonić. Przypuszczała, że on również zdaje sobie z tego sprawę, ale nigdy nie zapyta. Kiedyś, odwiedzając go w szpitalu, spytała nagle: — Ty wiesz, prawda?

— Nie, nie wiem — odparł — ale mogę się domyślić. Szantaż nie jest rzadkim powodem morderstw.

Nie zadawał jednak żadnych pytań i była mu za to wdzięczna. Wiedziała teraz, że Alice wyznała jej prawdę tylko dlatego, że była pewna, iż ona, Meg, nie dożyje następnego dnia, by ją komukolwiek zdradzić. Planowała, że umrą razem. Pod koniec jednak wycofała się. Szklaneczkę whisky, niemal

na pewno z rozpuszczonymi środkami nasennymi, delikatnie, ale stanowczo wyjęto jej z dłoni. Pod koniec Alice dochowała wiary ich przyjaźni; ona zamierzała dochować wiary

393

P. D. JAMES

swojej przyjaciółce. Alice powiedziała, że była bratu winna jedną śmierć. Meg w nieskończoność analizowała te słowa, nadal jednak nie umiała przypisać im konkretnego znaczenia. Jeśli jednak Alice była winna bratu śmierć, ona, ze swej strony, winna była Alice lojalność i milczenie. Powiedziała:—Mam nadzieję, że po zakończeniu remontu kupię Chatę Męczennicy. Ze sprzedaży domu w Londynie został mi pewien kapitał, no i mam promesę niewielkiego kredytu, co w zupełności wystarczy. Latem będę ją mogła wynajmować, żeby zarobić na konserwację. A potem, kiedy już nie będę Copleyom potrzebna, zamieszkam w niej na stałe. To bardzo przyjemna myśl, że będzie na mnie czekać.

Był zaskoczony, że pragnie powrócić do miejsca związanego z tak dotkliwymi wspomnieniami, ale nic nie powiedział. Jak gdyby czując potrzebę udzielenia pewnych wyjaśnień, Meg podjęła: — W przeszłości mieszkańcom tego przylądka przytrafiały się okropne rzeczy, nie tylko Agnes Poley, Hilary, Alice, Amy czy Caroline. Ale wciąż czuję się tu dobrze. Nadal uważam, że tu jest moje miejsce. A duchy, jeśli w Chacie Męczennicy mieszkają duchy, będą przyjazne.

— To kamienista gleba, a w taką trudno zapuszcza się korzenie.

— Może moje korzenie potrzebują właśnie takiej gleby. Pożegnali się godzinę później. Prawda, zawieszona pomiędzy nimi,

nie została ujęta w słowa; teraz on wyjeżdża i może nie zobaczy go już nigdy. Uświadomiła sobie z uśmiechem radosnego zaskoczenia, że jest w nim odrobinę zakochana. To jednak nie miało znaczenia. Nie wiązało się ani z bólem, ani z nadzieją. Dotarłszy na grzbiet przylądka, odwróciła się i spojrzała ku północy, na elektrownię jądrową, generator i symbol potężnej tajemniczej siły, nierozdzielnie związanej w jej myślach z wyobrażeniem osobliwie pięknej chmury o kształcie grzyba, ale także symbol intelektualnej i duchowej arogancji, która doprowadziła Alice do morderstwa. Przez moment zdawało się jej, że słyszy echo ostatniej syreny alarmowej, wywrzaskującej nad przylądkiem swą okropną wieść. I zło nie skończyło się ze śmiercią złoczyńcy. Gdzieś, w tej samej chwili, nowy Świstun planuje, być może, straszliwą zemstę na świecie, w którym nigdy nie potrafi poczuć się jak w domu. To jednak kryło się w nieprzewidywalnej przyszłości, a strach nie miał realnego oblicza. Rzeczywistość była tu, w ulotnym momencie roz-słonecznionego czasu, w drżących trawach przylądka, w roziskrzonym morzu, które — ubarwione na horyzoncie pasem błękitu i purpury — przeżyło ku niebu skrzydło jednego żagla, w splekanych arkadach opactwa, połyskujących tu i ówdzie złotymi iskrami krzemienia, w wielkich śmigach wiatraka, nieruchomych i milczących, w słonym

394

INTRYG I ŻĄDZE

powietrzu. Tu przeszłość łączyła się z terażniejszością, a własne życie Meg, z jego trywialnymi intrygami i żądzami, było ledwie nic nie znaczącą chwilą znacznie dłuższej historii.

Skwitowała uśmiechem swoje wieszczcze wizje, odwróciła się, by po raz ostatni pomachać do stojącej we drzwiach wiatraka wysokiej postaci, a potem dziarsko pomaszerowała do domu.

Copleyowie pewnie czekają już na podwieczorek.

KONIEC

^ Z, B p- TM e

2 1 NJ.

i

■<<tg

a*f

00 o**

I

i3

Г
o f
I.

ЯЯДДИРИИИДИИ^!UUUUMUJJ!!!1?

WH

\$

•mm

«-Я»

l,l.lll,,ll.l!,!i!>!